

**DAWID  
GROSMAN**

---

*Patrz pod: Miłość*

Z hebrajskiego przełożyła  
Magdalena Sommer

**M O M I K**

Zdarzyło się tak, że kilka miesięcy po tym, jak babcia Henia umarła i została pochowana, Momik zyskał nowego dziadka. Dziadek znalazł się w miesiącu szewet roku pięć tysięcy dziewiętnastego, czyli tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego dziewiątego, choć nie przez program dla imigrantów, którego Momik słuchał codziennie przy obiedzie, między dwadzieścia po pierwszej a wpół do drugiej, sprawdzając, czy spiker wymieni któreś z wypisanych przez ojca imion. Nie, dziadek przyjechał karetką, która pewnego deszczowego popołudnia zatrzymała się przed sklepikiem Beli Markus. Wysiadł z niej tęgi, smagły mężczyzna, ale nie z „czarnych”, tylko z naszych, i zapytał Belę, czy w okolicy mieszkają jacyś Neumannowie. Zdenerwowana Bela szybko wytarła ręce w fartuch i odparła, że tak, tak, czy coś się, nie daj Boże, stało? Nie ma powodów do niepokoju, nic się nie stało, co się miało stać, odrzekł mężczyzna. Przywozłem im krewnego. Wskazał przy tym kciukiem samochód, który wydawał się całkiem pusty i cichy. Bela zbladła jak ściana, choć, jak wiadomo, niczego się nie boi, i nie podeszła do samochodu, a nawet przysunęła się trochę do Momika, który odrabiał lekcje przy stoliku. *Wej iz mir*, powiedziała, a cóż to znowu za krewny? Śpieszy się, odparł na to kierowca, jak pani ich zna, proszę mi powiedzieć, gdzie znajdę, bo w domu nie ma. Mówił z błędami, choć nie przypominał imigranta. Pewnie, że u nich nikogo teraz nie ma, to nie darmożjady, ciężko pracują na kawałek chleba, odparła szybko Bela. Od rana do wieczora tam siedzą, ulicę dalej, w kolekturze. Ten mały to ich. Niech no pan chwilkę zaczeka, zaraz ich zawołam. Pobiegła, nie zdjawszy nawet fartucha. Mężczyzna mrugnął do Momika. Kiedy Momik nie zareagował, bo doskonale wie, jak nie należy się zachowywać w stosunku do obcych, nieznajomy wzruszył ramionami i zaczął czytać gazetę, którą Bela zostawiła otwartą.

Co z tego, że pada, i tak będzie susza w tym roku, powiedział do siebie, tylko tego nam brakuje. Momik, który zazwyczaj był bardzo grzeczny, nie słuchał dłużej, i wyszedł na ulicę, na deszcz. Wspiął się na schodki z tyłu

ambulansu i przetarł małe, okrągłe okienko. W środku, niczym ryba w akwariu, unosił się sędziwy staruszek. Miał na sobie piżamę w niebieskie paski, i był pomarszczony jak babcia Henia przed śmiercią. Żółtawobrazowa skóra, jak u żółwia, zwisała mu z szyi i z bardzo chudych rąk. Był zupełnie łysy i miał puste niebieskie oczy.

Staruszek pływał we wnętrzu samochodu, wymachując gwałtownie rękami na wszystkie strony. Momik przypomniał sobie nagle smutnego szwajcarskiego wieśniaka, zamkniętego w szklanej kuli z padającym śniegiem, którą ciotka Itka i wuj Szymek przywieźli mu w prezencie i którą przypadkiem stłukł. Niewiele myśląc, otworzył drzwi i wystraszył się, słysząc, że człowiek ów przemawia dziwnym głosem, wznoszącym się i opadającym, to z entuzjazmem, to znowu płacząco, jakby grał w teatrze lub relacjonował niewiarygodną historię. W jednej chwili, nie wiadomo skąd, Momik zyskał tysiącprocentową pewność, że to Anszel, młodszy brat babci Heni, wujek mamy. Zawsze powtarzano, że Momik szczególnie go przypomina, zwłaszcza z podbródka, czoła i nosa. Anszel pisał opowiadania dla dzieci do zagranicznych gazet. Ale przecież wujek został zabity przez nazistów, niech będą przeklęci, a staruszek wydawał się żywy. Momik miał nadzieję, że rodzice zgodzą się zatrzymać go w domu, ponieważ po śmierci babci mama powiedziała, że marzy tylko o jednym, aby spokojnie umrzeć. W tej samej chwili nadeszła mama. Szkoda, że Momik nie pomyślał o Mesjaszu. Za nią nadbiegła Bela, szurając ciężko nogami i wołając w jidysz za mamą, żeby się nie bała i nie przestraszyła dziecka. Za nimi kroczył powoli gruby tata Momika. Ciężko sapał i aż poczerwieniał na twarzy. Momik pomyślał, że to naprawdę coś poważnego, jeśli rodzice wyszli oboje, zostawiając kolekturę bez opieki. Kierowca złożył gazetę i zapytał, czy to państwo Neumann, i czy są może krewnymi błogosławionej pamięci pani Heni Minc. Mama potwierdziła zmienionym głosem. Tak, to była moja mama, co się stało? Tęgi kierowca uśmiechnął się pulchnymi wargami i powiedział, że nic się nie stało, co miało się stać, wszyscy tylko czekają, aż coś się stanie. Przywieźliśmy wam dziadka na szczęście. Wszyscy podeszli do karetki. Kierowca wsiadł i bez wysiłku wyniósł staruszkę. Oj, powiedziała matka, żebym tak zdrowa była,

przecież to Anszel, i zachwiała się. Bela zdążyła pobiec i przynieść jej krzesło. Kierowca powtórzył, że nie wolno tak się denerwować, żeby, broń Boże, nie stało się nic niedobrego. Postawił staruszkę na ziemi, klepnął go przyjacielsko po zgarbionych plecach i oznajmił: panie Wasserman, to pańska rodzina. Od dziesięciu lat przebywa u nas, w klinice dla psychicznie chorych w Bat Jam, i nigdy nie mogliśmy go zrozumieć, ciągle śpiewa i gada do siebie, jak teraz, może się modli albo co, i w ogóle nie słyszy, co się do niego mówi, jak głuchy, zwrócił się do matki i ojca. To twoja rodzina, wrzasnął staruszkowi do ucha, na dowód, że ten naprawdę jest głuchy. Jak pień. Kto wie, co te bydlaki mu zrobiły. Nie wiemy nawet, gdzie był przedtem, w jakim obozie. Mieliśmy już ludzi w gorszym stanie. Szkoda, że nie możecie zobaczyć. Jakiś miesiąc temu zaczął się odzywać i wymieniać imiona różnych osób, w tym pani Minc. Nasz dyrektor przeprowadził śledztwo, jak prawdziwy detektyw, i okazało się, że wszyscy już nie żyją, że pani Henia Minc jest zameldowana tutaj, w Jerozolimie, i że ona też już nie żyje, a wy to jedyni krewni. Panu Wassermanowi już się pewnie nie poprawi. Je prawie sam. Także te mniej ładne rzeczy robi sam, za przeproszeniem. Nasz kraj nie jest bogaty. Lekarze powiadają, że w tym stanie może mieszkać w domu. W końcu to rodzina, nieprawdaż? W tej torbie są wszystkie jego rzeczy, ubrania, dokumenty i recepty na lekarstwa, które zażywa. Naprawdę jest bardzo spokojny i greczny, poza tymi wygibasami, ale przecież to nic takiego, wszyscy go lubili. Nazywali go Malewski, bo cały czas śpiewa. To taki żart. Pożegnaj się z przyjaciółmi, krzyknął staruszkowi do ucha. Nic, jak głaz. Niech pan podpisze, panie Neumann, że przyjęliście go ode mnie. Ma pan dowód tożsamości? Nie? Nie szkodzi. Wierzę panu. No i dobrze, niech będzie na zdrowie. To wielka radość. Jakby urodziło się dziecko. Przyzwyczaiacie się do niego z czasem. Trzeba wracać już do Bat Jam, mamy dużo pracy, dzięki Bogu. Do widzenia, panie Wasserman, niech pan o nas pamięta, krzyknął w twarz staruszkowi, który w ogóle go nie zauważał. Usiadł za kierownicą i pośpiesznie odjechał.

Bela pobiegła po kawałek cytryny, żeby pomóc mamie Momika oprzytomnieć. Tata stał bez ruchu, patrząc w ziemię, na kałużę rosnącą w

pustym kwadracie, w którym władze miasta nie posadziły jeszcze drzewa. Krople spływały także po twarzy mamy, siedzącej w deszczu na krześle, z zamkniętymi oczami. Była tak niska, że jej krótkie nóżki nie sięgały ziemi. Momik podszedł do staruszka, delikatnie ujął go za szczupłą rękę i pociągnął pod daszek nad sklepem Beli. Byli prawie tego samego wzrostu, bo staruszek był całkiem zgięty wpół, a w dodatku miał nieduży garb. Momik zauważył jednocześnie, że nowy dziadek ma na ręku numer, podobnie jak tata, ciotka Itka i Bela, ale inny. Od razu nauczył się go na pamięć. Tymczasem nadeszła Bela z ćwiartką cytryny i zaczęła nacierać matce czoło i skronie. W powietrzu rozszedł się przyjemny aromat. Momik czekał, wiedząc, że zawsze mija trochę czasu, zanim mama dojdzie do siebie.

W tej samej chwili na końcu ulicy pojawili się Maks i Moryc, którzy naprawdę nazywali się Gincburg i Zajdman, lecz nikt o tym nie pamiętał, poza Momikiem, który pamiętał wszystko. Byli to dwaj staruszkowie, którzy zawsze trzymali się razem. Mieszkali w komórce domu pod numerem dwunastym, pełnej szmat i wszelkiego złomu, znoszonego z okolicy. Kiedy zarząd miasta chciał ich usunąć, Bela tak okropnie krzyczała, że w końcu dano im spokój. Maks i Moryc porozumiewali się tylko między sobą. Gincburg, który był brudny i śmierdzący, cały czas pytał „kim jestem, kim jestem”, bo stracił pamięć przez tamtych, niech będą przeklęci. Niziutki Zajdman uśmiechał się do wszystkich. Mówiono, że jest całkiem pusty w środku. Nie odstępowali się ani na krok. Ciemny Gincburg kroczył zawsze przodem, za nim podążał uśmiechnięty Zajdman z czarną, cuchnącą na kilometr teczką. Na ich widok mama Momika mamrotała pośpiesznie do siebie: niech odejdzie nieszczęście na puste pola i lasy. Rzecz jasna, zabroniła Momikowi się do nich zbliżać. Momik wiedział jednak, że są nieszkodliwi. Najlepszy dowód, że Bela nie pozwoliła ich wyrzucić z komórki, chociaż sama nadaje im różne śmieszne przezwiska, jak Mupik i Hupik albo Pat i Pataszon – coś jak dwie Myszki Miki, o których historyjki obrazkowe drukowano w gazetach w kraju, z którego oni wszyscy pochodzą.

Zbliżali się powolutku. To było dziwne, bo na ogół bali się ludzi, a tym razem podeszli blisko i stanęli naprzeciw dziadka, uważnie mu się przyglądając.

Momik także spojrział na staruszkę, i zauważył, że drga mu czubek nosa, jakby dziadek węszył. Nic dziwnego, bo Gincburga poczułby nawet ktoś, kto nie ma nosa. To jednak było coś innego, gdyż nagle dziadek przestał podśpiewywać i spojrział na dwóch głupków, jak nazywała ich mama. Momik zauważył, że wszyscy trzej nagle się sprężyli, jakby coś jednocześnie poczuli. Potem nowy dziadek odwrócił się gwałtownie, jakby zirytowany, że zmarnował cenny czas, podjął swe drażniące pomruki i przestał cokolwiek dostrzegać. Wymachiwał tylko zamaszycie rękami, jakby pływał w powietrzu albo rozmawiał z kimś niewidzialnym. Maks i Moryc obserwowali go, i młodszy, Zajdman, zaczął powtarzać gesty i dźwięki. Zawsze naśladuje ludzi, których widzi. Gincburg wydał pełen złości okrzyk i ruszył naprzód, pociągając za sobą towarzysza. Byli nierozłączni, także na znaczkach pocztowych, które rysował Momik.

Tymczasem blada jak płótno mama, słaniając się, wstała z krzesła. Bela podała jej ramię, mówiąc, oprzyj się na mnie, Gizelo. Mama w ogóle nie spojrziała na nowego dziadka, tylko zwróciła się do Beli. To mnie zabije, zapamiętaj moje słowa, dlaczego Bóg nie da nam w końcu spokoju, nie pozwoli trochę pożyć. Bela odparła, tfu, co ty wygadujesz, Gizelo, to przecież nie kot, to żywy człowiek, nieładnie tak mówić. Nie dość, że zostałam sierotą, powiedziała mama, nie dość tego, co przeszliśmy ostatnio z moją mamą, wszystko zaczyna się od początku. Popatrz na niego, on u nas umrze, po to go przywieźli. Cii, odpowiedziała Bela i wzięła mamę za rękę. Przeszły obok dziadka, a mama nawet na niego nie spojrziała. Wtedy tata jakoś tak odchrząknął i mruknął, że co tu będziemy tak stać. Podszedł i odważnie położył dziadkowi rękę na ramieniu, zerkając niepewnie na Momika, po czym poprowadził staruszkę w kierunku domu. Momik, który postanowił, że będzie nazywał przybysza dziadkiem, chociaż nie był to naprawdę jego dziadek, zauważył w duchu, że staruszek wcale nie umarł od dotyku taty. To zrozumiałe, bo nie można zranić kogoś, kto pochodzi stamtąd.

Jeszcze tego samego dnia Momik zszedł do komórki pod domem i rozpoczął poszukiwania. Nie lubił tam chodzić, bo w komórce było ciemno i brudno, ale tym razem nie miał wyjścia. Między wielkimi metalowymi łózkami i

siennikami, z których wysypywała się słoma, stertami okryć i butów, stał kufer babci Heni, rodzaj dużego pudła, mocno związanego sznurkiem. W środku znajdowały się ubrania i rzeczy, które przywiozła stamtąd. Książka pod tytułem *Cene urene* i wielka stolnica, na której babcia wałkowała ciasto. Przede wszystkim jednak trzy worki pierza z gęsich kuprów, które babcia Henia taszczyła przez pół świata, statkami i pociągami, wśród najgorszych niebezpieczeństw, tylko po to, aby w Izraelu uszyć sobie pierzynę, żeby nie marzły jej nogi. A kiedy wreszcie tu przyjechała, co się okazało? Okazało się, że ciotka Itka i Szymek, którzy przyjechali wcześniej i szybko się wzbogacili, kupili jej podwójną pierzynę. Pierze zostało w piwnicy i natychmiast pokryło się pleśnią i innym świństwem, ale u nas się takich rzeczy nie wyrzuca. Na samym dnie leżał brulion z różnymi zapiskami, które babcia robiła w jidysz; rodzaj wspomnień z czasów, kiedy jeszcze dopisywała jej pamięć. Momik przypomniał sobie, że pewnego razu, zanim nauczył się czytać, zanim stał się *alter kap*, czyli starą i mądrą głową, babcia pokazała mu stronicę z bardzo starej gazety, w której wydrukowano opowiadanie jej młodszego brata Anszela, napisane jakieś sto lat temu (mniej więcej). Mama rozgniewała się wtedy na babcię, że maćci dziecku w głowie, opowiadając o dawno minionych sprawach, o których najlepiej zapomnieć. Gazeta rzeczywiście wciąż tkwiła w brulionie. Kiedy Momik wziął ją do ręki, zaczęła się kruszyć pod palcami. Z bijącym sercem włożył ją z powrotem pomiędzy kartki. Potem usiadł na kuferku, żeby go zamknąć, ale był zbyt lekki. Chciał już uciec, lecz nagle przyszedł mu do głowy tak dziwny pomysł, że Momik aż stanął w miejscu i zapomniał, co zamierzał zrobić. Jego siusiak jednak natychmiast mu przypomniał. Momik zdążył wyjść na zewnątrz i wysiusiał się przy schodach. Tak działo się za każdym razem, gdy schodził do piwnicy.

Udało mu się niepostrzeżenie wnieść brulion do domu. Kiedy otworzył go w swoim pokoju, zobaczył, że wycinek z gazety pokruszył się jeszcze bardziej, a na samej górze całkiem się rozdarł. Momik od razu zrozumiał, że musi przepisać tekst, bo inaczej wszystko będzie *kaput*. Podekscytowany wyciągnął spod materaca swój notes detektywa i zaczął pośpiesznie, słowo w słowo,



przepisywać opowiadanie z podartej gazety:

Dzieci Serca wyruszają na pomoc czerwo  
Opowieść w pięćdziesięciu odcinkach, pió  
ulubionego twórcy dzieci Anszela Wa  
Odcinek dwudziesty siódmy.

„Najmilszy i wierny czytelniku! W poprzednim odcinku byliśmy świadkami, jak Dzieci Serca mkną lotem strzały na skrzydłach Wehikułu Czasu i Przestrzeni, kierującego się w stronę mniejszego światła niebieskiego, czyli Księżyca. Machina owa była owocem umysłu genialnego chłopca, Siergieja, którego mistrzowską znajomość techniki i prądów elektrycznych, i sposób skonstruowania tego cudownego urządzenia opisaliśmy wyczerpująco w ostatnim opowiadaniu, do którego odsyłamy naszych drogich czytelników, w razie gdyby jakieś drobne szczegóły uleciały im z pamięci. A zatem, na pokładzie Wehikułu, ramię w ramię z Dziećmi Serca, znajdowali się członkowie szlachetnego plemienia czerwonoskórych Nawahów, a wraz z nimi ich dumny wódz, imieniem Czerwony Pantofel (być może nasz miły czytelnik słyszał o upodobaniu czerwonoskórych do podobnych fantazyjnych imion, choć przywołują uśmiech na nasze twarze!). Razem umykali przed ręką wojowniczych ludzi, którzy zamierzali wypędzić ich z ziemi ojców, a wśród których najbardziej zawzięty i krwiożerczy był zrodzony w Anglii John Lee Stewart. Nasi bohaterowie postanowili więc poszukać schronienia na Księżycu, w nadziei zapisania nowego rozdziału w historii swego nieszczęsnego życia. Słuchajcie! Cudowna machina mija gwiazdy, przedziera się przez pierścienie Saturna, przemyka się wśród błyskawic z prędkością światła! Podczas gdy tak podróżowali, nasz dobry Otto Brig, przywódca drużyny Dzieci Serca, trzymał się wielce, aby uśmierzyć niepokój czerwonoskórych, którzy dopiero co wyrwali się z ręki nieprzyjaciół, porwani w niebiosa na ognistym rydwanie. Opowiadał im o wszystkich przygodach Dzieci Serca, które z pewnością nasz wierny czytelnik zna co do litery, nie będziemy więc już do nich powracać. Młodsza siostra Ottona, złotowłosa Paula, przyrządzała gościom wieczerzę, aby wzmocnić ich umęczone ciała i podnieść ich na duchu. Albert Fried, milczący młodzieniec, siedział

samotnie za sterem, pogrążony w rozmyślaniach, w jaki sposób człowiekowi uda się postawić stopę na Księżycu, bo przecież, jak wiesz, drogi młody czytelniku, Albert Fried posiadał dogłębną znajomość wszystkich żywych stworzeń, od wszy po rogate bawoły, umiał także rozmawiać z każdym z nich, jak niegdyś król Salomon. Pośpieszył odnaleźć swój mały zeszyt, w którym zamierzał zapisywać wszystkie naukowe obserwacje, bo nasz przyjaciel Fried był miłośnikiem porządku i metody. Warto, aby młodzi czytelnicy brali go za wzór we wszelkich sprawach. Kiedy tak pisał, jego uszu dobiegły słodkie tony fletu, więc zdziwiony zerwał się na równe nogi, ruszył do głównej hali i stanął w progu, nie wierząc własnym oczom: Harotian, mały Ormianin, wielki magik, niezwykle utalentowany w każdej dziedzinie czarodziejstwa, grał gościom na flecie, a nuty, które wydobywały się spod jego szybkich palców, uciszały niepokój w sercach czerwonoskórych i uśmierzały lęk. Muzyka była dla nich niczym balsam. I nie ma w tym nic dziwnego: mały Harotian sam został uratowany przez Dzieci Serca kilka lat wcześniej, kiedy Turcy napadli na jego wioskę w górach Armenii, i tylko on jeden ocalał. Dokładny opis tej niezwyklej przygody wierni czytelnicy mogli znaleźć w opowiadaniu *Dzieci Serca wyruszają na pomoc Ormianom*. Harotian najlepiej więc ze wszystkich pojmował, co dzieje się w duszach przybyszów. Kiedy tak grał, nagle Siergiej, stojący na zewnątrz na czatach, ujrzał wielką chmurę. W ręku trzymał czarodziejski róg, który każdą rzecz powiększał tysiąc dwieście razy. Zawołał: «Biada, grozi nam wielkie niebezpieczeństwo! Uciekajmy! Na Księżyc!». Spojrzeli i ogarnęło ich przerażenie. Pośpieszył ich dowódca Otto, który także spojrział w róg, i zamarło w nim serce, a twarz pobladła niczym prześcieradło. Paula chwyciła go za rękę, wołając: «Na Boga, Otto, cóż zobaczyłeś?». Ale głos zamarł mu w krtani i Otto nie rzekł nic. Tylko wyraz jego twarzy świadczył dobitnie o nieszczęściu, jakie ich spotkało. Być może śmierć zaglądała im do okien.

Ciąg dalszy w kolejnym numerze  
«Świąteczek» w przyszłym tygodniu!”

Takie opowiadanie Momik znalazł w gazecie. Przepisując je do swojego detektywistycznego zeszytu, zrozumiał, że to najfajniejsza i najciekawsza historia na świecie. Papier pachniał, jakby miał co najmniej tysiąc lat, i przypominał stronicę Tory. Także słowa były biblijne. Momik doszedł do wniosku, że nawet gdyby przeczytał całość tysiąc razy, nigdy nie zrozumie wszystkiego. Żeby zrozumieć taką opowieść, potrzeba przypisów i komentarzy, jakie sporządzał Raszi<sup>1</sup>, i kogoś, kto naprawdę rozumie ten język, bo dzisiaj nikt już tak nie mówi, najwyraźniej poza samym dziadkiem Anszelem. I bez tego Momik wiedział, że skarb, który znalazł, to początek wszystkich ksiązek i wszystkich opowieści, i że wszystko, co napisano potem, to beznadziejne naśladownictwo. Było jasne, że jeśli zrozumie tę opowieść, pojmie wszystko. Nie będzie nawet musiał chodzić do szkoły. Od razu zaczął się uczyć tekstu na pamięć, miał przecież głowę nie od parady. Po tygodniu umiał całość. Przed snem i w czasie lekcji mówił do siebie: „Harotian, mały Ormianin, wielki czarodziej i mag”. Opowieść powoli przeniknęła do jego duszy. Zastanawiał się bez końca, co takiego okropnego ujrzeli na Księżycu. Czasami próbował wymyślić zakończenie, ale wiedział, że prawdziwie biblijny koniec potrafi napisać tylko dziadek Anszel. Jednak dziadek Anszel nie mógł tego zrobić.

Ojciec i mama Momika zdecydowali, że dziadek zamieszka w pokoiku, zajmowanym wcześniej przez babcię Henię. Dziadek w ogóle nie był do niej podobny. Ani chwili nie mógł usiedzieć spokojnie. Nawet we śnie kręcił się i mamrotał. Ciągle drżały mu ręce. Szybko się okazało, że nie można go zostawić zamkniętego w domu, bo zaczyna płakać i krzyczeć, toteż jak najczęściej puszczano go swobodnie. Rano, kiedy rodzice szli do kolektury, a Momik do szkoły, dziadek Anszel niestrudzenie przechadzał się uliczką. Kiedy się zmęczył, siadał na zielonej ławce naprzeciw kawiarenki Beli i mówił do siebie. Mieszkał u Momika i jego rodziców dokładnie pięć miesięcy, po czym zniknął. Kiedy dziadek się pojawił, Momik uwiecznił go na państwowych znaczkach

---

<sup>1</sup> Raszi – rabi Szlomo ben Icchak (1040-1115), autor komentarzy do podstawowych tekstów żydowskich (przyp. red.).

pocztowych, a pod rysunkami napisał (na cześć dziadka): „Anszel Wasserman. Żydowski pisarz zamordowany w czasie Holokaustu”. Bela podawała dziadkowi szklankę słabej herbaty i przypominała mu delikatnie, *mendarf piszen*, panie Wasserman, prowadząc go jak dziecko do ubikacji. Bela to istny anioł. Jej mąż, Chaskiel Markus, umarł dawno temu i zostawił ją samą z Joszua, który był trudnym dzieckiem, trochę zwariowanym. Bela sama, tymi dwiema rękami, uczyniła z niego wysokiego stopniem oficera i profesora. Poza Joszua Chaskiel zostawił jej także swojego ojca, starego pana Markusa, który – *zal er zajn gezunt un Sztark*, oby był zdrowy i silny – był słaby i chory, nie wiedział, na jakim świecie żyje, i prawie nie wstawał z łóżka. Bela, która przy Chaskielu była niczym królowa, a w domu mąż nie pozwolił jej nawet przestawić szklanki, po jego śmierci nie siedziała z założonymi rękami, lecz zaczęła prowadzić sklepik, aby zatrzymać przynajmniej stałych klientów. Udało jej się nawet go powiększyć, dostawiła trzy stoliki, zainstalowała saturator z wodą sodową i ekspres do kawy. Stała tam od rana do wieczora i pluća krwią. Tylko jej poduszka wie, ile Bela wylała łez, ale Joszua ani razu nie poszedł spać głodny, a od ciężkiej pracy nikt jeszcze nie umarł.

W kawiarence można było jeść lekkie i urozmaicone śniadania, a także domowe obiady dla smakoszy. Momik dokładnie zapamiętał te słowa, bo sam przepisał jadłospis trzy razy (były tam trzy stoliki) oraz narysował grubych ludzi, uśmiechających się na myśl o posiłkach Beli. Były tam oczywiście także domowe ciasteczka, świeższe od Beli, jak zwykła mówić każdemu, kto zapytał. Niestety, niewielu pytało, bo do kawiarenki mało kto zaglądał. Tylko marokańscy robotnicy, pracujący na budowie osiedla Bejt Mazmil, którzy przychodzili o dziesiątej rano kupić butelkę mleka, chleb i bułeczki. Było też kilku stałych klientów z sąsiedztwa i, rzecz jasna, Momik. On jednak nie płacił. Inni nie przychodzili po zakupy, bo niedawno otwarto nowoczesny supermarket w centrum handlowym. Każdy, kto zrobił zakupy za trzydzieści funtów, dostawał opakowanie podstawek pod szklanki, jakby wszyscy ludzie pili herbatę z filiżanek z podstawką, niczym u jakiejś księżnej. Wszyscy tam lecą, jakby mogli pomacać złoto, a nie ryby i rzodkiewki, również dlatego, że każdy dostaje

tam metalowy wózek, którym może wszystko wozić, mówi Bela, ale nie jest naprawdę zła. Za każdym razem, kiedy Bela mówi o supermarkecie, Momik rumieni się i patrzy w inną stronę, bo on także czasem tam chodzi. Ogląda światła i rozmaite rzeczy do kupienia, słucha, jak dzwonią kasy, przygląda się karpom w beczce z rybami. Bela nie przejmuje się, że opuścili ją wszyscy klienci (jak twierdzi) ani tym, że już się nie wzbogaci. Cóż to, Rockefeller jada dwa obiady dziennie? Rothschild sypia w dwóch łózkach? Nie, męczy ją nuda i brak zajęcia, feśli tak dalej będzie, pójdzie sprzątać po domach, żeby nie siedzieć z założonymi rękami. Co innego ma do roboty? Do Hollywood już raczej nie pojedzie, chyba że ktoś wreszcie doceni jej nogi, i Marilyn Monroe może spać spokojnie z nowym żydowskim mężem. Bela przesiadywała całymi dniami przy jednym z pustych stolików, czytając „Świat Kobiety” i „Jedijot Aharonot”, i paląc jednego za drugim papierosy marki Savion. Niczego się nie bała i wszystkim mówiła prawdę prosto w oczy. Tak było, kiedy przyszli inspektorzy z urzędu miasta, którzy chcieli wyrzucić Maksa i Moryca z komórki. Bela powiedziała im takie rzeczy, że do końca życia będą mieli wyrzuty sumienia. Nawet Ben Guriona się nie bała i mówiła o nim „ten dyktatorek z Płońska”. Jednak nie o wszystkim wyrażała się w ten sposób, bo należy pamiętać że także ona, jak wszyscy dorośli, których znał Momik, przyjechała z kraju, który nazywał się TAM, o którym nie wolno zbyt często wspominać, wolno tylko myśleć i wzdychać przeciągle: oooj... Tak robią wszyscy. Bela jednak zachowuje się trochę inaczej. Momik dowiedział się od niej kilku naprawdę istotnych rzeczy o tym kraju, mimo że oczywiście także jej nie wolno zdradzać tajemnic. Jednak opowiedziała mu coś niecoś o swoim rodzinnym domu. Od Beli Momik po raz pierwszy usłyszał o bestii faszystowskiej.

Prawdę mówiąc, z początku sądził, że Bela ma na myśli jakiegoś wyimaginowanego potwora albo olbrzymiego dinozaura, który kiedyś żył na świecie i wzbudzał grozę. Nie bardzo śmiał zapytać, co i jak. Kiedy pojawił się nowy dziadek, a rodzice Momika stali się jeszcze bardziej nieszczęśliwi, krzyczeli przez sen, i nie można było już tego znieść, Momik postanowił zapytać Belę jeszcze raz. Odparła kwaśno, że jest kilka rzeczy, których dzięki Bogu nie musi

wiedzieć w wieku dziewięciu lat. Jak zawsze gniewnym ruchem rozpięła mu górny guzik koszuli, mówiąc, że duszno jej na sam jego widok. Momik jednak nie ustąpił i zapytał wprost, co to za zwierzę „bestia nazistowska” (przecież dobrze wiedział, że nie ma już na świecie fantastycznych stworów ani dinozaurów). Bela wydmuchała długi kłęb dymu z papierosa, rozgniotła z całej siły niedopałek, westchnęła i przyjrzała się Momikowi. Potem zacisnęła usta i długo milczała. W końcu jednak przemówiła. Otóż nazistowska bestia może wyleźć właściwie z każdego stworzenia, jeśli zapewni mu się właściwe traktowanie i pożywienie. Drżącymi rękami zapaliła kolejnego papierosa. Momik uznał, że więcej z niej nie wyciągnie. Wyszedł zamyślony na ulicę, wlokąc za sobą tornister po mokrym chodniku i zapinając machinalnie guzik. Przystanął i spojrzał na dziadka Anszela, który jak zawsze siedział na zielonej ławce po drugiej stronie wąskiej uliczki. Był zatopiony w swoim świecie i gestykulował, dyskutując z niewidocznym rozmówcą, który nigdy nie dawał mu spokoju. Najciekawsze jednak było, że dziadek nie siedział sam.

Ostatnio, całkiem nieświadomie, dziadek zaczął przyciągać rozmaitych ludzi. Staruszków, których dotąd prawie w ogóle nie widywano na ulicy, a jeśli nawet, to nikt z nimi nie rozmawiał. Na przykład Gincburga i Zajdmana, którzy przychodzili i przyglądali mu się z bliska. Zajdman zaczynał od razu powtarzać gesty dziadka, bo zawsze naśladuje inne osoby. Dołączył do nich Jedidja Munin, który nocował w pustej synagodze, razem ze wszystkimi świętymi męczennikami. Jedidja Munin chodzi rozkraczony z powodu przepukliny i nosi dwie pary okularów, jedne słoneczne, drugie zwykłe. Dzieciom nie wolno podchodzić do niego pod żadnym pozorem, bo jest nieprzyzwoity. Momik wie, że Munin to w gruncie rzeczy dobry człowiek, który chce tylko poznać jakąś kobietę z kulturalnej, porządnej rodziny i zrobić jej dzieci na swój specjalny sposób. Dlatego Momik w tajemnicy wycina z gazety w każdy piątek ogłoszenia matrymonialne znanej współczesnej swatki, pani Ester Lewin, największej w Izraelu specjalistki od kontaktów z zagranicznymi turystami. Broń Boże, żeby ktoś się o tym dowiedział. Potem na uliczkę wyszedł pan Aharon Markus, teść Beli, którego od dziesięciu lat nikt nie widział i po którym wszyscy odmówili już

kadysz. A jednak żyje, jest ładnie i elegancko ubrany (Bela nie da mu pokazać się na dworze w łachmanach, to pewne). Miał tylko taką dziwną twarz, cały czas krzywił się i przybierał tysiące dziwnych min, których lepiej nie oglądać. Pojawiła się też pani Chana Cytryn, którą opuścił mąż krawiec, niech będzie przeklęty, i pozostawił ją wdową za życia. Tak zawsze krzyczała na cały głos. Dobrze chociaż, że wypłacają odszkodowania, bo inaczej umarłaby z głodu, nie daj Boże, bo krawiec, psiakrew, nie zostawił jej nawet tyle, co brudu za paznokciem, wszystko zabrał, niech go cholera. Pani Cytryn to naprawdę dobra kobieta, ale jest też prostytutką i współżyje ze *szwarcers*, a *szwarc jar ojf ir*, niech ją czeka czarny rok, jak powtarza mama na jej widok. Pani Cytryn robi to z Sasonem Sasonem, obrońcą w drużynie Hapoel Jerozolima, z Wiktoorem Arusim, taksówkarzem, i z Ezrą, właścicielem jatki w centrum handlowym, który zawsze ma we włosach pełno pierza. Sprawia nawet wrażenie miłego człowieka, który nie współżyje, chociaż wszyscy wiedzą, że to robi. Na początku Momik nienawidził Chany z całego serca i przysięgł sobie, że ożeni się tylko z dziewczyną z kulturalnej i porządnej rodziny, jak można przeczytać w ogłoszeniach swatki, dziewczyną, która pod żadnym pozorem nie będzie się pieprzyć. Kiedy jednak o tym napomknął, Bela rozgniewała się i zaczęła powtarzać, że Chana to nieszczęśliwa kobieta, której trzeba współczuć, jak każdemu. Momik nie wie o wszystkim, co Chana przeszła TAM. W dzieciństwie z pewnością nic marzyła, że tak skończy. Wszyscy na początku mają marzenia i nadzieje, tak powiedziała Bela. Wtedy Momik zaczął trochę inaczej patrzeć na Chanę i zauważył, że jest nawet niebrzydka, w dużej blond peruce, przypominającej fryzurę Marilyn Monroe. Ma dużą czerwoną twarz z malutkim wąsikiem, spuchnięte nogi owinięte grubo bandażami, i w sumie jest w porządku. Tylko nienawidzi swojego ciała i cały czas drapie się do krwi paznokciami, nazywa je „mój piec” i „moje nieszczęście”. Munin wyjaśnił Momikowi, że Chana tak krzyczy, bo musi ciągle się pieprzyć, inaczej będzie musiała wyjechać do jakiegoś miejsca. Dlatego krawiec ją zostawił, bo nie był przecież z żelaza. Miał także jakiś problem z rogami. Także o to trzeba zapytać Belę. Wszystkie te opowieści trochę niepokoiły Momika, bo co się stanie, jeśli

pewnego dnia nie pojawi się żaden mężczyzna i Chana przypadkiem zauważy na ulicy Momika? Na szczęście nigdy tak się nie stało. Trzeba także wspomnieć, że poza swoim ciałem pani Cytryn gniewa się też na Boga, któremu wygraża pięściami i robi rozmaite niezbyt przyzwoite gesty, krzyczy i przeklina po polsku, a nawet w jidysz, co On z pewnością rozumie. Żąda, by odważył się zejść i stanąć przed prostą kobietą z Dynowa, ale na razie się nie odważył. Za każdym razem, kiedy Chana zaczyna z krzykiem biec uliczką, Momik podchodzi do okna, nie chcąc przepuścić takiego spotkania, bo jak długo Bóg może znosić obelgi, które słyszą wszyscy wokół? Nie jest z żelaza. Pani Cytryn zaczęła ostatnio przychodzić na ławkę i siadywać obok dziadka, ale bez ruchu, niczym mała grzeczna dziewczynka. Nie przestaje się drapać, ale po cichu, bez krzyków i przekleństw, bo nawet ona wyczuwa, że dziadek jest bardzo delikatnym człowiekiem.

Momik trochę się wstydzi podejść. Zbliża się powolutku, wlokąc tornister po chodniku, aż nagle okazuje się, że stoi przy samej ławce i słyszy rozmowy w jidysz. To trochę inny język niż ten, którym mówią rodzice, ale Momik rozumie każde słowo. Nasz rabin, szepcze mały Zajdman, był taki mądry, że najlepsi specjaliści orzekli, iż ma dwa mózgi! Jedidja Munin mówi: et! (oni wszyscy wydają ten dźwięk), nasz rabin w Nowym Mieście, nazywali *go januke*, on też skończył TAM, nie chciał opublikować swoich komentarzy. Nawet najwięksi wśród chasydów nie zawsze chcieli. I co? Powiem wam, co się stało. W trzech rzeczach nasz mały rabin, błogosławionej pamięci, ujrzał znak z góry! Słyszysz pan, Wasserman? A u nas w Dynowie, mówi pani Cytryn do siebie, u nas na rynku stał pomnik Jagiełły, wysoki na pięćdziesiąt metrów, cały z marmuru! Zagranicznego marmuru!

Momik z przejęcia zapomina zamknąć usta! Przecież oni całkiem swobodnie rozmawiają o krainie TAM! To bardzo ryzykowne, ale trzeba wykorzystać okazję i zapamiętać wszystko, a potem pobiec i zapisać w notesie. Oraz narysować, bo niektóre rzeczy najlepiej się rysuje. Rozmawiają o rozmaitych miejscach w krainie TAM, które Momik może narysować w swoim sekretnym atlasie. Na przykład zaznaczyć górę, o której opowiada pan Markus.



W krainie TAM była wielka góra, może nawet druga co do wielkości na świecie, którą goje nazywali Górą Żydowską. Była to naprawdę cudowna góra, panie Wasserman. Jeśli człowiek coś tam znalazł, ta rzecz znikwała po powrocie do domu. Straszny widok! *Schrecklich!* A drzewo nazbierane w lesie nie paliło się! Płonęło, ale się nie spalało! Tak opowiada pan Markus, a twarz wykrzywia mu się coraz to innym przerażającym grymasem. Pan Munin ciągnie dziadka za rękaw, jak dziecko matkę, i mówi: to jeszcze nic, panie Wasserman. U nas w Nowym Mieście był niejaki Weintraub, Szaja Weintraub. Młody chłopak. Dzieciak jeszcze. Ale co za umysł! Słyszano o nim nawet w samej Warszawie! Dostał specjalne stypendium od ministra oświaty. Wyobraźcie sobie, Polacy dali mu stypendium! Posłuchajcie teraz uważnie, mówi pan Munin, jak zawsze zagłębiając rękę w kieszeni (szuka skarbu, który każdy biedak może znaleźć, jak mówi Bela). Ten Weintraub, jeśli zapytać go na przykład w miesiącu tammuz: powiedz mi, Szaja, ile mamy z Bożą pomocą minut od dzisiaj do Pesach w przyszłym roku? Minut! Nie dni i nie tygodni! Od razu podawał poprawną odpowiedź, jak robot! Obyśmy, panie Wasserman, mieli takie dzieci. Chana Cytryn przestaje się na chwilę drapać i zadzierać sukienkę, żeby przeciągnąć paznokciami po gołych nogach, patrzy na Munina drwiąco i pyta, czy ten Weintraub miał głowę wydłużoną jak kolba kukurydzy? To ten, co potem wyjechał do Krakowa? Pan Munin wygląda, jakby się trochę zdenerwował, i mówi ciszej: tak, to ten chłopak, niezwykle umysł... A Chana Cytryn odrzuca głowę do tyłu i śmieje się ochryplym, jakby także podrapanym śmiechem, mówiąc: niech pan sobie wyobrazi, że on tam został spekulantem i upadł na samo dno. Geniusz! Znamy takich!

Mówią tak przez cały czas, nie przerywając, nie słuchając się nawzajem. Melodia wydaje się Momikowi znajoma, choć nie pamięta skąd. Nie zachowują żadnej ostrożności, wypowiadają wszystkie słowa z kraju TAM, najtajniejsze hasła, mówią okręg lwowski, powiat brzozowski, stary targ bydłęcy, wielki pożar w Kaliszu, stara synagoga, przechrzta, ruda Fajga Lea i czarna Fajga Lea i Golden Bergel, złota góra niedaleko miasteczka Zajdmana. Były tam zakopane sztabki złota, ukryte przez szwedzkiego króla, który uciekał przed rosyjską

armią. Momik przelyka ślinę, starając się wszystko zapamiętać, do takich rzeczy ma świetną pamięć, prawdziwy *alter kap*. Może jeszcze nie dorównuje Szai Weintraubowi, który jest jak robot, ale także Momik może wam powiedzieć, ile lekcji wuefu pozostało do letnich wakacji, ile godzin lekcyjnych w ogóle (także w minutach), nie mówiąc o innych rzeczach, które pamięta, i nie wspominając o przepowiedniach, bo Momik w istocie jest prawie jasnowidzem, czarodziejem. Potrafił na przykład zgadnąć, kiedy będzie niezapowiedziana kartkówka z matematyki. I rzeczywiście, tego dnia nauczycielka Eliza oznajmiła, wchodząc do klasy: włożcie, proszę, zeszyty do tornistrów i wyjmijcie kartki. Dzieci patrzyły na Momika z kompletnym oszołomieniem. To było akurat łatwe, bo trzy miesiące wcześniej, kiedy tata szedł na badanie serca do szpitala Bikur Cholim, też była taka kartkówka. Momik jest zawsze odrobinę zdenerwowany, kiedy tata idzie na badanie, i dlatego zapamiętał. Także następnym razem, kiedy tata poszedł na badanie, była niezapowiedziana kartkówka. Potem Momik potrafił już odgadnąć sam, że w poniedziałek, za cztery tygodnie, nauczycielka zrobi sprawdzian. Inne dzieci w ogóle nie potrafią tego skojarzyć. Dla nich cztery tygodnie to za długo, by cokolwiek obliczyć, i myślą, że Momik naprawdę czaruje. Ktoś, kto ma detektywistyczny notes i zapisuje wszystko, co się dzieje, wie także, że coś, co się wydarzyło raz, wydarzy się powtórnie. Ku zdumieniu dzieci Momik potrafi przewidzieć co do dnia, niczym prawdziwy detektyw, kiedy ulicą Malcha przejedzie kolumna pojazdów pancernych. Momik wie także (to przeraża odrobinę nawet jego samego), kiedy pojawią się dziwne, brzydkie krosty na twarzy nauczycielki Nety. To oczywiście łatwe, niemądre przepowiednie. Taki hokus-pokus, żeby dzieci trochę go szanowały, a nie tylko wyśmiewały. Prawdziwe, ważne przepowiednie są przeznaczone tylko i wyłącznie dla Momika. Nie można o nich opowiadać. Na przykład potajemne śledztwo na temat jego rodziców i wysiłki, aby ułożyć na nowo, niczym kawałki układanki, obraz kraju TAM, który znikł z powierzchni ziemi. Momik ma przy tym wiele pracy, a jest jedyną osobą na świecie, która może to zrobić. Tylko on może wybawić rodziców od lęku, milczenia, westchnień i klątwy. A przecież wszystko pogorszyło się jeszcze bardziej, odkąd zamieszkał z nimi dziadek, mimowolnie

przypominając to, co tak bardzo chcieli uciszyć i zapomnieć.

Oczywiście samego dziadka Anszela Momik też zamierza uratować, tylko jeszcze nie wie jak. Próbował kilku sposobów, ale na razie żaden nie zadziałał. Na początku, kiedy Momik siedział z dziadkiem przy obiedzie i go karmił, stukał co jakiś czas lekko w stół, niby przypadkiem, jak Rafael Blitz i Nachman Farkasz, planujący ucieczkę z więzienia. Sam Momik nie wiedział, czy te dźwięki w ogóle mają jakiegokolwiek znaczenie, ale czuł, albo raczej miał nadzieję, że ktoś, kto siedzi wewnątrz dziadka, odpowie mu. Nic się jednak nie wydarzyło. Potem Momik starał się rozszyfrować tajemny znak na ręku dziadka. Kiedyś próbował to zrobić ze znakami taty, Beli i cioci Itki, i także mu się nie udało. Cyfry doprowadzały go do szału, bo nie zostały napisane piórem i nie schodziły po zamoczeniu ani zwilżeniu śliną. Momik próbował wszystkiego, kiedy mył dziadkowi ręce, ale numer pozostał. Dlatego Momik zaczął myśleć, że może nie jest napisany na zewnątrz, lecz od wewnątrz. To upewniło go jeszcze bardziej, że może naprawdę w dziadku ktoś siedzi. Może także w innych ludziach. W ten sposób te osoby wołają o pomoc. Momik łamał sobie głowę, próbując odgadnąć, co to znaczy. Zapisał numer dziadka w zeszycie obok numerów taty, Beli i Itki. Przymierzał do nich wszystkie działania rachunkowe. Potem przypadkiem uczyli się w szkole o gematrii<sup>2</sup>. Momik oczywiście pojął to pierwszy. Po powrocie do domu od razu spróbował przełożyć cyfry na litery, ale to także się nie udało. Wyszły dziwaczne słowa, których nie rozumiał. Nie zniechęcił się jednak, bynajmniej. Pewnego razu, w środku nocy, przyszedł mu do głowy pomysł godny prawie Einsteina, bo przypomniał sobie, że istnieją rzeczy zwane sejfami. W sejfach bogaci ludzie chowają pieniądze i diamenty, a otwiera się je po przekręceniu siedmiu zamków zgodnie z pewnym sekretnym porządkiem. Możecie być pewni, że Momik spędził pół nocy na rachunkach i próbach.

---

<sup>2</sup> Homiletyczna reguła, pozwalająca kojarzyć słowa lub zwroty z innymi słowami lub zwrotami, których litery mają w sumie tę samą wartość liczbową. W języku hebrajskim nie ma odrębnego systemu cyfr – każda litera alfabetu odpowiada konkretnej liczbie (przyp. red.).

Następnego dnia po powrocie ze szkoły, kiedy przyprowadził dziadka do domu i dał mu obiad, usiadł naprzeciw i poważnym tonem zaczął wypowiadać rozmaite kombinacje cyfr, napisanych na ręku dziadka. Trochę tak, jak spikerzy w radiu podają numer, na który padła wygrana w wysokości trzydziestu tysięcy funtów. Miał silne przeczucie, że za chwilę dziadek pęknie na całej długości, jak żółty strąk grochu, na pół, i jakiś dziadek – pisklak, mały, dobry, kochający dzieci i roześmiany dziadek – wyskoczy na zewnątrz. Tak się jednak nie stało, Momik nagle poczuł smutek i dziwny żal. Wstał, podszedł do dziadka i mocno go objął. Poczuł, jaki staruszek jest rozpalony, gorący jak piec. Dziadek przestał mówić do siebie i milczał przez może pół minuty. Odprężył się i sprawiał wrażenie, że nasłuchuje jakiegoś głosu w środku. Ale oczywiście nie mógł na dłużej powstrzymać się od mówienia.

Momik zaczął działać zdecydowanie i metodycznie, jak tylko to on potrafi. Kiedy był z dziadkiem sam w domu, chodził za nim z zeszytem i długopisem, i z anielską cierpliwością zapisywał hebrajskim alfabetem mamrotanie dziadka. Oczywiście, nie zdołał zapisać wszystkiego, gdzie tam, tylko to, co wydawało mu się najważniejsze. Rozmaite dźwięki, które dziadek wydawał wielokrotnie. Już po kilku dniach Momik zauważył coś niezwykłego. Dziadek nie gadał jakichś głupstw, ale opowiadał komuś historię, co Momik podejrzewał od samego początku. Próbował sobie przypomnieć, co opowiadała babcia Henia o Anszelu (to było dawno temu, kiedy Momik jeszcze tak naprawdę nic nie rozumiał, nie był *alter kap*, i można mu było zdradzać szczegóły na temat kraju TAM). Przypomniało mu się tylko, jak babcia powiedziała kiedyś, że dziadek pisał także wiersze dla dorosłych, i że miał żonę i córkę. Obie zginęły tam u nich. Próbował także znaleźć wskazówki we fragmencie tekstu ze starej gazety, ale nie udało mu się niczego odgadnąć. Wtedy poszedł do szkolnej biblioteki i zapytał panią Gobrin, bibliotekarkę, czy ma książkę Anszela Wassermana. Spojrzała na niego znad okularów, mówiąc, że nigdy nie słyszała o takim pisarzu, a przecież zna wszystkich. Cóż, Momik nic na to nie odpowiedział, tylko uśmiechnął się w duchu.

Opowiedział o swoim odkryciu Beli (o tym, że dziadek opowiada historię), a ona popatrzyła na niego z wyrazem twarzy, którego Momik nie lubi, trochę z litością, i pokręciła głową. Rozpięła mu górny guzik u koszuli, mówiąc: sport, *jingle*. Trzeba trochę zadbać o ciało. Popatrz, jaki jesteś blady, słaby i chudziutki, istna kurza szyjka, nie wezmą cię do wojska. Momik nie ustąpił i powtórzył, że dziadek Anszel opowiada historię. Przecież także babcia Henia opowiadała rozmaite historie, kiedy jeszcze nie straciła głowy, a Momik nadal pamięta szczególny ton, słowa, które płynęły bez końca, jak napinały mu się mięśnie brzucha, pociły dłonie i miejsca pod kolanami. Dokładnie to samo czuje teraz, słuchając dziadka. Zrozumiał od razu, wyjaśnił Beli, że jego biedny dziadek jest zamknięty w swojej opowieści, jak wieśniak ze smutną twarzą i ustami otwartymi do krzyku, który mieszkał w małej szklanej kuli, w której po potrząśnięciu padał śnieg. Wuj Szymek i ciocia Itka przywieźli ją ze Szwajcarii w prezencie. Mama i tata postawili go na bufecie w salonie. Momik nie mógł znieść tych ust, aż w końcu przez przypadek stłukł kulę i uwolnił wieśniaka. Tymczasem Momik wciąż robi zapiski w swoim detektywistycznym zeszycie, który sprytnie zatytułował „wiedza obywatelska”. Notuje poplątane wypowiedzi dziadka. Po pewnym czasie zaczął odróżniać zrozumiałe słowa, jak na przykład „Herrneigel” i „sheherezada”. Nie było ich jednak w *Encyklopedii hebrajskiej*. Momik zapytał Belę jak gdyby nigdy nic, co to takiego sheherezada, a Bela ucieszyła się, że nie interesuje go już tylko i wyłącznie kraj TAM, poszła i zapytała Joszue. Po dwóch dniach odpowiedziała, że Sheherezada była arabską księżniczką z Bagdadu, co zabrzmiało dość dziwnie, bo każdy, kto czyta gazety, dobrze wie, że w Bagdadzie nie mieszka żadna księżniczka, tylko książę Kaşam, psiakrew, który też nas nienawidzi, jak wszyscy goje, niech ich piekło pochłonie. Ale Momik jest niestrudzony, ma anielską cierpliwość i wie, że to, co wydaje się dziś tajemnicze, przerażające i niepojęte, może stać się całkiem zrozumiałe, bo wszystko jest kwestią logiki, na wszystko da się znaleźć odpowiedź. Tak jest w rachunkach i w każdej innej rzeczy. Zanim odkryje prawdę, musi zachowywać się zwyczajnie, jak gdyby nigdy nic. Chodzić codziennie rano do szkoły, siedzieć w klasie przez wszystkie lekcje i nie obrażać się, kiedy dzieci mówią, że chodzi

jak wielbłąd, dziwacznie się kołysząc. One nic nie rozumieją. Nie obrażać się, kiedy wołają za nim Helen Keller, bo nosi okulary i aparat na zębach, przez który stara się rzadko odzywać. Nie ufać, kiedy mu się podlizują, żeby powiedział, kiedy będzie sprawdzian z matematyki. Trzeba też dotrzymać umowy z chuliganem Lejzerem, który zmusza Momika, żeby oddawał mu codziennie drugie śniadanie. Codziennie trzeba pokonać drogę ze szkoły do domu, a to można zrobić tylko za pomocą rachunków, bo od bramy do budki z totalizatorem jest dokładnie siedemset siedemdziesiąt siedem kroków, nie mniej i nie więcej. Tam siedzą po całych dniach rodzice, nie zamieniając ze sobą ani słowa. Widzą go w chwili, kiedy staje na końcu ulicy, z daleka. Mają jakiś zwierzęcy instynkt. Kiedy Momik się zbliża, mama wychodzi z kiosku i daje mu klucze. Mama Momika jest malutka i okragła, przypomina trochę kilową torbę mąki. Ślini palce i przygląda włosy Motla, syna kantora, żeby nie był taki rozczochrany. Zdejmuje mu też paproszki z policzka i rękawa. Momik doskonale wie, że nic tam nie ma, ale ona lubi go dotykać, a on, sierota, stoi cierpliwie i nieruchomo pod jej palcami, zagląda z niepokojem w oczy. Jeśli się okaże, że mama choruje na oczy, nie dadzą nam zezwolenia na wyjazd do Ameryki. Mama, która nie ma pojęcia, że jest teraz matką Moda, mówi pośpiesznym szeptem, że nie można już wytrzymać z jego ojcem, że nie może znieść jego wzdychania, jakby był dziewięćdziesięcioletnim starcem. Ogląda się szybciotko na nieruchomego ojca, który patrzy przed siebie jak gdyby nigdy nic i mówi Momikowi, że nie mył się już od tygodnia i ludzie nie przychodzą po losy przez jego zapach, od dwóch dni nie było nikogo poza trzema stałymi klientami. Po co totalizator miałby utrzymywać tu dłużej punkt, jeśli nie ma klientów. Skąd weźmiemy pieniądze na jedzenie, pytam się ciebie. Siedzi tu z nim całe dni, ściśnięta jak sardynki w puszcze, tylko dlatego, że nie można mu zaufać w sprawach finansowych, może jeszcze sprzedać kupon po niższej cenie, i żeby, nie daj Boże, nie dostał nagle ataku serca. Czemu Bóg mnie tak pokarał, i czemu nie zabije mnie od razu, zamiast na raty, po kawałeczku, pyta mama i milknie. Jej twarz wydaje się całkiem martwa i bierna. Ale wtedy podnosi na niego na chwilę oczy, które wydają się młode i piękne, nie ma w nich strachu

ani złości. Wprost przeciwnie, robi do Momika taki *hendlech*, żeby uśmiechnął się do niej, żeby był dla niej. kimś wyjątkowym. Oczy jej rozbłyskują, ale to trwa tylko króciutką chwilę i znowu staje się taka jak przedtem. Momik widzi, jak zmieniają się jej oczy, a Motl szepcze w duchu, głosem brata Eliasza, wystarczy mamó, no już, nie płacz, pan doktor powiedział, że nie wolno męczyć oczu płaczem, dla nas wszystkich, mamó. Momik przysięga sobie w duchu: tfu, niech umrze w ciemnym grobie Hitlera, jeśli nie zdobędzie dla niej zielonego kamienia, który leczy chore oczy, a może nawet inne świństwa. Dzięki tym myślom, których z całej siły się trzyma, Momik prawie nie słyszy chuliganów z siódmej klasy, stojących w bezpiecznej odległości od jego tęgiego taty i krzyczących: – Gruba świnia sprzedaje losy!

To ich stała piosenka, ale Momik i mama niczego nie słyszą, a Momik widzi, że także tata, ogromny smutny władca, wbija wzrok w swoje wielkie ręce. Nie, cała trójka w ogóle nie zauważa tych łobuzów, bo odbierają tylko słowa w swoim własnym sekretnym języku, w jidysz. Niedługo nawet przepiękna Marilyn Monroe będzie mogła z nimi rozmawiać, bo wyszła za mąż za Żyda, pana Millera, i codziennie uczy się trzech słów w jidysz, a wszyscy inni niech pękna, amen. Mama ciągle dotyka Momika tu i tam, a on w tym czasie powtarza w duchu siedem razy magiczne słowo „chajmowa”, które trzeba szepnąć gojom w przydrożnej gospodzie niedaleko granicy. Tak jest napisane w opowieści o Motlu, synu kantora. Kiedy usłyszą to słowo, natychmiast porzucają pracę i wykonują każde twoje polecenie. Zwłaszcza jeśli prosi się ich o pomoc w przejściu przez granicę do Ameryki, nie mówiąc o łatwiejszych rzeczach, na przykład załatwieniu chuliganów z siódmej klasy. Momik nigdy jeszcze nie nasłał na nich niewiernych tylko dlatego, że ma dobre serce.

- W lodówce jest kawałek kurczaka dla ciebie i dla niego – mówi mama.
- Uważaj na drobne kosteczki, żebyście ich, broń Boże, nie połknęli. Uważaj.
  - Dobrze.
  - Uważaj z gazem i od razu zgaś zapalną, żeby, broń Boże, nie wybuchł pożar.
  - Dobrze.

– Potem sprawdź, czy na pewno zakręciłeś gaz i kurek. To najważniejsze.

– Tak.

– Nie pij wody sodowej z lodówki. Wczoraj zobaczyłam, że w butelce ubyła co najmniej szklanka. Piłeś wodę, a przecież jest zima. I jak tylko wejdziesz do środka, zamknij drzwi na dwa zamki. Na górze i na dole. Jeden nie wystarczy.

– Dobrze.

– Przypilnuj, żeby położył się od razu po jedzeniu. Zęby nie wyszedł na deszcz. Nie ma czego szukać na zewnątrz. I tak wszyscy już gadają, że pozwalamy mu się kręcić po dworze jak psu.

– Dobrze.

Mama mówi do siebie jeszcze przez jakiś czas, obraca językiem, sprawdzając, czy nie zostało jej w ustach jakieś słowo, bo jasne, że jeśli o czymś zapomniała, nawet o jednej rzeczy, to wszystko, co powiedziała, jest na darmo. Obojgu wydaje się, że wszystko w porządku i że o niczym nie zapomniała. Dzięki temu Momikowi nie stanie się, broń Boże, nic złego. Wtedy mama może powiedzieć ostatnią rzecz:

– Nikomu nie otwieraj. Nie spodziewamy się nikogo. Wrócimy z tatą jak zawsze o siódmej, nie martw się. Odrób lekcje. Nie włączaj piecyka, nawet jeśli będzie zimno. Możesz się trochę pobawić, jak skończysz lekcje, ale nie szalej. Nie czytaj za dużo, zniszczysz sobie oczy. I nie kłóć się z nikim. Jeśli ktoś cię uderzy, od razu do nas przyjdź.

Jej głos stopniowo cichnie, oddala się.

– Pa, Szlojme, pożegnaj się z tatą. Pa, kochanie. Uważaj.

Tak samo na pewno żegnała się z nim po raz ostatni, kiedy był niemowlęciem w królewskiej kołysce. Jego ojciec, cesarz i dowódca wojsk, wezwał głównego łowczego królestwa i głosem zduszonym od łez rozkazał mu wziąć dziecko do lasu i zostawić je na łup drapieżnym ptakom, jak to się mówi. Była jakaś klątwa, która dotykała wszystkie nowo narodzone dzieci. Momik nie rozumiał tego do końca. Ale na szczęście myśliwy ulitował się i wychował go w sekrecie. Po wielu latach Momik wrócił do pałacu jako nieznany chłopiec i od



razu stał się doradcą króla i królowej, a także królewskim tłumaczem. W ten sposób mógł z bliska, w tajemnicy, strzec biednego króla i królowej, kiedy zostali wygnani z królestwa. Wiadomo, że to wszystko istnieje tylko w wyobraźni, Momik ma przecież ścisły i naukowy umysł, w czwartej klasie nikt nie dorównuje mu w matematyce. Ale chwilowo, zanim odkryje prawdę, musi pomagać sobie wyobraźnią i starać się wywnioskować coś z szeptów, które milkną w chwili, gdy wchodzi do pokoju. Tak było, kiedy rodzice siedzieli i rozmawiali z Itką i Szymkiem o odszkodowaniach. Tata nagle powiedział z gniewem: a ktoś taki jak ja, kto stracił tam dziecko. Dlatego Momik nie jest całkiem pewien, czy jego fantazje są do końca zmyślane. Czasami, kiedy jest mu wyjątkowo źle, stara się sam pocieszyć, i bardzo się wzrusza, wyobrażając sobie, jak wszyscy się ucieszą, kiedy w końcu wyzna, że jest tym dzieckiem, które oddali myśliwemu. Jak w historii o Józefie i jego braciach. Czasami jednak myśli coś całkiem innego. Wyobraża sobie, że zaginiony chłopczyk to jego brat bliźniak, bo Momik ma dojmujące uczucie, że kiedyś miał syjamskiego brata, z którym rozdzielono go po urodzeniu, jak w książce *To nie do wiary. Trzysta niewiarygodnych wydarzeń, które zadziwiły świat*. Może kiedyś się spotkają i będą mogli połączyć się z powrotem (jeśli zechcą).

Od budki z totalizatorem idzie dalej odmierzoną, naukową krokiem. Dzieci nazywają to wielbłądzim chodem, nie rozumiejąc, że Momik po prostu pilnuje kroków, idzie tajnymi przejściami, skrótami, które zna tylko on. Po drodze są drzewa, których trzeba niby przypadkiem dotknąć, bo Momik je lubi, a może chce pokazać komuś w środku, że o nim nie zapomniał. Potem przechodzi przez zapyziałe podwórko opuszczonej synagogi, w której mieszka stary Munin. Trzeba stamtąd szybko odejść z powodu Munina i dlatego, że święci męczennicy nie mają cierpliwości czekać, aż ktoś wyciągnie ich z ich męczeńskiej śmierci. Stamtąd pozostaje równo dziesięć kroków do bramy na podwórko i Momik widzi już swój dom, betonowe pudełko na czterech cienkich, chwiejnych nogach, z małą komórką na dole. Szczerze mówiąc, mieli dostać tylko jedno mieszkanie, nie dwa, ale zapisali babcię Henię jako oddzielną rodzinę. Tak poradził im wuj Szymek. Dzięki temu dostali cały dom. Dość się

wycierpieli TAM, przecież to prawdziwa *micwa* oszukać ten cholerny rząd. Na podwórzu rośnie wielka, stara sosna, która zasłania słońce. Już dwa razy tata wychodził z piłą, żeby ją ściąć, ale za każdym razem rezygnował i wracał chyłkiem do domu. Mama wściekała się, że żal mu drzewa, a nie dziecka, które rośnie po ciemku, bez witamin, przynoszonych przez słońce. Momik ma cały pokój tylko dla siebie. Na ścianie wisi podobizna naszego premiera Davida Ben Guriona i zdjęcie samolotów z szeroko rozpostartymi skrzydłami, jak nieustraszone stalowe ptaki, broniące nieba naszej ojczyzny. Szkoda, że rodzice nie pozwalają mu powiesić więcej obrazków, bo gwoździe niszczą ściany. Poza obrazkami, które naprawdę trochę niszczą ściany, pokój jest czysty i schludny, wszystko jest na swoim miejscu. Mogłby być wzorem dla innych dzieci, gdyby kiedyś przyszły w gości.

Cicha, wąska uliczka. Tylko sześć domów, i zawsze panuje tam spokój, poza chwilami, kiedy Chana Cytryn wymyśla Bogu. Także dom Momika jest stosunkowo cichy. Mama i tata nie mają wielu znajomych. W gruncie rzeczy nie mają w ogóle znajomych, oczywiście poza Belą. Mama chodzi do niej w sobotnie popołudnia, kiedy tata siedzi w podkoszulku przy oknie i wygląda. Oczywiście poza ciocią Itką i wujem Szymkiem, którzy przyjeżdżają raz do roku na cały tydzień i wtedy wszystko się zmienia. To inni ludzie. Są bardziej podobni do Beli. Nawet przez to, że Itka ma numer na rękę. Chodzą do restauracji, do teatru, i na koncerty. Śmieją się tak głośno, że mama odwraca głowę, szybko całuje palce i przykłada je sobie do czoła. Co ci szkodzi, Gizelo, trochę śmiechu, mówi Itka. Mama uśmiecha się niezbyt mądrze, jakby przyłapano ją na czymś, i mówi: – Nie, to dobrze. Śmiejcie się, śmiejcie, ja tylko tak, nie szkodzi. Itka i Szymek także grają w karty i chodzą na plażę, a Szymek nawet umie pływać. Kiedyś popłynęli luksusowym statkiem „Jerozolima” w miesięczny rejs, bo Szymek ma duży warsztat w Netanii i potrafi świetnie kombinować z podatkiem dochodowym, psiakrew. Jest tylko jeden mały problem: nie udaje im się mieć dzieci, bo Itka robiła TAM jakieś doświadczenia naukowe.

Rodzice Momika nigdzie nie wyjeżdżają, nawet na terenie Izraela. Tylko

raz do roku, krótko po święcie Pesach, jadą na kilka dni do małego pensjonatu w Tyberiadzie. To naprawdę trochę dziwne, bo w tym czasie decydują się nawet zwolnić Momika ze szkoły. Na wyjeździe są odrobinę inni. Nie bardzo, ale jednak. Na przykład siedzą w kawiarni i zamawiają napoje gazowane i ciastka dla całej trójki. Jednego dnia w trakcie takiego wyjazdu idą nad jezioro i siadają pod żółtą parasolką mamy, ubrani w lekkie, letnie ubrania. Nogi smarują wazeliną, żeby nie spaliły się na słońcu, a na nosie wszyscy mają małe, plastikowe noski. Momik nie ma kąpielówek, bo to głupota wydawać pieniądze na coś, czego używa się tylko raz do roku, i krótkie spodenki z powodzeniem wystarczą. Wolno mu pobiec po piasku do samej wody. Ale trzeba wam wiedzieć, że lepiej niż wszyscy rozrabiacy pływający w wodzie zna dokładną głębokość jeziora Genezaret, jego długość i szerokość, i jakie gatunki ryb w nim żyją. W ciągu wszystkich minionych lat, kiedy Momik z rodzicami jechał do Tyberiad, ciocia Itka przyjeżdżała sama do Jerozolimy, żeby zaopiekować się babcią Henią. Przywoziła z Netanii stopy polskich czasopism, a wracając do domu, zostawiała je Beli. Momik wycinał z nich (przede wszystkim z „Przeglądu”) zdjęcia polskiej reprezentacji w piłce nożnej, szczególnie podobizny światowej sławy bramkarza o kocich ruchach, Szymkowiaka. Ale kiedy pojawił się dziadek Anszel, Itka nie zgodziła się zostać z nim sama, bo jest trudny, i dlatego rodzice pojechali we dwoje, a z cicią i dziadkiem został Momik, bo tylko on potrafi nad nim zapanować.

Tego roku odkrył, że rodzice uciekają z domu i z miasta przed Dniem Holokaustu. Miał już dziewięć lat i trzy miesiące. Bela nazywała go „*miznik*<sup>3</sup> z naszej ulicy”, ale szczerze mówiąc, był tam jedynym dzieckiem. Tak było już, kiedy pojawił się po raz pierwszy w wózku, a sąsiadki pochylały się nad nim, mówiąc z rozrzewnieniem: Oj, pani Neumann, *was far a mieskajt*, co za brzydactwo. Te, które wiedziały jeszcze lepiej, co należy zrobić, odwracały głowy i spluwały trzy razy, żeby ochronić go przed tym, co mają w środku, na przykład przed chorobą. Minęło już dziewięć lat i trzy miesiące, odkąd Momik chodzi

---

<sup>3</sup> (jid.) Dziecko, które urodziło się na starość rodziców (przyp. tłum.)

uliczką i przez cały czas słyszy te życzenia i splunięcia. Momik zawsze był miły i grzeczny, bo świetnie wiedział, co ludzie myślą o innych dzieciach w okolicy, które były bezczelne i niegrzeczne. Można z pewnością uznać, że Momik czuł odpowiedzialność za dorosłych na swojej ulicy.

Trzeba także podkreślić, iż jego pełne imię brzmi: Szlomo Efraim Neumann. Gdyby można było, wybraliby mu sto imion. Babcia Henia robiła to ciągle. Nazywała go Mordechaj i Lejbele, Szepsele i Mendel, Anszel i Szolem, Chumek i Szlomo Chaim. Momik nauczył się w ten sposób rozpoznawać wszystkich. Mendla, który pojechał do Rosji, został komunistą, *nebuch*, i zaginął tam. Szolema jidyszystę, który popłynął statkiem do Ameryki i jego statek zatonął. Isera, który grał na skrzypcach i umarł u nazistów, niech będą przeklęci; malutkich Lejbele i Szepsele, dla których nie starczało miejsca przy stole, tak wielka była wtedy rodzina. Ojciec babci Heni mówił im, żeby jedli jak szlachcice, a oni mu wierzyli i jedli na podłodze pod stołem. Szlomo Chaima, który został mistrzem sportu, Anszela Efraima, który pisał piękne i smutne wiersze, a potem przeprowadził się do Warszawy i stał się, *nebuch*, pisarzem. Wszyscy, wszyscy zginęli u nazistów, niech będą przeklęci. Pewnego pogodnego dnia Niemcy wjechali do miasteczka i zebrali wszystkich ludzi na placu nad rzeką. Mali Lejbele i Szepsele zostali tak na zawsze, siedząc roześmiani pod stołem. Szlomo Chaim, który był sparaliżowany do połowy, ozdrowiał cudem i został siłaczem jak Samson. Występował, demonstrując napięte mięśnie na żydowskiej olimpiadzie. W tle płynęła rzeka Prut. Był też mały Anszel, który zawsze był najśłabszy i istniały obawy, że nie przeżyje zimy, więc kładli mu rozgrzane cegły pod łóżkiem, żeby nie zmarł. Siedzi sobie na fotografii w marynarskim ubranku, ze śmiesznym przedziałkiem na środku głowy, poważne oczy zakryte dużymi okularami. Ależ ty jesteś do niego podobny, klaskała babcia w ręce. Opowiadała Momikowi o nich dawno temu, kiedy jeszcze miała pamięć i wszyscy myśleli, że jest za mały, żeby zrozumieć. Ale kiedy mama zauważyła, że patrzy ze zrozumieniem, natychmiast zabroniła babci opowiadać. Schowała także albumy ze wspaniałymi zdjęciami (przypuszczalnie wywozła je do cioci Itki). Momik stara się ze wszystkich sił przypomnieć sobie szczegóły z

opowieści i fotografii. Każdy fragment od razu zapisuje. Nawet pozornie nieistotne drobiazgi. To wojna, a na wojnie człowiek chwytą się wszystkiego. Jak państwo Izrael w walce z Arabami, psia krew. To prawda, że Bela pomaga mu od czasu do czasu, ale niezbyt chętnie, najważniejsze rzeczy musi zdobywać sam. Nie gniewa się na nią, gdzie tam. Doskonale rozumie, że ktoś, kto był w kraju TAM, nie może dawać wyraźnych wskazówek, nie można wprost prosić go o pomoc. Mieli pewnie w tym królestwie rozmaite prawa, dotyczące zachowania tajemnicy. Momik nie zraża się trudnościami, ho po prostu nie ma wyjścia. Kiedyś wreszcie trzeba z tym skończyć. W ostatnich tygodniach w jego detektywistycznym notesie pojawiło się wiele nierównych linijek, bo pisze po omacku, w ciemności pod kocem. Nie zawsze wie, jak zapisać po hebrajsku słowa, które tata wykrzykuje co noc przez sen. W ogóle ostatnio ojciec trochę się uspokoił i prawie przestał mieć koszmary, ale odkąd pojawił się dziadek, wszystko wróciło. Te krzyki są naprawdę dziwne, ale od czego Momik ma głowę, logikę i Belę? Kiedy analizuje się je w świetle dnia, wszystko wydaje się o wiele prostsze i bardziej zrozumiałe. Było tak, że w tamtym królestwie wybuchła wojna, a tata był tam cesarzem oraz głównym dowódcą armii. Był żołnierzem komanda. Jednego z jego towarzyszy, może nawet adiutanta, nazywano Sonder. To dziwne imię, przypomina trochę wojenny pseudonim, jak w podziemnych organizacjach Ecel i Lechi. Wszyscy mieszkali w wielkim obozie o długiej nazwie. Tam odbywali apele i wyruszali na brawurowe wypadki, tak sekretne, że do dziś nie wolno o tym mówić i trzeba wszystkich uciszać. W pobliżu były także pociągi, ale to nie jest jasne. Może takie, o jakich opowiada jego sekretny przyjaciel Bili, atakowane przez dzikich Indian? Wszystko jest całkiem pomieszane. W królestwie ojca były oczywiście także wielkie i wspaniałe wyprawy, które nazywano akcjami, a czasami urządzano (pewnie na cześć wielkiego królestwa) pochody i marsze wojskowe, jak na Dzień Niepodległości. Prawa lewa, prawa lewa, krzyczy ojciec Momika przez sen, *links*, *rechts*, woła po niemiecku, czego Bela za nic nie chce Momikowi przetłumaczyć. Dopiero kiedy Momik prawie zaczął wrzeszczeć, powiedziała ze złością, że to znaczy prawa i lewa. To wszystko? – zdumiał się Momik. Dlaczego tak bardzo nie chciała tego

przetłumaczyć? Krzyki ojca budzą mamę, która zaczyna nim potrząsać i szturchać go z płaczem. Już dosyć, przestań Tuwia, sza, sztil, dziecko słyszy, wszystko się skończyło, w środku nocy zaczyna mi krzyczeć, niech go wszy zeżrą, obudzi mi dziecko. Tuwia! Potem słyhać charkot ojca, który budzi się przerażony. To dźwięk, jakby ktoś wstawił pod kran rozgrzaną patelnię. Momik w swoim pokoju może zamknąć zeszyt pod kocem. Słyszy jeszcze, jak ojciec oddycha głęboko w złożone ręce. Stara się odpowiedzieć dokładnie, niczym Mądry Amos, na bardzo interesujące pytanie: jeśli ręce ojca dotykają oczu, a oczy dalej widzą, może nie ma już śmierci na jego rękach?

Bo przecież także mamy dotyka czasem, kiedy siedzą obok siebie w budce totalizatora. Babcię Henię zawsze nosił do stołu i z powrotem do łóżka. A dziadka Anszela myje własnoręcznie w każdy czwartek, myjką, w wannie, bo mama się brzydzi.

Tak, to prawda, wszyscy oni także przybyli z kraju TAM i może tata im już nie może zaszkodzić. Trzeba zwrócić uwagę na jeden bardzo ważny szczegół. Kiedy sprzedaje kupony totolotka, na każdym palcu ma mały gumowy kapturek!

Nie wspominając o najbardziej naukowym dowodzie. Momik pamięta, jaki marny los spotkał pijawki pani Mirandy Bardogo, która przychodziła do taty, gdy nagle dostał egzemy na palcach. Bardzo długo Momik obraca w głowie wszystkie możliwości, jak każdy poważny naukowiec. Jakie to uczucie? Może jak wrzątek w czajniku? Bo szczerze mówiąc, ktoś, kto tak zwyczajnie patrzy, uzna, że to całkiem zwyczajne ręce. Jak papier ścierny? Albo kolce jeża? Zasypia z trudem. Od pewnego czasu, odkąd zamieszkał z nimi dziadek Anszel, Momik nie sypia po nocach. Jak suchy lód? Jak zastrzyk?

Rano przed śniadaniem (rodzice wychodzą zawsze pierwsi) Momik zapisuje szybciotko jeszcze jedną wersję wydarzeń: „W brawurowym ataku starli się dzielni wojownicy z obozu z dzikimi czerwonoskórymi, którzy napadli na pociąg pocztowy. Cesarz galopował na czele na swym wiernym rumaku, strzelając na wszystkie strony. Wyglądał wspaniale. Sonder z jego komanda ubezpieczał go od tyłu. Potężny cesarz zawołał do niego i jego śmiały okrzyk

uniósł się nad całą zlodowaciałą krainą”. Momik przerwał i przeczytał to, co napisał. Lepiej niż kiedykolwiek. Ale nie wystarczy. Wciąż brakuje wielu szczegółów. Często ma wrażenie, że brakuje najważniejszego. Co to może być? Jego dzieło powinno mieć więcej potęgi i biblijnej doniosłości, jak urywek opowiadania dziadka Anszela. Jak to zrobić? Musi być śmielszy w wyobraźni. Bo to, co się tam działo, musiało być zupełnie wyjątkowe, skoro wszyscy starają się milczeć. Momik zaczął wykorzystywać wiadomości ze szkoły o Orde Wingate i nocnych szwadronach oraz samolotach Super Mystère, które dostaniemy *mirceszen* od naszych przyjaciół i odwiecznych sprzymierzeńców, Francuzów. Postanowił nawet wykorzystać pierwszy izraelski reaktor jądrowy, który powstaje właśnie na piaskach Nachal Rubin, a w przyszłym tygodniu ukaże się w „Jedijot Aharonot” artykuł sensa... jakiś tam z pierwszymi zdjęciami „basenu”, w którym robią to coś atomowego! Momik czuł, że zbliża się do rozwiązania zagadki. Pamiętał, co powtarzał Sherlock Holmes w historii o tańczących sylwetkach: to, co człowiek wymyśli, inny człowiek może rozwiązać. Stąd Momik zawsze wiedział, że mu się uda. Walczył dla swoich rodziców, a także dla innych ludzi. Nic o tym nie wiedzieli. Jak mogli? Przecież wojuje jak partyzant, potajemnie. Całkiem sam. Tylko po to, aby zdołali w końcu trochę zapomnieć, odsapnąć, choć na moment przestać się bać. Znalazł sposób. Co prawda to dość niebezpieczne, ale Momik się nie boi. To znaczy boi się, ale nie ma wyjścia. Mówiąc o nazistowskiej bestii, Bela niechcący dostarczyła mu najważniejszej wskazówki. To było dawno temu, i niewiele wtedy zrozumiał, ale pojął wszystko dokładnie w dniu, w którym pojawił się dziadek; kiedy zszedł do piwnicy odszukać świętą gazetę z opowiadaniem. Chyba właśnie w tamtej chwili Momik postanowił złapać tę bestię, żeby ją oswoić i odmienić, żeby przestała dręczyć ludzi i zdradziła w końcu, co stało się w kraju TAM, co im wszystkim zrobiła. Mija już prawie miesiąc od przyjazdu dziadka, a Momik wciąż żyje tą sprawą. I w najgłębszej tajemnicy, w małej ciemnej komórce pod domem, hoduje bestię nazistowską.

Tę zimę zapamiętano na długo. Nie przez deszcz, ponieważ na początku

prawie nie padał, ale z powodu wiatru. Zima pięćdziesiątego dziewiątego – mówili staruszkowie w Bejt Mazmil, i nie musieli nawet kończyć. Tata Momika w żółtych kalesonach wystających spod spodni chodził wieczorami po domu. Do uszu wetknął kulki waty. Dziurki od klucza zatykał kawałkami gazet, żeby powstrzymać wiatr, wdzierający się nawet tamtędy. Nocami mama Momika szła na maszynie, którą dostała od Itki i Szymka. Dzięki Beli różne panie przynosiły mamie ubrania do naprawy, stare prześcieradła do łatania. W ten sposób dorabiała parę groszy. Była to niezbyt nowa maszyna marki Singer. Kiedy mama szła, koło obracało się ze skrzypieniem. Momikowi wydawało się, że mama zawiaduje pogodą na dworze. Tatę bardzo denerwował hałas maszyny, ale nie mógł nic powiedzieć, bo także potrzebował grosza, a poza tym nie chciał zaczynać i prowokować mamy. Chodził więc tylko z kąta w kąt, wzdychał, włączał i wyłączał radio, i ciągle powtarzał, że ta pogoda, i w ogóle wszystko, to wina tego cholernego rządu. On zawsze głosował na partie religijne nie dlatego, żeby był religijny, bynajmniej, ale nienawidził Ben Guriona, bo był u władzy, wszystkich syjonistów, bo byli w opozycji, oraz Ja'ari, bo był z komunistów, psiakrew. Powtarzał, że odkąd partie religijne odeszły z koalicji, nadeszła zima, wiatry i susza. To wszystko znak, że Panu Bogu nie podoba się, co się tutaj dzieje. Tak mówił tata, zerkając odważnie, a zarazem ostrożnie na mamę, która ani na chwilę nie przerywała szycia i tylko mówiła na głos do siebie: *ojch mir a politikaker*.

Momik niepokoił się, czując, że porywiste wiatry mieszają w głowach ludziom, z którymi niedawno się zaprzyjaźnił. Odnosił takie wrażenie, choć nie wierzył w podobne rzeczy. Wszystko wydawało mu się dziwne i trochę przerażające. Chociażby Chana Cytryn. Odebrała kolejną wypłatę za szwalnię, którą rodzina krawca miała w Gdańsku, i zamiast kupić jedzenie albo podzeliwać stare buty, natychmiast wydała wszystko na szmaty. A niech mnie pan Bóg uchwata, co za garderobę sprawiła sobie ta kobieta, mówi mama do Beli, z oczami płonącymi ze złości. Jak paraduje ta dziwka po ulicy w obie strony, niczym statek „Jerozolima”. Czego ona tu szuka? Bela, która ma złote serce i nawet Chanie daje zawsze za darmo szklanekę herbaty, mówi ze



śmiechem: Co ci to przeszkadza, Gizelo? Urodziłaś ją, że tak się przejmujesz? Nie wiesz, że kobiety kupują futra dla ciepła i żeby sąsiadki udusiły się ze złości? Momik słucha i wie, że mama i Bela w ogóle nie rozumieją, o co chodzi, bo Chana chce być piękna nie po to, aby irytować mamę, a nawet nie dla swoich klientów, ale ma jakiś nowy pomysł. Tylko on o tym wie, bo cały czas słucha rozmów, kiedy Chana siedzi na ławce ze staruszkami i się drapie. Ale nie tylko pani Cytryn zaczęła się dziwacznie zachowywać. Pan Munin stał się chyba jeszcze dziwniejszy. Prawdę mówiąc, to się zaczęło jeszcze przed przybyciem dziadka, ostatnio jednak całkiem go to pochłonęło. A było to tak: na początku roku pan Munin usłyszał, że Rosjanie wystrzelili na Księżyc Łunika I i natychmiast zainteresował się kosmosem. Od tamtej pory całkiem stracił głowę na punkcie lotów w kosmos i praktycznie zmuszał Momika, żeby opowiadał mu wszystko o sputnikach. Obiecuje mu nawet dwa grosze za każdym razem, kiedy Momik słucha dla niego audycji „Co nowego w nauce” w sobotę rano i opowiada wszystko o naszym przyjacielu. Tak nazywał Łunika I, jakby znali się osobiście. W każdą sobotę rano Momik wychodził więc z domu i przez dziurę w siatce gramolił się na dziedziniec opustoszałej synagogi, gdzie pan Munin jest stróżem. Opowiadał mu wszystko, co usłyszał, a Munin wręczał mu karteczkę, którą przygotował jeszcze w piątek. Było na niej napisane: „okazicielowi poniższego dokumentu przekażę 2 (słownie: dwa) grosze w sobotę wieczorem”. System ten działa już od kilku tygodni bez przeszkód. Kiedy Momik przynosi szczególnie pomyślne wiadomości o kosmosie i najnowszych odkryciach naukowych, Munin jest uszczęśliwiony. Nachyla się i rysuje patykiem na ziemi kulisty księżyc, a obok niego dziewięć satelitów, których nazwy zna na pamięć. Rysuje też z dumą posiadacza swego przyjaciela, Łunika I, który przeleciał koło Księżyca i stał się dziesiątym satelitą. Munin jest bardzo uczony. Opowiada Momikowi o raketach, sile przyspieszenia, i o pewnym uczonym, Celiukowie, do którego napisał kiedyś list z pomysłem, mogącym przynieść mu Nobla. Ale wybuchła wojna i wszystko przepadło. Teraz nie czas, aby o tym rozmawiać, lecz w odpowiednim momencie wszyscy się dowiedzą, kim jest Munin. Będą mogli mu pozazdrościć, tylko pozazdrościć, bo nigdy nie zaznali dobrego życia,

prawdziwego życia, szczęścia. Tak, nie wstydzi się powiedzieć tego słowa, szczęście. Przecież musi gdzieś być, prawda? Co ja ci mieszam w głowie? Kreślił linie na ziemi, perorując. Momik stał przed nim, nic nie rozumiejąc. Widział malutką łysinę, przykrytą brudną czarną jarmułką, oprawki dwóch par okularów związanych razem żółtą gumką i długie białe bokobrody. Munin prawie zawsze trzymał w ustach zgaszonego papierosa. Roztaczał dziwny intensywny zapach, niepodobny do żadnego innego, trochę może przypominający woń chleba świętojańskiego. Momik nawet lubi stać blisko Munina i wdychać jego zapach, a Muninowi to nie przeszkadza. Pewnego razu, kiedy Amerykanie posłali sondę Pioneer 4 i Momik przyszedł mu to opowiedzieć jeszcze przed szkołą, zastał go siedzącego jak zawsze na starym fotelu samochodowym i wygrzewającego się w słońcu jak kot. Obok na gazecie leżały rozrzucone kawałki spleśniałego chleba dla ptaków, które zawsze karmi. Znają go dobrze i latają za nim wszędzie. Pan Munin czytał jakąś świętą księgę z wizerunkiem nagiej prorokini na okładce. Momikowi wydawało się, że widział tę książkę w sklepiku Lipszyca w centrum handlowym, ale na pewno się pomylił, bo pan Munin nie interesuje się podobnymi rzeczami. Przecież Momik doskonale wie, jakich on dziewczyn szuka w ogłoszeniach. Munin szybko schował książkę i zagadnął: No jak tam, Momo, jakie wieści przynoszą mi twe usta? (Zawsze mówi językiem mędrców Talmudu). Momik opowiedział mu o Pioneerze 4. Munin zerwał się i uniósł go wysoko do góry, przyciskając do siebie z całej siły, tak że Momik poczuł kłujące bokobrody, szorstki materiał płaszcza i zapach, i odtńczył z nim na środku podwórza dziwaczny i niepokojący taniec. Nad nimi wirowało niebo, czubki drzew i słońce. Momik obawiał się, że ktoś ich tak razem zobaczy. Za plecami Munina powiewały poły czarnego płaszcza. Dopiero kiedy całkiem opadł z sił, postawił Momika na ziemi. Natychmiast wyciągnął z kieszeni starą pogniecioną karteczkę, rozejrzał się, aby sprawdzić, czy nikt ich nie podgląda, i skinął palcem. Momik, któremu wciąż okropnie kręciło się w głowie, podszedł i zobaczył, że to coś w rodzaju mapy z nazwami w nieznanym języku i wiele małych gwiazd Dawida, narysowanych w rozmaitych miejscach. Munin podszedł bliżej i szepnął mu prosto w twarz: Pan zbawi nas w

mgnieniu oka, synowie światła ulecą wysoko. Machnął przy tym długą pomarszczoną ręką i syknął „Pif!!!!” tak głośno i gwałtownie, że Momik, któremu cały czas trochę kręciło się w głowie, odskoczył, potknął się o kamień i upadł. W tym samym momencie ujrzał na własne oczy jak stary, śmierzący i roześmiany Munin ulatuje do nieba, unoszony porywistym podmuchem wiatru niczym prorok Eliasz w rydwanie. Momik, wiedząc, że nigdy, ale to przenigdy tego nie zapomni, zrozumiał wówczas, że Munin jest przebrany czarodziejem, jak sześćdziesięciu czterech Sprawiedliwych, Podobnie jak Chana Cytryn nie jest zwyczajną kobietą, ale czarodziejka, a dziadek takim jakby prorokiem wspan, który ciągle opowiada o rzeczach z przeszłości. Może także Maks i Moryc oraz pan Markus odgrywają ukryte role, i żaden z nich nie znalazł się tu przypadkiem. Nie, mają pomóc Momikowi, bo zanim zaczął walczyć o rodziców i hodować bestię, właściwie nie zauważał ich obecności. Może to trochę przesada, ale nigdy nie rozmawiał z nikim oprócz Munina i starał się omijać ich z daleka. A teraz przebywa z nimi przez cały czas albo rozmyśla o nich, o tym, co opowiadają i o kraju TAM. Jakiż był głupi, że nie zrozumiał tego wcześniej, a szczerze mówiąc nawet trochę nimi pogardzał z powodu ich wyglądu i zapachu. Momik miał teraz tylko jedną nadzieję: że zdoła mu przekazać sekretne wskazówki, a on zdoła je rozszyfrować, zanim ten wściekły wiatr coś im wszystkim zrobi.

Kiedy Momik z dziadkiem wracają w południe do domu, muszą się pochylić, idąc pod wiatr tak, że prawie nie widzą drogi i z lękiem nasłuchują rozmaitych dziwnych głosów w rozmaitych językach. Momik jest pewien, że te głosy ukrywały się do tej pory w korze drzew i w szparach między płytami chodnika. Widocznie czekały tam bardzo długo, aż wiatr wywiał je na zewnątrz. Momik wciska z całej siły ręce do kieszeni i żałuje, że latem nie jadł więcej, żeby stać się trochę cięższy. Dziadek brnie pod wiatr, pomagając sobie bezładnym wymachiwaniem rękami, tylko czasem nagle zapomina, dokąd w ogóle idzie, zatrzymuje się i rozgląda wokół, wyciąga rękę jak malutkie dziecko i czeka, aż ktoś go poprowadzi. To dość niebezpieczne, bo w takiej chwili wiatr może wykorzystać okazję i porwać go. Ale Momik ma niezwykle szybki refleks i zawsze

pierwszy chwyta dziadka. Mocno ściska go za rękę, niezwykle miękką od wewnętrznej strony, i idą dalej razem. Wtedy oczywiście wiatr wpada w złość i atakuje ich od dolin Ejn Kerem i Malcha, miotając wilgotne płachty gazet i zerwane z murów stare plakaty wyborcze. Wichura zawodzi niczym stado szakali, doprowadzając do szału cyprysy, które zaczynają się wyginać i tańczyć na wszystkie strony, jakby ktoś je łaskotał. Droga do domu trwa bardzo długo. Mo-mik otwiera oba zamki i zaraz zamyka drzwi z powrotem, także na dole. Dopiero wtedy wiatr przestaje świszczec im w uszach i można cokolwiek usłyszeć.

Momik zrzuca tornister i zdejmuje dziadkowi wielki stary płaszcz, który należał kiedyś do taty. Szybko go obwachuje, sadza przy stole i idzie podgrzać obiad. Babci Heni trzeba było zanosic obiad do pokoju, bo nie wstawala z łóżka, ale dziadek je z nim. To mile, całkiem jakby miał prawdziwego dziadka, z którym można porozmawiać i tak dalej.

Momik bardzo kochał babcię Henię. Nawet teraz na myśl o niej coś kłuje go w piersiach. Pomyśleć, jak bardzo cierpiała przed śmiercią. Babcia Henia miała szczególny język, który powstał, kiedy miała już siedemdziesiąt dziewięć lat, gdy zapomniała polskiego, jidysz i tej odrobiny hebrajskiego, której się tu nauczyła. Po powrocie ze szkoły Momik od razu biegł do babci, która bardzo się wzruszała, cała czerwieniała i mówiła do niego w swoim własnym języku. Przynosił jej obiad, siadał i przyglądał się, jak je. Dziobała jedzenie niczym ptaszek. Na pomarszczonej twarzy miała zawsze taki sam odległy uśmiech i z tym uśmiechem zwracała się do niego. Na początku gniewała się na niego, czyli na Mendla, za to, że opuścił rodzinę i wyjechał pracować jak nędzarz do miejsca zwanego Borysław. Stamtąd pojechał do Rosji i przepadł. Jak można zrobić coś podobnego, złamać serce matce i braciom. Potem zwracała się do niego jako do Szolema i prosiła, aby w Ameryce, gdzie złoto leży na ulicach, nie zapomniał, że jest Żydem, żeby nakładał tefilin i codziennie się modlił. Potem zwracała się do Isera z prośbą, by zagrał jej na skrzypcach *Sarele*. Zamykała oczy i było widać, że naprawdę słyszy dźwięki skrzypiec. Momik patrzył na nią i nie śmiał przerywać. To było ładniejsze i bardziej wzruszające niż w książce czy na filmie.

Czasami aż miał łzy w oczach. Za każdym razem rodzice pytali, po co przesiaduje w pokoju babci tak długo i słucha rzeczy w języku, którego nikt nie rozumie. Momik odpowiadał, że on rozumie wszystko. To fakt. Momik ma taki dar. Rozumie języki, których nie rozumie nikt inny. Nawet jeśli ktoś milczy albo przez całe życie wypowiada tylko dwa słowa, jak Gincburg, który powtarza „kim jestem kim jestem”. Momik wie, że Gincburg stracił pamięć i teraz szuka siebie wszędzie, nawet w kubłach na śmieci. Chciał mu zaproponować (spędzają razem na ławce sporo czasu), że napisze do audycji poszukiwania krewnych, może ktoś go rozpozna i przypomni mu, kim jest, gdzie się zagubił. Tak, Momik wszystko potrafi przetłumaczyć. Jest królewskim tłumaczem. Umie przetłumaczyć nawet coś z niczego. Bo wie, że nie ma czegoś takiego jak nic. Zawsze jest coś. Tak jest z dziadkiem Anszelem. On też je jak ptaszek, dziobie i połyka, ale jakby z większym lękiem niż babcia. Na pewno musieli w kraju TAM szybko połykać jedzenie, jak Żydzi w Egipcie w czasie wieczerzy paschalnej. Nawet opowieść dziadka udaje się w końcu Momikowi pojąć. Teraz już wie, że dziadek wciąż opowiada swoją historię człowiekowi albo chłopcu imieniem Herrneigel. To słowo powtarza bez końca na różne sposoby. Czasami ze złością, czasami przymilnie, czasami ze smutkiem. Trzy dni temu Momik słuchał uważnie dziadka, który mówił sam do siebie w pokoju i usłyszał wyraźnie słowo „Fried”. To słowo Momik przecież doskonale zapamiętał ze świętej gazety i ręce zaczęły drżeć mu z przejęcia. Natychmiast jednak powiedział sobie: gdzie tam, przecież to tylko stare opowiadania. Po co dziadek miałby je ciągle powtarzać z takim przejęciem? Postanowił jednak spróbować. Przyproceedziwszy dziadka do domu z zielonej ławeczki i posadziwszy przy stole, powiedział znienacka: Fried! Akcja! Auto! Harotian! Prawdę mówiąc, to było trochę niebezpieczne. Przez chwilę obawiał się, że dziadek zrobi mu coś złego. Dziadek popatrzył na niego całkiem wylękniony, ale nie zrobił nic. Milczał przez blisko minutę, a potem powiedział cicho i zupełnie wyraźnie: Herneigel, wskazując powykręcany kciukiem do tyłu przez ramię, jakby naprawdę stał tam jakiś mały czy duży Herneigel. Potem dodał przerażającym szeptem: Nazikaput. Nagle uśmiechnął się serdecznie, uśmiechem człowieka rozumiejącego wszystko, i pochylił nad

talerzem, zbliżając twarz do twarzy Momika. Wymówił słowo „Kazik” tak czule, jakby dawał je w podarunku. Pokazał gestem postać małego człowieczka, karła albo chłopczyka, pokołysał go przez chwilę w objęciach, jak tuli się malutkie dziecko. Przez cały czas uśmiechał się do Momika serdecznie. Mo-mik nagle zauważył, jak bardzo dziadek Anszel jest podobny do babci Heni. To nic dziwnego, przecież jest jej bratem. Wtedy jednak zdarzyło się to, co kiedyś. Twarz dziadka zamknęła się w jednej chwili, jakby ten ktoś siedzący w środku kazał mu natychmiast przestać i wracać, bo nie ma czasu. Znowu wszystko zaczęło się od nowa; mamrotanie i mruczenie irytujących melodii, wymachiwanie rękami i biała piana, spływająca z kącików ust w trakcie mówienia. Momik oparł się na krześle bardzo z siebie dumny, że wdarł się, jak w akcji komanda, prosto do opowieści dziadka, niczym jakiś Meir Har Cijon *alter kap*. Chociaż dowiedział się bardzo niewiele, był przekonany, że dziadek Anszel i ten Herrneigel są ściśle związani z wojną, którą Momik prowadzi od pewnego czasu, wojną z bestią nazistowską. Być może nawet dziadek, chociaż pochodzi STAMTAD, nie może przestać walczyć. Najwyraźniej jest jedyną zdolną do tego osobą, i dlatego łączy go z Momikiem sekretne przymierze.

Momik przyglądał się dziadkowi z podziwem. Dziadek przypominał mu starożytnego proroka, Izajasza albo Mojżesza. Nagle zrozumiał, że wszystkie plany na przyszłość, to, co chciał robić, kiedy dorośnie, są jedną wielką pomyłką. Tylko jedną rzecz warto robić: być pisarzem, jak dziadek. Ta myśl napełniła go powietrzem i Momik o mało nie uniósł się do góry jak balon. Pobiegnął szybko do ubikacji, ale okazało się, że nie chce mu się siusiu, że tym razem to coś innego. Pobiegnął zdezorientowany do swojego pokoju i wyciągnął ze skrytki tajny zeszyt, który służy mu także za dziennik i notes detektywistyczny, oraz naukowy zbiór faktów na temat kraju TAM. Znajduje się w nim spis cesarzy i królów, wojowników i jidyszystów, żydowskich sportowców, znaczki i banknoty, a także dokładne rysunki zwierząt i roślin żyjących w tym kraju. Zapisał wielkimi literami: „ważna decyzja!!!”. Pod spodem zanotował swoje postanowienie. Popatrzył na litery i zobaczył, jakie są ładne, o wiele ładniejsze od tego, co pisze zazwyczaj. Uznał, że powinien znaleźć także odświętne

zakończenie, odpowiednie do wielkiej decyzji. Uznał, że napisze: *chazak chazak we – nitchazek*, jak na zakończenie księgi w świętej Torze, ale ręka postanowiła za niego, wdarła się nagle na kartkę i zapisała starodawne zawołanie wojenne Nechamii Ben Awrahama „Nasi zwyciężą albo zginą!”. Napisawszy te słowa, Momik poczuł się bardzo dojrzały i odpowiedzialny. Wolno i dostojnie wrócił do kuchni i delikatnie otarł dziadkowi brodę z tłuszczu, zaprowadził go do pokoju, pomógł mu się rozebrać, a potem wrócił do kuchni, mówiąc do siebie: czas ucieka, czas ucieka.

Przede wszystkim włączył duże radio, na którego szklanej płytce widać wszystkie stolice świata, i poczekał, aż zielone oko jasno rozbłyśnie. Zorientował się, że stracił początek audycji poszukiwania krewnych, i miał nadzieję, że nie wyczytano do tej pory jego nazwisk. Zdjął z lodówki kartkę, na której tata zapisał kilka nazwisk dużymi dzieciennymi literami, i poruszał wargami, kiedy spikerka w radiu czytała: Ruchla, córka Poli i Awrahama Zeligsonów z Przemyśla, poszukuje młodszej siostry Lei, zamieszkałej w Warszawie w latach... Eliahu Frumkin, syn Jochewed i Herszla Frumkinów ze Starego, poszukuje żony Eliszewy z domu Eichler i dwóch synów, Jakowa i Meira... Momik w ogóle nie musi patrzeć na kartkę. Zna wszystkie imiona na pamięć. Pani Ester Neumann z domu Szapiro, syn Mordechaj Neumann, Cwi Hirsch Neumann i Sara – Bela Neumann. Wielu zagubionych Neumannów wędruje po kraju TAM. Momik już nie bardzo słucha radia, ale czyta sam głosem spikerki, smutnym, monotonnym, trochę zmęczonym głosem, który słyszy zawsze przy obiedzie, odkąd nauczył się czytać i rodzice dali mu kartkę z imionami. Icchak Ben Awraham Neumann i Arie Lejb Neumann, Gittel bat Herszel Neumann, sami Neumannowie. Wszyscy to krewni taty, bliscy, ale bardzo, bardzo dalecy, jak tłumaczono mu wiele razy. Momik rysuje palcem kółka na kartce zatłuszczonej od tysięcy obiadów, a w każdym kółku zamyka się jedno imię. Nagle przypomina sobie, że dokładnie ta sama nuta rozbrzmiewa w rozmowach staruszków na zielonej ławce, gdy snują opowieści z kraju TAM.

Już jest wpół do drugiej i trzeba się śpieszyć. Momik wyciera dokładnie stół i zmywa naczynia swoją specjalną metodą (myje płynem i spłukuje, a potem

jeszcze raz myje i spłukuje), aż talerze i sztucce błyszczą ku jego satysfakcji, bo wiedzą doskonale, że Momik nie cierpi widoku brudnych naczyń. Potem wkłada do brązowej torebki nietkniętą ćwiartkę kurczaka i sprawdza w lodówce, co mógłby zabrać dla bestii. Przesławia stare i nowe buteleczki z lekarstwami, słoiki z peklowaną wieprzowiną i półmisek z nóżkami w galarecie z soboty. Myszkuje wśród garnków z jedzeniem na kolację, najważniejszy posiłek dnia, i po raz setny zagląda za butelkę z winem. Dostali je kilka lat temu od pewnego człowieka, który wygrał w totolotka tysiąc funtów. To najwyższa wygrana, jaka padła w ich kolekturze. Momik napisał na kawałku tektury dużymi literami: „W tym punkcie padła wygrana w wysokości tysiąca funtów!!!”. Ten ktoś okazał się przyzwoitym człowiekiem i przyszedł im podziękować. Przyniósł też butelkę wina, co było bardzo ładne z jego strony, ale kto u nas pije takie świństwa, a z drugiej strony nieładnie wyrzucić. Momik wyjął słoik jogurtu (powie mamie, że zjadł), ogórek i jajko. Potem przystanął pod drzwiami pokoju dziadka, nasłuchując. Usłyszawszy, jak staruszek mamrocze przez sen, wyszedł na dwór, zamykając drzwi także na dolny zamek. Zbiegł po schodach i znalazł się pod domem, w porywistym wietrze. Z całej siły pchnął ciężkie skrzypiące drzwi, zaczerpnął tchu i wszedł do komórki. Natychmiast poczuł krople zimnego potu na czole i plecach. Stał pod ścianą, z pięścią w ustach, żeby nie krzyknąć. Uciekaj, uciekaj, wołał do siebie w duchu. Uciekaj, bo cię na pewno pożre. Ale nie może uciec, musi zostać, przecież prowadzi wojnę. Bestia roztacza gęsty smród, zapach pleśni i wilgoci, zwierząt i zwierzęcych odchodów. W ciemności rozlegają się przerażające odgłosy, szepty i warkoty, skrobanie wielkich szponów o ściany klatki i szelest powoli rozkładanych skrzydeł. Dziób otwiera się i zamyka z trzaskiem. Uciekaj, uciekaj. Ale Momik zostaje. Przez maleńkie okienko, zakryte tekturą, przedostaje się odrobina światła. Oczy powoli przywykają do ciemności. Momik z trudem dostrzega kilka zamkniętych drewnianych skrzynek, ustawionych naprzeciwko wejścia, na podłodze pod ścianą. Prawdę mówiąc, nie wszystkie są pełne. Polowanie wciąż trwa.

Na razie nie może narzekać. Zdobycze są obiecujące. Ma dużego jeża, znalezionego na podwórku, jeża o czarnej szpiczastej mordce, smutnej jak u



małego człowieczka. Jest żółw, którego Momik znalazł w dolinie Ejn Kerem, pogrążonego w zimowym śnie. Ropucha, która chciała przejść przez ulicę, a Momik ją uratował i przyniósł tutaj, i jaszczurka, która po schwytaniu odrzuciła ogon. Momik nie mógł się powstrzymać, zawinał ogon w kawałek papieru (to było obrzydliwe) i włożył go do oddzielnej klatki. Na karteczce napisał: „Nieznane zwierzę. Może być niebezpieczne”. Potem jednak poczuł wyrzuty sumienia i dopisał, bo wydawało mu się to bardziej uczciwe: „Może to być niebezpieczny ogon”. Naprawdę trudno stwierdzić. Ma też małego kotka, który chyba oszalał trochę przez te ciemności, i ma także – jako ukoronowanie kolekcji, jak to się mówi – młodego kruka, który wypadł ze swego gniazda na sośnie akurat na ich balkonik. Rodzice kruka podejrzewają Momika i pikują na niego z góry, kiedy idzie przez podwórko, a kilka tygodni temu nawet dziobnęli go w plecy i w rękę aż do krwi, było wesoło, ale nie mogą mu niczego udowodnić. Młody kruk codziennie dostaje kawałek kurczaka, który rozrywa szponami i zakrzywionym dziobem. Momik przygląda mu się, myśląc, jaki ptak jest okrutny i czy to on okaże się bestią, ale przecież nie da się przewidzieć, z którego stworzenia wyjdzie. To będzie wiadomo dopiero, kiedy wszystkie będzie właściwie karmić i właściwie się nimi zajmować.

Kilka dni temu ujrzał gazelę. Schodząc ścieżką w Ejn Kerem, zobaczył na skałach jasnobrazową plamkę. Nagle zatrzymała się i odwróciła głowę, ruchem pełnym piękna, strachu i dzikości. Gazela. Wyciągnęła głowę, węsząc, a Momik wstrzymał oddech. Chciał, żeby poczuła miły, przyjazny zapach. Gazela stała z jedną nogą w górze. Nagle odskoczyła, spojrzała na niego z lękiem szeroko otwartymi, nieprzyjawnymi oczami i szybko uciekła. Momik szukał jej potem godzinami, ale na próżno. Był zły jak nie wiem co. Zadawał sobie pytanie, czy także z niej może wyjść bestia. Naprawdę z każdego stworzenia? Trzeba jeszcze raz spytać Bełę.

Skrzynki z napisami „Tnuwa” i „Tempo” Momik przyniósł ze sklepiku Beli. Wyłożył je grubo szmatami i starymi gazetami i zainstalował zamknięcia z drutu. Odsunął na bok graty, które stały w komórce, kufer babci Heni, wielkie łóżka z Agencji Żydowskiej, pachnące moczem sienniki i przewiązane sznurkami

walizki, pękające od nadmiaru szmat, dwa ogromne worki pełne butów, bo butów się nie wyrzuca. Kto szedł boso dwadzieścia kilometrów w śniegu, doskonale o tym wie. Tak mówi tata. To jedyna wskazówka, jaką kiedykolwiek dał mu ojciec. Momik natychmiast to zapisał. Śnieg pasował do historii o Królowej Śniegu, która zamieniła wszystkich w lód. Z kuchennej szafki ukradł kilka starych talerzy i popękanych kubków, żeby powkładać do klatek jedzenie. Mama oczywiście od razu to zauważyła. Momik zawołał, że to nie on, ale chyba mu nie uwierzyła. Wtedy rzucił się na podłogę, kopiąc nogami, a nawet powiedział coś potwornego, żeby zostawiła go w spokoju i nie czepiała się. Prawdę mówiąc, zanim zaczął hodować bestię, nigdy nie odzywał się w ten sposób, ani do niej, ani do nikogo. Mama wystraszyła się nie na żarty i od razu umilkła, zasłaniając usta drżącą ręką. Otworzyła oczy tak szeroko, że Momik przeraził się, że zaraz się rozerwą. Co mógł na to poradzić, samo mu się powiedziało. Nie wiedział nawet, że ma w sobie takie słowa. Nie powinna była mu przeszkadzać. Trudno, nie pomagają mu, bo im nie wolno, ale po co przeszkadzać?

Potem nie brał już nic z domu. To naprawdę ryzykowne, bo mama ma oczy dookoła głowy, śpi także z otwartymi oczami, i widzi wszystkie jego myśli. Tak było nie raz. Zna na pamięć wszystkie przedmioty w domu. Wycierając widelce, łyżki i noże po kolacji, liczy je po cichu, w rytm takiej buczonej melodii. Wie, ile frędzli ma dywan w salonie, i zawsze dokładnie wie, która jest godzina, chociaż nie ma zegarka. Zdolność jasnowidzenia najwyraźniej jest dziedziczna, bo zaczęło się od dziadka Anszela i przeszło na mamę, a teraz na Momika. Tak samo jak choroba.

Trzeba podkreślić, że Momik nigdy nie waha się w przepowiedniach. Stara się być geniuszem, jak Szaja Weintraub, który liczył minuty do święta Pesach. Ostatnio przeprowadza także rozmaite eksperymenty z cyframi, niezbyt istotne, ale interesujące. Liczy na palcach litery, które pojawiają się w słowach. Można powiedzieć, że Momik Neumann z Bejt Mazmil w Jerozolimie wynalazł specjalną metodę liczenia na palcach. Jest szybki jak robot. Jeśli ktoś nie wie, nigdy się nie domyśli. Z zewnątrz wydaje się, że Momik przysłuchuje się

rozmówcy, na przykład nauczycielowi albo mamie, ale w jego sercu i palcach dzieją się tajemnicze rzeczy. Nie robi tego z każdym słowem, gdzie tam, jeszcze nie zwariował. Ale pewne słowa brzmią w wyjątkowy, jedyny sposób. Na dźwięk takiego słowa palce zaczynają je przebiegać, grając na nim jak na fortepianie, i z mistrzowską szybkością liczą, jakby miały wewnętrzny napęd, który pomaga pokonać przeszkodę głosu. Tak się dzieje, kiedy ktoś w radiu mówi na przykład „szpiedzy”. Od razu dłonie Momika zaczynają się poruszać, tworzą pięć palców zaciśniętych w pięść i jeszcze dwa, co oznacza razem siedem liter. Albo „trener reprezentacji”. Palce zaczynają liczyć i już mamy dziewiętnaście liter. Albo cudowne słowo „uran”, najważniejsza rzecz w każdym reaktorze jądrowym, trrrr! Momik jest tak dobry, że może liczyć na palcach całe zdania, zwłaszcza takie, które mu się podobają, na przykład: „nasi żołnierze wrócili cało do bazy”. Trzy zamknięte pięści i trzy wyprostowane palce. To bardzo fajna i uspokajająca zabawa, i oczywiście także wzmacnia mięśnie dłoni i palców. To bardzo ważne dla Momika, bo jest raczej niski, i bardzo chudy – ale najważniejsze, że niscy ludzie też mogą być silni. Najlepszy dowód to Arnie Taylor, angielski piłkarz, który uratował Manchester United, a w tym roku przenieśli go, żeby uratował Sunderland. Po drugie, dzięki ćwiczeniom palców i woli, niczym Rafael Halperin, już niedługo będzie silny jak słynny żydowski zapaśnik z kraju TAM, Zysze Braitbert, którego bali się nawet goje, niech będą przekłeci. Oto co znaczy siła obronna, pięść i trzy palce. Nawiasem mówiąc, zgodnie z zasadami wymyślonej „zabawy” w liczenie, słowa kończące się środkowym palcem są wyjątkowo szczęśliwe. Dlatego czasami warto dodać rodzajnik określający, aby udało się dojść do tego palca. Na wojnie fortele są dozwolone.

Po wejściu do piwnicy Momik jeszcze przez chwilę stoi nieruchomo. Może to zbyt wiele dla bestii, ale na razie trudno mu wytrzymać na tyle długo, aby ją wywabić. Nie może się opanować i moczy się jak małe dziecko. Musi szybko pobiec do domu, żeby się przebrać. Nie znalazł jeszcze sposobu, żeby temu zapobiec. Wystarczy, żeby kruk się wyprostował i zatrzepotał czarnymi skrzydłami – a Momik już ma mokre spodnie. Także koszulka jest mokra i przepocona, jak po dwóch godzinach gimnastyki. Kot ciągle wydaje długie,

przeszywające i złe miauknięcia, a oczy ma na wpół zamknięte. Pierwszej nocy słyszano go nawet na górze w domu. Tata chciał zejść, znaleźć go i wyrzucić do stu diabłów, ale mama nie puściła go samego po ciemku. Potem przyzwyczaili się i po prostu przestali go słyszeć. Także głosy stały się bardziej stłumione, jakby miauczał do wewnątrz. Trzeba zaznaczyć, że Momikowi żal jest kota i nawet zamierzał go wypuścić, ale problem polega na tym, że boi się otworzyć klatkę, bo kot na pewno rzuci się na niego. Kot więc został, a Momik czuje się trochę tak, jakby to on był więźniem kota, a nie na odwrót.

Zmusza się do stania z zamkniętymi oczami, napinając całe ciało w gotowości bojowej, dwie mocne pięści i jeden palec, w razie gdyby, broń Boże, coś się stało. Kot i kruk przez cały czas na niego patrzą. Nagle ptak otwiera dziób i wydaje przerażający, cichy skrzek. Momik nawet nie zauważa, kiedy znalazł się na zewnątrz. Nogawkę ma mokrą na całej długości.

Wbiega na górę, otwiera drzwi, zamyka i rygluje także na dole, a potem woła: Dziadku, jestem.

Zmienia spodnie, myje dokładnie nogę z obrzydliwego moczu, a potem siada do lekcji. Musi poczekać, aż przestaną mu drżeć ręce. Dobrze. Teraz można narysować trójkąt równoramienny i napisać wypracowanie z Biblii, odpowiadając na pytania, co kto komu powiedział, kiedy, i tym podobne. Kończy dość szybko, bo nigdy nie miał problemu z nauką. Nie cierpi też przekładać pracy domowej na następny dzień i zawsze odrabia wszystko od razu, bo po co dźwigać ten ciężar? Potem Momik zmierzył sobie oddech za pomocą zegarka ze stoperem (prawdziwego zegarka, który wcześniej należał do Szymka) i trochę poćwiczył, żeby móc kiedyś wziąć udział w zawodach śpiewania bez przerwy, z murzyńskim śpiewakiem Lee Gainesem z Delta Rhythm Boys, którzy występują właśnie w Izraelu z nowym rodzajem muzyki, zwanym jazzem. Wtedy oczywiście przypomniał sobie, że nie zapytał Beli, jak zrobić kostki cukru dla Blackie, konia jego sekretnego brata Billa, i postanowił odrobić także zadania, które nauczycielka przyrody zada za trzy tygodnie. Są przecież na końcu rozdziału, a Momik lubi mieć wszystko przygotowane na trzy lekcje naprzód. Szkoda, że nie da się tego robić ze wszystkich przedmiotów.

Skończywszy lekcje, kręcił się po domu bez celu. O czym znowu zapomniał? Czym karmi się małe jeże, bo ostatnio jeż utył i może się okazać samiczką. Trzeba być przygotowanym na każdą okoliczność, bo bestia może się pojawić wszędzie.

Przesunął szybko palcami po ogromnych tomach *Encyklopedii hebrajskiej*, którą tata prenumerował po obniżonej cenie, specjalnie dla pracowników totolotka. To jedyne książki, jakie kupowali. Książki do czytania bierze się z wypożyczalni. Momik chciałby kupować książki z zaoszczędzonych pieniędzy, ale są drogie i mama nie pozwala, chociaż to jego własne pieniądze. Mówi, że książki zbierają kurz. Momikowi książki są potrzebne. Kiedy ma w swojej skrytce wystarczająco dużo pieniędzy, które dostaje w prezencie i czasami od pana Munina, od razu biegnie do sklepu Lipszyca w centrum handlowym i kupuje książkę. Po drodze wpisuje koślawymi literami, celowo zmieniając charakter pisma: „Dla mojego przyjaciela Momika od Uriego”. Albo zdecydowanym, dorosłym pismem pani Gobrin: „Własność biblioteki szkolnej w Bejt Mazmil, Kirjat Ha – Juwal”. Jeśli mama odkryje przypadkiem nową książkę wśród podręczników, będzie miał wymówkę. Ale encyklopedia go tym razem zawiodła. Nie wyszedł jeszcze tom z „J” jak „jeże”. Nie uwzględnia w ogóle wielu rzeczy. Jakby w ogóle nie istniały. Te rzeczy są na ogół najciekawsze, jak na przykład to, o czym coraz częściej mówi pan Munin, „szczęście”, którego w ogóle nie ma. Być może jest jakiś powód, bo zazwyczaj jednak encyklopedia jest bardzo mądra. Momik lubi brać do ręki grube tomy, przeciągać palcami po wielkich, gładkich stronicach. Ma wrażenie, jakby coś oddzielało ręce od papieru, aby nie zbliżyły się do niego zbyt blisko, bo kimże on jest w porównaniu z encyklopedią. Drobne litery, stojące w ciasnych rzędach, proste i długie kolumny, tajemnicze skróty, jak tajne hasła potężnej, spokojnej i milczącej armii, która kroczy naprzód, podbijając nieustraszenie cały świat, wszystkowiedząca i nieomylna. Kilka miesięcy temu Momik ślubował sobie, że postara się czytać codziennie jedno hasło, bo jest chłopcem metodycznym i porządnym. Nie opuścił do tej pory ani jednego, poza dniem, w którym przyjechał dziadek Anszel. Dlatego następnego dnia przeczytał dwa. Chociaż nie

zawsze rozumie, co czyta, lubi dotykać i czuć w brzuchu i sercu siłę i spokój encyklopedii, naukową powagę, która sprawia, że wszystko wydaje się proste i jasne. Najbardziej lubi tom szósty, w całości poświęcony Izraelowi. Z pozoru to całkiem zwyczajny tom, taki sam jak wszystkie, także wygląda mądrze, naukowo i poważnie. Pod koniec jednak wystrzelają spośród kartek feerią kolorów dwie cudowne strony z reprodukcjami izraelskich znaczków pocztowych. Momik wstrzymuje oddech, powoli przewracając strony i z udawanym zaskoczeniem natrafiając na przepiękne kolory, niczym bukiety różnobarwnych kwiatów albo rozpostarty szeroko ogon pawia, z tyłoma obrazkami i tęczą barw. Tylko jedno przypomina mu trochę to uczucie: widok czerwonej jak ogień podszewki, ukrytej w czarnej, odświętnej torebce mamy.

Możemy zdradzić teraz jeszcze jeden sekret. To właśnie te znaczki podsunęły Momikowi pomysł, kiedy zaczął rysować państwowe znaczki kraju TAM. Ostatnio dzięki wszystkiemu, czego dowiedział się od starych ludzi, przygotował prawie cały album. Przedtem musiał oczywiście ograniczyć się do rzeczy, które wiedział, a wiedział bardzo niewiele, nic specjalnie interesującego. Teraz może to przyznać. Rysował na przykład tatę, podobnego do naszego pierwszego prezydenta Chaima Weizmanna, na niebieskim znaczku za trzy grosze. Rysował mamę z gołąbką pokoju w rękę, pięść i trzy palce, w białej sukience, jak na znaczku na święta, a Belę jako barona Edmunda de Rotszylda, bo także słynie z hojności, z kiścią winogron, zupełnie jak na prawdziwym znaczku. Więcej nie miał co narysować, ale wszystko się zmieniło. Momik stworzył wiele znaczków z dziadkiem Anszalem Wassermanem jako doktorem Herzlem, wizjonerem naszego państwa, na jedenastym kongresie syjonistycznym (bo dziadek także jest wizjonerem i prorokiem), a malutkiego pana Aharona Markusa jako Rambama w łańcuchu na szyi i w śmiesznym kapeluszu, jak na brązowym znaczku. Maksa i Moryca narysował jako dwóch mężczyzn niosących kij z winogronami. Gincburg idzie pierwszy z opuszczoną głową, a z ust unosi mu się mały dymek z dwoma słowami, które zawsze powtarza. Za nim Zajdman, niziutki, zaróżowiony i uprzejmy, trzymając w jednej ręce śmierdzący plecak. Także on ma dymek, w którym znajdują się dwa

słowa Gincburga, bo przecież zawsze naśladuje każdego, kogo widzi. Ale najładniejszy pomysł miał z Muninem. W serii na święta widział znaczek z białą gołębicą w locie i napis „Gołąbko ma, ukryta w zagłębieniach skały”. Momik szkicował na brudno przez trzy dni, aż w końcu osiągnął upragniony rezultat. Na obrazku widnieje pan Munin, lecący w chmarze ptaszków, które zawsze mu towarzyszą, bo rzuca im okruszki chleba. Momik narysował Munina jak żywego, w czarnym kapeluszu, z czerwonym, wielkim jak kartofel nosem. I z białymi skrzydłami, jak gołąb. W rogu Momik narysował małą gwiazdkę i napisał na niej małymi literkami „szczęście”, bo przecież tam Munin chce tak bardzo dotrzeć, prawda? W zbiorze Momika było jeszcze wiele ładnych i ciekawych znaczków, na przykład Marilyn Monroe o blond włosach, pięknych jak peruka Chany Cytryn. Na marginesie napisał (Bela pomogła mu przetłumaczyć): *Marilyn Monroe reads yiddysh*, bo przecież obiecała. Ale Marilyn narysował tylko tak sobie, dla przyjemności. Najważniejsze w kolekcji były nowe znaczki kraju TAM, wszystkie jego miejsca i zabytki historyczne, jak stara synagoga (podobna do nowego domu kultury) i coroczny jarmark w Nowym Mieście, na którym podobno pojawiał się sam prorok Eliasz we własnej osobie, przebrany za ubogiego wieśniaka. Narysował szubienicę w Płońsku z powieszonym na niej straszliwym przestępcą Bobo. Narysował też olimpiadę żydowską, a nawet skąpca Eliasza Lejba z miasteczka Chany Cytryn. Opowiadano, że nie pozwalał żonie nawet jeść obiadu (ze skąpstwa). Na znaczku widać dokładnie, jak skąpiec rysuje nożem gwiazdę Dawida na bochenku chleba, żeby nikt nie odkroił ani kawałeczka pod jego nieobecność. Potem Momik stworzył jeszcze jedną bardzo udaną i piękną serię ze wszystkimi zwierzętami żyjącymi w kraju TAM. Miał wielkie szczęście, bo figurki zwierząt znalazł przypadkiem w oszklonej szafce w salonie Beli. Był tam tysiące razy i nie wiedział, co to takiego. Kiedy jednak pojawił się dziadek i Momik zaczął walczyć, zrozumiał nagle, że miniaturowe figurki z kolorowego szkła przedstawiają zwierzęta, zamieszkujące niegdyś kraj TAM, bo przecież to stamtąd Bela je przywiozła! Były tam niebieskie sarny i zielone słoniki, fioletowe orły i wiele ryb o długich i delikatnych kolorowych płetwach, kangury i lwy. Wszystkie krusze, delikatne i przezroczyste, zamknięte

w szkle. Nie wolno ich dotykać, żeby się nie stłukły. Zwierzęta zastygły w ruchu, jak każdy, kto przybył STAMTAD.

Tego dnia po południu Momik zdażył narysować Szaję Weintrauba z wydłużoną głową, przypominającą kolbę kukurydzy, zamyślnego, ze zmarszczonym czołem. W górnym rogu dorysował butelkę wina i macę. Potem narysował Motla jako spadochroniarza na znaczku upamiętniającym dziesięciolecie utworzenia izraelskich wojsk spadochronowych. Powycinał nowe znaczki w ząbki i wlepił je do klasera. Spojrzał na zegarek i zobaczył, że już szósta, więc włączył radio, bo nadawali audycję dla dzieci. Opowieść o królu Maciusiu Pierwszym. Momik słuchał, ale co chwila wstawał, bo przypominało mu się coś, o czym zapomniał. Zatemperować wszystkie ołówki, żeby były ostre jak szpilki, wyszczotkować nad gazetą buty swoje, mamy i taty, aż zrobi mu się miło, gdy zobaczy, jak lśnią, zapisać w sekretnym zeszycie to, co wczoraj przeczytał w gazecie, że dwie kłaczki, które wygrały państwową wystawę rolniczą w Bejt Dagan, są w ciąży i wszyscy czekają na narodziny źrebiąt. Potem program się skończył, Momik wyłączył radio, i wziął książkę *Emil i detektywi* którą uwielbia, bo jest szalenie ekscytująca. Poza tym w tej książce jest pięć błędów, które Momik lubi znajdować. Można zobaczyć je w notesie, do którego wpisuje literówki, znajdowane w książkach i gazetach (ma już prawie sto siedemdziesiąt). Na zegarze szósta trzydzieści trzy. Momik położył się na kanapie w salonie, pod kolorowym obrazem, który rodzice dostali od Itki i Szymka. To duży olejny obraz, przedstawiający las, śnieg, strumień i most. Tak pewnie wyglądało Nowe Miasto albo Dynów, w których mieszkali kiedyś jego starzy przyjaciele. Jeśli położyć się na kanapie w pewien szczególny sposób, trochę pod kątem, w górnym rogu między gałęziami drzew można zobaczyć jakby twarz, albo prawie twarz, jakiegoś chłopca. Tylko Momik o nim wie. A może w ogóle to jego brat bliźniak? Momik nie jest pewien. Patrzy na niego jak trzeba, ale szczerze mówiąc, dzisiaj nie skoncentrował się wystarczająco, bo od kilku dni boli go głowa i oczy. Nie wolno mu się jednak zmęczyć, bo przecież najważniejsza bitwa dzisiejszego dnia jeszcze przed nim. Momik uzmysłowił sobie, że minęło już kilka godzin, odkąd postanowił zostać pisarzem, a jeszcze



nic nie napisał. To tylko dlatego, że nie znalazł odpowiedniego tematu. Nic przecież nie wie o groźnych przestępcach, jak ci w *Emilu i detektywach*, ani o łodziach podwodnych jak u Juliusza Verne'a. Jego życie jest nudne i zwyczajne. Zwykły chłopiec, lat dziewięć i trzy miesiące. Co o tym można opowiedzieć? Popatrzył jeszcze raz na swój duży złoty zegarek, wstał z kanapy i zaczął się kręcić tu i tam. Powiedział do siebie żartem: Boli mnie głowa, kiedy patrzę, jak kręcisz się i wzdychasz, Tuwia – jak ktoś często mówi komuś w tym domu. To go jednak nie rozbawiło. Za to, kiedy kolejny raz spojrzął na zegarek, była już za dwadzieścia jeden siódma. Wtedy odegrał w wyobraźni ostatnie chwile decydującego meczu, który niedługo odbędzie się we Wrocławiu w Polsce między naszą reprezentacją a reprezentacją Polski, i pozwolił Polakom zyskać przewagę czterech bramek. Pięć minut przed końcem, kiedy sytuacja wydawała się już całkiem *kaput*, nasz trener Gyula Mandy podniósł zdesperowany wzrok na hałaśliwe trybuny i co nagle zobaczył? Chłopca! Chłopca, który zdawał się stworzony do piłki nożnej, miał piłkę we krwi, był urodzonym obrońcą. Gdyby chłopcy z klasy dali mu szansę zagrać, już on by im pokazał. Gyula Mandy przerywa mecz i szepcze coś do sędziego, sędzia zgadza się. Publiczność zamiera i Momik powoli schodzi po stopniach, wkracza na boisko i od razu organizuje atak i obronę jak należy (ma przecież doświadczenie, odkąd trenował Aleksa Tuchnera). W cztery minuty Momik zamienia klęskę w tryumf i nasza reprezentacja wygrywa pięć do czterech, amen. W ten sposób zrobiło się już za czternaście siódma, coraz bliżej. Momik poszedł do łazienki, umył twarz ciepłą wodą i ustawił się dokładnie pośrodku długiej rysy biegnącej wzdłuż lustra. Słyszał deszcz, który zaczął padać na dworze, i megafony policjantów, ostrzegających kierowców, aby jechali powoli. Nagle przypomniał sobie, że o czwartej nie podał dziadkowi herbaty i pigułek na zatwardzenie i inne cholerstwa. Miał przez to trochę wyrzutów sumienia. Z dziadkiem można zrobić wszystko, a on i tak nic nie zauważy, jak niemowlę. Całe szczęście, że Momik ma dobre serce, bo inne dzieci dawno by wykorzystały fakt, że dziadek jest takim ciamajdą, i robiłyby rozmaite złe rzeczy. Momik wystawił głowę z łazienki i usłyszał, że dziadek w końcu zaczyna się budzić, cały czas mówiąc do siebie,

jak zawsze. Jeszcze dziewięć minut. Momik wyjął aparat i wyczyścił zęby pastą „kość słoniowa”, wyrabianą ze specjalnych słoni, hodowanych w kasie chorych. Wymawiał też na głos wiele słów, zaczynających się na literę „s”, bo kiedy nosi się aparat, źle wymawia się „s” i trzeba uważać, żeby nie zacząć seplenić. Wtedy nareszcie zegar w salonie wydzwonił siódmą i z daleka, być może od Beli, dobiegł sygnał wiadomości. Momikowi zabiło serce i zaczął odliczać kroki od budki z totolotkiem do domu, ale powoli, bo oni przecież z trudem chodzą. Pod kolanami i na dłoniach poczuł łaskotanie potu i dokładnie (prawie) w chwili, którą w duchu przepowiedział, rozległ się szczęk klamki przy furtce i kaszel ojca. Po chwili otworzyły się drzwi i na progu stanęli rodzice, mówiąc cicho *szalom*, jak to oni. W płaszczach, rękawiczkach i zimowych butach, owiniętych plastikowymi torebkami. Stali i pochłaniali go wzrokiem. Momik, który miał wrażenie, jakby naprawdę rozrywali go na strzępy, stał spokojnie, pozwalając im na to, bo wiedział, że tego potrzebują. Wtedy z pokoju przyczłapał dziadek Anszel, całkiem zdezorientowany, w obszernym płaszczu, w starych butach ojca włożonych na odwrót, chcąc wyjść na dwór w piżamie, ale tata zatrzymał go łagodnie i powiedział: Teraz będziemy jeść, tato. Zawsze jest bardzo delikatny w stosunku do wszystkich biedaków. Także dla Maksa i Moryca jest dobry i lituje się nad nimi. Dziadek nie rozumiał, co go zatrzymało, i trochę się szamotał, ale w końcu zrezygnował i pozwolił posadzić się przy stole. Nie chciał tylko zdjąć płaszcza.

Kolacja.

To jest tak: najpierw mama i Momik szybciotko nakrywają do stołu. Mama podgrzewa wielkie garnki z lodówki, a potem podaje jedzenie. W tej chwili zaczyna być niebezpiecznie. Mama i tata jedzą na wyścigi. Pocą się, potem oczy wychodzą im z orbit. Momik zmusza się do jedzenia, ale wciąż ostrożnie na nich zerka. Zastanawia się, w jaki sposób babcia Henia urodziła tak grubą kobietę jak mama, jakim cudem urodził się rodzicom taki mały i chudy chłopiec jak on. Momik dziubie jedzenie czubkiem widelca, nie może nic przełknąć. Rodzice muszą co wieczór dużo zjeść, żeby mieć siły. Raz już udało im się uniknąć śmierci, ale za drugim razem śmierć tak łatwo nie zrezygnuje. Momik kręci

kuleczki z chleba i układa je w kwadrat. Potem robi większą kulę i przecina dokładnie na pół, i jeszcze raz na pół. Wie, że przy kolacji nie będą się złościć, bo nikt nie zwraca na niego uwagi. Dziadek w wielkim wełnianym płaszczu opowiada coś sobie i Herrniglowi, ssąc kawałek chleba. Mama cała poczerwieniała z wysiłku. Nie widać jej szyi, tak zajadle pracuje szczęką. Ojcu kropli się pot na czole. Wycierają wielkie garnki kawałkami chleba, które łąpczywie pochłaniają. Momik przelyka ślinę, okulary zachodzą mu mgłą. Rodzice znikają i pojawiają się ze stosami rondli i patelni. Ich cienie tańczą z tyłu na ścianie. Nagle wydaje mu się, że unoszą się nad ziemią w ciepłych oparach znad talerzy z zupą, i prawie krzyczy ze strachu. Boże, dopomóż, mówi w duchu po hebrajsku i od razu tłumaczy to na jidysz, żeby Bóg zrozumiał. *Mir zal zajnar dajn bejndelech*. Zrób coś mnie, a miej litość dla ich małych kości, jak zawsze mówi mama.

W końcu ojciec przytomnieje, odkłada widelec i wzdycha przeciągle. Rozgląda się, jakby dopiero teraz zauważył, że jest w domu, że ma syna, że jest tu jakiś dziadek. Bitwa się skończyła. Zyskali jeszcze jeden dzień. Momik biegnie do kranu i długo pije. Teraz czas na rozmowę i irytujące wypytywanie, ale jak gniewać się na kogoś, kto właśnie cudem ocalał? Momik opowiada więc, że odrobił lekcje, że jutro zacznie się uczyć do klasówki z Biblii, że nauczyciel znowu pytał, czemu rodzice nie pozwalają mu pojechać ze wszystkimi na wycieczkę na górę Tabor (to nowy nauczyciel i jeszcze nie wie). Tymczasem ojciec wstaje i siada przy stole w salonie, rozpina pasek. Ciało wypływa jak fala i wypełnia cały pokój, spychając Momika do kuchni. Tata zaczyna szukać stacji w radiu. Zawsze to robi. Czeka, aż odbiornik się rozgrzeje, i kręci gałką. Warszawa Berlin Praga Londyn Moskwa. Prawie w ogóle nie słucha, tylko jednego albo dwóch zdań, i przelatuje od razu dalej, dalej. Paryż Bukareszt Budapeszt. Nie ma cierpliwości, przeskakuje z kraju do kraju, z miasta do miasta, nieprzerwanie. Tylko Momik domyśla się, że ojciec czeka na wieści z kraju TAM, aż zostanie w końcu wezwany z wygnania i odzyska koronę, jak powinno być. Tymczasem jednak nikt go nie wzywa.

W końcu tata daje za wygraną i wraca pomału do Głosu Izraela, słucha

„Wiadomości z Knesetu” z zamkniętymi oczami, można pomyśleć, że zasnął, ale uważnie słucha. Każdą wiadomość gwałtownie komentuje. W ogóle polityka sprawia, że staje się agresywny i nieobliczalny. Momik stoi w drzwiach do kuchni, słucha odwiecznej melodii mamy, która liczy widelce i noże przy wycieraniu i ukradkiem obserwuje ręce ojca, zwisające po obu stronach fotela. Trochę obrzmiałe palce, porośnięte szarymi włoskami. Trudno powiedzieć, jakie są w dotyku, bo nigdy go nie dotykają.

W nocy Momik leży bezsennie i rozmyśla. Jego kraj TAM był mały i śliczny, otoczony lasami, z małymi, lśniącymi torami kolejowymi, ładnymi kolorowymi wagonami, z paradami wojskowymi, dzielnym cesarzem i królewskim łowczym, ze starą synagogą, z targiem bydła, z przezroczytymi zwierzętami, które lśnią na górskich łąkach jak rodzynki w cieście. Niestety, kraj TAM został zaczarowany. Od tej chwili wszystko staje się niezrozumiałe. Na dzieci, dorosłych i zwierzęta spadła klątwa, która zamroziła wszystkich. Zrobiła to bestia nazistowska. Przeszła przez kraj, zamrażając wszystkich oddechem. Jak Królowa Śniegu w jednej historii, którą Momik czytał. Momik leży w łóżku i wymyśla rozmaite rzeczy, a mama w holu szyje na swojej maszynie. Jej stopa podnosi się i opada. Szymek zrobił jej wysoki pedał, bo inaczej by nie dosięgła. Od tamtej pory wszystkich w kraju TAM pokrywa cieniutka warstwa szkła, która nie pozwala im się poruszyć. Nie można ich dotknąć. Są jak żywi, ale tak naprawdę nie żyją. Tylko jeden człowiek na całym świecie może ich wybawić, i jest nim Momik. Momik jest prawie jak doktor Herzl, tylko inaczej. Przygotował już nawet niebiesko-białą flagę dla kraju TAM. Między dwoma niebieskimi pasami namalował dużą nogę kurczaka przywiązaną do samolotu Super Mystère. Pod spodem napisał: „Jeśli zechcecie, to nie będzie bajka”. Ale mimo to nadal nie wie, co powinien zrobić, i to go trochę martwi.

Czasem w nocy stają nad jego łóżkiem. Przychodzą się pożegnać, zanim zaczną się koszmary. Momik aż skręca się z wysiłku, udając, że śpi, żeby zobaczyli, że jest zdrowym i szczęśliwym dzieckiem, któremu jest okropnie dobrze, które uśmiecha się przez cały czas, nawet przez sen. Oj, luli, luli, jakie ma zabawne sny. Czasem miewa pomysły godne samego Einsteina i mówi niby

to przez sen: podaj do mnie, Josi, dzisiaj wygramy, Dani, i tym podobne rzeczy, żeby się cieszyli. Kiedyś, po szczególnie ciężkim dniu, dziadek chciał wyjść po kolacji i trzeba było zamknąć go w pokoju na klucz. Zaczai tam krzyczeć, mama płakała. Tej nocy Momik zaśpiewał im, niby przez sen „Kieedy wciaaż w seercu naadzieja” i aż się posikał z przejęcia. Wszystko po to, żeby pokazać, że w ogóle nie muszą się o niego martwić, nie trzeba marnować na niego troski i innych uczuć, bo powinni oszczędzać siły na ważniejsze sprawy, kolacje, sny i milczenie. Kiedy w końcu zasnął, słyszał jeszcze z bardzo daleka, może nawet przez sen, Chanę Cytryn krzyczącą, żeby Bóg wreszcie przyszedł, oraz przeciągłe, ciche miauczenie kota, tłukącego się w piwnicy. Przyrzekł sobie, że będzie się jeszcze bardziej starał.

Momik miał dwóch braci.

Nie, zacznijmy od tego, że kiedyś miał przyjaciela.

Przyjaciel nazywał się Alex Tuchner. Przyjechał w zeszłym roku z Rumunii i znał tylko kilka słów po hebrajsku. Pani Neta posadziła go w ławce obok Momika, bo Momik może służyć za wzór i mówi po hebrajsku najlepiej w klasie. Być może także wiedziała, że Momik nie będzie wyśmiewał Aleksa. Kiedy Alex usiadł koło Momika, wszyscy zachichotali, bo obaj nosili okulary.

Alex Tuchner był niski, ale bardzo silny. Kiedy pisał, drżały mu mięśnie ręki. Miał sztywne i grube jasne włosy. Chociaż nosił okulary, widać było, że niewiele czyta. Przez cały czas kręcił się jak na szpilkach i niechętnie się odzywał. Kiedy już się odezwał, wymawiał śmiesznie „r”, jak starsi ludzie. Dzieci nazywały ich „Polaki”. Prawie ze sobą nie rozmawiali. Wreszcie Momik podjął decyzję. Na lekcji przyrody podał Aleksowi karteczkę z pytaniem, czy chciałby go jutro odwiedzić. Alex wzruszył ramionami i odparł: czemu nie? Momik nie mógł usiedzieć spokojnie do końca dnia. Po kolacji zapytał rodziców, czy może zaprosić do domu kolegę. Ojciec i mama spojrzeli po sobie i zaczęli zadawać mnóstwo pytań. Co to za kolega i czego chce od Momika, czy jest z naszych, czy z ich, czy nic nie ukradnie ani nie będzie szperał po domu, co robią jego rodzice. Momik wszystko opowiedział. Na koniec się zgodzili, skoro musi, to niech

przyjdzie, tylko żeby Momik cały czas go pilnował. Tej nocy Momik nie mógł zasnąć z przejęcia. Myślał o tym, jak to będzie razem z Aleksem, jak założyć własną reprezentację, jak, jak, jak. W szkole był już o wpół do ósmej.

Alex przyszedł razem z nim po lekcjach, po drodze kupili sobie falafel w centrum handlowym. Alex lubił falafel, Momik nie, ale był podekscytowany, że po raz pierwszy kupuje jedzenie, płaci i je poza domem. W końcu oddał połowę swojej porcji Aleksowi, który dodał tyle ostrego sosu, aż sprzedawca powiedział, że powinien zapłacić podwójnie. W domu odrobili razem lekcje i grali w warcaby. To zdecydowanie bardziej interesujące grać we dwóch. Jeszcze w nocy Momik postanowił, że będzie milczał po męsku, jak Alex, ale nie zdołał się opanować. W końcu po co ma się kolega? Żeby milczeć jak dwa głazy? Bez przerwy zadawał Aleksowi pytania, o jego naukę i o miejsce, z którego pochodzi, a Alex odpowiadał krótko. Momik przestraszył się nagle, że Alex się nudzi i zaraz sobie pójdzie. Pobiegł do kuchni, wszedł na krzesło i wyjął ze schowka mamy tabliczkę czekolady, która nie była przeznaczona dla gości, ale to był nagły wypadek, jak to się mówi. Przyniósł czekoladę i opowiedział Aleksowi, że babcia Henia niedawno zmarła. Alex wziął kostkę, potem jeszcze jedną, i powiedział, że jego tata też zmarł. Momik od razu podskoczył, bo na tym akurat trochę się zna, i zapytał, czy tata Aleksa zmarł u tamtych. Alex nie zrozumiał, kim są tamci, i powiedział, że ojciec zginął w wypadku. Był bokserem i dostał cios na ringu. Teraz Alex jest mężczyzną w rodzinie. Momik milczał, myśląc, jakie interesujące życie ma Alex. Alex odezwał się: Byłem najlepszy w klasie w biegach.

Momik, który zna na pamięć wszystkie czasy biegaczy olimpijskich i wszystkich szkolnych mistrzów, powiedział, że aby znaleźć się w reprezentacji szkoły, trzeba przebiec sześćdziesiąt metrów w osiem przecinek pięć sekund. Alex odparł, że teraz nie ma kondycji, ale zamierza trenować i dostać się do reprezentacji. Mówił z przekonaniem, ani razu nie uśmiechając się do Momika, i jadł jedną kostkę czekolady po drugiej, a zazwyczaj tabliczka wystarcza na cały miesiąc.

– Nazywali mnie *aszkenazi Bech Bech* – powiedział. Twarz miał całkiem

bez wyrazu. – Dlatego mam zamiar dostać się do reprezentacji.

– Oni też są *aszenazi* – odparł Momik. – Nie wszyscy, ale ci, którzy tak mówili, też są.

– Nie dla Aleksa.

Był bardzo pewny siebie, a Momik całkowicie mu wierzył i wiedział, że mu się uda, ale mimo wszystko czuł smutek nie wiadomo dlaczego. Alex pokręcił się trochę po mieszkaniu, dotykając bez ceremonii rozmaitych rzeczy, gwałtownie poruszył kołem maszyny do szycia, zadawał pytania, których goście nie zadają, a potem powiedział, że ma dosyć siedzenia w domu. Momik od razu zapytał, czy zrobić mu filiżankę dobrej herbaty, bo tak się mówi kiedy goście (na przykład Bela albo Itka) chcą już iść, ale Alex popatrzył na niego z lekką irytacją i zapytał, czy można robić coś na dworze na tym osiedlu. Momik pomyślał chwilę i odparł, że można pójść do kawiarenki Beli, ona zawsze ma coś ciekawego do powiedzenia. Alex popatrzył na niego jeszcze raz, skrzywił się i zapytał, czy Momik zawsze taki jest. Momik nie zrozumiał i zapytał jaki, a Alex zapytał, czy na ulicy nie ma dzieci. Nie ma, odparł Momik, to mała ulica. Zdziwił się, bo pomyślał, że Alex jako nowy imigrant nie będzie chciał się bawić z innymi dziećmi. Przecież właśnie dlatego miał nadzieję, że będą z Alekssem dobrymi kolegami, bo on, Momik, jest grzeczny i dobrze wychowany, nie wyśmiewa się, nie przeklina i tak dalej. Ale pamiętał też, że Alex mimo wszystko jest nowy i nie wie dokładnie, co i jak. Minie trochę czasu, zanim zrozumie, że Momik ma więcej rozumu w małym palcu niż łobuzy, które się śmieją i biegają sześćdziesiąt metrów w osiem przecinek pięć. Ale zeszli na dół. Było to na jesieni i stara grusza na podwórku Beli była obsypana na wpół przejrzałymi owocami. Alex popatrzył i powiedział: Co?! Ty na to pozwalasz?! Natychmiast zakradł się na podwórze, zwędził kilka gruszek i dał jedną Momikowi. Momik, z bijącym szaleńczo sercem, ugryzł kawałek i zaczął żuć, ale nie przełknął, bo to przecież kradzież, i to jeszcze u kogo. Poszli w kierunku wzgórza Herzla i Alex powiedział jeszcze raz, że dostanie się do reprezentacji. Nagle Momik wpadł na genialny pomysł. zaproponował, że może zostać jego trenerem. Ty?! Co ty tam..., odrzekł Alex, ale Momik przerwał mu i szybko powiedział, że byłby

wspaniałym trenerem, że czytał o wszystkich trenerach na świecie, a w domu ma zdjęcia sportowe, które wycina ze wszystkich gazet (powiedział: Z zagranicznych też, i przecież nie było to kłamstwo, dzięki „Przeglądowi”). Może opracować plan treningu olimpijskiego, ma zegarek ze stoperem, co jest przecież najważniejsze w treningu biegaczy. Alex chciał zobaczyć zegarek i Momik mu pokazał. Alex zarządził, żeby zrobili próbę.

– Pobiegnę do tego słupka, a ty zmierzysz mi czas.

– Do biegu gotowi, start – powiedział Momik, i Alex pobiegł, a Momik mierzył czas.

– Dziesięć przecinek dziewięć – powiedział. – Nie powinienes tak wymachiwać rękami, bo tracisz w ten sposób siłę.

Alex odparł, że może Momik rzeczywiście mógłby go trenować, chociaż on nie chce już przychodzić do niego do domu. Tak zaczęła się ich wielka przyjaźń, ale Momik nie lubi do tego wracać.

Poza tym miał dwóch braci.

Starszy nazywa się Bili. Raz w miesiącu w sklepie Lipszyca w centrum handlowym pojawia się nowy tom jego przygód. Momik staje z boku i czyta na stojąco, a Lipszyc nic nie mówi, bo pochodzi z tego samego miasteczka co mama. To ekscytujące, ale i pouczające historie. Brat Momika, Bili, jest prawdziwym twardzielem. Jest tak silny, że nie wolno mu pomagać Momikowi, jeśli ktoś z klasy go bije. Jeden cios Billa może zabić. Dlatego Momik wymusił na nim obietnicę, że nie będzie się w nic mieszał, nawet kiedy zaczęła się ta historia z wymuszaniem kanapek przez Lej zera. Co najmniej dwa razy w tygodniu Momik podnosi się z ziemi brudny i zakrwawiony, ale uśmiecha się przy tym tajemniczo, bo kolejny raz udało mu się zapanować nad sobą, jak to się mówi, i nie nasłał na nich Billa.

Bili mówi do niego „Johnny”. Rozmawiają krótkimi, pełnymi wykrzykników zdaniami, na przykład: Przywał mu w szczękę, Bili! Dobra robota, Johnny! Tak wyglądają ich przygody. Bili nosi na piersi srebrną gwiazdę na znak, że jest szeryfem. Momik nie ma na razie gwiazdy. Razem mają konia imieniem Blackie. Blackie rozumie każde słowo, uwielbia galopować swobodnie



po polach, ale zawsze w końcu wraca i ociera się łbem o pierś Momika. To bardzo miłe uczucie. Pani Neta zawsze pyta wtedy, czemu się tak uśmiechasz, Szlomo Neumannie, i Momik szybko ukrywa Blackiego. Często podkrada z kuchni cukier i stara się zrobić kostki, jakie lubią konie, ale nie bardzo mu to wychodzi. *Encyklopedia hebrajska* nie doszła jeszcze do cukru. Momik jest pewien, że gdy w końcu dotrze, odeśle go pod „patrz: kostki”. A tymczasem trzeba czymś karmić tego konia, prawda? Galopują po wadi Ejn Kerem co najmniej trzy razy w tygodniu, odnajdują zaginione dzieci i zastawiają zasadzki na rozbójników, atakujących pociągi. Czasami, kiedy Momik leży na brzuchu w zasadzce, widzi nad Wzgórzem Herzla wysoki komin budynku, który niedawno zbudowano. Zabawnie się nazywa: „Yad Vashem”. Momik mówi sobie, że to komin przepływającego nieopodal statku, pełnego nielegalnych imigrantów STAMTAD, których nikt nie chce przyjąć, jak za czasów mandatu brytyjskiego, psiakrew. Ich także uratuje, z Blackiem albo z Billem, albo dzięki swoim myślom, albo zwierzętom, albo reaktorom jądrowym, albo dzięki opowiadaniu dziadka Anszela i Dzieciom Serca, albo dzięki czemuś innemu. Kiedy zapytał starsuszków, co to za komin, popatrzyli tylko po sobie. W końcu Munin odparł, że mieści się tam muzeum. Aharon Markus, który od kilku lat nie wychodzi z domu, zapytał, czy to muzeum sztuki. Chana Cytryn roześmiała się ironicznie i powiedziała: Jasne, sztuki. Ludzkiej sztuki. Taka tam była sztuka. W zasadzce Momik musi pilnować, żeby gwiazda Billa nie błyszczała w słońcu, i żeby przestępcy ich nie zauważyli. Najczęściej Bili ginie co najmniej dwadzieścia razy dziennie od kul i noży, ale na koniec zawsze ożywa, a to wszystko dzięki Momikowi, który boi się naprawdę, kiedy Bili umiera. Być może jego strach i rozpacz sprawiają, że Bili wraca. Wstaje i mówi z uśmiechem: Dziękuję, Johnny. Ocaliłeś mi życie. Tymczasem Blackie zajada kostki cukru zlepione błotem albo śliną, kostki cukru zlepione klejem do plastiku i kostki cukru, które Momik zamroził w bryłkach lodu, znalezionych w skrzynkach na mleko mleczarza Ajzera. Bili umierał i ożywał wiele, wiele razy. To było najważniejsze w tej zabawie. Tylko że to w ogóle nie była zabawa, bynajmniej. Momik w ogóle się dobrze nie bawił, ale musiał to robić, żeby ćwiczyć. Tylu ludzi czeka, aż on

stanie się mistrzem świata, jak czekali na profesora Jonę Salka, żeby wreszcie wynalazł szczepionkę na paraliż dziecięcy. Momik doskonale wie, że ktoś musi pierwszy zgłosić się na ochotnika i przedrzeć się do skutego lodem kraju, stoczyć walkę z bestią, ocalić wszystkich i przywieść ich tutaj. Trzeba tylko obmyślić taktykę, coś, co zrobiłby na jego miejscu Meir Har Cijon. Genialny i śmiały fortel, który być może zna tylko trener Gyula Mandy, który przyjechał specjalnie z Węgier. Ale bestia nie ujawniła się jeszcze. Momikowi robiło się niedobrze za każdym razem, kiedy myślał, że może po prostu trzyma bez sensu w ciemności te biedne zwierzęta. Wtedy jednak powtarzał sobie, że na polu walki czasami cierpią niewinni (po wszystkim stanie przed sądem), jak suczka Łajka, która złożyła życie na ołtarzu nauki w Sputniku. Może jedynie bardziej się starać, spać jeszcze mniej i cały czas brać przykład z dziadka Anszela, który od dawna nie rezygnuje i snuje swoją opowieść, bo może kiedyś zwycięży Herrneigla i skończy ze wszystkim. Momik czasami ma wrażenie, że dziadek tak się zapętlił w swojej opowieści, że nawet Herrneigel traci do niego cierpliwość.

Pewnego razu przy obiedzie wydarzył się prawdziwy skandal. Dziadek zaczął wykrzykiwać na cały głos, a potem przyłożył dłoń do ucha i nasłuchiwał, poczerwieniał na twarzy, a wargi zaczęły mu drżeć. Momik zerwał się z miejsca przestraszony i stanął przy drzwiach, bo w jednej chwili zrozumiał to, czego w swojej głupocie nie rozumiał wcześniej. To, że sam Herrneigel jest *nazikaput*, *kaput* znaczy skończony, jak Momik doskonale wie z lekcji hebrajskiego, a *nazi* to bestia. Teraz stało się jasne, że Herrneigel złości się na dziadka z powodu opowieści, bo najwyraźniej nie chce być *kaput* i zmusza dziadka, by zmienił opowieść tak, jak on chce. Ale Momik zauważył, że także dziadek nie jest słabeuszem, przeciwnie. Kiedy ktoś chce ruszyć jego opowieść, staje się innym człowiekiem! Tak, dziadek złapał kurze udko, podniósł wysoko i zaczął nim wymachiwać ze złością. Krzyczał przy tym w swoim staroświeckim hebrajskim, że nie pozwoli, aby Herrneigel mieszał mu w opowieści, bo to całe jego życie, i co mu zostało poza nią. Momik, któremu serce uciekło w majtki, domyślił się, że *nazikaput* przestraszył się trochę i postanowił ustąpić, bo wydawało mu się, że dziadek ma słuszość. Wtedy nagle dziadek odwrócił twarz od pustej ściany i

spojrzał na Momika oczami bez wyrazu. Momik zrozumiał, że gdyby dziadek zechciał, mógłby wciągnąć go do wnętrza opowieści, jak zrobił to z Herrneiglem. Chciał uciec, ale nie mógł się ruszyć. Chciał krzyknąć, ale nie mógł wydobyć głosu. Dziadek skinął palcem. To było jak czary, bo Momik zaczął iść w jego kierunku i wiedział, że to koniec, trafi do wnętrza opowieści i nikt go nie odnajdzie. Na szczęście dziadek nie chciał mu tego zrobić, skądże, przecież Momik jest dobrym chłopcem. Nawet jeśli dręczy zwierzęta w piwnicy, to tylko dlatego, że toczy się wojna. Kiedy był już bardzo blisko, dziadek odezwał się nagle cicho i wyraźnie, jak normalny człowiek: Nu, widziałeś tego goja? *Ojch mir a chuchem* – co po hebrajsku znaczy także „mądry”. Dziadek uśmiechnął się do Momika zwykłym uśmiechem starego mądrego człowieka i położył mu rękę na ramieniu niczym prawdziwy dziadek. Powiedział przy tym szeptem, że on tego goja tak zakreści, że odeśle go z powrotem do Chełma, czyli zrobi z niego kompletnego głupca. Momik chciał wykorzystać okazję i spytać dziadka o opowieść, czy słusznie się domyśla, że Dzieci Serca walczą z Herrneiglem i po co im dziecko (Momik przecież zna się odrobinę na historiach przygodowych i wie, że dzieci tylko zawadzają w niebezpiecznych momentach). Ale wtedy stało się to, co zawsze. Dziadek cofnął się i spojrzał na Momika, jakby widział go po raz pierwszy w życiu. Zaczął szybko mamrotać i mruczeć swoje melodie. Momik znowu został całkiem sam.

Pakując dla zwierząt nietknięty obiad do brązowej torebki, pomyślał, że może dobrze byłoby poradzić się eksperta, o którym kiedyś czytał w gazecie. Zajmuje się tym samym, co Momik. Nazywa się Wiesenthal i mieszka w Wiedniu. Stamtąd na nich poluje. Momik ma nadzieję, że jeśli do niego napisze, myśliwy zgodzi się zdradzić kilka ważnych informacji, na przykład, gdzie się ukrywają, jakie mają zwyczaje, co lubią jeść i na co polują, czy żyją w dużych stadach, i jak to się dzieje, że z jednej bestii wychodzi cała armia ludzi. I czy istnieje w ogóle (Momik uważa, że nie) magiczne słowo, jak „chajmowa” albo „uran”. Na dźwięk zaklęcia natychmiast stają się posłuszne i mogą pójść za nim wszędzie. Może myśliwy ma nawet jakieś ich zdjęcie, żywych albo martwych, aby Momik wiedział, czego się spodziewać. Przez kilka dni zastanawiał się, co

napisać. Usiłował wyobrazić sobie dom myśliwego, ze skórami bestii na podłodze, specjalną szafę na strzelby, łuki i fajki. Na ścianach wiszą łby bestii nazistowskich ze szklanymi oczami. Momik zaczął pisać list, ale mu nie szło. Próbował może dwadzieścia razy, wszystko na nic. W tym samym tygodniu przeczytał u Beli w gazecie, że myśliwy wyrusza na kolejną wyprawę do Ameryki Południowej. Zamieszczono także jego zdjęcie. Przedstawiało łysiejącego mężczyznę o pięknych, smutnych oczach. Był całkiem inny, niż Momik sobie wyobrażał. Momik znowu został całkiem sam, bez pomocy nikąd. Tym razem był już dość zdenerwowany.

Przypominał sobie jednak wciąż, że myśliwy i tak by mu nie pomógł, bo najniezwyklejsze w walce z bestią jest to, że każdy musi walczyć sam. Przecież nawet ci, którzy bardzo pragną jego pomocy, nie mogą poprosić wprost z powodu tajemniczej bariery, która najwyraźniej im przeszkadza. Momik ciągle powtarza sobie, że nie stara się wystarczająco i że nie poświęca temu dość uwagi. W tym samym czasie spotkało go kilka niemiłych wypadków. Na początek zagubione szczenię szakala ugryzło go pod kolaniem i musiał dostać serię dwunastu bolesnych zastrzyków przeciwko wściekliwości. Potem wpadł przypadkiem na małego jeżozwierz schowanego w zaroślach i podziurawił sobie kolano jak sito. Momik zawsze lubił czytać o zwierzętach, ale póki nie zaczął walczyć z bestią, nigdy nie musiał ich dotykać. Prawdę mówiąc, zawsze go to trochę brzydziło, a trochę nie. Czuł, że ma dar postępowania ze zwierzętami, i myślał, że kiedy to wszystko się skończy, może chciałby mieć psa. Zwyczajnego psa. Nie na wojnę, ale dla zabawy. Tymczasem dziki gołąb, którego znalazł na podwórku, o mały włos nie wydlubał mu oka, a kot, którego chciał wyciągnąć z kubła na śmieci, żeby zastąpić tamtego oszalałego kota, podrapał mu całą rękę. Momik był naprawdę dzielny. Nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że jest tak odważny, ale wiedział także świetnie, że jego odwaga ma źródło w strachu. Bardzo się bał. Nie zapominajmy o krukach, rodzicach młodego ptaka uwięzionego przez Momika, które teraz mają już pewność, kto ukradł ich dziecko. Jak tylko wychodzi z domu, pikują nad nim niczym egipskie myśliwce. Nawiasem mówiąc, za pierwszym razem jeden z kruków naprawdę skaleczył go

w rękę i w szyję. Momik dostał trochę hysterii, jak to się mówi, pobiegł do punktu totolotka i opowiedział ojcu i mamie o ataku. Nie udało mu się jednak wyjaśnić, o co chodzi, nie wiedział, jak jest „kruk” w jidysz. Mama niezbyt dobrze rozumiała. Widząc podartą koszulę, od razu pobiegła z nim do kasy chorych. Tam tłumaczyła pani doktor Erdreich, krzycząc i mdlejąc, że zdarzyło się coś potwornego. Orzeł próbował porwać dziecko. Trzeba przyznać, że jeszcze wiele lat później ludzie na osiedlu Bejt Mazmil pamiętali o chłopcu, którego o mało nie porwał orzeł.

Ale jego wysiłki szły na marne. Komórka stawała się coraz ciemniejsza i bardziej duszna. Momik bał się poruszyć. Wściekłe, wygłodniałe zwierzęta miały się po klatkach, kaleczyły, lamentowały i płakały. Ranny gołąb zdechł, a Momik brzydził się wyrzucić padlinę, która zaśmierdła i zwabiła mrówki, cholera. Momikowi wydawało się, że komórkę oplatają ogromne pajęczyny, lepkie i zimne, które próbują go osaczyć przy każdym poruszeniu. W życiu nie czuł się tak brudny i śmierdzący. Wydawało mu się, że małe zwierzęta są o wiele silniejsze od niego, bo go nienawidzą i wiedzą, jak to jest być dzikim, rzucać się w klatkach i krzyczeć. Nie był już pewien, kto jest czyim więźniem. Przyszło mu do głowy, że być może to znak rozpoczęcia wojny, że bestia się nie waha, że podstępnie zastawia pułapkę i paraliżuje go. O takim paraliżu nie słyszał nawet doktor Salk. To stało się bardzo nieprzyjemne, żeby nie powiedzieć „przerażające”. Bardzo, ale to bardzo nieprzyjemne, bo Momik nie miał pojęcia, skąd bestia zaatakuje. Nie wiedział, co sam robi, gdy bestia postanowi się ujawnić. Może ona wyskoczy z dwojga zwierząt naraz? Czy on w ogóle zdąży wymówić zaklęcie, zanim zaatakuje go i rozerwie na strzępy?

Zaczął smarować stopy naftą z piecyka, żeby przynajmniej zapach go nie brzydził. Włożył także kulki naftaliny do kieszeni spodni i koszuli, ale uznał, że to nie wystarczy. Zaczął obmyślać przemówienie powitalne. Pisał je prawie tydzień. Wiedział, że musi to być najlepsze przemówienie na świecie, aby mógł w jednej chwili opanować bestię, zanim ta się na niego rzuci. Początkowo napisał, że zawsze trzeba być dobrym, dbać o bliźnich i umieć przebaczać, jak w Jom Kipur. Kiedy jednak odczytał to na głos, zrozumiał, że bestia nie uwierzy.

Potrzeba czegoś mocniejszego. Usiłował myśleć o bestii, wyobrazić sobie, jak odczuwa różne rzeczy i co ma na nią wpływ. Próbował ją narysować. Wyszło mu coś w rodzaju niedźwiedzia polarnego, samotnego i rozwścieczonego, pełnego nienawiści. Natychmiast zrozumiał, że jego słowa powinny w jednej chwili roztopić nienawiść i samotność bestii, bo są rzeczy, do których w głębi duszy tęskni nawet zmarznięty niedźwiedź polarny. Momik napisał wówczas długie przemówienie o bliskości dwóch przyjaciół, którzy się kochają, o zwykłych, miłych słowach między tatą i mamą, ojcem i synem. Opowiedział, jakie kochane może być młodsze rodzeństwo i jak miło jest brać je na ręce albo dumnie przechadzać się z wózkiem po centrum handlowym. Pisał o różnych głupstwach, ale miał wrażenie, że może właśnie to prześlaga bestię. Na przykład mecz piłki nożnej w szkole, kiedy strzeliłeś gola i wszyscy naraz wykrzykują twoje imię, tylko twoje. Albo spacer z tatą i mamą w sobotni ranek, kiedy oboje trzymają cię za ręce i podrzucają do góry, mówiąc „gołąbek pooleciał!”. Albo doroczna wycieczka na górę Tabor, kiedy cała klasa maszeruje ze śpiewem, a w nocy szaleje w schronisku. Kiedy jednak napisał to wszystko, ścierając i poprawiając, i odczytał na głos, poczuł nagle, że to głupie słowa, może nawet obrzydliwe, kretyńskie i śmierdzące. Podarł kartkę na strzępki i spalił w zlewie. Postanowił, że zarzuci ten pomysł. Będzie po prostu siedział i czekał na to, co mu zrobi, kiedy przyjdzie. Było jasne, że bestia celowo zwleka tak długo, żeby go zdenerwować i wyczerpać. Dlatego poprzysiągł sobie, że co ma być, to będzie, ale nigdy, przenigdy się nie podda.

W ostatnich dwóch tygodniach pojawiła się nadzieja na zaskakujące zwycięstwo, bo do dwóch braci dołączył trzeci: Motl, syn kantora. Momik nigdy w życiu nie zapomni tego okresu. Czytali w klasie opowiadanie Szolema Alejchema, które wywarło na Momiku ogromne wrażenie. Ni stąd, ni zowąd postanowił wspomnieć o tym w domu, po kolacji. Nagle tata przemówił! Wypowiadał pełne zdania, a Momik słuchał, prawie płacząc z radości. Niebieskie, przekrwione oczy taty trochę pojaśniały, jakby bestia opuściła go na chwilę. Momik był sprytny jak lis z bajki o serze i kruku! Opowiedział tacie (jak gdyby nigdy nic) o bracie Eliaszu, cielęciu Mani i o rzece, do której wylano

beczki kwasu. Momik wierzy, że jego ojca skrzywdziła „bestia” nazistowska. Nagle ujrzał, jak bestia otwiera paszczę i uwolniony ojciec wypada prosto w jego ramiona.

Stopniowo ojciec zaczął opowiadać o maleńkim miasteczku, błotnistych zaułkach i kasztanowcach, które tutaj nie rosną, jaki niebiański smak miał chleb w kraju TAM, o chederze, w którym się uczył, i rabinie, który aby sobie troszkę dorobić, w wolnych chwilach drutował garnki. Kiedy tata był trzyletnim chłopczykiem, wracał sam do domu zaśnieżonymi ulicami, oświetlając drogę specjalną latarnią z wydrążonej rzepy, w której tkwiła świeczka. Mama odezwała się niespodziewanie:

– Tu naprawdę nie ma takiego chleba jak tam. Teraz, kiedy to powiedziałaś, przypomniało mi się. U nas piekło się chleb w domu i jeden bochenek starczał na tydzień. Oby Bóg dał, żebym jeszcze kiedyś w życiu mogła go spróbować.

Tata na to:

– Między naszym miasteczkiem a Chodorowem był las. Prawdziwy las, nie te szczyrbate grzebienie tej zakichanej Fundacji Izraela. W lesie rosły borówki, których tu nie ma, wielkie jak wiśnie.

Momik był zdumiony, że także tam był Chodorow, jak bramkarz zespołu Hapoel Tel Awiw, ale nie chciał przerywać i nic nie powiedział. Mama westchnęła.

– U nas mówili na nie jagody.

– Nie, jagody to co innego – odparł tata. – Mniejsze. Ach, ależ tam były owoce. A trawa? Pamiętasz trawę?

– Co znaczy pamiętasz, pewnie, że pamiętam – powiedziała mama. – Jak można zapomnieć. Oj, *zal ich azoj haben koach zu leben*, żebym miała tak siłę żyć, jak pamiętam to wszystko. Była zielona i gęsta, nie jak tu, gdzie zawsze wydaje się pólżywa. To nie trawa, to jakaś wysypka. A kiedy były sianokosy i stawiali kopki na łące, pamiętasz, Tuwia ?

– Ach! – rzekł tata z głębokim westchnieniem. – Co to był za zapach! U nas ludzie bali się zasnąć na stogach świeżego siana, bo mogliby się nie

obudzić...

Rozmawiali ze sobą i z Momikiem. Dlatego Momik zaczął czytać inne opowiadania Szolema Alejchema (co za imię dla pisarza!), których wcale nie było w spisie lektur. Ze szkolnej biblioteki wypożyczył opowiadania o Menachemie Mendlu i opowieść o Tewji Mleczarzu i przeczytał je od deski do deski, jak to on. Szybko i dokładnie. Miasteczko stało się znajome. Przede wszystkim zorientował się, że o wielu rzeczach słyszał od swoich przyjaciół z ławki. To, czego nie rozumiał, tata chętnie mu wyjaśniał. Słowa takie jak „gabaj”, „felczer”, „mełamed” i tym podobne. Za każdym razem, kiedy tata zaczynał wyjaśniać, przypominało mu się coś i opowiadał dalej. Momik zapamiętywał wszystko, potem biegł do pokoju i zapisywał w zeszyte (już trzecim z kolei!). Na ostatnich kartkach zaczął nawet układać słowniczek terminów z kraju TAM, z tłumaczeniem na hebrajski. Miał już osiemdziesiąt pięć haseł. Na lekcjach wychowania obywatelskiego w szkole, kiedy na ławce leżał rozpostarty atlas, Momik wykonywał drobne eksperymenty. Wpisywał Bobryk zamiast Tel Awiwu, zamieniał Hajfę na Kasrylewkę. Karmel to teraz Żydowska Góra, gdzie dzieją się cuda, a Jerozolima Jehupec. Momik kreśli ołówkiem delikatne linie, jak dowódca na mapie wojskowej: Menachem Mendel jedzie stąd dotąd, z Odessy do Jehupca i Żmerynki. Przez las Menasze jedzie sobie Tewje na swoim starym koniu. Jordan to rzeka San, o której mówiono, że co roku pochłaniała jedną ofiarę, aż utopił się syn rabina i rabin przeklął rzekę, która stała się wąskim strumieniem. Na górze Tabor Momik zapisał ołówkiem: „Golden Bergeł”, i narysował malutkie skrzynie ze złotem, które zostawił szwedzki król, uciekając przed Rosjanami. Na górze Arbel narysował małą jaskinię, jak w miasteczku Bolechowie, skąd pochodzi mama. Opowiadano, że straszliwy rozbójnik Dobosz wydrażył jaskinię w skale, żeby się w niej ukrywać i planować dalsze napady. Momik miał mnóstwo pomysłów.

Trzej bracia galopowali na złamanie karku przez dolinę Ejn Kerem na rączym koniu Blackiem, obejmując się w pasie. Najsilniejszy Bili siedział z przodu, odpowiedzialny Momik – w środku, za nim Motl, z pejsami założonymi za uszy, z błyszczącymi oczami. Był z dnia na dzień silniejszy. Już niedługo



będzie mógł brać udział w wyprawach.

Jasne, że trzeba było mu wytłumaczyć wiele nieznanymi rzeczami. Co to znaczy pokonać barierę dźwięku, jak samoloty od naszych odwiecznych przyjaciół Francuzów. Kim jest Nataniel Balsberg, religijny biegacz, który pobił rekord na pięć kilometrów, co to jest ekipa ogniowa Sulejmana i co się właściwie dzieje w basenie nowego reaktora jądrowego w Nachal Rubin. Dlaczego zawsze trzeba nosić w kieszeni koszulki złożony kawałek tektury, żeby kula nie trafiła w serce, i co to jest akcja ratunkowa, dwie złożone pięści. Przez Moda o mało nie wpadli, bo nie potrafił usiedzieć spokojnie w zasadzce. Co to jest uzi, Super Mystère i EMX. W miasteczku pewnie mieli inne nazwy broni i samolotów.

Pewnego razu Momik specjalnie został dłużej w szkolnej bibliotece, czekając na zapadnięcie zmroku. W końcu pani Gubrin go wyrzuciła. Poczekał jeszcze trochę na boisku. Kiedy zobaczył, że jest całkiem sam, wyciągnął z tornistra wielki sekret: rzepe, którą przeciął na pół i wydrażył scyzorykiem. Do środka włożył zapaloną świeczkę. Szedł tak przez całą drogę w deszczu, powolutku, żeby płomyk nie zgasł, między wysokimi zaspami śniegu, wśród gajów kasztanowców i bzu, i wielkich borówek, które być może są jagodami, ale czy to ważne? Wokół unosił się piękny zapach domowego chleba. Wielka rzeka, pełna żab i małych pijawek, targ zwierzęcy, gdzie sprzedano klacz, którą tak bardzo kochali, ale nie mieli pieniędzy na jedzenie. Szedł sobie trzyletni chłopczyk z chederu rabina Icla do domu, w którym jest pełno dzieci, braci i siostr. Będzie siedział i jadł pod stołem, jak szlachta. Rzeczywiście wyszli po niego rodzice, którzy o mało nie oszaleli ze zmartwienia. Zobaczyli, jak idzie ulicą Borochowa, powoli i ostrożnie, osłaniając dłonią świeczkę, przejęty i poważny niczym sportowiec z dalekiego kraju, przynoszący pochodnię na olimpiadę. Rodzice stali obok siebie i zwyczajnie nie wiedzieli, co począć. Momik popatrzył na nich i chciał powiedzieć coś ładnego, ale nagle twarz ojca zmieniła się i skurczyła, jakby czegoś się brzydził. Podniósł wielką rękę i z całej siły uderzył w świeczkę (nawet czubkami palców nie musnął Momika). Wpadła do małej kałuży i natychmiast zgasła.

– Dość już tych bzdur – powiedział ojciec dziwnym, zduszonym głosem. – Najwyższy czas, żebyś wziął się w garść i trochę znormalniał.

Od tamtej pory nie opowiadał już o miasteczku i o dzieciństwie. Motl nie wrócił. Może nie chciał. A może Momikowi nie było już z nim przyjemnie po tym, co się stało. W rezultacie znowu został sam z bestią, która ciągle się nie ujawniała.

W nocy mama pochyła się nad jego łóżkiem i wacha śmierdzące naftą nogi. Nagle mówi w jidysz coś strasznie zabawnego.

– Boże – mówi mama. – Może pójdziesz zabawić się inną rodziną?

Nie zapominajmy, że jednocześnie dzieją się wszystkie codzienne sprawy. Trzeba uważać, żeby nikt się nie zorientował, że coś jest nie w porządku. Żeby nie zaczęli zadawać pytań, wtrącać się. Trzeba się uczyć do klasówek i siedzieć codziennie w klasie, od ósmej do pierwszej. Można to wytrzymać, tylko wyobrażając sobie, że wszyscy dookoła są uczniami tajnej szkoły, w podziemiu. Za każdym razem, gdy na zewnątrz słychać kroki, muszą dobyć broni i przygotować się na najgorsze. Prócz tego trzeba zajmować się dziadkiem, który ostatnio zrobił się bardziej podenerwowany i rozdrażniony. Najwyraźniej *nazi* go dręczy. Poza tym Momik musiał wymyślać specjalne taktyki i zaklęcia za każdym razem, kiedy Naser, psiakrew, oznajmiał, że zatrzymano nasz statek na Kanale Sueskim. Były także denerwujące pocztówki z nazwiskiem Momika, który musiał co tydzień wysyłać coraz więcej kartek do obcych ludzi, skreślić pierwsze nazwisko na liście i dopisać pod spodem nazwisko innego dziecka. W przeciwnym wypadku wydarzy się, broń Boże, coś okropnego, jak bankierowi z Wenezueli, który zlekceważył te kartki, od razu zbankrutował i owdowiadł. Nie pytajcie, ile trzeba na nie wydać. Na szczęście w tym wypadku mama nie skąpiła i dała mu tyle, ile trzeba. Poza wszystkimi zwyczajnymi sprawami pozostał jeszcze kłopot z Lejzerem z siódmej klasy, który od trzech miesięcy zmusza Momika do oddawania kanapek. Na początku to naprawdę Momika przerażało, bo nie rozumiał, jak chłopiec starszy tylko o trzy lata może być tak okrutny, brutalny, a może zdesperowany, że się nie boi popełniać tak okropnego przestępstwa jak szantaż, za który grozi przecież więzienie. Ale od razu

zrozumiał, że skoro to już mu się przytrafiło, nie powinien się na tym koncentrować, bo musi zachować siły na ważniejsze rzeczy. Poza tym Lejzer i tak jest silniejszy. Co to pomoże, nawet jeśli będzie rozmyślał o tym przez cały czas, będzie upokorzony, będzie chciał umrzeć i będzie płakał z tego powodu? Ponieważ Momik jest chłopcem racjonalnym i metodycznym, który potrafi podejmować decyzje, poszedł do Lejzera i wyjaśnił logicznie, że jeśli dzieci zobaczą, jak codziennie daje mu kanapki, poskarżą nauczycielce. Zaproponował bardziej tajną metodę. Przystępca i szantażysta z blizną na czole, który mieszkał w obozie przejściowym, zaczął coś mówić ze złością, ale potem zastanowił się i umilkł. Momik wyjął z prawej kieszeni kartkę z listą sześciu bezpiecznych miejsc na terenie szkoły, w których można ukryć kanapki i skąd można je niepostrzeżenie zabrać. Odczytując listę na głos, poczuł, że Lejzer zaczyna żałować, i nabrał pewności siebie. Z lewej kieszeni wyjął drugą listę, dla Lejzera. Były na niej dni pierwszego próbnego miesiąca (jak wyjaśnił Lejzerowi), z notatką przy każdym, mówiącą, gdzie ukryje kanapki. Teraz było jasne, że Lejzer żałuje tego wszystkiego. Zaczął mówić, że dość tych bzdur, Helen Keller, to było tylko dla zabawy, komu potrzebne twoje śmierdzące kanapki. Momik go jednak nie słuchał, bo nagle poczuł, że jest silniejszy od przestępcy, i przynajmniej mógł powiedzieć: no dobrze, to skończyliśmy z tym całym szantażem, nie potrafił jednak przestać, prawie przemocą wepchnął Lejzerowi do ręki karteczkę i powiedział, że jutro zaczną. Następnego dnia schował kanapkę w umówionej kryjówce i zaczął się w zasadzce zgodzie z wszelkimi zasadami. Zobaczył, jak Lejzer podchodzi, zerka do kartki i rozgląda się na wszystkie strony, a potem szybko sięga po paczuszkę. Ale Momik zauważył także, że Lejzer wcale nie jest zadowolony, przeciwnie. Przygląda się ładnie zapakowanej torebce, jakby była czymś obrzydliwym. Jasne jednak, że nie ma wyjścia. Nawet jeśli nie chce, będzie musiał się podporządkować, żeby nie zepsuć genialnego, skomplikowanego planu, który okazał się silniejszy od nich obu. Poza tym Momik nie ustawał w walce z bestią najrozmaitszymi metodami, które wymyślał codziennie, bo był coraz mocniej przekonany, że nie może przegrać, że to sprawa decydująca. Zależy od niej los zbyt wielu ludzi. Jeśli

bestia nie wyjdzie z ukrycia, to tylko dlatego, że jest zbyt chytra i ma więcej doświadczenia. Jeśli postanowi się ukazać, zrobi to na pewno na oczach Momika, przy nikim innym na świecie, bo tylko on ośmiela się ją tak bohatersko prowokować, z absolutnym poświęceniem, jak żołnierze, którzy pierwsi idą w bój i padają na barykadach, by po ich ciałach mogli się wspinać towarzysze. Pod koniec zimy, kiedy wiatry po raz ostatni usiłowały zmieść Bejt Mazmil, Momik postanowił zmienić taktykę. Doszedł do wniosku, że aby wypłoszyć bestię, musi zrobić to, co najbardziej go przeraża, czego do tej pory unikał. Musi dowiedzieć się więcej o bestii i jej potwornych czynach, bo inaczej wszystkie starania pójdą na marne. Niestety, zmuszony jest przyznać, że nie wie, w jakim kierunku pójść. Taka jest prawda. W ten sposób Momik zaczął zajmować się Holocaustem i podobnymi rzeczami. Encyklopedia wówczas dotarła dopiero do litery D. Dlatego Momik w najgłębszej tajemnicy zapisał się do czytelnicy Domu Ludowego (rodzice nie chcieli pozwolić, aby należał do dwóch bibliotek). Dwa razy w tygodniu, po południu, jechał tam autobusem numer osiemnaście i czytał wszystko, co mieli na ten temat. W bibliotece był wielki regał z napisem: „Holokaust i bohaterowie wojenni”. Momik zaczął metodycznie czytać książki z półek, jedną po drugiej, jak to on. Czytał bardzo prędko, bo czuł, że czas ucieka. Co prawda, prawie nic nie rozumiał, ale jak zawsze wiedział, że w końcu mu się uda. Przeczytał *Tajemnice losu*, *Dzienniki Anny Frank*, *Przenocujcie mnie tej nocy*, *Fajfela*, *Dom dla lalek*, *Sprzedawców papierosów z placu Trzech Krzyży* i wiele książek tego rodzaju. Spotykał tam dzieci trochę podobne do siebie, które tak jak on przez całe życie podejrzewały w głębi duszy, o co chodzi. Rozmawiały z rodzicami w jidysz i nie musiały tego ukrywać. Najważniejsze jednak, że również walczyły z bestią.

Kiedy nie jechał do biblioteki, przesiadywał godzinami w ciemnej komórcie. Siedział tam od za kwadrans druga do zmroku, a nawet zostawał kilka minut dłużej, na zimnej podłodze, widząc połyskujące oczy zwierząt i słysząc pełne złości szmery, czując ich obojętność. Wiedział, że wszystko może się zacząć w każdej chwili, bo nawet bestia w końcu straci cierpliwość, kiedy się ją w ten sposób drażni, poznaje jej zbrodnie naukowo i metodycznie, codziennie

wyzywająco przed nią przesiaduje. Momik po prostu zmuszał się, aby wysiedzieć następną minutę, i jeszcze jedną. Siłą wbijał nogi w ziemię, żeby nagle same nie uciekły. Przez cały czas wydawał dźwięki, przypominające świszczący oddech albo skomlenie szczenięcia. Przypominał sobie, że dziadek także wydawał ciągle rozmaite odgłosy. Zostawał w środku także, kiedy z wąskiej szpary w oknie nie dochodziło już żadne światło i zapadały egipskie ciemności. Robił to, bo odczytał niezwykle ważną wskazówkę, ukrytą sprytnie w książce *Tajemnice losu*. Było tam napisane: „Z mroku wyłoniła się nazistowska bestia”.

Dzień po dniu. W czytelni dla dorosłych Domu Ludowego Momik siedział na wysokim krześle, nie sięgając nogami do ziemi. Powiedział bibliotekarzowi Hillelowi, że przygotowuje w szkole projekt o Holokauście. Nie zadawano mu więcej pytań. Czytał książki historyczne dla dorosłych o rzeczach, które robili naziści, łamiąc sobie język na rozmaitych słowach i wyrażeniach z tamtego okresu. Długo wpatrywał się w dziwne fotografie, nijak nie był w stanie zrozumieć, co przedstawiają i o co w nich chodzi. Czuł w głębi duszy, że zdjęcia powoli odsłaniają wielką tajemnicę, którą przed nim ukrywano. Widział rodziców, zmuszonych wybrać między dwojgiem dzieci: które z nimi zostanie, które odejdzie na zawsze. Próbował odgadnąć, jak wybierali. Widział żołnierzy, zmuszających starca, aby jeździł na innym starym człowieku jak na koniu. Widział zabijanie na wiele rozmaitych sposobów, które nigdy nie przyszłyby mu do głowy. Widział zdjęcia grobów, w których pogrzebano wielu zmarłych jednocześnie, w dziwnych pozach – jeden leżący na drugim, z nogą na twarzy kogoś innego, a jeden z całkiem przekreconą głową. Nawet gdyby próbował, nie byłby w stanie przekreślić głowy w taki sposób. Stopniowo zaczął rozumieć nowe rzeczy. Na przykład: jak kruche jest ludzkie ciało, że można je złamać na różne sposoby, wyginać w różne strony, jeśli tylko ktoś chce. Jak nietrwała jest rodzina, jeśli ktoś zechce ją rozdzielić. Może się to zdarzyć w jednej chwili i wszystko jest skończone raz na zawsze. Momik wychodził z biblioteki o szóstej zmęczony i cichy. W drodze do domu, w autobusie, nic nie widział i nie słyszał.

Prawie codziennie uciekał ze szkoły na dużej przerwie i omijając ulicę z budką totolotka, biegł do sklepiku Beli. Przybiegał bez tchu i ciągnął ją za rękę do kąta (jeśli akurat miała klientów). Natychmiast zaczynał wypytywać szeptem, który był prawie krzykiem: Belu, co to znaczy pociągi śmierci? Dlaczego zabijali także małe dzieci? Co czują ludzie, którzy kopią sobie grób? Czy Hitler miał mamę? Można się myć mydłem z ludzi? Gdzie dzisiaj zabijają? Co to znaczy *Jude*? Co to znaczy doświadczenia na ludziach? Co, co i co. Jak, jak i jak. Bela, która sama dostrzegała powagę sytuacji, odpowiadała mu, niczego nie ukrywając. Tylko smutniała coraz bardziej. Także Momik trochę się martwił. Nie denerwował się, tylko martwił. Sytuacja pogarszała się z dnia na dzień. Bestia zwycięża, to jasne. Chociaż wie o niej wszystko, chociaż nie jest już głupiutkim dziewięciolatkiem jak kiedyś, który wierzy, że bestia może wyjść z jeża, biednego kota, a nawet kruka, mimo wszystko okazało się, że bestia zwycięża. Momik nie rozumie do końca, jak się to stało. W jaki sposób ze zwykłych rozmyślań i fantazji powstało coś podobnego. To pewne, że bestia istnieje. Czuje ją w kościach, jak Bela czuje nadejście deszczu. Wydaje się, że w swojej głupocie zbudził ją z długiego snu i nakłonił do wyjścia. Tak samo Jehuda Ken-Dror na przejściu w Mitli sprowokował Egipcjan do strzałów, aby się ujawnili. Ale Jehuda Ken-Dror miał towarzyszy, którzy go osłaniali, a Momik jest sam. Teraz musi walczyć do końca, chociaż nikt go nie pytał, czy chce. Doskonale wie, że jeśli tylko spróbuje uciec, bestia będzie go ścigać na koniec świata (wszędzie ma szpiegów i sprzymierzeńców) i zrobi mu powoli to wszystko, co innym, ale o wiele bardziej chytrą i szatańską metodą. Kto wie, jak długo będzie go torturować i jak się to skończy?

Momik był sam, bez pomocy znikąd. W końcu udało mu się obmyślić sposób wypłoszenia bestii ze zwierząt w komórce. Było to tak proste, że aż dziwne, dlaczego wcześniej na to nie wpadł. Przecież nawet wiecznie śpiący żółw przypominał sobie, że jest żółwiem, wachając obierki z ogórków, a kruk stroszył pióra, gdy Momik przynosił mu mięso. Momik pojął, że trzeba pokazać bestii jej ulubione pożywienie, czyli Żydów.

Zaczął się dokładnie i ostrożnie do tego przygotowywać. Przede

wszystkim przerysowywał do zeszytu obrazki z książek w bibliotece. Zapisywał rozmaite informacje, żeby zapamiętać, jak wygląda Żyd, jak Żyd patrzy na żołnierzy, jak się boi, jak stoi w szeregu, jak kopie grób. Zapisywał szczegóły na temat Żydów, znane mu z doświadczenia, na przykład: jak wzdychają, jak krzyczą przez sen, jedzą kurczaka i tak dalej. Momik działał jak prawdziwy naukowiec i detektyw w jednym. Weźmy na przykład chłopca w kaszkiecie, który unosi ręce. Momik próbował domyślić się ciekawych szczegółów o tym chłopcu. Na przykład: jak wyglądała bestia, którą ujrzał w tamtej chwili? Czy umiał gwizdać na palcach i czy słyszał, że Chodorow to nie tylko miasteczko, ale słynny bramkarz, co zrobili jego rodzice, że musiał w ten sposób podnosić ręce, i gdzie byli, zamiast go chronić. Czy był religijny, czy zbierał prawdziwe znaczki kraju TAM i czy w ogóle wyobrażał sobie, że w Państwie Izrael, na osiedlu Bejt Mazmil, mieszka chłopiec Momik Neumann. Tylu rzeczy trzeba się nauczyć, żeby być prawdziwym Żydem, mieć żydowską twarz i żeby ciało wydzielalo dokładnie taki sam zapach, jak choćby ciało dziadka, pana Munina, Maksa i Moryca. Wiadomo, że czując ten zapach, bestia nie będzie w stanie się opanować. Dzień w dzień Momik siedział przed klatkami praktycznie bez ruchu, patrząc przed siebie niewidzącym wzrokiem i starając się nie zasnąć. Ostatnio, sam nie wie, dlaczego czuje się bardzo zmęczony, nie może się skoncentrować ani poruszyć. Czasami przychodzą mu do głowy niedobre myśli, na przykład: po co mu to wszystko? Dlaczego właśnie on ma walczyć samotnie przeciwko wszystkim, dlaczego nikt się tym nie zajmie i nie zauważy, co się dzieje, ani rodzice, ani Bela, ani dzieci w klasie, ani pani Neta, która potrafi tylko krzyczeć, że Momik coraz gorzej się uczy. Nie troszczy się też o niego Dag Hammarskjöld z Organizacji Narodów Zjednoczonych, który właśnie przyjechał z wizytą do Izraela i odwiedził nawet Sde Boker, żeby zjeść śniadanie z Ben Gurionem. Dag Hammarskjöld, który stworzył UNICEF i ratuje dzieci w Afryce i Indiach od malarii i innych cholerstw, na wojnę z bestią nie ma czasu. Trzeba przyznać, że czasami Momik siedzi, na wpół drzemiąc, w komórce i zazdrości bestii. Tak, tak. Zwyczajnie zazdrości, że jest tak silna, że nigdy nie czuje wyrzutów sumienia i może sypiać także po tym wszystkim, co zrobiła. Być może nawet lubuje się

swoim okrucieństwem, rozkoszuje, jak wujek Szymek, kiedy drapie się go w plecy. Może nawet ma rację i fajnie jest być tak okrutnym. Prawdę mówiąc, Momik ostatnio czuje zadowolenie, gdy zrobi coś złego. Szczególnie, gdy zapada ciemność i zaczyna się bać jeszcze bardziej, jeszcze bardziej nienawidzi bestii i całego świata. Wtedy nagle czuje gorąco w całym ciele, ale przede wszystkim w sercu i głowie, aż prawie pęka z nadmiaru uczuć i złości. Ma ochotę rzucić się na klatki, porozbijać je na kawałki, miażdżąc wszystkie głowy bestii bez zastanowienia i bez litości, a nawet kaleczyć się jej pazurami, zębami i dziobami, zderzyć się z nią z całej siły, żeby raz wreszcie poczuła to, co on. Ale może lepiej tego nie robić, lepiej po prostu ją zabić, zgnieść, zdeptać, zadręczyć i wysadzić w powietrze. Teraz można nawet zrzucić na nią bombę atomową, prosto na głowę, bo w gazecie w końcu pojawił się artykuł o reaktorze, wielkim i przerażającym, wznoszącym się na złocistych piaskach Nachal Rubin niedaleko Riszon Le-Cijon. Góruje dumnie nad błękitnymi falami morza, a pod jego monstrualną kopułą rozbrzmiewają radosne uderzenia młotów robotników. Tak napisano w gazecie „Jedijot”. Co prawda napisano także, że to wszystko wyłącznie dla pokoju, ale Momik doskonale umie czytać między wierszami, jak to się mówi. Świetnie rozumie uśmieški Beli, której syn jest wysokiego stopnia oficerem. Dla pokoju, jasne. Niech wysadzą w powietrze wszystkich Arabów, psiakrew. Trzeba jednak przyznać, że bestia nie przejmuje się specjalnie groźbami. Czasami wydaje się Momikowi, że właśnie wtedy, kiedy staje się agresywny i pełen nienawiści, bestia uśmiecha się chytrze po ciemku. Momik nie wie, co robić, boi się coraz bardziej i uspokaja się na siłę, ale jak długo będzie miał jeszcze siłę, żeby się samemu uspokoić? Po obudzeniu wzdryga się ze strachu, widząc, gdzie się znajduje. Czuje odór zwierząt, którym tak przesiąkł, że czasami wydaje mu się, jakby wychodził z jego ust. Nie wstaje, chociaż zmrok zapadł dawno temu. Rodzice pewnie umierają ze strachu, nie wiedząc, gdzie jest. Zęby tylko nie przyszło im do głowy tu zejść, o nie, lepiej, żeby nie przychodzili. Momik siedział po ciemku jeszcze jakiś czas, zapadając w drzemkę i budząc się na zimnej podłodze, owinięty wielkim, starym płaszczem taty, do którego przyczepił szpilkami żółte tekturowe łaty. Czasem, kiedy po



przebudzeniu przypominał sobie o tym, wyciągał ręce do zwierząt i pokazywał im, co na nich przykleił klejem do plastiku: odcinki zużytych kuponów totolotka, które zebrał z ziemi koło budki i powycinał z nich numery. Jeśli to nie wystarczało, Momik siadał wyprostowany, wzdychając lub kaszląc. Przed pójściem do domu kusił bestię po raz ostatni w naprawdę okropny sposób. Odwracał się do niej plecami i tuż przed jej nosem siedział jeszcze kilka minut, przepisując w egipskich ciemnościach do czwartego z kolei zeszytu kilka linijek z *Dziennika Anny Frank*, która się przed NIA ukrywała. Za każdym razem, kiedy kończył przepisywać poruszający fragment z książki (ukradzionej z biblioteki Domu Ludowego), długopis zaczynał drżeć i nagle Momik czuł, że musi napisać jeszcze kilka linijek o pewnym chłopcu, który nazywa się Momik Neumann, który także się ukrywa, walczy i boi się. Najdziwniejsze, że pisał to tak samo jak ona, to znaczy jak Anna.

Czasami po obiedzie, kiedy Momik chciał się pozbyć dziadka, położyć go spać i zejść szybko do komórki, dziadek przyglądał mu się w szczególny sposób, jakby prosił wzrokiem, żeby go wypuścić na chwilę na dwór. Chociaż często pada zimny deszcz, Momik czuje, jak bardzo dziadek cierpi w domu, i zgadza się. Wkładają płaszcze i wychodzą, zamykając drzwi na dolny zamek. Momik trzyma dziadka za rękę i czuje, jak ciepłe strumyki opowieści przepływają do jego dłoni, docierają aż do mózgu. Dziadek nie zauważa, że Momik czerpie z niego siłę. Chłopiec ściska dłoń dziadka coraz mocniej, aż w końcu dziadek wyrzywa ją z krzykiem, z takim wzrokiem, jakby rozumiał.

Siadają na wilgotnej zielonej ławce i przyglądają się poszarzałej ulicy, której kontury zamazują się za zasłoną deszczu, patrzą, jak mgła zmienia kształty i wszystko wydaje się całkiem inne, okropnie smutne. Spośród gnanych wiatrem liści wynurza się nagle czarny płaszcz z długimi połami, blond peruka albo dwóch idiotów, myszkujących po kubłach na śmieci. Przy ławce gromadzą się przyjaciele dziadka, choć nikt ich nie zawiadomił o jego obecności. Także u Beli otwierają się drzwi i niziutki sympatyczny pan Markus schodzi po schodkach, choć Bela błaga, żeby nie wychodził. Kiedy zobaczyła, że jest tam także Momik, oho, ale zaczęła krzyczeć, żeby zabrał dziadka i wracał

natychmiast do domu, ale Momik tylko na nią popatrzył bez słowa. W końcu dała za wygraną i ze złością zatrzasnęła drzwi.

Pan Aharon Markus usiadł z westchnieniem. Wszyscy, także z westchnieniem, posunęli się, żeby zrobić mu miejsce. Momik wzdychał razem z nimi. Było mu przyjemnie. Nie bał się już tików pana Markusa, które sprawiały, że ten wyglądał, jakby miał sto lat. Pewnego razu zapytał Belę, czy to przez jakąś chorobę, broń Boże. Bela odparła, że nie powinien być wścibski i zawracać jej głowy o ojca błogosławionej pamięci Chaskiela. Nie musi się opowiadać przemądrzałym dzieciakom, które wszystko zawsze wiedzą najlepiej. Co mu zostanie do nauki, kiedy będzie miał dziesięć lat? Ale Momik oczywiście nie ustąpił. Przecież go dobrze znacie. Wszystko dokładnie przemyślał. Po pewnym czasie wrócił i oświadczył, że zna odpowiedź. To było zabawne, bo Bela całkiem zapomniała, o co chodzi, ale Momik jej przypomniał. Powiedział, że pan Markus wykrzywia się, bo kiedyś uciekł z pewnego miejsca (Momik nie chciał powiedzieć wprost: TAM) i nie chce, aby ktoś rozpoznał jego prawdziwą twarz, żeby go złapano. Bela zacisnęła wargi niby ze złością, ale widać było, że powstrzymuje uśmiech, i odparła, że być może jest odwrotnie. Może pan Markus chce zachować w pamięci twarze rozmaitych ludzi, którzy byli razem z nim w pewnym miejscu. Nie chce przed nimi uciekać, ale być wśród nich. Co ty na to, Einsteinie? Ta odpowiedź powaliła Momika na kolana, jak to się mówi. Od tamtej pory patrzy na pana Markusa całkiem inaczej. Istotnie, odkrył na jego twarzy oblicza wielu obcych ludzi. Mężczyzn, kobiet, starców i dzieci, a nawet niemowląt. Nie wspominając o tym, że wszyscy wciąż robili rozmaite miny, które ciągle się zmieniały. To najlepszy dowód, że także pan Markus bierze udział w potajemnej wojnie.

Deszcz padał, a staruszkowie rozmawiali. Trudno się zorientować, w którym momencie pomruki i westchnienia przechodzą w prawdziwą rozmowę. Opowiadali to samo, co zawsze. Momik znał te historie na pamięć, ale lubił słuchać ciągle od nowa. Sonia ruda i Sonia czarna, kulawy Chaim Icze, który grał *Sarele* na wszystkich weselach, i wariat, który nazywał się Hiob. Uwielbiał landrynki. Dzieci prowadziły go na sznurku jak psa, robiły z nim wszystko w

zamian za obietnicę cukierków. Duża i piękna mykwa, którą u nas zbudowano, i jak wszyscy zanosili czulent we czwartki do piekarni, żeby gotował się przez całą noc, wypełniając sztetl swoim aromatem. Można odpocząć trochę od wojny, od bestii i smrodu panującego w komórce. Można o wszystkim zapomnieć i jakby przestać istnieć. I właśnie w tej chwili, jak na złość, *ofceluchus*, jak mówią u nas, przychodzi Momikowi do głowy okropna, męcząca myśl. Wizja wielkiej ręki, która uderza świeczkę i świeczka upada, ogień syczy „tsss” w kałuży. Wyraz twarzy ojca w tamtym momencie i słowo, którego użył. Momik prostuje się nagle, unosi głowę z ramienia Chany Cytryn, na którym mimowolnie się oparł, i mówi silnym, przekonującym głosem, że w ważnym meczu, który rozegramy niebawem we Wrocławiu, pobijemy Polaków dziesięć do zera, sam Stelmach wbije pięć goli. Starcy umilkli i wpatrzyli się w niego, nie rozumiejąc. Chana Cytryn powiedziała smutnym, dźwięcznym głosem: *Alter kap*. A Jedidja Munin, siedzący z drugiej strony, wyciągnął chudą, owłosioną rękę. Wcale nie zamierzał uszczypnąć Momika w policzek, tylko ujął go łagodnie pod brodę i powoli przyciągnął do siebie. Kto by pomyślał, że Momik się zgodzi, aby Munin zrobił coś takiego, i to jeszcze na dworze, ale teraz jest trochę zmęczony i nie przejmuje się, przytula twarz do dziwnie pachnącego czarnego płaszcza. Momik myśli, że to dobrze, że nie jest sam, że są z nim wszyscy potajemni wojownicy. Jak grupa partyzantów, walczących ramię w ramię. Usiedli na chwilę w lesie, żeby odpocząć przed decydującym starciem. Ktoś z zewnątrz wzięłby ich za szaleńców, ale co tam. Przyjemnie jest przytulić się do płaszcza Munina wśród przyjaciół, poczuć policzkiem szorstkość wełny, słyszeć ciche tykanie zegarka w kieszeni i bicie serca, które wydaje się dochodzić z bardzo daleka. Tak jest dobrze.

Tej nocy wydarzyło się coś potwornego. Nagle w zaułku rozległy się straszliwe krzyki. Było to o godzinie jedenastej czternaście, według zegarka Momika. Ludzie zaczęli podnosić żaluzje i zapalać światła. Bestia wychodzi z ukrycia, pomyślał Momik i naciągnął kołdrę na głowę. Nie były to jednak wrzaski zwierzęcia, lecz kobiety, więc natychmiast wyskoczył z łóżka, pobiegł do okna i podniósł żaluzje. Rodzice zawołali z drugiego pokoju, żeby zamknął, ale

od dawna ich nie słucha. Wyrzwał i zobaczył prawdziwą nagą kobietę, biegającą we wszystkie strony, *krzyczącą* na całe gardło. Nie dało się nic zrozumieć. Chociaż księżyc był prawie w pełni, dopiero po kilku minutach Momik dostrzegł, że to Chana Cytryn, bo na ziemię spadła ładna blond peruka. Pod spodem Chana była łysa. Miała ogromne piersi, które kołysały się na wszystkie strony. Na szczęście u dołu widać było niewielki trójkącik, jakby kawałek czarnego futerka. Chana Cytryn, która jeszcze po południu siedziała z nim na ławce jak dobra przyjaciółka, podniosła ręce i krzyczała w jidysz: Boże, Boże, ile jeszcze mam na Ciebie czekać?! Ludzie zaczęli wołać: Cicho! Idź do domu, wariatko, jest środek nocy! Ktoś z drugiego piętra w domu, w którym mieszka antypatyczne młode małżeństwo, zwyczajnie wylał kubel zimnej wody, mocząc Chanę od stóp do głów. Nie przestała jednak biegać, załamując ręce. Kiedy mijała uliczną latarnię, wszyscy zauważyli, że makijaż spłynął jej z twarzy. Nagle zapaliło się światło na klatce schodowej Beli. Bela zeszła na dół i zarzuciła Chanie na ramiona wielki koc. Chana stała nieruchomo ze spuszczoną głową i drżała z zimna. Bela zaczęła prowadzić ją pomalutku, ale nagle zatrzymała się i zawołała: Dranie! A przechodząc pod domem antypatycznego małżeństwa: Jesteście gorsi od tamtych! Bóg wam odpłaci w dwójnasób! Potem zniknęły wśród czarnych cyprysów rosnących wokół domu Chany, a światła w mieszkaniach zaczęły gasnąć jedno po drugim. Momik także opuścił żaluzję i wrócił do łóżka.

Ale zobaczył coś jeszcze, czego nie widział nikt inny. Gdy Chana biegła nago, pan Munin wyszedł z synagogi i stał na podwórku, częściowo w ciemności, a częściowo w blasku księżyca. Nie miał okularów i kiwał się w przód i w tył. Patrzył na Chanę błyszczącymi oczami. Ręce trzymał gdzieś w dole, w mroku, i Momik widział, jak drżą mu ramiona i poruszają się wargi. Nie mógł zrozumieć słów, ale domyślał się, że to okropnie ważne. Może właśnie zdradza wielką tajemnicę na temat bestii i sposobów walki z nią. Momik chciał zawołać, że nic nie słyszy, że chociaż jest bardzo blisko, nie może go dosłyszeć. Nagle Munin rozwarł szeroko oczy i usta, i zakołysał się, jakby ktoś nim potrząsnął z całej siły. Jak wielki czarny ptak podniósł ręce, zaczął podskakiwać w miejscu i

krzyczeć bezgłośnie. Niczym marionetka na sznurku. Ale nagle sznurek został przecięty i Munin padł na ziemię jak łachman. Leżał tak przez dłuższy czas. Momik słyszał, że pojękuje niczym oszalały kot jeszcze długo po tym, jak wszystko się skończyło. Rano go tam nie było.

Bestia wyczuła podstęp i nie wyszła. Zawiodły wszystkie metody. Najwidoczniej doskonale potrafi odróżnić prawdziwego Żyda od Momika, udającego Żyda. Gdyby chociaż wiedział, na czym polega różnica, mógłby zrobić wszystko, co trzeba. Niestety, nie wie. Zaczął przypominać cień samego siebie i dostał nowego tikę, jak mawia Bela. Zaczął wzdychać jak stary człowiek, nawet w szkole. Wtedy wszyscy wybuchnęli śmiechem. Tylko jedna dobra rzecz przytrafiła mu się ostatnio. W biegu na sześćdziesiąt metrów był piąty w klasie. To zdarzyło się po raz pierwszy. Akurat teraz, kiedy nie ma na nic siły. Wszyscy powiedzieli, że biega jak czeski sportowiec Zatopek. Śmiali się tylko, że przebiegł prawie cały dystans z zamkniętymi oczami, robiąc miny, jakby gonił go potwór. Ale przynajmniej zobaczyli, że potrafi, jeśli bardzo chce. Nawet Alex Tuchner, który był kiedyś jego kolegą przez dwa tygodnie i Momik trenował go w biegach codziennie w dolinie Ejn Kerem, aż Alex pobił rekord klasy i dostał się do reprezentacji szkoły, nawet on podszedł, mówiąc: Gratulacje, Helen Keller. Ale to niczego nie zmieniło.

Bili i Motl zniknęli, nie udało się przywołać ich z powrotem. Jakby bestia skuła lodem mózg Momika. Wszyscy to czuli. Bela nie zgadzała się już odpowiedzieć na ani jedno pytanie. Na jego błagania oznajmiła, że i tak ma wyrzuty sumienia, jak bardzo zaszkodziła mu do tej pory, i odsyłała go, żeby poszedł się pobawić z rówieśnikami. Nie mówiła tego jednak z gniewem, lecz ze współczuciem, co było jeszcze gorsze. Także rodzice zaczęli dziwnie na niego patrzeć, widać było, że lada chwila wybuchną. W ogóle zaczęli się dziwnie zachowywać. Przede wszystkim sprząтали dom jak szaleni, myli i szorowali wszystko codziennie (w tym okna i podłogi), tak że w domu nie pozostała ani odrobina kurzu, a oni mimo wszystko czyścili go na okrągło. Pewnej nocy, kiedy Momik wstał siusiu, zobaczył, że wszystkie światła w domu się palą, a rodzice na klęczkach czyszczą nożami szpary między płytkami w kuchni. Kiedy

zobaczyli, że ich widzi, uśmiechnęli się jak dzieci przyłapano na psocie. Momik nic nie powiedział, a następnego dnia rano udawał, że nie pamięta. Kilka dni później, w sobotę, Bela powiedziała coś mamie i mama zbladła jak ściana. W niedzielę rano od razu zaprowadziła Momika do przychodni, do doktor Erdreich. Lekarka zbadła go od stóp do głów i powiedziała mamie, że to na sto procent nie TA choroba. Tak nazywano wtedy paraliż dziecięcy, którym mimo szczepionek i zastrzyków co roku zarażało się kilkoro dzieci. Zapisała witaminy i tran, który miał zażywać dwa razy dziennie, ale nic nie pomogło. Bo jak? Chociaż rodzice Momika zaczęli jadać jeszcze większe kolacje, a teraz także jego zmuszali do przełykania, widzieli wyraźnie, że dziecko marnieje w oczach i nie mogą nic na to poradzić. Trzeba przyznać, że naprawdę próbowali wszystkiego. Sprowadzili z Mea Szearim malutkiego brodatego rabina, który toczył po ciele Momika jajko na twardo, szepcząc przy tym rozmaite słowa. Poszli nawet do pani Mirandy Bardogo, która była nieomal królową Bejt Mazmil, przystawiała pijawki i leczyła rozmaite dolegliwości. Nie zgodziła się jednak przyjść przez to, co stało się z jej pijawkami, kiedy przystawiono je ojcu do rąk. Mama przesiadywała wieczorami w kuchni z Belą i piły herbatę. Trzeba coś zrobić, mówiła Bela ze łzami współczucia. Popatrz, jak on wygląda, zostały z niego same oczy. Mama jak zwykle zaczynała płakać razem z nią i powtarzała: Żebyśmy tylko wiedzieli, co zrobić. Podaj nazwisko lekarza, a pójdziemy do niego. Ja i bez lekarza wiem, co mu jest. Sama mogę być lekarzem od smutku, na to cierpi Szlomo. Żaden lekarz mu nie pomoże, uwierz mi. Przywieźliśmy to stamtąd, to siedzi w nas wszędzie. Tylko Bóg może nam pomóc. Bela westchnęła, wydmuchując hałaśliwie nos, i powiedziała: Oj, żeby tylko Bóg nam dopomógł, żeby nam pomógł.

To były naprawdę złe dni. Wszyscy wokół byli przestraszeni, nie wiedzieli, co zrobić. Czekali, aż Momik naprawi się sam, nie mieli odwagi poruszyć się ani odetchnąć. Byli całkiem od niego zależni. Kiedy się poruszał, wszyscy poruszali się razem z nim. Miało się wrażenie, że uliczka zmieniła się całkiem, że przez cały czas rozlegają się na niej głosy dawno umarłych ludzi, opowieści, które tylko tu pamiętano, słowa, które tylko tutaj rozumiano i do

których tęskniono. Chana Cytryn wychodziła prawie co wieczór i wyzywała Boga, a wszyscy czekali cierpliwie, aż Bela do niej zejdzie. Kiedy ktoś patrzył do góry, czasami na niebie, wśród chmur i wierzchołków drzew, widać było przelatujący szybko cień i coś jakby czarny płaszcz z połami, błysk szkieł okularów. Po chwili Munin lądował obok Momika, który z trudem powłóczył nogami, rozglądał się ostrożnie (bo z jakiegoś powodu Muninowi nie wolno było zbliżać się do dzieci), kładł mu rękę na ramieniu i szedł razem z nim swoim dziwnym krokiem (to przez przepuklinę), szepcząc mu do ucha o gwiazdach, Bogu, sile odśrodkowej i o tym, gdzie czeka nas szczęśliwe życie, nie tutaj, nie tutaj. Zgasły papieros podrygiwał na jego górnej wardze. Munin szeptał Momikowi fragmenty Tory i ksiąg z synagogi, śmiejąc się niesamowitym śmiechem kogoś, kto zamierza wkrótce uporządkować świat. Momik nie miał już do niego siły.

Codziennie był cały rozpalony, ale termometr nie pokazywał gorączki. Miał uczucie, że mózg robi mu *ofceluchus* i zmusza do myślenia o niedobrych rzeczach. Zaczął mieć koszmary i krzyczeć przez sen. Rodzice podbiegli do jego łóżka, błagając niemo, żeby przestał, żeby był taki jak kiedyś, zaledwie kilka miesięcy wcześniej. Ale dość, nie miał już siły udawać, że jest szczęśliwy, nawet przez sen, oj, luli, luli. Co się z nim dzieje, co się dzieje? Wszystko się zepsuło, bestia zwycięża, udało jej się go pokonać, jeszcze zanim wyszła. Momik uderzył ręką w poduszkę, która była całkiem mokra, i zauważył, że ma skurczone palce, pewnie ze strachu. Bił coraz mocniej, z krzykiem, aż rodzice przyszli i rozplakali się. Potem zasnął i obudził się szybko z nowego koszmaru. Zobaczył Motla, idącego ulicą obcego miasta. Był mały i chudy, poruszał się dziwnie. Momik ucieszył się i zawołał go po imieniu. Ale Motl nie słyszał albo udawał. Na rogu Momik ujrzał budkę z totolotkiem, w której siedzieli ściśnięci smutni rodzice, na końcu złotego promienia, namalowanego na szyldzie loterii. Wtedy okazało się, że to w ogóle nie jest ulica, lecz rzeka, może San, a może nie, i budka z totolotkiem kołysze się na falach niczym łódeczka. Motl szedł do tej łódeczki przez wodę, ale w ogóle się nie zamoczył, i nie udało mu się do niej dotrzeć. W miarę jak się zbliżał, ona się oddalała. Nagle skądś zjawili się kilku chłopaków i

jeden dorosły, którzy zaczęli okrażać Motla. Bez żadnego powodu jeden z nich podszedł i uderzył go pięścią w twarz. W jednej chwili skoczyli na niego wszyscy, bijąc go i kopiąc, krzycząc jeden do drugiego: Daj mu w zęby, Emil! Przyłóż mu w brzuch, Gustaw! Momik o mało nie zemdleł, bo domyślił się, że to Emil i detektywi, którzy dorośli w Niemczech. Mężczyzna, który przygląda się z boku, śmiejąc się do siebie, to na pewno policjant Jeszke, który czasami przychodził na filiżankę kawy do mamy Emila. Motl leżał półżywy, cały zakrwawiony. Momik obejrzał się na rodziców i zobaczył, że wiosłują w inną stronę. Mama popatrzyła na Momika, mówiąc: Boże, dopomóż, ja już pomóc nie mogę. Bela nagle wyszła ze swego okna (jak się tam znalazła?) i zaczęła wołać: Dranie! Zęby chociaż jedno z was było popołudniami w domu, nie macie pojęcia, z kim on się zadaje. Mama wzruszyła ramionami, mówiąc: My już nie mamy na to siły, pani Belu, siły opuściły nas dawno temu. Tak to jest, każdy w końcu zostaje sam. Wiosłowali i wreszcie znikli. Kiedy Momik spojrział ponownie na Motla zauważył, że rzeka to ogromny strumień ludzi, napływających z bocznych uliczek. Kiedy przyjrzał się uważniej, zauważył, że niektórzy są mu znani. Były tam wszystkie dzieci z sekretnych piątek, szóstek i siódemek, dzieci kapitana Nemo, a także Sherlock Holmes z doktorem Watsonem. Wszyscy śmiali się i nawoływali, tocząc przed sobą wesoło dziwne małe pakunki. Kiedy podeszli bliżej, dostrzegł, że te pakunki to jego dobrzy przyjaciele, Kajtuś czarodziej, brat Elias, Anna Frank i Dzieci Serca z opowieści dziadka, był tam nawet mały Kazik. Momik obudził się z krzykiem. Tak zdarzyło się jeszcze wiele razy w ciągu tej nocy. Rano, leżąc w przepoconej pościeli, Momik pojął, że zrobił ogromny błąd. Kierował wszystkie wysiłki w złą stronę. Bestia widać wie, że Momik nie jest Żydem w wystarczającym stopniu. Musi się postarać o prawdziwego Żyda, kogoś, kto naprawdę tam był, kto w parę sekund sprowokuje bestię do wyjścia, a wtedy zobaczymy. Momik wiedział także, kto najlepiej się do tego nadaje.

Dziadek Anszel bez zdziwienia przyjął wielki sekret, który powierzył mu Momik, prosząc o pomoc. Momik zdawał sobie sprawę, że dziadek nic nie rozumie, ale żeby być całkiem w porządku, wyjaśnił wprost wszystkie kłopoty i zagrożenia. Z drugiej strony mówił także, że trzeba raz na zawsze uwolnić



rodziców od strachu. Mówiąc to, poczuł, że nie wierzy już sobie samemu, bo to nie rodziców trzeba uratować. Komu w ogóle potrzebna ta bestia, niech dalej sobie śpi i zostawi nas w spokoju. Nie miał jednak wyjścia. Musiał dalej mówić, przekonywać i ciągnąć całą sprawę. Na zakończenie powiedział dziadkowi, że ponieważ to tak ważna decyzja, daje mu trzy dni do namysłu. Oczywiście, to było tylko tak, dla zasady.

Dziadek nie potrzebował wcale trzech dni, bo od razu podjął decyzję. Pokiwał głową tak gwałtownie, że Momik przestraszył się, żeby, broń Boże, nie zrobił sobie czegoś z szyją. Można by pomyśleć, że coś zrozumiał i przez cały czas tylko czekał, aż Momik do niego przyjdzie, może w ogóle w tym celu do nich trafił. Momik od razu poczuł się odrobinę lepiej.

Przygotowując komórkę na cześć pierwszej wizyty dziadka, czuł się prawie odświętnie. Przede wszystkim przyniósł z góry miotelkę z kolorowych piór, którą mama odkurza meble, i zamiótł brudną podłogę. Potem wyciągnął spod sterty rozmaitych gratów stołeczek, na który mówi się *benkale*, i ustawił go pośrodku. Postanowił, że będzie to miejsce dla dziadka. Poza tym rozwiesił na ścianie obszerny płaszcz ojca z żółtymi łatami, rozpościerając szerokie rękawy po obu stronach. Potem wydarł z fałszywego zeszytu do wychowania obywatelskiego kartki, na których przerysował zdjęcia z książek w bibliotece, i przykleił je na ścianach taśmą klejącą. Rozejrzał się wokół i powiedział dwa razy *zejer szajn*, bardzo ładnie, zacierając ręce i chuchając na nie, jakby rozpalał malutki ogienek. Potem wrócił do mieszkania i zamknął drzwi. Zobaczył, że dziadek usnął po obiedzie z głową na stole, obok talerza z kurczakiem. Cienka strużka śliny ciekła mu z ust. Momik łagodnie go obudził i wyszli z domu, zamykając drzwi na dolny zamek. Zeszli ostrożnie po schodach, Momik otworzył drzwi do komórki i wszedł pierwszy, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Przyprowadziłem ci go, powiedział szybko i cicho, a potem odsunął się na bok (serce łomotało mu w piersi), przepuszczając dziadka. Wtedy dopiero odważył się otworzyć oczy, bo usłyszał, że nic się nie dzieje. Istotnie, nic się nie wydarzyło. Wziął dziadka za rękę i pociągnął na środek, okręcając powoli w prawo i w lewo, żeby zapach się rozszedł. Przez cały czas obserwował zwierzęta i

zauważył, że trochę się ożywiły, ale nic poza tym. Dziadek w ogóle nie wyczuł ich obecności, kiwał się tylko jak kukła, gadając do siebie.

Cóż, powiedział sobie Momik, przecież i tak nie miał nadziei, że coś wydarzy się tak szybko. Może bestia zapomniała z czasem, jak pachnie prawdziwy Żyd, i trzeba cierpliwie poczekać, aż sobie przypomni. Posadził dziadka na stołeczku. Prawdę mówiąc, dziadek trochę się opierał, ale Momik nie miał czasu na takie bzdury i po prostu położył mu ręce na karku i powoli naciskał, aż dziadek poddał się i usiadł. Momik usiadł na podłodze naprzeciwko i kazał mu zacząć mówić. Dziadek spojrzał na niego dziwnym wzrokiem, jakby się go bał czy coś podobnego. Dlaczego nagle miałby się go obawiać? Jeśli będzie robił wszystko, co Momik mu każe, nie ma powodu do strachu. Mów, słyszysz mnie!? – wrzasnął nagle Momik na całe gardło. Mów natychmiast, bo jak nie... I dziadek rzeczywiście zaczął mówić, bardzo szybko, z kącików ust pociekła mu obrzydliwa ślina. To akurat odpowiadało Momikowi. Powiedział: Ruszaj się! I dziadek zaczął się poruszać jak zawsze, jakby wiedział. Momik przygląda mu się w największym skupieniu, żeby sprawdzić, czy robi wszystko jak trzeba. Co chwilę zerkał na klatki, na zamknięte walizki i podarte materace. W duchu krzyczał: *Jude! Jude!* Przyprowadziłem ci *Jude* takiego jak lubisz, prawdziwego *Jude*, który wygląda i pachnie jak *Jude*, dziadka i wnuka. No już...

Przez następne dni Momik robił całkiem rozpaczliwe rzeczy. Siedzieli razem na podłodze, jedząc czerstwy chleb. Momik śpiewał szeptem partyzanckie piosenki po hebrajsku i w jidysz oraz odmawiał modlitwy ze świątecznego modlitewnika taty. Przykleił na ostatniej wolnej ścianie kartki wyrwane z książki Anny, ale bestia nie przyszła. Po prostu się nie pojawiła. Biedne zwierzęta dalej warczały, płakały i skomlały. Kot już prawie konał. Ale Momik przecież nie bał się zwierząt, lecz bestii. Można było wyczuć, jak ta napina potężne mięśnie, gotując się do skoku. Nie dało się tylko przewidzieć, skąd, u diabła, wyskoczy. Momik bezradnie siedział naprzeciw dziadka Anszela. Miał dość dziadka, który nic nie potrafił poza płaczkliwym mruzeniem swojej przeklętej opowieści. Czasami Momik miał ochotę wstać i zatkać mu usta, żeby ją wreszcie zadusić. Pewnego razu, kiedy dziadek zaczął dawać znaki, że chce

mu się siusiu, Momik nie wstał, żeby go wyprowadzić, ale siedział, patrząc mu prosto w oczy. Zobaczył, jak zdezorientowany dziadek zaczyna pomiaukiwać niczym oszalały kot, łapie się za to miejsce, skręca i rozpaczliwie krzyczy. Potem zobaczył, jak dziadkowi moczą się spodnie i poczuł obrzydliwy zapach, ale w ogóle nie było mu go żal, wręcz przeciwnie. Kiedy dziadek popatrzył na niego z nieszczęśliwym, nierozumiejącym wyrazem twarzy, Momik wstał nagle i wyszedł, zostawiając go samego w ciemności, wrócił do mieszkania i zamknął drzwi. Włączył radio i usłyszał, że nasza reprezentacja przegrała we Wrocławiu z Polakami dwa do siedmiu, na oczach polskich kibiców, którzy drwili z naszych chłopców. Kiedy Nechamia Ben Awraham opisywał, jak Janusz Achurek, Liberda i Szaryński przejmują piłkę od naszych Stelmacha i Goldsztajna, Momik zdał sobie sprawę, że przegrywa na całej linii, jak to się mówi. Ale z drugiej strony, jak wiadomo, Momik nigdy się nie przejmował porażką ani tym, że go wyśmiewają, przezywają i dręczą. Tylko w tej jednej sprawie nie mógł dopuścić przegranej, po prostu nie miał wyjścia. Dlatego zaczął natychmiast planować nową taktykę, jeszcze bardziej ryzykowną. Na początek przyszło mu do głowy, że dziadek Anszel jest najwidoczniej za mały, aby obudzić bestię. Momik musi być dobrym kupcem (Bela go tego nauczyła, choć sama jest całkiem nieudolna w interesach) i dostarczyć jej więcej Żydów, wystarczająco dużo, aby bestia uznała, że warto się wysilić. To go nawet trochę rozbawiło. Roześmiał się dziwnym, krótkim śmiechem, ale sam się siebie przestraszył, natychmiast umilkł, i słuchał dalej transmisji meczu. Starał się nie myśleć o dziadku, którego być może właśnie rozrywają na strzępy na dole. Jego mózg, nad którym Momik nie potrafił już zapanować, zaczął się zastanawiać, jak poprosić dzieci z klasy, żeby pożyczyły swoich dziadków i babcie, żeby razem zaprowadzić ich do bestii. Znowu roześmiał się śmiechem, przypominającym przeszywający pisk radia. Umilkł i rozejrzał się, żeby sprawdzić, czy ktoś go słyszał.

Nie czekał nawet do końca meczu, bo nie wierzył już w cud. Nie wierzył, że jakiś chłopiec, cudowny piłkarz, zbiegnie nagle zejściem dla widowni, wśród wiwatujących kibiców, i dołączy do naszej jedenastki, wyprowadzi przeciwników

w pole i uratuje drużynę, wygrywając osiem do siedmiu (ostatnia bramka padnie w chwili, gdy rozlegnie się gwizdek końcowy). Wyszedł z domu, zamykając drzwi na dolną zasuwę, i zszedł po schodach. Nasłuchiwał przez chwilę pod drzwiami, czy nie słychać wrzasków rozszarpywanej ofiary, ale dosłyszał tylko melodyjne mruczenie dziadka. Wszedł i usiadł przed nim, bardzo zmęczony. Widocznie był wyjątkowo wyczerpany, bo po pewnym czasie zdał sobie sprawę, że leży na ziemi u nóg dziadka. Pomyślał, że może lepiej nie przyprowadzać tu więcej żydowskich dziadków, bo ostatnio z trudem znosi towarzystwo ludzi, nie może z nimi wytrzymać, ze wszystkimi ich tajemnicami, myślami i szaleństwem, które wyskakuje im z oczu. To niepojęte, że są inni ludzie, dzieci z klasy, dla których najwyraźniej wszystko jest proste. Jedynie Momik wie, że nic nie jest proste. Wystarczy tylko jeden raz, jedyny raz, żeby poczuć, jakie to wszystko jest skomplikowane i przerażające, i już nigdy więcej nie będziecie mogli w nic uwierzyć. Ach, wszystkie te przedstawienia! Nawet całkiem pogrążony we śnie nie mógł przerwać walki. Usłyszał głos, który wołał: Wstawaj, wstawaj! Jeśli teraz uśniesz, to twój koniec. Może ze względu na ten głos Momik nie zapadł w sen, nie, zrobił coś innego. Trochę trudno przypomnieć sobie, co. Może wstał, tak, wstał i wyszedł na zewnątrz. Nie wiedząc, co robi, poszedł przed siebie, powłócząc nogami, aż dotarł do zielonej ławki i czekał tam przez pewien czas. Po prostu siedział i czekał, nie myśląc o niczym. Obserwował tylko duży jesienny liść, który jakiś czas temu spadł z drzewa. Zauważył wypukłe żyłki, trochę jak te na nogach mamy. Pośrodku biegła długa linia, dzieląca liść na pół. Zastanawiał się, co się stanie, jeśli rozerwie go i rzuci każdą połowę gdzie indziej. Czy będą do siebie tęsknić albo coś w tym rodzaju? Kiedy tak siedział, zaczęli się schodzić starzy ludzie. Nie musieli nawet o nic pytać, wszystko wiedzieli sami. Wystarczyło jedno spojrzenie. Zrozumieli, że przyszedł czas na to, do czego przez cały czas się przygotowywali. Momik poczekał jeszcze chwilę, żeby wszyscy przesiąkli tym samym zapachem, i wtedy powiedział: No to już. Ruszyli za nim. Chana, Munin i pan Markus, Gincburg i Zajdman. Kroczyli za nim jak owieczki. Mógł ich zaprowadzić dokąd tylko chciał. Szli tak przez dłuższy czas ulicą, po chodnikach, na których leżały śnieżne zaspy, wśród

czarnych lasów, kościołów i pięknie pachnących stogów siana. Ktoś zapytał Momika, dokąd się wybierają, ale Momik nawet na niego nie spojrzał i nie odezwał się. Prowadził swoich Żydów, aż doszli do składziku i usłyszeli w środku mamrotanie dziadka. Momik otworzył, przepuścił wszystkich, i wszedł sam, zamykając za sobą drzwi.

Stali cierpliwie, czekając, aż ich oczy przywykną do ciemności. Stopniowo dostrzegli dziadka na stoleczku i białe kartki na ścianach. Pan Munin pierwszy zebrał się na odwagę, aby podejść i przyjrzeć się z bliska jednemu z obrazków. Przez dłuższy czas nie rozumiał, co widzi. Kiedy w końcu zrozumiał, wzdrygnął się i cofnął. Najwyraźniej się przestraszył, bo można było poczuć jego strach, przepływający przez innych niczym prąd. Zbili się w gromadkę, potem jednak zaczęli się pomału rozdzielać. Chodzili wzdłuż ścian, przyglądając się obrazkom, jak na wystawie. Im dłużej się przyglądali, tym mocniej unosił się z nich ostry, zastarzały zapach, od którego Momikowi robiło się niedobrze. Wiedział jednak doskonale, że to być może ostatnia szansa. W duchu wołał: Pokażcie jej! *Bądźcie Żydami!* Schylił się i położył dłonie na kolanach, jak trener, który dopinguje piłkarzy. Teraz! – krzyczał bez słów. *Bądźcie czarodziejami, prorokami i czarodziejkami. Wyzwycie ją na ostatnią, decydującą bitwę. Bądźcie tak żydowscy, żeby nie mogła się opanować. Nawet jeśli teraz nie ma tu bestii, pojawi się.*

Ale nic się nie wydarzyło, tylko biedne zwierzęta były coraz bardziej rozdrażnione. Kruk machał skrzydłami z cichym skrzekiem, a kot przeraźliwie miauczał. Momik opadł na kolana i spuścił głowę. Co za idiota. Jak mógł myśleć, że naprawdę są czarodziejami i czarownicami, i tak dalej, *a nechtiger tog*, jak mówi Bela. Nic takiego w ogóle nie istnieje. Kim oni w ogóle są? Zwykli, zaniebani, stuknięci Żydzi, którzy się do niego przyczepili i wszystko mu zniszczyli, zniszczyli mu całe życie. Skąd mu nagle przyszło do głowy, że mogą pomóc? Przecież on mógłby ich uczyć, wszystkich, co się robi w nagłym wypadku, pięść i cztery palce, jak okrażyć świat. Tylko że ich to najwyraźniej nie interesuje. Jakby się cieszyli, że inni ich ranią, śmieją się z nich i dręczą. Nigdy przecież nie starali się sprzeciwić, tylko siedzieli, płakali i modlili się,

spierali się między sobą o różne bzdury. Wszystkie te historie, które nie interesują nikogo. Co rabin powiedział wdowie i jak kawałek mięsa wpadł do bezmięsnej zupy. Tymczasem ciągle ich zabijano. Przecież we wszystkich sprzeczkach zawsze muszą w połowie mieć rację i zawsze chcą mieć ostatnie słowo, jakby ten, kto powiedział ostatnie słowo, miał przeżyć do końca. I te okropnie przesadne rzeczy, które tak naprawdę są kłamstwami. Cudowne dziecko, o którym słyszała cała Warszawa, ni mniej, ni więcej; bogaty szlachcic, o którym Munin powiedział „uściskał mnie i ucałował jak rodzzonego brata”, minister, który pewnego razu pozdrowił pana Markusa. Jasne! I sama Bela, która wierzy, że jest piękniejsza od Marilyn Monroe. Rzeczywiście! Nawet kiedy mówią o wszystkich kłopotach, których przysporzyli im goje, o pogromach, akcjach i wysiedleniach, wzdychają, jakby wszystko dawno wybaczone. Trochę jak ktoś, kto śmieje się z siebie, jaki to jest słaby i *nebuch*. Jeśli ktoś śmieje się z siebie, inni oczywiście też się z niego śmieją, wiadomo. Momik powolutku uniósł głowę z podłogi i poczuł, jak zaczynają go wypełniać nienawiść, gniew i mściwość. Wydawało mu się, że cały płonie, a pokój tańczył mu przed oczami. Żydzi przesuwali się tak szybko wzdłuż ścian i rysunków, że prawie nie dało się odróżnić, kto jest prawdziwy, a kto narysowany. Momik chciał ich zatrzymać, ale nie wiedział jak. Kiedyś znał magiczne zaklęcie, ale dawno je zapomniał. Podniósł ręce i zaczął prosić: Wystarczy, niech to wreszcie się skończy. Podniósł ręce w geście poddania, jaki widział kiedyś na fotografii, ale nagle wydał potworny zwierzęcy krzyk. Było to tak przerażające, że wszystko od razu się zatrzymało i pokój przestał tańczyć. Żydzi upadli na ziemię tak jak stali, ciężko dysząc. Momik stanął nad nimi na drżących nogach, z zamglonym wzrokiem. Wtedy usłyszał w ciszy mruczenie dziadka, przypominające trochę szum słupów wysokiego napięcia. Nagle całkowicie pojął jego opowieść. Dziadek opowiadał pięknie, z uczuciem, wzniosłymi, biblijnymi słowami. Momik nie ruszał się, starał się nie oddychać, i wysłuchał opowieści od początku do końca. Przysiągł sobie, że nie zapomni ani jednego słowa, nigdy, przenigdy, ale od razu zapomniał. Było to opowiadanie, które zawsze się zapomina i zawsze trzeba robić wszystko od początku, aby sobie przypomnieć. Taka to była historia.

Kiedy dziadek skończył, inni zaczęli opowiadać swoje historie. Wszyscy mówili jednocześnie i opowiadali rzeczy, w które trudno uwierzyć. Momik zapamiętał je wszystkie na zawsze, a potem od razu zapomniał. Czasami zasypiali w połowie i głowy opadały im na ramię, a po obudzeniu ciągnęli od tego samego miejsca. Momik przechodził powoli pod obrazkami, które przerysował ołówkiem z książek, i przypomniał sobie, że zawsze musiał dorysować jakiś drobny szczegół. Chłopiec, któremu kazano czyścić ulicę szczoteczką do zębów, dostał większą szczotkę niż w rzeczywistości. Staruszek, który musiał jeździć na plecach innego staruszka, został narysowany, jakby na pół stał, żeby temu drugiemu nie było ciężko. Tak, Momik zawsze musiał coś pozmieniać, ale już nie pamiętał po co. Był trochę zły na siebie, że nie zrobił wszystkiego dokładniej i bardziej naukowo, bo może to zakończyłoby wszystkie kłopoty. Oparł się o ścianę, bo nie miał siły stać, a Żydzi nie przestawali opowiadać, kiwając się jak w modlitwie. Chwilami wydawało mu się, że w pomieszczeniu jest tłum ludzi, a czasami – że tylko to sobie wyobraża. Rozglądał się wokół, szepcząc: Skąd ona wyjdzie? Skąd? Dziadek Anszel zaczął nagle opowiadać swoją historię od początku. Momik ścisnął głowę rękami, czując, że nie może już tego znieść i że będzie musiał wymiotować obiad i wszystko, co wie od pewnego czasu, i w ogóle tego całego Momika, a teraz także tych śmierdzących Żydów. W kilku książkach przeczytał, że goje nazywali ich żydkami. Zawsze myślał, że to zwykłe obraźliwe słowo, ale teraz nagle poczuł, jak bardzo do nich pasuje. Żydki, wyszeptał, czując, jak w brzuchu rozchodzi mu się przyjemne ciepło i jak pęcznieją mięśnie pod skórą. Powtórzył to jeszcze raz, na głos, i to dało mu siłę. Otrząsnął się, podszedł do dziadka i powiedział z drwiną: Dość już, zamknij się wreszcie, mamy dosyć tej twojej historii, a *nazikaput* nie zabija się opowiadaniem historii, ale mocno go bijąc. Musi tu wbiec oddział piechoty morskiej i wziąć go na zakładnika, aż przyjdzie Hitler, żeby go uwolnić. A wtedy schwytają także Hitlera i *zabiją* go po długich i strasznych torturach, wyrwą mu po kolei wszystkie paznokcie! Wrzeszczał. Zostawił dziadka i podszedł do klatek. Oczy też niech mu wydłubią bez znieczulenia, a potem niech wysadzą w powietrze całe Niemcy i kraj TAM, żeby nic nie pozostało, ani złego, ani dobrego.

Uratują sześć milionów dzięki niezrównanej akcji wywiadu, zawrócą bieg historii, jak w wehikule czasu. Na pewno ktoś w Instytucie Weizmanna potrafi coś takiego wynaleźć. Powalą, psiakrew, świat na kolana i spluną mu w twarz. Przelecą nad nim odrzutowcami. Potrzebna jest wojna! – wrzeszczał Momik, z oczami wywróconymi jak oczy kota, otwierając gwałtownie klatki. Co chwila oglądał się za siebie i widział małe miasteczko w krainie TAM. Potem stanął nieruchomo i patrzył, jak kruk, kot, jaszczurka i inne stworzenia zaczynają powoli wypełzać ze skrzynek. Nie wiedziały, co się stało, i nie mogły uwierzyć, że już jest po wszystkim, że się skończyło.

Żydzi natomiast doskonale zrozumieli, od razu się zerwali i stanęli w grupce, tyłem do zwierząt. Szeptali między sobą zmartwionymi głosami. Zwierzęta także zaczęły się odzywać do siebie i nie pozwalały się sobie nawzajem ruszyć. Jeśli któreś z nich drgnęło choćby odrobinę, od razu rozlegały się skrzeki, miauczenia i trzepoty. Komórkę wypełniały dźwięki wyrażające strach i zagrożenie. Trudno było uświadomić sobie, że w odległości pół minuty znajduje się miasto, inni ludzie i książki. Momik, któremu wydawało się, że już nie żyje, albo coś podobnego, zamknął oczy i z narażeniem życia przeszedł obok kruka i kota, nie zwracając uwagi na to, że stworzenia go drapia, gryzą i dziobią. Co to dla niego po tym wszystkim. Podeszedł do swoich Żydów, a oni spojrzeli na niego smutnym, zatroskanym wzrokiem, ale mimo wszystko poruszyli się i przesunęli odrobinę. Momik śmiał się z nich w duchu, że tak szybko zgodzili się mu wybaczyć to, co im zrobił. Ale przez moment było mu przyjemnie, kiedy otoczyli go ze wszystkich stron, tak że znalazł się przed półkolistym murem ich ciał. Pomyślał, że może tutaj bestia nigdy go nie dosięgnie, że nawet nie spróbuje tu wejść, bo wie, że nie ma szans. Kiedy jednak otworzył oczy, zobaczył ich nad sobą, wysokich i starych, patrzących z litością, zrozumiał całym umysłem dziewięcioletniego *alter kap* że nic mu już nie pomoże.

Gwoli naukowej ścisłości należy dodać kilka szczegółów: Momikowi nie udało się od razu uwolnić od komórki, choć nie przyprawdzał już tam dziadka ani nikogo. Przez pewien czas zwykł schodzić tam na trochę, samotnie.



Wypuścił zwierzęta, ale ich zapach oraz zapach Żydów jeszcze długo unosił się w powietrzu. Pani Neta przyszła na rozmowę z rodzicami i wspólnie ustalili rozmaite rzeczy. Momika to nie obchodziło. O nic nie pytał. Nawet kiedy Jair Pantilat pobił rekord w biegu na osiemset metrów, Momik nic o tym nie napisał. Klacze Flora i Alinka z wystawy rolniczej w Bejt Dagan urodziły źrebięta. Postanowiono nadać im hebrajskie imiona: Dan i Dagan. Pod koniec roku Momik otrzymał świadectwo. Przeszedł do następnej klasy, ale nie miał już chodzić do tej szkoły. Mama opowiedziała mu, że w przyszłym roku będzie się uczył w specjalnej szkole pod Netanią, i nie będzie mieszkał w domu. To bardzo dobrze mu zrobi, bo będzie miał świeże powietrze i dobre jedzenie. Raz w tygodniu będzie odwiedzał Itkę i Szymka, którzy mieszkają niedaleko. Momik nic na to nie powiedział. Tego lata, kiedy po raz pierwszy pojechał zobaczyć nowe miejsce, dziadek wyszedł z domu i nie wrócił. Stało się to dokładnie pięć miesięcy po tym, jak przywieziono go karetką. Policja szukała go przez jakiś czas, ale bez skutku. Momik leżał nocami w łóżku w internacie, myśląc o tym, gdzie dziadek się podziewa i komu opowiada swoją historię. W domu nigdy o nim nie wspomniano. Raz jeden tylko mama powiedziała do Itki z irytacją: Zęby chociaż miał jakiś grób, ale tak zniknąć bez śladu ?!

**BRUNO**

# 1

W dużym porcie w Gdańsku po raz pierwszy znalazł się w pobliżu wody. Był wieczór, mżył deszcz. Na nabrzeżu znajdowało się niewielu ludzi, wszyscy zbyt zajęci, żeby go zauważyć. Robotnicy rozpalili ogień pod blaszaną wiatą. Poczł zapach gorącej kawy i przełknął ślinę: prawdziwa kawa! Szedł szybkim krokiem, bez kapelusza, który zostawił w szatni galerii. Został tam także rękopis *Mesjasza*, w czarnym plecaku. Cztery lata myślenia i pisania. Pomyłka, która rozrosła się niczym złośliwa narośl. Zbyt późno zrozumiał, że Mesjasz nie pojawi się w utworze pisany: nie można zbawić świata za pomocą języka, cierpiącego na słoniowaciznę. Trzeba znaleźć inną gramatykę, inne pióro. Bruno popatrzył z lękiem na budynek kapitanatu. W szerokim wejściu stali, rozmawiając, dwaj żołnierze. Bez opaski na ramieniu czuł się nagi. Machinalnie podniósł pięści w geście, który przyswoił sobie, kiedy zabroniono Żydom noszenia rąk w kieszeniach w obecności umundurowanych Niemców. Maszerował szybko, starając się skulić jak najbardziej: chód brzydkiego człowieka. Woda ściekała mu po napiętej, poźółkłej twarzy.

Znam dobrze jego rysy: na każdym dziwnym, groteskowym rysunku znajdowałem jego twarz, wyglądającą gdzieś rogu. Najczęściej znajdował się wraz z innymi niskimi, zaniedbanymi mężczyznami pod błyszczącym pantoflem Adeli, urodziwej służącej, lub butem innej egoistycznej kobiety (zwróć uwagę na morze, Bruno: szare morze, które tuż obok ciebie strzepuje przed nocą swą wielką kołdrę. Widać w nim okrągłe guziczki wodorostów, unoszące się na moment do światła i znikające na powrót w kipieli).

...upchnęli obraz w kącie, w ostatniej sali galerii. Tak bali się jego siły. Obok zgromadzili wiele innych obrazów pędzla Edwarda Muncha, bardziej kolorowych, bardziej znośnych. Zawiesili łańcuch i umieścili ostrzeżenie po

polsku i niemiecku. Proszę nie podchodzić. Proszę nie dotykać.

Co za głupcy. Trzeba postąpić dokładnie na odwrót: ostrzec zwiedzających przed zagrożeniem ze strony obrazu. Postać z obrazu, idąca po drewnianym moście, z ustami otwartymi w krzyku, przedostała się do wszystkich zakamarków jego ciała. Kiedy pocałował ją w galerii, zaraził się. A właściwie kontakt z nią obudził mikroby, uśpione w jego ciele. Bruno mija ciężkie statki, zapatrzone w głąb siebie. Jego wargi co jakiś czas zaokrąglały się w dziwnym wyrazie i okrzyk z obrazu przedziera się z serca do ust, jak płód, którego czas nadszedł. Wstrząsany dreszczami, szeptał: Bruno to najslabsze ogniwo w łańcuchu. Uważajcie na niego. Znana pisarka Zofia Nałkowska napisała kiedyś w liście do przyjaciół: „Pilnujcie Brunona. Pilnujcie go dla niego i dla nas”. Ale jej prawdziwe intencje pozostały niejasne.

Upadł. Potknął się o pokryty wodorostami zwój lin i o mało nie wpadł do wody. Przez chwilę leżał na nabrzeżu, zwijając się z bólu. Teraz widać było dziury w płaszczu, pod pachami i na łokciach. Po chwili wstał. Nie wolno leżeć. Nie wolno być nieruchomym celem. Ciągłe go szukają. Nie tylko SS i polska policja, po tym jak uciekł z getta w Drohobyczu i pojechał pociągiem zakazanym dla Żydów, a potem odważył się wejść na wystawę Muncha w Gdańsku. Tam zrobił to, co zrobił, i brutalnie go wyrzucono. Nie: policja i SS dopiero w ostatnich latach przyłączyły się do pogoni za Brunonem, nie boi się ich już. Boi się wielkich reflektorów obmacujących ciało, pragnących przeciąć go na pół, podzielić na bolesne, skupione fragmenty istnienia, jak wszystkich. Życia szarej, małej prozy, której nie zbawia pociągnięcia pióra.

Kiedy Bruno ujrzał *Krzyki* w galerii Dworu Artusa, zrozumiał, co się stało na płótnie: malarzowi drgnęła ręka. Munch nie odważyłby się stworzyć takiej perfekcji. Mógł ją tylko wyczuć. Z przerażeniem lub tęsknotą. Nie stworzyć z rozmysłem. Bruno, który sam rysował i pisał, doskonale zdawał sobie z tego sprawę i myślał o tym z żalem. Przecież całe życie tęsknił za dniem, w którym – jak to ujmował – świat zrzuci skórę niby zaczarowana jaszczurka. „Epoka geniuszu”, tak Bruno określał ten dzień. Nie wolno zapominać – ostrzegał – że nasze słowa to zaledwie marny strzęp starożytnych, odwiecznych

opowieści; że wszyscy budujemy domy – jak barbarzyńcy – z kawałków potrzaskanych posągów i podobizn dawnych bogów, z okruchów potężnych mitologii. Oczywiście nasuwa się pytanie, czy genialna epoka kiedyś nadejdzie? Trudno znaleźć odpowiedź. Bruno też nie wie. Niektóre rzeczy w ogóle nie mogą dokonać się całkiem i do końca. Są zbyt wielkie, by zająć miejsce w biegu wydarzeń. Tylko starają się wydarzyć, badają grunt, sprawdzają, czy rzeczywistość je uniesie. I natychmiast się cofają, bojąc się utracić doskonałość na rzecz niedoskonałej realizacji. Potem na naszych mapach powstają białe plamy, pachnące znaki, srebrne ślady stóp królów, którzy ogromnymi krokami przemierzali nasze dni i noce... Jakoś tak napisał w książce. W *Sklepiach cynamonowych*. Wydawnictwo Shocken. Strona dziewięćdziesiąt pięć. Znam to na pamięć.

Małe, przypominające żółtko słońce utonęło w ołowianym niebie i zgasło. Bóg zamykał powoli pudło z zabawkami. Bruno wiedział: tę doskonałość, którą znalazł Munch, można uchwycić tylko przypadkiem lub przez pomyłkę. Ktoś czegoś zaniedbał, ktoś na chwilę się zamyślił, i prawda wyszła na jaw w nieodpowiednim miejscu. Bruno zastanawiał się, ile obrazów musiał Munch potem szybko, w panice namalować, by zatrzeć świadectwo wtargnięcia na zakazany obszar. Przecież bez wątpienia, myślał Bruno (wchodząc obcasem w kałużę oleju silnikowego, w której rozeszły się tęczowe arabeski), Munch sam się przeraził, spojrzawszy na własne dzieło.

Cząstki niepodzielnej prawdy. Krystaliczna, ostateczna prawda. Bruno szukał jej we wszystkim: w ludziach, których spotykał; w urywkach rozmów niesionych wiatrem, które dolatywały do jego uszu; w zbiegach okoliczności; w sobie samym. W każdej czytanej książce starał się odszukać jedno zdanie, perłę, którą autor wysłał na wędrówkę wśród setek stronic. Ukłucie prawdy. W większości książek w ogóle go nie znajdował. W książkach genialnych czasami udawało się znaleźć dwa lub trzy. Bruno przepisywał je do notesu: świetnie rozumiał, że w ten sposób mozolnie gromadzi namacalne okruchy, z których kiedyś odtworzy mozaikę. Prawdę. Kiedy czasami czytał te zdania na nowo, nie zawsze potrafił stwierdzić, kto je napisał: czasem wydawało mu się, że jakieś

zdanie wyszło spod jego pióra, potem okazywało się, że się mylił. Tak były do siebie podobne. Nic dziwnego, mawiał do siebie: wszystkie pochodzą z jednego źródła.

Teraz Bruno wiedział, że także Munch jest słabym ogniwiem. Od dawna się tego domyślał. Odkąd w Drohobyczu zobaczył reprodukcję *Krzyku*. Ale musiał stanąć przed oryginałem, żeby wiedzieć na pewno: także Munch. Jak Kafka, Mann, Dürer, Hogarth i Goya, i inni, którzy wzbogacili zawartość jego notesu. Cienka siatka słabych punktów, rozpościerająca się na powierzchni całego świata. Pilnujcie więc także i Muncha. Pilnujcie go dla niego i dla nas. Kochajcie swego artystę, ale miejcie na niego oko. Otoczcie go ciasnym kręgiem miłości, splećcie ręce. Przypatrujcie się jego obrazom, obejmijcie go ramionami. Oczywiście po to, by go chwalić. Kochajcie jego opowiadania, bądźcie nimi wstrząśnięci do pewnego stopnia, dziękujcie, że tak wspaniale wyraził wicie co, ale otaczajcie go ramionami. Pozwólcie, by poczuł ciepło waszych ciał, ale także swego ciała, by poczuł, że jest twardy i opancerzony jak stalowe wrota. Rozstawcie palce bijących brawo dłoni, by przypominały kraty, nie przestawajcie go kochać, bo na tym polega sekretny układ: wasza miłość za jego ostrożność. Za zachowanie waszego spokoju.

Munch także zdradził. Pozwolił sobie się otworzyć. I krzyk natychmiast brutalnie wepchnął nogę do środka. Teraz jest tutaj. Trzeba szybko załatać dziurę. Za to kochajcie Muncha jeszcze bardziej! Zbliżcie się, aby poczuł wasz oddech na twarzy: kto raz się pomylił, może się pomylić ponownie. Otoczcie go ramionami. Zawieście łańcuch i czerwone tablice: nie podchodzić, nie dotykać.

Biegnie. Rozcina wiatr swym ostrym profilem, zaciska z wysiłku wargi, próbuje stłumić ból. Och, ile rzeczy ma w sobie Bruno, i jaki lęk przed tą obfitością. Pilnujcie Brunona ze względu na niego, przede wszystkim ze względu na niego. Nie pozwólcie mu poddać się groźnemu pragnieniu, by pisać bez waszych wytartych, wiernych słów. Nie pozwólcie mu pisać szyfrem ciała, rytmem, którego nie da się zmierzyć metronomem ani zegarkiem. Nie pozwalajcie mu, na litość boską, rozmawiać ze sobą słowami, których nikt nie zna, które będzie musiał dopiero wynaleźć. Bo przecież doskonale wiemy, jacy

są sprytni handlarze, którzy pośpiesznie chwycą go za rękę i poprowadzą do brudnych straganów ludzkiego języka, którzy otworzą przed nim brudne węzłki i z pochlebczym uśmiechem zaproponują mu swój towar: ależ nie, proszę pana, wszystko to za darmo, słowo daję, cała mowa, nowiutki, cały dla pana, jeszcze nieodpakowana z celofanu. Dołączymy też specjalny słownik, osobisty słownik, którego stronice pozornie są puste, a tak naprawdę zostały zapisane niewidzialnym atramentem, szpiegowskim atramentem, wystarczy tylko je zwilżyć twoim szczególnym, żrącym sokiem, a od razu ukażą się litery. Nie, proszę pana! Nie policzymy ani grosza! W końcu tak bardzo rzadko błędą tu – pardon! Zagląda tu jakiś klient. Nie jesteśmy na tyle szaleni, aby przepłoszyć go młą rozmową o pieniądzach i umowach zapłaty. Powiedzmy, drogi panie, że uważamy pana za naszą drobną inwestycję na przyszłość, zastaw, ha, ha. Krok na rynki zamknięte dla nas w tym momencie. Proszę podpisać tu, tu i tu.

Munch podpisał. Tak samo Kafka i Marcel Proust. Najwyraźniej podpisał i Bruno. Nie pamięta kiedy, ale coś chyba musiał podpisać. Ma dojmujące poczucie straty. Kiedy przyszła ostatnia wojna, Bruno zaczął myśleć, że się mylił: podłość ludzka wzrosła. Okazało się, że za straganami chytrych sprzedawców rozciągają się inne, ogromne i mroczne targowiska, nietknięte stopą. Zrujnowane ulice, gdzie gruzy i zburzone mury stoją najeżone po obu stronach jak zęby krokodyla...

Dlatego uciekł.

Z ukochanego Drohobycza. Z domu na rogu Samborskiej i Targowej. To był Olimp jego osobistej mitologii, siedziba bogów i aniołów w ludzkich postaciach, a czasem – istot o wiele mniej przypominających człowieka... Ach, dom Brunona! Jakaż słodycz rozlewa się po ciele na myśl o tym pozornie zwykłym domu, pozornie całkiem przeciętnym, który Bruno, za pomocą cudów architektury wyobraźni, zamienił w ogromny pałac pełen komnat i krętych korytarzy, bujnych ogrodów, mieniących się wszystkimi kolorami. Na parterze mieścił się rodzinny sklep z materiałami „Henrietta”, nazwany na cześć matki, prowadzony nieporadnie przez ojca Brunona, Jakuba Schulza. Ojciec, ukryty poeta, uparty mężczyzna, który samotnie walczył z wszechogarniającą nudą;

ojciec, śmiały badacz zmieniających się przeżyć, który siłą woli i halucynacji zamieniał się w ptaka, w raka, w karalucha, jego nieśmiertelny pół żywy, pół martwy ojciec...

Nad sklepem znajdowało się mieszkanie. I matka Henrietta. Pulchna, miękka, z oddaniem opiekowała się chorym na raka, mającym Jakubem, którego firma waliła się w gruzy na jego błędnych, niewidzących oczach. Szczególną troską matka otaczała Brunona, delikatny pąk, który rozwinął się pod koniec ich życia. Przewrażliwione dziecko, ciągle walczące z wrogami, których obecności ona nawet się nie domyślała...

(Pewnego razu, o szarej, melancholijnej godzinie wieczornej, weszła do jego pokoju i zobaczyła, jak karmi kryształkami cukru ostatnie muchy przed nastaniem jesiennych chłodów.

– Bruno?

– Zęby miały siły na zimę).

Nie ma kolegów. Nie żeby nasz Bruno nie był dobrym uczniem. Przeciwnie: nauczyciele się nim zachwycają. Szczególnie profesor rysunku Adolf Arendt. Już w wieku sześciu lat chłopiec tak dojrzałe rysuje. Czym to wyjaśnić? Miał okres rysowania powozów. Po polsku nazywa się je „dorożka”. Szybkich powozów z podniesioną budą. Rysował ich dziesiątki: zaprzężone w karego konia, wyjeżdżają w nocy z lasu, a na powiekach siedzących w nich ludzi (zawsze nagich, trzeba zaznaczyć) spoczywa wciąż magiczny pyłek leśnych przygód. Rysował powozy wyjeżdżające z lasu. Potem zaczął rysować samochody. Jak każdy chłopiec, ale inaczej niż wszyscy. Potem konie. Ludzi w biegu. Wszystko w ruchu. Ale rysunki tchną starością, śmiercią i goryczą.

Nie ma kolegów. Ciamajda, przezywają go chłopcy.

W domu jest służąca Adela.

Jej nogi. Ciało. Zapach kobiety. Grzebienie. Jej włosy znajdują się w całym domu. Adela ucinająca fantazje Jakuba *groźbą* straszliwych łaskotek. Adela w tanich błyszczących lakierkach, stukająca prowokacyjnie ozdobnymi obcasami. Spójrz na jej pantofelki, Bruno!

Poruszający rytmicznie wargami, drobny i chudy Bruno przypomina



rybę. Idąc po nabrzeżu, zamyka oczy i powraca myślą do tego, co zrobił w galerii: przekroczył pośpiesznie sznur, minął tabliczkę i ucałował obraz. Na pokładzie jednego ze statków stoi stara kobieta wpatrzona w morze. Jej gęste długie włosy tańczą na porywistym wietrze. Drzemiący strażnik w galerii przebudził się gwałtownie i z całej siły dmuchnął w gwizdek. Nadbiegł drugi i razem odciągnęli go sprzed obrazu. Zaczęli go bić w milczeniu, metodycznie i jakby bez gniewu. Na obrazie pojawiła się maleńka plamka śliny. Bruno poplamiał usta krzyczącej postaci; pocałował tylko jedną z drewnianych balustrad mostu. To wystarczyło. Była to po prostu pierwsza pomoc: sztuczne oddychanie. Bruno ocalał.

Otworzył oczy i zobaczył, że nogi prowadzą go do półkolistej kei, wychodzącej w morze. Morze wilgotnym, mięsistym ozorem oblizuje kawałki drewna, tkwiące między kamienistymi zębami. W szczelinach między skałami mnogie oczy morza obserwują Brunona.

Bruno zastanawia się nad nieukończonym rękopisem, który został w szatni galerii, w plecaku. Kiedy go wyrzucili, poszedł ulicą Długa, a samochody i tramwaje opryskiwały go wodą z kałuż. Wyciągał rękę, dotykając ukradkiem drewnianych słupów ulicznych latarni, i oblizywał palce. Chciał w ten sposób utrwalić smak drewnianego mostu na obrazie. Za każdym razem czuł skurcz pobitych mięśni. Myślał o swoim życiu, które nigdy nie należało do niego. Odbierano mu je z przyzwyczajenia. Wszyscy utrzymują się z odbierania sobie nawzajem życia. Przed wojną robili to ostrożnie i delikatnie, aby nie sprawić więcej bólu niż trzeba, a nawet z humorem. Po wybuchu wojny przestali udawać. Dopiero ostatnio zrozumiał, że nawet te dwie książki, które napisał, i trzecia, *Mesjasz*, w której tonie i miota się od czterech lat, są wielkim rusztowaniem, skomplikowanym i pomysłowym, które własnymi rękami wznosił wokół nieznannej istoty. Wciąż nieznannej. Bruno odkrył, że większość życia przeżył, balansując niczym śmiały cyrkowiec na szczycie tej piramidy, wiecznie bojąc się spojrzeć do wewnątrz, w dół, bo kiedy spojrzy, pochwyci go strach, zdenerwuje się i zrozumie, że nie jest cyrkowcem, lecz strażnikiem więziennym, że z przyzwyczajenia, zmęczenia i lenistwa stał się współnikiem tych, którzy

otaczają go zamkniętymi ramionami.

Dlatego ucieka po raz ostatni. Nie ze strachu przed Niemcami czy Polakami, nie w proteście przeciwko wojnie. Nie. Ucieka, aby wreszcie spotkać coś innego. Innego niż dziesiątki przymiotników, czasowników i czasów, którym dotychczas służył za rozdroża.

Mój Bruno już wie, że umrze. Za godzinę albo następnego dnia. Tyle śmierci. Na ulicach Drohobycza trwało w ostatnich miesiącach milczenie ludzi pogodzonych z losem. Także Bruno pograżył się w sobie: może naprawdę to jakaś jego wina. Ze tak wygląda. Ze jest takim Żydem. Ze tak pisze. Kwestia sprawiedliwości od dawna jest nieaktualna. Jest jednak inne pytanie, myśli Bruno, przyśpieszając kroku, na które muszę odpowiedzieć. To kwestia związana z życiem: życiem, które prowadziłem i którego już nie przeżyję, ze strachu i bezsilności. Nie mam siły ani czasu czekać na cud, który mi je pokaże. Bruno uśmiecha się do siebie trochę krzywo, ze wzruszeniem. Posiniaczona twarz rozpogadza się na mgnienie oka. Czy to Lenin powiedział, że jedna śmierć to tragedia, lecz miliony to statystyka? Brunonowi wydaje się, że to słowa Lenina, ale pragnąłby teraz wyzwolić od statystyki milionów śmierci pojedyncze tragedie swego losu, zrozumieć, jaką literę nakreślił w wielkiej księdze życia. W głębi serca gnieździ się jeszcze głębsza nadzieja, że jeśli jest w nim okrucuch tej kryształowej, ostatecznej prawdy, może uda mu się dowiedzieć, w jakim celu wysłał go wielki stwórca na nieskończoną wyprawę wśród stronic.

Bruno zdejmuje porwany płaszcz i rzuca go na beton. Ma całkiem puste spojrzenie. O czym w tej chwili myśli? Nie mam pojęcia. Na chwile zgubiłem wątek. Spróbuję: Bruno myśli (być może) o Mirabeau, który w proteście wobec władzy zaczął kraść. A może o Thoreaux, który opuścił miasto, pracę, porzucił ludzi, i rozpoczął drugie życie w zupełnej samotności w lesie Walden?

Bruno otrząsa się siłą woli i czuje dreszcz. Nie. Takie bunty i protesty nie wystarczą: złodziej okrada ludzi, pustelnik odcina się od nich. Uwypukla swoją samotność na tle gromady. Potrzeba czegoś więcej: buntu, który odkryje cię przed sobą. Drży, zahipnotyzowany widokiem ciemnych, oleistych fal. Fal, które doskonale wyczuwają napięcie kogoś, kto doszedł do kresu, i zarysy jego postaci

przeistaczają się w coś na pograniczu ciała i tęsknoty.

Stara kobieta w łodzi patrzy nieruchomym wzrokiem. Wie, co się wydarzy. Tak to jest na świecie, na którym śmierć jest nie tylko zaprzeczeniem życia. Któremu są podporządkowane wszystkie wysiłki. Dwaj robotnicy portowi zauważyli go z oddali i zaczynają nawoływać.

Bruno ściąga spodnie i koszulę. Wilgotnymi powietrznymi palcami morze obmacuje ciało wyniszczone głodem i brakiem snu. Morzu jest wszystko jedno: gadatliwy kupiec obryzguje śliną milczącego, ustępliwego klienta. Morze kupuje wszystko. Kto wie, kiedy wykorzysta wraki, spoczywające w głębinach. Bruno na chwilę otwiera umęczone oczy. Ktoś wewnątrz stara się jeszcze uratować zabiedzone ciało: pisarz, który zamieszkiwał je przez tyle lat, najwyraźniej jest przerażony myślą, że zginie razem ze swym żywicielem. Nagle przychodzi mu do głowy, że więzień niedoskonałości obmyślił sprytnie drogę ucieczki. Cyrkowiec-strażnik zamienił się w zakładnika. Jest w popłochu. Próbuje nieudolnie wykrętów lub przekupstwa. Przynajmniej połóż buty na stercie ubrań, żebyś miał co włożyć po powrocie. Zaraz, nie śpiesz się tak, zaczekaj, porozmawiajmy rozsądnie. (Pisarz dostrzega coś, czego nie widzi Bruno: od strony portu na keje wbiegają ludzie; dwaj robotnicy i ktoś jeszcze. Oficer).

Stare morze czuje, że trzeba przynaglić niezdecydowanego klienta. Udaje, że się targuje: pracowicie, z obrażoną miną zabiera ogromną szumiącą falę i powstrzymuje na krótko następną. Odsłania się pustka. Cisza, która wsysa wszystko. Z głębin duszy Brunona wyrywa się fala, aby zappełnić pustkę.

Bruno kopie stertę ubrań, które wlatują do wody. Przez chwilę wydęte unoszą się na powierzchni, w końcu toną. Morze uśmiecha się leciutko. Posyła gładką falę niczym doświadczony krupier, rozdający dobre karty staremu graczowi. Przestraszony pisarz zaciska wargi. Jak świetnie go rozumiem! Spluwa z nienawiścią na obłąkaną, nieprzewidywalną ludzką tkanę, która zapewniała mu schronienie, i rękę, trzymającą pióro. To on właśnie, wylękniony, rozpieszczony, taki rozsądny, kładzie dwa delikatne palce na nosie Brunona. To on się rozwiewa, kiedy Bruno zanurza się w zimnej wodzie i od razu wypływa na powierzchnię. Radość nadyma go niczym żagiel. Rozlega się

stłumiony przeciągły dźwięk: może to syrena statku w oddali albo to morze wzdycha, gdy kolejny bękart znalazł się w jego łonie.

Bruno płynie długimi pociągnięciami. Ręce zrywają kolejne zasłony. Daleko na horyzoncie ukazała się pierwsza rysa, w miejscu, w którym stykają się łupkowe tablice morza i nieba. Chciał wyslizgnąć się tą szparą, lecz zbyt szybko wyczerpał siły. Kiedy dotknął nogami podwodnych głazów, zatrzymał się i przycupnął na nich, żeby odpocząć.

Obejrzał się za siebie. Ujrzał szare nabrzeża, niszczące dachy i rozchwierutane od wiatrów zabudowania portowe. Ujrzał kołyszące się na falach, skrzypiące z irytacją statki o zaokrąglonych brzuchach, niosące w sobie wielkie odległości, starą, zastygłą w bezruchu gorgonę na jednej z łodzi, ludzi gromadzących się na nabrzeżu i wołających do niego. Może biją mu brawo? Tak czy owak, nie mogą już otoczyć go ramionami. Zachichotał, dygocząc w zimnych i gorących falach. Nagle zauważył, że na przegubie ręki nadal ma zegarek. Palce jednak drżały mu tak bardzo, że nie był w stanie go zdjąć.

Ktoś starał się uruchomić małą łódkę przy pomocy, ale silnik odmawiał posłuszeństwa. Bruno odwrócił twarz do nieba i wciągnął powietrze głęboko do płuc. Po raz pierwszy od lat nie czuł się prześladowany. Nawet jeśli teraz go złapia, nie poznają człowieka, którego szukają. Schwytają pustą skorupę. Żaden śledczy nie zrozumie teraz słów Brunona. Żaden pisarz nie będzie zdolny ich dokładnie zapisać. W najlepszym razie będą próbowali je odtworzyć z zewnętrznych oznak, starych łupin. Jakże nędzny jest los pozostawionych na brzegu. Z pewnością każdy poczuł wtedy – nawet jeśli nie było go tam i nigdy nie słyszał o Brunonie – tajemne ukłucie w sercu, gdy Bruno wszedł do wody. Nawet Indianie nad Orinoko porzucili na chwilę rąbanie drzew gumowca i nastawili uszu. Aborygeńscy pasterze w Australii zamilkli nagle i unieśli głowy, aby pochwycić odległy dźwięk. Nawet ja, choć w ogóle nie było mnie jeszcze na świecie.

W pobliżu Brunona woda nagle się rozstała. Zatrzepotało coś srebrzystego. Zielonkawa błyskawica, szklane oko, bruzda wyorana w wodzie, po której pozostała smuga piany. Naraz rozległ się miękki szum wielu płetw.

Otoczyły go maleńkie pyszczki, skubiąc go w brzuch i w nogi, podgryzając delikatnie w pierś i pośladki. Bruno zdumiony odczytywał na swoim ciele zaszyfrowany tatuaż. List uwierzytelniający dla jednoosobowego poselstwa, wyruszającego w drogę. Zdziwione jego chudym, żylastym ciałem ryby badały mapę nabrzmiąłych żył na białych stopach. Potem w milczeniu zaczęły śledzić błyszczący przedmiot, spadający w głąb morza, aby liczyć tam godziny, które przekroczyły swój czas. Nagle szeregi rozstały się i rybki przepuściły Laprika, który podpłynął do Brunona i przyjrzał mu się przenikliwie. Był to wyjątkowo duży, dorodny łosoś, dorównujący wielkością człowiekowi. Przez chwilę krążył wokół niego powściągliwie, lekko machając ogonem. A może zresztą były to fale, które wywołała łódka, niosąca dwóch robotników i oficera straży portowej. Wszyscy trzej krzyczeli coś ze złością, ale Laprik szybko wrócił na swoje miejsce. Wielka ławica zamknęła się powoli, jak ogromny, bezwładny akordeon, a Bruno popłynął wraz z nią.

## 2

Tak, to przypomina list miłosny.

Od naszego rozstania minęły trzy lata, rany się goją. Czasem, kiedy niepokój staje się nie do zniesienia, jadę autobusem do Tel Awiwu. Do Ciebie. Idę brzegiem, stąpając po muszlach, kawałkach drewna i szczątkach ryb. Jeśli wokół nie ma zbyt wielu ludzi, ośmielam się nawet rozmawiać z Tobą na głos. Opowiadam, że ciągle piszę książkę, że ten *turag* trwa już trzy lata, uparta wojna między mną a Brunonem-rybą. To kawał czasu, zdążyłem zrobić jeszcze kilka rzeczy. Lubię je wyliczać. W ogóle lubię wszelkie spisy. Udało mi się – nareszcie! – ukończyć opowieść dziadka Anszela, historię, którą opowiada Niemcowi Neiglowi. Udało mi się napisać opowiadanie o małym Kaziku, tę bzdurę, katastrofę, którą Ajala nazwała „zbrodnią przeciwko ludzkości”, niech jej będzie na zdrowie!

Ale najważniejsza jest historia Brunona. Przez niego powracam do Ciebie prawie co tydzień. Odczytuję, prosto do uszu Twych wielkich muszli, kolejny fragment i staram się też, oczywiście, zdobyć od Ciebie kolejny mokry skrawek informacji, które przechowujesz w najczarniejszych odmętach. Chcę Cię namówić, żebyś mi opowiedziała, wyznała, dała poczuć, wspomnienie zapachu Brunona. Wierzę, że jesteście stopieni i połączeni nierozdzielnie. Dlatego znajdujesz się w mojej opowieści o nim. Mówię Ci to, choć wiem, jak bardzo Cię to wzburza. Oczywiście, nigdy nie przyznasz, że mnie zauważasz, ale ja Cię znam i wiem: słyszę lekceważące westchnienie, kiedy stawiam nogę na falochronie. Widzę, jak napinasz ciało, żeby mnie porwać.

Ale jestem ostrożny. Sama tak stwierdziłaś.

Ludzie, którzy słyszą, że interesuję się Brunonem, przysyłają mi różne informacje. Zdziwiłabyś się, ile już o nim napisano. Przede wszystkim po

polsku, ale także w innych językach. Jest także wiele teorii co do treści *Mesjasza*, który zniknął, zanim został wydany. Niektórzy twierdzą, że w zaginionej książce Bruno chciał sprowadzić Mesjasza do getta w Drohobyczu. Chciał stać się kimś w rodzaju Josefa Delia Rena, sprowadzić go magiczną mocą swej sztuki. Inni są przekonani, że w zaginionym rękopisie pisał o Holokauście i ostatnich latach życia pod hitlerowską okupacją. Oboje dobrze wiemy, że tak nie jest. Ze interesowało go życie. Zwykle, proste życie. Codzienne życie. Holokaust był tylko obłąkanym laboratorium, które zwiększyło stokrotnie prędkość i intensywność procesów, zachodzących między ludźmi...

Ze wszystkich stron. Wszyscy go wychwalają. Piszą, że to jeden z największych pisarzy naszego wieku; że można porównać go z Kafką, Proustem i Rilkiem. Z delikatną rezerwą odnoszą się do tego, że to ja mara o nim pisać. Taktownie dają mi do zrozumienia, że tu potrzeba pisarza jego kalibru, co najmniej. Ale nie przejmuję się. Nie piszę o ich Brunonie. Wszystkie listy uprzejmie czytam, a potem drę na maleńkie kawałeczki. Dalszy ciąg znasz – kiedy przyjeżdżam do Ciebie, do Tel Awiwu, wchodzę na falochron, chodzę sobie tu i tam po wielkich kamieniach, wywracam kieszenie, wytrząsam je energicznie, jakbym chciał wytrzepać okruchy. Plum, plum, spadają do wody strzępki papieru. Ktoś coś zauważył? Przecież dla Ciebie są ważniejsze. Choć nie cierpisz długich uczonych wykładów, jestem pewien, że posklejasz je z powrotem i schowasz do szuflady w głębinach wodnego archiwum. Nie pozwolisz sobie przegapić podobnych dokumentów.

Opowiem ci jeszcze, że wróciłem do siebie. To znaczy: do swego stylu pisania. Do wierszy, które kiedyś pisałem. Bruno powoli spływa na papier. Obłazi ze mnie jak skóra. Pozostało mi kilka zeszytów, co do których nie można stwierdzić na pewno, kto je napisał, ja czy on. Wiadomo przecież, że byłem tylko narzędziem. Piszącą ręką. Słabym ogniwem, przez które wdarła się jego zapierająca dech siła.

Pozostała nasza opowieść. Historia z początkiem, środkiem i morskim brzegiem. Przygoda miłosna, której rąbek pozwoliliście mi ujrzeć w małej wiosce Narwią pod Gdańskiem, w lipcu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego

roku. Została moja Rut. Ruti, która wyszła zwycięsko z tej otchłani. Także i z tej. Przetrwiała wszystkich, którzy chcieli mnie jej odebrać, moje nastroje i lęki, ten straszny okres, którego nie chcę pamiętać, kiedy uwięziem w paradoksie Zenona, moje okrucieństwo. I Ajalę.

Wracam co kilka dni, nie mogąc się od Ciebie oderwać. Jestem specjalistą od odnowy, który sobie samemu nie potrafi pomóc. Opowiadam Ci bez końca opowieść, prawdziwą, której nie potrafię przelać na papier, tak jak należy: bez rozsądku. Z poświęceniem. Od początku do końca. Zmusić Cię jeden raz do wysłuchania czegoś, co nie dotyczy Cię bezpośrednio. Wysłuchaj spokojnie i cierpliwie (nie żądam zainteresowania, broń Boże) o wszystkim, co przytrafiło mi się po powrocie z Narwi. Do wszystkich diabłów, musisz mnie wysłuchać. To znaczy: musi wysłuchać mnie Bruno, który jest w Tobie.

Dwudziestego piątego maja tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku (dokładnie pamiętam tę datę) dostałem w pożegnalnym prezencie od Ajali książkę Brunona Schulza *Sklepy cynamonowe. Sanatorium Pod Klepsydrą*. Nie znałem ich wcześniej, a niemiecko brzmiące nazwisko pisarza mnie odstraszyło. Ale od razu zacząłem czytać, przede wszystkim z powodu gorzkich okoliczności, w jakich ją otrzymałem, i przez wzgląd na osobę obdarowującą.

Po dwudziestu stronach zapomniałem jednak o tych okolicznościach i o Ajali, czytałem dalej dla samej książki. Czytałem ją jak list, który otrzymaliśmy przypadkiem w niewyjaśniony sposób. Skrawek wiadomości od brata, którego od wielu lat uważaliśmy za zmarłego. Po raz pierwszy zdarzyło się, że po skończeniu książki zacząłem natychmiast czytać od początku. Od tamtej pory przeczytałem ją mnóstwo razy! Przez długie miesiące w ogóle nie potrzebowałem innych książek. Dla mnie była to Księga w znaczeniu, jakie nadawał jej sam Bruno Schulz, „wielki, szeleszczący kodeks, wzburzona Biblia, przez której karty szedł wiatr, plądrując ją jak ogromną, rozsypującą się różę”. Czytałem ją tak, jak czyta się, zapewne, zaginiony list; zdając sobie sprawę, że słowa na papierze są mniej ważne niż zawartość brakujących stron, których nie wolno było zapisać w obawie, aby nie wpadły w niepowołane ręce...



Zrobiłem coś, czego nie robiłem już od dawna, od dzieciństwa: zacząłem przepisywać do zeszytu zdania i całe fragmenty, żeby lepiej je zapamiętać. Żeby poczuć, jak słowa tryskają z pióra, zalewają kartkę. Na pierwszej stronie napisałem oczywiście to, co pośrednio napisał o sobie. Ze należy do tych, których twarzy we śnie dotknął Bóg. Wiedzą coś nieświadomie. Są pełni domysłów i przeczuć, a nad ich uśpionymi powiekami unoszą się odbicia dalekich światów...

Pewnej nocy, kilka tygodni później, nagle obudziłem się z przekonaniem, że Bruno nie został zamordowany. Nie został zamordowany w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim w getcie w Drohobyczu, lecz uciekł. Mówię „uciekł” nie w zwyczajnym, wąskim znaczeniu tego słowa, ale, powiedzmy, jakbym wypowiadał to słowo tak jak Bruno. „Uciekinier”. Ten, który przekroczył dozwolone, znajome granice. Znalazł się w magnetycznym rejonie innego wymiaru przeżyć, podróżny bez zbyt ciężkiego bagażu... Przepisywałem do zeszytu fragmenty książki. Kiedy kończyłem pisanie, pióro przez chwilę dygotało nad papierem i wyrzucało jeszcze linijkę czy dwie, które były moje, ale – by tak rzec – powiedziane jego głosem, wzięte z mojego intensywnego rozmyślenia o nim. Właściwie: odbierania jego rozpaczliwej potrzeby wyrazu, kiedy sam nie miał już ręki. Przecież ja doskonale odczytuję poczucie uwięzienia, duszące pisarza jego miary na wygnaniu. „Wygnanie” w szczególnym, szerokim znaczeniu tego słowa. Jak pewnie wiesz, wyciągnąłem do niego rękę i pióro.

Jakie to dziwne. Trochę przerażające.

No bo jak to: hebrajski poeta, który wydał cztery zbiorki poezji w bardzo szczególnym stylu, stylu, który jeden z najznakomitszych krytyków, piszący z odgiętym małym palcem, nazwał pisaniem „z zaciśniętymi ustami”. Ajala powiedziała wprost: skąpy i tchórzliwy. Tutaj, w zeszycie, nagle wybucha nieposkromiony język i feeria barw, dyszące, spocone słowa, jak taniec godowy pawia albo kolorowa chmura kolibrów, jak kiedyś napisał Bruno (a może ja?).

Bruno Schulz. Żyd. Być może najważniejszy polski pisarz okresu międzywojennego. Syn ekscentrycznego kupca bławatnego. Nauczyciel malarstwa i rysunku technicznego w gimnazjum w Drohobyczu. Samotnik.

Ojciec Brunona, marzyciel o głowie proroka, który zamienił się w ogromnego raka, powodowany wielkim pragnieniem zbadania granic ludzkiego doświadczenia. W kontakcie z którym wszystko jakby cofało się do korzeni istnienia, do pierwotnej idei, aby się od niej tam odłączyć i skierować w niejasne i dwuznaczne rejony, które Bruno nazywa rejonami wielkiego zaprzeczenia.

Wuj Edward, powodowany pragnieniem doświadczenia rozkoszy metafizycznych dreszczy, pozwolił ojcu Brunona na rozłożenie swojej skomplikowanej egzystencji, aż stał się ograniczony, żenująco abstrakcyjny, utożsamiał się ze sobą po krańce osiągalnych granic. Ojciec, pisze Bruno, podłączył go – albo raczej jego życiowy mechanizm – do elektrycznego dzwonka opartego na wynalazku Naffa. Od tej chwili wuj Edward funkcjonował doskonale i odpowiedzialnie. Nawet jego żona Teresa nie mogła się powstrzymać od ciągłego naciskania guzika, aby usłyszeć donośny, krzykliwy głos, w którym odnajdowała wspomnienie dawnego tonu, kiedy się złościł...

Albo skretyniała Tłuja nocująca na śmietnikach; uosobienie żeńskiego, pogańskiego wcielenia śmierci; wuj Hieronim, który uwolnił się od złożoności życia i wycofał do małego alkierza, by tam prowadzić długą, pełną nienawiści wojnę z wielkim ryczącym lwem, uwięzionym na wieki na gobelinie w małżeńskiej sypialni. Wszyscy, wszyscy. W roku tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym do Drohobycza wkroczyli Niemcy. Bruno musiał opuścić dom. Przeprowadził się na ulicę Stolarską. Na rozkaz władz okupacyjnych zajmował się tworzeniem wielkich malowideł ściennych w budynku szkoły jazdy konnej. Katalogował także zbiory książek, zarekwirowanych przez Niemców. Aby się utrzymać, musiał też pracować jako „domowy Żyd” (proste prace stolarskie, malowanie szyldów, portrety domowników itp.) u esesmana Feliksa Landaua.

Felix Landau miał wroga – esesmana imieniem Karl Gunther. Dziewiętnastego listopada tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku na rogu ulic Czackiego i Mickiewicza Karl Gunther strzelił do Brunona, a potem – jak powiadają – poszedł do Landaua i powiedział: „Zabiłem twojego Żyda”. „Teraz ja zabiję twojego” – odparł na to Landau.

Wiem, że mnie słuchasz. Powierzchnia wody na chwilę zastygła. Dwie mewy zderzyły się ze szklanym piskiem. Jesteś tu.

Zabiłem twojego Żyda. W takim razie ja zabiję...

Właśnie tak.

Sprawilem ci ból. Wiem. Mnie także te słowa zawsze sprawiają ból.

Teraz posłuchaj. Porozmawiajmy o czymś zupełnie innym. Zmieńmy temat. Zęby nie ranić się za bardzo. Muszę Ci opowiedzieć o czymś jeszcze. Posłuchaj:

Przez wiele lat po zaginięciu dziadka Anszela mruczałem w duchu melodię opowieści, którą dziadek snuł tamtemu Niemcowi. Dwa czy trzy razy przed wyjazdem do Polski siadałem do pisania, bez skutku. Powoli narastały we mnie frustracja i złość na siebie, tęsknota za staruszką, który od wielu lat tkwił w zakorkowanej butelce opowieści, Latający Holender, który nie może przybić do brzegu. A ja, jedyny, który może go ocalić, zbawić jego historię, nie umiem i nie mam odwagi.

Zacząłem szukać utworów dziadka. Grzebałem w starych archiwach, szperałem w zakurzonych bibliotekach podupadających kibuców, czytałem stare gazety, których strony rozsypywały się w palcach. Przypominały mi starożytne freski w jaskiniach, które rozmywają się i znikają w świetle latarek archeologów. Wśród osobistych rzeczy żydowskiego pisarza, zmarłego w domu starców w Hajfie, na górze Karmel, odkryłem ogromny zapomniany skarb: cztery pożółkłe numery gazety „Światelka” (pod redakcją Szymona Zalmansona), które ukazały się w Warszawie w roku tysiąc dziewięćset dwunastym. Cztery pełne odcinki kolejnej przygody Dzieci Serca. Tym razem grupa pomagała uwięzionemu w Rzymie gladiatorowi („lordowi Antonowi”) uratować się z paszczy lwa na cyrkowej arenie. Czytałem łapczywie: zauważałem już pewne ograniczenia talentu narratorskiego Anszela Wassermana, ale nie umniejszało to przyjemności i wielkiej tęsknoty, którą nagle poczułem, za nim i za dawnym językiem, jakim pisał, językiem cudów i starożytnych proroctw, za wojną, którą najwyraźniej toczył przez całe życie. „Jedyna wojna w swoim rodzaju”, jak mówi przywódca drużyny Otto Brig w urwanym fragmencie opowiadania.

Zbierałem okruchy jego krótkich utworów. Kilka fragmentów w piśmie dla dzieci „Młode Drzewka” (Kraków, tysiąc dziewięćset dwudziesty rok; ciekawe, czy dziadek otrzymywał honoraria za przedruki). Wśród nich historia walki Dzieci Serca u boku Ludwika Pasteura z zarazkami wścieklizny. Polski przekład opowiadania, w którym drużyna pomaga dzieciom podczas powodzi i głodu w Indiach w pierwszym roku dwudziestego wieku; inne strzępy historii przygodowych, rozgrywających się na całym świecie. Jeździłem po kraju, myszując po zakurzonych poddaszach zmarłych osób, jeśli wydawało mi się, że mogą coś mieć. Przywiązywałem do tego wielką wagę. Poświęcałem cały wolny czas.

Nawiasem mówiąc, w tym okresie natrafiłem przypadkiem na opracowanie naukowe, poświęcone prasie dziecięcej w Polsce na początku dwudziestego wieku. Znalazłem tam jego nazwisko: „Anszel Wasserman, pisarz żydowski”. Co prawda było napisane, że „co do wartości i znaczenia jego pisarstwa zdania są podzielone”, autor podkreślił, że „w jego utworach znać silny wpływ – czasami aż zabawny – współczesnych mu autorów”. Twierdził także, z charakterystyczną dla literaturoznawców wyższością, iż „wartość literacka jego dzieł była bardzo niewielka. W gruncie rzeczy służyły tylko do tego, by przekazać młodemu czytelnikowi podstawowe informacje na temat wydarzeń historycznych i kultury innych narodów”. Nawet autor opracowania musiał jednak przyznać, choć półgębkiem, że „te prościutkie historyjki, znane jako cykl *Dzieci Serca*, były, o dziwo, bardzo lubiane przez małych czytelników. Tłumaczono je na polski, czeski i niemiecki i przedrukowywano w rozmaitych europejskich czasopismach dla dzieci”.

Autor zaznaczył jeszcze – nie bez cienia przygany – że dziadek był jednym z nielicznych pisarzy, którzy „choć tworzyli w okresie przebudzenia narodu i języka hebrajskiego (początek dwudziestego wieku), zajmowali się przede wszystkim tematyką ogólną, uniwersalną, nie uwypuklając w ogóle kwestii narodowo-żydowskiej, a nawet całkowicie ją ignorując. Być może właśnie dlatego byli tak lubiani przez dzieci różnych narodowości i zyskali popularność, której lepsi od nich pisarze hebrajscy, mający świadomość swego

posłannictwa syjonistycznego, nigdy nie zdobyli”.

Wpadłem w wielki gniew na nadętego poczuciem własnej ważności „naukowca”. Nie wolno mu oceniać Anszela Wassermana podług tradycyjnych, ograniczonych kryteriów. Nie jego. Czemu się tego nie domyślił?

Ale opowiadania, jednego jedyne opowiadania dziadka Anszela i jego Herr Neigla nie napisałem.

Po powrocie z Narwi znowu zasiadłem do pisania. Przez Brunona. Przez to, co mi powiedział. A może: pomimo tego. Sama osądzisz, jeśli w ogóle zechcesz posłuchać. Nie udało mi się napisać opowiadania. Zacząłem zbierać dokumentację. Cytaty, fragmenty zeznań ofiar, sylwetki psychologiczne sprawców, dokumenty ze śledztw. Rut powiedziała: „To wszystko w ogóle nie jest ci potrzebne. Tylko wszystko utrudniasz – Przytłaczasz się zbędnymi faktami. Twój dziadek i Neigel byli przecież tylko ludźmi. Dwoma istotami ludzkimi. Jeden opowiedział drugiemu historię. Nic więcej”. Rut chciała mi pomóc, jak zawsze. Ale dotarliśmy do takiego etapu w małżeństwie, kiedy każda uwaga drugiej osoby wydaje się protekcyjna.

Słuchasz mnie?

Widzę, jak kiwasz z politowaniem głową na moje niezgrabne próby opowiedzenia tej historii. Gotów jestem się założyć, że szepczesz w tej chwili do siebie: „Jeśli on tak pisze, a przecież od początku przypuszczałam, że właśnie tak pisze, niech tylko nie pisze o mnie. Niech nie próbuje osuszyć mnie na swoich kartkach, odsolić mnie w swoich zeszytach. Bo mnie, mój drogi, trzeba opisywać z dzikością i pożądaniem. Atramentem z wyjątkowych ciał, pikantnych soków męskości i kobiecości, siły żywotnej, nie tak, kochaneńki...”.

Posłuchaj mimo wszystko, posłuchaj.

Pisałem opowieść Anszela Wassermana i ciągle ponosiłem porażki. Pisałem – a moje życie zatrzymywało się coraz bardziej. Zenon z Elei powiedział w jednym ze swych słynnych paradoksów, że obiekt poruszający się w przestrzeni nigdy nie dotrze z jednego punktu do drugiego, bo przestrzeń między tymi punktami dzieli się bez końca na pół, i obiekt za każdym razem musi przemierzyć coraz mniejszą odległość. W końcu nie będzie mógł ruszyć z

miejsca. Tak stało się ze mną: pisałem, lecz nie mogłem przejść od jednego słowa do drugiego. Od pomysłu do pomysłu. Pióro grzęzło w papierze. Coś w rodzaju koszmarnego jąkania się. Miałem swój stały stolik w czytelni Yad Vashem, bibliotekarki dobrze mnie znały. Codziennie o dziesiątej rano zamykałem książki i szedłem do bufetu na lekki posiłek. Bułka z jajkiem na twardo i pomidorem. Potem kawa i kawałek pysznego ciasta drożdżowego, które można tam dostać. Przysłuchiwałem się pracownikom, rozmawiającym o dzieciach i pensji. Myślałem ze znużeniem: gdzieś tam, w tym wielkim budynku, znajduje się pusty biały pokój, o ścianach z najcieńszej błony, a ja nie mogę go znaleźć.

O piątej po południu Rut wracała z pracy, zabierając mnie po drodze naszym zdezelowanym miniminorem. Kiedy wsiadałem do samochodu, wystarczyło jej jedno spojrzenie na mnie, by zrozumieć, i zaciskała wargi, żeby nie powiedzieć nic, co mogłoby doprowadzić do kłótni. Wtedy jeszcze nie mieliśmy dziecka. Jariwa nie było na świecie. Rut poddawała się różnym kosztownym i obrzydliwym zabiegom, o których nie chciałem nic wiedzieć. Płacić – proszę bardzo. Ile trzeba. Kochać się z nią co rano o w pół do siódmej – na to także byłem gotów. Ale wysłuchiwać wszystkich wstrętnych szczegółów o zastrzykach i rokowaniach – nie, moi drodzy. Nie mogła mieć do mnie pretensji: ostrzegałem ją z góry, jeszcze przed ślubem, że nie potrafię pomóc, kiedy ktoś mnie naprawdę potrzebuje. Nie każdy potrafi wszystko. Jesteśmy kwita, bo nie spodziewam się pomocy od nikogo. Także od niej. Oczywiście, moje deklaracje doprowadzały ją do szału. Czasami, kiedy wracała z kliniki, od dyżurnego ginekologicznego bożka, atakowała mnie z nienawiścią, która zadziwiała nawet ją samą. Nigdy nie widziałem, aby tak traciła panowanie nad sobą; odrzucała wszystkie hamulce, swoją rezerwę i oszczędną czułość. Jej szeroka, ciężka twarz, w połowie drogi między urodą a nieokrzesaną wiejską hoźością, wykrzywiała się w zwierzęcej agresji. Ja, jak zawsze, pozostawałem chłodny i rozsądny. Pilnowałem tylko, żeby nie zrobiła sobie krzywdy w tych histerycznych atakach. Czasami, kiedy nie miałem innego wyjścia, wymierzałem jej szybki i celny policzek. Wtedy się uspokajała, zwijała w kłębek i zasypiała,

szlochając. Pogardzałem nią za całe to plugastwo, który wylewało się z niej, kiedy na mnie wrzeszczała. Ale zauważyłem też, że krótki i gwałtowny wybuch szybko ją oczyszcza. Mogła potem z łatwością znowu mnie kochać. Pewnych rzeczy u kobiet nigdy nie zrozumieję. Mówiła: „Sam sobie przecież nie wierzysz, kiedy mówisz coś takiego. Odgrywasz na mnie swoje wewnętrzne konflikty. To nie fair, Momik”.

Może i ma rację. Nie wiem. Czasami tak bardzo chcę odpokutować. Potrafię rozplakać się ze wzruszenia, wyobrażając sobie, że ciężko zachoruje, a ja oddam jej nerkę, uratuję życie. Nie przychodzi mi do głowy szlachetniejszy uczynek. Czasem naprawdę się tego spodziewam. Dowie się prawdy i nagle całe życie nabierze w jej oczach innej perspektywy. Zrozumie i poczuje litość. Najdroższy, w jakimż piekle żyłeś przez cały czas.

Próbowałem pójść w innym kierunku. Zimą roku tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego, w Warszawie, w budynku szkoły, odbył się proces Rudolfa Hössa, komendanta obozu w Oświęcimiu. Przez kilka tygodni rozważałem napisanie rekonstrukcji procesu Anszel Wasserman kontra Rudolf Höss. Przygotowałem nawet kilka niezłych fragmentów, przedstawiających spór między nimi. Czy Wassermanowi uda się ośmieszyć Hössa? Dziadek wyprostował się na podwyższeniu dla świadków i rzucił straszliwą klątwę. Twarz Hössa, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, upodobniła się do antysemitycznych karykatur z „Der Stürmer”. „Teraz – ogłosił dziadek wyrok na nazistę – jest pan wolny, Herr Höss. Będzie pan wędrować po świecie i niech Bóg ulituje się nad pana grzeszną duszą”.

Pracowałem nad tym opowiadaniem przez kilka miesięcy. Postanowiłem posłuchać rady Rut i kpin Ajali, i zignorować fakty. Pisałem pośpiesznie. Brzęczenie w środku było coraz donośniejsze. Mogłem już wyraźnie zauważyć, że to ten sam nieprzerwany, monotony pomruk, którym dziadek opowiadał mi tę historię dwadzieścia pięć lat temu, choć nadal była to tylko melodia bez słów. Czasami zastanawiałem się, czy ludzie wokół mnie także ją słyszą.

Także i to opowiadanie utknęło. Nie udało mi się doprowadzić do tego, by Anszel Wasserman spojrzał Hössowi w twarz. Najwyraźniej pewnych rzeczy

nie można żądać nawet od swoich bohaterów. Pisząc wiersze, nigdy nie zwróciłem na to uwagi. Może dlatego, że w żadnym wierszu nie planowałem doprowadzić do spotkania dwóch osób. „Być może – powiedziała Rut. – Ale twój dziadek i ten Niemiec to mimo wszystko dwaj ludzie. Spraw, żeby wydarzyło się między nimi to, co dzieje się między dwoma ludźmi. – Gdybym tylko wiedział, co dzieje się między dwojgiem ludźmi – odparłem. – Muszę znowu opierać się tylko na faktach. Chyba nie znam się na ludziach. Nie wszyscy znamy się na wszystkim, nieprawdaż?”.

Czytałem numery „Timesa” z listopada czterdziestego szóstego roku. Korespondent z Warszawy relacjonuje najgłośniejszy proces dekady: „Publiczność zasiadła w szkolnych ławkach. Po dwie osoby za każdym stolikiem. Zbrodniarz, mężczyzna, o smutnych, mądrych oczach, ma na sobie jasnozielony mundur”. Czytałem dalej, notując nowe słowo, które poznałem: „ludobójca”. Polski termin, wymyślony specjalnie dla Hössa. Ludobójca – ten, który zabija ludy. Epitet „zbrodniarz” nie był wystarczający, rzecz jasna. Jeśli kiedyś spełni się moje dawne marzenie i będę redagował pierwszą encyklopedię Holokaustu – ofiary i zbrodniarze obok siebie – umieszczę tam również hasło „ludobójca”. Na szyby szkoły na warszawskiej Pradze padały płatki śniegu. Nawiasem mówiąc: śnieg w obozach zagłady miał specyficzny zapach z powodu opadającego popiołu. Co się stanie, kiedy wszystkie te fakty we mnie eksplodują? Chcę pisać, ale nie potrafię pozbyć się blokad, hamulców. Kolejny krok staje się niemożliwy z powodu półkroku, który trzeba zrobić przed nim. Utknąłem w paradoksie Zenona. Oskarżyciel powiedział:

– Nie możemy odczytać aktu oskarżenia, gdyż jest za długi. Obejmuje dwadzieścia jeden tomów, z których każdy ma trzysta stron akt, zawierających opisy pana zbrodni. Dlatego proces rozpoczniemy od prostego pytania: jest pan oskarżony o zamordowanie czterech milionów ludzi. Przyznaje się pan do zbrodni?

Oskarżony zamyślił się na chwilę, zmarszczył czoło, a potem odpowiedział, podnosząc wzrok na sędziów:

– Tak, wysoki sędzie. Przyznaje się. Chociaż według własnych obliczeń



zamordowałem tylko dwa i pół miliona.

– Do wszystkich diabłów pedanterii – zawołała Ajala z pałającą twarzą, jak zawsze, kiedy jest naprawdę poruszona. – Pomyśl tylko, ile razy ten człowiek mordował samego siebie, by móc powiedzieć coś podobnego.

– Musiał być martwy – rzekła Rut, wstrząśnięta i przygnębiona. – Półtora miliona – różnica – ten człowiek musiał być martwy.

– Nie mam już na to siły – żaliłem się im obu oddzielnie. – Nie mogę dłużej. Wszystkie te historie. Koszmary. Jak wiedząc to wszystko, można żyć dalej i wierzyć w ludzi ?

– Zapytaj dziadka – powiedziała niecierpliwie Ajala. – Może wreszcie zrozumiesz, że właśnie to powinieneś zrobić?

– Ale ja nic nie wiem o nim ani o jego losie.

– Był starym człowiekiem, który opowiedział jakąś historię hitlerowcowi. Pozostał przy życiu. *Nazikaput*. Jeśli tak bardzo chcesz się trzymać szczegółów, oto wszystkie fakty, jakich potrzebujesz. Od tej chwili musisz po prostu zacząć pisać z poświęceniem. Nie z rozsądkiem.

Miała na myśli biały pokój, o którym mówiła mi przy naszym pierwszym spotkaniu.

– O tych rzeczach trzeba pisać, podając tylko suche fakty – powiedziałem. – Nie mam prawa dotykać tej rany.

– Trzeba pisać językiem ludzi, Szłomik – odparła Ajala. – To wszystko. To wiele. Potrzeba prawie poezji.

Pamiętam, że próbowałem się wyklócać:

– Adorno powiedział, że po Auschwitz poezja jest niemożliwa.

– Ale w Auschwitz byli ludzie – rzekła powoli Rut swoim ciężkim głosem. – To znaczy, że poezja jest możliwa, to znaczy...

– To znaczy – zapaliła się Ajala, a na jej okrągłych policzkach wykwitły czerwone wypieki – nie prawdziwa poezja, z rymem i rytmem, ale rozmowa dwóch osób, tylko to. Niepewna i urywana rozmowa, trochę wstydu i bliskości, cierpienie i ostrożność. Potrzeba bardzo niewiele.

Ale do tego trzeba przede wszystkim odwagi, a ja, oczywiście...

Tym razem Ci się udało.

Od kilku minut usiłujesz mnie złapać. Czuję, jak się prężysz w ciemności, ale błędnie przypuszczałem, że to przez moje opowiadanie, że w końcu udało mi się Cię wzruszyć. Zobaczyłem, jak wylewasz na wędkarzy wiadra szczególnie słonej wody, przechowywanej w najzimniejszych morskich piwnicach. Słyszałem przekleństwa, zdziwione okrzyki – co za cholerne morze mamy dzisiaj! Nie rozumiałem, co naprawdę się dzieje – aż w końcu pojąłem.

Twoja broń jest tak nieskuteczna, gdy kierujesz ją przeciw komuś na lądzie! Poza tym i tak jestem całkiem mokry, nie mam nic do stracenia. Na znak mojej hojności, wielkoduszności, w porównaniu z twoją małostkowością, opowiem Ci teraz o Brunonie, a przede wszystkim – o Tobie, tak jak lubisz. Jak mała dziewczynka, która czeka, aż usłyszy swoje imię w bajce na dobranoc.

Dla Ciebie pomijam wszystkie fragmenty, które nie mówią o tobie – listy z prośbami, które wysyłałem do Warszawy, polecenia, protekcja mojego wydawcy i lista zaleceń mamy, która bardzo się bała mojej podróży do kraju TAM i zaopatrzyła mnie w dwadzieścia jeden pustych kopert ze znaczkami, żebym codziennie wysyłał znak życia; dziesięć paczek nylonowych skarpet do sprzedania na czarnym rynku (gdyby skończyły ci się pieniądze), które przemyciła do walizki z dawnym sprytem; smutne pożegnanie z Ruti („obyś w końcu znalazł to, czego szukasz, i żebyśmy mogli zacząć żyć”). Lot i walizka, która „zaginęła” na polskiej odprawie celnej i którą odzyskałem dwa dni później (bez nylonowych skarpet), spotkanie z rektorem Uniwersytetu Warszawskiego Zygmuntem Rybickim, do którego zwróciłem się z prośbą o pomoc w zorganizowaniu wyjazdu. O tym spotkaniu mogę Ci opowiedzieć: z pewnością bardzo Cię zainteresuje. Jeśli nie – co Ci szkodzi?

Profesor Rybicki zapytał oczywiście, skąd moje „niedziwne” zainteresowanie Brunonem Schulzem. Powiedziałem otwarcie, że dla mnie Bruno to jeden z prawdziwych wojowników albo sposób walki z tym, co się wydarzyło.

– Wie pan oczywiście – powiedział Rybicki – że on nie zdążył walczyć? Został zamordowany w czterdziestym drugim roku, nigdy nie wziął broni do

ręki.

– Wiem – odparłem.

Odchylił się na oparcie fotela, zaczerpnął powietrza i dokładnie mi się przyjrzał. Potem zapytał, czy może zaprosić do nas profesora Tylocha, kierownika katedry studiów hebraistycznych, który „z wielkim zainteresowaniem przyjął pańską niecodzienną prośbę”.

Przez bite dwie godziny rozmawiałem z dwoma polskimi profesorami, którzy nie przestawali się zastanawiać, czy w ogóle zasługuję na poważne traktowanie. Widziałem ich wątpliwości. Pytali, czemu nie zostanę w Warszawie, aby pracować w bogatej bibliotece uniwersyteckiej i czytać spokojnie wszystko, co kiedykolwiek napisano o Brunonie. Odparłem, że znam wszystko, co o nim napisano. Tyloch, mówiący płynnie współczesnym hebrajskim, potarł policzek z wyraźnym wahaniem, zerknął na kolegę i powiedział, że chciałby – jeśli nie uznaję tego za wyjątkową bezczelność – zadać mi kilka prostych pytań na temat Drohobycza, w którym Bruno spędził całe życie, a który także on, Tyloch, nieźle zna. Oczywiście, to nie żaden egzamin, broń Boże, ale, powiedzmy, rozmowa, tylko po to, aby się upewnić co do kilku spraw, upewnić się w pewnym dziwnym, niemądrym przeczuciu.

– Przejdź do rzeczy, Witoldzie – rzucił niecierpliwie rektor. – Pan Neumann z pewnością sam rozumie, że musimy zrobić wszystko, aby zyskać pewność, że pomagamy właściwej osobie.

Oświadczyłem, że jestem gotów na każde pytanie.

Profesor Tyloch z zażenowanym uśmiechem pytał mnie o rozmaite dzielnice Drohobycza i żydowskich mieszkańców. Potem pytał także o pobliskie kopalnie soli i o szyby naftowe. Odpowiadałem szybko i bez wahania. Miałem wrażenie, że trochę się przeląkł potoku mojej wymowy i postanowiłem – aby nie wyrzucić złego wrażenia – nieco przyhamować. Z nerwowym uśmiechem zapytał o nazwiska przywódców gminy żydowskiej w ostatnim wieku. Musze przyznać: świetnie znał fakty. Wiedział nawet, że Adela Kiknisz, stracona z powodu fałszywego oskarżenia o mord rytualny, której wbijano szpilki w nogi, aby nie było widać ciała, gdy konie będą ją nieść ulicami – jest tą samą kobietą, o której

pisał J.L. Perce w *Trzech podarunkach*. Profesor pochylił się lekko i zapytał o kawiarnię z czasów Brunona Schulza. To zaskakujące pytanie wytrąciło mnie z równowagi: jaki to ma związek z moją prośbą? Mimo wszystko udało mi się przypomnieć sobie „Szenalf Kaffehaus”, która stanowiła także nieoficjalną giełdę górnictwa naftowego, oraz kawiarnię Szechtera, do której przychodziła młodzież, aby tańczyć przy radiu. Kiedy skończyłem, zobaczyłem, że na czole kropli mi się pot. Ja także byłem spięty. Nie tylko przez ten głupi egzamin, ale dlatego, że wszystko to żyje we mnie do tego stopnia.

Profesor nie dał za wygraną. Myślę, że miał jakiś ukryty motyw. Zapytał, czy wiem, kim byli niemieccy dowódcy, którzy zajęli Drohobycz. Odparłem, że można to znaleźć w każdej książce o wojnie, ale czy on wie, że najokrutniejsi mordercy „oddziału wiedeńskiego” w Drohobyczu to Jarosz i Kowczik? Ze pies Josefa Petra, którym szczuła nas, Żydów, nazywał się Rauf? Ze Felix Landau, chlebobawca Brunona Schulza w getcie, brał wcześniej udział w zabójstwie konsula austriackiego Dolphusa? Ze na ulicy Kowalskiej mieszkały następujące rodziny żydowskie: Frojlichman, Tartako...

– Dość! Wystarczy!

(Obaj chórem. Przedziwnie wstrząśnięci. Patrzyli na mnie tym samym znajomym spojrzeniem. Zawsze tak się dzieje, gdy zaczynam mówić o tych rzeczach. Bardzo trudno mi się powstrzymać. Nie wynika to z zarozumiałstwa. Nie szukam poklasku. To fanatyzm człowieka, spisującego swój jedyny majątek. Obaj spojrzeli na mnie z lekkim westchnieniem. Tak samo przyglądała mi się Rut, słuchając o kuponach na loterię, które nalepiłem sobie na ręce, gdy w komórce pod domem czatowałem na bestię. Zbladła, utkwiała we mnie przerażone spojrzenie, jakby widziała mnie po raz pierwszy, i oświadczyła cicho, niepewnie, że nigdy, „przenigdy”, nie chce słyszeć o „tamnym wydarzeniu”. Przyrzekłem).

Potem:

– Proszę nam wybaczyć, panie Neumann, ale sytuacja raczej nie jest łatwa. Oczywiście, pomożemy panu w miarę możliwości. Dokąd chciałby pan się udać?

Wyciągnąłem mapę i pokazałem:

– Mój Bruno wyruszył z Drohobycza pociągiem do Gdańska. Najbliższe miejsce nad morzem.

Przemówił rektor:

– Żydom nie wolno było wtedy podróżować pociągiem.

– Znam ten rozkaz. Ogłoszono go dziesiątego września czterdziestego pierwszego roku, rozwieszono odezwy na ulicach miasta. Ale Bruno pojechał pociągiem.

– Martwię się rzetelnością naukową i literacką pańskiego dzieła, panie Neumann.

– Z całym szacunkiem, profesorze, to już nie jest kwestia literatury. Bruno musi wyjechać z Drohobycza.

– Oczywiście.

Razem powiedli palcami po linii kolejowej na mapie.

– Znajdźcie mi, proszę, jakąś wioskę w pobliżu Gdańska, w której mógłbym zamieszkać. Nie chcę zatrzymać się w samym Gdańsku.

– Oczywiście, wieś nad brzegiem morza.

Profesor Tyloch podniósł na mnie wzrok.

– Bruno Schulz to jeden z naszych najbardziej cenionych pisarzy. Będziemy wdzięczni, jeśli potraktuje go pan z należyтым szacunkiem.

– Pójdę, dokąd mnie poprowadzi.

– Jest pan mistykiem?

– Nie. Przeciwnie. Pewna kobieta twierdzi, że powinienem być trochę... nie. Nie jestem mistykiem. Mam nadzieję, że nie.

– Proszę bardzo – powiedział profesor Rybicki. – Może pan zamieszkać w Narwi. Chociaż nie polecam. Straszna dziura. Mała wioska rybacka. W sierpniu jest tam kąpielisko dla letników, ale teraz jeszcze za chłodno na kąpiel.

– Świetnie. Narwią.

(Ze zdumieniem powtórzyłem tę nazwę. W takim razie – tam dojdzie do spotkania).

– Proszę bardzo. Proszę nie mówić, że pana nie ostrzegaliśmy. Moim

zdaniem to okropne miejsce. Załatwię panu potrzebne dokumenty. Będzie pan mógł tam zostać dwa tygodnie. Papiery dostanie pan już pojutrze. Tymczasem może pan popracować w naszych bibliotekach.

– Dziękują. Przepraszam, jeśli byłem nieuprzejmy. Po prostu...

– Rozumiemy. Życzymy powodzenia. Będzie pan go potrzebował bardziej, niż pan sądzi.

Profesor Tyloch dodał po hebrajsku:

– Niech pan na siebie uważa. Niech pan będzie ostrożny. Uśmiechnąłem się, słysząc jego piękną wymowę, ale także lekko się zirytowałem.

Coraz bliżej. Jeszcze trochę cierpliwości.

Na niezbędne zezwolenia czekałem cztery dni. Spacerowałem po Warszawie. Wędrowałem samotnie po wielkim milczącym mieście: jakby ktoś wyłączył fonię w telewizorze. Widziałem długą kolejkę przed sklepem, na którego wystawie leżał jeden pomidor. W kawiarni spróbowałem ciastek francuskich, o których kiedyś tęsknie opowiadał ojciec. Zjadłem je na jego cześć, chociaż mi nie smakowały. Na ścianach domów widziałem krasnale w wysokich czapkach i znaki ruchu „Solidarność”. Odbylem wzruszające spotkanie z Julianem Strykowskiem, polskim pisarzem pochodzenia żydowskiego, mówiącym żywą hebrajszczyzną, który pisał o miasteczku... Dobrze, już się streszczam! Streszczam! Potem, kiedy dostałem dokumenty – podróż pociągiem do Gdańska, bezkresne krajobrazy, lasy pełne lip i smukłych brzoź, obory i stodoły – i przez cały czas to dojmujące uczucie, że ON jedzie ku mnie z przeciwnego kierunku, z Drohobycza, znajdującego się obecnie na terytorium Rosji. Dokładnie tak się czułem, przepisując fragmenty jego prozy do zeszytu: jakby odpowiadał mi stukaniem z drugiej strony kartki; jak dwaj górnicy, kopiący tunel z dwóch stron góry...

Stanąwszy naprzeciw fal, zrozumiałem, że się nie myliłem. Ze Bruno nie został zamordowany. Uciekł. „Uciekł” nie w zwykłym znaczeniu, ale tak, jak wypowiadamy to słowo ja i Bruno. Mamy na myśli, że ktoś wysiłkiem woli i decyzją przeniósł się w magnetyczny inny wy... Boże, recytujesz wraz ze mną ten fragment, jak mała dziewczynka, która dopowiada końcówki zdań. Słyszę

Twój szept, zanim zdążę dokończyć zdanie: Człowiek, który uciekł do formy istnienia w dużej mierze znanej wyłącznie z mglistych domysłów, wymagającej wiele wysiłku i dobrej woli ze strony tych, którzy w niej istnieją. Podróżny z wyjątkowo lekkim bagażem...

Rozklekotanym autobusem dotarłem do wioski rybackiej o nazwie Narwia. Wynająłem pokój u wdowy, pani Dąbrowskiej, kobiety w żałobie, z trzema włochatymi brodawkami na policzku. Oddała mi własny pokój i łóżko, z obrazkiem świętej Marii z Dzieciątkiem i fotografią nieżyjącego pana Dąbrowskiego, w uniformie listonosza, z wąsem. Tego samego popołudnia włożyłem szare kąpielówki i usiadłem na porzuconym, odrobinę podartym leżaku, na pustej piaszczystej plaży, w porywistym wietrze, wyjątkowo chłodnym jak na lipiec. Czuję się samotny i bardzo spięty – czekałem.

Powoli wszystko zrekompensowało moje wysiłki. W dzień przesiadywałem na plaży, czekałem, obserwując rybaków wychodzących w morze. Nadal tam byłem, kiedy wieczorem wracali z połowu i wzywali członków rodzin do małego portu, aby pomogli im wyciągnąć łodzie na brzeg prymitywnym kołowrotem. Rozkładali swoją zdobycz na długim drewnianym stole. Dopiero wtedy wracałem i jadłem smażoną fladkę, którą przyrządzała wdowa – jak każda kobieta wieczorem w wiosce – a potem zaczynałem pisać, a przede wszystkim – wykreślać. Doprowadziłem już Brunona do Gdańska; przemyciłem go do pociągu przed samym nosem policjantów i literaturoznawców. Pozostało już tylko cierpliwie czekać. Wyzwolić się od siebie i stać się jego ręką. Może nawet czymś więcej: kto wie, czego ode mnie zażąda w zamian za odtworzenie zaginionego dzieła, *Mesjasza*? Skurczyłem się i nasłuchiwałem. W pobliskim Gdańsku wybuchały zamieszki i odbywały się demonstracje „Solidarności”. We wsi czasami nagle wyłączano prąd. Niekiedy musiałem pisać przy kopczącej lampie naftowej. Nie co dzień pojawiał się na stole świeży chleb. Nie napisałem ani jednego słówka do Rut, ani do Ajali, nie wysłałem listu do matki. Po raz pierwszy od krótkiego romansu z Ajalą czułem, że jestem zakochany. Nie bardzo wiedziałem w kim. W każdym razie byłem gotów do miłości. Może to dzięki temu wszystko tak dobrze poszło...

Zbliżamy się. Podskakujesz wokół mnie niecierpliwie, podekscytowana. Posłuchaj: czwartego ranka mojego pobytu w Narwi po raz pierwszy wszedłem do wody. Fale były gładkie i delikatnie unosiły mnie na powierzchni. Jakbyś już wiedziała. Moja opowieść wymagała, abym pojechał nad morze i tam czekał. Od chwili, kiedy po raz pierwszy przeczytałem książki Brunona i zacząłem przepisywać jego słowa do zeszytu, przywiązuję szczególną wagę do słów, które wychodzą spod mojej ręki. Wciąż czekałem na jakąś istotną wiadomość.

W mojej opowieści morze przypominało ogromnego starca, trochę dobrotliwego, a trochę chytrego i gderliwego, z brodą Neptuna, z której ściekały krople wody. Nie wiedziałem, czemu nie potrafię wczuć się w niego jak należy. Przez cały dzień cierpliwie unosiłem się na wodzie. Spiekłem sobie plecy na czerwono. O piątej po południu dowiedziałem się, że ten, którego uważałem za starca – jest kobietą. Osobowością kobiety obleczoną w wodne ciało. To ogromny błękitny skorupiak, przez większość czasu uśpiony, gdyż nie potrafi sam zaspokoić swego ogromnego zapotrzebowania na energię, owinięty galaretowatą, płynną esencją jej nieskończonej duszy, tysiącami wydymających się halek, zielonych, niebieskich i białych sukien; śpi, zanurzona w jednym z tysięcy basenów, z twarzą zwróconą ku słońcu niczym wielki słonecznik, miękkie, ciekłe ciało porusza się bezwiednie, kurcząc się, marszcząc i pieniając w surrealistycznych wizjach snów, stwarzając groteskowe stwory w głębinach; trzeba zachować czujność i nie dać się zwieść jej dostojnemu obliczu, bo w gruncie rzeczy, pod niezliczonymi warstwami, to tania przekupka, bez honoru i wstydu, żeby nie powiedzieć – prostytutka w swoich zmiennych humorach i pragnieniach; typowy niedoskonały wytwór dawnych epok geologicznych, który nie ewoluował zbyt od tamtych czasów. Nie ma też w ogóle wykształcenia, choć można by sądzić inaczej z uwagi na jej podeszły wiek, rozległe doświadczenia i liczne podróże po świecie. Jak to bywa z pewnymi kobietami – jedną taką spotkałem kilka lat wcześniej i dobrze poznałem – sprytnie nauczyła się przyozdabiać okruciami wiedzy, tysiącami zabawnych historyjek i prostackich „pikantnych” anegdot, wie, jak przypodobać się słuchaczom. Ma wielką intuicję i wyostrzone zmysły drapieżnika, a to wystarczy, aby zmylić



pewnych ludzi. Tak, przede mną nic nie ukryjesz. Poznałem Cię po ostatni zakamarek czarnych głębin. Wydaje mi się, że odniosłem sukces tam, gdzie wielu poniosło porażkę, nie odważyło się na to co ja, to znaczy nie musieli się odważyć. Uchwyciłem (oczywiście, nigdy tego nie przyznasz) to, co nieuchwytnie, utrwaliłem na papierze jedno kolorowe mgnienie z nieskończonego kalejdoskopu kombinacji form i barw, pół błękitnego światła, przestrzeni migotliwych w promieniach słońca, których wielki czar polega na tym, że nie istnieją zbyt długo, by je zapamiętać, spisać...

Te i podobne słowa szeptałem Ci tam, na plaży w Narwi. Rozgorączkowany, zanurzałem w wodzie wargi. Opowiadałem ci o NIM, ale także o sobie. O mojej rodzinie, o tym, co wyrządziła jej bestia. Mówiłem o strachu. O dziadku, którego nie umiem wskrzesić, choćby na papierze. O tym, że nie zrozumie swojego życia, póki nie poznam życia, którego nie przeżyłem TAM. Powiedziałem Ci, że Bruno jest dla mnie znakiem: zaproszeniem i ostrzeżeniem. Z pamięci cytowałem fragmenty jego opowiadań...

- Hej, ty tam - powiedział nagle ktoś dziwnym głosem, nosowym i zirytowanym. Podniosłem głowę, lecz nie było nikogo. Plaża była biała i pusta. Stał na niej tylko samotny leżak, którego podarte płótno lekko łopotało na wietrze. Wokół mnie powstało jednak jakieś gładkie, bardzo ciepłe zgęstnienie, które po chwili rozpuściło się bez śladu. Potem znowu:

- Wiesz co - powiedziałaś z wahaniem, bez cienia sympatii - mówisz jak ktoś, kogo znałam.

O mało nie eksplodowałem z wielkiej radości, ale nadal spokojnie unosiłem się na wodzie, jak gdyby nigdy nic.

- Aha - kogo dokładnie masz na myśli? Obrzuciłaś mnie podejrzliwym spojrzeniem. Na chwilę

spuściłaś lazurową zasłonę między mną a brzegiem, polizałaś mnie szybko i bezwstydnie po całym ciele, cmoknęłaś głośno wargami, zdumiałaś się smakiem, podniosłaś zasłonę i nad moim ramieniem spojrzałaś na plażę.

- Na pewno nie usłyszysz tego ode mnie tutaj.

- Może u mnie? - zapytałem uprzejmie.

– Ha!

Tam po raz pierwszy usłyszałem Twoje lekceważące parsknięcie. Falę wyrzuconą nozdrzami w drwiącym pozdrowieniu, którym mnie witasz od tamtej pory. Pewnie zawsze tak będziesz robić. Kiedy co tydzień przyjeżdżam na plażę w Tel Awiwie, nawet przez sen płoszysz rybaków i letników tym okropnym dźwiękiem. Oczywiście, nie mają o niczym pojęcia.

– Zabiorę cię tam, daleko – pokazałaś horyzont brwiami fal.

– Przyniesiesz mnie z powrotem?

– Tak, do wszystkich huraganów!

– Słyszałem, że czasami ludzie znikali w czeluściach i nie wracali.

– Boisz się?

– Ciekawe. Mówisz jak pewna kobieta, którą kiedyś znałem.

– Zamilknij wreszcie. Zamilcz. Zawsze tak dużo gadasz? No, chodź już.

Znowu polizałaś mnie przelotnie, z widoczną niechęcią, i warknęłaś do siebie zła i zdziwiona:

– Nie może być. Taki inny! Całkowicie! Jednak wie o rzeczach, o których nikt inny... Zaraz wszystko się okaże.

W jednej chwili cofnęłaś się i znikłaś z szumem i sykiem, pozostawiając mnie zaskoczonego i rozczarowanego.

Ale tylko na chwilę. Bo nadeszła wielka wzburzona fala, która zatrzymała się przede mną z rykiem i rzuciła pod moje nogi. Wsiadłem na jej potężny grzbiet, chwyciłem ją za uszy – i ruszyliśmy.

### 3

Nie zapominam, Bruno, i nigdy nie zapomnę chwili, kiedy do mnie przyszedłeś, palącego ukłucia, kiedy rzuciłeś się do mnie z nabrzeża. Z twojego ciała buchnęło wtedy wielkie gorąco. Było jeszcze coś, nie wiedziałam wtedy co. Z początku myślałam, że to woń rui podobnych tobie stworzeń. Dopiero potem zrozumiałam, że to po prostu woń rozpachy, że masz taki gruczoł. Ale wtedy nie miałam jeszcze czasu zastanowić się, co i jak, czułam tylko okropne pieczenie i rozdarcie na całej długości, pewnie jak kobieta przy porodzie. Skurczyłam się cała i potoczyłam do ciebie naraz ze wszystkich stron, dosiadłam w gniewie najsilniejszych fal, które udało mi się złapać na Madagaskarze, bo tam akurat spałam (króciutka drzemka, zazwyczaj nie lubię długo sypiać), i ruszyłam najkrótszą trasą do Przylądka Dobrej Nadziei. Fale padły wyczerpane, wzięłam więc nowe, bardziej rącze, i w straszliwej nawałnicy pomknęłam aż do Zatoki Genueńskiej, przeciskając się przez Cieśninę Gibraltarską. To był, rzecz jasna, błąd, bo powinnam była skręcić dopiero w kanał La Manche. Zawsze tak się dzieje. Zanim zauważyłam pomyłkę i udało mi się zawrócić, także te fale osłabły. Co za mazgaje, z trudem udało mi się zaciągnąć je z powrotem na Atlantyk. Tam całkiem opadły z sił, błagając ze łzami, żebym się nie gniewała. Pomknęłam dalej sama przez Zatokę Biskajską i wreszcie znalazłam fale takie, jakie lubię, załamujące się na wysokości siedemnastu metrów, z rykiem i pianą, bez odrobiny zapachu ładu. Zebrałam pęk węgorzy i smagałam nimi fale. Szybko, krzyczałam, szybko. Ryby wiły się wściekle, kąsając się nawzajem potężnymi, węzowymi pyskami. Tam, gdzie przebiegliśmy, woda marszczyła się i wypluwała na powierzchnię fantastyczne stwory z najczarniejszych otchłani, zalewała i zatapiała kolonie nieszczęsnych kormoranów, wywołała straszliwy *torag* wśród błękitnych wielorybów i skradła kolor ogromnej ławicy barwen. Co

za jazda, Bruno, co za jazda! Nawet za milion lat będę się dziwić, śmiać z siebie samej, że nie zrozumiałam natychmiast, co to za potworny ból. Będę wspominać, jak przebyłam dziesiątki tysięcy mil morskich gnana wściekłością, że przebudziłeś mnie tak bezczelnie. Po drodze, mniej więcej na wysokości Bornholmu, wysłałam naprzód zwiadowców, małych bałtyckich biegaczy, moje ręce drobne fale. Pocwałowały naprzód, musnęły cię i natychmiast wróciły, zdyszane, krztusząc się zdechłymi rybami, które połknęły po drodze, i deskami z zatopionych łodzi. Podskoczyły do mego rydwanu, nadstawiając grzbiety do polizania. Spróbowałam – tfu! Splunęłam jak najdalej, bo moje małe fale były gorzkie jak trujące meduzy. Rozsierdziłam się nie na żarty i pomknęłam naprzód, plując pianą i rybami, miotając we wszystkich językach przekleństwa, których nauczyłam się od marynarzy. Czułam, jak wnętrzności wywracają mi się w odruchu wymiotnym, chcąc wypluć intruza, podobnie jak strzykwy wyrzucają swoje organy wewnętrzne wraz z rybkami, które je drażnią. Ale wtedy, mój Bruno, w tej samej chwili, w głębinach, w najdalej położonych kryjówkach, drgnęły płetwy jakiegoś na poły skamieniałego stwora, przyczepionego do skały. Poruszał tylko trochę jednym okiem, a serce uderzało mu raz na sto lat – i hrrr! Ściągnęłam z całej siły fale biskajskie, które stanęły dęba, rżąc wściekle, i pochyliłam się, żeby sprawdzić, któż to się przebudził, bo mam wiele respektu dla wszystkich starożytnych istot, żyjących w moich piwnicach. Daleko zaszłam od tamtej pory i bardzo się rozwinęłam – ale to nie znaczy, że mam nimi pogardzać, nieprawdaż? Ten staruszek, z całym szacunkiem, był naprawdę powolny i piał się w górę pomalutku, spokojnie pokonując wszystkie moje warstwy i wszystkie poziomy. Na jego widok wszyscy uciekali, żeby się wyśmiać na stronie. Na pewno znacie ten typ starego wiernego sługi, który jest już na wpół głuchy i ślepy, i tak dalej, ale nawet przez chwilę nie śni mu się odejść ze służby. Minęło jakieś półtorej wieczności, zanim dotarł do mnie, i, rzecz jasna, rozpoczął od wszystkich staroświeckich formulek grzecznościowych. Przerwałam mu łagodnie, lecz z charakterystycznym dla mnie zdecydowaniem, i poprosiłam, żeby, do wszystkich wschodnich wiatrów, wyjaśnił natychmiast, co go sprowadza. Nachylił się mi do ucha i zaczął szeptać

do mych muszli wielką tajemnicę, dobytą ze swej długiej pamięci. O dziewczyno, ale rozdziawiłaś usta ze zdumienia! Jak z lękiem zaczęłaś prychać obłokami pary i mgły! Słowo daję, niech mnie kule bija, miał rację: przed tyloma a tyloma milionami lat – identyczne uczucie! Dokładnie takie samo! Pieczenie na całej długości, duszność. Także wtedy zagotowałam się z wściekłości i pocwałowałam przez pół świata, ale nigdzie nie odnalazłam przyczyny. Dopiero na sam koniec, na brzegu, spotkałam go. Bezcelny malec, który ośmielił się przebudzić mnie takim bólem. Był – cóż, nazywam ten rodzaj po prostu „pytania” bo trudno nazwać je inaczej. I staram się jak najmniej zwracać na nie uwagę. Ten był trochę większy od pozostałych. Nazwijmy go więc, dajmy na to, „zdziwieniem”. Tak. Stwór, który przez miliony lat zdażył się we mnie skryzalizować i nawet zyskał na wpół przezroczyste ciało. Coś, co przez pomyłkę można wziąć za meduzę, choć nią nie jest, bo meduzy pływają w stadach, a „pytania” zawsze są pojedyncze. Nikt u nas nie lubi takich wyniosłych stworzeń.

On w ogóle mnie nie zauważył. Ujrzałam jak drży, dygocze z gorączki i zatruwa wodę dookoła rozpaczą. To był okropny widok: zwijał się z bólu, aż wylatywał w powietrze i spadał do mnie z powrotem. Było mi go okropnie żal. Taka już jestem: nad wszystkimi się lituję. Tylko nade mną nikt się nie ulituje. Nieważne. Tymczasem on poparzył mój błękitny, przejrzysty układ nerwowy, ze wszystkich sił szukając odpowiedzi. A we mnie nie było odpowiedzi, bo, proszę, nie zapominajcie – to było bardzo dawno temu, przed milionami lat, byłam wtedy, prawdę mówiąc, dość głupiutka. Byłam naiwna jak te małe syrenki i nie myśląc, co właściwie robię, cała się spięłam, otoczyłam go i w wysiłku, który o mało mnie nie rozdarł, wyrzuciłam tam, do niej, do mojej pięknej siostry. I co tam się stało, jak sądzicie? Chyba znalazł swoją odpowiedź, niech mu będzie na zdrowie! Nie od razu oczywiście, dopiero po pięćdziesięciu czy stu tysiącach lat, nawet nie liczyłam, w ogóle mnie to nie interesowało. Co jakiś czas budziłam się i przypominałam sobie o nim, zbliżałam się do brzegu, żeby zobaczyć, jak sobie radzi poza mną. Zauważyłam, że przybiera dziwne formy, podobne do tych, które były we mnie, a jednak inne. Przeżyłam okropny szok, kiedy zobaczyłam, że wyrastają mu kończyny. Po upływie kolejnej półtorej wieczności zauważyłam,

że stał się człowiekiem, prawdziwym człowiekiem. Mogłam być zła tylko na siebie, że z wygodnictwa i z głupoty nie starałam się go zatrzymać, znaleźć dla niego odpowiedzi. Ale kto by wtedy o tym myślał. Kiedy mój stary sługa powoli obrócił się i zanurkował z powrotem do swego schronienia, przygryzłam wargi i przyrzekłam sobie, że będę silna. Bądź dzielna, dziewczyno, powiedziałam sobie, bądź gotowa na wszystko, bo sądząc z bólu i piekącej substancji wydzielanej przez jego gruczoły, to prawie pewne, że twoja piękna siostra zwraca ci dług. Znasz ją nie od wczoraj – nie oddaje niczego z dobrej woli. Najwyraźniej ona także nie może go już znieść.

Wciąż zbliżałam się do niego, ale oczywiście ostrożniej, bo trzeba być przygotowanym na wszystko, zwłaszcza z kimś takim, z kim nie może wytrzymać nawet moja siostra. Muszę przyznać teraz, kiedy sama go znam, że się nie dziwię. Wcale się nie dziwię, że go wyrzuciła, biedaczka, bo mojej kochanej siostrzyczce trudno znieść podobne rzeczy. Przeraza ją cokolwiek odrobinę bardziej skomplikowanego od wulkanu albo lawiny śnieżnej. Ona bowiem – nawiasem mówiąc, wszyscy to wiedzą, mówię coś, co powtórzyłabym jej prosto w oczy – lubi proste rzeczy. Bardzo, ale to bardzo lubi porządek i logikę; pragnie, aby wszystko było na swoim miejscu. Jestem gotowa przysiąc, że nie chciała pozwolić większości z moich stworzeń żyć u siebie z tego samego powodu, poczucia porządku i „estetyki” (powinniście ją usłyszeć, jak to mówi), jak gdyby konik morski był brzydszy od konia. Ale prawda jest taka, że ktoś, kogo zmęczył mój chaos, opuszcza mnie dla niej. Faktem jest również, że uporządkowani i cywilizowani ludzie żyją na niej, a do mnie przychodzą awanturnicy, żeglarze, romantycy i wariaci. Choć tego nie planowałyśmy, zawsze istniał taki podział. Nagle jednak ona zaczyna mieć dziwny problem. Pewne ludzkie stworzenie, maleńka kropka, paproch, zaczyna jej doskwierać niczym bolesny wrzód. Co z nim począć? Słusznie: przysyła się go szybciotko do mnie. Jej jest wszystko jedno. Tak mówi sobie moja ukochana siostra w głębi serca (jeżeli ma w ogóle coś takiego). Nawet nie poczuje, a jeśli poczuje, to się ucieszy, bo to idealny typ dla niej, ten Bruno. Doskonale pasuje do jej romantycznych rojeń, bo chociaż narodziła się jakieś cztery miliony lat temu,

wewnątrz nadal jest podlotkiem. To nawet wspomniała – mówi moja siostra – że udaje jej się taką pozostać, pełną młodości, nieokiełznana, i – aha – żadną przygód, ta...ak (musicie usłyszeć, jak mówi „żadna przygód”. Jest tak miła, że pokrywa się wysypką drzewek cytrynowych w Indiach).

Powiem wam prawdę – ma rację. Ma rację po stokroć, do wszystkich wschodnich wiatrów. Naprawdę taka jestem. Tego wieczoru, kiedy przyleciałam co sił, bez tchu, z Madagaskaru na gdańskie wybrzeże i po raz pierwszy ujrzałam tego drobnego mężczyznę bijącego o wodę, jakby był samicą manata, która waży tonę, rozkłada płetwy, wyskakuje i opada z łoskotem (w ten sposób się ciela), kiedy zobaczyłam, jak desperacko ucieka od NIEJ i zanurza się we mnie, coś we mnie drgnęło, niech mnie kule biją. Wszystko nagle się roztańczyło. Często wpadam w taki nastrój, potrząsam wtedy koralami wysp Pacyfiku, skrzypię lodowcami na Antarktyce. Powiedziałam na głos: Nie przesadzaj, nie trać głowy, pamiętasz przecież, jak to się skończyło z innymi, z Odyseuszem, Markiem Polo i Francisem Drakiem. Przecież na końcu zawsze cię opuszczają i wracają tam. Potrzebują cię tylko wtedy, kiedy tracą nadzieję. Kiedy im już pomogłaś, odchodzą bez podziękowania, nie domyślając się, jak bardzo ich pragniesz, nie wiedząc, czym i kim jesteś, oprócz wody...

Chociaż z drugiej strony, powiedziałam sobie, jaki sens ma moje życie, kiedy leżę tak uwięziona, wciśnięta między kontynenty, cieśniny i wybrzeża. Mogę się dowiedzieć czegoś o świecie tylko z opowieści rzek w ich słodkim, mdlącym języku, z krzyków mew i głupiej paplaniny podekscytowanych kropel deszczu. Co za sens ma takie życie, jeśli nie zazna się trochę miłości, a czasem bólu, tak, także bólu, do wszystkich wschodnich wiatrów. To przyjemny ból, jak wtedy, w Morzu Czerwonym, kiedy powstrzymywałam swe wody przez półtorej wieczności, aż przeszli przeze mnie wszyscy Żydzi. Myślałam, że oszaleję (bardzo trudno jest się tak wycofać, i to jeszcze z obu stron). Patrzyłam na tego drobnego, skoncentrowanego, silnego mężczyznę, na jego odrobinę trójkątną głowę i chude białe ciało, wiedząc, że będę jego. Kiedy mnie zechce, będę jego, dam mu siebie całą, bezwarunkowo i bez ograniczeń, od powierzchni wody po najczarniejsze głębiny, nie myśląc ani przez chwilę, co będzie potem, gdy w

końcu wróci do NIEJ, zatruwszy i zbełtawszy mnie cała; po tym jak pozwolił sobie rozpaść się we mnie i podzielić na elementy, które tylko ja mogę mu zaoferować, okruchy i barwy, kręgi na wodzie i wzburzone fale. W jednej chwili stałam się zarazem chłodna i ciepła. Okropnie się też zarumieniłam, bo po mnie zawsze w takiej sytuacji widać wszystko. Przez moment można było pomyśleć, że przeniosłam przez pomyłkę całe Morze Czerwone do Zatoki Gdańskiej. Pomyślałam jeszcze tylko, że jest mnóstwo spraw organizacyjnych, którymi powinnam się *zająć*, a kto będzie miał teraz głowę do tego – pilnowanie temperatury i kierunku Golfstromu, rytmu, w jakim kołyszą się góry lodowe, cała ta papierkowa robota przyływów i odpływów, której nigdy nie byłam w stanie opanować. Gorzka prawda jest taka, że już się specjalnie tym nie przejmowałam. Wiedziałam, że pójdę za tym człowiekiem w każdą wędrowkę, *que sera, sera*, jak mówią ci sympatyczni Włosi (uwielbiam tę ich Wenecję. To moim zdaniem najlepsze dzieło mojej siostry). Uwierzcie mi albo nie, dopiero wtedy zauważyłam po raz pierwszy, że mój człowiek nie jest sam, że otacza go może z milion łososi, powracających do swych strumieni. Muszę przyznać, że nie pamiętam dokładnie, co się właściwie dzieje z łososiami w ciągu ich *życia*, to znaczy – kiedyś wiedziałam, ale zapomniałam. Takie wiadomości wlatują mi Kanałem Panamskim i wylatują w okolicach Bosforu. Jak można w ogóle spamiętać wszystkie ryby, algi i gąbki, kraby i korale, potwory i syreny, o każdym można coś opowiedzieć, każdy ma swoje kłopoty. W tym wypadku jednak uznałam, że nie mogę folgować lenistwu i ignorancji. Wysłałam swoje rączę młode fale, doskonale wyszkolone szybciutkie, małe falki, moich przyjaciół, moich niewolników. Natychmiast otoczyły ławicę, muskając każdą rybę, każdą płetwę, jakby przypadkiem, i pobiegły naprzód, do brzegu, bo przecież... Jak by to wam wyjaśnić... To naprawdę takie głupstwo... To znaczy: doskwiera mi drobny problem zdrowotny, oczywiście przejściowy, i przez to chwilami – a właściwie zawsze – mogę zrozumieć, co opowiadają mi moje fale, dopiero gdy dotkną brzegu, rafy, wyspy albo jakiejś rzeczy należącej do lądu, na przykład statku. Po prostu błąd w planach. Jestem pewna, że niedługo ten problem się rozwiąże. To teraz nieistotne. Najważniejsze, że moje miłe, rączę fale



poznały w pewnym miejscu, nieważne w jakim, dotyk skóry ryb i chropowatość płetw, tęczowe kręgi na łusce. Taak, o wiele łatwiej zrozumieć ryby niż istoty ludzkie. Moje sekretne szybkie fale szybciotko przybiegły z powrotem, a ja jednym liźnięciem wyczytałam całą złą i trudną historię lososi, które rodzą się w słodkiej rzecznej wodzie w Szkocji albo w Australii (te były akurat ze szkockiej rzeki...). Stamtąd wędrują do mnie, do słonej wody, a po mniej więcej trzech latach zaczynają powrotną wędrówkę, przez dziesiątki tysięcy moich mil, w ogromnych ławicach, płynąc z prędkością pięćdziesięciu moich mil dziennie, prawie bez odpoczynku. Czyhają na nie rybacy, drapieżniki i sztormy. Na koniec wracają do ujścia rzeki, w której przyszły na świat, i zaczynają płynąć pod prąd, przeskakując wysokie progi skalne. Skaczą ze wszystkich sił, jakie im jeszcze pozostały. Słyszałam, że w niektórych miejscach istoty ludzkie zainstalowały specjalne drabiny, rodzaj wygodnych przejść, omijających wodospady, aby nie musiały się tak męczyć. Ale nie, one muszą skakać w silnym prądzie, aż w końcu docierają do miejsca swoich narodzin, dokładnie do tego samego miejsca. Tam nie mają już siły, składają ikrę i umierają. Tylko kilka wraca do mnie po raz drugi z młodymi rybami, a reszta...

Nie miałam jednak czasu rozmyślać o tych nieszczęśnikach, bo ON ciągle tam pływał, rozlewając wokół gorycz, aż dostałam gęsiej skórki. Wysiałam swoje małe fale z powrotem, żeby dowiedziały się o nim jak najwięcej. Nienawidzę czekać, zanurkowałam więc w swoje najczarniejsze głębiny, gdzie ryby mają ślepia wielkości talerzy, korale promieniują bladą poświatą, dno pełne jest ożywionych skamielin, gdzie rozciągają się skamieniałe lasy i ogromne, muliste bagniska. Zawsze opada tam istny deszcz zdechłych ryb i chmury planktonu z wyższych warstw. Poczułam, że się duszę, i rzuciłam się w górę, do mojej ulubionej warstwy, warstwy światłocienia blisko powierzchni wody, ale niezbyt blisko. Tam wyrastają barwne rafy koralowe. Są tam ryby, które trzeba zobaczyć na własne oczy, aby uwierzyć. Gdzie u NIEJ znajdziecie tak piękne stworzenie jak zielone, niebieskie i czerwone pielęgnice? Gdzie są jej królewskie stwory jak przepyszny ustniczek cesarski, którego całe ciało pokrywają fioletowe, żółte i czarne arabeski ?

Na takich pełnych irytacji myślach spędziłam może z półtorej wieczności, bębniąc o skały i zaczepiając każdą przepływającą rybę jak stara ciotka, aż moje małe fale wróciły po raz drugi, ale nie mogły mi jeszcze nic o nim opowiedzieć. Kręciły się, wirowały i drżały jak małe foczki. „Nie rozumiemy, co się dzieje, psze pani, to stworzenie jest naprawdę dziwaczne, smakuje wstrętnie jak ryba ślizg. Nie rozumiemy jego mowy. Jest rozpalony, że aż strach go dotknąć i bardziej piekący od jadowitych ukwiałów”. Ryknęłam: „Wracać mi do niego! Wracajcie mi zaraz do tego człowieka i dowiedzcie się o nim wszystkiego, od wewnątrz i z zewnątrz, bez ostrożności, bez litości, huśtajcie nim, obracajcie go, połaskoczcie go całego, posmakujcie jego skóry i żółci, którą wydziela. Odcyfrujcie krople śliny, polizcie mocz, skopiujcie zmarszczki wokół oczu i maleńkie dziurki po wypadłych włosach. Biegnijcie, lećcie migiem, no już!”.

Taak, to była doskonale odegrana wściekłość, chociaż – tak naprawdę trudno jest mi się gniewać, taka już jestem. Byłam bardzo ciekawa, spięta i poirytowana. Trochę też się bałam. Jak zawsze w podobnej sytuacji, wydełam się ogromnymi falami i wystrzeliłam w powietrze strumieniem wody płetwała błękitnego, rozprysłam się w atramentowej chmurze kałamarnic. Po półtorej wieczności wróciły do mnie moje małe fale, zmęczone, wykończone, przepychając się i *krzycząc*. „Wszystko w porządku, psze pani – wołały z daleka. – Wiemy już wszystko co trzeba o tamtym. Nic dziwnego, psze pani, że nie udało nam się z początku. On nawet nie stara się mówić w mowie ludzkiej, ale cały czas próbuje wynajdywać słowa tylko dla siebie. Ale, psze pani, na pewno niedługo odgadniemy wszystkie jego sekrety, bo całą resztę o nim to my już wiemy mniej więcej. On jest z tych, co nazywają ich Żydzi. Urodził się w jakimś miejscu, które nazywa się Drohobycz. To człowiek, co dużo pisze. Teraz on skądś ucieka. Są słowa, które mówi do siebie, w języku, który my akurat rozumiemy. Taka jakby muzyka, która nigdy nie milknie. Zabiłem twojego Żyda. Dobrze, to ja zabiję teraz twojego. Widzisz, pani, wszystko wiemy i zaraz wrócimy do niego dowiedzieć się jeszcze więcej, żebyś tylko była zadowolona”.

Zadowolona? Ha! Byłam uszczęśliwiona. Zapadła noc i położyłam się na brzuchu, tak jak lubię, jak malutkie dziecko. Podobnego nie ma w żadnej z

galaktyk i w żadnym Układzie Słonecznym. Trzeba spojrzeć na nie z odpowiedniego punktu widzenia, żeby zrozumieć, jakie jest rozkoszne, jak śliczna malutka perełka. Leżałam twarzą w dół, a wiatr głaskał mnie delikatnie po plecach. Na niebie zaśniły gwiazdy. Wyprasowałam fale, aby ich światło odbijało się we mnie mocno i jasno, byłam piękna.

Mój człowiek tworzył własny język. To cudowne. Po prostu chce rozmawiać ze sobą, tak aby nikt inny go nie rozumiał. Aby nikt nie mógł nikomu o nim opowiedzieć, bo nie będzie miał słów. To takie uduchowione, naprawdę. Skąd mu przychodzą do głowy podobne pomysły. Ja tkwię tu miliony lat z drobnym problemem, o którym wspominałam, ale nigdy, przenigdy nie przyszło mi do głowy stworzyć własny język, tylko mój, coś wspaniałego.

Tak, od początku byłam nim oczarowana z powodu wszystkich tych pomysłów, chociaż nie mogłam zrozumieć, czemu sprowadza na siebie komplikacje i cierpienia, zamiast cieszyć się mną trochę. W tych sprawach jestem trochę jak jego mama Henrietta, o której wiem już wszystko. Szkoda, że się nigdy nie spotkałyśmy, z pewnością byśmy się dogadały. Ona także powtarzała z troską: to myśli starego człowieka, Bruno, *alter kap*, a nie małego chłopca. Obyś tylko wyszedł z nich zdrów i cały, spójrz, co się stało z twoim ojcem Jakubem.

Co się z nim stało? Fale opowiadają dziwne historie. Nie słyszałam takich, odkąd po raz pierwszy ujrzałam ludzki statek, na którym argonauci urządzili zawody w snuciu opowieści. Sądząc z tego, co twierdzą fale, także ojciec Brunona był zbiegiem, jak on, nie w zwykłym znaczeniu tego słowa, lecz... ach... gdzie ja to zapisałam?

...Jego ojciec, który nieomal nauczył się fruwać, hodując na poddaszu egzotyczne ptaki, pawie, bażanty, ogromne koguty i kondory. Ojciec, którego Bruno nazywa mistrzem szermierki wyobraźni, walczącym samotnie z pokładami nudy, ten dzielny człowiek, który umierał i wracał do życia tyle razy w stu jeden kształtach, aż wszyscy w domu przyzwyczaili się do jego częstego umierania – tak pisze mój Bruno – do jego rozpadającej się śmierci, i tylko portret jego twarzy, której od dawna już nie ma, rozpościerał się w pokoju, w

którym żył, i stworzył szczególny punkt skupienia jego sylwetki wspaniałej w swej jasności. Tapety naśladowały tu i ówdzie nerwowe drżenie jego twarzy, arabeski przybierały bolesną anatomię jego uśmiechu...

Znam na pamięć każde słowo...

Jego ojciec w końcu przeobraził się w olbrzymiego raka. Wchodził do pokoju szparą pod drzwiami, wprawiając wszystkich w okropne zakłopotanie, aż pewnego razu schwytali go. Dokładnie tak: matka Brunona, która najwyraźniej nie mogła już dłużej tego znieść, złapała go i ugotowała na obiad. Wniesiono go na stół na ozdobnym półmisku, wielkiego i spęczniałego. Ale oczywiście nie zjedli go, broń Boże, przecież byli kulturalnymi ludźmi. Postawili go na honorowym miejscu na stole w salonie, obok pudełka na papierosy z pozytywką. Także stamtąd uciekł, wyobraźcie sobie, także stamtąd. Widocznie oni nigdy nie dają za wygraną. Nawet kiedy nie mają najmniejszej szansy. Ojciec leżał na półmisku przez kilka tygodni, po czym uciekł. Została tylko jedna noga, w wyschniętej kałuży pomidorowego sosu. Ugotowany, prawie pokonany, powłókł się dalej ostatkiem sił. Zawsze w ruchu, zawsze bezdomny, jak jego uparty syn, piękny, taki poważny, sprawiający, że czuję się jak płocha dziewczyna; jego rozpacz zostawia na mnie czarne osmalone pasmo, prawie takie jak to, które zostawiają niszczyciele. Ale ślady okrętów wojennych zmazuje od razu, a jego śladów nie. Przykrywam je cieniuteńką warstwą wody i chowam, jak inne okruchy. Cóż innego mi pozostało...

## 4

Byłeś w wodzie, Bruno, tu i tam, w wielkiej, powolnej wodnej kołysce, odliczającej wodny czas, zamieniający się w mgłę, wiejący delikatnie nad wodą o jasnym poranku. Unosząc się na falach, rozchodzących się w nieskończonym ruchu, dowiedziałeś się, że woda ma zapach. Nie przypuszczałeś tego, ale woda ma własną woń. Wędrujesz z falami tu i tam, w przód i w tył, wciąga cię wraz z nimi wielka wodna kołyska. Okazało się, że możesz płynąć w nieskończoność, bezustannie, bo ciągnie cię silny ruch, zasysa cię łagodny prąd. Unosisz się zanurzony w wodzie, spędzasz w niej długie noce, na niebie lśni zamglony pomarańczowy księżyc, chmury wędrują po kurtynie nocy, a ty unosisz się na wodzie i pływasz, jedyny ze wszystkich stworzeń, i tylko siła poruszających się ryb, zapach ryb zamyka ci nozdrza, rytmiczny ruch skrzeli przed twymi oczami, chłód fal obejmujących się po bokach, unoszących do brzegu mokry negatyw twojej sylwetki, aby go rozbić na tysiące kawałeczków w plamistych oczach krabów, zapisać skamieniałymi hieroglifami w mózgach raf koralowych, w tył i w przód, pociągnęły cię za sobą, z początku tylko drapanie twardych płetw na twojej delikatnej skórze, setki zadrapań i krople krwi, które wpadły do wody, wprawiając w drżenie skórę całej ławicy, lecz szybko, bardzo szybko, przestałeś czuć ból i słony smak, widziałeś tylko błysk grzbietów, lśnienie zielonych brzuchów, pulsowanie skrzeli, intensywną woń i odległy okrzyk, zduszony szczęściem. Uszy wypełnia cię zgiełk, tumult, wrzawa wielkiego podwodnego targowiska, okrzyki przekupek mew, wielkie bele błękitnego materiału rozwijają się pod tobą, monety, które twoja myśl wrzuca do wody, śliscy waluciarze, wymieniający pieniądze w pustych zaułkach zatopionych miast, unoszące się na wodzie milczące bazy, uwięzione w wielkich przezroczystych bańkach. Morze jest pełne szeptów, ech pieniających się delikatnie słów, fale trącają subtelne

struny brzegów, wodne włosy przepływają przez grzebienie raf. Dryfujesz w tył i w przód, unosząc się jak topielec. Ręce wyciągnięte wzdłuż boków, obojczyki wystają jak skrzydła. Dobrze ci z ich odpowiedzialnym, poważnym, melancholijnym milczeniem, i jakby zadumą. Czy to możliwe, że to jest śmierć, to upojenie i spokój, rytm wielkiego serca wody zapisany na ogromnym kardiografie, obracającym się powoli, bez ustanku. Kiedy przyłączyłeś się do nich niedaleko nabrzeża, przepłynęliście razem, rozpostarci niczym wachlarz, opodal wojskowego portu. Stały tam niszczyciele, okręty pełne żołnierzy, unosił się zapach ropy i benzyny, słychać było sygnały trąbek. Młody żołnierz spawał łożę karabinu maszynowego na pokładzie, czerwone iskry opadały łukiem do wody, unosiły się chwilę na powierzchni i gasły z sykiem. Żołnierz zauważył wielką ławicę ryb i przyjrzał się uważniej. Ale ciebie nie dojrzał. Przez chwilę się wystraszyłeś, na chwilę ogarnął cię żaloszny, zdradziecki żal, zacząłeś się wic w wodzie, krzycałeś i wrzeszczałeś. Twój strach jak iskra dotarł do serca ławicy, bo całe morze jest pełne posłańców, pełne szeptów, morze jest rybakiem. Spójrz, każda fala jest ruchem jego bioder, poruszeniem ramion, które przesyłają informacje do gęstej siatki przezroczystych nerwów. Od razu wszczął się paniczny *turag*, tysiące przestraszonych ryb, pogrążonych bez reszty w ludzkim lęku, zawróciło, zderzając się z szeregami płynącymi za nimi, miażdżąc głowy, rozrywając szczęki. Tak załamał się natychmiast *dolgan*, naturalne odstępy, samotność w tłumie. Woda spieniła się, rozcinając fale na kawałki, westchnęły noże płetw, i gdzieś z boku Laprik wymusił spokój na innych rybach. Powoli ustawiły się szeregi, jeden przy drugim, bok do boku, głowa do ogona, poznałeś wibrowanie *ning*, struny napiętej od szyi do dna duszy. Słuchałeś zdumiony jej miarowego dźwięku, w przód i w tył, wraz z nim zostałeś pociągnięty w tłumie innych samotnych i milczących, wypełniła cię nagle dziwna radość. Wtedy z rozkoszą przewróciłeś się na plecy, unosiłeś się tu i tam na grzbietach szepczących, gwarzących fal, zostałeś wypchnięty do góry i uśmiechnąłeś się do głębin zgięciami kolan. Mewy krzyczały zdziwione na widok twojego białego brzucha, a twoja prawa pacha stała się na chwilę zieloną gęstą dżunglą, aż miękki, jedwabisty kłęb splątanych wodorostów odpłynął dalej. Woda ma

zapach. Czujesz to nagle. Tego zapachu nie poczuje człowiek, stojący na brzegu morza czy rzeki. Woda ma zapach. To woń inna od wszystkich, podobnie jak odgłosy morza są inne w jego wnętrzu, tak samo jak kolory, tak samo myśli w jego wnętrzu są inne, podkradane przez niecierpliwych handlarzy, niewolników morza, biegaczy fal, wracają niczym rodzaj echa, rozchodzącego się spiralnie w pienistym, syczącym zgiełku wodnego targowiska, zatłoczonego, aromatycznego jarmarku. Bo woda ma zapach, zapach, którego nie wchłania się nozdrzami ani nosem, ale być może ośrodkiem tęsknoty w mózgach ryb. Ach, zapach wody, zapach morza, kombinacja zapachów ryb i podwodnych skał, gąbczastych roślin rosnących w ciemności, zdechłych stworzeń morskich, śliny z otworów gębowych małży, oparów znad raf koralowych, oddychających w nocy, śniących o prymitywnych epokach; głęboko ukryta woń odległego dna morskiego, mieszanina zapachów rozmaitych rzek, przypraw ich wody. Kiedy ocknąłeś się z omdlałego snu w wodnej kolebce, kołysany na wszystkie strony, unosząc się w wodzie, powoli i rozsądnie rozpluskując kręgi drobnych fal, zrozumiałeś, że wszystkie ryby rozpoznają bez najmniejszego wahania cienką, z trudem wyczuwalną nić zapachu, wysyłaną przez dopływ pewnej rzeki w dalekim kraju, w miejscu, w którym przyszły na świat przed rokiem, dokąd teraz powracają, aby umrzeć, i nigdy już tu się nie znajdują. Z ogromnej ilości zapachów, które morze wciąż podsuwa im pod nos, czują tylko tę cienką żyłkę, miganie, wołanie, los, pragnienie. Chodź do mnie. Najważniejsza jest droga. Chodź do mnie, a śmierć odetnie cię od życia. Chodź do mnie, słyszą łososie, skupiające na tym kierunku całą swoją wolę. Bruno spędza z nimi tygodnie i miesiące, próbuje odgadywać, słucha bulgotu wody, bez ustanku, z entuzjazmem wdycha obce zapachy, godzinami i dniami szuka zapachu swego dopływu, śladu swojej drogi, błysku swojego życia. Tymczasem słońce opala mu plecy, ramiona stają się umięśnione i silne. Poznaje smak planktonu i miękkość gąbek, ani przez chwilę nie przestaje nasłuchiwać. Przecież nie wiedziałeś wtedy, Bruno, czego chcesz. Miałeś tylko mgliste przeczucie, tęsknotę, dla której wyruszyłeś w ostatnią wędrówkę. Nagle, w sercu morza, przeżyłeś wstrząs. Mijaliście Bornholm, pola schodzące nad sam brzeg, biały jak śnieg kościół. Byłeś wstrząśnięty, bo smuga

dawnego zapachu musnęła ci twarz, pochwyliła nozdrze, zawirowała i odpłynęła dalej. Cienka, kręta, słaba nitka. Ocknąłeś się natychmiast z drzemki i nastawiłeś zmysły niczym miecze, iskry wspomnień wyleciały z serca do wody, gasnąc z sykiem. Ach, znajomy, cudowny zapach. Chciałeś zawrócić i go odszukać, ale wielka wiążąca cię struna, napięta aż do bólu, nie pozwoliła ci zawrócić, bo łososie zawsze podążają przed siebie, przed siebie, a śmierć idzie ich śladem. O mało nie jęknąłeś ze smutku. Co to był za zapach, Bruno? Co to było? Może tanie perfumy służącej Adeli, zapachy pierwszorzędnego sukna w zaczarowanym, ciasnym sklepieniu ojca, aromat lśniących wiśni, puszczających ciemny sok pod przezroczystą skórka, które Adela przynosiła do domu pod koniec sierpnia, rozjarzonego, pijanego światłem i upałem. Może to słodki, oszalamiający zapach twojej wytęsknionej książki. Wiatr przewraca postrzępione, gnijące kartki niczym płatki wielkiej, przekwitłej róży.

Ja także tak mam. Na piaszczystej plaży Narwi, nad spokojnym morzem, w lipcu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego roku, czuję ten sam zapach, który spotykam często w rozmaitych miejscach, całkiem nieprawdopodobnych – przechodząc obok ulicznej ławki, na której tłoczą się staruszkowie, opowiadający swoje historie; w chłodnej, wilgotnej jaskini, którą odkryłem niedaleko bazy wojskowej na Synaju; między kartkami każdego egzemplarza *Sklepów cynamonowych* w zakamarku pod pachą Ajali (postanowiwszy, że nie będzie już ze mną sypiać, pozwalała mi łaskawie się wachać, kiedy czułem taką potrzebę). Pozostaje oczywiście pytanie: może to ja noszę w sobie ten zapach, wydzielam go w pewnych miejscach? Może ciało wytwarza go w odpowiedzi na jakąś głębszą, wewnętrzną potrzebę? Staram się rozłożyć go na poszczególne składniki: czysty aromat policzków babci Heni; ostre zwierzęce wonie, sierść, pot; kwaśny zapach dziadka Anszela; zapach chłopięcego potu – nie zwykły zapach szkolnej przebieralni gimnastycznej, ale o wiele ostrzejsza woń, przywodząca na myśl niemiłe, kłopotliwe rozważania o przedwcześnie dojrzewających gruczołach, wydzielających rozmaite substancje...



Zawsze tam powracam. Ten chód. Jąkanie. Ajala powiedziała mi kiedyś z miną jasnowidza, że powieść autobiograficzną, którą kiedyś napiszę, powinienem zatytułować: „Moooja ksiaaażka”. Jej zdaniem to nic dziwnego, że moje najbardziej szczerze utwory to zbiór poezji *Seria rzeczy*, który nazywała otwarcie „Rejestrem jałowych poczynań”. Ajala miała wiele podobnych „obserwacji” (tak to określiła). Lubiła je wygłaszać z powagą, głosem, po którym przebiegały drobne fale śmiechu, niczym dzieci bawiące się pod kołdrą; zawsze, kiedy już miałem odpowiedzieć na serio, wszcząć logiczną wymianę zdań, poddawała się falom śmiechu, trzęsąc się cała z zadowolenia. Wydawało się wówczas, że jej liczne krągłości wchłaniają do wewnątrz śmiech, za pomocą przedziwnego, skomplikowanego mechanizmu. Z początku śmiech kulił się w niej jak zwinięty motek wełny, stopniowo rozchodząc się kręgami coraz dalej, aż do miękkiego, okrągłego brzucha, bujnych piersi, drobnych kobiecych nóg, piegawatych ramion, które zaczynały pląsać w szybkim tańcu. Dopiero na sam koniec wesołość uwidaczniała się na jej krągłej twarzy. Najdziwniejsze jest to, że nie starczało już śmiechu, aby wypełnić odrobinę skośne oczy, które zawsze wydawały się bardzo spokojne, trzeźwe i smutne... Ale przecież miałem nadzieję, że tu, w Narwi, zapomnę o niej.

Śpisz?

Zasnęła. W Narwi i tutaj. Kiedy zaczynam rozprawiać o sobie, wykorzystuje okazję i natychmiast zapada w sen. Zbiera siły na chwile, gdy będę opowiadał o Brunonie. Do wszystkich diabłów! Dlaczego pozwalam, aby jej płochość, płytka dziecinna arogancja, sprawiały, że...! Złościć się, irytować bez żadnej moż-

Ach, znowu mnie to napada.

Słuchaj. Nie obchodzi mnie, że śpisz.

Wieczorem w dniu, kiedy się poznaliśmy, Ajala opowiedziała mi o białym pokoju w jednym z podziemnych korytarzy Yad Vashem. Odrzekłem, że spędzam tam sporo czasu, a jednak nigdy go nie widziałem, nikt z personelu nigdy o nim nie wspominał. Ajala z uśmiechem, w którym już wtedy dostrzegałem miłosierne zrozumienie dla moich ograniczeń, wyjaśniła, że „nie

zaplanowali go architekci, nie zbudowali murarze, Szlomiku, a pracownicy nigdy o nim nie słyszeli...”. „To jakaś przenośnia?” – domyśliłem się, zakłopotany. Ona cierpliwie: „Otóż to”. Widziałem w jej oczach, jak z minuty na minutę przekonuje się, że zaszła ogromna pomyłka. Zawiodła jej wrażliwa intuicja: z pewnością nie jestem człowiekiem, któremu można powierzyć taki sekret czy w ogóle jakikolwiek sekret. Było to pierwszego wieczoru, kiedy się spotkaliśmy na wykładzie *Ostatnie dni łódzkiego getta*. Poszedłem na wykład z przyzwyczajenia, a Ajala – ponieważ zawsze chodzi na wykłady i podobne imprezy w Yad Vashem (jej rodzice przeżyli Bergen-Belsen). Od początku przejęła inicjatywę, i tego dnia, kiedy – po raz pierwszy od ślubu – nie wróciłem na noc do domu, odkryła, że pomimo wszystkich braków, jestem obdarzony ekscytującym talentem – mogłem zamienić ją w dzban, w truskawkę, a nawet – w chwilach całkowitego upojenia – w puszystą chmurkę waty cukrowej, jaką kupuje się na jarmarkach. Okazało się też, że pomimo moich zahamowań i ograniczeń dotyk mojej ręki na jej napiętej skórze, ciepłej i opalonej, wywołuje tysiące drobniotkich robaczków przedziwnych dreszczy, które przenikały do jej wnętrza, do delikatnego, krągłego ciała, wygiętego w łuk, uwalniając nas oboje z zastygłego oczekiwania, kiedy na końcu z jej nieznanych głębin wyrwał się ostry dźwięk, rozpaczliwy i wysoki, jak krzyk mewy przeszytej strzałą. Potem mogliśmy na jakiś czas powrócić do kulturalnej rozmowy. To powtarzało się przez całą naszą pierwszą noc.

„Ten biały pokój – wyjaśniła mi Ajala w trakcie jednej z przerw – powstał z nadmiaru. To w ogóle nie jest pokój. To, powiedzmy, hołd. Tak. – Przymknęła oczy o ciężkich, a zarazem niezwykle delikatnych powiekach, pogrążyła się w sobie: – Hołd, który składają wszystkie książki o Holokauście, wszystkie fotografie i słowa, filmy, fakty i liczby, zgromadzone w Yad Vashem, temu, co nigdy nie zostanie zrozumiane ani wyjaśnione. To jest właśnie sedno. Prawda, Szlomik?”.

Nie rozumiałem. Patrzyłem na nią smutny i oczarowany, bo już wtedy było dla mnie jasne, że dotknął nas rzadki i pechowy rodzaj miłości, który można nazwać „romansem na odwrót”; teraz przeżywamy ostatnie szczytowe

momenty. Im więcej Ajala zobaczy i im lepiej zrozumie, jak bardzo się różnimy, tym szybciej wygna mnie ze swego zaczarowanego pałacu. Nic o mnie nie wiedziała. Czytała mój pierwszy tomik poezji i uznała, że jest „niezły, jak na początek”. To mnie trochę zirytowało, bo ludziom często podobał się bardziej niż trzy następne, a kilku krytyków napisało, że „charakteryzuje się powściąganą siłą wewnętrzną” i tym podobne. Ajala jednak orzekła, że z moich wierszy można się domyślić, jak bardzo obawiam się samego siebie, tego, co mam do powiedzenia o życiu w ogóle, a o tym, co wydarzyło się w kraju TAM, w szczególności. Poprosiła, abym jej przyrzekł, że stanę się odważniejszy. Kiedy to zrobiłem, opowiedziała mi o białym pokoju.

Byłem nią oczarowany, jej ciałem, tak swobodnym i giętkim, tak nieskrępowanym. Zwijało się w kłębek z samej przyjemności pulsującego, drżącego życia; byłem oczarowany jej małym mieszkankiem, malutką sypialnią, która była – jeśli można tak to określić – cała zawoalowana. Nie wiem czemu, ale taka właśnie była. Nigdy nie poszedłem tak szybko do łóżka z żadną kobietą. Dwie godziny i dwadzieścia pięć minut po naszym pierwszym spotkaniu (wiem dokładnie, bo przez cały czas zerkalem na zegarek, zastanawiając się, co powiem Rut po powrocie), dwie godziny i dwadzieścia pięć minut upłynęło od chwili, gdy wyszliśmy z wykładu, wstrząśnięci i przygnębieni, do chwili, gdy rzuciliśmy się sobie w ramiona (tak właśnie było: rzuciliśmy się) w jej sypialni, z pożądaniem, jakiego nigdy wcześniej nie zaznałem. Kiedy się trochę opanowaliśmy, dotarło do mnie, że ciągle nie wiem, jak jej na imię! W tej samej chwili ujęła moją dłoń, przyciągnęła do ust i bezgłośnie wyszeptala do jej wnętrza: Ajala. Usłyszałem to słowo przez rękę. Wiem, że nie brzmi to przekonująco: sam bym nie uwierzył, gdyby mi to opowiedziano, ale z Ajalą wszystko było możliwe.

Z sufitu w kącie zwisały pajęczyny tak grube i splątane, że wziąłem je przez pomyłkę za kłęb włosów. Kiedy mi wyjaśniła, co to jest (nie chce niszczyć czyjejś pracy, pod pozorem drobnomieszczkańskiego zamięłowania do porządku), pomyślałem sobie, co powiedziałyby na to moja mama, i zacząłem się śmiać. Czulem się przy niej inny i obudziły się we mnie nowe rzeczy. Poza tym nigdy

nie zdawałem sobie sprawy, że umiem zamienić kobietę w dzban i tak dalej. Najdziwniejsze jest to, że wiedziałem z góry, co czeka nasz romans, bo dobrze siebie znałem. Wiedziałem, że w gruncie rzeczy nie ma szans, bym dopasował się do jej marzeń. Istotnie, po kilku tygodniach zauważyłem, jak Ajala zaczyna się wyswabadzać. Ciągłe na jej ciele wyrastały zaokrąglone uchwyty, delikatnie wygięte, owalne i chropowate brzegi dzbana; nadal z jej ciała wydobywały się – nie wiem dokładnie, skąd – świergotliwe, krótkie wołania: „Wypij mnie! Wypij mnie!”, jak z cudownej buteleczki w *Alicji*. Widać było jednak, że te faliste ruchy coś hamuje. Stały się niezręczne i kulawe. Już wtedy unosiło się wokół mnie tchnienie paradoksu Zenona. Potem straciłem wszystko: bardzo rzadko udawało mi się sprawić, że wokół jej szyi wyrastały zielone listki lub zamienić jej ciało w drżącą masę czerwonych, truskawkowych, chrzęszczących w zębach pesteczek. Przyglądała się moim próbom z litością i smutkiem w oczach. Smutkiem, że w ten sposób straciliśmy okazję. W tym okresie rozpaczliwie próbowałem metodycznie pracować nad historią, którą opowiadał dziadek Anszel Herr Neiglowi, ale, oczywiście, im usilniej próbowałem, tym bardziej mi nie wychodziło. Kwestia rozumu i poświęcenia. Rut wiedziała o Ajali i bardzo cierpiała. Nienawidziłem jej za to, że nie żąda, abym między nimi wybrał, za jej spokojną mądrość, która kazała jej czekać. Czekać w cierpieniu: ani razu w tych okropnych miesiącach nie zaatakowała mnie z nienawiścią i gniewem. Nie była jednak pokorna, nie dała mi odczuć, że została upokorzona. Przeciwnie: byłem spoconym, grzejącym się samcem, kręcącym się między dwiema samicami, niewiedzącym, czego chce. Na nieładnej twarzy Rut widziałem całą jej mądrość i siłę: w tamtym okresie bardzo powoli się poruszała. Wolniej niż zwykle. Promieniowało z niej milczące ostrzeżenie: jest silna; i – jak każdy, w gruncie rzeczy – skrywa w sobie wielkie i skomplikowane moce, dlatego musi się zachowywać powściągliwie. Musi się opanować i czekać, by nie zranić innych zbyt mocno: wysyłać sygnały – nie krzyczyć; radzić – nie narzucać.

Nienawidziłem też siebie, przez siebie i przez cierpienie, jakiego jej przysparzam. Bałem się, że jeśli opuszczę Ajalę, nie będę mógł pisać. Czasami myślę, że Ajala została ze mną wyłącznie z poczucia dziwacznej

odpowiedzialności za opowieść dziadka Anszela, a nie dlatego, że mnie kochała. Byłem dla niej zwykłym tchórzem, a nawet – zdrajcą. Według niej miałem wszelkie środki i warunki życiowe, aby napisać to opowiadanie jak należy. Brakowało mi tylko odwagi, śmiałości. Ajala nie jest pisarką, choć pisze własne życie. Pierwszej nocy opowiedziała mi o białym pokoju, który „jest miejscem prawdziwej próby dla kogoś, kto chce pisać o Holokauście. Jak Sfinks, który zadawał zagadki. Przychodzisz do tego pokoju dobrowolnie i witasz się ze Sfinksem. Rozumiesz?”.

Rzecz jasna, nie rozumiałem. Westchnęła, przewracając oczami, i wyjaśniła, że ludzie od czterdziestu lat piszą książki o Holokauście, że zawsze będą je pisać. Jak wiadomo, wszyscy z góry są skazani na niepowodzenie. Każdą inną ranę czy tragedię da się przełożyć na język znanej rzeczywistości, ale nie Holocaust. Nie zniknie jednak pragnienie, aby próbować, zмагаć się, wbijać ostre kolce w żywe ciało piszącego. „Jeśli chcesz być uczciwy w stosunku do siebie – powiedziała poważnie – musisz się odważyć wejść do białego pokoju”.

Słowa „biały pokój” wyrzekła cicho i trochę melodyjnie, co mnie przelotnie oczarowało, ale od razu zirytowałem się tą zbędną mistyką. Nagle ujrzałem Ajalę taką, jaka była naprawdę: anarchizującą hippiszkę, zawodowego pięknoducha, żyjącą w strefie mroku, którą sama sobie stworzyła, ponieważ rzeczywistość, zwykła, praktyczna rzeczywistość, jest dla niej zbyt trudna. Taak, doskonale znam takie typy, które – na przykład – przykładają wielką wagę do astrologii, znacznie większą niż do racjonalnych argumentów (Jesteś typowy Rak! Wypisz, wymaluj!). Tacy ludzie wierzą, że za każdą osobą kryje się sto innych, za każdym przejęzyczeniem – czyha sto demonów. Tyle że z powodu niemożności zmierzenia się z okrutnymi, jednoznacznymi wymogami życia tworzą sobie mglisty teatr cieni, w każdym wydarzeniu widzą odbicie, aluzję do innych, „głębszych” rzeczy, powiązanych niewidzialnymi nićmi w jeden tętniący życiem węzeł, który oni i tylko oni chwytają w rękę. Na krótko ogarnia mnie furia: „Jakim prawem masz czelność mówić mnie – człowiekowi, którego znasz od dwóch godzin i dwudziestu pięciu minut – że moje wiersze wzruszyły cię, bo są niewątpliwie «rozpaczliwym wołaniem o pomoc», i że mogę «ocalić sam siebie

poprzez twórczość». Bo wiadomo, że bez twórczości « Jesteś po prostu zgubiony. Chodziłeś kiedyś na serio (!) na terapię, Szlomik?»,.

Nie okazałem jej, co naprawdę myślę. Tak bardzo jej pragnąłem. Myślałem o tym, jak bardzo się różnimy. Zrozumiałem – o wiele wcześniej niż ona – że wybrała mnie, bo w swoich „kręgach” nie spotkała nigdy takiego zwierzęcia: mężczyzny, który jest poetą, autorem znanych jej wierszy, a jednocześnie jest tak racjonalny. Kocha żonę i przeważnie jest jej wierny. Nie, ona nie rozumie zbyt dobrze ani życia, ani mnie, tak wtedy myślałem, woli widzieć tylko to, w co wierzy, zamiast zwyczajnie wierzyć tylko w to, co widzi. Zawołowana. Tego słowa szukałem. W każdym razie...

„W tym pokoju zgromadzone są wszystkie najokropniejsze informacje o tamtym okresie – powiedziała, nadal spoglądając odległym wzrokiem. – Ale najcudowniejsze jest to, że nie ma gotowych odpowiedzi. Nic nie jest oczywiste. Wszystko jest prawdopodobne. Nic nie jest powiedziane wprost. Dopiero ma się okazać. Albo może. I musisz przejść to wszystko od nowa. Wszystko. Na własnym ciele. Bez pośredników, bez dublerów, którzy wykonają za ciebie niebezpieczne partie. A jeśli nie odpowiedziałeś dobrze na pytanie Sfinksa – zostaniesz pożarty. Albo wyjdiesz stamtąd bez zrozumienia. Dla mnie to to samo”.

Oj, ta Ajala. Gdybym zdołał spisać opowieści i pomysły, które przychodzą jej do głowy w ciągu jednego dnia, miałbym zapewnione utrzymanie do końca życia. Może także pisałbym inne książki. W jej białym pokoju nic nie ma. Jest całkiem pusty. Ale wszystko, co istnieje poza jego przezroczystymi ścianami, wszystko co, co zapełnia przestronne sale Yad Vashem, promieniuje do wewnątrz. „Jak na przykład... nazwijmy to indukcją. Tak. Nie jestem najlepsza z fizyki, ale wiem, że tak jest. Z każdym ruchem, myślą, cechą charakteru tworzysz nowy związek chemiczny. Rodzaj kombinacji właściwej tylko tobie: połączenie szarych komórek, osobowości, genetyki, biografii i sumienia – z tym wszystkim, co promieniuje spoza pokoju: faktami o człowieku. Cały ludzki i zwierzęcy inwentarz, strach i okrucieństwo, litość i rozpacz, wielkość i mądrość, małostkowość i umiłowanie życia, cała ta kulejąca poezja,

Szłomik. Siedzisz sobie tam w środku, jak w ogromnym kalejdoskopie, ale to ty jesteś kolorowymi szkiełkami, to różne kawałki ciebie, a światło do nich dociera z zewnątrz...”. Patrzy rozmarzona, wstaje i chodzi po pokoju, ubrana tylko w moją koszulę, opalona, pulchna, cała złożona z okrągłości, z włosami ściągniętymi w węzeł, odgrywa przede mną małe przedstawienie; co ja tu u diaska robie?

„Zalóżmy, że o czymś myślisz. Na przykład o tym, że niektóre ofiary kolaborowały z Niemcami, i od razu – natychmiast! – wszystkich kolaborantów z tamtego okresu, o których pisze się w książkach, dokumentach i świadectwach, wszystkich Quislingów i członków judenratów, którzy byli zdrajcami, wszystkich nieszczęśników i szumowiny, obłąkanych, zastygłych w książkach, dokumentach i śledztwach za ścianami, przecina cieniutki promień lasera, który wykrawa z ciebie kolaboranta, jakim sam jesteś, precyzyjnie i szybko – tak jak Ewę oddzielono od Adama”.

Otwiera oczy w udawanym zdumieniu „skąd ja się tu wzięłam”, mówiąc wyraźnym, cichym głosem, którego smutek i szczerłość mną wstrząsają, że w taki sposób, za pomocą tej psychologicznej metody, trzeba napisać opowiadanie.

Nie odważyłem się. Nawet teraz, po spotkaniu z Brunonem i Tobą, po tym wszystkim, co przeżyłem, nie potrafię tego zrobić odpowiednio. Ajala miała słusność we wszystkim. Dziecinne przedstawienia, niemądre zgrywy były maską, skrywającą przenikliwość percepcji o wiele głębszej niż moja, szczegółowego, pozbawionego złudzeń zrozumienia goryczy życia. Znowu się okazało, że nie miałem racji.

Nagle się budzi. Na dźwięk imienia Brunona przebiega ją długi dreszcz. Biały grzbiet, wełnisty jak końska grzywa, rozciąga się po ciemną linię horyzontu. Nudzę ją moją opowieścią, ale taki jest warunek, mój paskudny, małostkowy warunek– raz wreszcie muszę to opowiedzieć!

Ale teraz Bruno. Posłuchaj. Znowu powiedziałem „Bruno”. Lubisz tę opowieść. Od ciebie usłyszałem ją po raz pierwszy w Narwi:

...nagle, po miesiącach żeglowania z sercem bijącym z przejęcia, ze

świadomością przytępioną nadmiarem szczęścia i zdumienia, spęczniała w nim kropla ludzkiego smutku, i ciemną barwą rozlała się po wszystkich wodach.

Z początku z nim walczył. Z całej siły przyciągał ręce do tułowia i przebierał stopami, koncentrując się na drganiach ogromnej struny, starając się zachowywać odległość od innych ryb, płynących po obu stronach. Zobaczył, że ławicę, płynącą przed siebie z pozorną swobodą, napędza nieustanna walka o zachowanie czujności i precyzji.

Może było to naturalne zadowolenie jednolitego organizmu, zdrowego i przebiegłego? Bruno poczuł to, gdy zaatakowało ich stado tasergali w zatoce Malmö: zanim pojął, co się dzieje, ławica rozdzieliła się na dwie części, które odpłynęły w przeciwnych kierunkach, tworząc pośrodku pustą przestrzeń, rozległą i cichą. Kiedy zaskoczone tasergale walczyły ze zdrażliwym prądem, łososie zawróciły i zamknęły się wokół nich niczym pięść. Sprężona woda odrzuciła daleko drapieżne ryby, które z kolei same stały się łupem i z szybkimi uderzeniami ogonów uciekły na północ. Bruno pozazdrościł łososiom. Zawsze były w zgodzie ze sobą. On był rozdarty, jak na ogół z nim bywało. Utracił poczucie melodii i rytmu z pierwszych tygodni. Pojął, że także do serca oceanu zaniósł siebie samego. Zanurzył rozpalone czoło w wodzie i dał się jej unosić. Słuchał morza. Słyszał odwieczny szum fal głaszczących piaszczyste dno – nieustające przesiewanie ziarenek. Słyszał odległy, stłumiony łoskot falochronów w porcie północnym, koło których niegdyś przepływała ławica. Odgłos fal uderzających w pomost różni się od tego, który wydaje brzeg: pomosty brzmią nieco metalicznie. Plaże są jak gąbki. Nawiasem mówiąc, Bruno zauważył, że w wodzie nie słyszy dźwięków rozlegających się przed nim, na wprost, lecz tylko z tyłu lub z boków. Szelest płetw Jorika i Napoleona – tak w duchu nazywał swoich sąsiadów – znał dobrze, ale całkiem umykał mu odgłos ruchów nieznaney ryby przed nim. Widział tylko czubek jej ogona. Bruno widział w tym, rzecz jasna, symboliczną, szyderczą ilustrację swej niemocy: nadal nastawia uszu wstecz; wciąż nasłuchuje przeszłości. Nadal rozmyśla o swoim życiu w jego dawnym, szpetnym języku. Najbardziej ze wszystkiego rozczarowuje go – że nie znalazł w sobie ani jednego zdania, które należałoby



tylko do niego, którego nikt mu nie odbierze i nie użyje w wypaczony sposób.

Nie przestawał rozmyślać nad minionym życiem. Bez końca przebierał w myślach kolejne lata, jak sznur kulek z kości słoniowej. Niezwykły rodzinny sklep; uciechy dzieciństwa; cudowny świt epoki geniuszu; choroba ojca; upokarzające zubożenie; sprzedaż ukochanego domu na ulicy Samborskiej; początek wojny; koniec epoki geniuszu... Ogarnął go żal, gdyż zrozumiał, że ludzie z natury nie pojmują, że życie zostało im kiedyś dane. Nie potrafią poczuć tego realnie, przejmująco, z pierwotnym wzruszeniem. Kiedy dano im życie, nie byli w stanie pojąć istoty tego daru. Potem nie chciało się im nad tym zastanawiać. Dlatego czują je tylko wtedy, gdy pomału wycieka z ciała; stopniowy, nieubłagany rozkład i zniszczenie. To pomyłka nazywać to „życiem”. Wielki błąd. Także i śmierć przeżywają z taką samą ostrożnością, lękiem i namysłem, jak ktoś, kto wbija obcasy w ziemię, aby nie poślizgnąć się na stromym zboczu. Bruno jęknął i ławica na moment zamarła.

Nie miał także apetytu. W godzinie *gioja*, gdy łososi o świcie lub zmierzchu żerowały na żyznych morskich pastwiskach, napięcie wielkiej struny było nieco lżejsze i ławica odpoczywała na falach, rozpostarta niczym wachlarz wodnej olbrzymki. Bruno dryfował wśród milczących ryb, które żerowały powoli, jakby ochładzając się po trudzie całego dnia. Cedził plankton albo nurkował i chwycił zębami czarne soczyste wodorosty, żuł je bez przyjemności. Jedna myśl pulsowała mu w głębi czaszki – coś zostało zniekształcone i zapomniane. Coś zostało zniszczone w niepojęty sposób.

Pewnego ranka uniósł głowę nad wodą, przyjrzał się rybom i pomyślał rozpaczliwie, że są silniejsze od niego. Od horyzontu po horyzont morze było pełne młodych łososi, zaczynających osiągać dojrzałość. Prawie wszystkie, wyjąwszy niedużego Jorika i kilka słabszych ryb, dorównywały mu rozmiarami. Ich zielonkawe płetwy były prężne i mocne. Wszystkie były odważne, pozbawione wdzięku i uparte. Bruno po raz tysięczny zadał sobie pytanie, po co wyruszają w swoją wędrówkę, jaki wielki plan jest im zgotowany. Obrócił się na bok i popłynął po ludzku w stronę brzegu. Łososi obojętnie ustępowały mu miejsca. Na żerowisku nikt nie pilnował porządku. Bruno rozejrzał się za

Laprikiem, ale nie zauważył go. Przez moment nawiedziła go dziwaczna myśl, że być może Laprik w ogóle nie istnieje. Może jest tylko nieuniknioną materializacją życzeń pół miliona łososi, pragnących istnienia podobnego Laprika. Ale Bruno dobrze pamiętał, jak wyglądał Laprik, gdy ten przyjął go do ławicy na gdańskim wybrzeżu. Ponadto – w Lapriku i jego cichym *ning* było coś, co nie mogło być tylko owocem pragnień: Bruno nie umiał tego dokładnie określić. Przywództwo przeplecione z niepokojem. Odrębność. Ani razu podczas wędrówki nie czuł Bruno goryczy, że ktoś inny nadaje tempo i kierunek. W oddali, w pobliżu szerokiej skalnej półki, zobaczył groteskowy nos starego rekina, podążającego uparcie śladami ławicy i żywiącego się mięsem ryb. Łososie przyzwyczyły się do niego tak dalece, że nie budził w nich chęci do *orga*, manewru szybkiego wycofania się, który stado zastosowało w czasie ataku tasergali pod Malmö. Bruno był przygnębiony. W takich chwilach – pozwalałam sobie zgadywać – mógł tęsknić tylko za piórem.

Poruszał się tak wśród zerujących łososi, jak posłaniec niosący złe nowiny wśród ślepców. Niebo pociemniało. Chmury były tak ciężkie, aż chwilami wydawało się, że to one stoją w miejscu, a świat porusza się i przepływa w dole. Niedługo zaczną się listopadowe sztormy. Nocami Bruno odbierał nagle skurcze tłumionego lęku, przebiegające po kręgosłupie ławicy. Nagle poczuł, jak ściska mu się serce, bo musiał przyznać wprost: było mu żal łososi, których nic nie chroniło przed ich własnym istnieniem.

Cóż innego mi pozostaje, zirytował się Bruno i popłynął skrajem ławicy, mamrocząc do siebie. Co mają zrobić łososie, żeby złagodzić surowość swego życia? Pisać książki, utrzymywać kontakty handlowe, wystawiać sztuki, zakładać partie, przeżywać miłości, intrygi i wojny, plany i przyjaźnie, spowiedź, rywalizację, sport i poezję? Bruno położył się na plecach i pozwolił lekkim prądom kołysać się na wszystkie strony. Są obleczoną w ciało wędrówką. Śmiercią z płetwami i skrzelami. Barwny bal kostiumowy śmierci! Ucieszni czarodzieje choreografii! Bruno wypuścił z ust małą fontannę, jakby wznosił toast: za wasze zdrowie, rzutcy artyści śmierci, dobrodusznicy, lekko podchmieleni słudzy jedynej prawdziwej ewolucji – przystosowującej życie do

śmierci, delikatnie, metodycznie i fachowo. Piję za waszą płodną, niewyczerpaną wyobraźnię! Za lekkość ręki, trzymającej nożyce i igłę, szyjącej tysiące zabawnych strojów i masek dla uczestników balu – trąby i języki, skóry i rogi, pióropusze, ogony, skrzydła i błony między palcami, skorupy, igły, pazury, szpony i żądła – przebogata garderoba! Nikt nie wejdzie na zabawę nagi! A to kto? Bijcie w bębny! Czyżby to mój geniusz? Oto nadchodzi najmądrzejszy z gości, w najbardziej pomysłowym i mylącym kostiumie: niziutka Śmierć w okularach i z bródką, ściskająca księgę pod pachą! Jak wesoło, co za nieograniczony wybór, nie...

Tylko ty, Bruno, płyniesz powoli, na tyłach gwarnej sali, wąskimi rurami kanalizacyjnymi, unosząc się melancholijnie wśród łososi, w ogóle niezaproszonych na zabawę. Organizatorzy postanowili taktownie nie dołączać ich do listy gości, aby nie popsuky odświętnego nastroju. Łososie, które – niezaproszone – odbijają się jak odwieczny mroźny koszmar na najciemniejszych ekranach umysłów bawiących się gości; łososie, przepływające po ścieżkach życia niczym nagi, zbiełały rybi szkielet, który nie obrósł pocieszającym mięsem złudzeń i chwilowego zapomnienia, tak wędrują, przeklęte...

Panie świata, zapytał Bruno (który nigdy nie był religijny), w jakim celu pędzisz miliony łososi po całym świecie, po wiecznym kręgu? Nie wystarczył Ci jeden łosoś? Para łososi? Popatrz, nawet ludzie, najokrutniejsi ze zwierząt, nauczyli się posługiwać symboliką: mówimy „Bóg”, „człowiek”, „cierpienie”, „miłość”, „życie”. Upychamy w ten sposób w ciasnym pudełku całe istnienie. Dlaczego my umiemy, a Ty nie? Czemu nie możesz zapobiec stwarzaniu się rzeczy do końca, gdy pojawiają się w Twoim płodnym umyśle? Czemu Twe symbole są tak boleśnie i marnotrawnie precyzyjne? Dlatego że my jesteśmy bardziej wyćwiczeni w odgadywaniu cierpienia i bólu, złożonych w każdej skrzyneczce, i wolimy, aby pozostały zapieczętowane?

Kilka tygodni później otrzymał odpowiedź. W morzu tak czasem się dzieje: wyjątkowo uporczywe pytania tworzą kręgi na wodzie, rozchodzące się po krańce świata, po ostatnie zakamarki najciemniejszych czeluści. Gdzieś tam

budzi się bezimienna, uśpiona istota, którą drobne fale przywróciły do życia. Rozrywa kłęby spowijających ją wodorostów i wypływa pomalutku na powierzchnię. Czasami mijają setki, a nawet tysiące lat, aż odpowiedzi spotkają pytanie, które dało im życie i imię, choć w większości wypadków w ogóle się nie spotykają. Potem odczuwają zmęczenie, ich żywot staje się mglisty i niewyraźny, i z powrotem nurkują w usypiające ramiona wodorostów. Bruno przepływał nad fragmentami takich przeżyć: łupin idei, ścierw odwagi, na wpół niedojrzałych, na wpół zepsutych. Na ich widok czuł lekkie, niezrozumiałe skrępowanie, jak człowiek, który niechcący puszcza wiatry. Nie przerażały go. Zamknięty ocean jego dzieł jest pełen podobnych rzeczy.

Ale właśnie on otrzymał odpowiedź. Gest. Nie odnosiła się ona wprost do pytań, które zadawał, a jednak – nie zostały kompletnie zignorowane. Budzi się we mnie mgliste podejrzenie, że w tym konkretnym przypadku ktoś przyspieszył cały proces. Ktoś szczegółowo rozmyślał, zastanawiał się, badał i planował, co całkiem nie pasuje do jego na ogół sennej natury. Ktoś po prostu wznosił się na wyżyny.

Ponieważ o zmroku, w cieśninie Kattegat między Szwecją a Danią, ławica nagle zatrzymała się bez widocznej przyczyny. Było jeszcze trochę za wcześnie na wieczorną *gioja*. Lekko zdezorientowany Bruno ocknął się z popołudniowej drzemki, w którą zapadł, płynąc. Rozejrzał się wokół. Ujrzał gładką tafłę spokojnego morza. Leciutki wietrzyk – niczym cień tchnienia, marszczącego kurtynę w teatrze – przebiegł po lazurowym horyzoncie, wprawiając go w drżenie. Ryby stały w miejscu, w grupach, z wolna poruszając płetwami, obojętne na wszystko, co działo się wokół. W górze przeleciało stado żurawi z wyciągniętymi szyjami. Jak zawsze, gdy był spięty, Bruno zaczął przebierać dłońmi i poruszać leciutko wargami. Ostatnio w dwie ranki na piersi wdał się dziwny stan zapalny, co odrobinę go niepokoiło. W tej samej chwili poczuł niezdolne pieczenie. Zaczął drapać dziwaczne skaleczenia, czekając w napięciu.

Wówczas, bardzo blisko czoła ławicy, morze się rozstąpiło i z głębin wynurzyło się wielkie stado delfinów, mijając w pędzie łososie. Bruno przestraszył się i cały zeszywniał, lecz ryby pozostały spokojne. Duże delfiny o

zielonkawej skórze w pewnej odległości zakręciły, tworząc szerokie półkole, a na koniec zatrzymały się i zwróciły pyskami do ławicy. Nie uniosła się ani jedna płetwa, nie drgnęły szeregi. Stada mierzyły się wzrokiem. Łososie – nieruchome, pozornie twarde, ponure i milczące, delfiny – bardziej energiczne, lśniące i żywotne. Bruno zastanawiał się, czy delfiny domyślają się czegokolwiek na temat życia łososi. Nagle poczuł się opuszczony i pokorny: nie samotnością twardego morskiego łososia, lecz Brunona, człowieka – szkieletu, wygnańca zewsząd. Może przypomniał sobie, że delfiny są jak jego rodacy – rodzą i ssą mleko.

I wtedy to się stało: wśród delfinów powiał jakby nowy wiatr. W jednej chwili powstała ich własna wielka *ning*, ustawiły się w równym rzędzie. Potem zatoczyły szeroki krąg i rozpoczęły przedstawienie.

Nie ma chyba na to lepszego określenia: jakby chciały podziękować łososiom za przymusową wędrówkę, rozbawić je, by zapomniały o swej niezrozumiałej ofierze. Bruno był przejęty: delfiny, morskie błazny, szlachetne, mądre, ruchliwe, na mgnienie oka poczuły lęk przed pustką, który tak rozsądnie udało im się wyrzucić poza krąg życia. Wymagało to od nich jakiegoś działania...

Delfiny wyskakiwały w powietrze, obracając się szybko w locie. Parami, a potem po cztery, przecinały nawzajem swoje ścieżki lotu niczym zielone, migoczące fajerwerki. Potem szybko ustawiły się w długim rzędzie i jednocześnie wyprostowały nad wodą, śmigając na giętkich ogonach, ciągnąc za sobą struge spienionych odłamków fal. Nie przestając chichotać, opłynęły Brunona wielkim łukiem. Potem zawróciły i zaczęły znowu przeskakiwać nad sobą, jakby pokonywały czarodziejską ścieżkę z przeszkodami.

Łososie patrzyły na nie bez wyrazu, lecz szybciej niż zwykle wachlowały płetwami. Bruno był cały napięty. Serce o mało mu nie pękło z niemego wysiłku. Choć nie rozumiał znaczenia widowiska, pojął, że jest świadkiem czystej sztuki. Wielkie przestrzenie morza, radość życia, litość, sympatia, opór, bezradność – wszystko tam było. Woda zaczęła go palić w dotyku. Chciał podążyć za delfinami, nie rozumiejąc właściwie czemu. Być może dlatego, że był

człowiekiem, który nie jest człowiekiem, a one – rybami, które nie są rybami. Być może przez chwilę poczuł, że życie zostało mu dane. Oficjalnie należy do niego i zasługuje na swą nazwę. Na niebie krzyczały żurawie, wyciągając szyje. Morze rozpościerało się spokojnie po horyzont, piękne i błękitne. Spośród grubych fal wyglądały promienie słońca. Bruno błagalnie przyglądał się delfinom.

Znikły tak, jak się pojawiły. Pochłonęły je fale. Bruno poczuł, jak znowu ogarnia go przygnębienie. Napięty *ning* ławicy osłabł, a po bokach rozpoczęła się już wieczorna *gioja*. Ryby zaczęły zapominać o widowisku. Żyły w terażniejszości. Tylko nieliczne – wśród nich mały Jorik – pozostały przez chwilę na miejscu, szukając oczami czegoś, o czym zapomniały, co pozostawiło w nich przelotne, niejasne rozdrażnienie. Wydawały się wówczas godne pożałowania, i Bruno – przenosząc na nie odrazę do samego siebie – pogardzał ich mechaniczną bezrozumnością, ich niepotrzebną powagą, niepozwalającą na szukanie skrótów i ułatwień, pogardzał pozbawionym inspiracji sposobem, w jaki wypełniają swoje przeznaczenie...

Jorik trącił go w żebra. Bruno obrócił się i *zobaczył*, że ryba szybko otwiera i zamyka pysk. Odpowiedział podobnym gestem, choć bez entuzjazmu. Przez chwilę miał nadzieję, że losoś pragnie dać mu do zrozumienia, iż także widział delfiny i wyczuł wszystko, co się wydarzyło. Ale Jorik chciał tylko zademonstrować zadowolenie z obfitego pożywienia na wieczornym żerowisku. Z lewej strony zbliżył się Napoleon – nieprzeniknione stworzenie, całkiem pozbawione żywotności – zajęty zacieklą pogonią za chmurą ikry tuńczyka, unosząc się nieopodal. Bruno zanurkował i zaczął łapczywie łykać aromatyczne kłęby planktonu. W wyobraźni widział siebie w miejscu, na jakie zasługuje – beztrosko i wesoło płynie wśród rozigranych delfinów, żyje pełnym samozadowolenia życiem tych, którzy pogodzili się z faktem, iż nie mogą niczego zmienić, i oddają się złudzeniom.

Ale kiedy po zakończeniu *gioja* ławica przygotowywała się do nocnej podróży, przepełniła go nagle przedziwna duma. Uformowała się ogromna kolumna wolno wachlujących płetwami lososi. Po wszystkich rybach znać było

tę kamienną powagę, którą tak przed chwilą pogardzał. Po raz pierwszy od chwili, kiedy wskoczył do wody, zaczął się domyślać, czemu wybrał łososię i ich wędrówkę. Sam był łososiem wśród ludzi. Nawet gdyby był delfinem, należałby do łososi. Odetchnął głęboko i jego płuca niemal eksplodowały ze skrywanej radości: tak jak mężczyzna musi kochać jedną kobietę, kobietę z krwi i kości, aby poznać – aczkolwiek niedoskonale – ideę czystej, abstrakcyjnej miłości, tak Bruno musiał stać się w pełni łososiem, aby poznać życie. Nagie, pozbawione ozdób życie, w którym łososię rysują abstrakcyjną, geometryczną linię, biegnącą przez pół świata.

Zamknął oczy i napiął mięśnie, najmocniej jak potrafił. Był bardzo przejęty. Zmusił się do ignorowania bólu ranek na klatce piersiowej nad żebrami. Ból nie osłabł i Bruno gwałtownie się drapał, zły na słabe ciało, które jak zawsze go zawiodło w jednej z rzadkich chwil upojenia.

Jeszcze przez chwilę się ociągali, szeptali bez słów, rzucając niecierpliwe, irytujące pytania i szybkie, sarkastyczne odpowiedzi. Laprik nasłuchiwał echa, które dobiegało do niego od łososi, a one były tego świadome. W jednej chwili, nie rozumiejąc, jak się to dzieje, wszyscy otrzymali informację o odpłynięciu, która przebiegła niczym iskra po strunie *ning*, błyskawicznie trafiając do ryb po bokach kolumny, które ruszyły, zanim się same zorientowały.

## 5

Już półtorej wieczności, a niech mnie, pływa z tymi nieszczęsnymi łososiami, nie rezygnując i nie ustając. One rosna, a on się kurczy. Jest wśród nich coraz więcej ryb większych od niego, od mojego człowieka, który nie potrafi się poddawać, który przeżył wszystkie sztormy Morza Północnego i atak barrakud, choć nie rozumiem, co barrakudy robiły u brzegów Bergen. Przetrwał o-krop-ny miesiąc spotkań z islandzkimi rybakami, którzy odłowili prawie połowę stada. Nadal z nimi płynie, z płonącymi oczami, z gorzkim uśmiechem na ustach, który nie odkleił się w wodzie. Jego podbródek z dnia na dzień coraz bardziej się zaostrza, ciało to skóra i kości i – mój Boże – bez jednego włoska. Skóra stała się pofałdowana i gąbczasta od długiego moczenia w morzu. Czasami, kiedy patrzę na niego w świetle księżyca, mam wrażenie, że mu się udało przeistoczyć w rybę.

Problem polega na tym, że nie przestaje myśleć. Te myśli dręczą nas oboje, bo nie potrafię mu pomóc, jestem pewna, że tego, czego szuka, nie ma we mnie. Mogę się tylko cieszyć, że u NIEJ także nie. Nie ma tego nigdzie. Może tylko w sobie Bruno mógłby to znaleźć. Oby miał siłę. Oczywiście, staram się mu pomóc w miarę możliwości, ale co takiego ja, mała i słaba, mogę zrobić? Biorę go w ramiona i liżę, szepczę, że nie jestem taka jak ona, nie jestem ślepa, głucha i ograniczona jak ona, cała jestem językiem, oczami i uszami. Czytam w tobie, Bruno, rozumiem wszystko i domyślam się wszystkiego. Każda myśl, jaka ci przyszła do głowy, każdy człowiek, którego spotkałeś, każda tęsknota i wspomnienie, piękno i smutek, zostawiły w tobie ślad, gdzieś w tym cudownym ciele. Trzeba tylko umieć czytać, a czytać, Bruno, można tylko u mnie, tylko we mnie. Nie ja to wymyśliłam, broń Boże, wiesz przecież, jaka jestem skromna. Przed laty drzemałam sobie u wybrzeży Australii, pod pewnym statkiem,



noszącym nazwę „Beagle”. Nagle poczułam, że księżyc zniknął. Obudziłam się, wyjrzałam na zewnątrz i zobaczyłam ogromną twarz starego człowieka. Pochylała się nad burta, zasłaniając całe niebo. Patrzył na mnie z taką miłością, aż stopniało mi serce, zalewając przy tym brzegi Nowej Zelandii (w Japonii nazywają moje małe wzruszenia tsunami). Rozmawiał z innym mężczyzną, stojącym obok, którego twarzy nie widziałam. „Widzisz, Peter – powiedział – tu znajdują się korzenie wszystkiego. Tu są wielkie schody historii i całego istnienia. Nie starczy nam życia, by rozwiązać wszystkie zagadki morza”. Peter roześmiał się i odparł: „Księżyc rzucił ci się na mózg, Charles”. Mój staruszek uśmiechnął się tajemniczo i powiedział: „Nie jestem poetą, Peter, lecz przyrodnikiem, mówię ci to jako przyrodnik. Na ładzie można znaleźć życie na głębokości stopy czy dwóch, nad ziemią – na wysokości najwyżej kilkudziesięciu stóp. Ale w morzu? Otchłanie głębsze, niż moglibyśmy się kiedykolwiek domyślić! Czy wiesz, Peter, że ta góra leżąca między Nepalem a Indiami, ochrzczona nazwiskiem odkrywcy, sir George’a Everesta, uważana za najwyższą na świecie, gdyby zatopić ją w morzu, na przykład w głębinie niedaleko Goa, zostałaby w całości przykryta wodą, z zapasem co najmniej dwóch mil”. Wybacz mi, Bruno, że tak się chwale. Robię to tylko po to, by ci unaocznic, do jakich głębi docieram. Nawet w ciele jednego człowieka. Nie ma większej specjalistki ode mnie w odczytywaniu znaków, które wszystkie chwile w życiu pozostawiły w twoim ciele. Wszystkie myśli i pragnienia. Przecież każda taka rzecz pozostawia malusieńką bliznę, zmarszczkę czy bruzdę. Popatrzcie na ludzkich starców, którzy nie mają już gdzie ukryć tych śladów. Ich twarze wszystko zdradzają. Spójrz choćby na swych nowych towarzyszy, łososie. Mijający czas i wszystkie przejścia rysują na ich płetwach kręgi, przypominające słoje na pniach drzew. Mały krąg odpowiada miesiącom spędzonym w rzece, większy – wszystkim miesiącom, jakie spędziły we mnie. Laprik ma dodatkowy komplet pierścieni, na znak, że odbywa podróż po raz drugi. Wybacz mi, że w ogóle się do tego mieszam, kim i czym ja jestem, ale bardzo mnie zabolalo, gdy odkryłam, że nigdy się szczerze nie zaśmiałeś, tak na całe gardło, poza tym jednym razem, kiedy ojciec rozłożył cię sobie na kolanach i przylał ci pasem. To oczywiście był

całkiem inny śmiech. Nie przyszły po nim następne. Trochę szkoda, bo uwielbiam się śmiać. Moglibyśmy śmiać się razem, cóż poza tym nam pozostało? Ale nawet kiedy łaskoczę cię TAM, pozostajesz nieugięty i ponury. Nie śmieję się, ale czuję się wtedy trochę urażona, Bruno.

Przepraszam, że tak was znużyłem. Nie mogłem się oprzeć pokusie podzielenia się z wami tym potopem próżnej, głupiej, płytkiej gadaniny, z którą zetknąłem się w Narwi. Te przetrawione myśli! Przebiegła prostytutka! Wielkie, amorficzne, płynne zwierzę! Ilu tanich chwytów użyła, aby ukryć przede mną najważniejsze! Wiedziałem przecież, że przechowuje wszystko, nawet zaginiony rękopis *Mesjasza*. Mnie jednak rzucała tylko ochłapy. Wyschnięte nóżki krewetek. Puste muszle. Wykastrowane cytaty z jego dzieł, które znam na pamięć. Ach! Niepiśmienna strażniczka wymachująca zastawem, którego wartości nie jest w stanie ocenić. Co za brak odpowiedzialności ze strony Brunona, przekazać swój skarb akurat w jej ręce!

Gotowałem się ze złości, bo za tydzień miałem wrócić do Izraela. Wciąż nie udało mi się zdobyć niczego, co miałoby jakiegokolwiek znaczenie. Całe dni spędzałem w niej, opowiadałem jej o nim ku jej całkowitemu zadowoleniu, jej nieomal zwierzęcej przyjemności. Skóra obłaziła ze mnie jak kwiecista tapeta ze ścian, a ona nadal nie zgodziła się opowiedzieć mi o nim. Wieczory spędzałem w towarzystwie wdowy, pani Dąbrowskiej, która nieprzerwanie łątała bieliznę i pościel, zerkając na mnie z ukosa, gdy zapisywałem kolejne kartki, opierając je na pokrywie staroświeckiej maszyny do szycia, służącej mi za stół, i natychmiast darłem je na kawałki. Zrozumiałem, że nie mogę pisać bez JEJ pomocy. Byłem od niej uzależniony, to wyjątkowo upokarzające uczucie.

Dlatego nazajutrz przez cały dzień nie zanurzyłem w niej nawet palca. Spacerowałem po piaszczystej plaży, interesowałem się rosnącymi na wydmach przepięknymi kwiatami. Zabawiałem się nawet pomyślałem, aby tu, w Narwi, zapoczątkować skromną kolekcję muszli i stopniowo stać się specjalistą w tej dziedzinie. Potem poszedłem aż do latarni morskiej i po zmurszałych schodkach wspiałem się na sam szczyt. Nie chcę się chełpić, ale we wsi słyszałem, że

niewielu turystów potrafi się na to zdobyć i znieść zawrót głowy w miejscu, gdzie kawałki muru oderwały się i wpadły do morza, gdzie schody zakręcają praktycznie nad samą wodą. Potem odkryłem, że aby dotrzeć na malutki balkonik, na którym znajduje się reflektor, trzeba się wczołgać po bardzo wąskiej drabince. Niestety, było już za późno i musiałem zrezygnować z tej ekscytującej części mojej skromnej wyprawy.

Dlatego wróciłem na plażę i wszystkie godziny tego niekończącego się popołudnia przesiedziałem na leżaku, całkiem sam, marznąc na wschodnim wietrze i gotując się ze złości na NIA, patrząc wprost na nią, przeklinając złą godzinę, w której ją spotkałem.

Wdowa już całkiem otwarcie mamrocze pod nosem. Sądzi, że jestem wariatem albo amerykańskim szpiegiem, a może jedno i drugie. Są tu teraz bardzo przewrażliwieni z powodu demonstracji w mieście. Złości się także, że palę do późna światło (rzecz jasna, aby dawać znaki amerykańskim samolotom). Poza tym chyba widziała, jak wczoraj wrzucałem kwiaty do morza.

Przyznaję, że to głupi pomysł. Chciałem ją przekupić tanim kosztem. W sumie to tylko mały bukietek fiołków, kupiony od jakiegoś chłopca. Przecież w głębinach nie ma kwiatów, jak mi się wydaje. Na pewno nie ma takich, które pachną. Pewna kobieta, którą znałem, bardzo lubiła fiołki. Wczoraj wieczorem, na plaży... to mi sprawiło dziwną przyjemność... może dlatego, że nagle poczułem gwałtowną tęsknotę do niej. Wrzuciłem do morza kwiatki, jeden po drugim. Pewna niemądra kobieta, właściwie mądra, niezrównowazona, zawoalowana, kocha, nie kocha... Przecież przyjechałem tu także po to, aby o niej zapomnieć. Podjąłem stanowczą decyzję, a ja nigdy nie zmieniam decyzji. Moje od niej wyzwolenie zaplanowałem niczym kampanię wojskową. Wyznaczyłem sobie pewną ilość czasu na nieuniknioną depresję i okres rozpacz, który z pewnością nadejdzie. Potem – okres rekonwalescencji, nabieranie sił – wszystko zostało szczegółowo przewidziane. Jakoś jednak nic nie wyszło jak należy... taka kobieta... przecież zniszczyła, naprawdę zniszczyła moje życie i życie mojego anioła, Ruti. Obudziła we mnie przeklęte pragnienie, którego nie jestem w stanie zaspokoić, niechęć do siebie, do dotychczasowego

życia, do mojej twórczości. Powiedziała, że jestem zdrajcą. „Idź, pisz dla tych, którzy są ostrożni” – powiedziała, zanim mnie przepędziła, dając mi w pożegnalnym podarunku książkę. Ostatni słodki cios. Okrutna, wymagająca istota. Opuściła mnie, aby żyć z kimś innym... potem z następnym... z takimi, którzy nie są ostrożni, zostają pożarci, złożeni w ofierze, a na koniec wypluci jak ja. Nie zostawia nam wyboru – przecież przyjechałem tu, aby zapomnieć.

Wydaje mi się, że zasnąłem. Wszystko przez ten oślepiająco jasny piasek i wyjątkowo nudne, gładkie fale, które ONA złośliwie mi posyłała. Zasnąłem i znowu śniłem o Ajali. O naszym pierwszym spotkaniu po tym, jak się rozstaliśmy. Z całą stanowczością zażądałem, aby zgodziła się ze mną widywać, abym mógł jej opowiadać, jaki wpływ wywarła na mnie książka Brunona. Słuchała w milczeniu, cała w idealnych krągłościach gładkiego, smagłego ciała. Jej czarne włosy były mocno ściągnięte z czoła i upięte na czubku głowy w mały, seksowny koczek. Był to jeden z nielicznych przypadków, kiedy nie kpiła z tego, co mówię, nie komentowała sarkastycznie ani złośliwie. Od razu poczułem podniecenie, myśląc, że może wreszcie w ten sposób osiągnę uznanie, dałem się ponieść słowom. Zawsze mówiłem przy niej więcej, niż z początku miałem zamiar. Zawsze czułem się jak na egzaminie. Jej pełna oddania mina wkrótce zniknęła. Ajala wstała z westchnieniem, przyniosła sobie zmywacz do paznokci, czerwony lakier, i zajęła się paznokciami u swych pulchnych stóp. Przy okazji zapytała o Ruti, zauważając z namysłem, że to „prawdziwa święta”, bo zgodziła się przyjąć mnie z powrotem po tym, co jej wyrządziłem (jakby sama nie przyłożyła do tego ręki!). Kiedy pochylała się nad palcami stóp, widziałem jej piersi. Przysiągłem sobie, że nie będę się upokarzał błaganiami. Odmówiła, oczywiście, mówiąc, abym przestał się upokarzać tymi błaganiami. Chytrze zacząłem znowu mówić o Brunonie i udało mi się otrzymać łagodniejsze spojrzenie. Poza tym udało mi się doprowadzić do tego, że jej ciężkie powieki, chwilami do połowy przykrywały oczy piękne i rozmarzone. Uwielbiam wtedy na nią patrzeć. Wygląda jeszcze bardziej tajemniczo i odległe niż zwykle. Zapytała, co z kuracją Rut, a ja odparłem, że nadal są problemy, że nie zgadzam się na

badanie. Ale nie rozmawiajmy o tym, chcę ci opowiedzieć o Brunonie. Podniosła zasłony oczu i rzuciła mi jeden z najbardziej odpychających uśmiechów. Wiedziałem już, że nie zareaguje na żadną z pięknych rzeczy, które opowiedziałem o Brunonie, ale – jak zawsze – będzie komentować moje ubranie (Rut znowu wybiera ci koszule), fryzurę, a może szybkim ruchem rozepnie mi górny guzik u koszuli, twierdząc, że duszno jej, kiedy widzi mnie tak pozapinanego w środku lata. Krótko mówiąc – postara się, abym się poczuł jak ostatnia menda. Powiedziała jednak tylko, że jest przekonana, iż w głębi serca gardzę (!) Rut, ponieważ nie jest w stanie urodzić dziecka. Oczywiście, to absolutna, odrażająca bzdura. Naprawdę wierzę, że każdy człowiek jest w pewnej mierze odpowiedzialny za swe słabości i za to, że nie znajduje w sobie siły do walki z tymi słabościami. Uważam siebie za kogoś, komu siłą woli udało się wyrwać z życiorysu, jaki zgotowały mu osobista historia i wychowanie, a nawet – z pewnością – charakter. Powstało wiele prac naukowych o związkach między charakterem i siłą woli pacjenta a możliwościami przezwyciężenia choroby. Nawet gdy chodzi o bezpłodność. Ale powiedzieć, że gardzę Rut – to podłość i głupota. Ajala słuchała mnie cierpliwie, a potem powiedziała słodko i niewinnie: „Słabość oznacza cierpienie; cierpienie wymaga zaangażowania, a uczestniczyć oznacza odsłonić się. Jesteś artystą, Szlomik; artystą izolacji i uniku. Czasami mnie przerażasz. Tchórze tacy jak ty są zdolni do wszystkiego, kiedy czują, że ich sztuka jest zagrożona”.

Nagle zgadłem, co powinienem zrobić, aby ją zdobyć. Odzyskać ją jednym, genialnym, niezwykłym ruchem. Bez namysłu wyznałem, że zamierzam się udać śladami Brunona. Uśmiechnęła się znowu z politowaniem i uprzejmie życzyła mi powodzenia. Nie wierzyła we mnie, przez co moja decyzja stała się dwakroć silniejsza. Pomalowała okrągły paznokiec, mówiąc, że zdumiewa ją, jak nieświadomie wybieram życie tylko na dwóch, skrajnych poziomach rozwoju: „Czasami jesteś zbyt stary, a czasem zbyt dziecinny. Według mnie po prostu uciekasz, z podświadomym sprytem, aby nie musieć się mierzyć z problemami swojego prawdziwego wieku”. Odparłem obrażony: „Kiedyś lubiłaś tę moją cechę”. „Nie masz pojęcia, jak bardzo – ona na to. – Przecież tak mocno w nią

wierzyłam. W ciebie też”.

Zatrzepotała powiekami. Była w niej sprzeczność, której nie umiałem wyjaśnić: mimo otaczającego ją chaosu, arogancji i chmur kolorowego dymu, które rozkwitały wokół, jej intuicja była ostra jak zawsze, trzeźwa i naznaczona głębokim smutkiem. Nawet jej radość i kpiny były tylko maską. Kobiety. Tego wieczoru opowiedziała mi o Walterze Benjaminie. Był to żydowsko-niemiecki pisarz i filozof. Przez całe życie uwielbiał jedno dzieło sztuki: obraz *Nowe anioły* pędzla Paula Klee. Podziwiał go. Pisał o jego dziejach. Potrzebował go. Był to cały system przedziwnych relacji między człowiekiem a dziełem. Udało się kupić ten obraz i od tamtej pory *Anioły* towarzyszyły mu we wszystkich podróżach. Założone przez siebie czasopismo Walter Benjamin nazwał „Nowe Anioły”. „Nawiasem mówiąc – powiedziała Ajala – jakiś czas temu widziałam ten obraz w londyńskiej galerii, ale nie zrozumiałam, co w nim dostrzegał. Wszyscy mamy sekretne klucze, które nas otwierają. To piękne, prawda?”. Nie zrozumiałem, czemu mi to opowiada. Ajala kolekcjonuje anegdoty. Zbiera pozbawione znaczenia skrawki informacji i plotek. Całe jej wykształcenie to kolejne warstwy podobnych historyjek. Oczywiście, nigdy nie czytała *Krytyki czystego rozumu*, ale potrafi z uśmiechem powiedzieć, że Kant zawsze nosił podwiązki. Z poufalego tonu można wywnioskować, że równie bliskie są jej założenia idei Kanta.

Obudziłem się z przerażeniem. Była szósta po południu. Spałem na plaży całą godzinę. Potem przypomniałem sobie sen, który szczegółowo odtwarzał prawdziwą sytuację. Ajala kpiła, że moje sny są uporządkowane niczym teczka urzędnika. To prawda, wyjąwszy przypadki, kiedy mam koszmary. Wtedy naprawdę czuję wstręt do siebie – i, rzecz jasna, nigdy nie opowiem o nich jej ani nikomu. Zły i zaspany wstałem z leżaka, i nagle cofnąłem się wystraszony. Bukiecik fiołków, który wrzuciłem wczoraj do wody, leżał u moich stóp... Na piasku widniał malutki, wilgotny ślad drobnej, raczej fali...

Zrzuciłem ręcznik, okulary przeciwsłoneczne i listek z nosa, i pobiegłem prosto do niej. Płonałem ze złości, ale zarazem, trudno mi to wyjaśnić, miałem

uczucie, że ona także do mnie biegnie, że oto nadchodzi niespodziewana chwila pojednania, wybaczenia, a może nawet serdeczności, w najbardziej nieoczekiwanym momencie, najmniej logicznym, jak zawsze... te jej gierki... pragnie mnie... pogardza mną... skoczyłem naprzód, uderzając o nią brzuchem, biłem ją rękami, a ona odpowiedziała natychmiast niskim głosem: „Nie bądź dziecinny, Neumann. Mam własne kwiaty, mam przepiękne kolorowe lasy. To głupio myśleć, że w ten sposób można mnie przekupić. Możesz mi dać inny podarunek, który być może zmiękczy moje serce, kto wie. Nie bądź takim strasznym skąpcem, pomyśl o nim, będąc we mnie, wiesz przecież, że mnie samej jest trochę trudno... drobny, przejściowy problem zdrowotny... pomyśl o nim dla mnie, możesz wymyślać różne rzeczy, napisz nawet opowiadanie, które nie istniało. Najważniejsze, abys o nim myślał, abys wypowiedział Brunona, dla mnie, mój kochany, dla nas obojga, mój drogi...”.

Doskonale. Opowiem ci. Jeszcze pożałujesz swojej prośby.

Teraz posłuchaj.

Mówiłaś o śmiechu, którego w nim nie znalazłaś, ja opowiem ci o strachu. O samotności, jaką przynosiły jego talent i osobowość. Lęk przed więzami miłości i przyjaźni oraz inny lęk przed otchłaniami otwierającymi się w każdej minucie, przed rzeczami, które odsłaniał na papierze dotknięciem pióra, odrywającymi się w głębinach morza grudami starodawnej prawdy egzystencji, które wypływały na powierzchnię przez wszystkie obronne warstwy – do jego magnetycznego, czarodziejskiego pióra. Przerywał i czytał z przerażeniem, bo nic z tego, co napisał, nie istniało w nim przedtem. Zaczął się domyślać, że jest słabym ogniwiem, że przez niego do świata przesączają się wszystkie pragnienia, których ludzie nie mogą znieść, przez które serce pęka z tęsknoty i bólu. W takich momentach Bruno wstawał i zaczynał chodzić po pokoju, kpiąc nerwowo z samego siebie, twierdząc, że najwyraźniej dostał manii wielkości, że przestał odróżniać opowiadania od prawdziwego życia, że rozsądniej przypuścić, iż przez takiego człowieka jak on, ciamajdę, nieudacznika, będą przenikać do świata abstrakcyjne kwintesencje głupich błędów, żalonych pomyłek i groteskowych...

Wiedział i bał się. Dlatego co jakiś czas dopuszczał się oszustwa:

wchodził w związki z ludźmi, pisał ckliwe listy (w których uczuciowość sam nieomal wierzył), z fałszywą swobodą zwracał się do pewnych kreatur per „ty” (prawie nigdy nie odważał zwrócić się tak do nich pisemnie; może dlatego, że na piśmie nie pozwalał sobie na fałsz). Zgadzał się na publiczne wystąpienia, czasami nawet pozwalał się zaciągnąć na przyjęcia i bale, gdzie uśmiechał się ze straszliwym zażenowaniem, pozwalał na próby upicia go, tylko po to, aby ludzi nie rozczarować. Posuwał się nawet do tego, że śmiał się uprzejmie, gdy serdecznie poklepywali go po wąskich ramionach, przywoływał na ironiczną twarz wyraz świadczący o tym, że słucha, kiedy dzielili się z nim swoim doświadczeniem, iż aby poznać rozpacz („rozpacz!” krzyczeli mu do ucha, kładąc rękę na piersi gestem, którego nigdy nie potrzebował, bo bez tego pamiętał, gdzie ma serce) i aby „pisać naprawdę, jak prawdziwy pisarz”, musi częściowo popełnić samobójstwo, częściowo dać się pożreć, także w codziennym życiu, panie Schulz, należy wyjść z osamotnienia i usłyszeć „głos ludzkości”, „smutek świata”, a nie żyć jak zakonnik, wyniosły asceta. A on, słyszysz, ze wszystkich sił starał się dać przekonać, naprawdę i szczerze starał się zasłużyć na urywane chwile tej rozpacz, o której ciągle gadali, rozpacz wyświechtanej i zużytej, gęsto zaludnionej; próbował unieść się do niej z ciemności, w której tonał, aby choć na chwilę uciec od zimnego, śliskiego jak węgorz strachu, oblepiającego go wilgotnym welonem, kiedy wpatrywał się w rzeczy, które napisał, albo kiedy się zastanawiał, co zgotuje mu przyszłość. Bruno nie potrafił, z powodu skazy w swojej naturze i swej szczeroci, nie potrafił popełnić samobójstwa z odpowiedzialnością i rzucić się na pożarcie, nie umiał rozcieńczyć samotności innymi ludźmi, bo wiedział doskonale, że nie zaoferują mu schronienia przed czyhającymi niebezpieczeństwami. Znał drogę, którą musiał pójść: przebywać z samym sobą, siedzieć w fotelu i zanurzać się w ostrej niczym brzytwa trzeźwości, poddawać dwóm wielkim strumieniom światła, krzyżującym się na czole – pragnieniu i rozpacz, które odcisną na nim znamię Kaina, skazanego na wieczną wędrówkę; wiedział też, że tylko gdy siedzi sam w skromnym pokoiku, przy prostym stole, i pisze w uczniowskim zeszyt, czuje, jak powoli napina się całe jego ciało, jak zostaje rozciągnięty w ofierze na kole tortur



inkwizycji, które nie ma sobie równych pod względem okrucieństwa i rozkoszy, aż kości i mięśnie stają się płaskie, cienkie i długie, aż każdy kawałek ciała rozpuszcza się całkowicie w wymiarze snu i przestrzeni. Tylko wtedy, kiedy staje się przezroczystą, wibrującą membraną, czuje znowu uderzenia wielkiego bębna, napiętego w podziemiach, gorączkowy, desperacki chwyt dzikich języków i gramatyk, które rozpadły się, ponieważ nie ma nikogo, kto umie się nimi posługiwać. Pióro biega szaleńczo po papierze, kreśląc pośpieszne linie, rzucane przez ów podziemny świat na ekran ciała, by przylgnęły do tego, co namacalne i widzialne. Z Brunona wyrywają się opowiadania, tęsknoty i lamenty nad utraconymi rajskimi ogrodami, z których wypędzono nas do tego miejsca, do zastygłego, ukończonego świata, używanego świata precyzyjnej nauki i logicznych języków, czasu wytresowanego podług zegarów. Patrz, jak siedzi schylony nad stołem, zagryzając usta. Ma taki ostry podbródek. Pisze zamasyście, gwałtownie, chciwie i z roztargnieniem, tak jak pisał na tobie podczas swej śmiałej wędrówki. Przyjrzyj mu się, jak walcząc piórem z rozszczepionymi, szalonymi, niewykrystalizowanymi wizjami, skłania epokę geniuszu do powrotu i ukazania się nam, choćby na krótką chwilę. Przez cały ten czas musi się bardzo pilnować, aby pióro nie przekłuło cieniutkiej membrany, i aby wszystko nie wpadło naraz do środka, nie pomieszało się i nie zagubiło. Przecież świat nie jest przygotowany na przyjęcie tego, co mający za Brunonem: życie zakrzepło w ludzkich ciałach jak lawa, która wypłynęła z wulkanu. Dopiero na końcu drogi, kiedy był już w tobie, dopiero wtedy odważył się tam przeniknąć i pisał w tobie, w szaleńczym tańcu, ostatnie, zaginione opowiadanie, *Mesjasza*. Skoro już przypadkiem doszliśmy do tego opowiadania, może powinienem zamilknąć i pozwolić ci mówić, rzuć mi choć skrawek informacji, nie więcej...

– A właśnie, że nie. Opowiem ci o *turagu* Guruka.

– Guruk? Kto to taki? Nie chcę słuchać o Guruku! Chcę słuchać o epoce geniuszu! O *Mesjaszu*! Teraz! Teraz!

– Dość! Milcz! Po chwili:

– Boże, aleś ty tępy. Taki głupi. Opowiadałeś mi o bardzo trudnych

sprawach. Cały czas zadaję sobie pytanie, jak to jest, że rozumiesz go tak dobrze. Nienawidzę cię za to, że umiesz odgadywać jego myśli. Wiem, jak: patrzysz na siebie i mówisz coś przeciwnego. Ty...

– Przestań.

– Nie przestanę! Będę mówić, bo ty także gadasz bez litości. Wszystko musisz powiedzieć! Wszystkiego musisz się dowiedzieć! Sprawiasz mi straszliwy ból. Jesteś złośliwy i zawsze masz rację. Powiem ci coś: kiedy wpadł do mnie i oblizałam go, odkryłam, że się rozpada. Pływało w nim wiele obcych stworzeń, Neumann, złych, małych stworzeń, jak ryby w kajutach zatopionego statku...

– Ale udało mu się? W końcu mu się udało?

– A niech mnie! Dlaczego ze wszystkich ludzi, którzy kochają Brunona, musiałam trafić właśnie na ciebie?! Leż teraz cicho! Chcesz posłuchać o sukcesach? Opowiem ci. Leż spokojnie! Nie ruszaj się tak ciągle! Sądząc z tego, jak pływasz, mogę się założyć, mój drogi, że nie umiesz też tańczyć. Mam rację?

– Lubisz mnie poniżać, co?

– Jaki to ma sens? Czemu to służy? Nagle się okropnie rozgniewałam. Te rzeczy, o których opowiadałeś...

– Nie pasował do ciebie.

– Do wszystkich wschodnich wichrów! Ty łajdaku...

– Pasował tylko do siebie samego. Nie złość się. Mnie to boli tak samo. Może z innych powodów, ale czuję ten sam ból. Opowiedz mi o nim teraz, proszę. O czym tylko chcesz. Tylko opowiedz.

– Bądź wreszcie cicho. Daj mi spokojnie pomyśleć. Mówiłam coś o *turagu* Guruka...

## 6

...Niedaleko Wysp Szetlandzkich na Morzu Północnym ławica przeżyła przerażające chwile. Bruno wyczuł to późno, bo przez sen trudno mu było wychwycić *ning* (nie było to łatwe z początku, mimo tego, co napisałeś, Neumann, bo przecież przez całe swoje życie poza mną starał się go nie słyszeć. Rozumiesz?). W tamtej chwili nagle stracił równowagę, zanurzył się i opił wody. Przebudził się, plując i straszliwie krzycząc, wierzgając rękami i nogami... przepraszam.

Przeprosiłam, prawda? Jeszcze raz przepraszam, Neumann. W zdenerwowaniu całkiem o tobie zapomniałam. To się nie powtórzy. Obiecuję. Tak, możesz ją wypluć z powrotem, kochany... tak... bardzo słone... i zimne, prawda? O czym to ja mówiłam? Na Morzu Północnym. Była noc, księżyc odbijał się w tafli wody. Bruno *zaczął* natychmiast szukać płynących po bokach ryb, Jorika i Napoleona (kolejny głupi pomysł, kotku! Brunonowi nie przyszłoby do głowy nadawać rybom imiona! Ani Laprikowil). Jorik (ha, ha!) był na swoim stałym miejscu, od strony morza, ale Napoleon (he, he!), który zawsze płynął od strony brzegu, zniknął. Brunona ogarnął lęk. Poczułam, jak jego lęk przepływa do mnie, do moich najwęższych zatoczek. Musisz spróbować go zrozumieć, Neumann, bo po wieczności i półpłynięcia między dwiema rybami nagle poczuł, jakby wyrwano mu kawałek ciała. Poczuł, że życie wycieka z niego z wielką prędkością, odpływając do brzegu, do ryb, z którymi przepłynął pół świata, a prawie ich nie zna! W tej samej chwili, słyszysz, w tej samej chwili, poczuł jak przebiegają go dziwne prądy, dreszcze i dygoty, jak w gorączce. Zapragnął wielu rzeczy naraz, uciec i zostać na miejscu, zanurkować i wzlecieć. Jego ręce i nogi zaczęły nagle płynąć w przeciwnych kierunkach. O mało nie rozdarł się na strzępy. Nie zapominaj też, proszę, o okropnym stanie zapalnym na klatce

piersiowej, który dokuczał mu od kilku miesięcy. Przez to był ciągle rozgorączkowany i oszołomiony. To także trochę moja wina, chociaż jeszcze nie nadeszła pora, aby ci to wyznać. Bruno spojrział w stronę morza i zobaczył, że cała ławica jest równie zdezorientowana, a tysiące przerażonych ryb odłączają się i przyłączają na powrót do stada. Wszystkie miały wybałuszone oczy i lśniące pasy na bokach. Potrafisz sobie w ogóle wyobrazić, jak to wyglądało? Mój Bruno zmusił się do zachowania spokoju. Był chyba jedynym, któremu pozostało na tyle siły, aby opanować się na moment i posłuchać. Od razu odkrył, że wielki *ning* ucichł. Wtedy zadrżał. *Mamma mia, ależ zadrżał!* Nasłuchiwał ze wszystkich sił, z rozpaczą i błaganiem. Dopiero potem wychwytał, w ogromnej odległości, na samym krańcu ławicy od strony morza, bardzo słaby odgłos uderzeń płetw Laprika.

Nie zdążył jednak odetchnąć z ulgą, że Laprik przynajmniej żyje. Jego ciało zaczęło bowiem wołać coś całkiem innego. Zupełnie innego: nowy, silny mięsień napiął się twardo wzdłuż kręgosłupa ławicy. Bruno słyszał w swoim wnętrzu głosy i echa, których nie pojmował, uderzenia nowego bębna. Zamknął oczy i nasłuchiwał wszystkimi otworami w ciele. Głos nadchodził od tyłu, od morza. Coś jakby szept, skurcz i o-krop-ny ból, jakby – jak ci to wytłumaczyć, żebyś zrozumiał – jakby wycinali ci Kanał Sueski albo Panamski, otwierając ciało na całej długości, bezlitośnie i bez narkozy. Biedne łososie zaczęły się skręcać i miotać. Były pewne, że islandzcy rybacy wracają ze swymi straszliwymi sieciami, a w każdym oku sieci tkwią trzy zakrzywione haczyki. Przysięgam, że widziałam na własne oczy, jak kilka ryb po prostu pękło – puk! – ze strachu i zmęczenia. Nic dziwnego, bo nawet ja, która widziałam podobne rzeczy kilkakrotnie, tym razem czułam się jak obłąkana. Możesz się domyślić, dlaczego i o kogo najbardziej się troszczyłam. Zauważyłam, że nawet odległe skaliste brzegi niewielkich Szetlandów lśnią jasnym blaskiem. Miałam wrażenie, że cały świat ciężko dyszy, oblewając się potem. Woda szybko zniosła Brunona w stronę morza, i nie zdążył nawet zaprotestować, zanim jeszcze zapragnął zaprotestować. Guruk, Guruk wiły się spłoszone węgorze, Guruk, Guruk, szeleściły jeżówce swymi długimi kolcami. Nagle w ciemności wzdłuż całego

nieba, a także wzdłuż mnie, zapłonęła czerwona, rozżarzona pręga nowego *ning* i wszystko stało się jasne.

Od czoła ławicy nadleciała ogromna ryba, która wskoczyła do wody obok nich, w spienione, drżące fale. Bruno od razu poczuł, gdzie dokładnie szaleje Guruk. Wtedy także ujrzał go po raz pierwszy. Był dużą rybą, prawie rozmiarów Laprika, młodszą o jedną wędrówkę. Szczęki miał szeroko rozwarte, jak przed walką. Moje malutkie fale w końcu otrząsnęły się z oszołomienia, pobiegły do niego, otoczyły go i dotknęły, a potem szybko uciekły z krzykiem. Uciekaj stąd jak najszybciej, nasza pani. On jest taki gorący, że w ogóle, że można zrobić z niego piec albo rozgrzać jeszcze jeden Golfstrom. A wokół niego, wokół tego Guruka, kręciła się cała ławica, podrygując jak na rozpalonej patelni. Nad nami latały siewki, otwierając bezdźwięcznie pomarańczowe dzioby. Muszle ogromnych małży zamykały się tak gwałtownie, że niektóre po prostu się rozprysły. Bruno popatrzył na Guruka i w żyłach nabrzmiąłych na masywnym błyszczącym ciele zobaczył wyraźnie maleńki dopływ rzeki Spey. Przysięgam, nawet ja to widziałam, takie rzeczy zdarzają się czasami, zwłaszcza gdy bardzo ich pragniemy. Ławica podążyła za Gurukiem jak nieprzytomna, a on urósł w odwagę i siłę niczym morderczy waleń, wyskoczył z wody i przeleciał nad wszystkimi rybami, zanurkował i zniknął, wynurzając się z całkiem innej strony. Tak przyciągał do siebie ławicę mocną, napiętą nicią, błyszczący niczym młoda gwiazda. Jego głowa o mało nie oderwała się od ciała, wskazując kierunek w stronę małych Wysp Szetlandzkich, niedaleko. Bruno poczuł nagle wielkie pragnienie, aby tam się znaleźć. Był przekonany, że to najlepsze miejsce na świecie, i nienawidził Laprika za to, że prowadził ich tak długo okrężną drogą, jakby specjalnie chciał ich udreńczyć. Przecież to jasne i zrozumiałe, że trzeba się śpieszyć, że trzeba płynąć na skrót, bo życie jest krótkie, i trzeba lecieć, frunąć do tych cudownych wysp, nie czekając ani chwili, bo Guruk wzywa wszystkich...

Rozpoczął się prawdziwy *turag*. Nie taki, jak niekiedy podczas *gioja*, gdy kilka ryb walczy o pożywienie. Nawet nie taki, jak przy spotkaniu dwóch wrogich ławic. Nie. To było kompletne szaleństwo. Ryby rzucały się na

wszystko, co wpadło im w zęby. Niektóre bezlitośnie gryzły nawet siebie, myśląc, że tego właśnie chce Guruk. Woda natychmiast zapełniła się strzępami rybich ciał, porwanymi skrzelami, płetwami i oczami. Łososie skakały tak zapamiętale, jakby im się wydawało, że pokonują wysokie progi na rzece Spey. Taaak. Wszędzie było pełno szumu płetw, zgrzytu szczęk i plusku wpadających do wody ciał. Bruno krzyczał dziwnym głosem, wysokim i ochryłym: „Razem. Razem”. Był jednym wielkim kłębem napiętych mięśni. A jego oczy – powinieneś był zobaczyć jego oczy! Czerwone i przekrwione, wybałuszone niczym teleskopy ryb zwanych kostery, zamieszkujących najdalsze otchłanie. Jego rurka była cała wyprostowana i sztywna jak pancerz na głowie skorpeny. Zapomniał nawet, jak się nazywa, był pewien, że Guruk to właściwe imię. Tak, jeśli w ogóle za coś powinien mnie przeprosić, to za tamte chwile, kiedy stał się skorupa pełną krwi i nienawiści. Wystraszyłam się nie na żarty i wołałam do niego w duchu: Bruno, Bruno. Nie słyszał mnie, bo nagle ujrzał rybę, którą nazywasz Jorikiem, niech ci będzie. Jorika, który był trochę mniejszy i słabszy od innych, nie mam pojęcia, jakim cudem udało mu się dotrzeć aż tutaj. Bruno zaczął nagle ryczeć na niego z nienawiścią, *zgrzytając* wściekle zębami. Obnażył kły i warczał. Możesz pojąć coś podobnego? Nagle, zupełnie nagle, nie mógł dłużej znieść Jorika, tej obrazy dla entuzjazmu, który ogarnął wszystkich i sprawił, że stali się silni, piękni i doskonali (a przynajmniej tak im się zdawało). Nie zdażyłam popatrzeć, co się dzieje, kiedy rzucił się na niego z rykiem, obnażając zęby. Co za szczęście, że nagle, przez przypadek, nadeszła wielka fala, niezwykle zimna i słona, którą trzymałam w najgłębszych zakamarkach swoich piwnic, i uderzyła go prosto w twarz. Nie za mocno, oczywiście, bo otrzymała specjalne instrukcje. Odrzuciła go daleko do tyłu, daleko od Jorika. Wtedy dopiero się otrząsał, jakby przypomniał sobie coś, o czym zapomniał, zakrył rękami oczy i wepchnął je z powrotem w oczodoły. Przybiegła do mnie moja mała rączka fala. Można jej zaufać, że zawsze pierwsza przyniesie najważniejsze wiadomości. A w ogóle ~ jeśli masz jakieś szczególnie delikatne zadanie, na przykład chcesz zwrócić komuś bukietek fiołków, ta fala świetnie się do tego nadaje. Przybiegła i powiedziała mi, że Bruno już się uspokoił, że mięśnie już mu nie dygoczą. Po

kiłku chwilach zaczął płynąć jak człowiek w stronę Jorika. Mniejsza ryba unosiła się bezwładnie na wodzie, jak martwa, przekonana, że nadchodzi jej koniec. I to z czyjej ręki! Bruno podpłynął i zatrzymał się przed nim. Ja jeszcze trochę się obawiałam i zaczęłam z oddali wypuszczać kolejną szczególnie zimną i słoną falę, na wszelki wypadek. Ale okazało się, że nie trzeba, bo Bruno stanął naprzeciw Jorika, poruszając ustami, aby pokazać małej rybie, że nie ma się czego bać. Jego serce wypełniła znowu litość (chciałabym przy tej okazji przeprosić mieszkańców Szetlandów za powódź, którą spowodowałam; po prostu nie mogłam się opanować). Stali tak naprzeciwko siebie, a niebo nad nimi było pełne śmigających ryb, których łby aż wrywały się z tułowia, wskazując kierunek do wysp. Bruno zanurzył głowę i rozejrzał się z otwartymi oczami. Zobaczył szereg małych rybek elektrycznych, które przepływały pod nim, oświetlając wodę spokojnym bladoniebieskim światłem. Jak dobrze, pomyślałam sobie, jak to dobrze, że całkiem przypadkiem postanowiłam wysłać je tam dokładnie w tej chwili. Pod wodą Bruno od nowa zaczął słyszeć głos Laprika, mocny i wyraźny, i uspokoił się, oddychając powoli. Najlepszym dowodem na to, że doszedł do siebie, był fakt, że znów poczuł ból w ranach na klatce piersiowej, nad żebrami. Zaczął przebierać dłońmi, płynąc w stronę brzegu, Jorik podążał za nim. W całym tym piekle jęli tworzyć własny porządek. Po pewnym czasie inne ryby także zaczęły się ustawiać. Bruno zauważył, że ryba, którą nazywasz Napoleonem, nie wróciła na swoje miejsce. Zamiast niej pojawiła się inna. Wyświadczy mi uprzejmość – nie nadawaj imienia tej rybie, naczytałeś się zbyt wiele opowieści o zwierzętach. Kolejne ryby powracały z ciemności. Niektóre wyglądały okropnie – z wykrzywionych pysków lała się krew. Unosiły się tak wszystkie spokojnie, poruszając płetwami i czekając, aż dotrze do nich z powrotem wielki *ning*. Czuły, że *ning* nie znajduje się już idealnie pośrodku, jakby przesunął się punkt ciężkości, bo przecież około jednej czwartej ławicy odłączyło się i popłynęło za Gurukiem. Ale może właśnie dlatego pozostałe wyraźniej odbierały głos Laprika. Czuły go w wodzie i we krwi, każdym skrzelem i każdą łuską. Nasłuchiwałam wraz z nimi i odetchnęłam głęboko, byłam tak na nich skupiona, że przez pomyłkę utworzyłam mieliznę u

wybrzeży Hiszpanii, całkiem niechcący. Aż niepełny księżyc na niebie stał się całkiem czerwony (co prawda, to on wykonuje większość obowiązków; przecież nie mogę robić dwóch *rzeczy* naraz). Nie miałam jednak cierpliwości wysłuchiwać gniewnych szeptów tego starego albinosa, bo bardzo denerwowałam się prezentem, który przygotowałam dla Brunona. Uwierz mi, Neumann, gdyby tknął Jorika choćby czubkiem palca, nie dostałby go nigdy. Szkoda, że nie możesz zobaczyć, jak mały Jorik zapomniał nagle o *dolganie*, opłynął Brunona z przodu i stanął naprzeciw niego, bardzo szybko otwierając i zamykając pyszczek (to było okropnie śmieszne, tak śmieszne, że nie udało mi się opanować i zwyczajnie – wybaczysz mi? – posiusiałam się ze śmiechu). Bruno odpowiedział tym samym. Nie rozumiał jednak, o co chodzi rybie, bo otwieranie pyszczka oznacza bardzo wiele różnych rzeczy. Tak wygląda mowa łososi. Trudno zrozumieć, co mają na myśli. Jorik nie wracał na swoje miejsce i tkwił uparcie naprzeciw Brunona. Zaczął nawet podskakiwać w wodzie i popłynął kawałek w tył, kiedy ławica ruszyła z miejsca. Dopiero gdy mój Bruno poczuł w końcu, że porusza się o wiele szybciej niż kiedyś, zrozumiał. Obrócił się na plecy i spojrzał, szeroko otwierając usta ze zdumienia. Możesz sobie wyobrazić moją radość...

– Ja też się ucieszę, jeśli powiesz mi, o co chodzi. Nie umiem czytać w myślach jak ty. Nie mam nawet małych fal za wywiadowców. Co zobaczył?

– Nie rozumiałeś? Naprawdę jeszcze nie rozumiałeś? Ha! Powiem ci. Proszę bardzo. Nie myśl sobie, że coś przed tobą ukrywam. Posłuchaj: po obu stronach klatki piersiowej trzepotały dwie malutkie boczne płetwy, doskonałe płetwy, które przed chwilą wyrosły z jego ciała. A niech mnie kule biją, to moje najładniejsze dzieło, odkąd nauczyłam się pleść warkocze z wody. Wachlowały niczym morskie motyle, napędzając Brunona nieznanym szczęściem... Był taki... chlip! Przepraszam... taki... radosny... wybacz... znowu się wzruszyłam... chlap!

Przyniosła mnie na brzeg późną nocą. Zegarek (wodoszczelny, którego nigdy nie zdejmuję) wskazywał, że spędziłem trzy godziny ukryty bezpiecznie w



małym wodnym gnieździe, pośrodku gwałtownego, nieoczekiwanego sztormu, który rozszalał się w okolicy. To prawda, była bardzo poruszona. W kółko opowiadała z przyjemnością, jak Bruno nauczył się posługiwać płetwami i sterować, jak dziecko uczące się korzystać z rąk i nóg. Znowu poczuł gwałtowny przypływ sił żywotnych. Podobnie czuł się tylko wtedy, gdy podziwiał przedstawienie delfinów na morzu. Od tej chwili nie rozstawał się z Jorikiem nawet w porze *gioja*. Chciał, aby ryba zawsze była w pobliżu. Paplała i paplała. Wspomnienia uczyniły ją radosną i ożywioną, lecz także bardzo delikatną. Lśniły pieniste rąbki fal. Znowu stałem się obcym, zasługującym najwyżej na skórki i okruszki. Giermkiem wielkiej miłości, skrybą spisującym dzieje kochanków.

Tak, znowu się złościsz. Moja płaczliwość budzi twoją wzgardę. Widzę biednych wędkarzy z Tel Awiwu, stojących na końcu falochronu: ich wiadra są puste. Kradniesz przynętę z haczyków i supłasz żyłki wędek. Znam twój styl. Dziecinną przekorę. Oni tego, oczywiście, nie rozumieją. Są poirytowani i zdumieni. Widzę, jak patrzą na siebie ze zdziwieniem, słyszę urywki przekleństw unoszonych z wiatrem. Wielu dawno zniechęciło się i odeszło. Pozostali zarzucają wędkę z rosnącym uporem, jakby chcieli się z tobą podrażnić. Rozglądają się wokół, szukając winnych: może księżyc? Może huk przelatujących samolotów? Teraz patrzą na mnie. Nie wiedzą, że to ja spowodowałem sztorm...

Posłuchaj. Nadal nie wiesz, co się ze mną działo tamtej nocy, nocy płetw...

Na plaży czekała na mnie wdowa Dąbrowska z posterunkowym. Milicjant trzymał ogorzałymi rękami rower, a wdowa obracała w powietrzu pedałami, aby wydobyć choć odrobinę światła z rowerowej lampki. W ten sposób oświetlali kawałek wzburzonego morza, wołając mnie po imieniu. Kiedy wynurzyłem się nagle, mokry i poruszony, przeżegnali się ze strachu. Natychmiast zaczęli krzyczeć i wymyślać mi, że przysporzyłem im takiego zmartwienia. Dałem każdemu pięć złotych, prosząc, aby się uspokoiili. Po ich

odejściu siedziałem przez jakiś czas na szorstkim piasku, w zimnym wietrze, trzymając głowę w dłoniach. Czuję się wypalony i pokonany. Zrozumiałem, jak wiele mi brakuje do prawdziwej odwagi i talentu. Do śmiałych decyzji. Ubrałem się znużony i powlokłem do chałupy. Wdowa podała mi dawno wystygłą rybę z ziemniakami, mrużąc pod nosem. Popatrzyłem na rybę i po raz pierwszy od przyjazdu odsunąłem talerz. Potem, w dużym pokoju, w świetle smrodliwej lampy naftowej (znowu była przerwa w dostawie prądu), spisałem pokrótce dalszy ciąg twojej opowieści: jeszcze przed świtem ławica dowiedziała się, co się stało z rybami, które podażyły za Gurukiem. Ryby pozostałe z Laprikiem, które uśpione unosiły się w wodzie, odczuły nagle wstrząs, jakby wrywano im mięśnie i ścięgna. W tej samej chwili na krańcu horyzontu, na wschodzie, pijany rój łososi wpłynął na skaliste wybrzeża Wysp Szetlandzkich. Ławica Brunona zatrzymała się natychmiast, stanęła w miejscu, odbierając tysiącami zmysłów to, co działo się w oddali. Nagle się odwrócili: w odległej wodzie rozpuszczały się smugi krwi. Bruno kątem oka popatrzył na Jorika. W duchu dziękował mu znowu za to, że jest tym, czym jest. Cierpienie odmienności zawadzało mu jak garb, uniemożliwiający przejście wąskim korytarzem, którym chodzą wszyscy.

Po wschodzie słońca okazało się, że w wodzie unoszą się dziesiątki martwych ryb, które fale znosiły na zachód i południe. Ławica mijała je po drodze. Pachniały intensywniej niż zazwyczaj. Inaczej też wyglądały ich pyski, jakby wykrzywione w przerażeniu. W dali widać było rybackie łódeczki wyspiarzy. Bruno nie żałował martwych ryb. Swój żal zachowywał dla Jorika i paru ryb z ławicy, które poznał trochę bliżej. Energicznie wymachiwał nowymi płetwami. Był dumny niczym młodzieniec, któremu zaczął się sypać wąż. Mglisto czuł, że na nie zasłużył: przez chwilę stał się godny życia, którego szukał. Udało mu się wyrwać z bezustannego uczucia porażki.

## 7

Nadal do mnie nie przemówiłaś. Wciąż mnie ignorujesz, chociaż wiem, że tu jesteś, przed falochronem. Słuchasz każdego słowa. Rozmawiam z tobą, bo nie mam z kim. Rut i Jariw są w Jerozolimie. Co kilka dni muszę ich opuszczać, by dokończyć porządkowania moich wewnętrznych spraw. Może nigdy nie skończę. Bywają tacy ludzie. Nie wierzyłem, że jestem jednym z nich. Wszystko wydawało mi się jasne i zaplanowane. Wierzyłem, że da się przewidzieć, jak się zachowa X w sytuacji Y, jeśli dysponujemy koniecznymi danymi o człowieku i sytuacji. Kiedy byłem mały, potrafiłem przepowiadać takie rzeczy z wielką dokładnością. Byłem jak Kajtuś Czarodziej. Ale kiedy dorosłem, wszystko się zepsuło. Wszystko się rozpadło, stało się nieprzewidywalne i niebezpieczne. Nie wiadomo, czego się wystrzegać: zdrada może nadejść nawet z wewnątrz.

Z Ajalą także nie mogę już rozmawiać. Mieszka z pewnym muzykiem w tej okolicy. Nie wolno mi się u niej pokazywać po mojej wielkiej zbrodni przeciwko ludzkości – tak nazywa tę bzdurną sprawę z Kazikiem. Jest tylko jeden sposób, powiedziała, z twarzą skurczoną z obrzydzenia, tylko jeden sposób, w jaki możesz odpokutować taki uczynek: napisać inne opowiadanie. Opowiadanie pokutne. Do tego momentu nie pokazuj się tu.

Nie odpowiadasz. Światła na nowej promenadzie gasną. W nadbrzeżnych restauracjach odwracają krzesła do góry nogami. Tel Awiw, koniec roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego. Stoję na falochronie. Zostało jeszcze tylko trzech wędkarzy. Inni zmęczeni się i poszli do domów. Jesteś cała ciemna i poruszasz się bez ustanku. Jesteś napięta i rozdrażniona. Czuję cię. Przed tobą miasto kurczy się w nagłym lęku. W jednej chwili okazuje się jasno, że mieszkamy na niepewnej wyspie, która nie odważa się być wyspą.

Urodził mi się syn. W dziesięć miesięcy po powrocie z Narwi. Kiedy Rut

przerwała wszystkie zabiegi i kuracje, wydarzył się cud. Nazwaliśmy go Jariw. Zawsze podobało mi się to imię. Bardzo izraelskie. Staralem się być dla niego dobrym ojcem. Naprawdę się starałem. Ale z góry wiedziałem, że nie mam szans. Zawsze zdawałem sobie sprawę, że stosunki między dziećmi i rodzicami są trudne, nie sądziłem jednak, że aż tak. Są zbyt podobne do nas albo zbyt się różnią. Ten ciężar oczekiwań – żeby był taki jak ja. Nie, skądże: niech będzie podobny do Rut. Całkiem inny. Niech będzie prosty i zdrowy, silny i szczerzy. On jednak sprawił nam niespodziankę, bo nie jest podobny do żadnego z nas. Jeśli odziedziczył cokolwiek po Rut – to tylko jej złe cechy. Jest irytująco powolny. Za gruby. Ma niepewny, spłoszony wyraz twarzy. Wśród innych dzieci jest bezradny. Jak tłusty gołąb wśród ruchliwych wróbli. Tylko ze mną potrafi być uparty i zgrywa bohatera. Na początku był inny. Gdzieś po drodze coś się zepsuło. Przyglądam mu się, kiedy bawi się samotnie w kącie przedszkola, chce mi się wyć. Już teraz wyobrażam sobie, jaki będzie za trzydzieści lat: zwalisty, niepewny mężczyzna z odrobinę urażoną miną, charakterystyczną dla bardzo grubych ludzi, bezradny i zażenowany wśród kolegów. Rut śmieje się, kiedy zwierzam się jej ze swych obaw. Przechodzi trudny okres, mówi. To wspaniały chłopczyk. Za pół roku go nie poznasz. Przyzwyczai się do dzieci i do przedszkola. Jeśli nawet pozostanie taki, samotny i wyobcowany, będę go kochać. Nie zapominaj: podobają mi się tacy mężczyźni. Ha, ha, ha. A jednak ona także przyznaje, że Jariw zdradza niemiłe cechy. Jest kapryśny, rozpieszczony i pełen lęków. Kiedy pracowałem w domu, wspinał się na mnie, nie pozwalając mi napisać ani słowa.

– Wiesz, co tatuś pisze? – pytała Rut, starając się przez cały dzień nas rozdzielić. On na to z irytującym, dziecięcym egocentryzmem:

– Tatuś pisze Jariw.

To miła anegdotka, ale wiem, że naprawdę chciałby, abym siedział po całych dniach, przepisując jego wspaniałe imię. Rut słucha, śmieje się głośno i prosi:

– Zachowuj się jak dorosły, Momik. Nie używaj przy nim całej siły. Mimo wszystko jesteś starszy o rok czy dwa.

Wtedy zaczyna się zwykły spór. Mówię, że to w ogóle nie jest kwestia wieku. Już teraz trzeba go przygotować do wojny. Kiedyś, przed jego urodzeniem, powiedziałem Rut, że jeśli będę miał dziecko, codziennie rano będę mu wymierzał policzek. Za nic. Zęby wiedziało, że na świecie nie ma sprawiedliwości. Ze istnieje tylko wojna. Powiedziałem jej to na samym początku, kiedy zaczęliśmy ze sobą chodzić. Mieliśmy po szesnaście lat. Potem przez pewien czas myślałem, że to głupi i dziecinny pomysł, ale po urodzeniu się Jariwa poczułem nagle, że może nie taki głupi.

Rut odparła:

– Pewnego dnia ci odda i co zrobisz?

– Będę zachwycony. Uznam, że przygotowałem dziecko do życia.

– Ale może nie będzie cię kochał.

– Kochał? – powtórzyłem, z pogardliwym śmiechem. – Wolę żywe dziecko od kochającego.

Ona na to:

– Czasami jest jeszcze kilka możliwości pośrednich. Odgrywasz się na nim za to, czego nie dostałeś we własnym domu.

Te podłe słowa, których pod żadnym pozorem nie wolno było jej mówić, przyprawiają mnie o szaleństwo. Przecież to z domu wyniosłem umiejętność przetrwania w każdych warunkach, to podstawowa wiedza, której nie można nauczyć się w szkole. Nie da się jej nawet wyrazić za pomocą gładkich i pięknych słów, wśród których wychowała się Ruti. Jej rodzice byli tak kulturalni, że nigdy w życiu nie zetknęli się z prawdziwym zagrożeniem. To mądrość, którą przekazuje się bez słów, w podejrzliwym zmrużeniu oczu, skrzywieniu ust. Skoncentrowany pokarm, płynący pępowiną, rozchodzący się powoli, przez dziesięciolecia, po organizmie: stój zawsze w środkowym rzędzie. Nie odzywaj się częściej niż to konieczne. Pamiętaj, pozory mylą. Pilnuj się nawet, aby nie odczuwać zbytniego zadowolenia. Nie mów „ja” tak swobodnie. W ogóle: staraj się ze wszystkiego wyjść cało. Bez zbędnych blizn. Na więcej nie licz.

Wieczór. Jariw śpi. Podchodzę na niego popatrzeć. Leży na wznak. Coś

miękkiego wspina mi się wzdłuż krzyża.

– Ty też czujesz mrówki? – pyta cicho Rut, której uśmiech rozjaśnia cały pokój. Chcę powiedzieć coś dobrego, chcę ją rozweselić, chcę pokazać, że mimo wszystko go lubię. Ale zaciska mi się gardło.

– To dobrze, że potrafi spać w hałasie – mówię w końcu. – Może będzie musiał kiedyś spać w huku czołgów. Może w marszu, w szeregu. W śniegu. W ciasnych barakach z dziesięcioma osobami na jednej pryczy. Może...

– Przestań – mówi Rut i wychodzi.

Zawsze wystawiam go na próby. Jest wyższy i mocniej zbudowany od rówieśników, to dobrze. A jednak się ich boi. Boi się wszystkiego. Muszę wspinać się razem z nim na schodki zjeżdżalni, bo boi się zjechać sam. Schodzę. Zostawiam na górze płaczącego chłopca, który boi się poruszyć, żeby nie spaść. Jakaś dobra dusza podchodzi i tłumaczy mi, że dziecko się boi. Uśmiecham się chłodnym, anielskim uśmiechem i odpowiadam, że w lasach dzieci w jego wieku pełniły już funkcję wartowników i godzinami siedziały na czubkach drzew. Rozmówczyni odsuwa się wystraszona. Z odrazą. Zobaczymy, jak zachowa się jej dziecko w godzinie próby. Inne matki na ławce przestają plotkować i przyglądają się mnie oraz małemu głupkowi na drabince. On wrzeszczy na całe gardło. Zapalam papierosa i obserwuję go z ciekawością. Jeśli będziemy się kiedyś ukrywać w ziemiance, nikt nie zdoła go uciszyć. Nie będę miał wyjścia, myślę. Mam tylko nadzieję, że wychowam go tak, aby kiedyś mógł mi zrobić to samo.

– Chodź, ty tchórze – mówię na głos, z fałszywym spokojem. Rozgniatam papierosa obcasem i zdejmuję Jariwa ze zjeżdżalni. Wilgotne usta przyciskają się do mojej szyi, drżące jeszcze w rozpaczliwym łkaniu. Czuję, jak ciężar dziecięcej krzywdy przetacza się z jego serca na moje z takim impetem, że prawie obala mnie na ziemię. – Wybacz mi, synku – powtarzam w duchu. Wybacz mi wszystko. Bądź mądrzejszy i cierpliwszy ode mnie, bo ja nie mam siły i nikt nie nauczył mnie kochać. Bądź silny, aby ze mną wytrzymać, kochaj mnie.

– Nie mazgaj się jak baba – syczę na głos.

Nie ma między nami czułości. Rut umie się z nim bawić. Ja przede wszystkim chcę go uczyć. Przygotować. Nie marnować cennych lat, kiedy mózg jest najbardziej chłonny, kiedy może przyswoić najwięcej. Rut z przyjemnością się z nim bawi. Rysuje samochody i zegary, lepi z plasteliny. Ich łagodne głosy przeplatają się ze sobą. Ja uczę go czytać. Rut śmieje się, kiedy Jariw się myli i mówi „mama i tata czują się dobrzy”. Uśmiecham się, ale go poprawiam. Nie ma czasu na pomyłki. Stoi na naszym łóżku, śledząc muchę na oknie. Nagle wyciąga rękę, łapie muchę i zgniata ją z całej siły. Patrzy ze zdziwieniem na swoją dłoń i pyta, dlaczego mucha nie odlatuje. Rut, odrobinę spięta, zerka na mnie i wyjaśnia, że mucha zasnęła. Ja mówię prawdę. Precyzyjnie. „Zabiłeś ją” – powtarza Jariw, smakując nowe słowo swymi świeżymi, miękkimi wargami. Głowę ogarnia mi mrok. Przecież powinienem się cieszyć. Z czego tu się cieszyć? Do czego dążyć?

– Powinieneś się trochę bardziej postarać – prosi później Rut, w nocy, kiedy leżymy, patrząc w sufit. – Możesz zepsuć coś na przyszłość. Byłoby szkoda.

Krzyczę w duchu: „Nie pozwól mi niszczyć! Wyrzuć mnie! Postaw mi ultimatum, na które będę musiał się zgodzić”. Na głos mówię, że chyba opowiadanie, które właśnie piszę, historia, którą dziadek Anszel opowiadał Niemcowi Neiglowi, wywiera na mnie wielki wpływ. Przytłacza mnie wszystko, czego dowiaduję się w związku z nią, wszystko, co przychodzi mi do głowy. Ruti zna mnie zbyt dobrze, by proponować, żebym w takim razie przestał pisać. Nawet w najgorszych chwilach nie powiedziałaaby czegoś takiego: najwyżej delikatnie by sugerowała, wspominała o takiej możliwości najłżejszym tonem. Rut wierzy, że w każdym człowieku drzemią ogromne siły. Większe, niż potrafimy nad nimi zapanować. Człowiek musi uważać w kontaktach z innymi, aby ich nie zniszczyć. Nie wyrządzić krzywdy radami, próbą wywierania wpływu, który może okazać się błędny i szkodliwy. Jest taka dojrzała. Tylko dlaczego wszystko, co robi, wydaje się pracą? Leżymy w łóżku i rozmawiamy o tym, czym różni się pisanie wiersza od pisania powieści.

– Wiersz to flirt – mówi Ruti, uśmiechając się w ciemności. – Powieść to

małżeństwo: zostajesz ze swoimi bohaterami długo po tym, jak wygaśnie pierwsza miłość i pożądanie.

Dziwne, że mówi coś takiego. To do niej nie pasuje. Nie wolno jej. To ja w tym domu mówię niedobre rzeczy. Udało jej się na chwilę mnie wystraszyć.

– Powieść – mówię cicho – jest jak małżeństwo: dwoje ludzi kocha się i rani się nawzajem, bo niby kogo mają ranić?

Milczymy. Usiłuję sobie przypomnieć, czy Rut zamknęła drzwi wejściowe na dolny zamek. Jeśli zapytam, zdenerwuje się. Chyba zamknęła. Lepiej wierzyć, że zamknęła, i nie zadrećzać się. Czasami mówię, że chciałbym się spakować i wyprowadzić. Zacząć wszystko od nowa. Bez przeszłości. Tylko my dwoje. I Jariw, przypomina, dodając, że stąd się nie ucieka. To ostatnie miejsce. Co za głupie twierdzenie, odpowiadam. Nie ma czegoś takiego jak „ostatnie miejsce”. Nie wolno do żadnego miejsca tak się przywiązywać. Ani do człowieka. Ona na to: „Nieważne, dokąd pójdziesz, nigdzie nie spocznesz, Momik. Nie boisz się miejsc, lecz ludzi. – Co stało się nagle z jej miłym, spokojnym głosem? – Boisz się wszystkich. Co w nas widzisz? Co może być gorszego od tego, co już znamy?”. Nie wiem, odpowiadam. Nie mam siły na te pytania. Powinienem był teraz zapytać, czy zamknęła na dolny zamek. Straciłem okazję. Z reguły pamięta i rygluje drzwi przed pójściem do łóżka. Wcześniej zakręca kurek z gazem. Chwileczkę: czy na pewno zakręciła gaz? Nagle znowu mówię o Holokauście. Nawet nie wiem, w jaki sposób do niego wróciłem. Jestem w stanie przejść do niego z każdego tematu. Jestem gołębiem pocztowym Holokaustu. Po raz tysięczny, głosem, w którym nie ma już wiele przekonania, pytam:

– Powiedz mi, jak można żyć, widząc, do czego jest zdolna ta ludzkość, której tak bronisz?

– Są ludzie, którzy potrafią kochać – mówi w końcu Rut (wreszcie odrobinę zniecierpliwiona). – Niektórzy właśnie z Holokaustu wyciągnęli odwrotny wniosek. Przecież z tego, co się tam stało, można wyciągnąć oba wnioski, prawda? Są też ludzie, którzy kochają, żałują (powiedziała „żałują”) i postępują dobrze, bez związku z Holokaustem. Nie rozmyślając o nim dniami i nocami. Może tu właśnie tkwi błąd? Dlaczego tak nie myślisz, Momik?



– Sama już w to nie wierzysz.

– No pewnie. Przecież żyję z tobą od paru lat. Twoja wizja świata jest zaraźliwa. Łatwiej jest stać się kimś takim jak ty niż pozostać kimś takim jak ja. Nie lubię chwil, gdy nagle zdaje sobie sprawę, że myślę jak ty. Walczę z tobą.

– Wiesz, że mam rację. Nawet jeśli powiesz, że są ludzie, którzy myślą inaczej i potrafią z tym żyć, nie pocieszysz mnie. Należę do pechowców, którzy widzą prawie wyłącznie to, co się dzieje za kulisami życia. Szkielety przykryte ciałem.

– No i cóż tam takiego widać? Co innego tam widać, do diabła, niż to, co i tak już wiadomo!? Cóż nowego tam odkryłeś? (Rut zaczyna się złościć. Niezwykle rzadko udaje mi się wyprowadzić ją z równowagi).

– Nie chcę niczego nowego odkrywać. To ze znanymi rzeczami nie umiem sobie poradzić: ludzie zabijają się nawzajem bez przerwy. Tylko cały proces jest bardzo powolny, odbywa się z wielką dozą sztucznego taktu, dlatego to nie jest aż tak szokujące. Wszyscy mordują wszystkich. Machina zagłady dokonała kilku obrotów, zeszła do podziemia, ale słyszę bez przerwy, jak pracuje. Przygotowuję się, Ruti. Przecież sama wiesz.

– Obiło mi się o uszy. – Uśmiecha się.

– Śmieję się, śmieję. Przyjdzie taki dzień, że wszystkich nas znowu popędzą w szeregi. W przeciwieństwie do was, ja nie przeżyję zaskoczenia ani upokorzenia. Nie zdziwi mnie ból rozstania i rozłąki. Nie będę żałował ani jednej rzeczy, ani jednego przedmiotu, który będę musiał zostawić.

– To także wiem. Przypadkiem to właśnie mój mąż napisał *Wiersze przedmiotów*, o których wszyscy mówią. Czytałeś?

– Przeglądałem.

– Nawiasem mówiąc, mąż nigdy nie pozwala mi kupić sobie prezentu na urodziny. Nienawidzi wszystkiego, co łączy się z rytuałami, co ma jakąkolwiek stałość.

– Tak, znam tego człowieka. Nie chcę czuć się związany.

– A ludzie, Momik?

– Jak wyżej.

– Nawet ja i Jariw?

Milcz teraz, głupcze. Oszukaj ją i powiedz, że ludzie może tak, ale nie ona. Przecież życie bez niej nie ma sensu. Bez jej naiwności i grzesznej wiary.

– Nawet ty i on. Posłuchaj: nie jestem pewien, czy uda mi się nie cierpieć, jeśli was utracę, ale chcę wierzyć, że mam wystarczająco dużo siły. Będę rozczarowany, jeśli w chwili rozstania poczuję ból, nad którym nie będę mógł zapanować.

– Gdybym wierzyła chociaż w połowę tego, co mówisz, wstałabym w tym momencie i wyszła. Ale słyszę to wszystko już prawie od dwudziestu lat, właściwie odkąd się poznaliśmy. W pewnych okresach udawało ci się przełamać i myśleć trochę inaczej. Sądzę, że przemawia przez ciebie strach, kochanie.

– Daruj sobie „kochanie”, dobrze? To nie turecki romans.

W ciemności widzę jej białe zęby, odsłonięte w uśmiechu. Dolny zamek ma cztery zasuwy. Teraz jestem pewien, że słyszałem, jak zasuwa tylko dwie. Czuję, jak jej uśmiech unosi się w powietrzu. Lekko wydęte usta to najładniejszy fragment jej twarzy. Ma zaczerwienioną skórę, zawsze trochę podrażnioną wokół nozdrzy i pod oczami. Kiedy zaczęliśmy ze sobą chodzić w liceum, wyśmiewano nas za plecami. Mówiąc oględnie, nie byliśmy najładniejszą parą w klasie. Nadawano nam obraźliwe, pogardliwe przezwiska. Nie potrafiłem się powstrzymać i wprowadziłem tę drwinę do naszego życia, w paskudny sposób. Rut, rozsądnie i spokojnie, prowadziła nas tam, gdzie liczyliśmy się tylko my, nie to, co mówili o nas inni. Czasami jednak słyszę echo tamtych drwin. Rut mówi:

– Trochę cię znam. Od wiciu lat jesteśmy razem na dobre i na złe. Czytam twoje wiersze. Także te, których nie opublikowałeś, w obawie, że zaszkodzą wizerunkowi gniewnego poety. Znałam cię, kiedy byłeś nastolatkiem i dopiero zaczynałeś się golić. Miałeś wtedy więcej włosów. Widzę cię, kiedy śpisz, śmiejesz się, gniewasz, kiedy jesteś milczący i smutny, kiedy się kochamy. Miliony nocy przesypiamy obok siebie, przytuleni jak łyżeczki. Czasem jak noże. Kiedy jesteś spragniony w nocy, podaję ci wodę w ustach. Wiem, jak lubisz się całować, jak nienawidzisz obejmować się na ulicy, na ludzkich oczach. Wiem o

tobie bardzo dużo. Jak ważne są dla ciebie książki i postacie, o których piszesz. Nasze życie – teraz z Jariwem – to skromna, mała książeczka, którą piszę codziennie, przez cały czas. Nic wielkiego ani odważnego. Niespecjalnie oryginalne. Miliony mężczyzn i kobiet robiły to przede mną, z pewnością o wiele lepiej. Ale należy do mnie i przeżywam to ze wszystkich sił i z całej woli. Nie, pozwól mi mówić. Widziałam, jaki byłeś szczęśliwy, kiedy poznałeś Ajalę. Potwornie cierpiałam. Czułam się strasznie. Ale poza upokorzeniem i nienawiścią, którą do ciebie czułam, myślałam też czasami (kiedy w ogóle byłam zdolna do myślenia), że gdy ktoś ma taki talent do miłości jak ty, nawet jeśli próbuje ukryć go głęboko pod ziemią, w końcu ten dar wyjdzie na jaw. Byłam gotowa czekać. Nie przez kompleks Solveigi, jak wtedy mówiłeś, lecz przeciwnie, ze skrajnego egoizmu.

– A jeśli nie ty będziesz zbierać owoce – wybac mi to określenie – ale inna?

– Może będzie i tak. Może inna kobieta będzie zrywać owoce. Ale tylko przez jakiś czas. Jestem pewna.

– Czego jesteś pewna?

– Ze za bardzo potrzebujemy siebie nawzajem. Nawet jeśli tego nie przyznasz, bo jesteś *male shovinst pig* i jesteś dziecinny. Przede wszystkim dziecinny. Jesteś jak dorastający chłopiec. Mówię poważnie: bardzo się różnimy. Ale pragniemy tych samych rzeczy. Tylko dążymy do nich na różne sposoby. Jesteśmy jak dwa różne klucze do tego samego sejfu. Wybac, że używam takich górnolotnych słów. Mój mąż jest poetą, a teraz także i prozaikiem.

– Przy okazji: zamknęłaś?

– Na dole też, uspokój się.

Milczę. (Zapomniałem zapytać o gaz!). Miłość nie zwycięża wszystkiego, mówię w duchu. Tylko w powieściach pisarze muszą pozwolić jej zwyciężyć. W życiu jest inaczej. Kochanek odchodzi pośpiesznie, ukradkiem, od łóżka ukochanej chorej na zakaźną chorobę. Bardzo mało osób popełnia samobójstwo razem z konającym partnerem. Rozdziela nas wartki, despotyczny prąd życia. Niesie nas dalej, pełen egoizmu, obojętny i żywotny. Miłość nie zwycięża. Rut

przysuwa się do mnie. Zaczyna głaskać mnie delikatnie, ale ja nie reaguję zachęcająco.

– Chcę przedtem jeszcze trochę porozmawiać, dobrze?

– Dobrze – wzdycha Rut z uśmiechem. – Powinnam była wyjść za tamtego kaukaskiego górala, który chciał mnie kupić za siedem wielbłądów. On na pewno nie chciałby tyle rozmawiać przedtem.

– Wiesz, moim zdaniem najgorsze w Holokauście jest to, że unicestwiono indywidualność. Odrębność ludzi nie miała najmniejszego znaczenia, ich myśli, charakter, biografie, miłości, choroby, tajemnice. Wszystkich sprowadzono do tego samego poziomu, najniższego poziomu egzystencji. Tylko ciało i krew. To mnie doprowadza do obłędu. Przecież dlatego pisałem o Brunonie.

– Bruno nauczył cię walczyć???

– Tak. Hipotetycznie. Ale nie pomoże mi w codziennym życiu. Jest piękny jako marzenie. Więcej: to, co przede mną odkrył, przeraziło mnie. Obudziło we mnie ogromny sprzeciw. Czuję go teraz, kiedy utknąłem, spisując opowiadanie Wassermana i tego Niemca. Czuję, że muszę bronić się przed tym, co mi ukazał. Trochę teraz z nim walczę.

– Walczysz ze sobą.

– Być może. Możliwe. Ale to się dzieje i nie mogę tego przerwać. Posłuchaj. Nie uśmiechaj się. Słyszę uśmiech w ciemności. Chcę być gotowy na następny raz, kiedy nas to spotka. Nie tylko zniosę rozstanie z ludźmi bez większego bólu. Będę mógł rozstać się także ze sobą samym. Chciałbym móc zanegować wszystko, co w sobie mam, aby ewentualne unicestwienie lub upokorzenie nie sprawiły mi nieznośnego bólu. To niemożliwe, wiem, ale czasami planuję to w myślach krok po kroku: jak zlikwiduję swoje cechy, pragnienia, chęci i talenty – spróbuj wyobrazić sobie to nadludzkie zadanie. Nagroda Nobla w dziedzinie ludzkiej fizyki. Co mówisz?

– Wstrząsające.

– Nie, poważnie. Po prostu będę wchłaniał zabijanie wokół, nie cierpiąc ani trochę. Bez bólu, bez upokorzenia. I bez rozczarowania. Ja...

– Będziesz zwyczajnie martwy. Tak mocno się bronisz przed tym, co

mogliby ci wyrządzić ludzie, że nigdy nie będziesz czerpał radości z życia wśród nich. Nie zaznasz ani chwili ulgi od nienawiści i podejrzliwości. Będziesz własną katastrofą. Będziesz też coraz mocniej przekonany, że wszyscy są dokładnie tacy sami, bo brak ci narzędzi do poznania innych aspektów życia. Ludzie myślący jak ty będą się zabijali nawzajem bez skrupułów, bo życie i śmierć i tak nie mają wartości. Przedstawiasz mi świat trupów, Momik.

– Przesadzasz, jak zawsze. Może kiedyś na próbę chciałbym znaleźć się przez chwilę w takim świecie. Alternatywa nie wydaje mi się najłatwiejsza.

– Życie tutaj? Zwyczajne, proste życie?

– Tak, proste. Bardzo proste.

– Pisanie w ogóle ci nie pomaga? Zawsze powtarzałeś, że tylko to cię ocali.

– Nie. Utknąłem. Wasserman mnie oszukał. Umieścił w swoim opowiadaniu małe dziecko.

– To może je usunąć.

– Nie, nie. Skoro się tam znalazło, najwyraźniej tak ma być. Wiesz, jak piszę. Czuję, że cytuję słowa, które muszę zapisać. Tym razem brak mi siły. Nie wiem, w jakim celu znalazło się tam to dziecko. Z trudem radzę sobie z jednym dzieckiem. Dzieją się ze mną ostatnio okropne rzeczy. Boję się nawet zacząć o tym mówić. Czasem nie mam siły dożyć następnej chwili. Ludzie budzą we mnie nienawiść. Nie zwykłą niechęć: prawdziwą nienawiść. Nie mam odwagi stanąć twarzą w twarz z ich życiem. Idę ulicami i czuję, że tonę w ogromnym strumieniu cudzego życia. Na przykład łyżki. Także ból. Straszliwa kruchość każdego narządu naszego ciała. Oraz przyjemność, oczywiście. Przyjemności, które chcemy urzeczywistnić. Tyle niebezpiecznych ładunków w tak małym ciele. Jak to znieść? Rozumiesz, co mam na myśli? Nie. Nie odpowiadaj. Czuję, że nie mam już siły psychicznej, aby zrozumieć, co się dzieje w życiu choćby jednego człowieka. Gdybym nie musiał spisać historii dziadka Anszela, wróciłbym do wierszy o przedmiotach.

– Musisz wiedzieć, że bardzo cię Kocham.

– Pomimo wszystko? – pytam tęsknie, żałośnie.

– Może nawet przez to wszystko.

– Ja ciebie też. Chociaż czasami doprowadzasz mnie do szału swoją chrześcijańską naiwnością.

– Doskonale wiesz, że to wcale nie naiwność. Żyjąc z tobą, nie można pozostać naiwnym. To decyzja. Poza tym – zawsze możesz mnie ukarać. Kiedy rozpocznie się powszechny exodus, zostawisz mnie z dwojgiem małych dzieci na rękę i następnym w drodze. Nie będę mogła narzekać, że mnie nie ostrzegłeś.

– Umowa stoi – mówię. – Zakreśliłeś gaz?

– Chyba tak. Czy to ważne? Chodź do mnie. Przyznaj, że uczciwie dziś na ciebie zapracowałam.

Obracam się do niej i po ciemku muskamy swoje twarze, nic więcej. Powoli, spokojnie, jak ktoś, kto odczytuje ponownie stare listy. Wtulam się w nią z całej siły i przez chwilę czuję spokój, mam dom, istnieje człowiek, którego mogę dotknąć i nie boję się go, tracę czujność. Poruszamy się ostrożnie, żeby nie zranić miękkości, wznosimy się i opadamy jak długa, zmęczona ludzka kolumna. Ale kiedy Rut gryzie moje wargi, dygocząc, wracam do kraju pozbawionego miłości, widzę na postrzępionych ekranach mózgu tamte obrazy. Człowieka. Szczytując, pamiętam o wydawaniu odpowiednich dźwięków, chociaż już od kilku tygodni nie czuję przyjemności: jakieś obojętne wrażenie. Jak splunięcie.

Życie zaczęło zamierać. Stałem się pustą skorupą. Nawet w kanałach, którymi wcześniej coś przepływało między mną a innymi ludźmi, nie było nic. W tym okresie przestałem pisać opowiadanie dziadka Anszela i zająłem się czymś innym: zbieraniem materiałów do encyklopedii Holokaustu dla młodzieży. Był to mój oryginalny pomysł. Żeby dzieci nie musiały już zgadywać ani się domyślać, przeżywać tego w koszmarach. Sporządziłem listę około dwustu podstawowych haseł: nazwiska znanych ofiar i katów; najważniejsze obozy zagłady; tytuły dzieł sztuki, które powstały w tym okresie, i późniejszych dzieł na temat Holokaustu. Okazało się, że samo gromadzenie, układanie i redagowanie materiału w takiej formie przynosi mi ulgę.

Projekt upadł, bo nie udało mi się znaleźć wydawcy. Nie umiem

przekonywać ludzi, nie umiem się sprzedać. Zaczynam się irytować i mówić podniesionym głosem, a wtedy proszą mnie o opuszczenie pokoju. Także w domu stałem się nie do zniesienia, nie potrafiłem tego przerwać. Było mi źle. Rut spotkała się z Ajalą, rozmawiały cztery godziny. Najwyraźniej podejmowały decyzję, co będzie dla mnie najlepsze. To mnie rozwścieczyło: żadna nie zgodziła się wyjawić, o czym rozmawiały. Jakbym był dzieckiem albo coś w tym rodzaju. Dokładnie w tym samym czasie (wszystko zawsze dzieje się jednocześnie) pogłębiła się demencja mojej matki. Nie potrafiłem chodzić z nią na wszystkie obrzydliwe badania. Nie mogłem się zmusić do wejścia do szpitala. Towarzyszyła jej Rut. Mówiłem sobie cynicznie, że moja matka też nie opiekowała się dziadkiem Anszelem. Kiedy konał tata, również nie chciała go dotknąć. Teraz przyszedł czas, aby sama została na lodzie. Choroba – niczym drapieżnik o wyostrzonych zmysłach – wybrała najsłabszą sztukę w stadzie i szybko ją osaczyła: pozostałe zwierzęta biegły przed siebie, w stronę horyzontu. Tak już jest w życiu, mówiłem sobie, choć nie była to prawda: bałem się o nią. Bałem się, co stanie się ze mną, kiedy jej już nie będzie. W ostatnich latach w ogóle nie miałem do niej cierpliwości. Po pięciu minutach rozmowy zaczynałem się denerwować. Wszystko, co mówiła, wszystkie jej prymitywne poglądy, podejrzenia, doprowadzały mnie do szału. Kiedy jednak poczułem, że odchodzi, ogarnął mnie lęk, poczucie straty i żal.

Lekarze wypisali matkę ze szpitala, mówiąc, że wszystko będzie w porządku. Chcieli przez to powiedzieć, że nic nie można już zrobić. Poradzili, abyśmy zabrali ją do nas. Tym razem Rut się sprzeciwiła. Powiedziała, że sami przechodzimy kryzys, że nasza sytuacja jest kiepska i ledwie sobie radzi ze mną i Jariwem. Skoro tak, to przyznajesz, zawołałem przerażony, że złośliwym tryumfem, przyznajesz, że wszystko jest dokładnie tak, jak powtarzam. Nawet w rodzinie decydują tylko małostkowe względy przydatności i egoizmu, i to, kogo uważasz za bardziej wartościowego, godnego opieki? Tak, odparła spokojnie Rut. Ale mówimy o problemie, który można rozwiązać za pomocą pieniędzy. Mój ojciec nam pomoże. Zatrudnimy pielęgniarkę, która będzie się nią zajmować. Robisz z igły widły. Na litość boską, przecież istnieje kilka odcieni pośrednich

między zwykłym życiowym dylematem a selekcją. Nie zawsze, kiedy ktoś przeklina cię na światłach, to oznacza wezwanie do pogromu!

Tak powiedziała moja subtelna żona.

Stałaś się niecierpliwa. W końcu zaczynasz reagować: eksplodujesz, wybuchasz, rozsiewając odłamki. Jesteś pewnie przekonana, że zbyt długo odkładam napisanie tego zbędnego opowiadania. Ze chwytam się najdrobniejszych szczegółów, bo nie potrafię się zabrać do samego opowiadania. Nie wolno ci mnie oceniać tak surowo. Ale nie przejmujesz się. Jestem pewien, że się nie przejmujesz. Przecież ty także bronisz się przed cierpieniami innych. Jak myślisz, może po to zbudowano falochrony?

...pewnego dnia rozległo się pukanie i weszła Ajala. Jak zawsze w letniej sukience, z rozwichrzonymi włosami, roztaczając zapach morza i opalenizny. Rut przywitała ją lekkim uśmiechem, trochę nerwowym. Świetnie, że przyszedłaś. Uściskały się. Poszedłem do sypialni i położyłem się na łóżku. Pękała mi głowa. One siedziały w kuchni, rozmawiając szeptem. Tak samo mama szeptała z babcią Henią, skarżąc się jej na tatę. Potem usłyszałem zbliżające się kroki Ajali. Obróciłem się na brzuch i zamknąłem oczy.

– Wstań i przestań się nad sobą użalać – powiedziała Ajala. – Jeśli naprawdę chcesz z tego wyjść, wysil się i pomóż sobie samemu. Nie zatruwaj wszystkiego dookoła. Nie zasługujesz na dobro, które cię otacza. – Mówiła jak zawsze spokojnie, z lekką drwiną, od której zwijałem się w pół.

– Uznałyśmy, że powinieneś wynająć gdzieś pokój – odezwała się Rut, przeciskając się przez drzwi (Ajala zazwyczaj wypełnia sobą framugę). – Będiesz tam siedział w spokoju, sam, i pisał. Tylko bez wymówek. Nie można tak dręczyć siebie i innych. Nawet wojna trwała tylko sześć lat. U ciebie to już trzydzieści pięć. Dostyc.

Spojrzałem na nie. Tkwiły w drzwiach niczym kawałki pięknej mozaiki. Marzyłem, że podejda do mnie i pójdziemy razem do łóżka. Czemu nie? Inni mężczyźni czasem tak robią. Czego można oczekiwać od drugiego człowieka? Tylko kontaktu cielesnego. Tak wiele problemów mężczyzna może rozwiązać dzięki kobiecie. Nieważne jakiej. Najważniejsze, żebyś miał kobietę. Po to



istnieją, czyż nie? Przyjrzałem im się, starając się zmienić układankę: ciężkie, zaokrąglone piersi Ajali na szczupłej figurze Rut. Nieźle. Szkoda, że tylko w wyobraźni. Ajala nosi zawsze skape koronkowe majteczki. Rut – staromodne majtki. Kilka lat temu chciałem poprosić, żeby kupiła sobie coś bardziej seksownego, ale wyobraziłem sobie jej spojrzenie. To poniżej jej godności: kusić mnie czymś więcej poza samym ciałem. Ten aspekt wiecznie trochę kulał w naszym związku: nie wiem czemu, na zawsze pozostaliśmy szesnastolatkami. Chyba nie ma już na co liczyć. Utkwiłem w Ajali lubieżne, pożądliwe spojrzenie. Nic się nie stało: nie było ani dzbana, ani truskawki. Straciłem moc. Zostałem skazany na dożywotnie więzienie zgodnie z założeniem Zenona z Elei.

– Musisz podjąć decyzję. Teraz – powiedziała Ajala.

Miały rację, jak zwykle. Kobiety mają bardziej wrażliwy instynkt w sprawach życiowych, tego, co należy zrobić. Zwinąłem się w kłębek i rozmyślałem. Przeżyłem chwilę niezwyklej jasności umysłu. Nagle zrozumiałem, że zawsze, nieomal przez całe życie, podejmowałem decyzje negatywne. Taki pokręcony sposób. Zawsze świetnie wiem, czego NIE chcę zrobić. Co mnie bardziej *przeraza*, i odpycha. Powoli i nieodczuwalnie, ze wszystkich tych negacji, odmów, sprzeciwów i konfliktów powstał we mnie ktoś inny, obcy i nielubiany. Nagle pojąłem wszystko: jestem więźniem samego siebie. Nie mogłem zrozumieć, jak mogło to spotkać kogoś takiego jak ja, kogoś, kto bezustannie ogłasza, że poddaje się próbom, w każdym momencie. Że jest najsurowszym swoim krytykiem. Jak powstał ten błąd? Odrzuciłem koc. Wstałem i zadzwoniłem do domu, w nadziei, że odbierze moja matka, a nie pielęgniarka.

Odebrała matka. Powiedziała „halo”. Kto nie słyszał jej „halo”, nic nie rozumie. Strach w głosie. Poczucie porażki w chwili, gdy rozległ się dzwonek. Halo, witaj moje nieszczęście, pograź mnie wreszcie. Od lat czekam i wiem, że nadejdiesz. Nie mam siły czekać dalej. Chodź, świecie, stań się realny, uderz. Czasem sam cios jest lżejszy od oczekiwania. Halo.

Słuchałem, jak mówi „halo” jeszcze kilka razy, coraz ostrzejszym i bardziej wylęknionym tonem. Przypomniałem sobie, jak przestraszonym

szeptem spierali się z ojcem, kto podejdzie otworzyć, gdy rozległo się pukanie do drzwi (raz do roku). Słuchałem jej. Przecież bali się nawet być ze mną. Zawsze starali się nie przebywać w towarzystwie urojonego spełnienia wszystkich swych nadziei. Halo, halo, halo, mamó. To ja, dziecko, które staraliście się kochać z całej siły, łatwo i radośnie, lecz nie odważyliście się zrobić w jego stronę najmniejszego gestu, aby nie skusić losu. Halo. Odłożyłem słuchawkę. Powiedziałem Rut i Ajali, że mają rację. Zrobię wszystko, żeby się jakoś od tego uwolnić. Jeszcze w tym samym tygodniu pojechaliśmy z Rut wynająć pokój w Tel Awiwie. Bez telefonu. Chciałem się znaleźć daleko, odcięty od wszystkiego. W Tel Awiwie istnieje nadzieja, że może jednak Ajala spędzi ze mną choć jedną noc. Nie żądam niczego więcej. Ale nie przychodzi. Spisałem tam po raz szósty i ostatni historię opowiedzianą przez Anszela Wassermana Niemcowi nazwiskiem Neigel.

Zaraz. Idą do mnie. Trzech wędkarzy z końca falochronu. Zwaliści, wąsaci, wygrażają mi z daleka pięściami. Mnie? Co? Żebym stąd poszedł? Co wam zrobiłem? Przynoszę pecha? Ja?! Słowo daję, zwariowali. Ich twarze wykrzywia wściekłość. Nie udaje mi się zrozumieć, co mówią. Rozumiem, że są źli. Trudno się pomylić. Mimo wszystko nie ruszę się. To wolny kraj, rozumiecie? Hej! Nie dotykaj mnie, idioto! Puść! Ratunku! Ra...

Z satysfakcją zacierają ręce. Spluwają na mnie do wody. Wracają krokiem zwycięzców na swoje miejsca na falochronie. O dziwo, woda wcale nie jest zimna. Na zewnątrz było mi o wiele chłodniej. Kołyszę się tu i tam w delikatnych falach. Jestem kulą wodorostów. Czekam, trochę przestraszony. Od powrotu z Narwi nie odważyłem się zanurzyć nawet stopy. Ale cóż to? Wędkarze krzyczą z radości. W świetle księżycy widzę, jak ich wędki uginają się pod ciężarem. Nagle – wokół moich bioder powstaje gładka lepkość. Okręciła się wokół mnie i znikła. Morze wzburzyło się i uspokoiło, zaczęło mnie głaskać, wysyłając wesołe fale...

– Witaj, Neumann.

– Witaj.

– Jaki mały jest ten świat!

## 8

Jak to się zaczęło – Bruno nie wiedział. Może kiedy spał albo w porze *gioja* na urodzajnym żerowisku, na Morzu Północnym, niedaleko Orkadów. Najwyraźniej nastąpiło to tam, bo gdy wyruszyli na południe, porzucając brzegi Szkocji, zaczęły go kołysać delikatne, lecz zdecydowane drobne fale, sprawiając, że opuścił swoje miejsce w ławicy obok Jorika. Przeniosły go sprawnie i bezgłośnie, niczym uczestnicy procesji niosący cenny ciężar, z dala od Jorika, setki ryb dalej, i zniknęły, pozostawiwszy w całkiem nowym i nieznanym miejscu. Usłyszał silny puls *ning* bijący w nim intensywnie.

Przez pewien czas płynął w spokoju. Przyzwyczajał się do mocniejszego, powolnego rytmu i do nowego, nieco przerażającego uczucia, którego doznawał na widok obcych ryb i obcego miejsca. Z wielkim wysiłkiem panował nad drżeniem płetw i starał się utrzymać w nowym porządku, do którego się jeszcze nie przyzwyczał. Po kilku godzinach wysiłku odważył się spojrzeć w stronę morza. Po raz pierwszy, odkąd rzucił się do wody w gdańskim porcie, ujrzał Laprika.

Był to największy losoś, jakiego Bruno w życiu widział. Mierzył około stu dwudziestu centymetrów i z pewnością dorównywał wagą Brunonowi. Jego skóra miała różowawy odcień, intensywniejszy niż skóra innych ryb. Nad prawym okiem widniała jasnoróżowa plamka. Poruszał się oszczędnie, a zarazem z żywotnością i siłą. Na czubku dolnej szczęki sterczał mu kostny wyrostek, twardy i czerwony, niczym zdecydowany znak zapytania. Bruno przełknął ślinę i płynął dalej. Jego mięśnie zaczęły przywykać do nowej sytuacji. Nasłuchiwał *ning* rozbrzmiewającej w uszach i w sercu, i zauważył, że wydaje się trochę słabsza i że chyba dołączyło do niej jeszcze jedno echo. Posuwał się szybko naprzód, jego myśli wylewały się do morza, i tylko poczucie własnej

żywotności zaostrzyło się, jak odsłonięta kość. Ryby wokół zaczęły nagle zwalniać, on także zwolnił razem z nimi. Przez organizm ławicy przepływały dziwne prądy. Dało się zauważyć, że inna ryba wysłała nowy impuls *ning*. Bruno doskonale pamiętał Guruka, który niedaleko Wysp Szetlandzkich poprowadził na zgubę jedną czwartą ławicy. Wystraszony uniósł głowę, szukając Jorika. Ale nigdzie nie było widać małej ryby. Zaniepokojony Bruno rozglądał się, usiłując rozpoznać rybę, która podważała autorytet Laprika. Uderzenia nie dobiegały od strony ładu. Od strony morza nie było żadnej innej ryby poza Laprikiem. Coś przedziwnego.

Ławica zatrzymała się i zaczęła zataczać kręgi. Ryby pływały szybko w kółko, patrząc przed siebie niewidzącymi oczami. Wokół Brunona i Laprika powstała niewielka pusta przestrzeń. Nowy *ning* rozbrzmiewał tu z całą mocą. Bruno widział tysiące pysków, szybko otwierających się i zamykających. Dalej – dziesiątki tysięcy płetw grzbietowych, napiętych i zielonych. Nadal unosili się z Laprikiem równolegle, ciało przy ciele. Kątem oka Bruno ujrzał, że linia na boku ryby nagle zaczęła się zaznaczać wyraźniej.

Przeszył go ostry lęk: to on wydaje nowe *ning*. To on współzawodniczy z Laprikiem. Ale po co? Przecież nie wierzy, że potrafi poprowadzić ławicę lepiej niż Laprik. Nawet tego nie chce! Po co mu to? Zwrócił się zdumiony do Laprika, jakby chcąc coś wyjaśnić. Ten także przysunął się do niego. Krąg ryb nie poszerzył się ani o włos. Bruno nasłuchiwał z uniesieniem swojego *ning*. Szybkie, pewne uderzenia. Niepodobne do chorego, oszalałego tętnienia Guruka. Zanurzył głowę i słuchał przez dłuższy czas. Tak podobne do *ning* Laprika, bo przecież bez niego nigdy nie zdołałby dosłyszeć siebie. Było to niewytłumaczalne uczucie, jakiego doświadczamy w mgnieniu oka przed śmiertelną walką. Ale to przecież Laprik zabrał go ze sobą i uczynił artystą życia. Nie rozumie tylko, dlaczego mają ze sobą wal...

Woda zabulgotała, wzburzyła się. Rzucili się na siebie niczym w lustrzanym odbiciu. Zderzyli się głowami, cofnęli i znowu wściekle zaatakowali. Gładkie, elastyczne ciało ryby owinęło się wokół piersi i bioder Brunona. Mocne zęby zatopiły się w jego ramieniu. Zanurkował z jękiem, strząsając z siebie

Laprika. Słaby i na wpół omdlały zanurzał się coraz głębiej, aż do miejsca, w którym nie było już nawet światła; tam roztopiały się i zniknęły promienie niosące czerwoną barwę. Bruno spojrzął i wpadł w panikę na widok krwi, płynącej z rany na ramieniu. Wydawało mu się, że jest zielona. Strach go uratował. Rzucił się do góry, zaskakując nieprzygotowanego Laprika, i zaatakował go z ogromną siłą, wyprostowanymi rękami uderzając z obu stron rybiej głowy. Laprik przez chwilę nie poruszał się, jakby nic się nie stało. Potem osunął się i zniknął pod wodą. Bruno obrócił się podejrzliwie, zanurkował, ale nie znalazł swego przeciwnika. Wynurzył się na powierzchnię bez tchu i pociemniało mu w oczach: Laprik rzucił się na niego, ciężki niczym wieloryb, uderzając go w pierś. Brunonowi zapało dech. Krew tętniła mu w żyłach i napłynęła do oczu. Odruchowo rzucił się naprzód, bijąc na oślep rękami w wodzie i w powietrzu. Nigdy wcześniej nikogo nie uderzył. Przeraziła go fala agresji, która zalała go całego. Ten strach należał do Brunona-człowieka, a Bruno-ryba zachłysnął się krwią zmieszaną z wodą, czerpiąc z tego przyjemność, i nie przestawał rzucać się na Laprika. Splatali się ze sobą, szybcy i śmiali, mieszanina ostrych zębów, szorujących bocznych płetw i cichej wrogości, całkiem niemej, bo także Bruno nie zakłócał ciszy, walczył bezgłośnie, jak ryba. Stracił rachubę czasu. Czas mierzył serią kolejnych ataków i jękami bólu. Był cały pokaleczony: ugryzienia Laprika pozostawiły głębokie, ziejące rany w klatce piersiowej i po obu stronach szyi. Widział jednak, że także wielka ryba powoli słabnie, jej ataki są coraz mniej precyzyjne, traci żywotność. Nagle Bruno cofnął się. Przejrzał na oczy, a jego umysł rozjarzył się światłem jak muszla: walczy z Laprikiem, bo nie może żyć pośród tłumu, nawet tłumu pozbawionego podłości i nienawiści, nawet w rytm *ning* Laprika. Nie chce jednak być adiutantem śmierci. Oślepiony Laprik unosił się naprzeciw, starając się zachować rytm swojego *ning*, wypluwając z pyska strzęp ciała, pochodzący z ramienia Brunona, ale Bruno wycofał się. Ryby rozsunęły się, tworząc wąskie przejście. Nie: nie chce przewodzić. Nie chce nikomu przewodzić. Żaden człowiek nie jest godzien kierować innymi. Jak blisko zbrodni się znalazł! Szybko popłynął wstecz. Jego *ning* kieruje się do ławicy złożonej z jednego

osobnika. To jego wyjątkowy, sekretny język. Tylko tak może powiedzieć „ja”, aby nie odpowiedziało pustym, metalicznym echem dźwiękiem słowa „my”. Bruno minął szeregi ryb i dysząc ciężko, zatrzymał się poza ławicą. Ryby odwróciły się i patrzyły na niego bez wyrazu. Tak trwali dłuższy czas. Tymczasem Laprik doszedł trochę do siebie. Echo jego *ning* stało się silniejsze i zaczęło docierać do Brunona, ale nie wdzierало się już do jego wnętrza. Ławica powoli ruszyła naprzód. Zaczęła płynąć w drogę bez niego. Na jedną, jedyną chwilę Brunona ogarnął dawny lęk. Ale była to tylko kwestia przyzwyczajenia.

Ławica mijała go. Przez kilka godzin w powolnym rytmie przepływały obok niego setki tysięcy łososi. Czekał bez ruchu. Spośród nich znał tylko Jorika, ale po kilku minutach przestał dostrzegać ryby, widział tylko duże, złożone komórki, różne od niego, od jego poprzedniego ciała. Wszystko, co do niego należało, przepłynęło mu przed oczami, całe jego życie, wszystkie wspomnienia, okruchy przeszłości. Pozostał tak na miejscu jeszcze przez jakąś godzinę po tym, jak minęły go ostatnie łososie. Głęboko zamyślony i pełen smutku z powodu rozstania z dawnym sobą. Od tej chwili – wszystko, co zrobi, o czym pomyśli, co stworzy, słusznie będzie należało do niego. Na odległym horyzoncie widział ostatnie wyciągnięte płetwy. Niedługo dotrą do wielkich wodospadów na rzece Spey. Będą skakać kilka metrów w górę w rwącym prądzie, spadać do wody i wyskakiwać z powrotem. Ryby, które pokonają rzeczne progi, dotrą u kresu sił do niewielkiego potoku, w którym przyszły na świat rok wcześniej. Przez kilka dni będą odpoczywać jedna przy drugiej, śmiertelnie znużone, wychudzone, wymęczone do cna. Nad nimi będą krążyć drapieżne ptaki. Woda pociemnieje od ich cieni. W ciągu kilku dni łososiom wyrosną twarde wyrostki i dodatkowe zęby. Wtedy rozpoczną się krwawe zmagania o samice i terytoria godowe. Te, które przetrwają, zapłodnią złożoną ikrę i umrą. Bruno wiedział: słaby Jorik nie zdoła pokonać nawet wodospadów. Laprikowi się to uda, ale będzie zbyt osłabiony, by walczyć z młodszymi samcami. W ciągu kilku godzin rzekę Spey zapełnią poszarpane, okaleczone truchła łososi. Całe okrucieństwo ich podróży wybuchnie nagle, zapisując się w ich ciałach. Drapieżne ptaki ogołocą je doszczętnie.

Bruno został sam. Stary rekin, płynący śladem ławicy, zatrzymał się w połowie drogi. Patrzył na odpływające ryby i na dziwne stworzenie, wydzielające woń krwi, zdające się szczególnie łatwym łupem. Postanowił wziąć to, co najlepsze, z obu światów. Zanurkował energicznie i zniknął pod wodą. Na powierzchni pojawiła się wąska bruzda, biegnąca szybko w kierunku Brunona, który niczego nie zauważył.

Tylko że wtedy wydarzyło się coś dziwnego: coś trudnego do wytłumaczenia, budzącego wielkie zakłopotanie wśród kronikarzy morza, w kręgach konserwatywnych dziej opisów wodnej historii. Nagle w niepojęty sposób coś z wielką mocą wyrzuciło rekina do góry, jakby był wielką latającą rybą. Machał żałośnie i bezsilnie wielkimi płetwami, wydmuchując powietrze groteskowym nosem, pyskiem w kształcie młota, a potem wylądował daleko, daleko, na swoim zwykłym miejscu, na końcu ogromnej ławicy.

Woda bulgotała jeszcze przez chwilę. Brunonowi wydawało się, że słyszy dziwny odgłos, jakby otrzepywania rąk. Jak kiedy ktoś spuści ze schodów natręta. Małe fale, znajdujące się najbliżej miejsca, z którego wyleciał w górę rekin, z pewnym zdziwieniem usłyszały mamrotanie, brzmiące jak wyjątkowo soczyste i wściekłe przekleństwa. Wolały jednak nie dawać wiary, że wydobyły się one z delikatnych ust ich pani. Zaczęły się ze sobą przekomarzać z łobuzerską, nieszkodliwą radością, opowiadały rozmaite historyjki o przygodzie rekina, rozprawiały podekscytowane o dawnych parowcach, nawigacji z lotu ptaków, rozmaitych środkach na chorobę morską... jednym słowem: zmieniły temat.

– Pięknie to opowiedziałeś, Neumann.

– Staram się.

– Oprócz tych przekleństw na końcu. Wiesz, że nigdy nie mówię nic podobnego.

– To rekin przeklinał!

– On? Przecież on nie potrafi... faktycznie. Teraz sobie przypominam.

Rekiny młoty słyną ze skandalicznego języka.

Po chwili milczenia:



- Miły jesteś. Zmieniłeś się trochę od tamtej pory.
- Chcesz posłuchać zakończenia?
- Nie zmieniłeś się.
- Odpowiedz, proszę.
- Opowiadaj, opowiadaj. Nie przeszkadzaj sobie. Ja i tak nie słucham...

Chwileczkę! Zapomniałeś! Zapomniałeś o najważniejszym!

- Ja? O czym za...
- Bruno! Rany! Nie pamiętasz? Proszę, proszę, musisz sobie przy...
- Oczywiście. Jak mogłem zapomnieć. Masz rację. Posłuchaj:

...powoli dryfował Bruno po wodach Morza Północnego. Należało do niego, od horyzontu po horyzont, lecz o tym nie wiedział. Woda pieściła jego rany. W mrocznych laboratoriach morza trudziły się ryby o surowym spojrzeniu, starając się wyprodukować specjalne lecznicze płyny. Fale, wezwane na gwałt z Morza Kaspijskiego, przybyły bez tchu, spienione po podróży przez otchłanie zamkniętych śródlądowych jezior. Przebyły jak najszybciej koryta podziemnych rzek i dotarły zdrożone na miejsce, aby pozwolić się zranić w dobrej sprawie i wytworzyć rzadkie sole, przyśpieszające gojenie ran. Wodorosty, które wrywał po drodze, pozornie przypadkiem, unosiły się przez chwilę wokół niego, pokrywając go cudownymi leczniczymi substancjami i płynęły dalej, ciesząc się z jej radości. Pozostały tylko dwie rany. Dwa wąskie otwory po bokach szyi. Właściwie – nie były to wcale rany, lecz niewielkie szczeliny. Czyli po prostu skrzela.

...powoli płynął Bruno przez Morze Północne, teraz całkowicie zanurzając głowę w wodzie. Nie musiał wdychać powietrza. Spoglądał w głębinę: fale wygładziły soczewki jego oczu, aż stały się idealnie przystosowane do patrzenia pod wodą. Wszystko stało się faliste. Załamujące się barwy wyginają się miękko, ukazując setki tysięcy wyhaftowanych na nich subtelnych odcieni, rozszczepiają się w zachodzących na siebie falach jak wodna harfa, której struny, splecione w ogromną kolebkę, kołyszą się w rytm morskiego czasu. Ręka może pozostawić ślad na fali w miejscu, gdzie już jej nie ma, w miejscu,

gdzie nigdy jej nie było. Morze uniesie na chwilę zarysy ciała i przyniesie je z powrotem, albo i nie. Kontury są złagodzone i miękkie, poddane uspokajającemu szumowi fal, drzemce oddychającego przez sen morza, ślizgającego się powoli po zrębach podwodnych skał, które na stronicach swych wodnych snów prowadzi rachunki z tymi, którzy się do niego wdarli. Tym, którzy z dumą przekroczyli granice. Zawsze pomiędzy fal wyłania się więcej mew, niż zanurkowało. Te nowe są jakby cięższe, przesiąknięte ciężarem morza, mienia się przejrzystością jego kolorami, rozkładają skrzydła. Bruno dryfuje tu i tam...

Nie odpowiada. Powierzchnia wody całkiem się wygładziła, tylko co kilka sekund marszczy się w rozkosznym chrapnięciu. Oglądam się za siebie i widzę, że falochron opustoszał. Został tylko jeden wędkarz. Wysoki i masywny niczym latarnia morska. W ciemności żarzy się koniuszek jego papierosa. Głaszczę ją po policzku ostrożnie i nieśmiało. Niebawem nadejdzie świt. Musimy się pośpieszyć, żeby *zdążyć* dokończyć opowieść o naszym pierwszym spotkaniu w Narwi. O darze, który dostałem od Brunona. O wyroku, który na mnie wydał.

To upojenie, Bruno. Rozszerza się serce, tętni krew – domyślam się tego uczucia. Mogę zgadywać, co czułeś, kiedy ławica popłynęła w swoją stronę i zostawiła cię samego, zwycięskiego. Jedyne człowiek w oceanie. Zazdroszczę ci i jestem z ciebie dumny. Co innego może zrobić słaby śmiertelnik niż postanowić o własnym losie? (Potrafię wypowiedzieć te słowa z tak głębokim wewnętrznym przekonaniem, że wydają się szczerze). Desperacka decyzja, którą nieliczni mają okazję podjąć. Ale jej urzeczywistnienie już ciebie, Bruno, nie interesuje: należy do innej domeny. Do świata, w którym wypowiadamy się w liczbie mnogiej, ważymy ludzi na blaszanych szalkach: „Mój Żyd za twojego Żyda”, „Z moich obliczeń wynika, że zabiłem tylko dwa i pół miliona” i tym podobne. Nawet liczba podwójna była dla ciebie zbyt mnoga, a naprawdę istotne rzeczy można wyrazić chyba tylko w liczbie pojedynczej. Stałeś się łososiem. Zerwałeś wszystko, co do ciebie przylgnęło, aż przytknąłeś palec do otworu w żyle, przez który wycieka życie. Sedno abstrakcyjnego istnienia, ukryty impuls życia

zamieniłeś swą wędrówką w linię geometryczną, którą można prześledzić na mapie palcem i okiem. Wiesz także, co czuję do ciebie. Inaczej nigdy bym się nie znalazł tu, w Narwi, nie wyteżałbym mózgu do granicy szaleństwa...

Dlatego, ze względu na to wszystko, co nastąpiło między nami ostatnio, żądam szybkiej odpowiedzi, natychmiastowej: zanegowania czegoś, co usłyszałem przed chwilą z jej ust. Zdania, które wyskoczyło, wyfrunęło niechcący, przypominającego kwaśne beknięcie dobiegające z głębin, i dotarło prosto do mojego pióra, które pisze za ciebie. Zapisałem te słowa, a potem przeczytałem je ze zdumieniem: „Bruno, śmiertelny, przebiegły wróg języka”. I dodała ze złośliwym śmiechem: „Bruno nihilista”.

Piszę teraz spokojnie i z rozważą: Bruno Schulz. Genialny architekt wyjątkowego doświadczenia językowego. Sekret jego magii polega na niezwyklej płodności, obfitości nieomal gnijącej od zbyt wielu słownych soków. Bruno, który potrafi powiedzieć jedną rzecz na dziesięć sposobów, a wszystkie są precyzyjne niczym igła kompasu. Don Juan spółkujący z językiem z dziką, lubieżną rozkoszą, śmiały podróżnik przemierzający bezkresne krainy języka... Czy to możliwe, że dotarłeś niegdyś do granic tego świata, do miejsca, w którym ty, nawet ty, kręciłeś się jak wariat po plaży i nabrzeżach? Nie znajdowałeś odpowiednich statków słów do dalszego rejsu ku zamglonemu horyzontowi? Czy to możliwe, że twoim ostatnim brzegiem był gdański port w roku czterdziestym drugim? Odpowiedz szczerze. Nie zniosę wykrętów: czy kiedy stałeś na końcu pomostu, zdyszany, nieprzytomny, z pianą na wargach, i obejrzałeś się na fantastyczną topografię, którą umieściłeś między sobą a resztą stworzeń na świecie – wszystkie te kręte kanały i ogromne bryły zastygłej lawy, które ociosywałeś zwykłym piórem, w zwykłym szkolnym zeszycie – czy zaśmiałeś się wtedy tryumfująco, z ulgą, bo udało ci się wyprowadzić nas wszystkich w pole? Poprowadziłeś nas niewłaściwą ścieżką przez skomplikowane labirynty, uśmiercając przy tym z niezrozumiałą przebiegłością sam ludzki język?

Nie odpowiadasz. Ona także milczy. To nie jest zwykłe milczenie: raczej powstrzymanie się od odpowiedzi.

Kładę zeszyt i pióro na plaży, przyciskam je kamieniem, żeby nie uniósł

ich wiatr, i wchodzę do wody. Zanurzam się z głową, słona woda szczypie mnie w otwarte oczy, staram się zobaczyć cię z innej perspektywy. W tańczącym, nieuchwytnym świetle. Podwodnym świetle.

Zastanawiam się: czy oskarżyć cię o jedyną w swoim rodzaju zdradę? Czy wolno mi napisać, że ze szczególnego, aromatycznego połączenia twojej rozpacz i talentu z ludzkim językiem narodziło się jedno z najbardziej spektakularnych oszustw kultury i literatury? Wszyscy byliśmy w błędzie, nie rozumieliśmy tego.

Piszę palcem na wodzie: czy w imię tego oszustwa zapłodniłeś język swoją sperma, aż rozrósł się ponad wszelką miarę, dodałeś mu kolejne podbródki i zwielokrotniłeś krwiobieg, stworzyłeś siedem serc, pompujących przeciwne strumienie krwi, dodatkowe układy nerwowe, aż stracił zmysły z powodu patologicznej nadwrażliwości?

Wpatruję się w wodę z konsternacją: litery unoszą się na falach, nie znikają. Piszę dalej: kiedy ten ogromny, chorobliwie napęczniały organizm języka zaczął padać pod własnym naporem, czy posunąłeś się jeszcze dalej i zamieniłeś talent w bakterię rozkładu, toczącą monstrualną padlinę? Przyglądam się wodnym literom, zastanawiając się, czy zmażą mój akt oskarżenia. Ale nie. Znowu zaczynam pisać: czy przyznasz się, Bruno, że z wiernego portrecisty języka zamieniłeś się w okrutnego karykaturzystę? Dlaczego? Dlaczego nam to zrobiłeś?

– Te pytania! Chciał znaleźć jeszcze bogatszy świat – odzywa się nagle, strasząc mnie jak zawsze nagłym wypadem naprzód, czyta zmęczona moje słowa, od razu je ścierając. Nie wymazuje ich jednak całkowicie, lecz wsuwa prędko między dwie cienkie bibułki przezroczystych fal, i ukrywa. Potem faluje sobie dalej, trochę niepewnie.

– Nie można z tobą rozmawiać o Brunonie – mówię surowo. – Nie chcesz słyszeć ani jednego złego słowa o nim.

– Pewnie powiesz, że jestem stronnicza – odpowiada, posyłając mi małą, zakreconą fale, błyskającą pod słońce. – Całkowicie się z tobą zgadzam, mój drogi. Bo ja, kochany, nie rezygnuję z prawa do ślepego zadurzenia, tak, by

stracić zmysły. Tak, tak – mówi, rozpościerając falisty welon, haftowany lazurem i srebrem, i płynie obok mnie w stronę plaży. – Miłość, która nie widzi wad i niedociągnięć, miłość bezwarunkowa, Neumann, o której pewnie wiele wiesz... z książek.

Pluska mi w twarz małą, dobrze osoloną falą.

Przełknąłem obelgę w milczeniu. Chciałem wyjaśnić ważniejsze sprawy, a pozostało mi tylko kilka godzin. Sołtys jedzie wieczorem do Gdańska wiekowym motocyklem z przyczepą i zgodził się mnie zabrać. Nazajutrz miałem się znaleźć w Warszawie, stamtąd – polecieć do Paryża, a stamtąd – do domu. Czas naglił, ale nie chciałem jej tego okazywać. Komentowałem widoki, architekturę prostego kościółka w Narwi, ciekawą konstrukcję wiejskich chat... ona była niespokojna. Coś się w niej gotowało. Czekałem cierpliwie. Przewróciłem się na plecy i zacząłem płynąć, pogwizdując cichutko, nasłuchując, co się dzieje.

W wodzie pojawiły się przezroczyste, lepkie nitki, dziwne grudki, ślina wściekłości i wstydu. Potem nagle wyrosła pode mną wielka fala, która wygięła się – i wyrzuciła mnie na sporą odległość. Od razu znalazła się przy mnie.

– Masz rację. Po stokroć masz rację. Niech cię diabli, za każdym razem potrafisz sprawić mi przykrość. On naprawdę chciał zamordować język. Chciał doprowadzić do momentu, w którym stęchnie, ach – będzie obrzydliwy od nadmiaru słodyczy – to znaczy – (oczywiście, próbowała go cytować, sądząc, że tego nie zauważę. Głupia krowa! Nie znałem tego cytatu, ale to oczywiste, że nie zdołałaby stworzyć podobnego zdania. Kto wie, ile setek przedziwnych, pięknych zdań ukrywa przede mną w swoich czeluściach).

– Tysiące – poprawiła mnie z lekkim, złośliwym uśmiechem. I ciągnęła: – Już w dzieciństwie Bruno to zrozumiał. Najbardziej tęsknił nie za innym światem, lecz za całkiem innym językiem, w którym mógłby ten świat opisać, bo już wtedy, na długo przedtem, zanim do mnie przyszedł, czuł instynktownie... wiedział, tak...

– Co wiedział? Co czuł?

Odwraca się na plecy, prychając niewielką fontanną wody, i okraża mnie

z rosnącą prędkością. Wbijam wzrok w wodę, żeby nie zakreśliło mi się w głowie.

– W getcie w Drohobyczu – recytuje, wirując – Bruno pracował w domu esesmana, który nazywał się Landau. Ten człowiek miał wroga, także esesmana, nazwiskiem Gunther. Pewnego dnia Gunther strzelił do Brunona, a potem poszedł do Landaua i powiedział „Zabiłem twójego...”. Śmiga wokół mnie, tworząc wydrażony snop, zasysający mnie do środka. Wszystkie moje myśli wpływają do niej. Opadam bezwolnie w głąb. Mam tylko czas, aby się zastanowić, że może to jedyne możliwe wytłumaczenie. Bruno, tak nadwrażliwy, przeczuł wszystko na wiele lat przedtem, zanim się wydarzyło. Może właśnie dlatego zaczął pisać. Ćwiczył w oczekiwaniu na nowy język i nową gramatykę. Znał człowieka i wiedział, słyszał złośliwe szepty na wiele lat przedtem, zanim inni je usłyszeli. Zawsze był słabszym ogniwem. Tak: wiedział, że język, w którym można wypowiedzieć zdanie „zabiłem twójego Żyda, a teraz zabiję...” i tym podobne, język, w którym takie połączenia słów nie są wewnętrznie sprzeczne, nie zamieniają się w truciznę ani w duszący skurcz w gardle mówiącego – to nie jest język żywych. Jest nieludzki i niemoralny. Być może to język, przyniesiony tu wiele lat temu przez podłych zdrajców. Jedyńm jego celem jest uśmiercanie.

– Nie tylko język – mówi mimochodem, półgębkiem, a ja zatrzymuję się nagle podczas upadku w dół, hamuję z piskiem opon, wylatuję do góry w zimnej, gwałtownej fontannie. – Nie tylko język – szepcze, pozostawiając mnie na chwilę wymachującego rękami i nogami na szczycie wielkiego strumienia. Potem bierze mnie z nieskończoną łagodnością w swe krągłe ramiona, upstrzone jak piegami drobinkami piasku i plamkami słońca. – Bruno chciał zmienić świat. Wszystko, co tkwi w zasadach, zwyczajach i konwencjach. Wszystko, co ze swej natury należy do sztywnych, ustalonych, martwych systemów... Ach, mój Bruno... ten nihilista. – Nagle przerywa i oddala się ode mnie z dziwnym pośpiechem, z uniesioną wysoko głową, ciągnąc za sobą dwie wyjątkowo słone bruzdy.

Zerwałem się i popędziłem za nią. Złapałem ją za kark i szepnąłem żarliwie:

– *Mesjasz. Mesjasz*, tu i teraz. W tej chwili! Bo jak nie...

Popatrzyła na mnie wystraszona i uśmiechnęła się niepewnie. Cała jej arogancja stopniała w obliczu pulsującego we mnie gniewu.

– Dobrze, dobrze – mruknęła. – Ale wiedz, że nie ze względu na twoje niemądre gierki. Po prostu wiem, że ty także bardzo go kochasz. Tak. – Od razu, jak ktoś, kto rozrywa bochen chleba palcami, otworzyła pode mną głęboką i wąską otchłań. Dałem nurka i spadałem w dół nieskończenie długo, aż wylądowałem z łoskotem na gęstej, ciemnej warstwie wody. Błądziłem, oszołomiony, potykając się, w tumanach przedpotopowego mułu, po ogromnych podwodnych dżunglach. Biegałem po rozgałęziających się ścieżkach, obrzeżonych gęstymi, ponurymi zaroślami, na których rosły wielkie, zasuszone owoce nigdy niewykorzystanych myśli. Gigantyczne paprocie szkiców, których wzrost zatrzymał się w połowie, kiście ludowych podań bajecznych ludów. Torowałem sobie drogę wśród na wpół przezroczystego listowia, gęstego do granic uduszenia. Zaglądałem tu i tam, a po chwili krzyknąłem straszliwym głosem, że to nie najważniejsze rzeczy, to jeszcze nie TA książka, autentyczny utwór, napisany z naturalną wielkością samego życia, naturalną głębią życia, jego złożonością i precyzją. Nie, to jednorazowe olśnienie epoki geniuszu, do której mój Bruno zabłądził w dzieciństwie, pewnej szalonej wiosny, na długo przedtem, zanim świat zaczął się wykrzywiać i zastygać bez życia...

Ryknęła z wściekłością.

– Dosyć!! – wrzasnęła, rozpościerając przede mną cienkie zielone nitki wodorostów. – Dość tego myszkowania i dręczenia mnie!

– Prawdę! – krzyknąłem. – To, co ON ci pozostawił! Swąd spalenizny! Jedyne zdanie, jakie zdołał powiedzieć w swoim własnym języku. Zdanie, którego nikt mu nie odbierze. Daj mi przynajmniej chwile, które nastąpiły przed tym genialnym zdaniem, którego nigdy nie zrozumieć. Chcę dostać od ciebie wielką tajemnicę. Tym razem nie zadowolę się niczym innym!

Jęczy i prychnęła, udając, że wypluwa mnie z siebie. Stara się mnie wystraszyć sylwetkami rekinów, które stwarza dookoła ze zmarszczek na swojej skórze, albo przerażającymi odgłosami, wulgarnie puszczając gazy Cieśniną

Gibraltarską. Nie mam nic do stracenia. Biję ją rękami i nogami.

– Daj książkę! – wołam przez wzburzone masy wody. – Ostatni wniosek, sedno naszej egzystencji!

Ona szlocha, wali głową o skały, rozbijając je niczym skorupki jajek, drapie się do bólu o podobne do szkieletów wraki zatopionych okrętów, wpycha wodny palec głęboko do gardła i wymiotuje falami pełnymi martwych ryb i kawałków na wpół przetrawionych statków. Potem zbiera się w sobie, w jednej chwili przyciąga wszystkie wodne spódnice i tysiące majtek, ukazując zdumionemu słońcu nagie kontynenty, jałowe przestrzenie skamieniałego mułu. Przez chwilę wszyscy unosimy się w powietrzu – ryby, krewetki, sieci, żaglowce, łodzie podwodne, topielcy, muszle, starożytne pirackie szable i butelki z listami, wysłane przez ocalałych rozbitków, którzy dawno temu umarli na swoich bezludnych wyspach. Po chwili woda bucha ponownie ze straszliwym rykiem, zalewając zatopione łady, rozrabiając na błoto pył najdawniejszych wspomnień, odsłaniając powoli ogromny zielony tom, unoszący się samotnie w głębinach, oświetlony nielicznymi promieniami słońca, migoczący tysiącami banieczek powietrza, zbierającymi się na brzegach. Zamyślony, ascetyczny tom, przerażający ławice ryb, które szybko uciekają. Nie wiedząc, co robię, unosząc się nad nim, śmiejąc się i płacząc, czytam z wysiłkiem tytuł, zapisany tkaniną gęstych zielonych wodorostów: *Mesjasz*.

„W same święta wielkanocne, z końcem marca lub z początkiem kwietnia, wychodził Szloma, syn Tobiasza, z więzienia, do którego zamykano go na zimę, po awanturach i szaleństwach lata i jesieni”. W tym samym roku, w którym wydarzyły się opowiedziane tu wypadki, młody Bruno wyjrzał przez okno w chwili, gdy zwolniony przestępca wyszedł od fryzjera i stanął na skraju placu Świętej Trójcy. Ruchem ręki Bruno zaprosił do siebie starego przyjaciela, (nikogo nie ma, Szloma!), aby pokazać mu swoje rysunki, dzieło genialnej epoki, tej pustki, przerwy w czasie największej nudy i rutyny. W ciągu kilku cudownych dni udało się małemu Brunonowi przerwać pędzlem skuwające nas żelazne obręcze. Wytoczył drogę fali światła, pierwszego obłąkanego rozkwitu...

Umyty, ogolony i pachnący przyglądał się były więzień rysunkom, które



położył przed nim podekscytowany jego młody przyjaciel.

„Można by powiedzieć – oznajmił w końcu Szloma, po długiej, uważnej obserwacji – że świat przeszedł przez twoje ręce, ażeby się odnowić, ażeby zlenić się i złuszczyć jak cudowna jaszczurka. O, czy myślisz – kontynuował – że byłbym kradł i popełniał tysiąc szaleństw, gdyby świat nie był tak bardzo się zużył i podupadł? ...Cóż można *począć* w takim świecie? Jak nie zwątpić, jak nie upaść na duchu, gdy wszystko jest zamknięte na głucho, zamurowane nad swoim sensem, i wszędzie tylko stukasz w cegłę, jak w ścianę więzienia? Ach, Bruno, powinienesz być wcześniej się urodzić”.

„Tobie, Szloma – powiedział Bruno – mogę zdradzić tajemnicę tych rysunków. Już od początku nachodziły mnie wątpliwości, czy jestem naprawdę ich autorem. Czasami wydają mi się mimowolnym plagiatem, czymś, co zostało mi podpowiedziane, podsunięte... Jak gdyby coś obcego posłużyło się mym natchnieniem dla nieznanych mi celów. Gdyż muszę ci wyznać... – dodał cicho, patrząc Szlomie w oczy – znalazłem Autentyk...”.

Tymi słowami przemawiał do mnie Bruno w opowiadaniu *Genialna epoka* w zbiorze *Sanatorium Pod Klepsydra*. Czym jednak był ten „Autentyk”, nigdy się nie dowiedziałem, ponieważ Szloma, syn Tuwii, niewolnik złych instynktów, a może także tchórz i zdrajca, wykorzystał okazję i – będąc sam na sam z małym Brunonem w pustym domu – ukradł korale służącej Adeli, jej sukienkę i buty, lakierki, które tak fascynowały Brunona („Czy rozumiesz potworny cynizm tego symbolu na nodze kobiety, prowokację jej rozwiązłego stapania na tych wymyślnych obcasach? Jakże mógłbym cię pozostawić pod władzą tego symbolu? Broń Boże, bym to miał uczynić...”).

Wszyscy utraciliśmy tę chwilę.

Byłem Szlomą, synem Tuwii.

Znowu.

Na jedną krótką chwilę zostałem wypuszczony z więzienia. Stałem „wyświeżony i odmłodzony [...] Zszedłszy ze schodków znalazłem się całkiem samotny na brzegu wielkiej pustej muszli placu, przez którą przepływał błękit nieba bez słońca. Ten wielki czysty plac leżał owego popołudnia jak bania, jak

nowy, niezaczęty jeszcze rok. Stałem na jego brzegu, całkiem szary i zgaszony, zawalony błękitami, i nie śmiałem łamać decyzją tej doskonałej kuli dnia niezużytego”.

Na hebrajski przetłumaczył to Joram Bronowski.

W jednym z okien dostrzegłem drobnego chłopca o z lekka trójkątnej głowie: szerokie i wysokie czoło, wąski podbródek. Z początku miałem wrażenie, że to ja odbijam się w szybie, ale nagle rozpoznałem Brunona, chudziutkiego, genialnego chłopaczka, zawsze pełnego pomysłów nieodpowiednich dla jego wieku.

Zawołał mnie i powiedział: „Jesteśmy teraz sami w całym rynku, ja i ty”.

Uśmiechnął się krzywo i dodał: „Jak pusty jest dziś świat. Moglibyśmy podzielić go i nazwać na nowo... Wejdz do mnie na chwilę, pokażę ci moje rysunki”. Nikogo nie ma w domu, Momik!

## 9

Kiedy wydostałem się z rozjarzonego kręgu placu Świętej Trójcy i wszedłem na ciemne podwórko domu Brunona, plac począł szybko zapełniać się ludźmi. Poczułem, jakbym swoim nadejściem dał znak rozpoczęcia przedstawienia, w którym bierze udział wielu aktorów.

– Popatrz – odezwał się Bruno, który stał przy oknie. – Tam są wszyscy.

Rzeczywiście tak było: wszyscy mieszkańcy miasteczka, nasi znajomi i krewni Brunona, uczniowie z jego klasy, profesorowie z gimnazjum, wśród których wyróżniali się dwaj nauczyciele rysunku – „długi” Chrzastowski i niziutki Adolf Arendt, rzucający na wszystkie strony metafizyczne uśmiechy, rozsiewający woń zagadki. Ujrzelśmy też skretyniałą Tłuję: mieszka w pokrzywach, sypia tam na trójnożnym łóżku między stertami śmieci. Oto wuj Hieronim: wysoki, o krogulczym nosie i groźnym wejrzeniu. Od czasu gdy Opatrzność łagodnie wyjęła z jego ręki ster statku życia, nie opuszczał swego alkierza; siedział tam wściekły i ponury, z dnia na dzień porastając coraz to niezwyklejszą peleryną zarostu, wiodąc milczącą, pełną nienawiści wojnę z mocarnym lwem, dostojnym niczym patriarcha, skrywającym się wśród palm na ogromnym gobelinie na ścianie domostwa wuja i zasuszonej ciotki Retycji. Byli tam dosłownie wszyscy: sąsiedzi z dziećmi i psami, którym zawiązali na szyjach odświętne wstążeczki. Mała, lecz hałaśliwa grupka subiektów z rodzinnego sklepu bławatnego podąża za piękną służącą Adela, stąpającą w nowiutkich lakierkach. Śpi nawet w ruchu, z wargami rozchylonymi lekko do namiętnego pocałunku, w odrobinę rozsuniętym szlafroku...

– Co się tu dzieje? – zapytałem Brunona. – Co oni świętują?

– Nadejście Mesjasza – odparł chłopiec i szybko nakreślił magiczny znak na szybie.

Blask się wzmagał. Był teraz oślepiająco jasny. Ludzie i zwierzęta promienieli wewnętrznym światłem, na przemian rozbłyskiwali i przygasali, jak podłączeni do jednego źródła energii, które nie zostało odpowiednio zainstalowane.

Przyjrzawszy się Brunonowi, nie miałem wątpliwości, że to on jest tym źródłem energii: na jego czole, zbyt szerokim jak na dziecko w tym wieku, wystąpiły żyły niczym przewody za mocno rozgrzanego pieca. Przez moment jego twarz zajaśniała intensywnym czerwonym blaskiem, chwilę później – gwałtownie zbladła. Jednocześnie zachodziły w nim inne zmiany. W pierwszej chwili nie mogłem pojąć, na czym polegają: w przerwach między rozjarzaniem się a przygasaniem Bruno przeskakiwał w przód i w tył w CZASIE: w jednej chwili był dorosłym mężczyzną, spalającym się w swej potężnej mocy, chwilę później wracał do postaci pełnego życia chłopca, usiłującego zatrzymać swoją pełnię w granicach kruchego ciała. Co dzieje się potem? Przecież on cofa się jeszcze dalej, do pulchnego niemowlęcia, do delikatnego i puchatego...

– Bruno! – krzyknąłem. – Opamiętaj się!

Spojrzał na mnie, jaśniejąc wielkim blaskiem, zdezorientowany nagłymi zmianami czasu, uśmiechnął się słabo i wzruszył ramionami, jakby mówiąc, że nie jest już w jego mocy zrobić cokolwiek.

W tej samej chwili na rynek wkroczył Mesjasz. Nadszedł od ulicy Samborskiej, po lewej, wąską uliczką między kościołem a domem Brunona. Nadjechał, jak zwykle, na małym szarym osiołku, ubłoconym po bezkresnej wędrówce. Zatrzymali się na skraju rynku, Mesjasz zsiadł. Zerknął szybko na Brunona, który odpowiedział lekkim skinieniem. Było to tak intymne porozumienie, że nawet ja, stojący tuż obok Brunona, nie zdołałem dojrzeć oblicza Mesjasza. Zobaczyłem, jak klepnął serdecznie dłonią zad osiołka, żeby zwierzę ruszyło dalej. I wtedy stało się coś dziwnego: sam Mesjasz postąpił krok w tył i zniknął!

Z nieopisanym rozczarowaniem spojrzałem na Brunona, lecz on się uśmiechał i oczami dał mi znak, abym przyjrzał się dokładnie placowi: osiołek przechodził między ludźmi i zwierzętami, nie zwracając niczyjej uwagi. Na rynku

i miejskich uliczkach osły były dość częstym zjawiskiem. Co prawda, w każdym miejscu, w którym machnął swoim krótkim ogonkiem, nagle coś się działo: ludzie jakby zastygali na chwilę na miejscu, potem otrząsali się i szli dalej obok siebie, gawędząc ze znajomymi. Ale widać było natychmiast, że jakby przecięto sznurki marionetek: wyraz zdumienia i dezorientacji pojawiał się na twarzach tych, w których kierunku osioł machnął ogonem. Spoglądali na siebie zdziwieni, jakby widzieli się po raz pierwszy. Płatały się im języki. Wydawało się, że się krztuszą, nie pamiętają nawet, jak się oddycha. Zwolnili też znacznie kroku: wydawało się, że co chwilę się potykają i słaniają. Ich ruchy stały się dziwnie niepewne, niezgrabne. Ludzie rozglądali się w poszukiwaniu pomocy, lecz nie byli w stanie wymówić zrozumiałych słów: z ich gardeł dobywały się tylko stłumione zwierzęce stęknięcia. Osioł szedł dalej miarowym krokiem. Połowa okrągłego placu pozostawała już we władzy czaru, rzucanego przez jego ogon. Druga połowa wciąż niczego nie podejrzewała. Po jednej stronie panowała cisza, powolne spazmy i pełne dezorientacji przebudzenie. Po drugiej stronie toczyło się wesołe i gwarne życie. Plac przypominał człowieka o częściowo sparaliżowanej twarzy, gdy tylko jedna połowa wyraża całą mimikę.

– Oni zapominają! – rozjarzył się mój Bruno. – Zapominają!

– Co zapominają? – zapytałem z lękiem, chociaż zacząłem odgadywać.

– Wszystko – odparł chłopiec, wciągając do wewnątrz policzki w wielkim podnieceniu. – Wszystko: język, którym mówili; swoich bliskich; minione chwile. Patrz!

Plac poruszał się w powolnym, nieprzytomnym tańcu. Ukończywszy zadanie, osioł wyszedł poza lśniące szklane akwarium, przystając na chwilę na skraju, i zanim zniknął w głębi uliczki, między dwoma rzędami ciasno stojących domów, wydał przedziwny, długi, radosny ryk.

Ryk był najwyraźniej znakiem: ludzie i zwierzęta na placu wrócili do życia, a ja odetchnąłem z ulgą. Okrągły plac przypominał trochę nowo narodzone dziecko, a ryk osła był jego pierwszym krzykiem. Natychmiast jednak moja radość minęła. Uznałem, że nie wierzę w to, co widzę; że to, co się dzieje, to kradzież umysłów, w najgłębszym znaczeniu tego słowa. Ale kto je kradnie?

Po co?

– Mama i ojciec – szepnął Bruno. – Popatrz na moich rodziców.

Jego zmarły ojciec i matka. Ojciec o głowie posępnego proroka, ascetyczny, pogrążony wiecznie w swoich wizjach, otrząsnął się nagle i spojrzął na swoją towarzyszkę, pulchną i okrągłą Henriette, którą z sympatią czule przezywano „pączuszką”. Chciał jej coś powiedzieć, ale jak wszyscy na placu nie był w stanie wydobyć z ust ani słowa.

– Nie, nie tak – żarliwie wyszeptał z daleka Bruno. – Przecież nie słowami...

Oni też się domyślili. Nie tylko oni. Na dole, na rynku, okazało się, że słowa stały się zbędne, niczym prymitywne narzędzia. Nieme uczucia rodziców Brunona zaczęły wzbierać niebezpiecznie, nie znajdując ujścia. Na ich twarzach malowały się niepokój i błaganie, wzajemne pragnienie, a na koniec – lęk i utrata. Trzymali się za ręce, i na krótką chwilę oddzielili od zamieszania panującego na placu, starając się wytyczyć wspólną drogę. Piersi matki podskakiwały tęsknie, ich ruchy jakby akcentowały nieukończony rym dawno zapomnianej piosenki. Z mózgu ojca promieniowały – niezauważone – obłąkańcze wizje, odzwierciedlające jego skomplikowaną duszę, odpryski próśb o pomoc i zrozumienie. Tym razem jednak Henrietta nie mogła mu pomóc. Uśmiechnęła się bezbronnym i zawstydzonym uśmiechem, odrobinę cofnęła, rozkładając przepaszając ramiona, po czym zniknęła w ciżbie. W tej samej chwili – wyczułem to doskonale nawet z miejsca przy oknie – pękła z jękiem niewidoczna nić, która najwyraźniej ich wiązała.

– Nigdy się nie rozumieli – powiedział Bruno ze smutkiem, spuszczać głowę. Po przeciwnej stronie placu, obok pomnika Adama Mickiewicza, działy się weselsze rzeczy: Edzio, młody kaleka, umiejętnie przemieszczający swe muskularne ciało o szczudłach, spotkał w końcu twarzą w twarz ponętą służącą Adelę. Silny Edzio, uwięziony przez większość czasu w domu przez okrutnych rodziców, którzy o zmroku zabierali mu szczudła; Edzio, który co noc włókł się jak pies pod zamknięte okno Adeli, przyciskał wykrzywioną twarz do szyby i obserwował, jak piękna służąca śpi z niezwykłym zapamiętaniem i

oddaniem, z rozrzuconymi rękami i nogami, naga, wydana na łup pluskiew, błądzi po bezdrożach snów... Widział ją, a ona, choć nigdy na jawie, widziała jego. Przebiegła między nimi krótka iskra, ogarnęło ich wstrząsające, nagłe drżenie, które odepchnęło nieco na bok tłoczących się ludzi. Stali tak i wpatrywali się w siebie. Na jedną, jedyną chwilę otworzyły się oczy Adeli: przysłaniająca Edzia zawsze biaława, cienka błona – jak na oku papugi – znikła na mgnienie: zabłysło jaskrawe światło niczym flesz aparatu fotograficznego. Zajrzała do wnętrza jego duszy i pojęła do głębi całą tragedię jego kalekiej egzystencji. Odczytała jednym spojrzeniem dzieje nocnych odwiedzin w jej snach i poczuła, jak kolumny pluskiew zamieniają się w pożądliwe palce między jej udami. Skrzywiła się z bólu i rozkoszy, i po raz pierwszy pozwoliła mu się w myślach pocałować. Głęboki, purpurowy rumieniec oblał całe jej ciało, kiedy zobaczyła, że mężczyzna nie rusza się z miejsca. Jej wargi pozostały rozchylone i wyczekujące, A jednak otrzymała pocałunek, namiętny i podniecający. Nigdy już nie zazna podobnego...

– Co się tam dzieje? – zapragnąłem się dowiedzieć. – Co im zrobiłeś, Bruno?

Spojrzał na mnie z lekkim rozczarowaniem.

– Nie widzisz? Nie rozumiesz? Nadszedł Mesjasz. Mój Mesjasz. A oni zapominają. Nie mogą już korzystać z niczego, czego używali w tym smutnym oszustwie, swym poprzednim życiu. Mają tylko to, co teraz – a przecież to i tak wystarczy z nawiązką – powiedział, wskazując ruchem brwi Edzia i Adelę, którzy choć otoczeni tłumem, byli od niego oderwani, sami ze sobą, spowici cienkimi nitkami blasku. – Stają się na powrót artystami, Szłoma, wielkimi twórcami! Olbrzymami wśród ludzi!

– Artystami? Widzę nieszczęśników, których świat rozleciał się na kawałki!

– To dlatego, że jeszcze nie zrozumieli, czego się od nich wymaga i do czego są zdolni – uspokoił mnie Bruno, który pływał po pokoju jak zwinna ryba, machając radośnie ogonem, przewracając się na grzbiet. Po chwili znowu stanął na nogach. – Twórczość w pełnym znaczeniu tego słowa. W pełnej ostrości. Oto

genialna epoka, o której zawsze marzyliśmy, ja w moich opowiadaniach, ty w więzieniu. Wkrótce zrozumiesz, że tysiące lat istnienia były zaledwie niezgrabnym szkicem, pierwszymi, pełnymi wahania, próbami ewolucji...

Grupy rozpadały się na najróżniejsze elementy: rodziny rozchodziły się ze zdziwieniem i lekkim ukłuciem smutku, nie rozumiejąc, dlaczego już nic nie trzyma ich razem, i czy możliwe, że nigdy czegoś takiego nie było. Dwaj szanowani nauczyciele rysunku, zagłębieni w ożywionej rozmowie o świetnym poecie Jachimowiczu, przerwali w połowie zdania: ich ręce kreśliły jeszcze skomplikowane esy-floresy argumentów. Zgasło wewnętrzne palenisko, rozpalające entuzjazm do wymawiania słów. Stali naprzeciw siebie, wpatrując się w zdumieniu w drżące spazmatycznie dłonie, potem bez żalu każdy poszedł w swoją stronę, starając się resztką dawnych sił przypomnieć sobie, czemu aż tak przejmował się zbiorem zapisanych słów i rymów.

– Nie mają literatury – promieniał Bruno – nauki ani tradycji. Nawet Edzio i Adela już o sobie zapomnieli...

Miał rację: ci dwoje rozstali się już i rozeszli w przeciwne strony, bez śladu tęsknoty na twarzach.

– Nie istnieje tęsknota za przeszłością – ciągnął Bruno. – Jest tylko dążenie do przyszłości; nie ma nieśmiertelnych arcydzieł, odwiecznych wartości; poza wartością samego tworzenia. Właściwie to nie wartość, lecz popęd biologiczny, silniejszy od wszystkich instynktów. Popatrz na nich, Szloma – nie pamiętają niczego, co wydarzyło się do tej chwili, lecz chwila w świecie naszego placu nie trwa dłużej niż jedno uderzenie kościelnego dzwonu. Jest to, powiedzmy, czas elastyczny, mogący pomieścić to jedno doświadczenie, które może trwać jeszcze rok albo sekundę. Tak, Szloma – mówił dalej Bruno. Przypominał teraz pod każdym względem rybę, pływając spokojnie nad zielonym, przesiąkniętym wodą papierem w głębinie pod nami. – To ludzie bez wspomnień, nieużywane dusze, które, aby dalej istnieć, muszą wciąż stwarzać na nowo język, swoich bliskich i każdą chwilę. Zadzierzgać z nieskończonym wysiłkiem więzy, które od razu pękają...

– To okrucieństwo, Bruno, potworne okrucieństwo! – krzyknąłem



przeżony, bulgocząc w wodzie. – Nie możesz czynić tego ludziom! Nie wszyscy są uczynieni z tak... pierwotnej gliny! Są, jak sędzę, wśród nas tacy, którzy potrzebują ustalonych ram, porządku, stałości... wielki Boże! Popatrz tam!

Na skraju placu, obok skrzynki na listy, gdzie żarłoczne mrówki zapomnienia rozdrabniały szybko i skutecznie ostatnie źdźbła minionej minuty, stał stary wuj Brunona – Hieronim. Wydawało się, że doświadcza czegoś nieomal nie do zniesienia: że rewolucyjne zmiany nowej ery wystawiają na straszliwą próbę sam fakt słabego domniemania egzystencji: trząsł się i dygotał, pocił i dyszał ciężko. Ciotka Retycja patrzyła nań zdesperowana, lecz nie ośmieliła się go dotknąć. Pod elegancką marynarką można było zauważyć dziwne wybrzuszenia, to tu, to tam. Było jasne, że nikt nie pojmuje, co się dzieje, pewnie nawet sam wuj. Opierał się ciężko o skrzynkę na listy (która także wydawała głośne dźwięki, podczas gdy listy w środku rozpadały się na najróżniejsze elementy, słowa i uczucia w nich uwięzione – wszystkie listy, które wysłano przed nadejściem rewolucji), i z zamkniętymi oczami, wykrzywioną z bólu twarzą nasłuchiwał burzliwej dyskusji, która wrzała w środku.

Wtedy to się wydarzyło. Coś, czego nasz skromny język nie potrafi dokładnie opisać. Może tylko przekazać suchy, błady raport: nagle ze znękanego ciała wuja dobył się stłumiony wybuch, a potem głębokie westchnienie ulgi. W jednej chwili stało się jasne ponad wszelką wątpliwość, że wuj jest dwiema osobami. Długie zmagania ze starym lwem na gobelinie zakończyły się nagle jakimś wzajemnym porozumieniem, nieoczekiwanym, lecz praktycznym. W końcu udało im się wspólnymi siłami przeciąć węzeł nienawiści, duszący ich od lat, za cenę drobnego ustępstwa ze strony wuja, który musiał posunąć się odrobinę w skorupie ciała, robiąc miejsce dla lwa, aby mogli żyć obok siebie we względnej tolerancji, a może nawet z zadowoleniem.

Tak. Od razu można było poznać, że doskonale do siebie pasują. Ze te długie i brutalne zapasy – gdy uwięziony w gobelinie lew stawał na tylnych łapach ze stłumionym rykiem, a wuj rzucał się na niego z gardłowym wrzaskiem – skrywały w gruncie rzeczy silne przyciąganie, rozpaczliwe pragnienie dwóch uwięzionych samotników, zbyt wyniosłych, aby się do tego przyznać. Ciotka

Retycja, która godzinami przesiadywała między wujem a sypialnią, pozostająca we władzy gobelinu, ciotka, którą zawsze bardzo lubiłem, w której wszyscy widzieli solidną tamę rozsądku, dzielącą dwa wzburzone jeziora obłędu, odsłoniła się teraz w pełni swej fanatycznej, małostkowej niedoli. Wszyscy zrozumieli, że jej egzystencja jest niczym nieusprawiedliwiona, że to przedstawicielka dawnego świata, „słusznego” porządku, „spokoju” w najbardziej niefortunnym znaczeniu tego słowa. Teraz, gdy zabrano jej powód istnienia – nie mogłem patrzeć dłużej na to, co się z nią działo obok czerwonej skrzynki na listy, a teraz, och, na ziemi...

– Możesz patrzeć – powiedział Bruno z lekką satysfakcją. – Już jej nie ma.

Kiedy nie chciałem podnieść oczu, szepnął pocieszająco:

– Ludzie tacy jak ciotka Retycja, Szłoma, to zużyte dusze, o których wspominałem. Wtórne naczynia egzystencji, karmiące się impulsem twórczości większości ludzi, którzy bez wątpienia są oryginalnymi artystami. Usprawiedliwiają własne istnienie, bez końca opowiadając o straszliwych niebezpieczeństwach, które spadną na nas, gdy ich zabraknie... Widzę po twojej minie, że to wszystko okropnie cię przeraża... że to dla ciebie obce... A przecież to szansa, aby żyć od nowa, w znaczeniu, jakie ty i ja nadajemy temu słowu, gdyż inaczej jesteśmy tylko kamiennymi posągami, uwięzionymi od narodzin aż do śmierci, bez nadziei na oswobodzenie ze skały, w której wyrzeźbił nas mądry rzeźbiarz. Mądry, ale być może nie genialny; być może genialny, ale z pewnością nie litościwy. Mesjasz, Szłoma, wzywa nas do wolności, wyzwala z kamiennych pęt, rzuca na wiatr jak skrawki papieru. Tu w jednej chwili powstaje nowe życie. Będziemy pisać epepeje w ciągu przelotnego spotkania między dwojgiem ludzi, bo przecież chyba już rozumiesz, że inne metody prowadzą do porażki, do przegranej i do uwięzienia, do dawnej kultury, dotkniętej elephantiasis...

Milczałem. Drażniła mnie jego demonstracyjna pewność siebie i arogancja, z jaką zakładał, że wszyscy się z nim zgodzą. Oczywiście, zgadzam się z nim w pewnych kwestiach, ale tak skrajne rewolucje należy planować z wielką ostrożnością, trzeba się zastanawiać, stworzyć infrastrukturę, system.

Rzuciłem przelotne spojrzenie na nieszczęsną ciotkę Retycję i znowu doznałem wstrząsu. Nie powinienem był patrzeć! Przecież tak okrutny koniec mógł spotkać także innych. Nawiasem mówiąc: celowo użyłem słowa „koniec”, a nie „śmierć”, bo trudno określić to, co się stało z ciotką Retycją, jako „śmierć”. Obok czerwonej skrzynki na listy na ulicznym bruku leżała dziwna substancja, podobna do szarawych trocin. Były to bez wątpienia namacalne pozostałości wszystkich przymiotników, czasowników i trybów, którym ciotka służyła za rozstajne drogi. Chłodna, obojętna kupka.

– Taka jak za życia – uśmiechnął się Bruno, który podsłuchiwał moje myśli. – Przecież ona nie umarła, Szłoma, bo nigdy nie żyła naprawdę w znaczeniu, które ja i ty... i tak dalej. Zapewne ani przez chwilę nie podejrzewałeś, że będę zdolny uśmiercić człowieka, aby rozweselić innych?

Odwróciłem się od niego ze złością. Przez plac przebiegała kolejna fala wstrząsów. Wydawało się, że szok i przerażenie, charakteryzujące początek nowej ery, osłabły. Tak jak w spalonych na popiół lasach zaczynają przebijać nowe siły żywotne i nowe listki wypuszczają paki. Rodziny, co prawda, rozstały się na dobre, a ich przezroczyste więzy leżały rzucone na ziemię na całym placu, ale w jednej chwili powstały nowe rodziny, czasem składające się z tylko jednego człowieka, który dzięki temu zyskał szczęście, jakiego nigdy nie zaznał z żoną i dziećmi. Nowe przyjaźnie powstawały między osobami, których nigdy byśmy nie podejrzewali, że coś ich łączy. Serdeczny Adolf Arendt, niziutki nauczyciel rysunku, był zajęty nawiązywaniem nowych stosunków (dość krępujących, moim zdaniem) ze stukniętą Thują. Nad ich głowami, niczym rozgałęzione rogi, unosiły się barwne możliwości fantazji i szaleństw. Nieżyjący ojciec Brunona mógł nareszcie urzeczywistnić dawne pragnienie i wzniósł się nad miastem jak ogromny ptak. To znaczy: nie oderwał się od ziemi, ale każdy, kto chciał w to wierzyć, pojmował, że jest w locie.

Najcudowniejsze, że to wszystko odbywało się w absolutnej ciszy, bez słów. Mimo to plac był pełen szeptów i niskich dźwięków uczuć, których nie mogę przekazać z powodu straszliwej bezradności naszego przeklętego języka. Mogę powiedzieć tylko: jak ślepy rekompensuje sobie częściowo kalectwo

wrażliwym słuchem, tak ci niemi ludzie, pozbawieni imion i słów, przekazywali najbardziej sekretne doznania. Dzięki nieznanym wcześniej zmysłom reagowali natychmiast na nowe bodźce. Także w mechanizmie odbioru zachodziły najwyraźniej szybkie mutacje. Wszyscy byli pogrążeni w nowym, fascynującym wysiłku.

– Czy teraz rozumiesz? – zapytał Bruno cicho. – Wszyscy są artystami.

Faktycznie, trzeba podkreślić, że nie licząc ciotki Retycji i kilku innych wypadków, rewolucja przeszła bez ofiar. Ludzie wydawali się szczęśliwsi i bardziej żywotni. Krew musowała w ich żyłach niczym wino, słyszałem jej śpiew. Promieniali wewnętrznym blaskiem. Mężczyźni i kobiety słuchali z wyrazem zdumienia i radości swego własnego *ning* i, szczęśliwi, skłaniali zgodnie głowy. Fakt życia nagle stał się dla nich namacalny, jak kiedyś namacalne były przygnębienie i bierność. Samo poczucie egzystencji stało się ostrą, dojmującą rozkoszą. Obok skrzynki na listy stał wuj Hieronim, z zadowoleniem gładząc się po wąsach. Tu i ówdzie widać było mężczyzn i kobiety, kopulujących z uniesieniem, co wcale nie budziło zażenowania u postronnych (ja wolałem patrzeć w inną stronę).

– Ależ Bruno – powiedziałem zdeorientowany – proponujesz świat, którego duszą będzie pragnienie tworzenia. Czy w takim świecie w ogóle nie dojdą do głosu mordercze myśli?

Drobny chłopiec podniósł na mnie czarne, płonące oczy. Pływał na wznak po papierze, wśród alg i wodorostów, jak młodzieniec przechadzający się po ogrodzie. Małe kraby pośpiesznie uciekały, aby przycupnąć w skupiskach liter, anemony wyciągały w modlitwie swe ramiona Madonny.

– Założmy – powiedział Bruno melodyjnie – założmy, że z powodu jakiegoś wypaczenia rzeczywiście pojawi się taka myśl. Przecież jest pewne ponad wszelką wątpliwość, że nie zostanie zrealizowana. Nikt jej nie pojmie, nie utrzyma swymi narzędziami percepcji, Szłoma! Będzie ona tylko przelotną, pohamowaną udawką, bo stoi w całkowitej sprzeczności z głównym założeniem życia. Nie tylko myśl o morderstwie, Szłoma. Nie. Każda myśl, w której jest choć okrucuch gorzkich przypraw słabości, stagnacji, destrukcji i lęku. Nikt nie będzie

mógł takich myśli zrozumieć, jak w starym świecie nie mogliśmy zrozumieć opowieści o człowieku, który zmartwychwstał po śmierci, albo o czasie, który zaczął płynąć wstecz. Bo ja, Szloma, mówię o całkiem innym życiu, o następnym etapie ewolucji człowieka... Czy nie uzgodniliśmy, że podzielimy świat między siebie i nazwiemy go na nowo, czy może teraz się wahasz, znowu wybierasz łatwiejszą drogę, patrząc na błyszczące lakierki Adeli, chcesz wrócić do więzienia?

Spojrzał na mnie błagalnie.

Przypominam sobie decydujące argumenty przeciwko jego nonsensownym pomysłom. Na przykład, jak będzie wyglądał uporządkowany system sądów i wymiaru sprawiedliwości w takim świecie, jak będzie się rozwijała nauka, co z polityką i umowami międzynarodowymi, co z armią i władzami, a co z...

Te myśli naraz odpływają, pozostawiając smutek. Przecież to wszystko zawiodło. Przyniosło rozczarowanie w najbardziej zabójczy sposób. Żadna moc nie sprawi, że nie stanie się to narzędziem najokropniejszych uczynków. A co jeśli – pytałem sam siebie z wielkim gniewem – jeśli Roosevelt i Churchill byli „dobrzy”? Przeciwko złu rzuciliśmy nasze czołgi, samoloty i łodzie podwodne. Innemu złu. Ogarnął mnie wstyd. Chciałem wyjść z morza i pójść do domu, zapomnieć, że kiedykolwiek tu byłem i zadawałem te pytania. Ale nie miałem siły, by ruszyć choć palcem. Znowu czeka nas rozczarowanie. Zanurzyłem czoło w wodzie. Niemożliwe, aby to był wieczny wyrok. Bruno musi się mylić.

– Powiedz mi, proszę – pytam, na próżno usiłując mówić lekko i sarkastycznie – na jakiej podstawie wierzysz, że te skrawki papieru, fruwające w powietrzu, będą w ogóle chciały nawiązywać więzi, rozmawiać i tworzyć. Co je powstrzyma od upadku na bruk albo fruwania w powietrzu bez żadnego udziału świadomości? Odpowiedz mi, Bruno!

– W ogóle nie rozumiałeś – mówi chłopiec-ryba z irytacją i wyjaśnia, powoli i z widocznym rozczarowaniem, to, co dawno powinienem by I pojąć: – To ludzie i dlatego są twórczy. Są na to skazani. Są tacy ze swej natury – muszą tworzyć własne życie, miłość i nienawiść, wolność i poezję. Wszyscy jesteśmy

artystami, Szloma, tylko niektórzy o tym zapomnieli, a inni wolą to ignorować z dziwnego lęku, który nie jest dla mnie jasny. Są też tacy, którzy rozumieją to dopiero na granicy śmierci. Są tacy – jak pewna ciotka, której imienia nie wspomnę z szacunku wobec rozpadu – którzy nawet wówczas nie rozumieją...

– A my? Poeci? Malarze? Pisarze i muzycy?

– Ach, Szloma, w porównaniu z prawdziwą, naturalną sztuką, literatura i muzyka są zaledwie rzemiosłem, przemijającym naśladownictwem, płytkim komentarzem, żeby nie powiedzieć bez ogródek: nędznym plagiatem, bez wyobraźni i talentu...

– Jeśli tak się rzeczy mają – pytam z największą ostrożnością, aby nie sprawić mu zbytniego bólu – co byś powiedział i jak moglibyśmy nadal żyć w dawnym świecie po pewnym uczynku, o którym usłyszeliśmy, o którym opowiadają w związku z pewnym człowiekiem, którego jeszcze nie znasz, a może już o nim zapomniałeś, który strzelił do pewnego Żyda tylko po to, aby dopiec swemu rywalowi? A tamten powiedział mu...

– Przecież już mówiłem – przerwał mi Bruno natychmiast, podekscytowany, machając płetwami, nie chcąc w ogóle słuchać dalszego ciągu. – Powtarzałem trzy razy, że podobne rzeczy mogły, a nawet musiały się dziać w tym zepsutym ścierwie kultury. – Okręcił się wokół własnej osi kilka razy, zanurkował i wynurzył się koło mnie, poruszając ogonem niczym energiczny plemnik. – Teraz rozumieją wszyscy – powiedział – że ktoś, kto zabija drugiego człowieka, doprowadza w ten sposób do końca prawdziwej, idiosynkratycznej sztuki, której nigdy nie da się odtworzyć... cała mitologia, nieskończona genialna epoka...

Nagle przerwał i zerknął na mnie podejrzliwie. Może się zastanawiał, czy to, co opowiedziałem, dotyczy go w jakimś stopniu. Drobną postać co chwila zmieniała się z ryby w chłopca. Moje oczy napotykały nagle niepokojące lśnienie, błyszczące łuski buta lub przepływającej ryby, pantofel Adeli lub załamującą się migotliwą falę, wysłaną ku mnie, aby odwrócić moją uwagę. Kiedy spojrzałem ponownie na Brunona, zauważyłem, że przebiegają go fale dreszczy i wstrząsów, prawie nie do zniesienia. Jednocześnie zaczął się kurczyć,

choć nie fizycznie, raczej pod względem swojej istoty, egzystencji, która stała się bardziej ulotna, nieokreślona, jakby odesłana na odpoczynek, nie w zwykłym znaczeniu tego słowa, ale ponieważ Bruno i ja byliśmy...

Na chwilę pojawił się ponownie: połowa twarzy, kreska ust, jedno oko i pulsujące skrzydła. Ze strasznym uśmiechem powiedział:

- Szloma, w naszym nowym świecie także śmierć będzie wyłączną własnością człowieka. Gdy tylko zechce umrzeć, będzie musiał szepnąć duszy wewnętrzne hasło, które rozłoży w jednej chwili kod genetyczny istnienia, tajemnicę autentycznej natury jednostki. Nie będzie już masowej śmierci, tak jak nie będzie masowego życia!

- Zaczekaj! - zawołałem przestraszony. - Nie wolno ci teraz mnie opuszczać! Nie kiedy zaraziliś mnie trudnymi do wytrzymania pragnieniami! Chyba nie zostawisz mnie teraz samego ?!

- Zawsze możesz zrobić to co ja - odparł. - Pójść ze mną albo wybrać własny sposób.

- Bruno - jęknąłem - oszukałem cię. Jestem słaby... Jestem więźniem własnej natury... lubiłem swoje kajdany... Tak, Bruno. Stoję przed tobą zażenowany i pełen wstydu, przyznaję: jestem zdrajcą i tchórzem... człowiekiem o nędznych przekonaniach ciotki Retycji... teraz wiesz wszystko... nie jestem stworzony dla genialnej epoki... gdyby był tu błyszczący bucik Adeli, wykorzystałbym pierwszą okazję, ukradł go i uciekł, jak kiedyś... jak zawsze... pomóż mi, zostań ze mną... boję się, Bruno.

Nagle zatrzepotał, zwinął się, wyprężył chude ciało w stronę rzeczywistości, lecz coś pociągnęło go w tył z wielką siłą, z szumem zasysanej wody.

- Bruno! - wrzasnąłem. - Poczekał chwilę! - Znieruchomiał w miejscu: świat wstrzymał oddech. Bładobłękitne, stalowe morze. - Bruno - powiedziałem ulegle. - Wybacz, że zatrzymuję cię w takiej chwili, ale to dla mnie bardzo ważne: czy przypadkiem, tylko przypadkiem, nie wiesz, jaką historię opowiedział Anszel Wasserman Niemcowi nazwiskiem Neigel?

Bruno machnął płetwą i w skupieniu przymknął oczy:

– To przecież była wspaniała historia, tak – powiedział, i jego dziwne oblicze rozjaśniło się nagle. – Tylko że... ach! Do licha! Całkiem wyleciała mi z pamięci! – Z uśmiechem, jakby nagle sobie coś przypomniał, dodał: – Ależ oczywiście! Przecież taka jest natura tej opowieści, Szłoma, że od razu się ją zapomina i trzeba za każdym razem odnajdować ją na nowo, zawsze!

– Czy to możliwe, żeby przypomniał ją sobie ktoś, kto jej nie zna, kto nigdy jej nie słyszał?

– Dokładnie tak, jak można przypomnieć sobie swoje imię. Swoją świadomość. Serce. Kochany Szłoma, wszyscy znają tę historię.

Mówił coraz ciszej. Cały się wykrzywił. Zasłoniłem twarz rękami. Usłyszałem dziwny dźwięk, jakby niewidzialna paszcza połknęła jakieś wielkie ciało. Z morza dobiegł rozdzierający serce jęk. Po chwili nie było już przy mnie Brunona.

Zwracam się teraz do niej, przygnębiony, lecz nie odpowiada. Przestraszyłem się. Naprawdę przeraziła mnie myśl, że mnie opuściła właśnie teraz, kiedy tak bardzo jej potrzebuję, kiedy opuszczają mnie siły i nie mam chęci wrócić do domu ani siły pisać tego opowiadania językiem cierpiącym na słoniowaciznę.

– Chodź – pojękuję cicho – błagam, chodź, chcę się zwinąć w tobie w kłębek, zapomnieć o sobie. Tak ciężka i uparta była samotność Brunona, aż wszyscy staliśmy się samotni, błądzący... zatopieni w kamieniu, w którym mądry, lecz nie genialny rzeźbiarz zaledwie zaznaczył nasze kontury, genialny, lecz z pewnością nie litościwy. Nigdy nie zaspokoimy głodu. Gorzej: utraciliśmy samo pragnienie zaspokojenia głodu. Och, szepczę do niej, pośród drobnych fal, fałdów jej ciała, jeśli nasze życie polega tylko na tym, że go ubywa, przecież wszystko, co sprawia, że go ubywa, to chytry, tajemny współnik śmierci. Jesteśmy tylko współnikami morderców. Co prawda odpowiedzialnych, którym zależy na naszym dobrobycie, uprzejmych i pełnych troski, lecz jednak morderców. To wszystko, co kryje się w przebraniu ochrony bytu i spokoju duszy, dopuszcza się najohydniejszego postępu, zbrodni przeciwko ludzkości. Wszystko, co wznieśliśmy własnymi rękami, aby się bronić, zdusza powoli nasze



szczęście. Mam na myśli władzę, reżim każdego rodzaju, zmuszający jednostki do rządzenia masami albo odwrotnie. Mam na myśli system sprawiedliwości, który prawie zawsze idzie na kompromis między różnymi rodzajami sprawiedliwości, religię, która żąda od swych wyznawców, aby nie zastanawiali się nad niczym. Naszą rutynową moralność i posłuszne stado czasu, gdzie wskazówki popędzają minuty niczym owce; strach i nienawiść. To dwoje ramion szczypiec, którymi odsuwamy od siebie każdy okruch bliskości i miłości. Mam na myśli nasz despotyczny zdrowy rozsądek. Czym to wszystko jest, jeśli nie zgniłym kanałem, którym powoli, leniwie dryfujemy ku śmierci? Co jakiś czas znajdujemy nędzne pocieszenie w skąpej litości, ostrożnej miłości, zmaconej radości i podejrzliwym pożądaniami. To zakonserwowane przynęty. Nawet ja zrozumiałem, że człowiek – w znaczeniu, w jakim Bruno i ja mówimy „człowiek” – jest zdolny do większej pociechy, do większych radości, do nieskończone bogatszej skali barw...

– Teraz mówisz do rzeczy – mówi cicho. Jej oczy są nieprzeniknione w świetle zachodzącego słońca. – Nareszcie zaczynasz coś rozumieć. – Rozpościera fale regularnie, szeroko i spokojnie, pełna dojrzałego szczęścia. Przepływamy w milczeniu przed małą polską wioską. Nagle czuję w ustach słodką wodę. Próbuję jeszcze raz i przekonuję się, że to nie pomyłka.

– Dotarł do rzeki?

– Poczuleś.

– A progi skalne? Jak pokonał wodospady? Jak płynął pod prąd?

– W jedyny sposób, jaki znał. Milczenie. Potem ona pyta:

– A ty? Jak pokonasz wodospady?

– Nie pytaj mnie teraz o to.

– Znowu jesteś sobą, Neumann? Już zapominasz?

– Jak mogło ci coś takiego przyjść do głowy! Teraz?! Po Brunonie?! Po tym wszystkim, co ci powiedziałem?! Wstydziłabyś się!

Ale dwa wiry wodne, które ukazały się w pewnej odległości jeden od drugiego, sprawiały wrażenie, jakby uśmiechnęła się lekko, i w jej policzkach ukazały się dołeczki.

– To dziwne – mówi, oblizując wargi. – Moi mali wywiadowcy donoszą mi, że już teraz żałujesz większości rzeczy, które po... ach, co to za różnica. To twoje życie, nie moje. Jeśli w ogóle można nazwać je życiem. Szkoda. Szkoda. Przez chwilę ci wierzyłam. Przez chwilę nawet... nawet wierzyłam w ciebie.

Czy usłyszałem nieoczekiwaną łagodność w jej głosie? Czy w jej słowach dało się wyczuć serdeczny ton? Nie odpowiada. Odsuwa się trochę ode mnie, unosi się na plecach. Słońce gładzi ją ostatnimi promieniami. Przypomina półokrągłą paletę van Gogha, gdy malował bezkresne złote pola. Tak piękna, tajemnicza i dojrzała, wśród woalów chmur, łączących się na horyzoncie. Czy Bruno dostrzegał jej piękno, czy był całkowicie pogrążony w sobie, w swych nieustających wysiłkach? Czy jej mężczyzna umiał ofiarowywać drobne upominki, znaki sympatii i pamięci?

Milczy. Cienkie niebieskawe żyłki nabrzmiewają jej nagle na czole. Ktoś taki z pewnością nie zauważał jej ani jej urody, ale stworzył sobie własne wewnętrzne, zamknięte morze, w którym pływał. Ona zasługuje na miłość. Z całą pewnością. Może nawet na miłość kogoś o pretensjach o wiele mniejszych niż pretensje Brunona. Mężczyzna skromny i bardziej praktyczny, choć niepozbawiony pewnej poetyckiej wrażliwości, rozróżniający jej wyrafinowane niuanse, człowiek, który, rzecz jasna, jest nieistotny w porównaniu z naszym wzniosłym, transcendentnym, bezkompromisowym Brunonem. Ale może właśnie dlatego, że pogrążony jest w drobnych codziennych doświadczeniach, i do tego stopnia jest wytworem zgniłego społeczeństwa, tak bardzo ludzkim, taki właśnie człowiek, mówię sobie, mógłby z pew...

– No, bądź wreszcie cicho – mówi i niby przypadkiem, uderza mną o ostry głaz, którego z pewnością nie było tu wcześniej. – Nie mów teraz nic, Neumann – powtarza łagodniej i pocieszającym gestem gładzi mnie po obolałych żebrach. – Będiesz miał nieduże skaleczenie, tak jak Bruno. Ale twoje się zagoi. Jesteś jednym z tych, którzy się goją. Co to? Ktoś cię woła!

– Panie Neumann! Mister Neumann!

Na brzegu stoi ubrana na czarno gospodyni i energicznie macha ręką.

Okazuje się, że sołtys właśnie wyrusza do Gdańska. Muszę wyjść z wody i pojechać z nim. Pojutrze będę już w Izraelu. „W Izraelu”. Jak dziwnie i nijako brzmi teraz to słowo.

– Jesteś nawet miły – kontynuuje rozmowę, wciąż liżąc mnie litościwie po żebrach. – Ale to nie dla mnie. Nie. Twoja dziedzina, kochany... – przerywa na chwilę, skały na horyzoncie błyskają nagle w uśmiechu – twoja domena to brzegi, taak, lubisz co jakiś czas zanurzyć się we mnie, ale wolisz robić to blisko NIEJ, na wszelki wypadek, gdyby nagle zachciało ci się uciec głęboko, głęboko we mnie. Tak, Neumann, jesteś ostrożny. Powiedziałabym: typ półwyspowy. Z pewnością.

Tłumię jęk.

– A teraz – mówi wesoło, wśród roztańczonych fal – zrób mi ostatnią przysługę i nie gniewaj się na mnie za tę prośbę. Pomyśl dla mnie o NIM, kochany, po raz ostatni pomyśl o nim we mnie, o naszym Brunonie, proszę, proszę. Przecież za chwilę się rozstaniemy, prawda? Już nikt nie będzie mi tak o nim opowiadał, o moim Brunonie, stojącym samotnie na skraju nabrzeża w Gdańsku. Pomyśl o nim tylko po to, abym mogła myśleć razem z tobą. Wiesz: mój drobny problem... proszę, proszę...

Trzepocze rzęsami alg, rozdyma lekko drżące nozdrza. Nie. Nie skusi mnie tanimi sztuczkami, wodnymi barwami kobiecości. Właśnie że nie będę o nim myślał. Niech pęknie. Nie będzie prowadzić mnie za rączkę jak dziecko, któremu kręci się w głowie, jak zakochanego, w stronę portu, nad brzeg, do granicy starego świata, nie! Jestem od niej silniejszy, nie chcę kropel drobnego deszczu, padających na niego niczym łzy, jest taki chudy, całkiem nagi, pozostał mu jeszcze tylko zegarek, odmierzający dawny czas. Skacze odważnie, rozpaczliwie i bez nadziei z czubka nosa tej ogromnej, leżącej bestii, samotny niczym pierwszy czciciel bożków, który od totemu wzniósł się ku niewidocznemu bogu, cudowny lot, Bruno, co za zasięg i rozpęd...

Obok ona parska tłumionym śmiechem.

Do wszystkich morskich diabłów.

**WASSERMAN**

# 1

Kiedy nie udało się go zabić za trzecim razem, Niemcy pognali Anszela Wassermana do biura komendanta. Biegł za nim młodziutki oficer Hoppler, przynaglając go krzykiem *schnell*. Wyobrażam sobie, jak wychodzą z dolnego obozu, gdzie znajdują się komory gazowe, przechodzą wzdłuż dwóch płotów z drutu, obrośniętego krzakami. Przez to ogrodzenie pędzi się nowe transporty. Ludzie idą nago między dwoma rzędami Ukraińców, którzy biją ich pałkami i szczują psami. Więźniowie nazywają to przejście „szlauch”. Niemcy, ze swym szczególnym poczuciem humoru, Himmelstrasse – „drogą do nieba”.

Anszel Wasserman ma na sobie królewskie szaty z kolorowego jedwabiu. Na piersi kołysze mu się wielki, okrągły zegar, który uderza go przy każdym kroku. Jest bardzo chudy i przygarbiony, podbródek porasta mu rzadka szczecina. Na plecach tworzy się zaczątek garbu. Na żadnym z setek obozowych zdjęć nie widziałem nikogo podobnego. Mijają plac apelowy i zatrzymują się przed barakiem komendanta. Wasserman ciężko dyszy. To ponury, dwupiętrowy drewniany budynek. W oknach firanki. Na drzwiach widnieje blaszana tabliczka głosząca „Komendant obozu” – na zewnętrznej ścianie wisi większa tabliczka – „Prace budowlane: firma Schönbrunn, Lipsk, firma Schmidt, Munstermann”. Znam mnóstwo podobnych szczegółów. Hoppler mówi coś do ukraińskiego wartownika przy wejściu. W tej samej chwili Anszel Wasserman odwraca twarz i patrzy na mnie. To tylko przelotny błysk, ale sprawia, że czuję się jak nowo narodzone dziecko: w dusznych oparach ostatnich miesięcy jego spojrzenie stanowi przebudzające klepięcie w ramię i nieznane fragmenty mozaiki wpadają nagle na właściwe miejsce. Dziadek Anszel mnie rozpoznał, a ja go poczułem. W oczach miał strach. Za drzwiami czekał na niego komendant obozu, obersturmbannführer Neigel. Pomyślałem,

że może nie powinienem mu tego robić, wysłać go znowu do kraju TAM, ale wiedziałem, że bez niego mi się nie uda, bo on tam był, i także, najwyraźniej, należy do tych niewielu, którzy znają drogę na zewnątrz. Jeśli już zdecydowałem się wejść – lepiej zrobić to z nim.

Otwierają się drzwi i wchodzi. Oto i Herr Neigel. Nareszcie. Inny, niż sobie wyobrażałem przez wszystkie te lata. Nie okrutnie uśmiechnięty rzeźnik. Ale jest z pewnością silny fizycznie: wysokie, umięśnione ciało, potężna czaszka. Łysieje: widać to, chociaż czarne włosy są przystrzyżone tuż przy skórze. Widać dwa głębokie zakola. Ma wyjątkowo dużą, pociągłą twarz o prostych, regularnych rysach. W miejscach, których nie sięgnęła brzytwa, skórę pokrywa lekki ciemny meszek: rodzaj surowego puchu. Jego usta są wąskie i zaciśnięte, jakby z wysiłku. W kącikach oczu czai się agresywna pogarda. Ogólnie sprawia wrażenie silnego człowieka, który nie chce zwracać na siebie zbędnej uwagi. Mój dziadek nazywał go zawsze po cywilnemu „Herr Neigel”. To znaczy: powstała między nimi jakaś bliskość. A może transakcja? Jak Neigel nazywał dziadka? „Żydkiem”? „Żydowskim śmieciem”? Nie. Wydaje mi się, że nie. Ma obojętną, rzeczową minę. Od razu wiadomo, że „żydowski śmieć” nie wchodzi w rachubę. Podnosi głowę znad schludnego biurka. Przybiera gniewną minę, bo mu przeszkadzono.

– Tak, untersturmführer Hoppler? – Ma niski, mocny i miarowy głos. Hoppler raportuje o przedziwnym przypadku. Neigel przeprowadza krótkie śledztwo (– Próbowaliście strzelać? – Tak, panie komendancie. – W ciężarówce? – Tak, panie komendancie. – Gazu, jak mówisz, próbowaliście? – Tak. Od tego zaczęliśmy. –A inni? Może gaz był niedobry? – Nie, panie komendancie! Wszyscy, którzy byli w środku, umarli jak zawsze. Nie wydarzyło się nic szczególnego. To tylko on).

Neigel wstaje, wzdychając, że w ten sposób marnuje się jego czas, wygładza dłońmi wyprasowane spodnie, bawi się machinalnie małą srebrną ozdobą na szyi. Z pewnym znużeniem pyta:

– To jakiś żart, untersturmführer Hoppler?

Młody oficer zająkliwie zaczyna wyjaśniać od początku, a komendant

odprawia go lekkim ruchem palca, rozkazując wrócić za kilka minut, gdy coś sprawdzi. „Zęby zabrać ścierwo”. Młody człowiek wychodzi, a Neigel odprowadza go spojrzeniem charakterystycznym dla mężczyzn w pewnym wieku, kiedy patrzą na młodych, ambitnych podwładnych, którzy wciąż niczego nie potrafią zrobić jak należy bez pomocy.

Dobywa rewolwer z kabury u pasa. Błyszcząca czarna zabawka z... jedną chwileczkę! On chce strzelić do dziadka Anszela! Spoglądam w bok. Widzę, że na ścianie za biurkiem wiszą lakoniczne wojskowe hasła. „Führer rozkazuje – my wykonujemy”. „Odpowiedzialność wobec podwładnych, posłuszeństwo wobec przełożonych”. Naraz Neigel postępuje o krok i przystawia lufę dziadkowi do skroni. Słyszę własny krzyk, krzyczę razem z dziadkiem Anszelem ze strachu i upokorzenia, a w pokoju rozlega się strzał. Słyszę, jak dziadek mówi coś do siebie drżącym głosem: „Jakby brzęczenie przeleciało mi przez głowę, między uszami. Drewniana głowa jelenia nad drzwiami, spadła, *nebuch*, odłamał się jeden róg. Witaj, Szlojmele. Poznałem cię, chociaż bardzo się zmieniłeś. Nic mi nie mów. Czas nagli, a pracy mnóstwo. Musimy opowiedzieć historię”.

Tak zaczął do mnie przemawiać. Oczywiście, nie swoim głosem. Napisałem „w duchu”, bo to wydaje mi się bliższe prawdy: przefiltrowany, łagodny szept tysięcy pokruszonych muszli. Nie mowa, lecz jakby sączące się słowa, które nie mają charakteru języka mówionego, lecz pisanego. Dziadek Wasserman przemawiał do mnie językiem, w którym go czytałem. Słowami, które zapadły we mnie z tamtego pokruszonego skrawka gazety, żółkłego i starego, skrytego od początku wieku w kufrze babci Heni. Po raz pierwszy usłyszałem, jak mówi bezpośrednio o swoim opowiadaniu. Było naprawdę całym jego życiem. Za każdym razem musiał je pisać od początku. Pewnego razu był trochę smutny i przygnębiony, powiedział, że toczy swoje opowiadanie jak Syzyf głąz pod górę. Potem przeprosił, że nigdy nie ma czasu ani siły, aby wysłuchać mojego opowiadania, choć jego zdaniem wszystkie historie wywodzą się od jednej. „Tylko czasami to ty pchasz głąz, a czasem sam jesteś upartym kamieniem”.

Teraz Niemiec: Neigel jest wstrząśnięty; patrzy zdumiony na dziadka,

potem na broń, chwyta głowę staruszka i obraca we wszystkie strony, szukając rany, wlotu kuli. Potem pyta sucho, poprawną polszczyzną (jego matka jest folksdojczka, a poza tym – kurs językowy w SS):

– Chcesz mnie przechytrzyć, parszywy Żydzie? Muszę podkreślić: przelknął przekleństwo – jego wargi prawie się nie poruszyły. Było oczywiste, że musi przeklinać, aby ukryć potworny zamęt, który w żadnym wypadku nie odbijał się na twarzy o wydłużonych rysach. Anszel Wasserman odpowiada:

– Dla mnie także to niejasna sprawa, szanowny panie, to już czwarty raz. Gdyby mógł pan dopilnować, abym wreszcie umarł, bo opadłem już z sił.

Neigel blednie lekko i cofa się o krok. Anszel Wasserman mówi płaczliwym, nosowym tonem:

– Czy naprawdę pan komendant uważa, że to mi sprawia przyjemność?

W głębokiej ciszy, która zapada w pokoju, ponownie drga brzęcząca struna, którą zapamiętałem z dzieciństwa: Anszel Wasserman mówi do siebie. Peroruje, pisze dziennik. Opróżniam moje pióro, bo ktoś potrzebuje go bardziej niż ja. Ktoś, kto przez wiele długich lat czekał na spisanie opowieści. Mówi: „Ezaw ze zdziwienia zapomniał, kim jest, ale ja mu powiedziałem prawdę. Prawda jest taka – pragnąłem śmierci, dzięki której rozłożą się moje kości. Rankiem zabrali mnie do gazu, potem były strzały i zamknięta ciężarówka, cholera, nawet teraz się nie udało. Co się okazało? Nu, najwyraźniej jest jakiś kłopot. Może naprawdę trzeba wezwać lekarza? Przecież sam starałem się umrzeć. W komorze gazowej przyglądał mi się nieustępliwie Zalmanson. Leżał już na ziemi, a jeszcze zdążył wykonać gest, mówiący: co z tobą, Wasserman? A ja, no cóż, co miałem zrobić? Nachyliłem się i szepnąłem mu do ucha – aby inni nie dosłyszeli, po co ich łudzić? – że przykro mi, ale najwyraźniej mam jakiś feler. Być może jestem taki od urodzenia. Wokół wszyscy wili się w jękach, cała grupa „dentystów”, z którymi przebywałem całe trzy miesiące. Tylko Anszel Wasserman stoi sobie prosto jak palma. Zalmanson zaczął się śmiać takim śmiechem, którego wolałbym nigdy nie usłyszeć! Rodzaj kaszlu, płaczu i śmiechu naraz, a potem nagle umarł. Przed wszystkimi! Ważne, żebyś wiedział, Szlojmele: Szymon Zalmanson, mój jedyny przyjaciel, redaktor pisma dla dzieci



«Małe Świąteczka», umarł ze śmiechu w komorze gazowej. Jestem przekonany, że to odpowiednia śmierć dla kogoś, kto wierzył, że Bóg objawia się ludziom tylko poprzez poczucie humoru».

Milczymy wszyscy trzej. Spoglądam na starego przygarbionego Żyda: jego twarz jest podobna do tej, którą zapamiętałem, ale bardzo wychudzona. Łysina, brązowożółtawa skóra, wielkie, brzydkie pieprzyła, bulwiasty nos, *zweżająca*, się ku podbródkowi twarz. A niech mnie, mówiła babcia Henia, ależ ty jesteś do niego podobny. Co też ty mówisz, złościła się mama w jidysz, patrząc na jedyne zachowane zdjęcie Anszela Wassermana z dzieciństwa: popatrz na ich nosy.

Niemiec wchodzi za szerokie biurko, zamyśla się. Kiedy się zastanawia, wciąga odrobinę policzki do środka.

– Nie! – ogłasza nagle zdecydowanie, waląc pięścią w blat (Wasserman: „O mało nie wyzionąłem ducha ze strachu!”) i powtarza: – Nie! To niemożliwe! – Z widoczną pretensją zwraca się do Wassermana: – Realizujemy tu plany zakrojone na szeroką skalę! Nigdy jeszcze nie ponieśliśmy klęski!

Dziadek kuli się jeszcze bardziej w swych wspaniałych, bezsensownych szatach. (Wasserman: „Byłem jak naczynie napełnione wstydem. A co myślałeś? Nie czułem się swobodnie. Nie lubię przyciągać złego oka nadaremnie. Po co się złościć?”). Próbuje pocieszyć Neigla, mówiąc:

– Panie komendancie, proszę może spojrzeć na to – na mój mały problem – jako na błąd w granicach statystyki, dobrze?

Neigel jest oburzony:

– Statystyki?

Jego oburzenie przeraża Anszela:

– Broń Boże! Co ja powiedziałem! Ale ze mnie głupiec! Ach! Byłem świecie przekonany, że właśnie to lubicie, że lubicie cyfry. Nawet dostałem od was piękny numer. Co taki jak ja z tego rozumie? Nic. Tylko na zdrowy rozum. Rozsądek mówi, że gdy uśmierca się miliony na całym świecie, można – proszę mi znowu wybaczyć – można przyjąć, że jeden czy dwóch nie potrafi. Umrzeć, znaczy się.

Neigel pochyła się naprzód. Oczy *zweżają* mu się w straszliwym

podejrzeniu:

– Dwóch ? Jest was dwóch ?

– Nie, panie komendancie! Niech Bóg broni! Jak to dwóch? Podalem tylko przykład: załóżmy, że byłoby dwóch.

Stara się uśmiechnąć krzywym uśmiechem, udobruchać Niemca, ale widzi, że każde słowo pogarsza sytuację. Neigel przygląda mu się z bliska jeszcze przez chwilę, jak uczony badający nowe żyjątko pod mikroskopem. Potem wydaje lekkie prychnięcie gniewu, zdumienia lub pogardy – podwija górną wargę aż do nosa i rozlega się dźwięk, który brzmi jak „humpf”.

Siada i chwyta się za głowę, nagle zagubiony. Wojskowy telefon wydaje kilka brzęknięć, a on szczeka coś do słuchawki i rzuca nią. (Wasserman: „Żeby tak zdrów był, on się bał! Ten cały *jekke!* Słowo daję, Sziojmele: takiego stwora zesłał mu sam Najwyższy! Żyd, który nie może umrzeć! Jego marzenia rozmyły się niczym dym na niebie! A jeśli inni Żydzi nauczą się sztuki nieumierania? Co będzie z tym miłym obozem, pełnym straszliwych narzędzi i śmiercionośnych machin? A Führer? Czy zdenerwuje się straszliwie, gdy dotrze do niego smutna wieść o Żydzie, psującym jego wielkie zamierzenia?”).

Wasserman ośmiela się podnieść głowę i rozejrzeć. (Wasserman: „Zauważyłem, że pokój wygląda jak biuro bardzo ważnego oficera, pełen map, plansz i wielkich szaf, najrozmaitszych grubych tomów, dokumentów z wizerunkiem orła. Cieszyłem się za Neigla, że nikt nie żałuje mu zaszczytów. Miał też medal w kształcie kółka, jakie wkłada się w nos zwierzęciu. Nosił go na szyi, nad sercem”). Obaj płoszą się lekko, gdy ciszę przerywa pukanie. Wchodzi Hoppler.

– Czego chcesz? – pyta Neigel, nagle zmęczony, poszarzały. Hoppler patrzy na Wassermana i ze zrozumieniem kiwa głową. Neigel nie reaguje, jakby zatonał nagle głęboko w myślach i adiutant z wahaniem przypomina:

– Pan komendant kazał mi zabrać trupa, pan komendant...

Teraz widzimy, jak Neigel postanawia, że wpadnie w gniew. To naprawdę świadoma decyzja: jego gniew zakipiał w jednej chwili. Klatka piersiowa zamieniła się w szybkowar i para przepłynęła przez gardło aż do twarzy, barwiąc

ją ciemną czerwienią. (Wasserman: „Aj, dobrze znałem ten proces. Codziennie o piątej po południu Neigel wychodził przespacerować się przed domem, odetchnąć świeżym powietrzem... Miał w zwyczaju atakować jedną z wracających z robót grup i pod byle pretekstem – czy kiedykolwiek zabrakło pretekstów? – wybierał jednego człowieka, którego zabijał na miejscu strzałem z rewolweru. Dopiero wtedy mógł się odprężyć. Tylko że naprzód musiał wprawić się we wściekłość, aż jego twarz wyglądała jak ogarnięta płomieniami! Jak łatwo mu to przychodziło, gdy jego serce stawało w ogniu! Nu, i stąd znałem cały proces. Tym razem celem jego gniewu stał się młody Hoppler, niewinne jagniątko. Zauważyłem, że chłopak był wstrząśnięty, ale możliwe, że spowodowało to upokorzenie – dowódca obraził go przy Żydzie. Rozumiałem uczucia Hopplera i kiedy Neigel udzielał mu reprimendy, odwróciłem wzrok, udając, że przypomniały mi się nagle statki żeglujące po morzu”).

Zawstydzony Hoppler wyszedł i z oblicza Neigela w jednej chwili znikły oznaki gniewu. Jakby je zerwał i odrzucił. Rzecz jasna, przeraziło to tym bardziej Anszela Wassermana. Skurczył się, kości obojczyków zaznaczyły się jeszcze ostrzej. Neigel wstał i zaczął przemierzać pokój gniewnymi krokami. Zatrzymał się za Wassermanem, a staruszek, który na chwilę przestał go widzieć, jał się rozglądać ze strachem. Jak ślepe pisklę, które czuje, że do gniazda zbliża się drapieżnik.

– Nazwisko! – zażądał Neigel.

– Anszel Wasserman, szanowny panie.

– Wiek?

– Wiek? Ach, nu... liczę sobie blisko sześćdziesiąt lat.

– Komu podlegasz ?

– Keislerowi, wasza miłość. Komendantowi dolnego obozu.

– I co tam robisz?

– Nu, cóż, to jest tak, że przez cały czas mieszkałem z „dentystami”, którzy wrywali zęby trupom. Tyle że ja sam takim „dentystą” nie byłem. Oni byli.

Neigel przygląda mu się, nie rozumiejąc.

– Nie?

Wasserman, z dziwną skromnością:

– Nie, panie komendancie. Nie miałem tego szczęścia.

– To kim byłeś, do wszystkich diabłów?

– Ja? Nu, kim ja byłem? Byłem tam *Scheissemeister*. Właśnie tak.

Neigel cofa się, marszcząc nos. Dziadek mówi łagodnie:

– Pan komendant Keisler zezwalał mi na kąpiel raz na tydzień. Nawet mydło i sodę wydzielano mi z wielkiej łaski pana Keislera. Proszę się nie obawiać niemiłych zapachów.

Niemiec śmieje się krótko. Samymi ustami. Oczy pozostają poważne:

– Ciekawe. *Scheissemeister*, który nie umie umrzeć? Jeszcze o czymś takim nie słyszałem! Może odkryliśmy cudowne właściwości gówna?

To znaczy, że dziadek Anszel odpowiadał za latryny w dolnym obozie. Błogosławionej pamięci Bella mówiła o podobnych okolicznościach *a jiches* – dobre układy!

Neigel ma plan, ale nie jest co do niego przekonany. Słysząc to w jego głosie:

– A jeśli – jeśli, założmy, przywiążemy cię do czterech samochodów, które pojedą w przeciwnych kierunkach?

Żyd na to smutnie, lecz rzeczowo:

– Obawiam się, że otrzymacie w ten sposób czterech osobników mego wybrakowanego rodzaju.

– Na tym oczywiście nikomu nie zależy.

Powiedzieli to jednocześnie. Po polsku. Z dziwną powagą. Na chwilę jeden z nich utkwiał wzrok w oczach drugiego. Neigel, być może przez resztki dziecińczych zabobonów, musnął skraj rękawa, tuż obok czaszki i puszczeli SS. Domyślałam się, że tak robiono w jego rodzinnej wsi, aby odegnać pecha, gdy dwie osoby powiedzą jednocześnie to samo. Może chciał się ochronić przed większym zagrożeniem. Nie wiem: o Neiglu wiem bardzo niewiele. To dla dziadka Anszela wszedłem do białego pokoju. Na nic innego nie starcza mi sił. Neigel zapisuje coś w małym czarnym notesiku, a Wasserman w tej chwili zauważa, że

na biurku stoi, obrócona tyłem, fotografia w ramkach. (Wasserman: „Oczywiście starałem się odgadnąć, kto jest tym szczęśliwcem, przedstawionym na fotografii – jego polska kobieta? Jakaś kochająca matka? Ojciec? Może podobizna malarza z Linzu we własnej osobie, którego imię nada swemu dziecku? Ze Ezaw miał w ogóle już dzieci, nu, taka myśl nie przyszła mi do głowy, daję słowo”).

Teraz – przecież to musi się w końcu stać! – Neigel powie:

– Mówisz, że nazywasz się Wasserman? Wasserman? – Przekartkował notes, zapatrzył się w zapisane nazwisko i powiedział: – Jakbym już kiedyś widział... Ach, przecież wy wszyscy nazywacie się Wasserman... Powiedz, nie byłeś nigdy w... Co za bzdura.

Naprawdę bzdura, ale Niemcowi miga nagle przed oczami wychudzona twarz starego człowieka. Oświetla pokój niczym pijany, pomarańczowy księżyc.

(Wasserman: „Ponieważ powiedział to, co powiedział, podpełził uśmiech i jak kot wspiał się na moje wargi. Wiedziałem, co Ezaw myśli. Jakie pytania padną po mojej odpowiedzi. Nie wierzyłem, że coś takiego mi się przytrafi. Tu?!”). Fałszywie skromnym głosem, jak posmarowanym oliwą, mówi:

– Nie, proszę pana. Nigdy nie spotkaliśmy się osobiście, choć być może jednak się znamy. Jeśli wolno mi panu komendantowi coś powiedzieć, opowiedzieć pewną anegdotę. Byłem żydowskim pisarzem – pisałem powiastki dla naszych kochanych milusińskich, przekładano je na rozmaite języki europejskie, w tym także piękną i bogatą mowę niemiecką, nu, tak. – Coś jeszcze, czego Neigel nie mógł usłyszeć: „Anszelu, stary, zarozumiały głupcze!”. I usprawiedliwiając się niepewnie: „Nu, to naprawdę głupie, życzyć sobie czegoś takiego. Co prawda także wśród nich, Niemców, te opowieści były bardzo popularne! Ale życzyć sobie, aby czytał je morderca? A fe, Anszelu! Straciłeś rozum? Czy jesteś tak próżny, że przyznajesz sobie więcej niż jedną ósmą jednej ósmej chwały, należnej mądrym uczoneму?”. Wasserman zwraca się do Neigla z rozpaczą, ze straszliwym pragnieniem, które być może nie jest mi całkiem nieznanym: – Proszę pana, mój pseudonim, który znajdował się w tych drobnych utworach, brzmiał – może kiedyś wpadł panu w oko? – Szeherezada. Anszel Wasserman-Szeherezada.

Czy to błysk w oczach Neigla? Źrenice rozszerzyły mu się ze zdumienia, zbyt szybko stłumionego? Pochylamy się z Wassermanem lekko, jak pociągnięci jednym sznurkiem. (Wasserman: „Zna? Wie? Ach, fe! Nie osądzaj mnie, Szlojmele. Byłem spragniony rozpoznania, spojrzenia, mówiącego: Ach! To ty? To twoje historie tak lubiliśmy czytać, a nawet wycinaliśmy je z gazet? Czy nie złagodzi tego fakt, że w tamtych czasach czytały moje opowiadania tysiące dzieci? *Dzieci Serca* drukowano w dziesiątkach pisemek młodzieżowych w całej Europie. Jeszcze jakieś pięć lat temu zamieszczano wznowienia – choć nie płacili mi za to ani grosza – a pocztówki od wiernych czytelników nadchodziły z Pragi, a nawet z Budapesztu! Opowiem ci pewną małą anegdotę. Nawet w pociągu, który nas tu przywiózł, niech się udusi własną parą, w największym ścisisku, wśród tłoku, głodu i choroby, przypadł do mnie nagle Żyd, niestary i niemłody, z czerwonym oparzeniem przez pół twarzy, i wyznał, że w latach chłopięcych czytał wszyściutkie moje opowiadania. Et! Okazało się, że ten nieszczęsny człowiek przez dziesięć lat jadał w tym samym miejscu co ja, dokładnie o tej samej godzinie, wieczorem, u Fajntocha na Kredytowej. Ja siedziałem tu, on tam. Oczywiście nigdy nie odezwał się do mnie ani słowem. Teraz nagle wyzbył się zahamowań i w pociągu zaczął, *nebuch*, płakać z tęsknoty za moimi historyjkami. Nu, wyobraź sobie! O tym myślał w takiej chwili. Ja już, niestety, nie mogłem go pocieszyć”...).

Neigel opiera się plecami o ścianę, bawiąc się linijką:

– Nie znam się na literaturze, *Scheissemeister*. Wassermanowi wyrywa się niechcący:

– Nu, każdy ma swoje powołanie, panie komendancie – po czym błędnie ze strachu.

Neigel nie wstaje, aby powalić go ciężką pięścią. Nie wzywa ukraińskiego wartownika, aby zatłukł bezczelnego Żyda. Rzuca długie, zamyślane spojrzenie. Kreśli linijką zaokrąglone ósemki i krzywe zera. Na szczęście, z prawej strony, z dziwną mocą puchnie drobny mięsień. Potem linijka zaczyna rysować w powietrzu zdecydowane siódemki i pełne autorytetu czwórki. Być może w ten sposób Neigel powiadamia świat, że krystalizuje się i dojrzewa w nim decyzja.

Wasserman wciąż nie może wyjść ze zdumienia, że nie zapłacił drogo za swoją czelność. (Wasserman: „Być może był bezradny, uznał mnie za jakieś czarymary, i to osłabiło jego mordercze chęci. Być może każdy lew lubi, jak myszka łaskocze go w palce u stóp, oboje w ten sposób odczuwają posmak wielkości. Krótko mówiąc – odważyłem się, on się uśmiechnął, i tyle”). Ku jego jeszcze większemu zdumieniu Niemiec prosi, aby opowiedział trochę o swoich historyjkach.

Wasserman oblewa się rumieńcem. (Wasserman: „Nie sądziłem, że zostało we mnie dosyć krwi, żeby zabarwić choćby jeden policzek!”). Trochę to krępujące widzieć go w takim stanie. Spuszcza oczy, splata palce i śmieje się przepraszająco:

– A, co tam, et! Taka tam pisanina... historyjki dla dzieci. Dzieci akurat je bardzo lubiły... krytykom też się podobały... przynajmniej niektórym. Nosiły tytuł *Dzieci Serca* i drukowano je w odcinkach w rozmaitych pismach... raz w tygodniu... całe serie... Dzieci, to znaczy te Dzieci Serca, należały do wszystkich narodów, za pozwoleniem. Był jeden od naszych, było dwoje Polaków, Ormianin, ktoś z Rosji. Zawsze walczyli z mrocznymi siłami, tak, tak, z ciemnymi mocami, bez obrazy. Przeżywali najróżniejsze awantury! Zmagali się z rozmaitymi katastrofami, chorobami i plagami, nieszczęściem, niesprawiedliwością i ciemnotą. Oto na przykład pewnego razu uratowali małego ormiańskiego chłopca, którego wioskę zaatakowali Turcy, mordując mieszkańców mieczami. Było to jeszcze przed wielką masakrą pod koniec zeszłego stulecia... mali wojownicy udali się tam swym wehikułem czasu... to taki mój wynalazek... Innym razem pomagali Murzynom, gnębionym przez amerykańskich plantatorów, kiedy indziej znowu mądrym człowiekowi, którego nazwiska akurat zapomniałem, temu, który wydał wojnę mikrobowi wściekliczyny, cholera. Stanęli u boku Robin Hooda, walcząc z możnymi Albionu, i co jeszcze? Et! Właśnie, byli też czerwonoskórzy, którym skończyła się żywność, i Dzieci Serca przyleciały, żeby zabrać ich na Księżyc. Pomogli nawet waszemu wielkiemu kompozytorowi Ludwigowi van Beethovenowi, który ogłuchł. Dzielne Dzieci Serca pomogły mu poradzić sobie z tym kalectwem. Wiele podobnych przygód,

które miały stanowić rozrywkę... i przemyścić trochę nauki w przyjemny sposób. Opowieści o wydarzeniach historycznych i rozmaitych ludach... a wszystko to jakby mimochodem, żeby nie zmęczyć czytelników informacjami, drobne fakty historyczne, opakowane w fantastyczne historie... takie głupstwa... właściwie bełkot, ale ja je lubiłem...

Neigel cierpliwie słucha tych żenujących peanów. Wciąga policzki i przygląda się Wassermanowi zmrużonymi oczami. Na twarz wypływa mu lekki rumieniec. Kiedy Wasserman w końcu milknie, Niemiec wciąż mu się przygląda, jakby nasłuchiwał jakiegoś odległego głosu.

Nagle otrząsa się, chrząka z dziwną złością, przesuwa dłońią po czole:

– Co to za dziwaczny strój masz na sobie? Wyjaśnij. Wasserman jest odrobinę zdziwiony:

– To? Ech, ten strój... to taki żart komendanta Keislera... Zarządził, żeby każdy *Scheissemeister* nosił wspaniałe strój, nawet sam wyszukał dla mnie odświętne szaty wielkiego rabina... i pięknie wykonany kapelusz z pomponami, który zamówił specjalnie dla mnie. Było osiem pomponów, ale jeden zgubiłem, biegnąc tutaj, niestety...

– A zegarek? – pyta Neigel. – Po co zegarek?

– To także pomysł komendanta Keislera. Był przekonany, zapewne słusznie, że więźniowie zbyt często chodzą do ubikacji i cierpi na tym praca. Dlatego postawił mnie, niczym proroka Samuela, nad całą trzódką i uczynił mnie, nu, *Scheissemeister*, a na szyi zawiesił mi zegar, i wyznaczył czas: dał nam w swej niezmiernie łaskawości dwie minuty i ani sekundy więcej. (Do mnie zwraca się pełnym gorzki szeptem: „Nu, i jak myślisz, Szlojmele, co się stało? Szybko dostałem okropnych hemoroidów! Mówię ci, zęby zaciskałem z bólu! A potem – jak u wszystkich, zamknęły się bramy i zaryglowano drzwi. To znaczy, bezustanne zatwardzenie. Przynajmniej mam to szczęście, że zawodzi mnie zmysł węchu... nu, dość mądrości... Obawiam się, że nigdy już nie będę mógł spokojnie słuchać dzwonienia budzika”).

– Tak – mówi Neigel z lekką drwiną – Keisler ma fantazję. Sam mógłby być pisarzem. Jak sądzisz?



Wasserman myśli „A figę!”. Na głos zaś:

– Rzeczywiście, mógłby, panie komendancie. Neigel spokojnie:

– Przecież świetnie wiem, co sobie myślisz, *Scheissemeister*. W swoim małym, tchórzliwym serduszku myślisz: nazista nigdy nie będzie dobrym pisarzem. Oni nic nie czują. Dobrze się domyślam, Szeherezado?

Oczywiście, ma rację. Nie wątpię w odpowiedź dziadka i mam zamiar zadbać, aby znał wszystkie fakty. Na przykład w akademii SS w Dachau, niedaleko Monachium, gdzie zapewne przebywał na szkoleniu także Neigel, na tablicy widniały następujące słowa: 1. Najważniejsze – posłuszeństwo partii! 2. Siła woli polega na pokonywaniu strachu i słabości, w tym także litości i współczucia! 3. Miłość bliźniego zachowaj dla Niemców hitlerowskich!

Kiedy widzę, że Wasserman się waha, przynaglam go nieśmiertelną odpowiedzią, którą może przedstawić Neiglowi. Usłyszeliśmy ją od samego Adolfa Hitlera, podczas jego wystąpienia w Berlinie, w trzydziestym ósmym roku: „Sumienie to kwestia żydowska”. Zdanie, które następująco rozwinął Jürgen Stroop, dowodzący akcją tłumienia powstania w warszawskim getcie: „Tym samym Führer zwolnił Niemców z obowiązku posiadania sumienia”.

Te słowa wydają się silnie poruszać Wassermana. „Aż tak? – pyta. – Aj, straszny ciężar włożył na nasze barki ten pacykarz z Linzu. Niech ma dobry, krótki rok!”.

Do Neigla mówi:

– Niech mnie Bóg broni, abym myślał o was takie rzeczy, szanowny panie.

– Tchórz – rzuca Niemiec z pogardą, być może częściowo usprawiedliwioną. – Ty żalosny tchórz. Może mógłbym cię nawet szanować, gdybyś nie był takim tchórzem. – Uśmiecha się krótkim, drwiącym uśmiechem.

– Ciekawe, w jaki sposób wpajałeś czytelnikom poczucie dumy i odwagi. Przecież twoje myśli krzyczą na głos!

Żyd na to:

– Broń Boże, panie komendancie. („Oczywiście, że się go boję! A co myślałeś, Szlojmele? Serce zamiera mi w piersi, gdy słyszę jego słodki głos! Jest

taki ogromny, ręce i nogi ma niczym żelazne pręty, a ja – odwaga dla mnie jest tym, czym mądrość dla kantora. Nawet gdy biorę do ręki kruchą filiżankę – oblewam się potem. A teraz, nu, idź i powiedz gojowi, że trzęsą mi się wszystkie kości”).

Niemiec, zamyślonym głosem:

– Żyd, który nie potrafi umrzeć, a jest też po trosze pisarzem. Może nawet uda nam się przegonić Staukego?

– Przepraszam, szanowny panie? Neigel:

– Stauke. Mój zastępca.

Wasserman:

– Nu, znam tego człowieka. Co z nim?

Neigel:

– Stauke znalazł Szajngolda.

(Wasserman: „Nu, zrozum, Szlojmele, wnętrzności zwinęły mi się w kłębek! Ten Szajngold, może kiedyś o nim słyszałeś, był dyrygentem w najlepszych warszawskich orkiestrach kawiarnianych. Przyjechał w jednym z transportów kilka miesięcy temu, musiał się rozebrać i przebiec nago przez «szlauch», między Ukraińcami z pałkami, żeby ich nagła choroba chwyciła, odmówił *Szema Israel* i już miał wejść do środka, to znaczy do Najświętszego ze Świętych, kiedy Stauke dowiedział się, kim jest. Zabrał go ze stada owieczek i nakazał zorganizowanie obozowej orkiestry. Dał mu nawet batutę z kości słoniowej. Szajngold odmówił dziękczynną modlitwę, przepasał lędźwie jak mężczyzna i poprowadził wspaniałą orkiestrę! Nie spoczął, póki nie zorganizował chóru męskiego i kobiecego, dołączył skrzypków i flecistów. Wiesz pewnie, jak synowie Ezawa kochają muzykę. Lubią jej słuchać, zwłaszcza gdy mają ręce unurzane we krwi, subtelne dusze. Czasami, w święta Rzeszy albo tego małego malarza, niech Bóg da mu wreszcie nową duszę, nawet nam pozwalali posłuchać trochę muzyki. Wydawała nam się piękna niczym melodie wygrywane na obojach, cymbałach i cytrach w dawnej Świątyni! Każdy koncert rozpoczynał się naszym hymnem, to znaczy obozowym... «Tu praca oznacza życie / posłuszeństwo i obowiązek/ aż kiedyś drobna radość / ta ta ta (zapomniałem!)

/ też nam kiedyś ukaże...». Potem wygrywali marsz wojska polskiego *My, pierwsza brygada*. Na deser grali pieśń, napisaną przez jednego z nas, do melodii z filmu *Dziewczyna z puszczy... Palce lizać!*).

Neigel wciąż jest zamyślony. Zauważam, że w jego twarzy jest coś dziwnego: nos i podbródek są bardzo wydatne, imponujące od pierwszego wejrzenia. Także oczy przykuwają uwagę, budzą niewyjaśniony dyskomfort. Potem jednak człowiek odkrywa, że w tej dużej twarzy istnieją martwe, pozbawione charakteru strefy. Chociażby szczupłe policzki i bardzo szerokie czoło. A nawet miejsce pod dolną wargą. Pustynne ugory, na których nie zdołała zapuścić korzeni żadna zdecydowana cecha. Bez wątpienia jednak przemawiały teraz właśnie nos i podbródek:

– Posłuchaj no, *Scheissemeister*. Mam pewien pomysł. Może pozwoli ci to przeżyć, a może nawet żyć trochę lepiej. Posłuchaj.

Ale Wasserman jakby się skurczył i cofnął w głąb muszli swojej barwnej szaty. Odezwał się stamtąd zduszonym głosem:

– Szczerze mówiąc, panie komendancie, nie życzę sobie tego.

Neigel jest urażony. Jego oczy jakby na chwilę zapadają się w czaszkę, ścinają się niczym płynna stal.

– Słyszysz, co powiedziałeś? Oferuję ci życie, więcej – dobre życie! Tutaj!

Na to Wasserman, bojaźliwie przeproszającym tonem, lecz z uporem:

– Tysięczne dzięki, ale nie mogę. To mój mały kaprys, nie warto nawet o tym wspominać, panie komendancie. Proszę o wybaczenie.

(„Oj, gdybyś widział spojrzenie, jakim obdarzył mnie Ezaw. Jak cios miecza! Te oczy! Pod takim spojrzeniem człowieka napelnia od razu słabość i wstyd, ono odkrywa siedem grzechów w jego sercu! Takie spojrzenie mówi: doskonale wiem, co z ciebie za człowiek! Nawet jeśli można cię nazwać człowiekiem, znajdujesz się w objęciach zbrodni! Nie masz innego wyboru poza popełnieniem mordu, et! Mówię ci, Szlojmele, spojrzenie człowieka, który jakby wie wszystko o bliźnim, ta wiedza w jego oczach przewyższa wszystkie teorie, za jej pomocą ocenia cały świat!”).

Wtedy – naprawdę, był już najwyższy czas – Neigel mówi półgłosem (z

oczami utkwionymi w napięciu w obliczu Wassermana, niczym wąż hipnotyzujący mysz, którą zaraz połknie):

– Serce gotowe?

Anszel Wasserman, nie rozumiejąc, bez zastanowienia, odpowiada:

– Serce gotowe!

Zapada cisza.

(„W tej chwili odniosłem wrażenie, że moje ciało kurczy się i znika jak papier trawiony ogniem. Poczulem niezliczone ukłucia, a głowa mi opadła, jak, nie daj Boże, ścięta. Aj, Szlojmele, nawet jeśli siedem razy umrę i ożyję, jeśli tysiąc jeden raz będę opowiadał tę historię głuchemu światu, nigdy nie zapomnę tej chwili, gdy Neigel wypowiedział sekretne hasło *Dzieci Serca*. Nie dziwię się już niczemu. Wszystko można spotkać...”).

Neigel, prawie niedosłyszalnym szeptem:

– Na każdą próbę?

Żyd z głębokim, bezsilnym westchnieniem:

– Na każdą próbę.

Co w tym dziwnego? – mówi w duchu Wasserman, drżąc na całym ciele, starając się wciąż przekonać samego siebie, że nie jest poruszony. Przecież każde spotkanie dwóch osób to sprawa cudowna i tajemnicza, jak spotkanie kochanka z ukochaną, a nawet męża i żony, którzy mieszkają ze sobą całe życie. Nu, tak. Nawet oni spotykają się ze sobą bardzo rzadko, a oto on i ja – niezwykle!

Ale w jego ciele nie ma ani jednej kropli krwi. Także Neigel pobladł. Wydają cię całkiem puści. Jakby wszystko, co było w środku, w jednej chwili odpłynęło do żył nowego, przezroczystego embrionu, wyrosłego z żarliwych błagań i lęku dwóch ludzi, którzy przez chwilę zerknęli na siebie nad okopami.

Twarz Neigla wyostrza się. Na wielkich pustynnych obszarach znać jakąś lękliwą kruchość i poczucie klęski. Prawie nie może wydobyć głosu z gardła. Musi odchrząknąć kilkakrotnie, zanim zacznie mówić, ociężale, ochryple, że w swej rodzinnej wiosce Fissan, położonej u podnóża Zugspitze w Bawarii, czytał opowiadania Anszela Wassermana-Szeherezady. Pamięta większość z nich.

Kiedy miał osiem lat, nazwał ukochanego psa Otto, na cześć przywódcy Dzieci Serca. Że on i jego brat Heinz: „Można powiedzieć, wyrosliśmy na twoich opowiadaniach! Na nich i na Nowym Testamencie uczyliśmy się czytać!”.

Dobrze, nie należy przesadzać. Tak czy owak, to podejrzany zbieg okoliczności i dlatego Neigel powie:

– Oczywiście, dawano nam też do czytania inne rzeczy. – Pośpiesznie wymienia: – Czytaliśmy Karola Maya i inne książki, których już nie pamiętam. Ojciec bardzo pilnował, żebyśmy dużo czytali. Oczywiście wolałby, abyśmy czytali Nowy Testament. Ach, miał względem nas rozmaite plany. Ale ksiądz proboszcz przekonał go, aby pozwalał nam czytać także twoje opowiadania. Docierały do nas dzięki pisemku „Moja Ojczyzna”. Pamiętam, jak wyglądało, pamiętam nawet jego zapach. Przychodziło do kościoła raz w tygodniu i ksiądz Knopf co niedziela pożyczał je mnie i Heinzowi. Myślę, że sam też je czytał, bo kiedyś usłyszałem, jak mówi ojcu, że twoje historie przypominają mu opowieści biblijne. – Poczzerwieniał jeszcze bardziej, może ze wstydu, że dał się tak ponieść uczuciom. Ale źródło tego wzruszenia leży chyba w głębinach, w których wpływ kodeksu oficera SS jest trochę słabszy. Słowa wytryskują z niepohamowanym impetem. – Posłuchaj, Szeherezado, nagle wszystko stanęło mi przed oczami! Jakby to było wczoraj! Nasza wieś, proboszcz Knopf, który miał teleskop i obserwował gwiazdy, ale mówiono, że obserwuje także całkiem inne miejsca. I – słowo daję! Posłuchaj, mój ojciec wyrzeźbił kiedyś w drewnie całą górę Zugspitze! Karczmarz kupił od niego rzeźbę, która do dziś tam jest. Dziwne, prawda? Mój ojciec nie żyje, ale istnieje wciąż kawał drewna... Tak, przede wszystkim twoje opowiadania, pamiętam je dobrze, i tylko po to, żeby ci udowodnić... („Tak, tak!” – wołamy jednym głosem Wasserman i ja. – Szybko, szybko! – Błagamy go w milczeniu. Teraz ty masz nas przekonać, zarzucić nas nazwami, faktami, drobnymi detalami. Fakty! Wołam wyschniętym gardłem, zduszonym głosem, daj mi fakty, Neigel! Budowla, którą wznosimy, wisi na cieniutkim włosku, jest słabym płodem fantazji, którego sine ciało trzeba rozcierać energicznie, z poświęceniem. Nu, kłam, Neigel, kłam umiejętnie i z wdziękiem, bo jestem skłonny ci uwierzyć. Jestem gotów zapomnieć siebie i

dopuszczyć połowiczne oszustwo, chcę uwierzyć, że coś takiego jest możliwe. No dalej, Herr Neigel! *Schnell!*).

Neigel wywołuje duchy:

– Ten chłopiec, ich przywódca, nazywał się Otto. Nazwałem tak swojego ulubionego psa. Była też dziewczynka, którą Otto kochał, blondynka z warkoczem, nazywała się – nie, nie mów mi – Paula? Prawda?

Wasserman, łagodnie i niepewnie:

– Doskonale, panie komendancie. Prawie się zgadza! Tylko że Paula nie była ukochaną Ottona, ale...

Neigel uderza się ręką w czoło.

– Co za głupota! Oczywiście! Paula była siostrą Ottona! Teraz wszystko się układa. W Paul i kochał się inny chłopak. Ten, który przyjaźnił się ze zwierzętami. Umiał je uzdrawiać. Potrafił się też z nimi porozumiewać, prawda? Nazywał się Alfred? Nie? Chwileczkę, niech pomyślę. Nazywał się... Fried! Tak. Albert Fried. Był zakochany w Pauli, ale nigdy jej tego nie okazał. Widzisz, Szeherezado, wszystko pamiętam. Wszystko. – Na jego błyszczącej twarzy kropli się pot.

Wasserman – wydaje mi się, że trochę go już znam – musi częściowo zepsuć te serdeczne uczucia, skierowane do niego.

– Panie komendancie, przecież te historie opowiadały o... nu... jak by to ująć... o niższych narodach...

Neigel pomija to uśmiechem:

– Tak. Wiem. I o Ormianach, o Murzynach. Nie zapominaj, to były inne czasy. To przecież było... jakieś trzydzieści lat temu? Więcej? Trzydzieści pięć? Czterdzieści lat? Tak. Czterdzieści lat. Na początku wieku. Jak szybko to wszystko minęło! Miałem wtedy sześć lat. Zaczynałem uczyć się czytać. Przez kilka lat, może pięć, może więcej, co tydzień czytałem twoje historie... Coś podobnego...

Pamięć tamtych czasów nie opuszcza Neigla. Jego wielka głowa porusza się z wysiłkiem w górę i w dół, jakby czerpał wspomnienia z głębokiej studni. Ktoś, kto patrzy na niego teraz, na rosłego mężczyznę, podekscytowanego jak

chłopiec, zrozumie natychmiast, że istotnie były to „inne czasy”. Wasserman, nie wiedząc czemu, szybko porzuca tę przyjemność. („Uwierzyłybyś, Szlojmele? Prawdziwe «ukazał się Józef swym braciom»! Fe!”). Czekając na moment, gdy ten niewiarygodny sen potoczy się w złym kierunku. Złym dla niego.

– Co jeszcze umiesz, poza wyrywaniem złotych zębów trupom i pilnowaniem latryn? – pyta Neigel, gdy mija pierwszy entuzjazm.

– Nu, co tu mówić, panie komendancie. Umiem opowiadać historie – odpowiada Wasserman nieśmiało.

– O to zadbamy tak czy owak – mówi beztrąsko Neigel.

Wasserman:

– Słucham?!

Niemiec:

– Zamilcz na chwilę. Muszę się zastanowić. Tak, tak. To z pewnością możliwe. Jest tylko jeden problem. Jesteś ostatni z grupy tych, z którymi już skończyliśmy. Ale to się da załatwić. Ktoś inny, kto przyjedzie dzisiaj, po prostu nie dostanie numeru. To nie kłopot. – Zapisuje coś w czarnym notesie. – Popatrzmy: czym zajmowałeś się przed wojną? Tylko pisaniem?

– Pisaniem? To znaczy, że pan nie wie?

– Nie wiem czego?

– Nu, cóż, ja już prawie dwadzieścia lat niczego nie piszę... *Dzieci Serca* się skończyły... Zarabiałem na życie jako korektor w niedużym piśmie, wydawanym w Warszawie... czasami redagowałem cudze artykuły i eseje, przygotowywałem do druku opowiadania innych pisarzy, miałem się rozmaitych zajęć...

– Gotowanie! – wykrzykuje nagle Neigel. – Będziesz pomagał kucharce. W ten sposób zostaniesz tu, nie prowokując pytań.

– Proszę o wybaczenie. Ale gotować prawie wcale nie potrafię. Herbatę i jajko. („Faktycznie, przez wszystkie długie lata kawalerskiego życia stołowałem się w domowej jadłodajni Fajntocha, Szlojmele. Na pierwsze danie rosół z makaronem, na drugie śledź, a na deser, nu, zgaga”).

Neigel nie rezygnuje łatwo. Proponuje Żydowi różne zajęcia domowe,

jedno za drugim (Szyć? Prasować? Naprawiać? Tynkować?). Dopiero po kilku sekundach zdaję sobie sprawę, że z niego kpi. Z jego niezaradności literata. To mnie irytuje. Z rosnącą złością patrzę, jak Wasserman poddaje się bez walki. Wciąga głowę między wystające obojczyki, i opowiada mi po cichu: „Wciąż myślę o Sarze. Wszystkie moje myśli wciąż biegną do niej. Zawsze żartowaliśmy, że mam dwie lewe ręce, cienkie patyczki, jakie tam ręce, czyste kpiny, a nie ręce, nogi Mefiboszeta<sup>4</sup> były od nich sprawniejsze! To cud, że znalazłem Sarę, która była prawdziwą gospodynią, i już w rodzinnym domu zajmowała się wszystkim, znała się nawet na elektryczności. Potrafiła nicować kołnierzyki jak prawdziwy krawiec i żelować buty jak doświadczony szewc. Czego to ona nie potrafiła!”.

Neigel się zmęczył i wyładowuje złość w złośliwym dogryzaniu. (Niezbyt wiele osiągnąć, jak na sześćdziesięciolatka, który nawet umrzeć nie potrafi). Nagle przypomina sobie kolejną możliwość i woła na głos:

– Ogrodnictwo!

A ja wtrącam się do rozmowy, odpowiadając za zdziwionego Wassermana:

– Ogrodnictwo! Tak!

Neigel uśmiecha się z zadowoleniem. Roztacza zielone marzenia (Założysz mi śliczny ogródek za domem!); załatwia niewidzialne porachunki (Będzie o wiele ładniejszy niż Staukego, prawda?); rozwija i ulepsza pierwotny pomysł (Założysz też ogródek warzywny. Żebym nie musiał jeść rzepy, którą polskie chłopki podlewają oślim moczem); a ja notuję w myślach, aby sprawdzić, co i jak sadi się w ogródku (Ruti ma rękę do takich rzeczy). Ale Wasserman, irytująco nieprzewidywalny Anszel Wasserman mówi:

– Prawdę rzekłszy, panie komendancie, nie mam chęci. Całkiem się do tego nie nadaję.

Neigel nie jest wstrząśnięty odmową. Chce mieć Wassermana i nie zrezygnuje tak łatwo z realizacji planu. Umiejętnie sprowadza rozmowę na

---

<sup>4</sup> Mefiboszet – syn Jonatana, wnuk Saula. Utykał na obie nogi. Ks. 2 Samuela 9:13 (przyp. tłum.).



bezpieczniejszy temat *Dzieci Serca* i przypomina fabułę opowiadania o buncie murzyńskich niewolników w Ameryce. Na zakończenie sprytnie go prowokuje:

– Przyznaj, Szeherezado. Nie myślałeś, że są wśród nas tak dawni twoi wielbiciele.

Wasserman dziękuje Neiglowi lekkim skinieniem, jedynym w swoim rodzaju pod względem wieloznaczności. Wyraża jednocześnie: 1. skromność, 2. fałszywą pokorę 3. drwinę z samego siebie; dodatkowo jest także lekki uśmiech, który ma w sobie: a. nieomal psią wdzięczność, b. umniejszenie samego siebie, choć tylko pozorne, c. niezmierną, żalosaną tęsknotę, miazdżoną żelaznymi szczękami, które układają się zarazem do uśmiechu, jak w nieustającym tiku nerwowym.

(Wasserman: „Fe! Byłem pewien, że nigdy go już nie będę potrzebować, mego małego gestu, a jednak na starość...”). Neigel wciąż sący komplementy. Przemycia kilka ciekawych szczegółów o sobie, o dzieciństwie w Fissan, o ojcu. Nagle dzieje się coś dziwnego, całkiem niezrozumiałego: twarz obersturmbannführera Neigla poważnieje, twardnieje, jakby postawił ją na baczność. Zaczyna szybko, oficjalnie wygłaszać zdania, niemające żadnego związku z poprzednim tematem.

– Dowodzę stu dwudziestoma oficerami i żołnierzami, Wasserman. Transporty przywiozły tu sto siedemdziesiąt tysięcy ludzi – to dane z początku tygodnia! – Wygląda, jakby nakręcała go od środka jakaś bardzo długa sprężyna. Znowu potrzebuję Wassermana („Widziałeś, z jaką dumą przemawia? Zerkąłem pod stół, żeby zobaczyć, czy stuknie obcasami. Ale nie stuknął”). Wyjaśnia, że Neigel czuje przymus mówienia tych niespodzianych rzeczy, pochodzących z „głębszych źródeł niż cheder rabina Himmlera” i: „Nu, takie incydenty nieraz mi się przytrafiały. Spotykałem dorosłych ludzi, zażywnych ojców rodzin, którzy w chłopięcym wieku czytali moje opowiadania. Zobacz, jakie to niezwykle. Każdy musiał pokazać, jak urósł i zważniał, jakim stał się mężczyzną, że piastuje stanowisko w nauce lub handlu, i jaki zdobył sobie poklask – krótko mówiąc, Mojsze Grojs! Być może chcieli mi w ten sposób pokazać, że nie zmarnowali lekcji, wyniesionej w dzieciństwie z moich historii.

Dziwne są ludzkie reakcje, Szlojmele. Przypominali mi uczniów, przechwalających się przed dawnym nauczycielem, bo w obecności nauczyciela wszyscy wracamy do dzieciństwa. Być może podobnie jest z autorami dla dzieci. Wyobraź sobie, jak słodka była to melodia dla moich uszu. Ale nie chciałem odpowiadać jak głupiec szaleńcowi i wybąkałem tylko: Nu, tak, tak to właśnie jest. On także zrozumiał, że się wygłupił, wsadził nos do czarnego notesu i zapadła cisza.

Wasserman wykorzystuje pauzę, aby opowiedzieć mi tyle, ile sam wie o Neiglu i jego zastępcy Staukem, o którym Neigel wspominał. W obozie przezywano Neigla „bykiem” ze względu na wyjątkowo masywną głowę i ataki złości. („Gdybyś go widział w gniewie! Zionął ogniem, z ust buchały mu płomienie, ogniste kule!”). Jego zastępcę, obersturmführera Staukego, więźniowie nazywali „laleczką”. („Ze względu na jego twarz, delikatną buzię niewinnego chłopca. Niczym prostoduszny syn z Hagady<sup>5</sup> na Pesach! Ale to urodzony morderca, drapieżny jak lis, jadowity jak skorpion”). Neigel we wszystkim różnił się od Staukego. Stauke, według Wassermana i spisanych zeznań, które ostatnio przeglądałem, był chorym sadystą, dla którego Bramy mądrości są zawsze otwarte do wymyślania nowych metod tortur i męczarni; poluje, rozszarpuje i zabija z przedziwną przyjemnością i niespotykaną pasją. Poza tym Stauke to zepsuty żołdak, niestroniący od przekupstwa, upijający się często w oficerskim kasynie, a czasem także: „Nu, cóż, atakuje jakąś młodziutką wiejską dziewczynę”.

Nie, Neigel to nie Stauke, a Stauke to nie Neigel. Różnią się od siebie i dopełniają się nawzajem, jak dobrana para. Pat i Pataszon! Neigel, według Wassermana: „jest jak odrobiony z jednej bryły, wyrabany jednym uderzeniem kilofa. Nigdy nie widzieliśmy go nietrzeźwego, nigdy się nie uśmiecha. Nawet złośliwie, jak Stauke. Zalmanson nazywał to «grymasem bolącego żołądka». Faktycznie wyglądał, jakby miał w ustach coś gorzkiego. Jak ktoś, kto nie ma

---

<sup>5</sup> Hagada – historia wyjścia Żydów z Egiptu, odczytywana podczas każdego sederu, uroczystej wieczerzy w święto Pesach (przyp. tłum.).

czasu na głupstwa, tylko obowiązki i pracę. Ale popatrz, to coś nowego. Znajduję się tu z nim, w samym gnieździe jadowitego węża, godzinę, a może dłużej, i jeszcze nie wyrwał mi brody ani nie uderzył mnie w twarz. Ponadto: widziałeś, że od czasu do czasu się uśmiechał, a nawet opowiadał o sobie, o ojcu. Wyobraź sobie, Szlojmele, że z początku chciał mnie zabić, strzelił mi w głowę, ale zrobił to zgodnie z zasadami. Zauważyłem, że odwrócił wzrok, żeby nie patrzeć. W sumie najwyraźniej nie wie, co ze mną uczynić, i to go dręczy. Co jakiś czas patrzy na mnie dziwnie i chrząka «humpf». Słowo daję, Szlojmele, nie mam pojęcia, co to «humpf» może oznaczać. Mam tylko nadzieję, że nie oznacza zmartwienia, broń Boże, bo nie pragnę przysparzać mu zmartwień. Mimo wszystko był kiedyś chłopcem i czytał to, co czytał. Trochę mnie wtedy lubił. Kto wie, co przeżył i co w nim zepsuła akademia SS. Wiadomo, że nikt nie staje się mordercą, zachowując radość. Gdybym tylko mógł się dowiedzieć, jak ktoś taki jak Neigel stał się mordercą, być może mógłbym odwrócić ten proces i naprawić go. Et! Rozmyślenia starego człowieka, Anszelu! W podeszłym wieku zachciało ci się naprawiać świat? Coś w rodzaju proroka, tylko wspan? W środku zaczął podgryzać mnie robak, bo po tym wszystkim, co ten arcymorderca Neigel mi wyrządził, kiedy znajdowałem się z nim godzinę w jednym pokoju i widziałem nawet jego twarz z dzieciństwa, uznałem, że przez wszystkie miesiące pobytu w obozie popełniłem błąd, nie dopuszczając do siebie myśli, że on jest człowiekiem. Może ma żonę i dzieci. Myśli te bardzo mnie zaskoczyły i odsunąłem je na bok, aby przyjrzeć im się później. Neiglowi odrzekłem, że bardzo mi przykro z powodu kłopotu, jaki mu sprawiłem. Zauważyłem, że trafiło mu to do serca, bo spojrzał na mnie poruszony. Ja też odśloniłem przed nim serce, mówiąc, że jest mi nieprzyjemnie, iż uśmierci mnie człowiek, który, nu, cóż, krótko mówiąc: którego trochę jakby znam. Aby wzmocnić wymowę tych słów, zacytowałem mego błogosławionej pamięci tatę, który był zacnym kupcem i wpoił mi wiele dobrych zasad. Powtarzał między innymi, że nigdy nie powinno się mieszać uczuć z pracą. Lecz zamiast się uspokoić, Neigel wydał długie, chrapliwe westchnienie, i popatrzył na mnie z cierpieniem w oczach, wyrażających paniczny lęk, jakbym, broń Boże,

powiedział coś obscenicznego, czego nie mógł znieść”.

– Dość już, dosyć! – wykrzyknął nagle. – Dosyć gadania! Dzisiaj zaczynasz tu pracować, Wasserman! Zamilcz wreszcie!

Wasserman:

– Pracować? Przy czym, panie komendancie?

Neigel:

– Znowu się ze mną przekomarzasz? Przecież już cię powiadomiłem: kwiatowe rabaty. Grządki warzyw. Co wieczór, kiedy skończę pracę, po posiedzeniach i raportach, będziesz przychodził i robił, co do ciebie należy.

– Pardon?!

– Będziesz opowiadał historie, Wasserman. Wiesz dokładnie, co mam na myśli. Historie! Oczywiście, nie dla dzieci. Specjalną historię dla mnie.

– Ja? Broń Boże. Już nie potrafię.

– Nie potrafisz? A kto potrafi? Może ja? Posłuchaj, Szeherezado. Daję ci wyjątkową i jedyłą w swoim rodzaju szansę usprawiedliwienia twego pseudonimu. Opowiedz mi historię, a pozostaniesz przy życiu.

Wasserman:

– Nie, nie. Nie mogę, szanowny panie: Przecież ja nigdy... a teraz tym bardziej... nie potrafię... wszystko wyszło... wola... nawet wyobraźnia...

Neigel, przekonująco:

– Masz wspaniałą wyobraźnię. Zawsze miałeś. Ta opowieść o gladiatorze w Rzymie, i jak ten mały, Fried, oblaskawił lwy, żeby go nie rozszarpały. Ach! Albo jak pomogli Edisonowi, który miał dosyć wysiłku i prawie zrezygnował z wynaleźienia żarówki – kto poza tobą mógłby wymyślić coś podobnego?

Anszeł Wasserman, pokonany, niczym oskubany kurczak, któremu nie zostało już ani jedno pióro dumy, odparł:

– Każdy, szanowny panie.

Zapisuję słowo w słowo wszystko, co zdradził mi w tamtej chwili Wasserman. „Co prawda, Szlojmele, powiedziałem to nie z powodu wielkiej skromności. Powiem nawet więcej. Nie ma już krytyków, a niechby niedźwiedzia pocałowali pod ogon, którzy uprzykrzali mi życie, kiedy powstawały moje

opowiadania. Co prawda, udało im się uderzyć w czułe miejsce. Pisali wyłącznie prawdę: że moja mądrość jest mądrością biedaka. Umiem podkradać pomysły z cudzych opowiadań, ściągać od innych autorów. Szczególnie upodobał to sobie jeden podlec, niegodny człowiek, niejaki Szapiro, którego kłujące pióro określało mnie mianem „swata pisarzy”. Przewisko przyłgnęło do mnie prawie na zawsze. Aj, Szlojmele, czy cokolwiek przed tobą ukrywam? W gruncie rzeczy miał rację. Kochałem takich autorów, jak Jack London, Juliusz Verne, Karol May i Daniel Defoe, który stworzył Robinsona Crusoe i jego pomocnika Piętaszka. Czemu miałbym zaprzeczać, jak wielką rolę odegrał H.G. Wells i jego cudowny wehikuł czasu, który ośmieliłem się po przyjacielsku pożyczyć? E.T.A. Hoffmann, James Fenimore Cooper i Korczak; od wszystkich czerpałem hojnie, czy to po polsku, czy po hebrajsku, a także z przekładów na nasz święty język dzieł Grozowskiego, Ben Jehudy, Szperlinga, Andresa, Kalmana Schulmana, świętego Tawiowa i wielu innych doskonałych twórców. Robiłem tak przecież nie z braku własnych zdolności. W młodości pisałem – jak to się mówi – z głębi trzewi. Kilka moich wierszy wydrukowano nawet w czasopiśmie. Wywołały lekki skandal. Dlatego redaktor Zalmanson spojrzał na mnie przychylnie, zabrał z archiwum, w którym przepracowałem pięć lat, i uczynił mnie pisarzem i literatem. Z tym, że gdy moje utwory zaczęły się ukazywać, stałem się bojaźliwy. Lękałem się czerpać z siebie, ze swego mleka i krwi. Moja siła twórcza się wyczerpała i stałem się nędznym naśladowcą. Nie będę ukrywał, Szlojmele, że w pewnym okresie życia ta tęsknota, pragnienie żyjącego we mnie twórcy, obudziła się na nowo. Zapragnąłem stworzyć coś innego, mojego własnego. W otchłani serca skrywała się jeszcze iskra, jak pisze słynny poeta Bialik, maleńka iskierka, ale moja własna, której od nikogo nie pożyczyłem, nie ukradłem... Tak więc – spróbowałem. To było przed dziesięcioma laty... Co za ogień ze mnie buchnął! Przeraziłem się... Ogarnęło mnie szaleństwo... Opowiadanie, które zaczęło się od ludzi, a potem przeszło na demony, duchy, chochliki i inne dzikie stwory... Historia pełna zła, podłości, chuci i czarów, ohydny, niesamowitego śmiechu, a wszystko to skąpane w takiej rozpacz, że śmiertelnie mnie przygnębiło. Nie miałem siły, by zwalczyć przygnębenie, i byłem zbyt słaby, by

przełać słowa na papier... Być może będziesz się ze mnie śmiał – przez cały czas zastanawiałem się, co powiedzą w moim miasteczku, w Bolechowie, kiedy przeczytają takie rzeczy, jak bardzo mamie będzie przykro... Na koniec nie znalazłem w sobie dość siły, aby w wieku pięćdziesięciu lat wyruszyć w nową drogę i stoczyć ciężki bój, cóż... Nie zrozumiałeś? Wrzuciłem w ogień... Oczywiście, że żałowałem... Mówiąc, że żałowałem, nie wyrażam nawet jednej setnej rozpaczki... Dopiero tutaj, w obozie, opowiedziałem o tym Zalmansonowi, on też żałował. Powiedział, że może teraz powinienem zacząć pisać tak, jak należy... kiedy stoczyłem się poza ramy życia, będę mógł pisać z odwagą i szaleństwem... Ach”.

Neigel obstaje przy swoim:

– Słuchaj, Wasserman. Będę szczery. Brakuje mi rozrywki. Czegóż, czym mógłbym zająć umysł po pracy.

Wasserman, słabo:

– Nie ma tu klubu dla panów oficerów? Neigel, z pewną dumą:

– Stoi przed tobą Niemiec, który nie przepada za piwem. Nie jestem ani piwoszem, ani miłośnikiem wina, nie lubię też sznapsa. Mimo wszystko potrzeba mi jakiejś rozrywki. Postanowiłem: co wieczór posiedzisz ze mną trochę, pół godziny albo godzinę, i będziesz opowiadał.

Wasserman, prawie krzycząc:

– O czym, panie komendancie?!

– Nie mam pojęcia – uśmiecha się Neigel chytrze, chłodno. – Na pewno uda ci się wymyślić coś ładnego. Przecież nie mogę ci mówić, co masz sobie wyobrazić? Rozumiesz? Są rzeczy, których nawet ja nie mogę ci nakazać.

Chyba go to bawi.

Anszel Wasserman, na wpół omdlały, proponuje kompromis (Będę opowiadał panu moje stare historie), który Neigel odrzuca pogardliwie. Rozpaczliwie stara się przekupić Neigla inną propozycją, niezbyt mądrą. (W takim razie będę opowiadał wszystkie baśnie Szeherezady Wilhelma Hauffa. To będzie cudownie! Takie piękne historie! *Opowieść o kalifie bocianie* i *Historia małego Muka*. Będzie się panu bardzo podobało!). Neigel przerywa te okrzyki

nieco prostackim argumentem (Chcę świeży towar, Wasserman) i zapada cisza. Zanosi się na to, że Wasserman wyrazi zgodę, ale on znowu nas zadziwia, deklarując:

– Jestem panu niezwykle wdzięczny za tę wielkoduszną ofertę. Ale to, co dotyczy Szeherezady, nie tyczy się mnie z tej prostej przyczyny, że ta nadobna dziewczica opowiadała historie sułtanowi, bo pragnęła przeżyć. Ja zaś niezmiernie pragnąłbym umrzeć.

Neigel przygląda mu się długo, przenikliwie. Opiera podbródek na dłoni, i ponawia cichym, spokojnym głosem „jedyną w swoim rodzaju propozycję”. Czyli, według niego, „najlepszą propozycję, jaką otrzymasz w swojej sytuacji w całej Rzeszy”. Waha się jeszcze przez chwilę i rzuca pomysł:

– Mogę spróbować, Wasserman, co wieczór, kiedy opowiesz mi dalszy ciąg historii, zabić cię jeden raz. Jeden strzał w głowę. To twoja nagroda, rozumiesz? Jak Szeherezada, tylko na odwrót. Będę do ciebie strzelał codziennie. Oczywiście, pod warunkiem, że opowiadanie będzie dobre. W końcu kiedyś nam się musi udać, prawda?

Odchyła się na oparciu, spoglądając na Wassermana ze spokojem, pozwalając, aby wynędniały pisarz ugiął się pod ciężarem zdumiewająco odważnego pomysłu. Wasserman jednak, trochę małostkowo, nie dostrzega czarującej, niezwykle literackiej złośliwości oferty. Burzy się po raz kolejny: „Fe, Szlojmele, wypluj to. Przecież on mówi o życiu ludzkim z takim spokojem, wstrętny *jekka*, podły Armilus! Moje życie...”.

Zbiera siły, aby wyszeptać:

– A co będzie, łaskawy panie, jeśli, nie daj Boże, moje opowiadanie nie spodoba się pewnego wieczoru?

Na to Neigel:

– Pozostaniesz przy życiu kolejny dzień. – Wbija w Wassermana pewny siebie, wymowny wzrok. – Wiedz – dodaje – że zadbam, abyś nie mógł skończyć ze sobą sam, w żaden sposób. Obiecuje, że żaden oficer ani żołnierz nie spróbuje cię zabić z własnej inicjatywy. Będziesz bezpieczny niczym ptak w gnieździe. – I znowu się uśmiecha.

Wasserman, zastanowiwszy się pośpiesznie nad sytuacją, i widząc, że nie ma drogi ucieczki, wzdycha głęboko i deklaruje z całego serca:

– Jeśli mam opowiadać panu historię, aby umrzeć, będę to robił.

Kłamca! Przeklęty kłamca! – krzyczy ktoś wewnątrz Wassermana. Pisarz pozwala mu powiedzieć wszystko do końca. (Podziękuj, nędzny kłamco! Słowo „opowiadanie”, zanim jeszcze wyleciało z ust Neigla, tchnęło życiodajnego ducha w wygasłe, wychłodzone węgle życia. Nowe opowiadanie! Nowe pomysły, nowe fabuły, nowe szkice, pióro tańczące po papierze, bezsenne noce spędzone na rozmyślaniach, i wątle przyjemności ducha! Będzie to po siedmiokroć większa przyjemność po dziesięciu gorzkich, chudych latach. Znowu zasiąść za biurkiem, i to właśnie tu! Tutaj! W otchłani gehenny!). Wasserman skłania głowę i oświadcza, że jest gotów opowiedzieć historię, i to o Dzieciach Serca. Ale nie takich, jakie Neigel pamięta z dzieciństwa, lecz o dorosłych ludziach. Kiedy Neigel nie rozumie, Wasserman wyjaśnia mu z dziwną pewnością siebie, jakby od dawna czekał na tę chwilę i formułował słowa w duchu wiele razy, aż do nich przywykł:

– Kozłeta urosły i stały się kozłami, szanowny panie, jak my. Ale starość dopadła je jednak o wiele szybciej. Jak to dzieje się w książkach, mają teraz po sześćdziesiąt pięć lat, a może nawet siedemdziesiąt. Aż do stu dwudziestu – w każdym razie będą to zupełni starcy.

Neigel, zaniepokojony nieco komplikacjami, które wydają mu się zbędne, prosi:

– Może jednak niech zostaną młodzi?

Na to Anszel Wasserman, z gorzkim śmiechem:

– Na świecie nic nie jest już tak młode jak kiedyś. Przecież teraz nawet niemowlęta wychodzą z łona matki starcami.

Neigel pyta, czy towarzysze będą znowu działać razem, i czy będą mieć cudowne umiejętności. Wasserman obiecuje, że będą robili jeszcze więcej niż kiedyś.

Neigel:

– Czy to nie trochę, no cóż, dziecinne?



Pisarz nie posiada się z oburzenia:

– Ależ łaskawco!

– Nie nadymaj się tak, *Scheissemeister* – mówi Neigel. – Nie chciałem cię urazić.

Wasserman przetyka ślinę i wykorzystuje nieoczekiwane przeprosiny. Z opuszczonymi powiekami informuje:

– Pan komendant nie będzie miał żadnego wpływu na opowiadanie. Ja będę o wszystkim decydował – a jeśli nie, na tym się skończy.

Nazistowski oficer, o którym obaj wiemy tak niewiele, skłania ciężką głowę, mówiąc:

– Oczywiście, Szeherezado, rzecz jasna. Przecież wiemy, o czym mowa. Wy, artyści, nazywacie to swobodą twórczą. Nieprawdaż?

Wasserman przygląda mu się bacznie, zatroskany. Ja także się zaniepokoiłem. „Swoboda twórcza” nie brzmi jak coś, co figuruje w duchowym jadłospisie faszystowskiego oficera. Być może cytuje. Z pewnością dowiem się o nim więcej, gdy uznam, że dojrzałem, aby wejść w jego skórę, jak z łatwością udało mi się z Wassermanem. To przecież mój obowiązek. Ajala mawiała: w białym pokoju wszystko powstaje z ciebie, z twojego wnętrza, ofiara i morderca, litość i okrucieństwo... W takim razie już niedługo. Chwilowo wystarczy mi Neigel, odbity w oczach Wassermana. Powoli.

– Poślę po sadzonki i nasiona – mówi. – Jutro zaczniesz plewić i porządkować ogród. Ziemia jest tu twarda i kamienista. Najwyższy czas, żeby coś zrobić.

– Tak.

– Zamówię petunie. Znasz petunie? Mam nadzieję, że się przyjmę. Moja żona hoduje je w skrzynkach na parapecie.

– Tak jest, panie komendancie.

– I rzodkiewki, oczywiście. Bardzo je lubię. Zwłaszcza te małe i czerwone, jędrne, aż trzeszcza w zębach, ach!

Gdy tak z entuzjazmem rozprawiał, Wasserman rozpaczliwie starał się sobie przypomnieć, czy rzodkiewki rosną na drzewach, czy na krzakach.

„Oj, Szlojmele, znowu zdałem sobie sprawę, jak Sara mogłaby mi pomóc w tej okropnej pracy, do której zmusił mnie Neigel. Jak uda mi się pisać bez jej mądrości i dobrej rady? Miała niezwykły zmysł praktyczny. Et, zanim się spotkaliśmy, zwykłem przesiadywać w ewangelickiej czytelni w Warszawie, aby odnaleźć wszelkie informacje i detale, których sam nie znałem. Z natury jestem roztargniony i zapominalski. Natomiast Zalmanson w podobnych sprawach był zawsze skrupulatny i metodyczny niczym Szamaj. Dokładność, mój mały Wassermanku! Do-kład-ność! – powtarzał bez końca, jeszcze w czasach przed Sarą, podkreślając złośliwą, cienką linią takie wyrażenia, jak „przepiękna tunika balowa księżniczki”. Przecież powinno być „suknia balowa księżniczki”. Prawda, Wassermanku? Tunika jest krótka, nie sądzę, aby twoja księżniczka poszła w niej na bal! *Mein kleiner Wasserman*, gdybyś choć raz spojrzął na kobietę, gdybyś zdejmował z niej po kolei części garderoby, a nie tylko pisał o księżniczkach i wróżkach... Za czasów Sary moje opowiadania bardzo się wzbogaciły. Lśniły tysiącem nowych odcieni! Nauczyłem się w mgnieniu oka, na czym polega różnica między turkusem a bordo, między bawełną a lnem, między Antarktyką (na biegunie południowym) a Alaską (na północy. A może odwrotnie? Wyleciało mi z głowy!). Czym się różnią rozmaite włoskie dania, spaghetti i macaroni, z których jedno jest cieńsze od drugiego, że słonie drzemią na stojąco, że typ rasy białej nazywany jest w książkach typem kaukaskim. Oj, nic nie umknęło mojej Sarze. Jej umysł był jak przepastna studnia, z której nie wycieka ani kropla. Sara umeblowała swój umysł i ozdobiła go nad podziw, zważywszy na jej młody wiek! W istocie, moja twórczość w tych latach stała się bardziej „światowa”, w wyższym rozumieniu tego słowa. Przypomniałem sobie, Szlojmele – aj, to nic ważnego, ale i tak ci opowiem. Jaki duch artystycznego uniesienia nappełnił mnie, kiedy raz sam napisałem zdanie: «Robin Hood, przyodziany w wytworny kaftan, odtańczył pierwszego walca z piękną i bogatą markizą Elizabeth, w duchu licząc kroki: raz dwa trzy, raz dwa trzy». Cudo!».

Potem Neigel informuje Wassermana, że ten nie wróci już do niższego obozu, do Keislera, lecz zamieszka w baraku, w komórce na drugim piętrze.

Anna, polska kucharka, da mu jeden ciepły posiłek dziennie.

– Żebyś nie mówił, *Scheissemeister*, że nie dbam o moich humanistów!

Muszę jeszcze opisać, jak przechodzą na tyły budynku. Neigel pokazuje pisarzowi jego nowe lokum – maleńką komórkę na poddaszu, u szczytu drewnianych schodów. Wasserman wspina się z trudem na górę, otwiera drzwiczki i cofa się nagle z przelotnym grymasem bólu. („Papier. Od razu wyczułem zapach papieru!”). Woła do stojącego w dole Neigla, prosząc o pozwolenie użycia jednego z brulionów. Prosi też o pióro. Kiedy Neigel się dziwi (Zapomniałeś, jak się opowiada z pamięci?), Wasserman odgrywa scenę, którą pewnie zobaczył w warszawskim kinie w filmie o gladiatorach. Schodzi po trzeszczących schodach, maksymalnie wyprostowany, i mówi z największą powagą i dostojeństwem, jakimi zdołał zabarwić swój bezbarwny, monotony głos:

– Jestem artysta, szanowny panie. Artysta, który po tysiąc razy poprawia i cyzeluje każdą literę.

– Oczywiście, oczywiście – mamrocze Neigel.

Wasserman wraca na poddasze i schodzi ponownie z brązowym brulionem. Na okładce widnieje wielki orzeł, a pod nim napis „Własność departamentu zaopatrzenia SS. Sektor wschodni”. Neigel, z początku od niechcenia, a potem gestem pełnym hojności („Nawet Ezaw wyczuł, że pasuje mnie w ten sposób na rycerza literatury”), wyciąga z tylnej kieszeni i podaje mu swoje osobiste pióro, stalowe pióro marki Adler, dumę imperium Habsburgów. Dłuższą chwilę patrzą sobie w oczy. (Wasserman: „Ujawszy pióro, wiedziałem: pokonam go. Oby tylko udało mi się obronić siebie, by nie zostać nędznym robakiem, jak Szajngold, który łasi się do oficerów, merdając ogonkiem. Mówią nawet, że został informatorem i donosi na uwięzionych współbraci. Prawdę mówiąc, Szlojmele, obawiałem się tego. Każdy sprawiedliwy zna bestię, która w nim siedzi. Przecież podlizywałem się nawet Zalmansonowi, choć tego nienawidziłem. Nie umiałem przestać. Fe, co za obrzydliwe stworzenie ze mnie!”).

Neigel przygląda się Żydowi, który nagle mocno zaciska powieki, jakby

składał przysięgę samemu sobie. Nie wiem, o czym myśli, lecz przypuszczam, że w starym, słabym człowieku jest coś, co przepełnia tajemnym lękiem nawet nazistowskiego komendanta. Pochyliła się i szepcze dobitnie:

– Historia z Ottonem i Paulą, dobrze? Z Friedem, złotorękim Siergiejem i Harotianem.

– Harotian? Kto to?

– Mały Ormianin. Sympatyczny czarodziej, zapomniałeś?

– Prawda. Chłopiec, który grał zwierzętom na flecie.

– Faktycznie.

– Oczywiście, będą też inni.

– Kto?! – Neigel mruży podejrzliwie oczy.

Wasserman pośpiesznie go uspokaja:

– Dobrzy przyjaciele, szanowny panie, proszę nie zapominać, że wkrótce czeka Dzieci Serca szlachetne wyzwanie. Potrzebna im każda pomoc!

– Jakie to zadanie, jeśli mogę spytać?

– Skąd mam wiedzieć? Historia jeszcze się nie narodziła. Obiecuję, że będzie to niezrównana przygoda. Inaczej po cóż miałbym wyciągać ich duchy z zapomnienia?

Neigel zamyśla się na chwilę. Może rodzi się w nim dziwaczne, ulotne podejrzenie. Przegania je jednak energicznym wzruszeniem ramion. Odprawia krótko Wassermana i rusza do swoich spraw.

Wasserman: „Powlokłem po drabinie ten mój worek starych kości. Ułożyłem sobie jakie takie legowisko w nowej pracowni i zamyśliłem się. Aj, co za dzień! Na początku zabrano wszystkich moich braci na śmierć do gazu, niewinnych nieszczęśników. Potem się okazało, że nijak nie mogę umrzeć. Na koniec spotkałem katastrofę, zwaną Neiglem. Neigel i jego propozycje, jego pokusy. Fe! Wziąłem zeszyt i zacząłem mu się przyglądać. Anszelu, Anszelu – powiedziałem sobie. – Masz napisać opowiadanie. Chociaż co prawda, niestety, będzie to tylko jeden egzemplarz, to co z tego? Cena jest wyznaczona z góry. Pod skrzydłami nazistowskiego orła, oby zgniły mu pióra, napisałem ładnym charakterem pisma, w naszym świętym języku: «Ostatnia przygoda Dzieci

Serca».

## 2

Powoli rozwija się przede mną życie Anszela Wassermana. Często wspomina żonę, „moją Sarę”, ale o córce Tircy nie mówi ani słowa. Kochał Sarę, ale zastanawiam się czasem, czy w głębi duszy nie pozostał zaprzysięgłym starym kawalerem. Miał czterdzieści lat, kiedy się pobrali, ona zaś – dwadzieścia trzy. Kiedy Wasserman zaczął publikować opowiadania, była zaledwie pięcioletnią dziewczynką. Bardzo jej się podobały, jak większości dzieci w tamtych czasach, i wiele lat później ciągle wspominała o nich przy rozmaitych okazjach. Pewnego dnia przypadkiem napotkała wznowienie jednego z nich w warszawskiej gazecie, i z niebywałą śmiałością wysłała do redakcji kilka czarujących rysunków, ilustracji do opowiadań. Rysunki leżały przez jakiś czas, aż dotarły do rąk Zalmansona. A on, rozmyślnie i przebiegle, doprowadził do spotkania tych dwojga, zacierając ręce z satysfakcją na widok pełnego wahania uczucia, które narodziło się między dwojgiem nieśmiałych ludzi...

W taki sposób, z urywanych uwag, dowiaduję się wielu rzeczy o życiu Anszela Wassermana. Jak lubił siedzieć w domu w wyprasowanej koszuli i w krawacie, nawet gdy był całkiem sam. Jak w latach kawalerskich sprawiał sobie wyjątkowe, drobne upominki – niedzielną przejażdżkę dorożką po wspaniałej ulicy Marszałkowskiej; powolną, przyjemną przechadzkę po moście, a stamtąd spacer pieszo do Ogrodu Saskiego z jego posągami, topolami i klonami. Wieczorem szedł do kina i oglądał – jak mu się zawsze wydawało, z ukrywaną przyjemnością – filmy, które go wzruszały. Pod tym względem Sara stanowiła idealną towarzyszkę: była podobnie oczarowana kinem. Nie byli wybredni: pociągał ich każdy film, jeśli tylko przedstawiał pełnokrwistych bohaterów i burzliwe przygody. Siedzieli w zaciemnionej sali kinowej niczym dzieci, z szeroko otwartymi ustami. Obejrzelili razem *Doktora Frankensteina*, *King Konga* i

*Szpiega w masce* z Hanką Ordonówną. Wasserman opowiedział mi z niezrozumiałą dumą, że razem z Sarą widzieli cztery razy Gretę Garbo w *Królowej Krystynie* i trzy razy Marlenę Dietrich w *Błękitnym aniele*. Lubili nawet westerny i obejrzeliby wszystkie filmy o kowbojach, jakie wyświetlano w Warszawie (usprawiedliwiał się, że mógł dowiedzieć się wielu *rzeczy* na temat życia kowbojów, w razie gdyby kiedyś chciał wrócić do pisania). Nie mieli znajomych i cotygodniowa wyprawa do kina była ich małym świętem. Często dyskutowali o filmach. Wiele tygodni po seansie Sara potrafiła powiedzieć na przykład: Jaka szkoda, że ona mu uwierzyła, prawda? Wasserman rozumiał w lot, o czym mowa i o kogo chodzi. We wtorki lubili słuchać popularnej audycji radiowej „Słuchowisko tygodnia”, które wprowadzało do ich domu największe dzieła dramatu i prozy. Leżeli w łóżku obok siebie, po ciemku, z oczami wlepionymi w sufit, nie dotykając się, a jednak bardzo sobie bliscy. Kolejną wielką wyprawą był spacer do warszawskiego ogrodu zoologicznego. Wasserman długie minuty spędzał przed klatkami z egzotycznymi stworzeniami, sprowadzonymi z Birmy czy Indii, kręcąc w zadziwieniu głową. Nawiasem mówiąc, Sara urodziła się w dniu, w którym w ogrodzie zoologicznym przyszło na świat słońtątko Tuzinka (nazwane tak, bo było dwunastym słońciem, który urodził się w europejskim ogrodzie zoologicznym). Dlatego mogła – do ukończenia dziesięciu lat – za darmo przejechać się na słońiu raz w roku, w dniu swoich urodzin. Wasserman, nie wiedząc czemu, bardzo się tym entuzjazmował. Bez końca prosił Sarę, aby opowiadała mu o tamtych chwilach, które już dawno przyblakły w pamięci. Jak indyjska królowa, żydowska księżniczka na słońiu! – mamrotał z nieustającym zdumieniem.

Wasserman bardzo sobie cenił regularny tryb życia. Niezliczone razy wysłuchiwałem drobnych tyrad na temat różnych jego pedantycznych ceremoniałów. Jak czyścił buty, jak pilnował porządku w mieszkaniu i jak „planował rozsądnie dzień”. Pewnego razu opowiadał rozwlekłe o drobnych przyjemnościach związanych z okularami: kolistych, niewielkich ruchach, którymi czyścił szkła, rozmaitych sposobach zdejmowania okularów, miłym uczuciu, kiedy zwisają z uszu, gdy człowiek przykłada rękę do oczu i pograża

się w myślach (trzeba chyba wyjaśnić, że w obozie odebrano mu okulary). Rozwlekł przedstawił mi ulubioną metodę gotowania jajka na miękko, z tą samą powagą, z jaką opowiadał o pracy z „dentystami”. Pewnego wieczoru opisał – bardzo naturalnie – jak przyrządzał sobie w Warszawie „filiżankę gorącej, parującej kawy”, poczynając od momentu nalania wody do czajnika i ustawienia filiżanki na wierzchu, „aby podgrzała się trochę od gorącej pary”, aż do nalania kawy do filiżanki. Z jego ust dowiedziałem się, że przez siedemnaście lat używał tej samej pary butów, które zachowały się w niezwykle dobrym stanie. Kiedy zdumiony zapytałem, jak mu się to udało, odparł z uśmiechem pełnym skromnej dumy: Bo ja, Szłojmele, mam bardzo lekki krok... Nie miał też nigdy dość opowiadania o księgarniach i antykwariatach na ulicy Świętokrzyskiej, gdzie znali go wszyscy sprzedawcy; nie było książki, która ukryłaby się przed nim. Krótko mówiąc – możemy wywnioskować, że dziadek Anszel nie przeżył wielu przygód. Jego potrzebę ryzyka zaspokajało kupowanie losów u ulicznego sprzedawcy kiełbasek. Tylko dwa razy w życiu wygrał w ten sposób darmową kiełbaskę, ale przywiązywał do tego wielką wagę i widział w tym znak, że nie jest „kompletnym nieudacznikiem”.

Obserwuję go także, gdy kopie i pieni trzy grządki przed barakiem, bandażuje pokaleczone dłonie pasami oddartymi z worka i w bolesnym milczeniu wysłuchuje krytyki Neigla, zerkającego z okna. (Postaraj się, żeby nie były takie krzywe, *Scheissemeister*, inaczej stanę się pośmiewiskiem całego obozu).

Zabiera ze złością motykę i łopatę i odnosi je do schowka pod schodami. Potem widzę, jak je, odrywa kawałki pożywienia i połyka. (Zawsze tak jadł. Także wtedy, kiedy mieszkał u nas). Przymykam oko, kiedy ukradkiem wsuwa do kieszeni ziemniak, czego nie zauważa wiecznie gderająca wdowa.

Po zmroku idziemy razem do Neigla, który dziwi się, że pierwszy rozdział jeszcze nie jest gotowy. (Myślałem, że to ci idzie jak po maśle!). W odpowiedzi Wasserman wygłasza pełną pasji tyradę o trudach tworzenia. (Trzeba ryć kilofem w najgłębszych pokładach duszy!). Podkreślam to tylko dlatego, że pod koniec Wasserman, wzruszony i peten wiary we własne słowa, składa Neiglowi



niezwykłą i wielkoduszną propozycję. (Naprawdę chciałem się pana poradzić na temat swojej historii). Zaraz pożałował pośpiesznych słów, ale za późno, bo Neigel uśmiechnął się szeroko, zdziwionym i zgodnym uśmiechem.

– Ależ oczywiście, oczywiście! To dla mnie wielki zaszczyt, Szeherezado!

Wasserman wykorzystuje (z trochę krępującą skwapliwością) wdzięczność Neigla, po raz pierwszy siada w jego obecności i mówi:

– Przedstawię ci moje trudności. – Zwraca się bezczelnie w drugiej osobie, ale o dziwo komendant nie wpada w gniew, tylko wstaje i pośpiesznie zasuwa ciężkie zasłony, rygluje drzwi wejściowe. Wasserman obserwuje go i pierwszy słaby uśmiech przenika do jego duszy.

Kiedy Neigel idzie na tyły baraku, zapewne po to, aby odprawić kucharkę, Wasserman odważa się szybko odwrócić fotografię na biurku. I widzi: „Frau Neigel, Szlojmele! Trzyma w ramionach dwoje malutkich dzieci! Starszy chłopczyk jest niezwykle podobny z twarzy do Neigla, jak dwie krople wody, młodsza dziewczynka jest odbiciem matki. Pytasz, jaka to kobieta? Oj, niezbyt ładna. Mizerna i krucha, z trudem dźwiga dorodnego bobasa. Nie będę ukrywał: byłem wściekły, choć nie wiedziałem czemu. Może dlatego, że ja i Sara nie byliśmy ideałami urody. Znałem wielu Żydów, którzy wcale nie mieli pięknych rysów, et! To już boski wyrok. Dziadek Mendele, który odmalowywał nas ze wszystkimi przywarami charakteru, nie tworzył portretów z głębi myśli. Zawsze byłem przekonany, że oni, goje, wyszli z rąk Stwórcy doskonale uformowani. Może wygodniej było tak myśleć – że odróżniają się od nas. A oto co widzę – jakaś niemrawa chudzina! Od razu serce mi się do niej wyrwało. Usta mimowolnie zaczęły wymawiać miłe słowa... Zadałem sobie pytanie, czy wie, co robi jej ukochany mąż w tym miejscu. Et! Miałem w sercu piękne myśli, a przecież ona należy do nich, tak samo jak parka żwawych dzieci. Czy moi najbliżsi dobrze się miewają, jedzą, piją i tłuką orzechy, abym niepotrzebnie litował się nad córką niewiernych? Dostyc. Sza. Sza”.

Neigel wraca. Rozmawiają o miejscu, w którym będzie rozgrywać się akcja. Neigel prostacko proponuje:

– Napisz znowu o Księżycu, jak w opowiadaniu o Indianach.

Wasserman delikatnie go gani i wyjaśnia, że lepiej napisać o jakimś bardziej znanym miejscu, w którym autor czuje się swobodniej.

– Potrzeba nam różnych drobnych faktów i szczegółów, aby zbudować atmosferę. Dokładność, Herr Neigel, do-kład-ność! – mówi z mściwą nutą w głosie.

Gdyby na przykład zdecydował (!), że Dzieci Serca będą działać w Moskwie, spodziewa się, że Neigel zapewni mu setki potrzebnych informacji – na przykład, z jakiego materiału robi się męskie walonki, jakie fryzury noszą kobiety, czy po ulicach jeżdżą autobusy, czy tramwaje. Ale kiedy daje się unieść zapałowi i sugeruje, że będą mu też potrzebne mapy i fotografie, Neigel wybucha gromkim śmiechem. (Powiedz mi, *Scheissemeister*, czyś ty oszalał? Przecież aresztują mnie pod zarzutem kontaktów z komunistycznym wywiadem! Mamy rok czterdziesty trzeci, nie zapominaj! Postaraj się wybrać jakieś rozsądniejsze miejsce, jasne?). Wasserman pochyla głowę i miętosi brudny, sztywny kosmyk swej przerzedzonej brody. Nagle znowu ma przyływ odwagi. („Nu, cóż, zniecka przypominałem sobie, że stosunki między mną a Neiglem nie są zwyczajne, i że nie mogę się ustawiać w pozycji wycieraczki”). Bierze głęboki oddech i mówi, że tym razem – tylko tym razem! – przystaje na żądanie, ale to ostatni raz, kiedy Neigel rozkazuje mu w kwestii opowiadania. Niemiec spogląda na niego z mrozącym chłodem i cedzi:

– Przestań się tak puszyć, *Scheissemeister*, i zacznij wreszcie opowiadać!

(Wasserman: „Cóż, sam zrozumiesz, Szlojmele, jak doniosła była to chwila! Ale wycelowałem i nie chybiłem! Wstałem, nadstawiłem szyję i zwróciłem się do Ezawa w te słowa: W takim razie zarźnij mnie! Zabij mnie na miejscu, Neigel, ale nie żądaj, bym zdradził moją sztukę!”).

Istotnie, wywarło to na Neiglu ogromne wrażenie: jego wielka twarz wyrażała zdumienie i dezorientację, a nawet wstręt, jakby ujrzał coś nieprzyzwoitego. (Wasserman: „Takie sceny moja błogosławionej pamięci mama, twoja prababcia, wyprawiała zawsze, kiedy pan Lański, właściciel naszego domu w Bolechowie, niech mu wycieknie z nosa tyle krwi, ile nam jej utoczył, przychodził podwyższyć komorne. Im żarliwsze były tłumaczenia matki, tym

bardziej wydłużała się jej szyja i krzyki «zamorduj» stawały się coraz głośniejsze. Ja chowałem się pod jej fartuchem, umierając ze wstydu. Kto mógł przewidzieć, że nadejdzie dzień, kiedy ucieknę się do tych tureckich sztuczek. Na szali jednak leżała godność mojej twórczości!”).

Siada. Wciąż wzburzony, jak zawsze, kiedy uważa, że niesprawiedliwie go obrażono (chyba lubi to uczucie). Wstaje znowu i mówi drżącym głosem:

– Herr Neigel! Przecież nie ja tu jestem najważniejszy, Anszel Wasserman-Szeherezada! Kim i czym ja w ogóle jestem? Pyłem i prochem. Kropką. Niczym. Bezpłodną winoroślą! Ale żądam od pana poszanowania sztuki, szanowny panie komendancie! Czystej, żywej sztuki! Literatury w najbardziej pierwotnej formie! Planujemy jedyny w swoim rodzaju eksperyment! Proszę sobie wyobrazić: pisarz pisze opowiadanie dla jednoosobowego odbiorcy! Wszystkie sekrety jego serca, wszystkie nieszczęścia i iluzje, pozna tylko jeden człowiek! Kto by pomyślał? Słyszał pan o czymś takim?

Pomysł ten natychmiast przypada Neigelowi do gustu. Może dlatego, że nie ma większego pochlebstwa niż ofiarowanie władzy nad tajemnym horyzontem dzieła artystycznego. Także Wasserman to czuje:

– Kiedy zakończymy nasz mały eksperyment, ofiaruję panu jedyny egzemplarz ostatniego opowiadania Szeherezady! A kiedy skończymy, jeśli Bóg zechce, wojnę, będzie mógł pan zasiąść wygodnie z dziećmi i szanowną małżonką przed kominkiem z płonącymi węglami i odczytać im opowiadanie na głos. Obiecuję, że także ona, to znaczy szanowna pani Neigel, wysoko oceni pańskie wysiłki, by nawet w tym miejscu, w czasach ciężkiej wojny, przetrwał ślad sztuki. I co pan na to??

Niemiec odrzekł z prostotą, że chciałby wierzyć, iż Wasserman mówi to wszystko na serio. Im więcej myśli o „tej naszej sytuacji”, tym bardziej wierzy, że powinni się zachowywać, w miarę możliwości, jak „ludzie cywilizowani”. (Wasserman: „Smakuje i obraca w ustach te słowa, a ja byłem pewien, że zaraz wygłosi błogosławieństwo dziękczynne, jak człowiek nad pierwszym posiłkiem. Za zasłoniętymi oknami wznosiły się nad obozem trzy słupy dymu, niegasnące nigdy, dniem ani nocą. Słyszałem odgłosy maszyny, poruszającej stosy trupów,

gdy wielka łopata ze zgrzytem wrzucała je w ogień. Zebrałem wszystkie siły i wolę, aby skinać ociężałą głową na znak zgody”).

– Miejsce – mówi Wasserman, prawie niedosłyszalnym głosem – miejsce, w którym będą przebywać nasi przyjaciele. – Zapada cisza. Obaj podpierają głowy rękami i zamyślają się. Wasserman, choć nie wie jeszcze, jaki kształt przybierze opowiadanie, rozumie instynktownie, że akcja musi się dziać w jednym z miejsc, ogarniętych wojną. („W Polsce albo w Rosji, a być może – nawet w niegodnych Niemczech. Chociaż wolałbym, aby historia rozgrywała się w moich miejscach, a nie jego. Sam rozumiesz, musiałem postępować roztropnie, ostrożnie, działać na pewniaka, bo od początku miałem ukryty zamysł. Nie przyszedłem opowiadać mojej historii Neiglowi dla rozrywki. Aby przedsięwzięcie się powiodło, byłem zmuszony chwytać się wszelkiej broni, jaka wpadła mi w ręce. A przecież była tak nędzna! Stałem naprzeciw niego praktycznie z pustymi rękami! Słowa były moimi kamieniami do procy”).

Wciąż zastanawiają się nad umiejscowieniem fabuły. Opowiadanie, wyjaśnia Anszel Wasserman, powinno się rozgrywać w miejscu odosobnionym, choć nie całkiem oderwanym od świata. (– Może zauważył pan, Herr Neigel, jak bardzo pisarze lubią osadzać bohaterów na samotnych wyspach? – Czemu to służy? – To zamienia każdy drobiazg w niezwykle doniosłe wydarzenie!). Opowiadanie powinno też dziać się na łonie natury, aby Albert Fried mógł zademonstrować swoje słynne talenty do nawiązywania przyjaźni z dzikimi zwierzętami („to jeden z bardziej sensacyjnych elementów moich opowiadań”). Znowu się zastanawiają; Neigel nawykowym gestem łączy czubki palców, Wasserman szarpie rzadką bródkę, i kręci na palcu wymagany pejs. Nagle na jego twarz wpływa uśmiech i Wasserman wykrzykuje:

– Lepek! Kopalnia!

Neigel nie ma pojęcia, co to „lepek”, ja także nie. Wasserman objaśnia nam to z wielką biegłością, podejrzewam więc, że wszystko sam wymyślił. „Lepek” to według niego produkt uboczny ropy naftowej, o niezwykle znaczeniu ekonomicznym dla Żydów w rejonie Borysławia, w okręgu lwowskim: ropa, jak wiadomo, płynie rurociągiem z miejsca wydobycia do ogromnych

rafinerii. Z tym, że w wielu miejscach rury nie pasują do siebie (jedna jest jak Chupim, a druga jak Mupim<sup>6</sup>). Albo są stare i dziurawe. W takich wypadkach rura pęka i wypływa z niej surowa ropa, zwana „lepek”.

– To oczywiście – tłumaczy Wasserman – nie dzieje się dziś, ale bardzo dawno temu. Trzydzieści, a może nawet czterdzieści lat! Kiedy rura pękała, Żydzi zwani „lawacy” biegli z beczkami, wiadrami i szmatami, zbierali rozlaną ropę i sprzedawali ją po niższej cenie. Według Wassermana utrzymywały się tak setki żydowskich rodzin, choć na nędznym poziomie. Jego brat Mendel zarabiał tak na życie, zanim pojechał do Rosji i zaginął: stał wraz z innymi nieszczęśnikami dniem i nocą wzdłuż rurociągu, niedaleko Tustanowic i Schodnicy, modląc się, aby rura w którymś miejscu pękła. (Wasserman: „Nosilem w sercu pomysł z «lepkiem» od dawna, od czasów, gdy otrzymywałem poruszające listy Mendla, z których aż wiało głodem. Teraz zobaczyłem, że nadeszła odpowiednia chwila”).

Poprowadził Neigla w gęsty las pod Borysławiem, zszedł z nim do miejsca wydobywania „lepku”, pod wielkim kłębowiskiem rur, biegnących w stronę miasta. Od trzydziestu lat miejsce to stoi opustoszałe i milczące, praca zamarła. Przez wszystkie te lata nikt nie potrzebował „lepku”. Z nadejściem wojny jednak ropa podrożała – snuje swą opowieść Wasserman – i grupa ludzi postanowiła pojechać tam i rozpocząć prace.

– To grupa wyjątkowa w swoim rodzaju, Herr Neigel. Zbieranina najrozmaitszych „lawaków”, Polaków i Żydów, jest też Rosjanin i Ormianin oraz inni. Ich przywódca ma na imię Otto, Otto Brig. Jego siostra Paula sekunduje ich wysiłkom i gotuje im. Robotnicy prawie nie wychodzą na powierzchnię z obawy przed spotkaniem z wielkimi, górskimi niedźwiedziami, z którymi mógłby poradzić sobie jedynie Fried... Tak, Herr Neigel, żyją tam w całkowitym odosobnieniu. Tylko raz na tydzień Otto Brig wyprawia się do pobliskiego miasteczka, zawożąc owoce ich pracy, „lepek”, który udało im się przez ten czas wydobyć, a z powrotem przywozi odrobinę prowiantu dla wygłodniałych

---

<sup>6</sup> Mupim i Chupim – synowie Beniamina, syna Jakuba (przyp. tłum.).

robotników. Ale, za pozwoleniem, Herr Neigel, będę potrzebował więcej faktów na temat tego miejsca i jego mieszkańców, na temat kopalni. W Warszawie miałem pod ręką czytelnie, stosy pism naukowych, bibliografie. Tutaj, w obozie... krótko mówiąc – mam tylko pana. Może wybrałby się pan do Borysławia, żeby zgłębić tamtejszą atmosferę?

Rzecz jasna, Neigel reaguje rozbawieniem. (Słyszysz, co mówisz, Wasserman? Kieruję obozem zagłady! Komuniści posuwają się naprzód na wschodzie, a ty chcesz, abym wszystko rzucił i pojechał do Borysławia?). Ja także uważam, że Wasserman trochę przesadził, ale on jest spokojny i pewny siebie. („Udało mi się już trochę poznać duszę tego Neigla. Odgadłem, że bardzo wciągnął się w moją opowieść, i że to wszystko nie jest takie proste. Dostrzegłem też, że bardzo mu zależy na najdrobniejszych faktach. Ktoś taki jak on nie pozwoli, aby łódź opowiadania dryfowała po morzu wyobraźni bez solidnej żelaznej kotwicy. Aj, całkiem inne motywy nim kierowały niż moim biednym Zalmansonem, któremu także zależało na faktach, ale dlatego, że ich nie cierpiał! Przedstawiał je w całej śmiesznej małostkowości i doprowadzał do granic absurdu! Szydł z nich sam przed sobą, upewniając się, że nie ma Boga prócz Boga śmiechu, drwiny i komizmu. Aj, co za pokrętny kłamca... No, jak ja to tego doszedłem? Et! Zastawiłem na Neigla sidła, mówiąc mu, że powinien «poznać atmosferę». Tego wyrażenia używali moi przyjaciele, Dzieci Serca, zawsze gdy wyruszali na nową przygodę. Wiedziałem, że Neigel nieświadomie połknie przynętę”). Neigel otrząsa się z odrętwienia i zadaje najważniejsze pytanie. (Ale powiedz mi, proszę, z kim tym razem będą wojować? Z niedźwiedziami? Z mrówkami? Z kompanią naftową?). Wasserman wymiguje się. (Kto to może wiedzieć? Opowiadanie dopiero się zaczyna). Niemiec żąda dokładniejszej odpowiedzi. (Nie chcemy napisać nic przeciwko Rzeszy i hitlerowskiemu Niemcom. To jasne, prawda, Wasserman?). Autor na to:

– Będziemy pisać o wszystkim, o czym zapagniemy, Herr Neigel! Przecież na tym zasadza się nasza sytuacja, którą był pan łaskaw przedstawić. Nasz sekret i cud! Nie wolno nam sprzeniewierzyć się świętemu wyzwaniu, które w cudowny sposób trafiło do naszych rąk! Niepowtarzalny dar – przywilej bycia

tu, właśnie tutaj, całkowicie wolnymi ludźmi. Ja, ale także i pan! Iskry unoszące się w górę! Oj, Herr Neigel – mówi Wasserman, kręcąc głową. – Nie wiem, w jakich bojach zdobył pan ten medal, który zdobi pański mundur...

Neigel:

– W walkach nad jeziorami Ilmen i Seliger, dywizja „Totenkopf” Theodore’a Eicke’a!

– No właśnie, na czym to ja stanąłem? Aha! Jestem przekonany, że nie potrzebował pan nawet połowy tej odwagi, której żądam teraz, aby pomógł mi pan powołać do życia nasze nowe opowiadanie! Czy przełęknie się pan i wycofa? Czy dowiedzie pan słabości serca, prosząc o nędzne, duszące się pod ciężarem małostkowego życia opowiadanie, z jego zakazami i lękami? („Słowo daję, Szłojmele, nie mam pojęcia, jak udało mi się zebrać odwagę. Nigdy nie okazywałem takiego tupetu wobec Zalmansona, który często wyrzucał mi najpiękniejsze zdania, prawie nie uzgadniając tego ze mną. Jak potulny baranek kiwałem głową i uśmiechałem się bez słowa”).

Neigel uparcie:

– Nie ma mowy. Nie pozwolę na antyniemieckość.

Anszel Wasserman:

– Niech opowiadanie poprowadzi nas samo. Nie przesadzajmy niczego z góry.

Neigel:

– Tak zwykłeś tworzyć?

Wasserman:

– Prawie zawsze. Tak. („Prawdę mówiąc: wcale tak nie było. Moja miła Sara żartowała, że nawet do listy zakupów sporządzam najmniej trzy brudnopisy”).

– A może – odzywa się nagle Neigel – może naprawdę uda mi się przejechać przez Bory sław w przyszłym tygodniu, po drodze na urlop do ojczyzny. Kiedyś pracowałem w tamtym rejonie przez kilka miesięcy i jest kilka spraw, które powinienem... zakończyć. Tak. Znam tam kilka osób. Może czas je odwiedzić.

Wasserman nie zmienia wyrazu twarzy. Podkreśla tylko, że „bardzo użyteczna będzie mała mapka okolicy i rejonu kopalni”. Kusi jeszcze bardziej, prosząc hitlerowca, aby sprawdził sytuację społeczności Żydów w Borysławiu, czy w ogóle ktokolwiek pozostał przy życiu. Neigel, wzorowo zorganizowany oficer, zapisuje wszystko w notesie. („Z czasem dowiedziałem się, Szlojmele, że w tym notesie Ezaw zapisywał podania o przydział gazu i tabele, zawierające masę złotych zębów i włosów ofiar. Chociaż nie wiedziałem tego wówczas, czułem drżenie na całym ciele, gdy kotwica mojej fikcji po raz pierwszy utkwiała w twardym gruncie jego życia”).

Mimo późnej pory siedzą jeszcze przez jakiś czas. Wydaje się, że Neigel tego pragnie. Błaga autora, aby opisał – „choć w dwóch słowach” – starą nową drużynę. Coś w rodzaju wstępu, mówi. Akonto dalszego ciągu.

– Dalszego ciągu – mówi, a jego twarz dopowiada: przyszłej przyjemności. Wasserman zgadza się chętnie i opisuje gęsty las, głębokie szyby kopalni, tunele i korytarze, a w nich...

– Humpf – przerywa nieco zaniepokojony Neigel. – To mi wygląda na kryjówkę partyzantów. Uważaj, Wasserman.

Autor nie odpowiada, ale po *łączącej* nas napiętej pępowinie przelatuje nagle iskra światła, szybkie ukłucie. Jakieś dawne, wspólne wspomnienie wskoczyło nagle do świadomości, i zatoneło z powrotem, zanim zdążyliśmy je uchwycić. Wasserman odpowiedział Niemcowi, kierując słowa do mnie:

– Nie, Herr Neigel. To znaczy – nie partyzanci w zwykłym znaczeniu tego słowa, tylko, powiedzmy...

Neigel mruczy coś, co brzmi jak niechętna zgoda. Potem zerka na zegarek, i na jego twarzy odbija się zdumienie. Natychmiast wstaje. Wasserman także się podnosi i staje naprzeciw niego. Jakoś trudno im się rozstać. Przypominają dwóch przyjaciół, którzy poczynili wszystkie przygotowania przed długą wyprawą i jeszcze trochę zwlekają, czerpiąc od siebie nawzajem poczucie bezpieczeństwa. Neigel podchodzi do kontaktu i gasi górne światło. Teraz pali się tylko lampka na biurku. W półmroku, w którym nie widać twarzy, pyta pełnym wahania głosem, co Wasserman sądzi o tym eksperymencie, czy wierzy,



że uda się stworzyć dobrą historię. Wasserman wyznaje, iż ma pewne obawy, ale jest też bardzo zaciekawiony. W duchu dziękuje Neigelowi, że obudził w nim na nowo pragnienie tworzenia i „przywrócił pan moje najgorętsze i najgłębiej ukryte tęsknoty”.

Neigel otwiera kluczem drzwi dzielące dwa skrzydła budynku. Z odwróconą twarzą pyta zniecierpliwionego Żyda, dlaczego nie napisał nic od czasów *Dzieci Serca*. Wasserman wyjaśnia mu, a Neigel:

– Nie wiedziałem, że talent może się wyczerpać. Ciekawe... chciałem tylko zapytać, jak się czułeś bez pisania?

Na to Wasserman, gładko i ostro:

– Oby pan się nigdy nie dowiedział, Herr Neigel! („Co racja, to racja, Szłojmele, nawet wrogom tego nie życzę! To jakbyś stał się, nie daj Boże, żywym trupem. Własnym nagrobkiem. Przez cały czas dzieci z całej Europy, nasze i ich, słały listy pełne podziwu i niewinnej miłości. Przeczytały moje opowiadania dopiero teraz, przedrukowane w kolejnych numerach rozmaitych czasopism – wydawcy nigdy nie zapłacili mi za nie ani grosza! Kiedy się dowiedzieli, że Szeherezada-Wasserman od lat nie wziął pióra do ręki? Aj... Musiałem zaciskać zęby, odpisywać serdecznie i miło. Z biegiem lat, jak to się dzieje ze światem i z każdym stworzeniem... oddaliłem się i odszedłem od człowieka, który pisał opowiadania. Z początku mu zazdrościłem, jak komuś innemu, szczęśliwych chwil, których doświadczył. W końcu zacząłem nienawidzić go za to, że nie odważył się na więcej. Może gdyby się odważył – wszystko potoczyłoby się inaczej. Najgorsze było to, że moja żona Sara, która przecież poznała mnie jako pisarza Szeherezadę, chwalonego przez wszystkich autora *Dzieci Serca*, nie Anszela Wassermana, zdziwaczałego korektora, któremu całe życie dokuczają wzdęcia... Rozumiesz, moja Sara, moja dusza, nie mówiła o tym ani słóweczka. Ale dla mnie jej milczenie było ogłuszające. Aj, żebyś nigdy nie zaznał takich złych dni i złych myśli”).

Odprowadziłem go na stryszek. Usiadł wśród stosów papieru, metalowych i drewnianych skrzyń, wokół uganiały się myszy. Wypuścił z ręki brulion i oparł głowę o ścianę. Miał zamknięte oczy. Mały, drobny człowieczek,

otulony szatą, która wydawała się groteskowo strojna na nędznym poddaszu. Czekał na coś, lecz nie wiedziałem na co. Zapytałem go: dziadku, na co czekamy, ale nie odpowiedział. Co musimy teraz zrobić, zapytałem, a on odpowiedział, wciąż z zamkniętymi oczami: Nic. Nic nie musimy teraz robić, Szlojmele. Zauważyłem już, że zawsze chciałbyś coś robić. Oczekiwanie cię przeraża. Teraz powinienes być cierpliwy, opuścić ciało i duszę. Nawet jeśli się przestraszysz i uciekniesz, ja nie ruszę się z miejsca, bo nie mam dokąd uciekać. Opowieść to moje życie, mój cel, piętno, które Bóg odcisnął na moim ciele. Być może nawet ty zaczniesz teraz dostrzegać ukryte rzeczy, cóż, rozgadałem się...

Za chwilę nie byliśmy już sami. Powietrze wypełniło się drżeniem i dygotem. Moja ręka zaczęła też drżeć, jakby żyła własnym życiem. Palce ścisnęły się i przybliżyły do siebie. Popatrzyłem na nie zdumiony: zaczęły coś ciągnąć, ale nic nie było widać. Nie przestawały się poruszać. Macały na ślepo. Przekonywały powietrze, aby przybrało pewien konkretny kształt, ugniatały je rozmyślnie, nieustająco, wyrabiając na gęstsza substancję. Nagle na koniuszkach palców pojawiła się lekka wilgoć. W jednej chwili pojąłem, że ręce wyciągają z nicości opowiadanie: uczucia i słowa, postacie ze spleaszczonymi głowami, stworzenia skurczone jak płody, jeszcze mokre, mrużące oczy w świetle, pokryte resztkami odżywczego łożyska pamięci, stają chwiejnie na nogi, potykają się i upadają jak nowo narodzone sarenki. W końcu nabierają tyle sił, aby stanąć przede mną w miarę pewnie. Wytwory wyobraźni dziadka Anszela, o których czytałem, których szukałem i które odgadywałem z takim zapamiętaniem. Niski, krępy Otto Brig, zawsze w poplamionych, niebieskich krótkich spodniach. Otto, którego gesty są zamaszyste, szerokie i nieskończenie hojne. I jego siostra, mała Paula Brig, z długim, grubym jasnym warkoczem i niebieskimi oczami, takimi jak oczy Ottona. Energiczna Paula, która zna tylko jedną prostą linię łączącą dwa punkty, praktyczna Paula, opiekująca się wszystkimi dziećmi z miłością i oddaniem... Byli także inni, którzy chcieli się narodzić. Ukryte łono skurczyło się i napięło, dziadek Anszel szybko oddychał, twarz miał spoconą i zaczerwienioną. Moje palce uchwyciły przezroczysty, lepki,

śluzowaty płyn, i z głębokim, ochrypłym jękiem żalu, z wielkim wysiłkiem, wyszedł stamtąd Fried, mały Albert Fried, cichy introwertyk, nieśmiały, wylękniony Fried, który prawie nie miał nadziei na poznanie przyjaźni czy miłości. Szczęśliwym zrządzeniem losu Anszel Wasserman stworzył go w towarzystwie Ottona i Pauli, którzy powitali go tak naturalnie, że z radością porzucił podejrzliwość i tajemniczość, które właściwie były zbędne i bez znaczenia. Mógł się otworzyć niczym kwiat do słońca. Kto jeszcze? Rosjanin Siergiej, chudy i wysoki, Siergiej „złota rączka”, który potrafi zbudować każde narzędzie i każdy mechanizm, uszyć siedmiomilowe buty i w każdej ścianie otworzyć drzwiczki do odległych światów. Szczególnie pamiętne są jego eksperymenty z wehikułem czasu, i jedyny humorystyczny fragment w serii *Dzieci Serca*, gdy – nieumyślnie – wprowadził zamęt w mieście, cofając czas. Jest także Ormianin Harotian z fletem w ręku. Dziadek Anszel spogląda na mnie z podłogi, słaby i trochę pobladły, ale uśmiechnięty:

– Posłuchaj, Szlojmele, możesz przywołać każdego, kogo tylko zapragniesz.

– Co powiedziałaś?

– Każdego, kogo twoje serce zapragnie!

Wyciąga bezsilną rękę i wskazuje na niewielką niszę, którą zapełniają Dzieci Serca. Zauważyłem, że nie wyczuwają swojej obecności: jakby każdego przykrywał osobny, nieprzenikniony szklany kloz. Tak, z pewnością: poruszali się, przestępowali w miejscu, a nawet się rozglądali, jakby czekali na coś, ale byli całkiem od siebie odizolowani. Nie wiem czemu, ale wydawało mi się, że kiedyś już ich tu widziałem, stojących w taki sam sposób, albo prawie. Byli z nimi też inni, niestety nie pamiętam ich, a dziadek mi nie pomógł. Leżał na wznak, z rękami złożonymi na ustach, a w oczach miał dziwny uśmiech, szczęśliwy i tęskny. Przypominał stare niemowlę.

– Oto wszyscy stoją przed tobą – powiedział miękko, jakby opowiadał bajkę wnukowi, jak powinien był mi opowiadać, lecz nie udało mu się. – Widzisz ich tak, jak powinno się ich oglądać – ciągnął. – Nie w moich opisach, ale jak na rysunkach Sary, każda kreska...

Nawiasem mówiąc, wtedy przyszło mi do głowy, że Wasserman dopiero, gdy zobaczył jej rysunki – a było to osiemnaście lat po tym, jak pisał cykl o dzieciach – dowiedział się, jak naprawdę wyglądali jego bohaterowie.

– Jej rysunki – potwierdza dziadek z lekko drżącym uśmiechem – były dla moich opowiadań niczym dźwięki fletu Harotiana w ołowianych uszach Beethovena: nagle słodkie tony przeniknęły zasłonę głuchoty...

Pięć osób nie wystarczało. Obaj to czuliśmy. Chociaż nie wiedziałem wtedy, jakie pułapki Wasserman zamierza zastawić na Neigla, aby go omamić, wydawało mi się oczywiste, że w tej wojnie będzie nam potrzeba o wiele więcej wojowników, nieznanymi wcześniej partyzantów, mówię „partyzantów” w wyjątkowym i jedynym znaczeniu tego słowa, takim, jak...

Spojrzeliliśmy na siebie.

– Jesteśmy sami na całym świecie – mówi mój dziadek. – Tylko ja i ty. Jaki pusty jest świat. Moglibyśmy podzielić go między siebie i nadać mu nowe nazwy... Chodź, Szlomo, synu Tuwii, siądź przy mnie, nie ma tu nikogo poza nami i naszymi przyjaciółmi. Dość tego dreptania w miejscu, Szlojmele! Przyrowadź prędko swoich partyzantów...

– Nie! – zawołałem. Byłem trochę wystraszony. Kiedy ostatnio ktoś zaproponował mi, aby podzielić na nowo świat i nadać mu nazwy, jak wiadomo źle się to skończyło.

– Nie, dziadku. Nie ty! – krzyknąłem głośno, może za głośno. – Nie ty! Dostyc mam utopii Brunona! Nie mam siły na wielkie nadzieje.

Wtedy mój dziadek powiedział – w swoim języku – że utopie są odpowiednie dla bogów. Ludzie są zaś niczym muchy, historie, które im się opowiada, muszą być jak lep na muchy. Utopie to kawałki pozłacanego papieru, rzekł dziadek. Lep na muchy trzeba posmarować wszystkim, co człowiek oddziela od swojego ciała i życia. Zwłaszcza cierpieniem. Nadzieją, której miara jest miarą ludzką, i przebaczeniem.

– A ONI? Naprawdę myślisz, że ONI będą pasować? – zapytałem z powątpiewaniem. – Przecież to tylko...

– To doborowi bojownicy, na swój sposób. Wiesz to równie dobrze jak ja.

Przecież pomyślałeś o nich, zanim ja o nich pomyślałem. Chociaż nie znaleźli się w opowiadaniu, które napisałem ostatnim razem, to dla mnie siedmiokrotna przyjemność spotkać ich znów, jak kiedyś w naszym zaułku, podczas jedynej godnej wojny...

Zrodziliśmy także i ich. Wszystkich. Aharona Markusa, Chanę Cytryn, Gincburga i Zajdmana, nieszczęsnych Maksa i Moryca, oraz Jedidję Munina. Jakby nie minął nawet jeden dzień od chwili, kiedy zaprowadziłem ich do bestii. Oni także stali za niewidzialną zasłoną. Chana zapamiętała drapała się po nogach, postępując. Aharon Markus bez ustanku wykrzywił umęczoną twarz. Nic się nie zmieniło: ponury Gincburg o skórze pokrytej brzydkimi, białymi plamami, całkiem bezzębny, kręcił głową, i pytał znanym mi tonem, kim jest. Jego mały przyjaciel Malkiel Zajdman, niegdyś ponoć doktor historii, który stracił zmysły i teraz jest całkiem pusty w środku, naśladował jak zwykle gesty najbliższej osoby. Tym razem przypadkowo był to Jedidja Munin. Obaj wetknęli ręce głęboko do kieszeni i z całej siły coś tam obmacywali. Wszyscy wzdychali, pocili się, emanowali życiem i ruchem. Wędrowni Żydzi, tkwiący na swoich miejscach. Czekaliśmy na coś, ale nie wiedzieliśmy, na co.

– Może się dziwisz – odezwał się w końcu Anszel Wasserman – czemu stałem się tak hojny i zezwalam ci włączyć własne dzieła do moich opowiadań? Et! Nie przejmuję się tym, póki są wojownikami, z lędźwiami przepasanymi męstwem. Sam już się pewnie domyślasz, że nie pierwszy raz opowiadam tę historię. Być może, zanim zacząłem opowiadać ją Neigłowi, wędrowałem po świecie i opowiadałem ją różnym ludziom. Na jej podstawie napisano tysiąc innych opowieści, twoja będzie tysiąc pierwsza. Każdy, kto jej wysłuchał, pragnął wprowadzić do niej swoich ulubionych bohaterów. Zdradzę ci mały sekret, że nawet Neigel, kiedy w swoim czasie tu przybył, także przywiózł mi w swej hojności daninę dla mej historii... Każdy daje, co ma, okruchy życia, wspomnienia, bliskich, to, co zapomniane... Nie, Szlojmele, nieważne, jak wielu ludzi sprowadzisz, stworzę dla nich miejsce w mojej opowieści. Samo opowiadanie jest wiecznie ukryte, a ja muszę je odnaleźć słabnącymi siłami. Nie może mi w tym nikt pomóc, a ja, *nebuch*, zawsze byłem tchórzliwy, nawet dziś

drze, kiedy pociągnięciami pióra muszę przeistoczyć naszych przyjaciół z wykrojów krawieckich w ludzi z krwi i kości. Słowo daję, gdyby był tu Zalmanson, skrzywiłby drwiąco usta i powiedział: „Twój główny problem, mój Wassermanku (tak rozpoczynał wszelkie tyrady; powinienem się kiedyś zastanowić, skąd się wzięły wszystkie problemy, które we mnie dostrzegał), polega na tym, że brak ci odwagi! W życiu i w literaturze! Pamiętasz, po ilu kłótniach zgodziłeś się rzucić nudną pracę w archiwum i zacząć pisać na serio? Potem, kiedy pierwsza próba się powiodła, ile musiałem się natrudzić, żebyś się zdecydował na całą serię?! Ile nocy przesiedziałem z tobą, przekonując cię, żebyś się odważył i pisał inaczej niż hebrajscy pisarze dziecięcy przed tobą? Przecież z ochotą poszedłbyś wytyczonym szlakiem i pisał jak oni kolejny raz o małym Abrahamie, który roztrzaskał posążki, o małym Salomonie, który nie chciał jeść kaszy, aż dowódca Joaw musiał się schować pod stołem i przestraszyć go, wołając okropnym głosem. Nie! Mamy takich dosyć! *Miłość Syjonu* i *Moralne powiastki dla młodzieży*. Ja tobą pokierowałem, mój Wassermanku, abyś pisał, jak powinien pisać wolny twórca”. Tak, tak (powiedziałby Zalmanson, gdyby tu był), nie obawiałem się przyszłych oskarżeń. Uważałem, że nareszcie powinien się zrodzić wśród Żydów autor opowieści przygodowych, pięknych, ekscytujących, wstrząsających, pełnych miłości bliźniego, niekoniecznie bliźniego żydowskiego! Nu, Szlojmele, tak długo zawracał mi głowę, że w końcu wziąłem i napisałem *Dzieci Serca*. Zionacy ogniem zazdrości krytycy rzucili się na nie jak na cenny łup. Maczali pióra we własnej żółci i obrzucali mnie błotem, negując mój skromny talent i oskarżając mnie o niegodziwy plan zepsucia żydowskich dzieci. Nie spoczęli, dopóki nie przywołali ducha entuzjastycznego autora, Abrahama Mordechaja Piórko, który dwadzieścia lat wcześniej ośmielił się zebrać i przełożyć na nasz starodawny język zwykle opowiadania o dobroci, wierności, przyjaźni i odwadze. Zacerpnął je nie od Żydów, lecz także od chrześcijan! Kiedy chciał przedstawić bohatera o dobrym charakterze, nie wziął pod uwagę po raz kolejny Abrahama, ale, za przeproszeniem, angielskiego kapitana, zwącego się Richardson! Aj, Szlojmele, okropnie mi dopiekli. Gdyby nie Zalmanson, który zawsze mnie wspierał, nie

stworzyłbym nawet tych kilku historii. Kiedy jeszcze pisałem, wiedziałem, że go zasmucam, że nie spełniłem jego nadziei. Przez dziesięć lat, kiedy powstawały opowiadania o Dzieciach Serca, spieraliśmy się o każdą literę i każdy przecinek. Atakował mój rękopis, dobywając pióra, poprawiał i cyzelował z furją, jakby go goniły demony, wołając przy tym: „Morderca! Złodziej! Plagiator! Przecież wiem, że potrafisz lepiej! Czytałem twoje młodzieńcze wiersze! Taki talent nie przemija, ale zdradziłeś go i zlekceważyłeś! Zaniedbałeś swoje zdolności, Wasserman! Gdybyś chociaż kradł umiejętnie, aby nie poznali odcisków palców, spoconych i wilgotnych ze strachu! Wszyscy twoi bohaterowie są uczynieni na twój obraz i podobieństwo. Nawet gdy wysyłasz ich do najcudowniejszych światów, pozostają tymi samymi strachliwymi, ostrożnymi Wassermankami, kluczającymi wśród zbyt długich zdań! Pisziesz jak jakiś *galicjaner* Za długie zdania! Sam diabeł wie, czemu cię jeszcze drukuję, tylko on pojmie, dlaczego dzieci tak przepadają za twoimi mdłymi historyjkami! Ach, Wasserman, trochę odwagi! I odrobinę humoru, przecież w życiu nie jesteś aż tak nudny, potrafisz rozśmieszyć ludzi, choć może nie zawsze świadomie. Dlaczego tak oszczędnie używasz przyprawy ironii? Nu, bądź trochę błaznem, mój Wassermanku, bądź trochę wesołkiem weselnym, a trochę kłamcą, cudzołożnikiem słów. Pisz z miłością, a przede wszystkim z szaleństwem, a nie – żeby wszystko było takie suche, skąpe, pozbawione duszy i iskry bożej. Nu, Wasserman, co ty na to?”

### 3

Minie jeszcze kilka dni, zanim opowiadanie będzie mogło się rozpocząć. Po pierwsze, Neigel ma inne rzeczy do roboty poza słuchaniem bajki o postarzałych Dzieciach Serca. Co prawda, czasami w trakcie pracy, w środku ważnej narady albo kiedy nadzoruje przybywające transporty, poddaje się pokusie i pozwala sobie czerpać przyjemność z zabląkanej mydlanej bańki miłego, dziwnego wspomnienia. Po czym rzuca się znowu w wir obowiązków. Choć nawet nie staram się go poznać, jestem pewien, że praca nijak nie ucierpi na tych chwilach zamyślenia. Ktoś, kto znajduje się obok (choćby Stauke), zaświadczy ze zmaconym zazdrością podziwem, że obersturmbannführer Neigel jest wykuty z niezniszczalnego materiału. Po półtora roku wyczerpującego dowodzenia obozem jest surowy i nieugięty jak zawsze: bezkompromisowy w kwestii własnych obowiązków i obowiązków podwładnych, morderczy bez okazywania emocji. Idealnie pasuje do wzorca esesmana, naszkicowanego przez reichsführera Himmlera (który bardzo Neigla lubi!). Ostatnio ma jakby przypływ nowych sił: jest wszędzie. Jakby istniało dziesięciu Neiglów, efektywnych, pełnych energii i inicjatywy. Sam wykonuje wyroki śmierci na dwóch strażnikach Ukraińcach, przyłapanych na braniu łapówek; u wejścia do komory gazowej z zimną krwią strzela do czterech kobiet z dziećmi, których krzyki spowodowały zamieszanie wśród strażników; co noc światło w jego baraku pali się długo po północy, a potem, o drugiej, Neigel wychodzi, by skontrolować warty. W obozie proszą doktora Staukego, aby polecił komendantowi coś na bezsenność. Stauke kwituje pogłoski o bezsenności drwiącym śmiechem. Jest przekonany (dowiedziałem się tego ze wspomnień, które w czterdziestym szóstym roku podyktował amerykańskiemu dziennikarzowi w zakładzie dla obłąkanych w Łodzi, czekając na wyrok sądu. Istotnie był szalony, wyjąwszy



rzadkie chwile powrotu do zdrowych zmysłów. W jednej z takich chwil udzielił wywiadu), że w całej Rzeszy nie ma drugiego człowieka, który w takim stopniu stopił swoją osobowość z abstrakcyjnym ideałem niemieckiego oficera, wymyślonym przez Himmlera. „Był przy tym taki nudny! – uskarżał się Stauke. – Ograniczony, o wąskich horyzontach, śmiertelnie nudny! Nie dało się z nim porozmawiać na żaden temat, zamienić więcej niż dwa zdania. Może poza walkami nad jeziorem Ilmeń i jego bawarskim dzieciństwem – oczywiście, że pochodził z Bawarii, myśleliście, że z Rzeszy? Słuchajcie, o tym lepiej nie piszcie – ani o koniach. Ale był dobrym oficerem. Co to, to tak. Może trochę bez wyobraźni, ale uczciwym i wiernym jak pies. Był okropnie poważny, ten Neigel. Ostatnio często myślę o nim po nocach. Trudno mi tutaj zasnąć z powodu krzyków, hałasu. Słyszycie pan? Nie? Przecież można oszaleć... (nieistotny fragment). Tak. Był zbyt poważny. Brał życie na serio. Przypomniałem sobie jeszcze coś. Zawsze się śmiał, kiedy ktoś opowiadał wulgarny kawał, ale widać było, że jest zażenowany albo w ogóle nie rozumie. Nie, nie był towarzyski, jeśli wie pan, co mam na myśli. Może miał kolegów w organizacji, nie wiem. U nas, w obozie – nikogo. Nie zaglądał do kasyna oficerskiego. Oczywiście, była niechęć. Powiadano, że jest wyniosły i tak dalej. Ale ja – Stauke uśmiecha się dziwnym, niesamowitym uśmiechem człowieka, który przeżył coś nieopisanego – myślę, że po prostu był nieśmiały i miał jakieś dziecinne, konserwatywne wyobrażenie o tym, jak powinien się zachowywać hitlerowski oficer. Prawie wszyscy esesmani byli tacy... (nieistotny fragment); on, znaczy Neigel, nie znał nawet imienia żołnierza, który przez półtora roku był jego kierowcą! Tylko jeden raz wychylił się odrobinę ze swojej skorupy. To było jakoś na początku czterdziestego drugiego, w lutym albo marcu. Po naradzie oficerów nagle poprosił, żebym został w pokoju. Nie zrozumiałem, o co chodzi. Poczekał, aż wszyscy wyjdą, podszedł do szafy i wyciągnął butelkę spirytusu, którą trzymał zawsze na spotkania najwyższego szczebla. Nalał do dwóch kieliszków i powiedział tak: Mój syn, Karl Heinz, kończy dziś trzy lata! Obiecałem mu, że będę obchodził jego urodziny, nawet będąc daleko! Wypijmy za jego zdrowie! Podniósł kieliszek wyprostowaną ręką, jakby salutował, wypił i o mało się nie zakrztusił. Rozumie

pan, nie był przyzwyczajony. Ja też omal się udusiłem, ale ze śmiechu. Był taki – jak to określić – jakby wypełniał obowiązek! Oczywiście, spróbowałem wykorzystać okazję i wypytać go trochę o rodzinę i tak dalej, ale odpowiadał bardzo krótko. Natychmiast pojąłem, że przyjacielskie spotkanie się zakończyło”. Stauke poprosił amerykańskiego dziennikarza o zapalenie papierosa i włożenie mu go do ust. Ręce miał skrępowane kaftanem bezpieczeństwa, bo trzy razy próbował odebrać sobie życie, budząc zdumienie wśród opiekujących się nim lekarzy, którzy twierdzili jak jeden mąż, że silny impuls suicydalny Staukego nie ma żadnego wytłumaczenia. Wszyscy się zgadzali, że jest patologicznie pozbawiony moralności i absolutnie nie żałuje swoich czynów.

Trzeba także poczekać, aż Neigel wyjedzie na comiesięczny urlop do ojczyzny, i uzbroić się w wielką cierpliwość, póki nie wróci po dwóch dniach, a tymczasem towarzyszyć Wassermanowi w pracy, w nowym rozkładzie dnia, pozwolić mu na nudne rozważania na temat, który go niezmiernie ostatnio zajmuje – znaczenie dobrego odżywiania się dla siły twórczej, wysłuchiwać niekończących się lamentów nad problemami z trawieniem i drobiazgowych spekulacji – których nigdy nie ma dość – na temat następnej kolacji oraz innych posiłków, które jadł w życiu. („O takiej wieczornej porze, w Warszawie, aj, wydaje mi się teraz, że to się działo setki lat temu, zanim zacząłem jadać w baraku Neigla, szedłem do jadłodajni Fejntocha, rozkładałem gazetę na ceracie w biało-czerwoną kratę, a stary Fejntoch pozdrawiał mnie z uśmiechem i wołał do polskiej kucharki: «Wasserman!». Zamiast zamówienia podawano nazwisko gościa...”). Bez wątplenia regularne, pożywne posiłki po długiej głodówce były dla Wassermana źródłem wielu wzruszeń.

Po tych wszystkich dniach Neigel wreszcie powrócił do obozu, lecz nie zaszczylił Wassermana, pielącego w ogródku, ani jednym spojrzeniem. Wasserman natychmiast się przeraził, że coś się stało, ale nic się nie stało. W nocy, kiedy skończył pracę i uporał się z zaległościami, Neigel wezwał go i ze skrywaną dumą podał mu trzy kartki. Na nich, dużymi literami, widniały jego zapiski z wizyty w kopalni.

Wasserman zaczął bez słowa czytać. („Co ja ci mam powiedzieć, Szlojmele. W jego zapiskach nie było duszy, nawet tyle, co u muchy! Przypominały raporty wojskowe. Ach! Ach! Tylko w jednym miejscu zauważyłem, że Ezaw starał się odrobinę ubarwić swój styl, a może nawet starał się pisać z wdziękiem: «rozgałęzione korytarze, dziwnie tajemnicze». Ach, ze świńskiego ogona nie zrobisz kapelusza!”).

– Palce lizać! – kłamie Wasserman, skończywszy lekturę. Neigel nie może się powstrzymać i zaczyna entuzjastycznie, z dumą, opowiadać, jak pojechał do Borysławia i spotkał tam znajomego oficera, „wcisnął” mu zmyśloną historyjkę na temat celu swojej podróży i przekonał, aby ten zawiózł go do opuszczonej kopalni, którą można znaleźć tylko na starej mapie z początku wieku. Jaka fantastyczną historię mu opowiedział, aby zaspokoić jego ciekawość! Neigel relacjonuje to, jakby się chlubił skomplikowaną operacją wojskową na terytorium wroga. Wasserman słucha z opuszczonymi powiekami, i na koniec mówi: – Doskonale, Herr Neigel. Widzę, że płonie pan chęcią wysłuchania naszej historii!

Niemiec uśmiecha się szeroko. Wątpliwe, aby taki uśmiech widział kiedykolwiek ktoś z jego przełożonych:

– Słuchaj, Wasserman: w tamtych okolicach znajduje się prześliczna miejscowość uzdrowiskowa i źródła wody termalnej, a nawet kino! A ja co tam robiłem? Szukałem cuchnącej kopalni!

Wasserman:

– Aj, Herr Neigel, przecież zauważyłem to, jak tylko się spotkaliśmy! Ma pan cechy prawdziwego artysty!

Neigel:

– Ach, bzdury wygadujesz, Wasserman. Wiesz doskonale, że nie jestem z tej gliny, z jakiej robi się pisarza. Chociaż żona mówi, że piszę ładne listy.

Wasserman bezwstydnie powtarza nonsensy o drzemiącej w nim iskrze i jak należy ją uwolnić od codziennej rutyny i obowiązków zawodowych. Neigel znowu się śmieje, zaprzecza, ale policzki oblewa mu niespodziewany rumieniec, i nagle wykonuje pewien gest. O mało nie wybuchamy niegrzecznie śmiechem,

bo Niemiec nieświadomie wykonał ruch, w którym zawiera się: 1. pozorne zaprzeczenie, 2. znajoma przyjemność z wysłuchiwania pochlebstw, 3. fałszywa skromność, 4. gwałtowne pragnienie: więcej! Więcej! (Wasserman: „Powiedz, Szlojmele, czy mama, błogosławionej pamięci, miała rację, mówiąc, że trzeba gojom pochlebiać, dla niego to brzmi znajomo...”).

– Jak wiadomo – mówi Wasserman, kiedy obaj się uspokoili i postanowili *rozpocząć* właściwe opowiadanie – znajdujemy się pod ziemią.

– W kopalni lepku – potwierdza Neigel z życzliwym uśmiechem.

Wasserman bąka, nie patrząc mu w oczy:

– Może tak, a może i nie. Sam nie jestem jeszcze pewien.

Obersturmbannführer Neigel dopytuje się dobrodusznie, czy dobrze usłyszał. Kiedy okazuje się, że Wasserman istotnie „nie jest całkiem pewien”, napina mięśnie twarzy, aż bledną mu wargi, i żąda odpowiedzi:

– Co to za cyrk?! – Przecież przed chwilą rozmawiali o kopalni pod Borysławiem i planowali rozwój akcji, nie wspominając o ogromnych wysiłkach, „i niemałym ryzyku!”, które podjął Neigel, aby „odtworzyć wiernie atmosferę” i głupich kłamstwach, w które się wplątał. Narażał swoje dobre imię. Wszystko to na nic? – Żebyś nagle uznał, w jednej chwili, dla kaprysu, że nie chcesz kopalni lepku?!

Wasserman nie odczuwa strachu. Najwyżej – zamyśla się. Odpowiada Neigelowi z podejrzaną swobodą. Uspokaja go przebiegle, jak zawsze. Wyjaśnia, że tak bywa, gdy chodzi o dzieło literackie – budujemy i rujnujemy, rujnujemy i budujemy, tysiąc i jeden raz! Wyznaje, że jego pisanie polega na tym, iż praktycznie nigdy niczego nie wymyśla, lecz jedynie jakby odsłania. Opowiadanie, które już gdzieś tam istnieje. Podaża za nim jak dziecko, biegnące za pięknym motylem.

– Jestem jedynie kopistą opowiadania, Herr Neigel, jego niewolnikiem i sługą...

Kiedy Neigel w końcu zaczyna się uspokajać i tylko gniewnie i z urazą pomrukuje pod nosem, Wasserman posuwa się jeszcze dalej i wygłasza pouczenie, w którym jedynie ja słyszę mściwy bunt: – Pańskim głównym

problemem (!), Herr Neigel, jest to, jeśli mogę zauważyć, że nie potrafi pan wyjść ze swoich granic, ze swej skóry! Przecież nawet wyobraźnię trzeba ćwiczyć, wzmacniać. Inaczej stanie się słaba i krucha, a w końcu uschnie, broń Boże, niczym nieużywana ręka albo noga!

Czy Neigel w końcu wstanie i uderzy Wassermana stalową pięścią? Czy wypędzi go z baraku z powrotem do dolnego obozu, do odrażającego Keislera? Nic podobnego. Neigel zastanawia się nad tym, co usłyszał. Nadal ma zagniewaną twarz, ale wkrada się na nią inny, nowy wyraz, który trudno mi rozszyfrować. („Ty też to zauważyłeś, Szlojmele? Spojrzenie mądrego ucznia! To prawda, przez chwilę upodobnił się do terminującego czeladnika. Oddanego ucznia, który chłonie każde słowo mistrza, ale w duchu planuje już, jak skraść mądrość nauczyciela...”).

– Opowiadaj – warczy Neigei. – Słucham.

– A więc – rzecze Wasserman – znajdujemy się pod ziemią. Wśród pieczar i tuneli. Czy może mi pan pomóc, Herr Neigel, i powiedzieć, jakie zapachy tam się czuje?

– Zapachy? Jak w każdej kopalni, wydaje mi się. Tylko bardziej śmierdzi.

– Ależ proszę. To nie wystarczy.

– No cóż... pachnie ropą naftową!

– Tylko?

– Słuchaj, Wasserman. Ja opowiadam tę historię czy ty?

– Ja, z pańską nieocenioną pomocą. Być może będę potrzebował pańskich talentów, rozumie pan – bo nie posiadam zmysłu węchu, i nigdy nie umiałem opisać jak należy rozmaitych woni, rozkoszy nosa, pomagała mi w tym żona. Proszę, Herr Neigei.

– Humpf, co? Zapachy, powiadasz... Zapachy? Może był tam też... – zamyka oczy, odchyła głowę i wyteża pamięć. – Tak. Wydaje mi się, że też zapachy jakichś zwierząt. Może królików. Nie jestem pewien. Tyle pamiętam.

– Króliki! – powtarza uradowany Wasserman i zapisuje w brulionie. – Bardzo lubię króliki, Herr Neigel. Proszę posłuchać: „Także króliki zbierają się w kopalni, przed wędrownką do ciepłych krajów. A setki lisów zapadają tam w sen

zimowy”. I co? Gładko nam idzie! – Z zadowoleniem zaciera ręce.

Neigel powątpiewa w fakty przyrodnicze, a Wasserman bez wahania obarcza go obowiązkiem weryfikacji. Niemiec z gniewnym spojrzeniem zapisuje wszystko w notesie. Autor kontynuuje. Opowiada o wielkiej komnacie, „sali przyjaźni”, gdzie zbiegają się wszystkie korytarze, które – dodaje uprzejmie – „są rozgałęzione i dziwnie tajemnicze”. Głos dziadka Anszela nie jest ładny. Monotonny i nosowy. Kiedy mówi, w kącikach ust zbierają mu się banieczki śliny. Ale uniesienie na jego twarzy sprawia, że Neigel ma ochotę słuchać. Brzydkie oblicze Anszela Wassermana staje się nieomal piękne, kiedy autor opisuje salę przyjaźni, wydrążoną wokół ogromnych korzeni starego dębu. Następuje długa, cudowna chwila, gdy zapominam, że rozumiem słowa, i cofam się do niezmiennej melodii, czuję pragnienie małego chłopca, chcącego zrozumieć opowieść.

W komnacie przyjaźni, opowiada Wasserman, gromada zasiada wieczorem po pracy. Przyjaciele opierają się o ściany i o korzenie drzewa, gawędzą serdecznie albo odpoczywają w milczeniu, jedząc smaczną zupę, którą przyrządziła Paula. Pośrodku tańczy płomyk parafinowej lampki. (Powinien pan wiedzieć, Herr Neigel, że parafinę sami produkujemy z lepku!). Jeśli Neigel zamknie oczy, ujrzy pośród cieni dawnych przyjaciół:

– Otto Brig, ukochany i szanowany przywódca. Jak pan wie, nie jest już najmłodszy, ma około sześćdziesięciu ośmiu lat, lecz nadal nosi krótkie spodenki, poplamione ziemią i lepkiem. Wciąż się uśmiecha cudownym, jasnym uśmiechem...

Także Neigel uśmiecha się mimowolnie. („Obym tak znalazł pociechę, Szlojmele, sam widziałeś – jeszcze przed sekundą twarz wyciągnęła mu się jak u dzikiej bestii, szykującej się do skoku, teraz nagle uśmiechnął się wbrew sobie, na jedną chwilę jego surowe, przenikliwe oczy powlokła lekka mgielka odległych miejsc i czasów, ręce zwisają bezwładnie, ramiona się odprężają”). Wasserman podnosi głowę, widzi to i na mgnienie oka pozwala sobie na satysfakcję, ale wtedy w jego twarzy, pod dolną wargą, tworzy się pionowa linia, jak pod ciosem żywego, bolesnego wspomnienia. Mówi szybko przez zaciśnięte wargi: – Nasz

Otto jest bardzo chory.

Oczy Neigla natychmiast tracą blask, twarz się napina. Mam wrażenie, jakby ostre kontury okrętu wojennego wylaniały się z miękkiej porannej mgły:

– Co powiedziałeś? Chory? Jak to, chory?

Wasserman:

– Tak, niestety. Nasz Otto, który wygląda na tak silnego i pozornie niezniszczalnego, niedomaga. Od kilku lat cierpi na postępującą padaczkę, ostatnio jego stan się pogorszył i doktorzy nie pozostawiają wiele nadziei. Proszę, Herr Neigel, jeśli będzie pan tak dobry, będę szybko potrzebował rozmaitych informacji naukowych na temat padaczki. Teraz zaś kontynuujemy: oto razem z nami w kopalni jest także miły i kochany...

– Chwilę! – krzyczy Neigel, i zmusza się do zachowania spokoju, po czym pyta ponownie: – Jedną chwilę! Może mi odpowiesz, bez wykrętów, dlaczego, do diabła, Otto jest chory na początku opowiadania? Co będzie mógł zrobić w takim stanie? Pomyśl o tym, Wasserman! Nie dopuść, aby opowiadanie prowadziło cię całkiem bez planu! Bez planu i organizacji nie da się nic zrobić, nawet wymyślić opowiadania, Wasserman!

Ale Wasserman chyba nie ma najmniejszego zamiaru planować swojej historii. Przecież właśnie tak było przed laty, kiedy uparł się wprowadzić dziecko do opowiadania, a ja, będąc chłopcem, wiedziałem, że dziecko zawadza w rozwoju wydarzeń; że nie ma sensu umieszczać niemowlęcia w opowiadaniu o wojnie, pełnym niespodzianych zwrotów akcji. Odkryłem w dziadku Anszelu jakieś marzycielskie roztargnienie, nieco nierozważne. Może osądzam go zbyt surowo, ale wydaje mi się, że z całą jego pedanterią – czasem małostkowością – w sprawach materialnych, gdy chodzi o twórczość, należy do ludzi wierzących, że świat z natury jest zbudowany według łaskawego, logicznego systemu, który w mgnieniu oka naprawia szkody, spowodowane brakiem porządku i planu. Z całkowitym spokojem, graniczącym z arogancją, powtarza prośbę (informacje na temat chorych na padaczkę). Ku memu rozczarowaniu Neigel posłusznie, choć z wściekłością, zapisuje uporczywe żądanie.

(„Dobrze widziałem w nim małego chłopca, który marzy, aby nagle

pojawiła się dobra wróżka. Tylko dlatego jest gotów pozwolić na wytrącenie go z równowagi, bo im większy smutek, tym większa przyjemność pod koniec opowiadania, kiedy wszystko skończy się dobrze”).

– Ucieszy się pan z pewnością, że poza moim biednym Ottonem wszyscy cieszą się dobrym zdrowiem.

– Jestem naprawdę szczęśliwy, *Scheissemeister*.

– Nie mówię, rzecz jasna, o zmarłych.

– Zmarli? – powtarza Neigel cichym głosem, w którym zaczynają się żarzyć czerwone nitki wściekłości.

– Aj – odpowiada Wasserman ze smutkiem. – Paula umarła. Nie ma już naszej dobrej Pauli...

W tej chwili Neigel wybucha gromkim śmiechem, w którym bulgocze cała pogarda do starego Żyda:

– Paula?! Przecież sam powiedziałeś przed chwilą... jak to było? Ze ugotowała nam zupę. Właśnie! Gorącą zupę!

– Gorącą i smaczną – zgadza się Wasserman, smutnie kiwając głową. – Co za pamięć. Przytoczył pan wiernie moje słowa. Gorącą i smaczną zupę przyrządziła nam nasza Paula, jak co wieczór. Jest gęsta, pływają w niej wielkie oka tłuszczu. Ale Paula umarła. Naprawdę. Co za szkoda. Umarła, lecz wciąż przebywa wśród nas, na swój sposób. Nie tylko ona. My wszyscy. Żyją nawet umarli. Nie można już rozeznać, kto z nas jest żywy, a kto odszedł na tamten świat, aj...

Neigel, rozwścieczony do białości:

– Opowiedz mi prostą historię, Wasserman! Daj mi coś zwykłego, z życia! Z mojego życia! Coś, co nawet ktoś taki jak ja, kto nie studiował na uniwersytecie, może zrozumieć i poczuć! Nie uśmiercaj nikogo!

Wasserman:

– Jakim prawem żąda pan ode mnie czegoś podobnego, Herr Neigel?

Zapadła długa cisza. Ciche słowa Wassermana, wypowiedziane nie z gniewem, lecz z bolesnym, przeszywającym serce zdumieniem, jakby wypełniły całą przestrzeń. Kiedy przebrzmiały, Neigel zaczął mówić. Powiedział, że



dokładnie wie, co myśli o nim Żyd (masz to wypisane na twarzy), ale jeśli chce mimo wszystko dotrzymać „umowy lub części porozumienia, nawet w obecnej sytuacji”, musi wykazać „trochę elastyczności”. Neigel wstał i zaczął wzburzony chodzić po pokoju. Jego duża, władcza twarz napina się w wyrazie okrucieństwa, rysy tężeją.

– Nadszedł czas, abyśmy porozmawiali otwarcie – mówi, uderzając pięścią o rozpostartą dłoń. – To prawda, także w *Dzieciach Serca* działy się cudowne rzeczy, niezgodne z logiką czy prawami natury, ale tam wszystko było „miłe”, a nie jak u nowoczesnych twórców, „których tak bardzo chcesz naśladować”, którzy piszą podobne rzeczy z „nienawiści do człowieka”. Właśnie tak! Cieszą się, po prostu się cieszą, kiedy mieszają ludziom w głowach, ale co dają w zamian? Nic! Mówię ci: tylko ból i rozczarowanie!

Wasserman nie pyta, skąd Neigel ma tak szczegółowe informacje na temat współczesnej sztuki. Czuje, podobnie jak ja, że ta perora jest wstępem do ważniejszych rzeczy. Istotnie, Neigel zbliża się do sedna sprawy. Można to poznać po coraz szybszych krokach, po rytmie, w jakim wciąga policzki, po krótkich uderzeniach pięści w dłoń.

– To właśnie dają nam nowocześni pisarze. Przecież twoje dawne opowiadania wspominam z przyjemnością do dzisiaj. To chyba o czymś świadczy, czy nie? – On sam zupełnie nie zna się na literaturze i nie udaje, że może ocenić „dzieła literackie”. I to jeszcze takie, które czytał trzydzieści pięć czy czterdzieści lat temu. Ale jego żona Christina, z którą spędził urlop w Monachium, zna się na tym lepiej. Ma też lepszą pamięć. – Christina nigdy nie zapomina niczego, są tacy ludzie – mówi z powagą, a Wasserman słucha bardzo uważnie. – Nie, nie sądzę, że moja żona jest wykształcona świetnie. (Wasserman: „Ezaw w charakterystyczny sposób wymawia słowo «wykształcona». Jakby wypluwał nadgniły ogonek jabłka”). I też nie studiowała na uniwersytecie. Prosta kobieta, to znaczy – zwykła kobieta. Tak. Ale ma – nie wiem nawet, jak to nazwać – coś jakby nosa, umie wywąchać to, co prawdziwe i co fałszywe – ciągnie Neigel, nie patrząc na Wassermana. Na pewno wymaga to od niego wielkiego wysiłku, ponieważ nigdy wcześniej nie był zmuszony do

uporządkowania swych przemysleń. – Ma taki jakby zdrowy instynkt, z pewnością – podkreśla ponownie. Nagle coś wyrzuca go z miejsca obok szarej metalowej szafy, zmuszając do podejścia bliżej, niejako wbrew jego woli, aż staje naprzeciw Wassermana. Jakaś pierwotna szczerłość czy też poczucie obowiązku zmuszają go, aby spojrzeć prosto w oczy Żyda. Mówi porywczo: – Opowiedziałem jej, że tu trafiłeś. Rozmawialiśmy trochę o tobie w czasie mojego urlopu. Pamięta opowiadania Szeherezady z dzieciństwa.

Wasserman prostuje się i rumieniec wypływa mu na policzki. („Rozumiesz chyba, Szlojmele, że nastawiłem uszu jak zając. To nie byle co, trafić na dwoje moich wielbicieli za jednym zamachem!”).

– Żona mówi, że byłeś beznadziejnym pisarzem, Wasserman. Ze twoje opowiadania były w sumie dość nudne, poza fantazjami o wehikułach czasu i podróżach na Księżyc, choć to także wydawało jej się znane z innych utworów. Słyszysz, Wasserman? Żona mówi, że byłeś jakimś kuriozum. Tak. Właśnie tak powiedziała. Kuriozum, które miało tyle szczęścia, że ktoś to chciał wydawać. To ci chciałem powiedzieć.

Neigel zamilkł. Okruch nieoczekiwanej przyzwoitości każe mu odwrócić twarz, kiedy Wasserman aż się kurczy. Przyglądam się drobnemu, wynędzniałemu Żydowi. Naprawdę, powinienem był uczynić go bardziej utalentowanym, bardziej udanym pisarzem.

Neigel mówi bardzo cicho, z odwróconą twarzą:

– Wstawiłem się za tobą, Wasserman. Bronię cię w imię dawnych, dobrych wspomnień. Popatrz, gdzie się znaleźliśmy.

Tak, te słowa sprawiają ból memu małemu Wassermanowi bardziej niż poprzednie. Na chwilę przeszywa go myśl, że być może obersturmbannführer Neigel to ostatni człowiek na świecie, który pamięta i ceni jego nieszczęsne dzieła. Być może właśnie w prostym umyśle Neigla, który nie czytał niegodziwych artykułów krytyków, istnieje Wasserman taki, jakim pragnąłby być. Być może wyłącznie przy nim mogą zaistnieć i ożyć najskrytsze marzenia Wassermana.

– Teraz, kiedy już wiesz – powiada Neigel – chciałbym powiedzieć coś

jeszcze. Nie tylko na temat twojego opowiadania, ale w związku z tym eksperymentem. – Znowu chodzi po pokoju, przytykając do ust zwiniętą dłoń. Można sobie wyobrazić, że musi wyciągać słowa na siłę. – Wiesz – odzywa się w końcu. – Zastanawiałem się nad tym ostatnio. Nad tobą i mną. Wydarzyło się coś nowego, a ja lubię zrozumieć, co się ze mną dzieje. – Neigel na chwilę przerywa nerwową wędrówkę po pokoju, zatrzymuje się przy biurku i układa na nim starannie papiery i dokumenty. – Pogardzasz mną – mówi, odwrócony plecami. – To jest tak: jesteś pisarzem, a mnie uważasz za mordercę. Nie, nie mów nic! Naturalnie, w twoim dawnym świecie kogoś takiego nazywano mordercą. Ale świat się zmienił kilka lat temu. Może nie zauważyłeś, Wasserman. Stary świat umarł. Wraz z nim umarł dawny człowiek. Ja żyję w nowym świecie. W przyszłości, przyobiecanej przez Führera. Tak, Szeherezado – dodaje, odsuwając zasłonę i wyglądając na zewnątrz. – Zadania, których się podjęliśmy dla Rzeszy, wykonujemy z niepojętych dla ciebie powodów. Ty i twoja żydowska moralność, twoje pojęcie sprawiedliwości! Nie potrafię dobrze wyjaśnić, o co mi chodzi. Po to mamy filozofów i profesorów, żeby się nad tym głowili. Mnie płacą za realizowanie ich koncepcji. Kiedy mieliśmy wykłady z ideologii partii w szkole oficerskiej w Brunszwiku, sam reichsführer zwolnił mnie, abym mógł wziąć udział w ćwiczeniach kawalerzystów przed końcową paradą. Lepiej idzie mi z końmi, rozumiesz. Ale coś mimo wszystko włożyli mi do mózgowicy, i wiem, że należymy do dwóch całkiem różnych gatunków. Wy znikniecie za dwa albo trzy lata, kiedy zrealizujemy nasze plany. My pozostaniemy. To silniejsi zawsze przeżywali i decydowali o wszystkim. – Mówi odwrócony do okna, z zapalem i przekonaniem. Wasserman nie patrzy na niego, lecz kręci energicznie głową na chudej jak patyk szyi. Neigel odwraca się do niego i ogarnia go niewytłumaczalna złość. – To będzie nasza ziemia – mówi – nasze powietrze i nasze idee na temat sprawiedliwości i tego, co nazywasz moralnością. Pozostaniemy tu tysiące lat, to dopiero początek. Jeśli przyjdzie ktoś inny, z innymi poglądami na te sprawy, będziemy z nim walczyć. Jeśli nas pokona, to dlatego, że jego racje będą lepsze. Tak to już jest. W obecnej wojnie wy należycie do przegranych. My jesteśmy zwycięzcami. Tak nas przedstawią w

podręcznikach historii, z których będzie się uczył mój syn: zwycięzcy.

Wasserman nie może się dłużej opanować. („Czyż jestem z kamienia, Szlojmele, z brązu?”). Zrywa się z krzesła, staje na równe nogi, broda mu się jeży. Wydaje się dość zabawny, muszę przyznać. Według jego słów (trochę bełkotliwych) Neigel popełnia „tragiczny błąd”. Przede wszystkim nie było żadnego dawnego człowieka, i nie można mówić o „nowym człowieku”. Człowiek to człowiek, zmieniają się tylko prorocy. Według niego, on i Neigel znajdują się po tej samej stronie, stronie przegranych, ale Neigel i jego kompani są gotowi sprzedać się za miskę soczewicy odwiecznej iluzji, iluzji, że można zwyciężyć słabszych. Natomiast Wasserman wie już („mądrość ta wyryta jest w moim ciele i sercu od tysiąca lat”), że pod kreską ziemskiego rachunku – nie trudzi się wyjaśnieniem, kto prowadzi te rachunki – zapisane jest, że i Wasserman, i Neigel, należą do przegranych.

Neigel uśmiecha się lekko:

– Masz czelność – może powinienem powiedzieć: głupotę? – mówić o tym tutaj? W tym miejscu?

Żyd:

– Tu, w tym miejscu, to pan ponosi porażkę w każdej minucie. Co najokropniejsze, Herr Neigel, także mnie odebrał pan nadzieję, w porównaniu z tym, co było kiedyś. Może pan już wie, że mechanizm duszy jest cudowny, zachodzą w nim niezliczone procesy i ruchy, które mogą się odbywać wyłącznie w jednym kierunku.

– Nie zrozumiałem. Wyjaśnij mi – prosi Neigel. Wasserman waha się, płacze w wyjaśnieniach, a w końcu tłumaczy, że jest coś takiego jak:

– Okrucieństwo. Właśnie. Na przykład. Jeśli nauczył się pan okrucieństwa, będzie panu bardzo trudno się odzwyczaić. Podobnie jak jeśli kiedykolwiek nauczył się pan pływać, nigdy pan tego nie zapomni. Tak opowiadali mi ludzie, którzy chodzili nad rzekę. Jeśli chodzi o okrucieństwo, podłość albo zwątpienie – człowiek nie może być okrutny tylko chwilami, niegodziwy w jednej trzeciej czy nieufny w jednej czwartej. Zło nie jest przedmiotem, który można ze sobą nosić, jeśli się zechce, wyjąć z kieszeni i

zrobić z niego użytek, jeśli nie – włożyć z powrotem do kieszeni i odczuwać spokój duszy. Daję głowę, że nawet pan z pewnością odkrył, iż okrucieństwo, podejrzliwość i zło dotyczą całego życia. Jeśli otworzy pan przed nimi choćby szczelinę, rozpełzną się niczym pleśń po powierzchni całej duszy.

– Ach, rozmowa z tobą o tym to marnowanie słów – mówi Neigel. – Nie zrozumiesz podobnych rzeczy. Nie spodziewam się, że zrozumiesz. – Ale jego drwiący uśmiech wydaje się dziwnie pusty. (Skorupa uśmiechu, ja też zauważyłem!). Jego chęć kontynuowania filozoficznej dyskusji, trochę nudnej, jest także dla mnie niezrozumiała. – Jakie procesy... to znaczy, czy twoim zdaniem są procesy w... w duszy, które są odwracalne?

– Litość, Herr Neigel. Miłość do ludzi, i cudowna, naiwna zdolność wiary w nich. Wiary mimo wszystko. Wszystko to można odrzucić z największą łatwością. Z zasmucającą łatwością. Operacja ta jest prawie całkiem bezbolesna.

– A przywrócić je? – pyta Neigel, wbijając wzrok w głąb oczu Wassermana.

– Mam nadzieję, że tak – odpowiada Wasserman, i do siebie, nie do mnie, wypowiada następujące, niezrozumiałe słowa: „To przecież mój cel, Szłojmele, i dlatego odgrywam całą tę komedię”.

Nie ma czasu, aby to przemyśleć czy odpowiedzieć. Akcja toczy się dalej. Przecież Neigel będzie musiał w tym momencie powiedzieć – w odpowiedzi na słowa Wassermana o współczuciu i miłości – to, czego oczekujemy. Starą historię w stylu:

– Może nie wyobrażasz sobie tego, Wasserman, ale my wszyscy w SS, albo prawie wszyscy, jesteśmy wzorowymi ojcami rodzin, kochamy nasze żony i dzieci...

– Teraz – mówi Wasserman zmęczonym głosem – teraz ich kochacie. (Oj, jak mi obrzydły sentymentalne wyznania Keislera na temat żony, trójki małych aniołków i słodkiego kanarka w klatce. Jakie to odrażające!). Ale Neigel, misjonarz wyjaśniający dzikusowi zasady nowej wiary, jest niezmordowany:

– Przysięgaliśmy kochać Führera, Rzeszę i rodzinę. W takiej kolejności.

Te trzy miłości dają nam siłę do wykonywania rozkazów.

Żyd znowu zrywa się z krzesła, wymachuje ręką i woła łamiącym się, płaczącym głosem: – Przyjdzie dzień, kiedy wasi ludzie wystąpią przeciwko swym dzieciom i żonom i podniosą na nie miecz, jeśli taki otrzymacie rozkaz! – Skrzeczy spazmatycznie dalej: – Rozkaz! Rozkaz!

Neigel patrzy na niego odrobinę drwiąco, czeka cierpliwie, opanowany, aż wybuch minie. Potem objaśnia swoje stanowisko. Przyznaje (nie będą zaprzeczał), że ideologia „ruchu” jest surowa, wymagająca, skrajna. Ale to przecież jedyna szansa, aby odniosła sukces:

– Większy niż inne ruchy, rewolucje i idee, które zawsze upadały, bo na każdym kroku szukały kompromisu z ludzkimi słabościami! – Jest gotów wyznać: – Wśród nas przecież także są ludzie, którzy się załamali. To nie tajemnica. Ja sam znałem doskonałego oficera, który popełnił samobójstwo, bo nagle zaczął mieć koszmary, w których widział, jak zabija żonę i córki. Wyobraź sobie. Ale w każdej wojnie zdarzają się dezercerzy, tchórze i zdrajcy! – Tutaj muszę włożyć mu w usta, niczym naukowy przypis, fragment przemówienia Himmlera w Poznaniu w czterdziestym trzecim roku: – Pozostać przyzwoitym człowiekiem i nie załamać się widokiem stu, pięciuset czy tysiąca trupów – oczywiście, poza pojedynczymi osobami, wyjątkami, konsekwencją ludzkiej słabości – to czyni nas silnymi.

– Wszyscy walczymy w tej wojnie, Wasserman – mówi Neigel z wysiłkiem, prawie ochryple. – To wszystko nie jest takie proste, jak wydaje ci się w obozie. Bo kiedy zabija się matki z małymi dziećmi, trzeba być silnym, jak powiedział reichsführer. Opancerzyć duszę. Dokonywać wyboru. Tak, żeby nikt o tym nie wiedział. To cicha wojna, w której walczy każdy z nas. Cóż, oczywiście są też inni. Na przykład Stauke, który znajduje w tym chorą przyjemność. Są i tacy. Prawdziwy oficer SS nie powinien czerpać przyjemności ze swej pracy. Wiedziałaś, że sam Himmler przychodzi popatrzeć, kiedy przeprowadzamy selekcję, aby sprawdzić, czy pozwalamy, by jakiegokolwiek uczucia odbiły się nam na twarzach? Nie wiedziałaś? Tak jest. Sekretna wojna, jak mówiłem. Zwycięża ten, kto umie stąpać po cienkim lodzie... kto rozumie, że organizacja żąda od

niego ofiary. Przecież walczyliśmy na pierwszej linii frontu, w bitwie między dwoma gatunkami ludzkości... Jesteśmy narażeni na niebezpieczeństwa. Żeby pozostać dobrym oficerem, trzeba czasami, jak mówiłem, podejmować rozmaite decyzje, i trzeba, na przykład, postanowić o wysłaniu części tego na czasowy urlop... tego mechanizmu, znaczy się. –Wbijają dwa wyprostowane palce w pierś, obok serca: – Odesłać na jakiś czas, do zakończenia wojny... Potem przywrócić na miejsce i cieszyć się nową Rzeszą... Chcę ci opowiedzieć coś, o czym nie wie nikt. Tobie mogę, bo z tobą jest inaczej, z tobą to nie ma znaczenia.

Wasserman wpatruje się w niego i natychmiast rozumie, podobnie jak ja, co się dzieje w białym pokoju, w którym rządzą twarde prawa fizyczno-literackie. Ponieważ obaj, ja i Wasserman, strząsnęliśmy z siebie pierwszy obowiązek pisarza, obowiązek kształtowania swoich postaci, i woleliśmy pominąć, przynajmniej na pewien czas, psychikę Neigla, ten sprytnie i subtelnie wykorzystał naszą odrazę, by maksymalnie powiększyć przestrzeń życiową swojej osobowości, *Lebensraum* swojej ograniczonej, podobnej do plakatu egzystencji, i nabyć więcej charakterystycznych cech, warstw, faktów biograficznych i logicznych argumentów, jednym słowem – realności. Przez to teraz może odpowiedzieć Wassermanowi:

– W ostatnich miesiącach z powodu pewnego osobistego incydentu prowadzę tu tę sekretną wojnę i codziennie na nowo odnoszę zwycięstwo. – Powtarza znajome zdanie, które także Wasserman mówi na swój sposób: – To wszystko nie jest takie proste, jak się wydaje.

Wasserman wzdycha i trze oburącz znużone oczy. Słabym, bardzo zmęczonym głosem zaczyna odpowiadać Neiglowi. Według niego, części, które można usunąć, a po jakimś czasie włożyć z powrotem na miejsce, istnieją tylko w maszynach.

– Osobowość, Herr Neigel, dusza, mózg i serce, aj, nie należą do kategorii maszyn, chyba że wyjął pan z nich jedną część i zamienił ją w maszynę. Zamienił pan własnymi rękami. Wtedy bardzo trudno jest to naprawić, bo potrzeba do tego duszy lub kogoś z duszą, kto pana pokocha. Tyle że między maszynami – ciągnie Wasserman – miłość nie jest możliwa. Ktoś, kto zamienia

się w maszynę, wkrótce zaczniesz widzieć, że wszyscy wokół są tacy sami, innych w ogóle nie potrafi dostrzec. Albo zechce się ich pozbyć. Moglibyśmy, Herr Neigel, z bezgranicznym cynizmem twierdzić, że wszyscy jesteśmy takimi maszynami. Automatami, które trawia, rozmnażają się, myślą i mówią. Być może nawet gdy chodzi o miłość małżeńską do ukochanej żony, odwieczną i szlachetną miłość, może się okazać, niestety, że da się dopasować ją do czegoś innego, jeśli broń Boże ukochaną osobę spotka nieszczęście. Albo dziecko, które kochamy tak, że aż ściska w gardle – gdyby inne dziecko urodziło nam się zamiast niego, kochalibyśmy je tak samo mocno albo podobnie. Ogólnie rzecz biorąc, naczynia, w które jesteśmy wyposażeni, nasze garnki i patelnie, są takie same, a świat wlewa się do nich, tworząc najrozmaitsze kształty. Można słusznie powiedzieć: jesteśmy maszynami, automatami. Jest w nas jednak okruczeństwo czegoś więcej, czego nie potrafię nazwać, to staranie. Wysiłek, jaki czynimy dla tej właśnie kobiety czy tego dziecka, przelotna iskra przebiegająca między nami, dwiema ulotnymi istotami, która nigdy nie przeskoczy między dwiema innymi osobami. Ten sam żywioł, który zbliżył nas do siebie. Nazwę to wyborem. Tak niewiele jest nam dane wybrać. Dlatego nie wolno rezygnować z wyboru... To właśnie chciałem powiedzieć, ale wszystko się skomplikowało i zaplątało. Nu, cóż... nie jestem przyzwyczajony do takich przemów... proszę mi wybaczyć zbyt sentymentalizm... – i milknie, zarumieniony.

Mogliby się spierać jeszcze długie godziny. Czuję to. Obaj byli sztywni i napięci, ale mnie interesowało opowiadanie. Opowiadanie i sposób, w jaki udało się Wassermanowi „zarazić Neigla człowieczeństwem”, ni mniej, ni więcej. Przede wszystkim zażądałem od Anszela Wassermana, aby spróbował odkryć, co to za „osobisty incydent”, o którym wspomniał Niemiec. Ale Wasserman był wstrząśnięty, jak sądzę bez konkretnego powodu, i zdecydowanie odrzucił prośbę. („Sam zrozumiesz, że nie mogę zrobić czegoś podobnego! To znaczy, nie mogę naciskać! Mamy zobowiązanie wobec samego opowiadania, które jest niczym żywa, oddychająca istota, tajemnicza i kusząco delikatna. Nie powinniśmy jej naginać, kaleczyć ani łamać, by odpowiadała na nasze niecierpliwie pragnienia! Biada nam, bo jeśli tak uczynimy, może się okazać, że



otrzymamy płód, który wyszedł z łona matki w siódmym miesiącu, a wtedy stalibyśmy się mordercami, mordercami żywego opowiadania...”).

– Teraz, Herr Neigel – mówi poważnie Anszel Wasserman – jeśli pan chce, opowiem panu moją historię.

Neigel mamrocze, że nie jest już pewien, czy w ogóle chce słuchać, ale zakłada ręce na piersi i każe Wassermanowi zaczynać. Autor otwiera brulion. Tylko ja widzę, że zapisano w nim jedno słowo. Jedno jedyne słowo. No, no, mówię sobie w duchu. Mam wrażenie, że Neigel nie będzie zadowolony z rezultatów.

– Niestety, nie przeczytam panu dziś wiele – mówi Wasserman, a Neigel rzuca szybkie spojrzenie na zegarek.

– I tak nie mam już wiele czasu przez twoje wymądrzanie się! – odpowiada ze złością, i nie może się powstrzymać, aby znowu nie zapytać: – Paula naprawdę umarła?

Wasserman:

– Oczywiście. Ale wciąż przebywa z nami, jak już mówiłem.

– A jak – pyta Neigel sarkastycznie – zamierzasz to osiągnąć? Mam na myśli, w sensie artystycznym, to znaczy – jak to możliwe, że będzie zarazem żywa i umarła?

Autor:

– Jakie mam inne wyjście, Herr Neigel? Może zrozumie pan lepiej, gdy, nie daj Boże, znajdzie się pan w moim położeniu. Kiedy wszyscy pana bliscy nie żyją, jest pan zmuszony przyjąć ich takimi, jacy są.

– Tak? – pyta podejrzliwie Neigel, ale poprzestaje na tym. Wasserman teatralnie chrząka i bierze głęboki oddech.

– Pracowaliśmy w lesie (czyta z pustego zeszytu). Kopalnia była głęboka i wilgotna, pełna rozgałęzionych korytarzy, dziwnie tajemniczych, w których panował zapach wilgoci, unosił się smród odchodów lisów i królików. Wszystkie korytarze prowadziły do „komnaty przyjaźni”. Lubiliśmy zbierać się tam wieczorem po całodziennym trudzie, gawędzić lub milczeć w miłym towarzystwie. Byli tam wszyscy nasi przyjaciele, a także paru innych, których

dobry Otto w ostatniej chwili wciągnął do pomocy. Lata, które minęły od naszego ostatniego spotkania – już prawie pięćdziesiąt lat! – zmieniły nas i wyryły złowróżbne linie na naszych twarzach, zasiały ziarna starości i śmierci w fałdach skóry. Ale to, co najważniejsze, pozostało niezmiennie, nie tracąc żywotności, i czas jak gdyby nie miał nad tym władzy. Była to oczywiście chęć pomocy potrzebującym, współczucie dla tych, którzy zasługują na litość, miłość do tych, którzy potrzebują miłości. Byli z nami, z Ottonem, Paulą i Albertem Friedem. Aj, Fried mógł już włożyć na głowę swą lekarską czapeczkę! Wydawało się, że postarzał się najbardziej. Był też z nami Siergiej „złota rączka”, wciąż zachowujący dystans, zawsze czymś zajęty. Nadal chodził na swój dziwny sposób, jakby miał szyję ze szkła. Nawet Harotian był z nami, aj, Ormianin Harotian! Znany na całym świecie czarodziej i cudotwórca! Sławny od warsztatu Ludwiga van Beethovena po brzegi indyjskiego Gangesu. To Harotian, który cudem ocalał, gdy Turcy, niczym szarańcza, spadli na jego rodzinną wioskę, by mordować i grabić. Oj, Herr Neigel, proszę spojrzeć w jego smutne oczy, odbijają się w nich straszliwe widoki!...

Neigel wydaje jedynie lekki pomruk. Wasserman patrzy na niego przez chwilę, po czym mówi dalej.

– Także Harotian nie jest już młodzieniaszkiem. Pokazuje swe magiczne sztuki na całym świecie, zarabiając w ten sposób na utrzymanie. Wędruje po całej ziemi, nie znajdziecie miejsca, w którym nie dokonywałby cudów! Wydaje mi się, że jako jedyny z całej grupy miał szczęście i zdołał zgromadzić przed wojną jakiś majątek... Kiedy przyszła wojna, przypadkiem znajdował się w Warszawie, gdzie zamknęły się za nim bramy. Na nieszczęście, tym razem zawiodła go magia. Zdradzę panu w sekrecie, że już od kilku lat Harotian nie uprawia swych cudownych czarów, z których słyszał w młodości wśród Dzieci Serca. Wykonuje tylko sztuczki magiczne, jest zwykłym prestidigitatorem. Ma w tym pewien cel, lecz o tym opowiem panu potem. Tak czy owak, Harotian został uwięziony w Warszawie, w żydowskim getcie, podobnie jak my zmuszony do pracy i musiał wbrew woli przyłożyć rękę do budowy muru, który nas otaczał. Był daleko od nas, osamotniony, i jestem pewien, że gardził nami, ale jakie miał

wyjście. Aby się utrzymać, pokazywał sztuczki w zamian za kolację na weselach bogatych ludzi, a nawet w eleganckim klubie Britannia. Nasz Harotian, sam pan pewnie pamięta, Herr Neigel, umiał w minionych czasach oczarować widzów. Kto potrafi sprawić, aby fortepian zniknął razem z pianistą? Harotian! Przeciąć, broń Boże, na dwoje pannę zamkniętą w worku? Też Harotian! Nie ma sztuki, której Harotian by nie opanował. Ale w getcie nie dopisywało mu szczęście. Widywaliśmy te przedstawienia tak wiele razy, że nam się opatrzyły. Wiedzieliśmy, gdzie chowa karty w purpurowym, aksamitnym kaftanie, i gdzie znajdują się sekretne kieszenie w żółtym krawacie, znaleźliśmy worek z drugim dnem i fałszywą piłę. Wszystko to oglądaliśmy po wielekroć, do znudzenia. Poza najwspanialszą ze wszystkich sztuczka, sztuczka z fortepianem, której Harotian nie chciał pokazywać w getcie. Twierdził, że nie może pokazywać numeru ze znikaniem, gdy każdego dnia znika tak wiele osób, które nawet nie grają na fortepianie. Wiedzieliśmy jednak, że to wymówka, gdyż do tej sztuki potrzeba sceny z ukrytą zapadnią. Na terenie getta podobne drzwi znajdowały się tylko w celi straceń na Pawiaku.

Neigel, z półprzymkniętymi oczami, mówi cicho:

– Zaczynam rozumieć, do czego zmierzasz. Ach! Chcesz obudzić we mnie litość, *Scheissemeister* Co to ma być? Zemsta za pomocą opowiadania? Co za dziecinną grę prowadzisz ze mną? Dla twojego dobra, Wasserman, mam nadzieję, że się mylę!

Wasserman przybiera niewinny wyraz twarzy, ale nie odpowiada. (Uderzył poniżej pasa, podlec. I nie chybił! Chyba otrzymał dar prorokowania, wie, jak niemiłe dla pisarza dla młodzieży jest nazwanie go „dziecinnym”).

– Rób tak dalej – mówi Neigel – a stracisz ostatniego czytelnika.

Wasserman przelyka ślinę i ciągnie:

– Była z nami w kopalni także najurodziwsza kobieta na świecie, czarująca Chana Cytryn, obłąkana z miłości, oraz sympatyczny Aharon Markus, autor śmiałych eksperymentów, desperat, i oczywiście pan Jedidja Munin, wyjątkowy w swoim rodzaju, jedyny w swym pokoleniu pan i niewolnik ciała, miłośnik nauki, wizjoner, ucieczka...

– Chwileczkę! – Neigel podnosi wyprostowany palec, jak zmęczony uczeń, który nie rozumiał słów nauczyciela: – Co to za jeden? Co to znaczy „niewolnik i pan swego ciała”, i tak dalej? Co się tu dzieje?

– Nie zna go pan, szanowny Herr Neigel. To prawda, jest kimś nowym, z zewnątrz, hi, hi, ale zapewniam, że pan Munin zasługuje na to, by zaliczyć go w poczet starych towarzyszy. Uczynił ze swego życia naczynie wzniosłych dążeń, z jedną jedyną myślą, która obracała się w jego głowie niczym koło w wyżłobionych koleinach. Był potężnym, nawet desperackim wojownikiem, jakim powinien być każdy człowiek.

– Ale nie rozumiałem, co... To znaczy – co on potrafi? Przecież każdy z nich ma jakieś niezwykle talenty?

– Pan Munin? Aj, posiadał wielkie pragnienia, jak chyba nikt inny... Człowiek, śniący kwitnące sny, uskrzydłone niczym anioły... („Aj, Szłojmele, tu wzięłam głęboki oddech, spojrzałam w górę, i oczyma duszy ujrzałam Zalmansona patrzącego na mnie z niebios, rajy szyderstwa, szaleństwa, fałszu i cudów. Nagle stało się: ogarnął mnie nowy duch, a duszę wypełniły słodkie soki. Przez chwilę czułem się jak drzewo pod naporem wichru, który o mało nie wyrwał go z korzeniami, ale zamęt w sercu uciszył się i pojawiła się nowa, tajemna radość. Wiedziałem, co robić”). – Anszel Wasserman wyjaśnia, że pan Munin jest wielkim kochankiem, bohaterem nierozlanego nasienia, arcykopulatorem, który od lat nie dotknął kobiety, casanową jałowych fantazji.

Neigel wybucha szalonym śmiechem, graniczącym z okrzykiem desperacji, i z całej siły uderza się rękami po kolanach. Patrząc na Wassermana ze współczuciem. Jego wewnętrzny konflikt jest dla mnie oczywisty: z jednej strony ma cel, któremu podporządkował każde słowo w opowiadaniu, z drugiej... Tak, z drugiej strony mały Wassermanek chce po prostu opowiedzieć ładną historię, jak kiedyś, znowu ujrzyć zamglone oczy i usta otwarte w uśmiechu i zachwycie, ale obowiązek... przecież także ma obowiązek...

– Ładnie, ładnie – występuje w końcu Neigel, ocierając łzy śmiechu. – Od dawna tak się nie uśmieiałem – oznajmia. – Zdziwiłeś mnie, Szeherezado! Teraz mamy też żydowską pornografię! Okazuje się, że wszystko, co o was mówią w

*Gruelpropaganda*, to prawda!

– To straszne – odpowiada natychmiast Wasserman – jak nisko upada rodzaj ludzki, przechodzi od upadku do upadku. Obiecuję, że za małą chwileczkę wszystko stanie się jasne i moja historia pana udobrucha, a może nawet więcej.

Neigel:

– Wcale nie jestem tego pewien, mój *Scheissemeister*, wcale nie.

– Proszę pana! – Wasserman unosi rękę w proteście, błagalnie. – Teraz moje opowiadanie jest istotnie nędzne. Wiem to nawet ja. Może nawet bardziej niż pan. Być może dostrzegam niedociągnięcia, których, nie ubliżając, pan nie widzi. Ale co? W mojej nieszczęsnej sytuacji jestem zmuszony przedstawić pierwszą, niedoskonałą wersję. Proszę mi wierzyć, pęka mi serce, że muszę wydać na świat tak podrzędną wersję utworu, ale zobowiązałem się wykonać zadanie, a ktoś taki jak ja nie ucieka przed obowiązkiem. O jedno tylko proszę, aby był pan cierpliwy i wyrozumiały, okazał mojej historii współczucie i dobroć niczym maleńkiemu dziecku, kruchemu i słabemu. Obiecuję, że w swoim czasie spotka pana godziwa nagroda.

– Dobrze – mówi Neigel, pilnując się, aby znowu nie wybuchnąć śmiechem. – Skończmy na dzisiaj. Mam jeszcze trochę pracy, jeśli pozwolisz. Możesz wrócić do swojego pokoju, żeby pisać. Jutro będziemy kontynuować. Życzę ci, aby dalszy ciąg okazał się lepszy. Dla twojego dobra, Wasserman, mam nadzieję, że moja żona jest w błędzie.

– Pardon – szepcze Wasserman. – Ale pan chyba zapomniał: moja nagroda... to znaczy, nasza umowa.

– Nie zasługujesz na to dzisiaj – mówi porywczo Neigel. – Sam o tym wiesz. („To znaczy, że czeka mnie kolejna noc i dzień, aj, tyle godzin życia, wyczerpująca praca w ogrodzie, kopanie grządek. Niech je zasypie ziemia! Trzy transporty, które przyjadą trzema pociągami, nadzy ludzie biegnący przez «szlauch», nowe dymy, czarniejsze od samej czerni, jak ja to zniosę, Szlojmele? Jak może żyć ktoś, kto to widział?”). – Dobranoc, Herr Neigel.

## 4

– W kwietniu tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku pewien stary człowiek stał u wejścia do kopalni „lepku” w lesie pod Borysławiem. Z wykrzywioną ponuro twarzą rył czubkiem buta linię w ziemi. Tą dziwną czynnością stary człowiek wzywał życie, aby ośmieliło się przekroczyć linię i nareszcie ujawniło przed nim. Oczywiście, nie wydano jeszcze odezwy, zakazującej Żydom rysowanie linii na ziemi, i doktor Albert Fried, który był Żydem, czynił to codziennie od trzech lat, tym samym gestem, z tą samą determinacją.

Wasserman czyta Neigłowi. Tylko ja, zerkając mu przez ramię, moge zobaczyć, że w brulionie znajduje się wciąż tylko jedno słowo, którego nie moge odcyfrować. Ale w tej chwili Anszel odkłada zeszyt i czeka. Czeką na mnie. Prosi, abym mu pomógł odmalować postać lekarza. Przypominam sobie rysunki Sary Wasserman z późniejszych wydań. Przedstawiały wysokiego, odrobinę przygarbionego chłopca o poważnej, wrażliwej twarzy. Teraz muszę zapomnieć, aby sobie przypomnieć, i ujrzeć go takim, jakim jest dziś, spojrzeć w twarz, którą Wasserman zwie „powykręcana”, poruszyć nogami w tym samym mocnym ruchu, w proteście. Okazuje się, że trzeba umieścić ramiona odrobinę wyżej, w pełnej groźby postawie, wyraźnie gotowej do obrony. Zmarszczyć trochę brwi, które powinny zrastać się nad nosem... Fajka? Nie. Nie Fried. Ale kostur pielgrzymia – jak najbardziej. Taki, którym pomagali sobie, kiedy marsz stawał się ponad siły. Taki, który nosimy z niechęcią, z odrazą, niczym piętno. Teraz trzeba pomyśleć: co to za rzecz, którą nasz Fried nazywa „życiem”? A może, po jednym spojrzeniu, lepiej odwrócić to pytanie: czego nie uważa za „życie” ?

Łatwo odpowiedzieć. Odpowiedź przychodzi sama: prawie wszystkie wydarzenia, które dotknęły go w życiu; rozmaici ludzie, których znał od

dzieciństwa; więzi i relacje, które go z nimi łączyły. Krótko mówiąc – wszystko to, co zawsze było do zniesienia, choć z trudem, po wybuchu wojny stało się całkiem nie do zniesienia, a dla niego było zawsze tylko wstępem do czegoś, co powinno się znaleźć tuż-tuż, ale nigdy nie znalazło się dość blisko. Stary doktor nie mógł pogodzić się z myślą, że być może człowiek nigdy nie zakosztuje smaku tego, co zwie się „życiem”. Myślał tak, ponieważ bardzo szanował to coś, i nie wierzył próbnym szkicom, które jego własne życie wciąż próbowało wepchnąć mu w ręce.

– Pięknie mówisz – stwierdza Wasserman i jego twarz dosłownie promienieje blaskiem. – Teraz posłuchaj... ponieważ doktor był małomówny, nikomu nie zdradzał swych myśli, poza jednym, jedynym razem, kiedy odsłonił serce przed Ottonem, uniósł zdumiony swe ogromne, niedźwiedzie ręce i nazwał swoje życie „kamouflażem”. W ten sposób wyraził chyba wszystko, co przeszedł od czasu, gdy po kilku miesiącach męki zaczął wierzyć w cudowne, rozpaczliwe dzieło iluzji ukochanej Pauli.

– Jakie rozpaczliwe dzieło? – pyta podejrzliwie Neigel. – Możesz to wyjaśnić?

– Potem, potem, jeśli można – strofuje go Wasserman. – W swoim czasie dowie się pan i zrozumie wszystko, teraz proszę cierpliwie słuchać. Na czym skończyliśmy? Aj... no tak. Tak jest: trzy całutkie lata minęły, odkąd Paula odeszła z tego świata, i doktor zaczął ryć upartą linię czubkiem buta w pyłe. Jedynie Otto Brig, który potrafił zaglądać ludziom do serc, znał dobrze sekrety Frieda i rozumiał powody jego dziwnego postępowania. Tylko że życie, Herr Neigel, prawdziwe życie, proste, wartościowe i właściwe życie, nie słyszało jego wołania. Doktor zaczął podejrzewać, że milczenie przeciwnika nie jest tak zwyczajne, jak mu się wydawało, może – że jest pełne potępienia...

Wasserman wciąż „czyta”, ale czuje już, że także milczenie Neigla nie jest całkiem zwyczajne. Unosi głowę i napotyka gniewny, drwiący wzrok.

– Co za głupstwa wygadujesz, *Scheissemeister*! Od kogo przepisałeś te wszystkie filozofie?

(Wasserman: „Aj, gdybym mógł, wypatroszyłbym go jak rybę! Od dawna

staralem się powstrzymać wściekłość, starałem się, aby grdyka przestała mi podskakiwać, utrzymywałem pogodny wyraz twarzy”).

– Nic nie przepisałem, Herr Neigel. Napisałem to własną serdeczną krwią. Przecież nasz Fried ma zostać kamieniem węgielnym nowego opowiadania.

Neigel:

– Naprawdę! Nie uda ci się mnie omamić. Kiedyś pisałeś całkiem inaczej!

– W istocie.

– Nie podoba mi się ten nowy styl.

– Aj, gdybym mógł zasłużyć na łaskę pańskiej cierpliwości.

Neigel, ze zmęczoną, nieomal dziecięcą skargą:

– Ja lubię proste opowiadania! Autor, ze śladem okrucieństwa:

– Nie ma już takich. Zgodził się pan słuchać. Proszę mi nieustannie nie przerywać. Pewnego ranka wokół pępka doktora pojawiło się coś w rodzaju zielonkawego wykwitu. Zaczął przeglądać notes, w którym opisywał rozmaite swoje dolegliwości, nie dlatego, aby był, broń Boże, hipochondrykiem, ale ponieważ ciekawiły go wszelkie informacje na temat własnych chorób. Ku swemu zdumieniu przekonał się, że dokładnie tego dnia, dwa lata wcześniej, w rocznicę śmierci Pauli, w tym samym miejscu na jego ciele pojawił się identyczny tajemniczy wykwit. Nazwał go wtedy „jasną wysypką”, a w zeszłym roku „zielonkawym grzybicznym nalotem”. Natomiast w tym roku bez wątpienia była to „przypominająca mech zielonkawa wysypka”. Z początku usilnie starał się pozbyć nalotu, smarując go kwasem bornym, potem spirytusem, potem próbował oderwać go palcami, lecz aż wrzasnął z bólu, ponieważ miał uczucie, jakby wrywał sobie włosy. Przyszła mu do głowy dziwna myśl, całkiem do niego niepasująca, że być może nie jest to takie proste. Dodatkowo nawiedziło go nieoczekiwane przyjemne uczucie, podobne do zawrotu głowy albo rozpacz, po której nie ma już nic. Doktor postanowił, że do wieczora nie będzie próbował pozbyć się egzemy. Co jakiś czas dotykał jej ukradkiem pod koszulą, a dotyk ten sprawiał mu tajemną przyjemność, jakby był to perfumowany liścik, który ukochana przysłała mu z więzienia.



Wasserman oddycha głęboko i przerywa, w oczekiwaniu na coś. („Nu, co powiesz, Szlojmele? Ładne? Co? Stary krawiec jeszcze pamięta jak szyć, co?”). Neigel nie zwraca uwagi na wymyślny styl. Interesuje go coś całkiem innego:

– Czy Fried i Paula byli małżeństwem? – pyta, wyciągając surowo palec.

Wasserman płacze się i jąka:

– Małżeństwem? Właściwie... nie. To znaczy, nie byli małżeństwem. Ale żyli ze sobą jak mąż i żona. Tak to było. Właśnie. Teraz sobie przypomniałem.

– W czterdziestym trzecim? Nie zapominaj, że ona była Polką, a on jednym z was! Sam mi tłumaczyłeś, że opowiadanie powinno być przekonujące w najdrobniejszych szczegółach. Dokładność, mówiłeś. Pamiętasz?

Wasserman, czując w sercu zimne kleszcze lęku:

– Pamiętam. Znowu pragnę doradzić panu cierpliwość. (Ale uszy zaczęły mi płonąć ze wstydu, Szlojmele. Naszedł mnie dawny lęk, że roztrzepanie przyczyni się kiedyś do mojego upadku. Podobne błędy i pomyłki przytrafiały mi się co jakiś czas, kiedy pisałem *Dzieci Serca*. Gdyby nie Zalmanson, który sprawdzał moje teksty z najwyższą pedanterią, doprowadziłbym do prawdziwych katastrof. Przyznam ci się jeszcze do czegoś, Szlojmele. Pochodzenie Ormianina Harotiana i jego cudowne talenty, o których czytamy w jednym z opowiadań, to także rezultat pomyłki. Dość jednak o tym. Wróćmy do opowieści”).

Otto i Fried odpoczywają przed komnatą przyjaźni, przy świetle lampy parafinowej, i grają w szachy.

– Jak dawniej, co? – wzdycha Neigel i spogląda trochę łagodniej.

– Rzeczywiście, Herr Neigel, Fried wciąż wygrywa. Dokładnie tak, jak kiedyś. – Wasserman opisuje, jak doktor Fried stawia kolejny ptaszek w długiej kolumnie pod swoim imieniem na zatłuszczonej kartce papieru. Po stronie Ottona jest pusto. Otto – właśnie Otto – nalegał, aby zapisywać wyniki każdej partii, a doktor, który się domyśla dlaczego, udaje, że te stosunkowo łatwe wygrane sprawiają mu przyjemność. Żaden nie wspomniał ani słowem rocznicy śmierci Pauli, o której nie przestają rozmyślać. Po pewnym czasie cisza stała się nie do zniesienia nawet dla tych dwóch milczków. Otto odchrząknął i powiedział

szeptem, że Fried się zadrecza; Paula kochała go takiego, jakim był, nie ma czego żałować, przeżyli piękne chwile bliskości, może nawet miłości... Fried nie odpowiedział mu ani słowem. Jego twarz była nieprzenikniona, jakby nic nie usłyszał. Tylko ręka mimochodem przesunęła czarnego króla do białej królowej i zatrzymała się. W policzku zaczął drgać mięsień. Otto uniósł swe błękitne oczy i spojrzał na Frieda. Gest ten wywarł na doktora niezwykle wpływ, bo Otto i Paula byli rodzeństwem, i oczy Ottona były tak błękitne i przejrzyste jak oczy siostry, pełne tego samego blasku. Co jakiś czas, gdy doktor czuł, że smutek niebawem go przydusi i, nie daj Boże, zabije, podchodził i kładł rękę na ramieniu krępego Ottona, spoglądając mu z góry w oczy. Wtedy wydarzył się akt prawdziwej łaski: Otto wyszedł ze swych oczu. Szlachetnie usunął się na bok i pozwolił Friedowi zjednoczyć się z Paulą.

– To akurat... to znaczy... może być i tak – mówi Neigel. – Mój mały Karl ma dokładnie takie oczy jak ja. Identyczne. Moja żona, czasami, kiedy jest... kiedy za mną tęskni, bierze go na ręce i patrzy pod światło... – Dopiero teraz Neigel przypomniał sobie o swojej pozycji i komu to opowiada. Śmieje się zażenowany, pociąga nosem, a potem z nieusprawiedliwionym gniewem rozkazuje Wassermanowi opowiadać dalej.

– ...Doktor zanurzył się głową i ciałem w oczach Ottona. Od razu poczuł, jak cała twardość serca i gorycz roztapiają się, na krótką chwilę wszystkie złe lata zniknęły. Ogarnął go wielki lęk, gdy nadszedł czas, by wynurzyć się z tego zaczarowanego jeziora.

Wasserman wzdycha głęboko, patrząc w przestrzeń: – Aj, Herr Neigel, można powiedzieć, że nasza opowieść, a właściwie każda opowieść, znajduje swoje korzenie w błękitnie oczu Ottona...

Fried mówił do siebie. Mogłem go usłyszeć. Jego głos, jak głos Wassermana, miał w sobie tę szarą jakość słowa pisanego. Jakby obaj byli żywi w tej samej mierze. Powiedział: „Przypominam ją sobie, kiedy przecieram łokcie połówką cytryny, bo dzięki temu, tłumaczyła, nie będą stwardniałe jak kora drzewa. Przypominam ją sobie, kiedy czyszczą zęby, odrobinę okrągłymi ruchami, w rytm piosenki *Gertie miała ukochanego*, jak mnie nauczyła. Myślę o

niej, kiedy wkładam różę do wody i dosypuję odrobinę cukru, żeby nie zwiędła. Ona mogła godzinami przyglądać się kwiatom. Nigdy wcześniej nie wkładałem kwiatów do wody, nie wiedziałem, że mam stwardniałą skórę na łokciach. Myślę o niej, kiedy spluwam trzy razy na widok pająka. To nie zaszkodzi, mówiła. Myślę o niej, kiedy wieczorem zdejmuję skarpetki i wacham je dokładnie, w hołdzie jej pamięci, bo Paula z upodobaniem wachała swoje majtki i skarpetki. Myślę o niej, kiedy celowo – niby przez zapomnienie – zostawiam niedokręcony kran i zapalone światło w pokoju, z którego wychodzę, aby jej pokazać, gdziekolwiek jest, że też jestem zapominalski i roztrzepany i że żałuję tych chwil, kiedy złościłem się na nią z powodu byle głupstwa. Ile niepotrzebnych kłótni odbyliśmy przez podobne drobiazgi. Myślę o niej też...”. Fried przerywa zawstydzony. Wasserman nachyla się, jakby chciał mu szepnąć coś zachęcającego, a może samemu sobie. Nu, Fried, nie ma się czego wstydzić, przecież znam cię jak zły szeląg. Fried zanosi się przeciągłym kaszlem i mocno się rumieni. (Co ukrywa? Jaką mroczną tajemnicę skrywa doktor przez całe życie?). Mały Aharon Markus, który prezentuje się elegancko nawet jako robotnik, śpieszy z pomocą: „Także kiedy puszczasz gazy, mój kochany Friedzie, nie wstydz się...”.

Milczenie. W tym czasie czytam zdania, które pośpieszenie zapisałem. Poprawiam kilka słów. Dodaję wyjaśnienie. (Co za tempo!). Dziękuję Bogu, że Neigel, niezmiennie spokojny i pewny siebie, parszając śmiechem, wybawia mnie ze straszliwego zażenowania (Myślałem, że z ciebie kulturalny człowiek, Wasserman) wobec małego, straszego staruszka, którego najwyraźniej nie znam. Wasserman nie reaguje. Wraca do opowiadania, a ja mogę tylko czekać na następne głupoty, jakie dla mnie szykuje.

– Także kiedy pan puszcza gazy, panie doktorze, ciągnie pan Markus. W istocie, Herr Neigel, ponieważ kiedy Paula jeszcze żyła, Fried odkrył pewne sekretne prawo. Za każdym razem, gdy był przekonany, iż jest sam, i pozwalał sobie na swobodne puszczenie gazów, to znaczy, na pierdnięcie, Paula natychmiast pojawiała się znikąd, a Fried miał ochotę zapaść się pod ziemię. Paula wtedy uśmiechała się do siebie ukradkiem. Cała ta tajemnicza sprawa

powtarzała się codziennie, niezmiennie, niczym prawa niebios. Od wschodu słońca do słońca dnia, przez trzy lata po śmierci Pauli, nasz kochany doktor puszczał wiatry, po czym zamykał oczy i niczym naiwne dziecko, nasłuchiwał odgłosu zbliżających się kroków. Aj, w dniach, kiedy żal i zniechęcenie prześladowały go nieznośnie, nieszczęśliwy Fried wychodził z kopalni i spacerował samotnie po lesie, trąbiąc głośno, a odgłos odbijał się echem w tunelach, przywołując na myśl smętne krzyki dzikich gęsi...

Neigel nie może się już dłużej opanować i śmieje się na cały głos. Kto by uwierzył, że ten spięty i podejrzliwy człowiek chowa w środku tak głośny, wesoły śmiech:

– Nieźle, Wasserman, nieźle – jęczy. – To nazywam rozrywką. Co prawda, nie to miałem na myśli, kiedy prosiłem cię o opowiadanie. Ale zaczyna się robić interesujące. Aczkolwiek – przyznaje, wycierając oczy i policzki – trochę trudno mi wyobrazić sobie bohaterów z dzieciństwa jako bandę staruszków puszcujących wiatry.

– Mam nadzieję, że przyzwyczai się pan – mówi sucho Wasserman, z urazą i rozczarowaniem w oczach. („Nu? Widziałeś podobnego *jekke*? Nic nie trafia mu do serca, dostrzega tylko skorupę! Fe! Jak rozdziawia te swoje usta i pokazuje krowie zęby, rycząc ze śmiechu! A przecież opowiadam historię prawdziwej miłości między kobietą i mężczyzną. Miłości, która pokonuje granice czasu! Mówię o straszliwym pragnieniu mówienia słów miłości, kiedy nie ma ich już komu powiedzieć, kiedy nie ma już słów... A on – aj... Wól, mówię ci. Wól, nawet jeśli wyślesz go do Jehupca, pozostanie wołem!”).

Neigel wciąż swoje:

– Mam nadzieję, Szeherezado, że niebawem zaczniesz jakąś akcją, a nie tylko pierdzenie, jeśli mi wybaczysz sformułowanie. („Et! Rzucam perły przed wieprze!”).

Na głos Wasserman odpowiada:

– Ależ oczywiście, szanowny panie! Nadzwyczaj poważna akcja! „Akcja”, pańskimi słowami! („Bóg jeden wie, skąd wzięłem czelność, żeby tak kłamać. Przecież w tym czasie, Szlojmele, nie miałem nic szczególnego na myśli. Nie

miałem pojęcia, w jakim celu zebrała się ponownie drużyna, z kim będą tym razem walczyć i jak uda mi się zarazić Neigla dolegliwością z Chełma, jak to nazywam...Chyba po raz pierwszy w życiu miałem poczucie, że to się może udać, że może jestem prawdziwym pisarzem. Modliłem się tylko o siłę, by zdobyć to, co ukryte, pokonać to, co zapomniane, i opowiedzieć tę historię jak należy, od narodzin do śmierci. W moich starych kościach płonął nowy ogień, napędzając mnie rozkosznym ciepłem, aż prawie nie mogłem się opanować. Jakby po drugiej stronie kartki stał nieznany człowiek, pociągał do siebie moje pióro i serce. Jakbyśmy byli górnikami, kopiącymi tunel z dwóch stron góry”).

Neigel skrywa szerokie ziewnięcie. Oznajmia, że jeśli Wasserman skończył, może iść spać, bo jego, Neigla, czeka jeszcze wiele pracy. Wielkodusznie podkreśla, że „jak na początek nie było najgorzej”. Wasserman rzuca uważne spojrzenie na pusty brulion. Czyta wciąż od nowa jedno jedyne napisane w nim słowo i oznajmia, że jeśli Herr Neigel sobie życzy, zakończą na tym. Jemu to bez różnicy. Może czytać do brzasku.

Wstają, aby się rozejść. Dla mnie to czas na mały rachunek sumienia: dzieje się coś dziwnego. Nie rozumiem, do czego zmierza Anszel Wasserman w swojej groteskowej, wulgarnej opowieści. Nowa, nieposkromiona swoboda jego wyobraźni sprawia, że czuję się zażenowany. Nawet trochę zły. Jakby ktoś łamał reguły gry: Wasserman wprowadza wymiar bezwstydnego, handlowego przebiegłości do opowiadania, które dla mnie jest zbyt doniosłe i ważne, by zamieniać je w tanią komedię. Aby osiągnąć cel, jest gotów użyć najbardziej wstrętnych metod. Czasami niełatwo mi z nim.

Z drugiej strony – Neigel: on także jest mi obcy. Nic dziwnego. Jesteśmy zbyt różni. Mimo wszystko – odpowiedzialność pisarza! I ciekawość: skąd się wyłoni mój Neigel? Czy w ogóle można przerzucić most nad przepaścią między nami, aby stworzyć dzieło artystyczne? Czekam cierpliwie.

– Dobranoc – mówi Neigel, nieznany bohater mojej historii.

– Pozwoli pan z łaski swojej – mówi Wasserman – że przypomnę: jest mi pan coś winien. – Kiedy zdziwiony Neigel unosi brwi (Ja? Tobie?), staruszek mówi spokojnie: – Nasz kontrakt, szanowny panie.

Nie rozumiem go. Dlaczego nadal chce? Neigel też jest zdumiony. Nawet przestraszony. Jego ręka muska rewolwer i cofa się jak oparzona. („Nu, nu, zapomniał. Dzisiaj faktycznie zachowywał się trochę inaczej, prawda?”). Kiedy Wasserman obstaje zdecydowanie przy swoim (Przecież sam pan obiecał!), Neigel dobywa broni.

To średniej wielkości pistolet, nieznanego typu (może austriacki steyr?), wypolerowany do połysku. (To chyba steyr. A może... oczywiście! Parabellum. Jak mogłem tak się pomylić! Z pewnością: luger parabellum, z magazynkiem na osiem naboji, kaliber... jeśli wciąż dobrze pamiętam z testów, które rozwiązywaliśmy za młodu w wojsku – kaliber dziewięć milimetrów). Neigel co chwila zmienia postawę. Próbuje podeprzeć lewą ręką nadgarstek prawej. (Bez wątplenia: dziewięć milimetrów... Jak niemiecki mauzer, z tym, że mauzer ma magazynek na dziesięć nabojów). Lufa zatacza kilka niepewnych kręgów wokół skroni Wassermana, na której perłą się kropelki potu. (Za oknem dostrzegłem czerwoną iskrę, wieczne światło u szczytu wielkiego komina, a także błękitne niczym błyskawice błyski latarek wartowników chodzących wzdłuż drutów. Neiglowi nie zadrżała ręka. Nie była też jednak spokojna. Przeciwnie). (Oczywiście, mówię o pistolecie samopowtarzalnym mauzer, a nie karabinie, który mógł mieć specjalny magazynek na 25 [!] nabojów. Strzelając z niego, podobno czuje się naprawdę, jak naboje wylatują z lufy z niewiarygodną szybkością). Jeszcze raz Neigel próbuje powstrzymać Wassermana (Posłuchaj, Wasserman, to wszystko jest dość głupie, przecież my już... no...), wywołując nieco teatralny wybuch wściekłości (*In dreierd*, Neigel! Przecież dał mi pan słowo, słowo niemieckiego oficera!). Neigel, z gniewem, z szeroko otwartymi oczami:

– To było wcześniej, zanim zaczęliśmy opowiadać... Wasserman, bezlitośnie:

– Codziennie zabijacie tysiące. Wszyscy Żydzi świata przechodzą przed panem niczym owce na rzeź, aby umrzeć na pański rozkaz. Widziałem, jak własnoręcznie zastrzelił pan tyłu ludzi. Nieskończenie wielu. Nie zauważyłem, aby zawahał się pan lub zastanowił choć jeden raz! O co proszę? O nic

wielkiego. Mała prośba. Aby zrobił pan to, co zawsze, ale tym razem chcąc tego, podejmując na nowo decyzję! Może nie jest pan do tego zdolny, Herr Neigel? Niech pan do mnie strzeli! Nu! Odwagi! Niech pan strzela! *Feuer!* Neigel, *Feuer!*

Neigel zamyka oczy i strzela, wydając przy tym dziwny dźwięk, westchnienie czy zduszony okrzyk przestachu. Wasserman stoi cały i zdrowy, z dziwnym wyrazem na twarzy, jakby czegoś nasłuchiwał. (W mojej czaszce rozlega się znajome brzęczenie). Szyba w jednym z okien pęka na kawałeczki. Neigel gapi się na nią, a ręka silnie mu drży. Wcale nie stara się tego ukryć. Twarz wykrzywia mu dziwny grymas, jakby ktoś wewnątrz uchwycił ją mocno i ścisnął. Wasserman powiedział do mnie: „W każdym razie, Szlojmele, gdy rozległ się huk, moje serce odebrało niezwykle ważną wiadomość: w opowiadaniu pojawi się małe dziecko”.

Czasami, bardzo rzadko, opowiada o żonie. Tak powstaje jej niekompletny, lecz bardzo wyraźny portret. Sara Erlich, jak wiadomo, pojawiła się w jego życiu, kiedy miał czterdzieści lat, i zamierzał umrzeć jako kawaler. Była córką Mojżesza Maurycego Erlicha, właściciela niewielkiej kawiarenki na Pradze. Jej matka zmarła, gdy Sara miała trzy lata. Sara pracowała jako ekspedientka w sklepie z perukami „Szylinger”. Wasserman opowiada, jak pewnego razu, to było w święto i sklep był pusty, przechodził ulicą i za brudną szybą zobaczył „drobną, popielatą dziewczynę”, która grała na flecie innym ekspedientkom. Zapamiętał wyraz absolutnego uniesienia, łagodzący jej raczej ostre rysy, drwiące, ukradkowe uśmiechy dziewcząt, i to, w jaki sposób pasmo czarnych włosów opadało jej na policzek. Wspomina ze zdumieniem, że w tamtym czasie był tak obcy kobiecie, z którą następnie splodził córkę. Wydaje mi się, że z jakiegoś powodu bardzo go to rozczarowało. Mój dziadek Anszel Wasserman mimo swej skromnej, nieco zasuszonej postaci, był najwyraźniej romantykiem. Zapytałem, czy po ślubie nie zaznał nigdy podobnej obcości, ale nie odpowiedział. Powiedziałem, że moim zdaniem w relacjach męża i żony trzeba poznać całą gamę uczuć, jakie mogą zachodzić między dwojgiem ludzi.

Przyjrzał mi się ze zdumieniem. Chyba nie spodziewał się po mnie podobnej uwagi.

Najlepsza pora na słuchanie opowieści o dawnym życiu to czas przyjazdu pociągów. Wasserman słyszy pociąg jeszcze z daleka. Zaczyna wtedy kopać w ogródku z nowym zapamiętaniem. Wkłada w to wszystkie siły. Po kilku minutach z oddali dobiega jeden długi gwizd i dwa krótkie. To znak dla ukraińskich wart, które schodzą się z całego obozu i zajmują stanowiska na dachach i wieżyczkach oraz po dwóch stronach „drogi niebios”. Pociąg wyłącza silnik i wtacza się bezgłośnie na stację. Wagony dziwnie cicho suną po torach. Dopiero gdy maszynista pociąga za hamulec, rozlega się zgrzyt, lecą iskry. Przez szpary w deskach, którymi zabite są okna, zaczynają wyglądać oczy. Ludzie w środku widzą schludny obóz, przyjemną alejkę z ławkami i klombami. Widzą nieduże tabliczki z napisami: „na stację”, „do getta”. Drogowskazy w kształcie strzałek, na których narysowany jest mały, przygarbiony Żyd w okularach, niosący niedużą walizeczkę. („Zalmanson, niech mu Bóg da zdrowie, powiadał, że jesteśmy do siebie podobni jak dwie krople wody”). Teraz podróżni zaczynają wysiadać z wagonów. W każdym znajdują się setki ludzi. Ukraińcy poganiają ich krzykiem i biciem. Przybyli są wciąż oszołomieni, ścierpnięci po długiej podróży na stojąco. Mają na sobie ubrania, ale w oczach Wassermana są już nadzy. Jeszcze żyją, ale on widzi, jak leżą na stosie. Niedługo coś zostanie im odebrane. Wasserman jęczy w ziemię. Nie ma już łez.

Mówi. W takich chwilach bardzo chce mówić. Jest szczery i wyzbyty wstydu. Mówi szybko i głośno, próbując przekrzyczeć inne głosy. Sara miała dwadzieścia trzy lata, kiedy się poznaliśmy.

– Nu, co można było zrobić? Pobraliśmy się po czterech tygodniach. Zalmanson był moim świadkiem. – Chupe ustawiono w domu Zalmansona i jego żony Cyli, którzy, jak zawsze, zaprosili wielu znajomych. – Uwierz mi, Szlojmele, że nie znałem prawie nikogo. Nu, przecież nawet panny młodej prawie nie znałem... – Okazuje się, że małżeństwo ułożyło się w sumie dobrze. Czterdzieści lat upartej samotności, rzekomo dobrowolnej, zawałiło się w jednej chwili, kiedy zrodziło się pragnienie bliskości drugiego człowieka. W swojej



rodzinie Sara uchodziła za starą pannę, a ojciec nie wierzył, że córka kiedykolwiek wyjdzie za mąż. Dodatkową wadą były jej inteligencja i wykształcenie. „Kto poślubi takiego mola książkowego?” – krzyczał ojciec, kiedy widział, jak spuszcza oczy nad lekturą. Był energicznym mężczyzną, prostym i serdecznym, który kochał córkę i litował się nad nią. Może dlatego, że uważał ją za fatalną kandydatkę na żonę, zgodził się, aby wyszła za zgarbionego Wassermana, który był – o wstydzie! – prawie jego rówieśnikiem! Wasserman opowiada mi sucho, że miesiąc miodowy spędzili w Paryżu. Rozumiem, że miejsce to nie odpowiadało im w najmniejszym stopniu. Wybrał je ojciec panny młodej. Sfinansował im podróż w nadziei (prawdopodobnie), że tętniące życiem miasto światła rozrusza trochę wstydliwą, zawsze poważną parę. Wasserman stanowczo nie zgadza się o tym opowiedzieć. Mogę się tylko domyślać, że czasami, kiedy spacerowali pod rękę pełnymi ludźmi bulwarami, czuł się bezsilny i znużony. Był zły, że sam zrobił z siebie błazna, zdradził swoją samotność, pełne zrozumienia milczenie, które dotychczas panowało w jego życiu.

Zbierają się kolejne rodziny. Rodzice nawołują dzieci, prosząc, aby ustawiły się wokół. Wygładzają pogniecione sukienki. Zwilżają śliną palce i poprawiają córce niesforny kosmyk włosów. Wszyscy na siłę skupiają się nagle na drobiazgach. Wasserman prawie się chowa w rozkopanej ziemi. Żydzi, więźniowie z grupy „niebieskich”, przyjmują przybyłych na peronie. Uspokajają ich, uśmiechają się. Im także zależy, z własnych powodów, aby cały proces przebiegł szybko i gładko. Dlatego pomagają w oszustwie. Przyjezdni zaczynają się odprężyć. Fałszywa stacyjka kolejowa przekonuje ich. Jest tam wszystko: mata kasa biletowa, informacja, tabliczki z napisami „telegraf, „toalety”, „odjazdy do Białegostoku”, „odjazdy do Wołkowyska”, dokładny rozkład jazdy oraz duży, punktualny zegar i bufet.

Wasserman ciągnie mnie za rękaw. Chce, abym słuchał. Ma mi coś do opowiedzenia. Teraz. Już.

Po powrocie z Paryża wszystko zaczęło się układać. Sara była mądrą kobietą, i potrafiła zajrzeć do jego duszy. Nie zaprowadziła w domu nowych porządków. Nie starała się podkreślać swojej obecności. Wyczuwała nici jego

ukrytych szlaków i nie przerywała ich. Ale zaczęła się nad nimi rozpościerać nowa miękkość. Na maleńkim balkonie Sara podawała w lecie kolację. Czasami grała na flecie jego ulubione melodie. Czytała, według jego wskazówek, książki, które były dla niego ważne (*Grzechy młodości* Lilienbluma; *Fligelmana* Numberga; opowiadania Szaloma Alejchema, Gordina, Asza, i oczywiście – Tołstoja, Gorkiego. I znowu naszych – Pereca i Mendele Mojcher Sforima, którego bardzo lubił). Zaczęły otaczać go jej małe, wesołe rysunki, tworzone bardzo cienką, delikatną kreską. Pojechała z nim do domu teściów w Bolechowie i cieszyła się, gdy nagle wytrysnął z niego strumień wspomnień. Od jego matki nauczyła się piec rogate i strudle. Smak jej wypieków tak bardzo przypominał mu smak domu, aż budziło to w nim lekką, nielogiczną złość, że wychodzi jej to tak dobrze jak jego matce.

W takich chwilach staram się wyciągnąć jak najwięcej informacji. Rzucam jakieś zdanie i czekam na reakcję. Mogę już sobie wyobrazić ich życie, ale czasami popełniam poważny błąd. Tak było, kiedy powiedziałem, niby to niewinnie: „Nie byłem dla niej dobrym mężem, aj, nie byłem dobrym mężem, Szlojmele”. Bardzo się na mnie rozgniewał, dopiero potem raczył mnie poprawić:

– Byłem dla niej dobrym mężem. Robiłem zawsze to, co chciała, i dawałem jej wszystko. Ale byłem też, nie wiem czemu, trochę skąpy. To znaczy, w miłości... – Po chwili, do siebie: – Nu, tak, tak. Kto mógł wtedy przewidzieć, że mamy tak mało czasu?

Innym razem powiedział trochę obszerniej:

– W istocie. Byłem skąpy. Skąpy w miłości. A mogłem być przecież i bardziej wybaczący, radosny. To znaczy, bardziej się nią cieszyć. Ale ja, obym mógł odkupić choć jej mały paluszek, nawet kiedy chciałem okazać wszystkie moje uczucia, od wielkiego dzwonu, wszystkie niezliczone uczucia, zawsze czułem, jak tu, w gardle, nabrzmiewa jakaś przeszkoda, niczym korale na szyi indyka, która nie pozwalała wypowiedzieć ani słowa. Która sprawiała, że odwracałem głowę. Dlaczego? Nie wiem. Może bałem się jej pokazać, jak bardzo jej potrzebuję. Czasem wydawało mi się, słuchaj uważnie, że raczej, nie daj Boże, pęknię na tysiące kawałków, niż pozwolę, aby miłość wyjrzała ze mnie

choćby na szerokość małego palca.

Pomagam mu z całego serca:

– Może była to nawet dziecinna złość z powodu doznanego upokorzenia. Głupiego, wymyślonego upokorzenia: po czterdziestu latach samowystarczalności aż tak mnie zniewoliła. Dźwięk jej głosu. Jej zapach po kąpieli, po umyciu głowy. Ruch ręki, odgarniający włosy znad oczu.

Anszel Wasserman, odrobinę wzruszony, odpłaca mi w sposób, który tylko ja, znając go tak dobrze, mogę w pełni docenić:

– Także ciało, wybacz, Szlojmele, jak by to ująć... ciało, znaczy się...

Spieszę mu na pomoc:

– Także ciało tak bardzo jej potrzebuje. Jej młodej giętkości, jędrnej skóry, pełnej siły, życia i pożądania. Całkowitego, wzruszającego niedowierzania, które budzi w tobie nowa geografia, nie całkiem dojrzała, w pełni wymyślona, młodych piersi, bioder, brzucha, ud i warg. Niekiedy, dziadku, kiedy skończą się wszystkie słowa i cała mądrość, jakże wielką pociechę dwoje ludzi może dać sobie nawzajem swoimi ciałami...

On:

– Także w drodze tutaj, niech spadnie na mnie przekleństwo, Szlojmele, nu, naprawdę, trochę trudno mi o tym mówić...

Daję mu słowa:

– W pociągu siedzieliśmy przecież godzinami koło siebie, w nocy, w ciasnocie. Tulila się do mnie jak pisklę, a ja nie potrafiłem czerpać radości nawet z tych ostatnich, skradzionych chwil. Przez cały czas rozglądałem się na boki, czy dziecko nie obudziło się i nie patrzy, czy nikt nie zauważy tych rozpaczliwych, niewinnych uścisków...

Innym razem mówi Wasserman:

– Dziś wiem, że dla niektórych ludzi sensem życia jest praca. Dla innych sztuka lub miłość są podstawą duszy i jedynym wytłumaczeniem istnienia. Ja należę chyba do nieudaczników. Jedynym sensem i powodem istnienia była dla mnie Sara. Dowiedziałem się o tym dopiero tutaj. Aj, jestem pewien, że większość ludzi potrafi się ustrzec przed podobnym błędem. Życzę ci, abys ty

potrafił. Wydaje mi się, że ktoś, kto jest zakochany w samej miłości, zawsze znajdzie nowego człowieka do kochania. Ja stałem się niewolnikiem jednej kobiety. Po niej nie ma dla mnie życia. Nawet jej nie potrafiłem kochać tak, jak na to zasługiwała...

Teraz co do bufetu. Na fałszywej stacji przyjezdni widzą bufet. Jest tam wszystko: bułeczki i papierosy, ciasteczka i czekoladowe kulki w czerwonej cynfolii. Dzieci zawsze odkrywają bufet pierwsze i proszą rodziców, żeby coś im kupili.

Wasserman:

– Nawet nas kusi ta wystawa pełna obfitości. Stajemy się na chwilę małymi dziećmi. Nawet najbardziej nieufni nie wytrzymują pokusy. Et! Pamiętasz, Szlojmele, młodego oficerka Hopplera, który przypędził mnie do Neigla? On jest odpowiedzialny za bufet. Oczywiście, nic nie sprzedaje. To szanowany oficer, nie sklepikarz. Czyści go codziennie z kurzu i sadzy od dymu z lokomotywy i z krematoriów, przeciera szybki, wymienia czerstwe bułki na świeże, składa ładne kolorowe papierki w specjalnej szufladzie. Codziennie obserwuję go pełen podziwu: taki młody – a taki pracowity i porządny! Z jaką troską buduje piękną piramidę z ciasteczek, aby wydawały się jeszcze bardziej apetyczne! Szczęśliwe oczy, które to ujrzały! Cofa się o krok i uważnie ogląda swoje dzieło, niczym malarz, wpatrujący się w sztalugi. Powinien zostać architektem, kiedy dorośnie. A może cukiernikiem. Widać, że to urodzony artysta. Prawdziwy, skromny artysta. Ostatnio zaczął przecierać wilgotną ściereczką, broń Boże, nie tą, którą wcześniej czyścił szybki, czerwone kulki czekoladowe i butelkę z wodą sodową, która zawsze jest pełna w jednej czwartej.

Wasserman kopie dołki i liczy na poczerniałych od ziemi palcach. Przeżyli razem dwadzieścia lat. Mniej więcej siedem tysięcy dni. Tylko siedem tysięcy.

– To znaczy tysiąc czwartków... aj... szkoda, tak bardzo żal... i tyle upłynęło na drobnych sprzeczkach, pretensjach i mojej głupiej złości... Nie wiedziałem, nie mogłem znieść zwykłego szczęścia, prostego szczęścia, które pragnęła mi dać. Nienawidziłem ofiary, którą dla mnie uczyniła. Ofiary ze swej

młodości i talentu do miłości... Wymyśliłem sobie pokrętną fantazję, że Sara wyszła za mnie z powodu fałszywego ideału, który nosiła w wyobraźni... ideału utalentowanego pisarza, inspirowanego głębokimi myślami, wielkimi ideami, wojną dobra ze złem. Nu, cóż, przecież ona także zaczytywała się w dzieciństwie moimi opowiadaniem, z ich powodu przyszła... Dlatego, jej na złość, wciąż starałem się udowodnić, jak bardzo się myli co do mnie. Jak bardzo ten Wasserman, którego sobie wzięła, jest istotą słabą i tchórzliwą, brzydką i szpetną! Sprawdzałem ją, rozumiesz, żeby zobaczyć, kiedy wreszcie będzie miała mnie dość, kiedy straci spokój i okryje mnie hańbą swego rozczarowania...

A jednak:

– Mimo wszystko, miałem tylko ją, a ona najwyraźniej mnie kochała, i lubiliśmy przebywać ze sobą albo rozmawiać, a moja Sara była bardzo bystra, o wiele inteligentniejsza ode mnie... Lubiliśmy też wspólnie robić różne rzeczy w domu. Nu, cóż, nie wstydę się tego... Czasami, w chwilach bliskości, kiedy piekliśmy razem ciasto albo porządkowaliśmy zimowe i letnie ubrania, i wkładaliśmy je do szaf, albo kiedy razem szorowaliśmy podłogi, nagle spotykaliśmy się wzrokiem, i nu, sam rozumiesz... powietrze, mówię ci, rozpalone powietrze płynęło wokół nas niczym miód... wtedy patrzyliśmy sobie w oczy i byliśmy zmuszeni... znaczy się – objąć się, za przeproszeniem. Aj, nasze pocałunki były wtedy jak błyskawice...

O córce Wasserman nie mówi ani słowem. Nazywała się Tirca i urodziła się po dziewięciu latach małżeństwa. Wszystko, co o niej wiem, usłyszałem od babci Heni, kiedy miałem pięć czy sześć lat, i z resztek zatartych wspomnień mojej matki. Tylko to.

– Wyznam ci jeszcze jeden sekret, Szlojmele – mówi Wasserman, a rysy twarzy miękły mu odrobinę. – Z początku wiele milczeliśmy razem, Sara i ja. Ona była trochę nieśmiała, a ja – nu, cóż, wolałem tak. A nawet: nie znajdowałem w życiu ani jednej miłej rzeczy, godnej opowiedzenia jej wieczorem. Et, skończenie nudne życie, byłem przekonany. Dlaczegoż by to moje życie miało zasługiwać na długie zdania i piękne słowa? Nu, ale przyszło moje jagniątko, moja Sara, która nauczyła mnie czegoś o życiu w małżeństwie, i

pokazała na swój skromny sposób, że nie ma chwili, która nie byłaby cudowna, nie ma człowieka, który nie miałby w sobie choć żyłki wielkości, że nawet bańka mydlin lśni w słońcu tęczą kolorów. Znaczą się: dała mi lekcję, mówiąc: „Wszystko, wszystko chcę ci powiedzieć, Anszil (tak wymawiała moje imię: Anszil, jak pocałunek), wszystko. Ty też, jeśli spotkałeś kogoś i rozmawialiście, opowiedz mi proszę, co ci powiedział, i co ty powiedziałeś jemu, jak nosił kapelusz, jak się śmiał albo wzdychał”. Ona także opowiadała mi o wszystkim, co się działo w sklepie perukarskim. Po trochu nasze życie zapełniło się i rozkwitło tymi drobiazgami, które w końcu tak urosły, że stały się dla nas bardzo ważne. W ten sposób Sara, w swojej mądrości, ożywiła moją monotonna egzystencję...

Teraz z baraku wychodzi Neigel. Schludny i nieskazitelny w swoim mundurze. Mija Wassermana, udając, że go nie widzi. Idzie na rampę, ponieważ dziś zamierza wybrać pięćdziesięciu nowych pracowników do obozu, na miejsce dotychczasowych „niebieskich”. Wasserman przygląda się „niebieskim”. Oni patrzą na Neigla. Wiedzą, że jeśli przyjdzie na rampę, odbędzie się selekcja i zostaną zastąpieni nowymi robotnikami. Mimo to robią swoje i uspokajają dobrym słowem przybyłych.

– Panie Boże – szepcze Wasserman – czy pojmujesz, Szlojmele, czemu „niebiescy” nie powstaną przeciwko swoim prześladowcom i nie odbiorą im życia w zamian za życie choć jednego z nich? Teraz, kiedy wszystko jest już jasne? Wyjaśnię ci to...

Ale nie mam ochoty słuchać. Mam własne zdanie na temat „baranków idących na rzeź”.

– Pewnego razu – Wasserman odwraca wzrok i kontynuuje opowieść – pewnego razu, jakieś dwa lata po ślubie, kiedy pochwycił mnie jeden z tych nastrojów użalania się nad sobą, Sara poszła sama na przyjęcie chanukowe u Zalmansonów. Jedno z tych wydarzeń, których nie cierpiałem, ale zawsze chodziłem, bo bałem się obrazić Zalmansona. A przecież i tak nigdy mnie nie zauważał: zawsze miał nową publiczność, którą zabawiał historyjkami. Ach, on lubił poklask.

– Tak, tak – przynaglam go – o Zalmansonie posłuchamy następnym razem. Opowiedz, co się stało.

– Nie tak szybko. Ciężko mi z tym... Tak czy owak, Sara poszła sama. Z oczami zaczerwienionymi od płaczu... a moje serce było wyschnięte i skwaśniałe, nie pobiegłem za nią, aby ją przeprosić, co za łajdak ze mnie... Na przyjęciu – jego głos staje się nagle trochę twardy – zdarzyło się, że pozwoliła Zalmansonowi, aby popchnął ją na wieszak z paltami i pocałował jeden raz w usta. Nu, cóż, tak było. Teraz ty także wiesz. Nigdy o tym nikomu nie mówiłem...

Naprawdę? To między nimi też działy się takie rzeczy? Już wtedy?

– Jak się o tym dowiedziałeś, dziadku? – Pewnie śledził ją i zadreślał wiecznymi podejrzeniami, aż się przyznała. Może znalazł w jej rzeczach liścik od Zalmansona? Ktoś mu doniósł?

– Po powrocie wszystko mi opowiedziała. Nie chciała wzbudzić litości, nie oskarżała go. Szubrawiec! Powiedziała, że zauważyła, iż on jej potrzebuje, i nie mogła się oprzeć jego pragnieniu. Potrzebował jej! Była taka naiwna! Skąd mogła wiedzieć, że Zalmanson to urodzony lubieżnik? Z pozoru – wierny, oddany ojciec rodziny, kochający żonę i trzy brzydkie córki. Wiedziałem od niego samego, że każda przechodząca spódniczka roznieca w nim ogień, istny pożar! Pardon.

Usłyszawszy to, mały Wasserman zatrząsł się cały z gniewu i obrazy. Wszystkie wstrętne istoty, skrycie zaludniające jego duszę, wyrwały się nagle na zewnątrz. Chciał tylko wiedzieć, czy Zalmanson „po tym, jak splamił jej cześć”, szydził z niej. Sara popatrzyła na niego ze zdumieniem i smutkiem, i odparła, że Zalmanson milczał. Ze nie ma w ogóle mowy o „naruszeniu honoru”. Zrobiła to z własnej woli i nigdy już nie zrobi ponownie. Zalmanson to wie. Powiedziała: „Był smutny. Nie uwierzyłabym, że ktoś taki jak on może być tak smutny”. (Sara zawsze mówiła takimi „miękkimi” słowami).

Wasserman:

– Akurat smutny! Jezus poszedł do nieba, Mahomet wzniósł się do Allaha, a Zalmanson był smutny!

Sara odparła, że Zalmanson prosił ją, aby nic nie mówiła Wassermanowi, ale ona zdecydowała się powiedzieć, bo i tak nic się nie stało, dla niej nie ma to żadnego znaczenia, nie chce, aby rozdzieliło ich kłamstwo. Poprosiła tylko, aby nigdy już o tym nie wspominał. Spełnił jej prośbę, przypuszczam, w szczególny sposób.

– W istocie, Szlojmele. Przez rok urządziłem nam małe piekło swoim milczeniem. Nu, ale to już przeszłość, nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem! Dopiero po dłuższym czasie mogłem się nad tym zastanowić, pomyśleć o nich dwojgu w garderobie, żeby krew nie gotowała mi się w żyłach. Żyd, mówię ci, jest zrobiony z niezwykłego materiału...

Tymczasem Neigel feruje wyroki. Siedzi na składanym polowym krzeselku i wybiera nowych robotników spośród nowo przybyłych. Twarz ma kompletnie bez wyrazu. Całkiem pustą. Himmler byłby z niego dumny. Rzuca jedno spojrzenie na człowieka przed sobą i porusza nieznacznie głową, w lewo lub w prawo. *Links, rechts, links, rechts.*

Wasserman:

– Mimochodem także poruszam głową razem z nim, cholera, w lewo, w prawo...

Neigel wybrał nowych robotników. Poprzedni „niebiescy” zostają wepchnięci do hali stacji kolejowej, gdzie się rozbierają. Neigel wraca do swoich obowiązków. Wasserman ukradkiem przygląda się jego szyi.

– Widzisz? Nie ma nawet znaku od tego kręcenia głową. Najmniejszej zmarszczki!

Starców, dzieci i kaleki zabierają do „lazaretu”. Tam czeka już na nich pistolet Staukego. W krótkich odstępach czasu rozlegają się stłumione strzały. Hoppler – mężczyzna o twarzy mądrego, odpowiedzialnego dziecka – opuszcza metalową żaluzję nad małym bufetem, żeby słońce nie wysuszyło prowiantu, który czeka na przybycie następnego transportu– Wasserman rozstaje się na trzy godziny z czekoladowymi kulkami.

– Tak się stało, że z jednego krańca wszechświata, z odległości tysiąca kroków, szła moja dziewczynka, moja mała Tircele, niewinne, młode życie, a z



drugiej strony kroczyła ku niej śmierć. Spotkały się, kiedy jej mała rączka dotknęła czekoladowej kulki. – Wzdycha głęboko. – Może, Boże broń, nie przyjdzie mi już nigdy umrzeć, choć smakuję swoją śmierć wiele razy, przynajmniej trzy razy dziennie, kiedy przyjeżdżają pociągi...

Potem, kiedy nadzy ludzie mijają go, idąc „drogą do nieba”, pochyla się, ukrywając twarz w dołkach wykopanych na rabatce.

Kiedy kończy się bieg i nawet rozwścieczone psy Ukraińców przestają szczekać zakrwawionymi pyskami, Wasserman podnosi się. Wącha palce, ściera czarną, wilgotną ziemię, która oblepia mu ręce. Roztacza silną woń potu.

– Nu, widzę oczami duszy, jak Sara obwąchuje pod pachami moją koszulę i marszczy nos. Moja żona, słowo daję, miała niezrównany węch.

## 5

Otto: Mieszkaliśmy w lesie już od roku, kiedy to się wydarzyło. Wróciłem w nocy z Borysławia, i nieopodal wejścia do kopalni znalazłem niemowlę, owinięte w wytarty kocyk. Malec leżał sobie cicho, nie zakwilił ani razu, patrząc na mnie otwartymi oczami, jak dorosły. Powinniście zobaczyć naszego Frieda, kiedy wszedłem i wręczyłem mu podarunek. Oho! Tylko zajrzał do kocyka i jego twarz zamknęła się i zamarł, był niczym drzwi zatrzaśnięte na wietrze. Był zdolny wykrztusić tylko: „Co to? Co to?” – jak papuga, chociaż doskonale widział, co to takiego. Potem zapytał: „To coś żyje?”. Naturalnie wepchnąłem mu siłą zawiniątko w ramiona, mówiąc: „Sprawdź. Jesteś lekarzem. Może się myłę?”.

Przez chwilę spoglądali na siebie. Doktor – ze znużeniem i podejrzliwie, Otto – ze wzruszeniem, przestępując z nogi na nogę. Doktor Fried położył niemowlę na drewnianej skrzynce, służącej im za stół, i poszedł umyć ręce w misce. Pocieranie dłoni w wodzie obudziło wspomnienia czasów, kiedy miał wielu pacjentów. Fried był oddanym lekarzem, choć z pewnością zirytowałoby go podobne określenie. Nigdy nie przyznawał się przed sobą, że zajmuje się ludźmi z troski o nich. Wolał się uważać za wojownika, walczącego z wrogami ludzkości. Wrócił do pokoju, wysuszył ręce, machając nimi zamazyście, rozsunał odrobinę kocyk i zaczął oglądać dziecko. Sprawiało wrażenie, jakby urodziło się długo przed terminem. Było bardzo małe, jego szare oczy wydawały się pokryte cieniutką błoną, a jasna skóra była pomarszczona, jakby przez dłuższy czas przebywało w wodzie. Malutkie, czerwone piąstki wymachiwały na ślepo, a maleńkie czołko co chwilę marszczyło się z wysiłkiem. Fried: „Coś podobnego! W środku lasu! Co za kobieta, do diabła, mog...”. Otto: „Biedaczka. Pewnie miała nadzieję, że umrze szybko i bezboleśnie”. Fried: „Przecież mogły go

pożreć niedźwiedzie, cholera!”. Otto: „Pomożesz mu, prawda?”. Fried: „Co? Ja? Co ja mogę zrobić? Lepiej odnieś go tam, gdzie je znalazłeś”.

Wasserman:

– Ale stary doktor odruchowo pogładził palcem miękką, delikatną pierś niemowlęcia, po czym cofnął się, gdyż zalała go dusząca fala tęsknoty. Kiedy obejrzał koniuszki palców, zobaczył, że pokrywa je woskowa, delikatna, biała substancja. Także Otto wyciągnął rękę i dotknął brzuszka dziecka. Potem powąchał i polizał czubki palców: „Jak pyłek na skrzydłach motyla, prawda?”.

W tej chwili Neigel nagle wychylił się naprzód zza biurka i po raz pierwszy, odkąd Wasserman zaczął czytać, odezwał się:

– Nie, Wasserman, oczywiście, że nie pyłek ze skrzydeł motyla. Mogę ci to powiedzieć z własnego doświadczenia, jeśli pozwolisz. – Ponieważ Neigel ma dwoje dzieci, może wyjaśnić Wassermanowi, że noworodki czasem po urodzeniu są pokryte „taką warstwą tłuszczu, która im w czymś pomaga, nie pamiętam już dokładnie”. Anszel Wasserman, nie starając się ukryć zniecierpliwienia („Aj, jak ja mam dość tej bezmyślnej pedanterii! Zapędziłem się w rejony fantazji, a on mi rzuca kłody pod nogi. Będzie musiał się pogodzić z nieścisłościami w tej historii! Mam zamiar przedstawić mu cały stragan bujdy!”), tłumaczy Neiglowi, że jeśli on sam, Wasserman, zdecyduje, że to pyłek ze skrzydeł motyla, tak właśnie jest. Neigel, trochę przekonany, mówi łagodniej:

– Ale naprawdę noworodki są pokryte taką substancją.

Wasserman, zdecydowanie:

– A co w sprawie choroby Ottona, znalazł pan coś na jej temat?

Neigel:

– Tak, tak. Nie bądź bezczelny. Stauke opowiedział mi kilka rzeczy. Nie wiem, co Otto może zrobić z atakami choroby. – Kartkuje notes i wyrywa jedną stronę, zapisaną własną ręką.

– Co pan powiedział Staukemu? – pyta Wasserman, jakby mimochodem.

– Ach, jakąś historyjkę o chorej ciotce w Fissan. Cieszył się, że może mi pomóc. Nawiasem mówiąc, w sprawie lisów i królików popełniłeś naprawdę okropne błędy. Króliki nie są zwierzętami wędrownymi, a lisy nie zapadają w

sen zimowy. Co za bzdury! Już kiedy o tym opowiadałeś, wiedziałem, że nie masz racji. Przecież znam trochę lisy i króliki, ale ufałem ci bardziej niż sobie. Myślałem, że pisarze po prostu wiedzą więcej. Stauke aż się oblizał. Otwarcie się ze mnie śmiał. Postaraj się być dokładniejszy w swoich domysłach na temat spraw, na których zupełnie się nie znasz.

– Dziecko wydaje gruchający dźwięk – mówi Wasserman.

– Co? Co powiedziałaś?

– Gruchanie. Jesteśmy znowu w naszej opowieści. Na czym stanęliśmy? (Wasserman: „W koszu na papiery leżała błękitna koperta, bynajmniej nie wojskowa, i nawet bez moich nieszczęsnych okularów dostrzegłem na niej drobne, kobiece pismo. Jeszcze zanim pojałem, co mam przed oczami, przeszył mnie ostry ból: ona! Takie delikatne pismo! Z koperty unosiła się jakby mgielka. Aj, pismo kobiece...”).

Neigel chrząka:

– Twój pyłek motyli, Szeherezado.

Wasserman:

– Pyłek motyli? To nie motyli pyłek, odpowiedziałby uczony doktor Albert Fried, ale warstwa tłustej substancji, której zadaniem jest ochrona dziecka przed żrącymi wodami płodowymi.

– Idź do wszystkich diabłów, *Scheissemeister*, naprawdę już...

– „Cip! Cip! Kukuryku! Bim bam, bim bam! On mnie słyszy, Fried!” (woła dobry Otto). „On mnie słyszy!”. Fried: „W Borysławiu też cię pewnie słyszą”. Jedidja Munin: „Co to? Przynieśliście niemowlę?”. Fried: „Otto je znalazł. Jakby brakowało nam zmartwień”. Munin: „Jakie brzydkie dziecko!”. Otto: „Wszystkie są takie po urodzeniu. Urośnie i będzie śliczny. Trzeba dać mu mleka”.

Neigel, który czał się przez cały czas, skacze:

– Tutaj? W lesie?

Wasserman:

– Wiem, że mamy problem. Istotnie. Problem, jeśli chodzi o ścisłe fakty. Ale nie ma wyjścia i potrzeba nam tego mleka. Niech pan pomoże, Herr Neigel.

Niemiec prostuje się na krześle, jakby do pokoju wszedł dowódca.

Przybiera służbistą minę. Wasserman ponawia prośbę. Neigel bębni palcami po szkle, pozostawiając wilgotne ślady palców. Po długim namyśle proponuje, aby jeden z członków grupy, „najlepiej Otto, bo jemu nie grozi niebezpieczeństwo”, udał się do pobliskiej wsi kupić mleko od chłopów. Wasserman kiwa głową z entuzjazmem, udaje, że zapisuje pomysł w zeszycie. Neigel odpręża się, zarumieniony z zadowolenia. Ale nagle, jakby dopiero teraz przyszło mu to do głowy, Wasserman „wykreśla” piórem, bardzo energicznie, zbyt energicznie, słowa Niemca i oznajmia:

– To zbyt niebezpieczne, niestety. Przecież zaraz się ściemni, po lesie *krążą* niedźwiedzie, słychać nawet strzały. Lepiej nie chodzić tamtędy o takiej porze.

– Strzały?

– Właśnie. Zapomniałem powiedzieć o tym wcześniej.

– Oczywiście. – Neigel tak mocno zaciska wargi, że napinają mu się szczęki, a nos niemal sięga ust. Nagle, najwyraźniej ku własnemu zdumieniu, wpada na pomysł, który przedstawia głośno, z nieukrywanym entuzjazmem, pełnym szczególnie mściwej radości: – Posłuchaj! Fried może zabrać dziecko do łani! W lesie żyją jelenie. Wiem o tym. Ta łania niedawno urodziła młode. Chyba zapomniałem o tym powiedzieć... Ma wymię pełne mleka. Friedowi na pewno uda się ją namówić, żeby dała trochę dziecku. Nieprawdaż?

Autor, odrobinę spięty:

– Piękny pomysł, Herr Neigel, wyśmienity. Uchyłam kapelusza, w przenośni, oczywiście! („Ezaw zarumienił się aż po wielkie uszy, a ja wiedziałem, że niedobrze się stało. Pokazałem mu, że Bóg dał mu głowę do myślenia i serce do czucia, i już ich używa z typową niemiecką skutecznością, tfu! Muszę przepasać swe lędźwie i ruszyć do boju!”).

– Rzeczywiście, Herr Neigel: doskonały pomysł! Wyszedł z pańskich ust w pełni uformowany, jest tylko jeden problem. To zbyt realistyczne. Niezgrabnie bliskie rzeczywistości, zaduszone prostackimi pętami prawdopodobieństwa. Przecież obaj pragniemy czegoś lepszego. Zamienić osła w cwałującego rumaka i... krótko mówiąc, opowiem, co się wydarzyło naprawdę...

– Słucham – mówi Neigel, wyraźnie zirytowany.

– Otto podszedł do Harotiana i wyszeptał mu do ucha tajemnicę. Wstrząśnięty Harotian cofnął się, wydając straszliwy, rozdzierający jęk! Otto nie dał za wygraną i bezustannie go zadręczał. Biedny Harotian, od wielu lat stroniący od prawdziwej magii, czarów, które nie polegają na zręczności, odwróceniu uwagi czy zwykłym oszustwie, był zmuszony spełnić jego wolę, ponieważ Ottonowi się nie odmawia. Poprosił, aby dali mu naczynie, przykrył je workiem, a potem wsunął się do środka, tak że wystawały mu tylko kolana. Trudził się przez dłuższy czas, spod worka dobiegały westchnienia i jęki (ponieważ z całego serca nie cierpiał swej magicznej zdolności, którą obdarowałem go w *Dzieciach Serca*). Worek wydymał się, marszczył i burzył niczym powierzchnia morza podczas sztormu. Po pewnym czasie uspokoił się i wygładził, a Harotian powstał, ukazał się oczom wszystkich z twarzą poszarzałą niczym sam worek, jakby, nie daj Boże, ujrzał oblicze Szatana i drżącą ręką podał Ottonowi naczynie, pełne po brzegi białego płynu, z którego unosiła się ciepła para, aj... – Wasserman milknie na chwilę. („Dobrze pamiętałem smak tego mleka, Szlojmele, ze szczęśliwych czasów, kiedy moja Sara, moja gołąbka, karmiła nasze jagniątko Tircele... et! Rozumiesz... wiesz, jak to wtedy bywa z kobietami... w ogóle nie mają wstydu... matki... namawiała mnie, przekonywała, żebym spróbował, odmawiałem, naturalnie odmawiałem... byłem straszliwie zawstydzony! Tylko tobie mogę opowiedzieć podobne rzeczy... Ale pewnego razu, w intymnej sytuacji... krótko mówiąc, spróbowałem kropelkę...”).

Neigel, akurat Neigel, mruczy bardzo cicho, jakby do siebie:

– Ciepły, biały płyn. Słodkawy. Tak.

Żydowski pisarz mówi z napięciem, powoli, jak szpieg, który sprawdza, czy człowiek, który podał hasło, faktycznie jest sprzymierzeńcem:

– Bardzo słodki. Rozpływa się w ustach.

Neigel:

– Tak. Taki gęsty.

W końcu patrzą sobie w oczy z wielkim zawstydzeniem i szybko odwracają wzrok. Obaj mocno się rumieniają.

W tej nieszczęsnej sytuacji wpychają naczynie z zaczarowanym mlekiem Friedowi w rękę w nadziei, że ich wybawi. Ale Fried ze złością odsuwa rękę. On także jest bardzo spięty i podejrzliwy, bez wątpienia dlatego, że dziecko bezczelnie wtargnęło w jego życie. Także, być może, z powodu bolesnej niesprawiedliwości, że żywe i zdrowe niemowlę znajduje się tak blisko Frieda, który przez dwa lata znosił jałowe udręki tęsknoty za własnym dzieckiem. Kiedy Wasserman mówi „jałowe”, zauważa, że oczy Neigla odrobinę się rozszerzają, dokładnie jak oczy Zalmansona, gdy Wasserman wymawiał słowa „moja żona Sara”. („Słusznie podejrzewał Zalmanson, że wiem o wszystkim, co się wydarzyło między nim a Sarą, ja jednak nie ułatwiłem mu sprawy i nigdy nie pisałem na ten temat ani słóweczka. Milczałem jak głaz i pozwoliłem, aby się dusił we własnej goryczy”). Wasserman nie potrafi rozszyfrować lekkiego napięcia, które ogarnęło Neigla. Przez chwilę zabawia się fantazjowaniem, że być może dzieci na fotografii są adoptowane, co wyjaśnia, czemu są stosunkowo małe jak na czterdziestopięcioletniego Neigla. Ale chłopczyk jest podobny do Neigla, a dziewczynka do jego żony. O co więc chodzi? Wasserman jest zdezorientowany, przerywa czytanie i gapi się przed siebie. Nagle, tym razem bez strzału w głowę, przebiega go iskra. Już wie, a może raczej – przypomina sobie, czemu umarła Paula. Wszystkie znaki, które rozsiał dla samego siebie, nagle stworzyły jedną całość. Jest teraz bardziej niż kiedykolwiek przekonany, że kiedyś Neigel będzie „jadł mu z ręki”.

Fried idzie po łyżeczkę do komory, która drużynie służy jako kuchnia. Z daleka słyszy, jak Otto mówi, że niemowlę ma dwa zęby. Odpowiada warknięciem, że słyszał o takich wypadkach i wie, że bywają niemowlęta, które rodzą się z włosami na całym ciele. Otto z lękiem rozwiązuje zawiniątko i zagląda do środka. Nie jest owłosiony! – oznajmia. Tylko ten motyli pyłek. I słuchaj! Nasz malec to stuprocentowy mężczyzna! Fried słucha i w jednej chwili zalewa go straszliwe zmęczenie. Opiera głowę o skrzynię z prowiantem, jakby składał ją na ramieniu przyjaciela. Zastanawia się, czemu nie słyszy głosu, proponującego mu dobicie targu: wszystkie lata, które mu pozostały, w zamian za jeden dzień z tym dzieckiem i z Paulą. Czyżby jego osoba była do tego stopnia

nieważna? Prostuje się powoli, zaciskając pięści. Czy to możliwe, że dziecko jest znakiem, na który czeka od trzech lat? Siedemdziesiąt lat? Czy to możliwe, że życie, w niezwykłym goście, postanowiło odpowiedzieć w końcu na wyzwanie, na jego upór i śmiałość, i przekroczyło linię, którą zakreśla w pyłe każdego ranka po śmierci Pauli? Otto woła z oddali ze śmiechem: Hej, łobuzie! Nie na moją koszulę!

Potem Fried przynosi czystą łyżeczkę, stoi obok, pochylając ukradkiem nos nad małą, pokrytą jasnym puszką główką i wdycha.

– Aj – mówi Wasserman zduszonym głosem, pełnym tęsknoty. – Pan doktor wciąga w płuca słodki, jedyny w swoim rodzaju zapach.

Neigel potwierdza skinieniem, że on także zna ten zapach, niepodobny do niczego, niepowtarzalny. Wasserman recytuje, smutno i melodyjnie:

– Zapach ten pali jego serce niczym ogień. Jakby naraz ktoś zerwał bandaż ze starej rany, wciąż broczącej krwią.

Neigel, po chwili milczenia:

– Nie patrz tak na mnie. Chcę ci coś opowiedzieć. Wiem, że wykorzystasz to przeciwko mnie na swój żydowski sposób, ale trudno. Kiedy urodził się Karl i przyjeżdżałem do domu na urlop, w nocy stawałem po cichu przy łóżeczku i wdychałem jego zapach. Po plecach przebiegał mi wtedy taki dreszcz...

Anszel Wasserman:

– Wiem.

Niemowlę piło i piło, a na koniec z zadowoleniem powiedziało „aa aa” i wypluło odrobinę mleka na spodnie doktora. Fried zaczął wykrzykiwać zdenerwowany, że trzeba natychmiast kogoś wezwać! Powiadomić władze! Tak, Fried był bardzo wystraszony. Przemierzał pokój swymi wielbłądzimi krokami i prychał ze złości. Otto, z odrobiną niezręczną przebiegłością, podał mu najedzone dziecko. Fried popatrzył na niego wściekle. Doskonale wiedział, że Otto chce go omotać sidłami miłości do życia. („Albo, jeśli chcesz tak to ująć, Szlojmele, uczynić z niego kompletnego głupca”). O to spierali się w milczeniu od śmierci Pauli. Być może nawet – od chwili poznania, dawno, w dzieciństwie. Nagle, podjąwszy decyzję, Otto włożył niemowlę w ramiona Frieda.



Ale któż to zajrzał wtedy do pogrążonej w mroku sali? W zaplamionym roboczym ubraniu, wychudzona, pomarszczona, z twarzą brudną i pokrytą dziwnymi plamami, w rozczochranej blond peruce? Zagląda i mówi... nic nie mówi, bo Neigel wtrąca się i prosi Wassermana:

– Poznaj mnie, proszę, z naszą nową znajomą.

Autor:

– Z największą przyjemnością. To jeszcze jedna nowa towarzyszka Dzieci Serca. W Izraelu nazywa się Chana Cytryn, nasza cudowna, chora z miłości Chana, waleczna, nieustraszona wojowniczką, a także, właśnie tak, najpiękniejsza kobieta na świecie.

Nie zwraca uwagi na protesty („Najpiękniejsza na świecie...? Przecież powiedziałaś, że jest cała pomarszczona!”) i ponownie oświadcza zdecydowanie, że na całym świecie nie ma kobiety piękniejszej od Chany Cytryn, choć jest ona bardzo nieszczęśliwa, chora z miłości i tęsknoty. Kiedy Chana słyszy „mamy malutkie dziecko”, cofa się, twarz jej się kurczy, jakby ktoś ją uderzył, i szybko odchodzi. Herr Neigel musi zrozumieć, że ci ludzie mają swoje kaprysy. Chana nie potrafi wrócić i przyjrzeć się dziecku. Wspomnienia są zbyt świeże i Herr Neigel musi to zrozumieć.

Tymczasem, wypomina mu Wasserman, prawie ominęło nas najważniejsze! Fried nareszcie odważył się przytulić niemowlę, a teraz z wahaniem dotyka jego miękkiej główki, gładzi ją, jego palce zatrzymują się na chwilę z troską na środku czaszki...

Neigel:

– Tam, gdzie jest szczelina między kośćmi? Wiem. Nigdy nie odważyłem się dotknąć tego miejsca.

Obaj zagłębiają się w rozmowie o tym delikatnym miejscu na czaszce małego dziecka, w którym (Neigel): „Można poczuć wyraźnie, jak oddycha mózg. Pulsuje jak serce”. – Oraz (Wasserman): „Można wyczuć istotę życia, tętniącą pod palcami”. Wasserman wspomina przy tej okazji pewnego ptaka, o którym kiedyś czytał, malutkiego ptaszka, żyjącego na biegunie południowym (a może północnym?). Jeśli dotknąć jego klatki piersiowej leciutko palcem, serce

natychmiast przestaje bić.

– Nie chciałbym trzymać w ręku takiego ptaka, Herr Neigel.

– Tak – mówi Niemiec. – To pewnie trochę denerwujące.

Rewelacja. Doktor podnosi dziecko w powietrze, na wysokość twarzy, i maleńkie rączki wyciągają się przed siebie. Ich ruchy są wciąż chaotyczne, bezcelowe. Rączki dotykają szerokiej łysiny i natychmiast przesuwają się do krótkiego, przystrzyżonego po żołniersku, srebrzystego wąsa. Nagle nabierają życia, trzepoczą z radością nad obwisłymi policzkami i dużym, czerwonym nosem, nad załzawionymi oczami, z chwili na chwilę są coraz bystrzejsze, wędrując powoli i ciekawie po ogrodzie życia doktora. Wszyscy przyglądają się, wstrzymując oddech: małe paluszki spoczęły na dużych bladych wargach i wyczarowały w nich zmysłowość, która zanikła przed laty. Czarodziejskie litery ukazały się na chwilę i zaraz zgasły na zimnej, skamieniałej twarzy Frieda. Doktor wydał jeden ze swych gorzkich jęków. Biedne dziecko – powiedział. (Neigel: „Będzie mu trudno tak zacząć życie”). Otto: Co za historia. Fried sztywno: Takie rzeczy się zdarzają.

Fried nakazał sobie niczym się nie dziwić. Po prostu zdecydował twardo, że nie będzie się dziwił. Wasserman:

– W odróżnieniu od pana Markusa, który robił, co tylko mógł, aby doświadczać coraz to nowych, świeżych uczuć, doktor całe życie poświęcił na umniejszanie i usuwanie uczuć. Tyle że decyzja pozbycia się zdolności zdziwienia nie przyniosła doktorowi satysfakcji ani ulgi. Przeciwnie: im bardziej się starzał i im więcej nabierał rozsądku i doświadczenia życiowego, tym bardziej mu się wydawało, że wytrwanie w tym postanowieniu wymaga coraz większego wysiłku.

W tej właśnie chwili Otto oznajmił, że niemowlę zostanie na noc z Friedem, a „jutro się zobaczy”. Nie zwracał uwagi na wylężnione protesty Frieda, twierdząc nie bez racji, iż dziecko „potrzebuje opieki lekarskiej, prawda?”, i odszedł z innymi, radząc wpierw Friedowi, aby zrobił pieluchy ze starego prześcieradła bądź koszuli. Zdawało się, że w pokoju słychać echo przyśpieszonych uderzeń serca doktora.

Wyszli, zostawiając Frieda z niemowlęciem. Ci nie byli jednak sami: wielki biały motyl zerwał się nagle z grubych korzeni dębu i zaczął fruwać po pogrążonym w półmroku pomieszczeniu. Trzepotał powoli przed twarzą Frieda, jakby starał się przeniknąć jego myśli. Badał go z tak wielką uwagą, że doktor poczuł się skrepowany. Zauważył teraz, że skrzydła motyla przypominają kształtem serce, i na krótką chwilę wróciło dawne wspomnienie: za każdym razem, gdy Otto decydował, że drużyna powinna wyruszyć na nową wyprawę, rysował serca na drzewach i płotach w pobliżu domu każdego z dzieci. To był ich znak. Motyl zatrzepotał skrzydełkami nad buzią niemowlęcia. Friedowi wydało się, że składa na niej pierwsze tchnienie życia. A może także na samym Friedzie. Nie odważył się poruszyć, póki trwał ten dziwny taniec. Motyl okrążył ich jeszcze raz, jakby zataczał koło. Potem skierował się do jednego z tuneli i wyleciał na zewnątrz. Jeszcze wiele tygodni później można było dojrzeć srebrzyste ślady jego skrzydełek na czarnych ścianach.

Nagle doktor poczuł, że niemowlę zaczyna szybciej oddychać i pręży się niespokojnie. Zaniepokojony zerknął na brzusek dziecka: na pępku nie było zaschniętej krwi. Nie było nawet żadnych oznak przerywania bądź przecinania pępowiny: dziecko w ogóle nie miało pępka.

Tej nocy wydarzyło się jeszcze wiele rzeczy. W opowiadaniu i w baraku. Czasami trudno je odróżnić. Czy Fried badał niemowlę na polowym łóżku w pokoju komendanta obozu zagłady, odkrywając, że noworodek ma bardzo szybkie tętno, prawie dziesięć razy szybsze niż przeciętne dziecko? Czy w „komnacie przyjaźni” zadzwonił nagle telefon i telefonistka przełączyła rozmowę z Berlina od „niezwykle ważnej osobistości”. Co więcej, rozmówca z Berlina tak bardzo wychwalał ostatnie osiągnięcia Neigla w obozie, że uciekł się aż do określeń ze świata muzyki, porównując „pańskie dokonania i energię, drogi Herr Neigel, do wielkich oper Wagnera i największych narodowych kompozytorów naszych czasów”. Neigel, zarumieniony z zadowolenia, dając znaki Wassermanowi, aby był cicho, i zgadł z wyrazu twarzy, o czym mowa, poprosił reichsführera Himmlera o przysłanie wszystkiego, czego potrzeba do kolejnego „systemu” trzech komór gazowych („aby przyspieszyć tempo, jeszcze

bardziej poprawić statystykę!”). Himmler obiecał rozpatrzyć prośbę, choć nie mógł na razie nic przyrzec („Zapewne słyszał pan, mój drogi Herr Neigel, o pewnych trudnościach, przejściowych kłopotach na wschodzie?”). Podkreślił ponownie „wspaniałe tempo wykonywania zadań w obozie”, napomknął coś o stopniu standartenführera, który niebawem otrzyma ktoś znajomy, bardzo mu miły, i zakończył rozmowę crescendo komplementów. Na zakończenie (nawiasem mówiąc, także ten cytat, jak poprzednie, został zapożyczony z nocnej rozmowy telefonicznej Himmlera z jego faworytem Jürgenem Stroopem przed *Grossaktion* w warszawskim getcie) zastępca Hitlera powiedział: „Graj pan tak dalej, maestro, a Führer i ja nie zapomnimy tego panu nigdy”.

Wasserman, który wystraszony przysłuchiwał się rozmowie, po jej zakończeniu prostuje się natychmiast, nie pozostawiając Neiglowi czasu na chwilę dumy ani na to, by opowiedział, kim był jego dostojny rozmówca. Pośpiesznie ciągnie opowieść o tym, jak Fried został sam z dzieckiem. Fried kręcił się niespokojnie po małej chatce, pociągając się machinalnie z całej siły za wielki, zaczerwieniony nos. Co jakiś czas przystawał, aby popatrzeć na niemowlę, śpiące na kanapie z zaciśniętymi piąstkami.

– Jakby ścisnęło w nich samą tajemnicę życia.

– Tatatatata! – woła nagle Neigel, wciąż pełen pewności siebie. – Jaka „kanapa”? Skąd nagle „mała chatka”? Ominęło mnie coś, kiedy rozmawiałem z reichsführerem Himmlerem?

Wasserman chrząka cicho i uśmiecha się nieszczerze:

– Przepraszam za to irytujące roztargnienie! Całkiem zapomniałem wspomnieć panu, że... właściwie... – Krótko mówiąc: przeniósł akcję w inne miejsce.

Neigel, na poły rozgrzany miłą rozmową z Berlinem, na poły przepelniony nagłą wrogością do Wassermana, traci panowanie nad sobą: zduszonym złością krzykiem przypomina:

– Ośmieszyłem się dla ciebie w Borysławiu... lecznicze źródła... kłamstwa... – Nie ma najmniejszego zamiaru wysłuchiwać wyjaśnień autora:

– Nie da się uniknąć podobnych ofiar w procesie tworzenia, proszę się

nie obrażać, łaskawy panie... Zdarza się niekiedy, że pisarz dojdzie do wniosku, iż wszystko musi się zmienić i zawrócić lub też się oddalić...

Neigel, uderzając pięścią w stół, oświadcza, że „to koniec tej zabawy”. Ku obopólnym zdziwieniu nie odsyła Wassermana natychmiast do Keislera, lecz żąda, aby wyjaśnił, czemu „wy, artyści, musicie zawsze komplikować proste rzeczy. Zepsuliście nawet samą sztukę!”. Wygłasza długą, nudną tyradę o sztuce, której główną rolą było kiedyś, o ile ktoś w ogóle o tym pamięta, „przynosić ludziom rozrywkę, przyjemność, a nawet wychowywać!”. W żadnym wypadku nie „podsycać wątpliwości, stwarzać wrażenie zagubienia i dezorientacji, uwypuklać to, co złe, chore i niezdrowe!”. Wygłosiwszy te słowa – bez wątpienia do pewnego stopnia słuszne – odchyła się na oparcie, wzburzony, spocony, zagubiony i bardzo rozgoryczony. Wciąż jednak nie wysyła Wassermana na tamten świat, ale ruchem ręki nakazuje mu kontynuować! Wasserman jest bardzo zdziwiony. („Po raz pierwszy w życiu Ezaw był zmuszony rozmyślać tak dogłębnie o naturze sztuki, et! Zachowałem to dla siebie”). Także jemu nie udaje się zgadnąć, czemu Neiglowi tak bardzo zależy na dalszym ciągu.

Z wahaniem podejmuje opowieść. Okazuje się, że przeniósł akcję do warszawskiego ogrodu zoologicznego. Do zoo, w którym przeżył wiele miłych chwil z Sarą. Neigel, któremu frustracja zaostrzyła język, rzuca drwiąco:

– Czyżbyś z typowo żydowską przebiegłością chciał umieścić nas wszystkich w skromnej alegorii? Co, Wasserman?

Wasserman zaprzecza, nie zgadza się z Niemcem, że opowiadanie rozgrywające się w ogrodzie zoologicznym musi być infantylne, przedstawia podział ról na nowej arenie opowieści (Fried – weterynarz, Otto – dyrektor ogrodu, Paula – zajmuje się różnymi problemami urzędowymi, ale także dogląda gospodarstwa w domach Ottona i Frieda. A pozostali członkowie grupy? Pracują w ogrodzie, oczywiście! Przecież stali pracownicy zostali przydzieleni do robót wojskowych po wybuchu wojny! Neigel: Aha!). Przenosi nas z powrotem, Neigla i mnie, do doktora, mierzącego przyśpieszone tętno niemowlęcia. Przedłuża ten opis, jakby z góry przewidział nieuniknione pytanie (weterynarz

zna się na dzieciach?), aby opowiedzieć w tym miejscu wspaniałą historię o Pauli, życiowej towarzysze Frieda, która w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym postanowiła, że będzie mieć dziecko, która podporządkowała każdą rozmowę pragnieniu posiadania dzieci, zaabsorbowana słodkimi rozważaniami, co powinny jeść, czy lepiej karmić piersią, czy butelką. Uszyła nawet mięciutkie pieluszki, na których wyhaftowała malutkie ludziki, tańczące i podskakujące wesoło. Stała się artystką jednego dziecka, swoje ciało uczyniła polem walki z dyktatem i ograniczeniami natury. Niezwykle intensywnie, choć lekarze ostrzegali ją i drwili z niej za plecami, nie przestała wierzyć w swoją moc twórczą, a zwłaszcza – w słuszność swej sprawy. Sypiała z Friedem o każdej porze dnia i nocy. Otto: Przyłapywaliśmy ich wszędzie, gdzie tylko można sobie wyobrazić. Słowo daję. W stogu siana dla słonia, wśród nadgniłych główek kapusty w magazynie, przy świetle księżyca w pustym basenie po krokodylu, a nawet u mnie, w moim łóżku! Jakby coś ich ukąsiło w tyłek, i nie mogli się opanować! Fried: To ona. Ona. Otto: Na początku to nie było takie sympatyczne. Tak, muszę ci to powiedzieć, Fried, skoro zesłaliśmy na ten temat. Kto by uwierzył, że moja siostra Paula ma taki temperament? Do tego stopnia? Gdy zbliża się do siedemdziesiątki? Ale co tam, po kilku tygodniach zaczęliśmy rozumieć. Tak, ona po prostu zaraziła się entuzjazmem innych artystów, nowych towarzyszy. Chociaż z początku sprzeciwiała się ich obecności, jak ty, Fried, zaraziła się od nich i zaczęła wypróbowywać swój szczególny talent. Wtedy to przestało być niemile, przeciwnie, bo w każdym miejscu, w którym robiliście wiesz co, miałem wrażenie, jakbyście wylali tam poświęconą wodę i wygnali demony. Wiedziałem, że nasz ogród jest pod dobrą opieką.

Wasserman: – W istocie, Herr Neigel, Fried i Paula mieli ogromne szczęście, że ani razu nie przyłapały ich na tej czynności patroli pańskich przyjaciół w Warszawie, ponieważ weszły wówczas w życie surowe prawa, zakazujące Żydom odbywania praktyk religijnych. A przecież to właśnie robił Fried!

Neigel milczy. Wpatruje się w Wassermana bez słowa. Ma odrobinę rozchylone wargi. Wasserman wykorzystuje maksymalnie tę chwilę i cytuje

Otona, litującego się nad „naszym biednym Friedem, który prawie całkiem opadł z sił”. Tak, tak – przyznaje Fried. Miałem wtedy sześćdziesiąt siedem lat, Paula była starsza o dwa. Przez co najmniej dwa lata, dniem i nocą, nieustannie (z wielkim zapalem!) uprawiali seks. Prawie pobił pan mój rekord, Fried! – śmieje się Jedidja Munin, wydmuchując kłęb cuchnącego dymu z papierosa spreparowanego z wysuszonych odchodów zwierząt z ogrodu. Oczy błyszczą mu chytrze zza dwóch par okuła...

Dopiero teraz Neigel otrząsa się w końcu. Przerywa Wassermanowi głośnym szczeknięciem i podniesioną ręką. Żąda:

– Wyjaśnij, Wasserman. Natychmiast mi wszystko wyjaśnij!

Przebiegły Wasserman pozwala Muninowi wyjaśnić, co miał na myśli, mówiąc „mój rekord”:

– Co tu wyjaśniać, panie Neigel? (tłumaczy Jedidja Munin). – W miłości jak w modlitwie, w modlitwie jak w miłości. Powiedział już reb Lejb Melamed z Brodów, że podczas modlitwy trzeba sobie wyobrazić kobietę i wtedy można osiągnąć najwyższy poziom uniesienia.

Neigel: – Znowu żydowska pornografia, *Scheissemeister*?

Munin: – Broń Boże, panie Neigel, proszę nie mówić obrzydliwości, sama czystość. Transcendecja. Człowiek powinien chwalić Boga z żarliwością pochodzącą właśnie ze złych popędów...

Neigel podnosi ręce, częściowo ze znużeniem, częściowo ze śmiechem. Po raz pierwszy widać dwie zawstydzające plamy potu pod pachami:

– Pisz tak dalej, *Scheissemeister*, a nawet ja nie będę cię słuchał. Mam wrażenie, że nie panujesz nad swoimi bohaterami.

Kiedy Wasserman ignoruje tę uwagę i opisuje, jak Paula i Fried kochali się z zapamiętaniem pod wybiegiem słońcy Tuzinki, Neigel przeciera zaczerwienione oczy i zapisuje coś w czarnym notesie. Nie pierwszy raz. Właściwie robi to co wieczór. Wasserman zamierza już się obrazić i wytknąć mu to („Przecież nie jestem jakimś muzykantem, grającym do kotleta w knajpie”), ale powstrzymuje się i milczy. Opisuje Neiglowi mały, piękny łuk brzucha Pauli, napięty pod zwiotczałą skórą. Paula stała przed lustrem, uśmiechając się

łagodnie, uśmiechem, w którym nigdy nie było ani kropli kpiny czy ironii. Zwykły, dobry uśmiech. Przecież wierzyła przez cały czas w to dziecko i wybrała mu nawet imię. Nazwie je Kazik. Kiedy Neigel zwraca nagle uwagę, bez wielkiej nadziei, że Wasserman powinien pamiętać, iż Paula miała już siedemdziesiąt lat, autor zgadza się z całego serca:

– Miała dokładnie sześćdziesiąt dziewięć lat. Nas wszystkich, wszystkich artystów, wszystkich wojowników Ottona, niezwykle to dziwiło. – Prosi, aby Neigel wyobraził sobie, jak bardzo wszyscy byli podekscytowani, jak nie przestawali mówić o małym Kaziku w nadziei, że zmieni wszystko, wszystko. – Jak pokaże nam wreszcie znak, na który wytrwale oczekiwaliśmy, odkąd Otto wezwał do nowej przygody. Bo Kazik będzie pierwszym zwycięstwem, odniesionym przez kogoś z drużyny.

Otto zaprowadził Paulę do swego przyjaciela, doktora Wertzlera. Otto: Można mu zaufać, że nie rozgada. Lekarz zbadał dokładnie Paulę, potem poprosił, aby ubrała się za parawanem. Otto: Wziął mnie za ramię, podprowadził do okna i wskazał miasto, nad którym panowała całkowita ciemność ze względu na zaciemnienie, mówiąc: Przyszły niełatwe czasy, Brig. Są tacy, którzy rosną w siłę, i tacy, którzy słabną. Nie zrozumiałem w ogóle, o czym mówi i o co mu chodzi. Popatrzył na mnie z kwaśną miną i szepnął, że pewnie rozumiem, co dzieje się z naszą biedną Paulina. Tak się wyraził: „nasza biedna Paulina”. Aharon Markus: Uśmiecha się do siebie ze szczęścia za parawanem, waży w dłoniach pęczniejące piersi. Otto: Ze ja, jako brat, powinienem z nią poważnie porozmawiać, ostrzec, że w wieku sześćdziesięciu dziewięciu lat organizm nie wytrzyma ciąży, nawet jeśli jest urojona. Moim obowiązkiem jest opiekować się nią, strzec jej przed chorobą i rozczarowaniem, które z pewnością wkrótce nadejdzie. Oczywiście, nie zrobiłem nic, pozostawiłem Friedowi decyzję. W końcu to urojone dziecko było jego...

Fried także nie chciał powtórzyć Pauli słów lekarza, bo zaczął rozumieć i chciał wierzyć – całkowicie wbrew swej naturze i przekonaniom – że jej dzieło jest większe od ludzi takich jak Wertzler. Zaczął się nią opiekować, jak przystało w jej szczególnym stanie. Wasserman:



– Co wieczór wychodzili na spacer wzdłuż alei Wiecznej Młodości w ogrodzie zoologicznym, robił jej chłodne okłady, gdy bolała ją głowa. Otto z wielkim trudem zdobywał na czarnym rynku przysmaki, na które miała ochotę. Pewnego razu – Wasserman uśmiecha się, jakby na miłe wspomnienie – pewnego razu pojawił się mały problem, bo Pauli zachciało się świeżego grejpfruta. Jak znaleźć grejpfruta w Warszawie na początku czterdziestego pierwszego roku?! Jednak pragnęła go tak bardzo, że było to nie do zniesienia, i Dzieci Serca tym razem nie potrafiły na to zaradzić. Paula prawie płakała w głos, cierpiąc przez swoją zachciankę. Komu nie zmiękłoby serce na widok tej wspaniałej kobiety...

– Chwileczkę – mówi sucho Neigel. – Widzę, do czego zmierzasz. Zapisz, proszę: niemiecki oficer Neigel przyniósł Pauli grejpfrut.

– Skąd go miał, jeśli wolno zapytać? – pyta Wasserman, a jego małe, bystre oczka rozjaśniają się uśmiechem wdzięczności.

– Z paczki żywnościowej od kwatermistrza. Wielki grejpfrut, prosto z Hiszpanii. Z pozdrowieniami od generała Franco.

Milkną na chwilę. Rozbawieni, ale też trochę skrępowani cieniutką nicią wzruszenia, wibrującą w powietrzu. Niewidzialny grejpfrut roztacza piękny zapach. Wasserman nie rozumie, dlaczego Neigel, mimo wybuchów wściekłości, nie chce nawet na chwilę przerwać opowieści. Nie marnuje jednak czasu i opowiada dalej. Fried: W nocy kładłem jej rękę na brzuchu i czułem, jak dziecko kopie. Bum! Bum! Jak malutki Herkules.

Cisza. Neigel mruczy niewyraźnie:

– Masz pewnie dzieci, co, Wasserman?

Wasserman na chwilę spuszcza oczy na kartki zeszytu, biały bicz smaga go w twarz. („Nie wiedział Ezaw, że rzuca gorące główne na moje serce”).

– Jedną córkę, szanowny panie – odpowiada w końcu.

– Pytam, bo takie rzeczy wie tylko ktoś, kto ma dzieci.

– Pan ma dwoje, jak pan mówił.

– Tak, Karla i Lisę. Karl ma trzy i pół roku. Liselotte dwa latka. To wojenne dzieci. – Po krótkim namyśle: – Prawie ich nie widuję.

Autor, łamiącym się głosem:

– Nie jest pan zbyt młodym ojcem, jeśli wolno zauważyć, Herr Neigel.

Neigel z początku chce uciąć „bezczelne wścibstwo” Żyda, przerywa jednak i nagle rozgląda się po pokoju, patrząc na Wassermana, na zasłonięte okna, przeciera znowu powieki zaczerwienione z braku snu i mówi neutralnym tonem, całkiem wyzbytym agresji:

– Przez jakiś czas nie udawało nam się mieć dzieci. Staraliśmy się ponad siedem lat.

Wasserman, ledwo dosłyszalnym szeptem:

– My także, Herr Neigel. My osiem lat... nu, cóż. – W przytłaczającej ciszy, spowijającej ich niczym gruby szal, Wasserman zaciska z całej siły zęby, żeby krzyk nie wydarł się na zewnątrz. – Nu – mruczy ze smutkiem, ze znużoną, pokonaną złością, która w ogóle nie jest skierowana do Neigla: – O czym tu jeszcze mówić? Idźmy dalej – odzywa się po chwili z westchnieniem, jak przywódca strudzonej karawany, która musi powrócić na szlak.

– Może mimo wszystko stanie się tak, że Paula będzie miała dziecko – mówi Neigel z prawie dziecięcą naiwnością.

Wasserman, łagodnie:

– Paula umrze, niestety. Tylko Fried zdoła uwierzyć, że niemowlę, które jakimś trafem znalazło się w ogrodzie, jest dzieckiem, którego nie urodziła.

Neigel:

– Rozumiem, że nie mam innego wyjścia i muszę się zgodzić.

– Właśnie. Niestety.

Powracają do opowieści. Teraz Wasserman opowiada bardzo ostrożnie, niepewnie, jakby stapał po cienkiej linii. Także Neigel jest spięty. Nie wygłasza już żadnych uwag. Nie drwi. Wspólnie dźwigają opowiadanie. Wasserman opowiada:

– Policzki Pauli płonęły z wyczerpania, jej piękne, mocne zęby zaczęły się chwiać i wypadać, skóra na twarzy zaczęła wysychać i pękać, i tylko piersi wciąż rosły i bolały. Ból przywoływał na jej wargi nitki wysiłonego uśmiechu, przepraszającego Frieda za problemy, jakie mu sprawia. Markus: Kiedy Paula o

świcie pochylała się nad ubikacją, wymiotując, a ty, doktorze, przytrzymałeś jej głowę, widzieliście w małym jeziorku na dole odbicia waszych twarzy, dwie wiadomości, które zbyt długo przetrzymano po drodze, i już wiedziałeś.

W tej chwili, całkiem nielogicznie, Wasserman z uśmiechem, powoli, zamyka brulion i wyznaje Neiglowi, że ten wieczór w jego towarzystwie przypomina mu inne wieczory, dawne, z kawalerskich czasów. W przeddzień ukazania się kolejnego numeru pisma wstępował do redakcji z ostatnim odcinkiem opowiadania, który w duchu bał się oddać Zalmansonowi. Razem czytali, kłócili się i godzili. Przed północą byli wyczerpani, cały pokój śmierdzał krótkimi cygaretkami Zalmansona, ale na mgnienie oka pojawiała się:

– Nu, takie przyjemne uczucie w kościach, jeśli pan rozumie, Herr Neigel, gawędziliśmy sobie o tym i owym... było bardzo miło. („W takich chwilach Zalmanson opowiadał mi różne prawdziwe historie. Ja milczałem i słuchałem. Umiał mówić pięknie i głęboko, kiedy tylko chciał! Bez sprytnych wybiegów i złośliwych dowcipów. O sobie mu nigdy nie opowiadałem. Co miałbym powiedzieć? O kocie, miauczącym na podwórzu? O kapiącym kranie? Teraz, przy tym wielkim goju, okazuje się, że nawet Anszel Wasserman potrafi opowiadać historie”...).

– Ten Zalmanson – pyta Neigel ni stąd, ni zowąd – był twoim przyjacielem?

Wasserman z lekkim zdziwieniem odpowiada, że tak. Jedynym przyjacielem. Widząc, że Neiglowi nieśpieszno z powrotem do opowieści, Wasserman zaczyna opowiadać o Zalmansonie, wpierw z wahaniem, gotowy natychmiast się wycofać. Widzi jednak, że Neigel patrzy z rozbawionym zainteresowaniem i czuje przyływ siły i odwagi. Zalmanson, opowiada, zawsze starał się udawać kogoś, kto przed chwilą wyszedł z kart powieści Dostojewskiego, Manna czy Tołstoja. Przez cały czas rzucał aluzje na temat światów, w których naprawdę żyje. Bardzo ważna osobistość, mówi Wasserman, unosząc rękę z lekceważeniem, i lekką złością.

– *Wichtig!* Mojsze Grojs! Nigdy nie jest tutaj, z nami, broń Boże! To tylko niemiły obowiązek, który Zalmanson niechętnie spełnia, jak wizyta u krewnych,

którym się gorzej powodzi. Ale tam, u niego, to znaczy, w jego niewidzialnych posiadłościach, są sfery niebieskie i tajemne kręgi! Oj wej! Cierpienia nieutulonej duszy! Ten Zalmanson – fe, czemu ja się teraz na niego gniewam, Herr Neigel, nie wiem sam, przecież przez wszystkie te lata zacząłem go nawet lubić... Cały składał się z lekkich, przemądrzałych uśmieszków, był arogancki i próżny, był też skończonym dandysem, aj! (W tym momencie Wasserman daje się unieść emocjom i opowiada zabawną anegdotę: kiedy ogłoszono nakaz, aby Żydzi nosili opaski na rękawie, Zalmanson tak jak inni kupił materiał u Szai Ganca, ale z żoną Cylą uszyli sobie i trzem córkom „tak wspaniałe opaski, że o mało nie zastrzelił ich polski żołnierz, przekonany, że to wezwanie do buntu”). – Ten Zalmanson... – ciągnie Wasserman. – Jak ja miałem dosyć jego zwyczaju obrażania każdego bez litości, jeśli tylko pasowało mu to do jakiegoś wica. Nu, a przyjęcia? Czy wspominałem szanownemu panu o przyjęciach?

– Nie – odpowiada Neigel.

– Aj, przyjęcia u Zalmansona i Cyli... Bywała tam cała Warszawa... Trunki lały się jak woda, a nieszczęśni goście musieli słuchać, jak pani Cyla bębni na fortepianie, a trzy córki rzępoła na skrzypcach i flecie... Zalmanson lubił otaczać się ludźmi... był też, za przeproszeniem, strasznym kobieciarzem... Prawdę powiedziawszy, nie lubiłem chodzić na te przyjęcia, żona też nie... Zawsze czuliśmy się tam takimi szarakami... Byliśmy skrępowani. Nie znaliśmy nikogo, nikt nie znał nas. Wszyscy należeli do towarzystwa, byli ludźmi światowymi, a my, nu, cóż, takie myszki polne, nic więcej. W końcu przestałem tam chodzić, żona była jeszcze raz, sama, ale także jej się sprzykrzyło. Nawiasem mówiąc, Zalmanson był człowiekiem bardzo religijnym. Ortodoksyjnie religijnym. Co prawda, w życiu przeszedł kilka gwałtownych zmian wiary i za każdym razem miał tak niezbite racje, że nikt nie potrafił ich zbić w żaden sposób. W ostatnich czasach, odkąd świat zaczął, proszę wybaczyć, stawać na głowie, całym sercem uwierzył w humor. Może opowiem panu kiedyś o jego skomplikowanej teorii, której dowodził ze zwykłą, pokrętną przenikliwością. W każdej rzeczy na świecie znajdował powód do śmiechu. Mawiał: jeśli jest coś, z czego nie mogę się śmiać, to znaczy, że nie rozumiem

tego do końca. Ze nie dość się na tym zastanowiłem. Jestem, Wasserman, jak mąż, śpiący spokojnie u boku żony, nierozumiejący komizmu swojego położenia, bo nie widzi stóp obcego mężczyzny, wystających spod szerokiej małżeńskiej kołdry. Wydaje mi się, że ten przykład nie tyle jest komiczny, ile tragiczny, choć nie chcę teraz o tym mówić więcej, i na tym skończę. Dodam tylko, że Zalmanson miał też kilka wielce szlachetnych cech charakteru i trudno zaprzeczyć, że miłował ludzi na swój dziwaczny sposób. Zawsze powtarzał, że nienawidzi ludzkości, lecz kocha poszczególne osoby dla nich samych. Gorzki humanizm. Gdyby spojrzął pan na niego, Herr Neigel, powiedziałby pan: co za hukaj. Ale nie! Uczyniłby mu pan tym krzywdę! Wiem, że głęboko w środku był inny. Jeśli zawierzyło mu się sekret, wiadomo było, że zatrzyma go na zawsze, i nigdy przed nikim się nie wygada. Niestety, zawsze mówił prawdę prosto w oczy. Miał przez to wielu wrogów... Ale kiedy potrzebowałem pożyczki, od razu otworzył portfel, o nic nie pytając. Innym razem, kiedy zasłabłem, straciłem przytomność i potrzebowałem transfuzji, oddał dla mnie krew... Być może nie był najlepszym przyjacielem na świecie, a jednak – nie miałem innego... i ja go... tak czy inaczej – był moim przyjacielem. Ale jak to się stało, że tyle o nim mówię?

– To wśród was też są tacy ludzie, tacy Zalmansonowie? – pyta mrukliwie Neigel, wodząc powoli palcem po oszklonym blacie biurka, a Żyd odpowiada („Nie sądziłem, by Ezaw chciał się droczyć. Bynajmniej! Jego pytanie było najwęższej wagi!”):

– Wszyscy u nas są, Herr Neigel. Do wyboru, do koloru. Dobrzy i źli, mądrzy i idioci. W każdym rodzaju i gatunku.

Znowu zapada milczenie, Neigel rozmyśla nad czymś, a może i nie. Potem zerka na zegarek i ze zdumieniem widzi, która godzina. Wstaje i przeciąga się, ziewa szeroko. Życzy Wassermanowi dobrej nocy, sprawiając wrażenie, jakby całkiem zapomniał o pewnej umowie. Tego wieczoru, dzięki Bogu, Wasserman także jest w szczególnym nastroju i nie chce go psuć kłótnią. Nie wspomina o tym, ale kiedy przelotnie patrzą sobie w oczy, obaj wiedzą, że ten drugi wie. Neigel coś pomrukuje, zaznacza, że Wasserman nie opowiedział

mu jeszcze nic o dziecku i że wciąż nie wiadomo, jaki cel mają przed sobą tym razem Dzieci Serca, po co tworzą te wszystkie swoje „dzieła artystyczne”, i w ogóle:

– Dziwaczne opowiadanie, nie uwierzyłbym, że zgodzę się wysłuchać czegoś podobnego.

Wasserman uśmiecha się i dziękuje mu za cierpliwość.

– Idź wreszcie spać – popędza go Neigel. Wasserman przystaje jeszcze na chwilę, aby na niego spojrzeć, i wydaje mu się, jakby z serca Neigla unosił się delikatny powiew dobrej woli, czegoś zapomnianego i zdradzonego przed laty. Neigel mówi:

– Mam jeszcze trochę pracy, a potem chcę napisać list do domu, do mojej małej kobietki. – Wasserman jest wstrząśnięty tym wyznaniem. (Piękne prezenty dają sobie ludzie, kiedy nie mają niczego do podarowania). Odważa się zapytać:

– O mnie też pan napisze?

Neigel już zaczyna odpowiedź, ale hamuje się i mówi wymijająco:

– Na pewno nie. Idź spać i nie przeciągaj struny, Wasserman.

## 6

Mija całkiem sporo czasu, zanim będzie mógł kontynuować opowieść. Drobny problem zdrowotny powoduje pewne opóźnienie. Aby wejść do białego pokoju, potrzeba niejakiego roztargnienia i wielkiej determinacji. Wciąż rozlegają się tajemnicze głosy, ostrzeżenia i groźby: wyjdź. Biały pokój jest zbyt duszący i niebezpieczny dla ciebie. Rzeczywiście, na pewien czas przerwał opowiadanie. Wyrzucił je gwałtownie z myśli, poprosił o zapomnienie. W tym okresie rozpoczął zbieranie materiałów dokumentalnych do encyklopedii o Holokauście dla młodzieży. Także i ten pomysł nie wyszedł mu jak należy. Owładnęło nim przygnębienie. Nie zamierzam wdawać się w szczegóły (przecież większość rzeczy i tak napisano wcześniej), ale ujmę to tak: odczuwał na karku mroźny oddech Zenona.

Opowieść utknęła w miejscu, jak samo życie. Przez cały czas zadawał sobie paraliżujące pytania: po co w ogóle narażać się na niebezpieczeństwa, czyhające w białym pokoju? Jak może przewidzieć, co się stanie, kiedy zrezygnuje ze słynnej umiejętności ochrony samego siebie przed nieustającymi żądaniem, rozlegającymi się w tym nierzeczywistym białym pokoju, umiejętności, której nabył z wielkim cierpieniem, którą udoskonalił z wielkim trudem i wciąż od nowa ją wypróbowuje? Po co mu tak straszne poświęcenie? Zęby jedna kobieta, niejaka Ajala, była zadowolona? Zęby po całym tym wyczerpującym i niebezpiecznym doświadczeniu na półki trafiła kolejna książka na wiadomy temat? Komu to, u diabła, potrzebne?

– Masz absolutną rację – oświadczył dziadek Anszel. – Po to, aby napisać jeszcze jedno opowiadanie. Bardzo potrzebne! Tobie, Szlojmele. Kto inny ma ci ofiarować tę historię? Popatrz na siebie... Dobrze wiesz, że nawet moje opowiadanie, jedno opowiadanie, może wskazać ci drogę... Napisz tak: w

opowieści pojawi się dziecko. Przeżyje w nim całe swoje życie.

Nie. Nie pojawi się.

Anszel Wasserman stara się mi pomóc. Bez wątpienia: dziecko. Taką pomoc szykuje dla mnie Wasserman. Ale nie mam już siły na dziecko. To, co istnieje, jest wystarczająco trudne: na przykład – pewnej nocy Neigel zastrzelił dwudziestu pięciu żydowskich więźniów.

Było to w połowie września czterdziestego trzeciego. We wspomnieniach jednego z byłych więźniów można przeczytać, że komuś udało się uciec. Był to pierwszy więzień, który uciekł z obozu, odkąd Neigel został komendantem. Ukrył się zapewne w kamieniołomie, w szczelinie między dwoma wielkimi głazami. Strażnicy nic nie zauważyli. W nocy spędzono wszystkich na plac apelowy przed barakiem komendanta. Możemy się domyślać, że Wasserman przebudził się z niespokojnego snu i z lękiem wyjrzał przez szparę na stryszku. Ujrzał obersturmbahnnführera Neigla, który przechodził między dwoma rzędami więźniów, ciskając gromy. Wielki Boże, pomyślał wtedy Wasserman. Oto człowiek, który co wieczór słucha mojej historii, gawędzi o żonie i dzieciach. Udało mi się nawet utoczyć mu z serca kroplę bólu i śmiechu...

Neigel wydaje wyrok. Co dziesiąty więzień zostanie stracony. Dwudziestu pięciu ludzi. Stauke podchodzi i mówi coś szeptem. Neigel nie zgadza się. Stauke powtarza swe słowa i podnosi rękę, aby go przekonać. Być może dwudziestu pięciu mu nie wystarcza. Przez chwilę wydaje się, że rozgorzał prawdziwy spór. Ale Neigel panuje nad sobą. Stauke wraca na miejsce z wściekłą miną. Okularki w cienkiej, złotej oprawce błyskają gniewnie w zimnym świetle reflektorów. Neigel ruchem palca wskazuje skazanych. Ma zwięzione oczy, jakby przyglądał im się z wielką uwagą. Niektórzy jednak byli gotowi później przysiąc, że wybierał ofiary z zamkniętymi oczami.

Ukraińcy odciągają skazanych na bok. Dwóch ze strachu nie może się utrzymać na nogach i traci przytomność. Ich także odciągają. Wszystko odbywa się w całkowitej ciszy. Swego czasu ktoś opíše to następująco: Nikt się nie załamuje ani nie krzyczy. Z góry pada światło księżyca, w dole – reflektory. Skazańców zabił komendant Neigel. Strzałem w czoło. Już po trzecim razie był



cały zbryzgany krwią. Potem pochylił się i zastrzelił dwóch, którzy leżeli nieprzytomni. Czy w ogóle wiedzieli? A inni, żywi, stojący w rzędzie, czy wiedzieli?

Na tym wszystko się skończyło. Neigel zniknął w swoim baraku. Kiedy przechodził koło wejścia na stryszek, także Wasserman mógł dostrzec, że komendant ma skurczoną twarz i zamknięte oczy. Wasserman wrócił na swoje miejsce, między dwie szafy ze sprzętem biurowym, i zwinął się w kłębek. Chciał coś powiedzieć – nawet sam do siebie – aby uczcić zmarłych. Ale czuł, że wszystko zabrzmiało fałszywie. Nie znał ich. Być może, nawet gdyby kogoś znał, nie żywiłby do niego szczególnych uczuć. Tak samo, jak kiedy pracował z Zalmansonem i „dentystami” przez trzy miesiące, Wasserman: „Wszystko, co kiedyś między nami było, znikło. Istniała przyjaźń, ale inna. Nie umiem opisać jej słowami. Nie czuliśmy do siebie sympatii. Ani wrogości. Może dlatego, że w oczach wszystkich byliśmy już trupami. Także siebie samych i swoich przyjaciół traktowaliśmy jak zmarłych”.

Tymczasem Neigel myje się w malutkiej łazience, pod stryszkiem Wassermana. Mamrocze coś do siebie, a mną wstrząsa myśl, że może nuci pod prysznicem. Ale to nie melodia. Neigel coś mówi. Mimo szumu płynącej wody wiem dokładnie, co mówi. Rozmawia ze mną. Wymawia mi moje „lenistwo”. Myślałem – oświadczając z wyraźną pretensją – że pisarze przenikają do duszy swoich postaci. Nie tak? Ale ja nie jestem gotowy. Wciąż nie jestem gotowy „wejść do końca”. To znaczy: nie musimy opowiadać o tym Neiglowi. Możemy symulować uwagę, zapisać kilka ogólnych faktów biograficznych, żeby dać mu odczuć, że nie został zlekceważony. Szereg faktów, wspólnych dla tysięcy oficerów SS, to wszystko.

Powiedzmy w takim razie, że urodził się czterdzieści sześć lat temu w Bawarii, w małej wiosce Fissan u stóp góry Zugspitze. W wieku dziesięciu lat prowadził już alpinistów po najbardziej stromych ścieżkach. Miał brata Heinza, który zmarł w młodości na gruźlicę. Jego matka była urodzoną w Polsce Niemką, która przeniosła się do Niemiec i poślubiła jego ojca, który wyszedł z wojska. Była mleczarką i Neigel wspomina, namydlając szeroką pierś, jak jeździł

z nią na wozie, wczesnym rankiem, wzdłuż brzegu jeziora.

– Była dobrą, prostą kobietą – mówi. – Znała swoje miejsce. – Ojciec był żołnierzem, jak Neigel („prawdę mówiąc, żołnierze kajzera byli jak dzieci w porównaniu z nami”), a kiedy po długiej służbie odszedł do cywila, został cieślą w Fissan. Służył w Afryce Wschodniej. – Opowiadał nam o Afryce – wspomina Neigel. Lubiliśmy go słuchać. Te historie zawsze wydawały mi się z innego świata.

Ponieważ Neigel nie mówi o tym nic więcej, cytuję podobną relację, zapisaną w dzienniku przez Rudolfa Hössa, komendanta obozu w Oświęcimiu (*Świadectwo komendanta Oświęcimia*), gdy wspominał fascynujące historie, opowiadane w dzieciństwie przez ojca: Opisy walk ze zbuntowanymi tubylcami, opowieści o ich obyczajach, o głodzie, o mrocznych ceremoniach. Przejęty, zafascynowany, słuchałem o błogosławionej pracy cywilizacyjnej misjonarzy. Ojciec czcił ich, jakby byli aniołami. My także pragnęliśmy zostać misjonarzami w najgłębszych ostępach Afryki, w sercu dzikiej dżungli.

Do przezroczystych żył Neigla przetaczamy dalej krople biografii Hössa: Kiedy ojca odwiedzał jeden z dawnych kolegów, to było dla mnie święto. Byli to starzy, brodaci mężczyźni... Nie odstępowałem ich na krok, żeby nie umknęło mi ani jedno słowo... Czasem ojciec zabierał mnie ze sobą i zwiedzaliśmy święte miejsca w naszej ojczyźnie. Dotarliśmy nawet do klasztorów w Szwajcarii i do Lourdes... Ojciec miał nadzieję, że zostanie księdzem. Byłem bardzo pobożny jak na tak młodego chłopca...

Znowu się nudzę, wysłuchując opowieści Neigla o jego rodzinnym domu i wychowaniu: 1. Rodzice byli trochę surowi, ale to nam tylko wyszło na dobre. Krupp też nie robi stali z masła, prawda? 2. Od najmłodszych lat uczyli nas, że możemy polegać tylko na sobie. 3. Mieliśmy traktować z szacunkiem każdego dorosłego, nawet jeśli był służącym. 4. Trzeba było bez mrugnięcia okiem spełniać każde polecenie czy życzenie dorosłych. Każdego dorosłego.

Krajobraz młodości Neigla? Zielone wzgórza, ciemne lasy, pola jęczmienia, winnice, a nad tym wszystkim górujący król Zugspitze, najwyższa góra w ojczyźnie. Już jako siedmioletni chłopczyk wspinał się z ojcem na szczyt.

Heinz nie czuł się na siłach i został we wsi...

Podaje informacje bardzo rzeczowo. Język niemiecki pasuje do niego: akcentuje twarde spółgłoski i odrobinę podnosi głos na końcu zdania, gdzie znajdują się czasowniki. To nadaje każdej wypowiedzi, nawet całkiem osobistej, zabarwienie stanowczego rozkazu.

Chce mówić o koniach. Proszę. Ja też lubię ten temat. W gospodarstwie mieli konia, którym matka wozila mleko. Nędzna szkapa, ale od tamtej pory Neigel ma bzika na punkcie wszystkiego, co dotyczy koni. Teraz? Teraz nie jeździ. Stracił formę, rana spod Verdun także mu dokucza. Ale ciągle potrafi właściwie podejść do konia. Rozmawiamy o tym trochę. To ciekawy, zabawny zbieg okoliczności, bo ja także bardzo lubię konie. Nigdy naprawdę nie jeździłem konno – mam wrażenie, że to by mi się nie podobało – ale w młodości, w wakacje, pracowałem przez kilka dni w stajni niedaleko młyna w Jerozolimie. Musiałem przerwać pracę z powodu idiotycznych problemów zdrowotnych (alergia na koński nawóz), lecz do dzisiaj pamiętam ciepły zapach pięknych stworzeń, ich grające ścięgna, mięśnie napinające się pod skórą. Ach, Neigel, mógłbym godzinami opowiadać o koniach, o ostrym zapachu płynu do upręży, o galopach, lśniących biczach, wiszących w stajni, o zwykłym klepinięciu w szyję przez stajennego, o szerokiej, mocnej piersi... Do dziś pamiętam piękny plakat w biurze kierownika: były w nim rozmaite rasy koni, fryzyjskie, westfalskie, bawarskie, węgierskie, konie poleskie, lipicany i araby. To naprawdę piękne, męskie stworzenia.

– Humpf – sapie Neigel z dziwnym wyrazem twarzy. Od razu, trochę nietaktownie, z powrotem przejmuje wątek rozmowy i oświadcza: – Nie jestem też specjalnie rozrywkowym typem, no wiesz, nigdy się nie upijam, nie mam też, jak by to ująć, spraw z innymi kobietami, i właściwie – waha się przez chwilę, w końcu mówi jakby z ulgą: – Właściwie nie mam nawet przyjaciół. Nie potrzeba mi tego. I tak nie można nikomu zaufać. Dobrze mi z tym. Ale potrafię czerpać zadowolenie z pracy i, oczywiście, z rodziny. W ogóle, możesz napisać, że lubię żyć, tak. Po prostu lubię żyć.

Po tych słowach czuję na uchu oddech Wassermana. Oglądam się i

widzę, że ma zamknięte oczy, jakby starał się przeżyć cios, który go dosięgnął. Ku wielkiemu zdumieniu (mojemu) od razu rozumiem, że bardzo cierpi, najwyraźniej z powodu złożonych relacji ze wszystkim, co niesie ze sobą słowo „życie”. Wasserman nie poprzestaje na tej bolesnej minie, ale zwraca się do mnie niczym do arbitra czy sędziego, albo sam nie wiem kogo, z żądaniem, aby, dopóki się nie wyjaśni, czy Neigel ma „naturalne prawo” (!) posługiwania się tym słowem, „nie wycierał sobie nim gęby”. Staram się wytłumaczyć, że choćby ze zwykłego, technicznego powodu nie mogę zabronić bohaterowi opowieści posługiwania się przeciętnym zasobem słów do wyrażania swych myśli. Wasserman jednak zatyka uszy pomarszczonymi dłońmi i kręci głową. Staram się go przechytrzyć i pytam, co on, jako pisarz, zrobiłby w takiej sytuacji. Odpowiada bez wahania:

– Śledź. A jeśli chcesz, także cebula. – Kiedy proszę o wyjaśnienie, rzuca niecierpliwie: – Zamiast mówić za każdym razem „kocham życie”, niech Ezaw mówi „kocham śledzie”. Albo „kocham cebulę”. Jemu nic przez to nie ubędzie, a ja zyskam.

Spoglądam na Neigla z wahaniem i zapisuję jego słowa:

– Ale potrafię znaleźć przyjemność w pracy i, oczywiście, w rodzinie. W ogóle można powiedzieć, że lubię cebulę, tak. Lubię cebulę. Właśnie.

Patrzę z ukosa na Niemca: nie reaguje. Jakby nie zauważył! Dziwna sprawa. W każdym razie to jasne, że Anszel Wasserman żyje całkowicie w świecie słowa. Przypuszczam, że każde słowo, które wypowiada lub słyszy, ma materialny wymiar, którego ja nie odbieram. Może nawet słowo „posiłek” wystarczy, aby zaspokoił głód? Słowo „rana” skaleczy mu ciało? Słowo „życie” sprawia, że ożywa? Muszę przyznać, że to trochę przerasta moją zdolność percepcji. Czy możliwe, że dziadek Anszel uciekł od ludzkiej mowy do pozbawionych znaczenia pomruków, aby się obronić przed raniącymi go słowami?

Wasserman nie ma zamiaru komentować moich dociekań. Zamiast tego mówi ze złością, że oni, Niemcy, są „mistrzami litościwego przekładu”, i dlaczego w takim razie nie wykorzystać ich talentu, aby usunąć ból, który znajduje się w

pewnych słowach, zmieniając je na inne? Kiedy wciąż nie rozumiem, co ma na myśli, z jego ust wylewają się nagle jedno po drugim niemieckie słowa, które od ręki mi tłumaczy. *Abwanderung*, co oznacza „opuszczenie miejsca”, to określenie masowych wywózek do obozów; za *hilfsmittel* „narzędziem pomocniczym”, kryją się urządzenia do gazowania, a co powiesz na *anweiserin*? Piękna dziewczyna, która wskazuje miejsca w teatrze, w ich ustach zamieniła się w określenie „kobiety kapo”? Podaje coraz więcej przykładów, aż w końcu traci głos i szepcze z gniewem:

– Zatruty! Ich język to śmiertelna trucizna, od początku do końca!

– Wasserman – mówi nagle Neigel, który przez cały czas był jakby poza naszą rozmową (wołę nazywać ten stan „w zawieszeniu”). – Wasserman! Dobrze, że jesteś. Chciałbym, żebyś opowiadał dalej.

– Teraz, szanowny panie? Już po północy!

– Teraz!

– Ale, szanowny panie, po tym, co stało się na zewnątrz... to znaczy, po egzekucji... ma pan ochotę słuchać mojej historii?

– A jak myślisz?!

Wasserman patrzy na niego buntowniczo. (Przyjdź, Anszelu, i zagraj królowi, którego opanował zły duch...). Należy podkreślić (nie cierpię, kiedy coś takiego zostaje niedopowiedziane), że w jakiś sposób przenosimy się wszyscy z łazienki do gabinetu. Neigel rozsiada się na swoim miejscu. Wyjmuje z szuflady butelkę i pociąga łyk. Policzki mu różowieją. Muszę powiedzieć, że wbrew opisowi Staukego (w powojennym wywiadzie) Neigel pije jak doświadczony pijak. Wasserman mamrocze coś do siebie, sięga za pazuchę i szuka brulionu. W tej chwili wzrok jego pada na kolejną błękitną kopertę w koszu na papiery i staje się bardziej ponury. Muszę teraz dodać do opisu pokoju kilka niezbędnych szczegółów. Na przykład przepisać hasła z niedużych wojskowych ulotek na ścianie: „Posłuszeństwo – radością żołnierza”, „Rozkaz to rozkaz”, „Autorytet dla podwładnych, szacunek dla przełożonych”. I inne głupie wojskowe slogany. Łatwo zrozumieć ich hipnotyzujący wpływ na ludzi o słabszym charakterze, czujących w tych zdecydowanych słowach echo pierwotnego wołania,

unoszącego się z samej krwi, uderzenia wielkiego tętna, zbiorowe tupanie tysięcy stóp, idących w pochodzie, ostry zapach potu na stadionach, wspomnienie wycieczki w dzieciństwie na silnych ramionach ojca, radosne kopnięcie karabinu przy strzale, uniesienie, które ogarnia każdego na dźwięki marsza z dziesięcioma trąbkami i sześcioma bębnami, kiedy czuje się nagle, że każda melodia, którą właśnie grają, mogłaby być naszym hymnem. Wasserman wznosi pełen goryczy okrzyk, jakby chciał zagłuszyć hałas, którego nie może powstrzymać:

– Opowiadanie, trzeba dalej opowiadać!

– Opowiadaj – mówi Neigel, uśmiechając się bardzo leciutko. – Kto ci broni ?

Wasserman oddycha ciężko, patrzy na mnie dziwnie.

– Właśnie zaczynam – mówi cicho. – Tej nocy, Herr Neigel, dziecko nie przestawało krzyczeć. Jego przeraźliwy wrzask prawie zagłuszył ryk czołgów, przejeżdżających w pobliżu i przerażające odgłosy wybuchów podczas walk w okolicznych budynkach...

Neigel podnosi rękę i stalowym, lodowatym głosem prosi o wyjaśnienie.

Wasserman patrzy na niego z lękiem, odwraca się do mnie („aj, zamierzam sprzedać Ezawowi zapach bez ryby, jak to mówią\*...”) i wyjaśnia, że akcja znowu się przeniosła gdzie indziej, tym razem na warszawskie Nalewki.

– W czasie naszego małego powstania, jeśli pan pozwoli.

– Ha! – krzyczy skonsternowany Neigel, wstaje i wyciąga drżącą rękę. – Znowu to robisz! Znowu walczysz swoją nędzną bronią?! – Ponownie jesteśmy świadkami jego niesamowitego panowania nad sobą: zmusza się siłą woli do zajęcia miejsca i splata palce tak mocno, jakby ścisnął czyjaś szyję: – Dokładnie wiem, do czego dążysz – wyjaśnia łagodnym, przerażającym głosem. (Niczym ostrze brzytwy, owinięte w kozłecą skórę). – Jak wszyscy zakochani w słowach, w gadaniu, wierzysz, że na innych słowa mają taki sam wpływ. Czarodziejski. Naprawdę wierzysz, że potrafisz toczyć walkę za pomocą słów? Z dywersją, sabotażem i bezpośrednim atakiem? Nie przerywaj mi! Teraz JA mówię! – Znowu się podnosi, podciąga pasek spodni i zaczyna wściekle chodzić po

pokoju: – Rozpocząłeś swoją opowieść w lesie w Borysławiu, w tej śmierdzącej kopalni, i kiedy zauważyłeś, że zaczynam ci wierzyć, że zaczynam się przyzwyczajać do miejsca, od razu przeniosłeś ją gdzie indziej, do ogrodu zoologicznego! Czekałeś, aż także tam poczuje się trochę swobodniej, aż stracę czujność, i... hopsasa! Przenosimy się jeszcze gdzie indziej! Atak z innej strony! Warszawa! Powstanie! Ach! Przesuwasz swoich głupich bohaterów jak generał dywizje. Prowadzisz wojnę podjazdową za pomocą słów! Uderzyć i uciec! Stosujesz manewry mylące, nękające, prowadzisz wojnę na wyczerpanie! Ciekawe, dokąd mnie zabierzesz z Warszawy? Do Birkenau? Do bunkra Führera w Berlinie? Uwierz mi, Wasserman – staje bardzo blisko Żyda, mówiąc niemal do jego ucha – patrzę z góry na twoje żalosne wysiłki. Lituje się nad tobą. Lituje. Myślę, że gdybyś miał w ręku nóż, choćby malutki scyzoryk, byłoby to o wiele skuteczniejsze niż milion słów, które jeszcze wypaplesz. – Wyjmuje z kieszeni nóż składany, otwiera nerwowym ruchem i kładzie na biurku niedaleko Wassermana. – Masz. Co z nim zrobisz ?

Wasserman milczy. Nie patrzy na nóż.

Tłumiony gniew Neigla wybucha:

– Masz nóż, Wasserman! Ostry, najlepszej jakości. Oddaję ci moją broń. Klękam koło ciebie na ziemi. Nawet na ciebie nie patrzę. Co z nim zrobisz?!

Wasserman patrzy w inną stronę. Neigel czeka jeszcze chwilę, ze wzrokiem wbitym w podłogę. Potem ociężale wstaje, bierze nóż i składa go. Coś uciekło z jego twarzy w ciągu tych kilku chwil. Nie wiem, czemu wygląda na pokonanego.

– Co sobie myślałeś, Wasserman? – mówi cicho, bez złości i nienawiści. – Ze jeśli będziesz skakał z miejsca na miejsce, stracę poczucie równowagi? Myślałeś, że osłabnę? Ach, jaki jesteś stary i taki dziecinny, Wasserman, jaki naiwny. Mogliśmy zrobić razem coś wspaniałego. Coś, czego nie zrobił nikt przedtem. Ale ty wolisz grać w swoje żydowskie gierki. Własnymi rękami niszczysz swoje ostatnie opowiadanie. Tracisz ostatniego człowieka na świecie, który jest gotów poświęcić czas na twoje bzdury, kuriozum! – Znowu podciąga pas, aby podkreślić wagę swej wypowiedzi, i opada ciężko na krzesło.

Wasserman wygładza nastroszone pióra, przyznaje sam przed sobą, że Niemiec ma słuszość, i mówi sobie w duchu ze smutkiem, że Neigel to jego kara. – Znowu nadyma się odrobinę arogancką pewnością siebie, prostuje kark („Nu, chociaż, jak to ludzie mówią, prawie już leżę na ziemi, piekąc bajgiel, to znaczy – zło mnie pokonało, wiedziałem, że nigdy przedtem Ezaw nie musiał wysnuwać ze słów tak cienkich nici. Im częściej będzie tak robił, tym bardziej sam będzie pruć”). Trochę silniejszym głosem, choć wciąż ostrożnie i przepraszająco, prosi Neigla o wybaczenie.

– Jeśli to panu odpowiada, będę kontynuował swoją opowieść prosto i bez żadnych sztuczek.

Czy Herr Neigel zgodzi się zapomnieć o tym drobnym incydencie i zechce wrócić do ogrodu zoologicznego?

Neigel się zgadza. Nie ma na to żadnego logicznego wytłumaczenia. Nie rezygnuje z dalszego ciągu, jakby opowiadanie było mu do czegoś potrzebne. Wasserman twierdzi, że nie wie do czego. Uśmiecha się w duchu swoim skąpym, krzywym uśmiechem i mówi, że także on musi przywrócić to, co zapomniane, że ma obowiązek względem opowiadania.

– To jak żywe, oddychające stworzenie, nie ma co patrzeć najpierw na nogi niż na głowę.

Bez zwłoki wraca do niemowlęcia zanoszącego się gorzkim płaczem, i do Frieda, który nosi je po pokoju, mrużąc „na, na, na”, „luli, luli”, a nawet „cip, cip, cip”! Ale nic nie uspokaja niemowlęcia. Dziecko wciąż wrzeszczy do wielkiego, owłosionego ucha doktora, który nigdy nie doświadczył podobnej przemocy. Pod wpływem głośnych krzyków pękała mu głowa, miał wrażenie, że puszczają dawne spojenia pełnej napięcia czujności i wygasłej nadziei.

Nie. Dziecko się nie pojawi.

Na tym zakończy się nasza historyjka.

Bo nagle, jak w przypadku wybuchu choroby, która od dłuższego czasu dojrzewa i narasta potajemnie w organizmie, ktoś, nie wiadomo kto, doświadcza dojmującego paraliżu. Całkowitego: rodzaj katarakty, pokrywającej dno duszy. Odezwały się dawne myśli i stłumione uczucia, na przykład: 1. Na świecie nie



ma niczego – wartości czy człowieka – w co można naprawdę uwierzyć. 2. Dlatego nie można podjąć żadnej odpowiedzialności, dokonać wyboru i/lub podjąć decyzji w żadnej kwestii. W tej sytuacji wszystkie działania, kroki i czynności są w znacznym stopniu ograniczone, co zarazem ogranicza ból, który można spowodować albo samemu odczuć. 3. Wszystko stracone. To znaczy: gdyby ktoś hołubił nadzieję, mógłby się gorzko rozczarować. Ale nie hołubił. Nawet jego oficjalna partnerka życiowa odsłoniła swoje prawdziwe oblicze i do spółki z pewną kobietą wiadomego autoramentu, która kiedyś utrzymywała kontakty seksualne z tym kimś, zaproponowała, aby opuścił „na jakiś czas” wspólne miejsce zamieszkania („dom”; „rodzinne gniazdo”), aż „poczuje się lepiej”, „rozliczy się sam ze sobą” i tak dalej. Zrobiła to, oczywiście, pod pretekstem „miłości”, „troski” i „zrozumienia”.

Został więc wygnany (dobrowolnie) do innego miasta. Przez sześć miesięcy służył mu za schronienie wynajęty pokój na poddaszu (z oddzielnym wejściem). W jego udreżonej głowie przez cały ten czas kłębiła się mgła. Kartki pozostały białe. Do niczego nie przynależał i nic nie należało do niego. Wieczorami, po dniach pełnych białego blasku, na spokojnej uliczce niedaleko domu, pod krzakiem bzu, wypalał trzy papierosy. Zaciął się w policzek przy goleniu, ranka się nie zagoiła. Pojawiła się dziwna, niepokojąca myśl, że w jego ciele nie ma już nawet tyle sił żywotnych, aby zabiżnić malutkie skaleczenie. Pojawił się wstyd. Ryzykując zbytnią poufałość, możemy nawet powiedzieć, że ktoś się zawstydział.

Z pustych kartek szkolnego zeszytu, w którym miało powstać opowiadanie, mrugało do niego – czasami przez całą noc – jedno słowo: uważaj. Ale czemu? Jaki jest cel obwarowań, które umiejętnie wznoszono wokół niego przez tyle lat? Ojciec i matka nie tłumaczyli po co. Zostawili tylko nakaz: musisz bardzo uważać. W ten sposób ocalejesz. Później, kiedy skończą się wszystkie wojny, będzie czas, żeby usiąść, i spokojnie, wyczerpująco wyjaśnić, jaki właściwie jest cel tak drobiazgowo strzeżonej egzystencji. Tymczasem musi ci to wystarczyć. Na razie nie możemy nic więcej powiedzieć. Istotnie: przez pewien czas rozważano przypuszczenie, że z tego słowa („uważaj”) Wasserman wysnuł

całą opowieść. Potem pojawiło się wytłumaczenie, że to słowo brzmi „przetrwaj!”, ale najwyraźniej to także nie było właściwe słowo. Istnieją proste, natychmiastowe sposoby, aby sprawdzić podobne rzeczy w białym pokoju: jeśli napisze się coś na papierze, a potem rozważa się to, ocenia i myśli, czy to rzeczywiście prawda – oznacza to, że nie jest się na właściwej drodze. Ale jeśli wystarczy zamknąć oczy, by zgasła świadomość, by w zwierciadle wewnętrznego oka pojawiło się wyraźne odbicie, przepisane na papier bez udziału umysłu – spełnia się szczególne, nieco kapryśne żądanie Białego Pokoju.

Fried kładzie wrzeszczące niemowlę na dywanie i staje nad nim. Nie ma pojęcia, co robić. Odnosi wrażenie, jakby spoglądał z wysoka na własne, zmniejszone odbicie na dnie studni. Po raz pierwszy pozwala sobie rozluźnić trochę węzeł krawata i podwinąć rękawy. Otto: Nigdy nie widzieliśmy go takim, to znaczy – tak niedbałego. Niechlujnego. Ponieważ niemowlę aż posiniało od płaczu, doktor klęka na dywanie, dwoma palcami rozwiera małe usteczka i mruczy do siebie: Ach, Otto czegoś nie zauważył. On ma cztery ząbki. Kładzie długą, ciężką dłoń na brzuszku dziecka i delikatnie go masuje, jak czasami robił to z małymi małpkami, cierpiącymi na kolkę, krzyczącymi z bólu. Dziecko pod jego ręką było, wedle Markusa, niczym młody listek, który wystrzelił z uschniętej gałęzi.

Kiedy Fried wykonywał ten przyjemny masaż, usłyszał nagle... Fried: No cóż, dziecko bez żadnego wstydu... To znaczy...

Wasserman:

– Głośny, trochę obrzydliwy gulgot wydobył się z pupy niemowlęcia i zaraz potem wyleciał z niej sznur gładkich, zielonkawych paciorków odchodów. Munin: Nieważne, jak pięknie to opiszesz. Gówno to gówno. Markus: Nasz dobry doktor zmarszczył nos i pobiegł po szmatę...

Neigel unosi rękę. W ciągu ostatnich kilku minut zapisywał coś kilkakrotnie w czarnym notesie. Unosząc lewą rękę, prawą wciąż notował. Chciałby się wreszcie dowiedzieć, kim jest tajemniczy pan Markus i jaką rolę odgrywa. Wasserman unika bezpośredniej odpowiedzi. Opowiada, że Markus

był aptekarzem. Był bardzo muzykalny i w ramach hobby przepisywał partytury dla opery warszawskiej. Interesował się także alchemią, ale do Dzieci Serca trafił dzięki eksperymentom, niemającym bezpośredniego związku z kamieniem filozoficznym.

– To bezprecedensowy ludzki eksperyment, Herr Neigel! – oznajmia Wasserman. – Akt osobistego poświęcenia i samoudręczenia, którego podjął się dla swego ideału. Więcej nie mogę teraz zdradzić, upraszam o cierpliwość.

Warto podkreślić, że Fried wolał podrzeć stare prześcieradło zamiast użyć haftowanych pieluszek, uszytych przez Paulę dla nienarodzonego Kazika. Starał się jak umiał założyć pieluchę niemowlęciu, które wiło się, krzyczało i kopało, aż w końcu... Fried: Do jasnej cholery! Prosto w nos! Doktor, w strasznym bólu, krwawiąc obficie, wydał okropny okrzyk gniewu, aż sam się wystraszył, a potem starał się zatrzeć to wrażenie, nachylając się nad dzieckiem, łaskocząc je w brzuszki, trzepocząc ciężkimi powiekami, i wreszcie... Markus: Alleluja! Fried! Śpiewałeś mu piosenkę, zapamiętaną z dzieciństwa! Fried: Wracają owieczki... mee, mee, mee... skaczą po kamykach... mee, mee... i tak dalej. Otto: Ale dziecko nie przestawało płakać, a kto słyszał śpiew Frieda, zrozumie dlaczego. Fried: Siedziałem obok niego na dywanie, całkiem wykończony, powtarzając sobie ciągle: co temu biedakowi pozostało, najlepiej pozwolić mu płakać. Kiedy tylko to pomyślałem, co się wydarzyło? Otto: Dziecko uśmiechnęło się do doktora! Fried: Uśmiechnęło. Roześmiało się! Naprawdę się śmiało!

Nie ma siły. Nie ma siły na to dziecko. Nie ma siły na kolejnego człowieka. Ktoś wyczerpał całą swoją siłę i nie może już dalej. Wspomniana wcześniej osoba pisząca nie ma już sił żywotnych nawet dla samej siebie, tym bardziej zaś – dla innej żywej istoty. Nawet postaci literackiej. Zapanował całkowity bezruch. W ślad za nim pojawiły się stopniowo rozważania, że, na przykład, trzeba znaleźć nowy sposób współżycia z ludźmi (albo smażenia jajek, nie wspominając o obieraniu cebuli!). Cofnąć się o kilkaset kroków i zacząć od początku. Tym razem bardzo powoli. Żeby nie popełnić straszliwych błędów, jak

wcześniej. Trzeba zebrać najmądrzejszych specjalistów, żeby przeprowadzili najważniejsze, najpotrzebniejsze badania. Zanalizować człowieka do ostatniej komórki, zrozumieć, czym dysponujemy. Sprasować człowieczeństwo, rozplaszczyć je i rozwałkować, aż ukażą się zarysy znaku, pieczęci producenta. Kombinacja cyfr. Instrukcja obsługi, która wyjaśni raz na zawsze, do czego służy ta maszyna, jak należy się nią posługiwać, jak można ją ulepszyć. Co robić, kiedy się zepsuje i nie potrafi sama naprawić swoich błędów. Jak wezwać na ratunek kogoś z zewnątrz. Wasserman opowiada historię Neiglowi. Żyd, który nie potrafi umrzeć, usiłuje uratować świat przy pomocy Dzieci Serca. Naiwnie pragnę móc uwierzyć w ten dziecinny pomysł, ale nie można już w to uwierzyć ani nie ma zbawienia. Tak. Człowieka należy rozłożyć na części. Wykręcić mu wszystkie członki. Rozdzielić to, co nazywa się „życiem”, na najcieńsze włókna, położyć je na szkiełku mikroskopu. Zanalizować, dokładnie i naukowo, to wszystko, czego nie można już znieść. Na przykład „okrucieństwo” i „miłość”, aż zostaną zrozumiane i przestaną sprawiać tak straszny „ból” i „cierpienie”. Aż zostaną zgłębione. Do tego czasu – zawiesić wszystko: „miłość”, „współczucie” i „moralność”. Nie będzie „sprawiedliwości” ani „niesprawiedliwości”. „Kocha”, „nie kocha”. Nie ma „wyboru” ani „wolności”. To czas wyjątkowy, pięść i trzy palce, wszystko to zbędne obciążenie, pasujące do czasów „pokoju”, do ludzi gotowych „wierzyć” w „człowieka” i w „jego serce”, w „dobro”, w „moralność”, w „cel” „życia”, „Wasserman” „jednak” „przynosi” „nam” „dziecko”...

Neigel chrząka i zwraca uwagę Wassermana na drobną niedokładność: trochę za wcześnie, aby dziecko zaczęło się śmiać. Wasserman chętnie się *zgadza*. Fried także się zdziwił. Fried pamiętał, że świadome uśmiechy, skierowane do kogoś, zaczynają się pojawiać, kiedy niemowlę ma, hmm... na przykład...

– Dwa albo trzy miesiące – zgłasza się Neigel. – Karl uśmiechnął się trochę później. On w ogóle jest poważniejszy... Lizka uśmiechnęła się, kiedy miała dwa miesiące. Ona zawsze wszystko robi wcześniej. Christina mówi, że sama taka była jako dziecko.

Wasserman:

– Ma pan niezwykle dobrą pamięć, Herr Neigel. Może też zapisywaliście te szczegóły w specjalnym zeszycie?

– Co? Tak. To znaczy Christina. Notowała wszystko. Powinieneś zobaczyć, jak to ładnie wyszło. Prawie jak książeczka dla dzieci. Ja nie potrafię tak pisać. To znaczy – jeśli będziemy mieli kiedyś jeszcze jedno dziecko, postaram się i zaryzykuję. W końcu razem dokonywaliśmy trudniejszych rzeczy, co, Wasserman?

– Z pewnością! – odpowiada Wasserman i ciągnie dalej. Doktor postanowił zbadać znaczenie niespodziewanych uśmiechów i śmiechów. Przeprowadził mały eksperyment. Siedząc naprzeciw niemowlęcia, zachichotał głośnym, przesadnie grubym głosem, żeby je rozśmieszyć, ale maluch wyczuł podstęp i skrzywił buzię. Mimo woli doktor uśmiechnął się szczerze. Wtedy w oczach dziecka rozbłysła iskierka. To było już naprawdę zabawne. Fried porzucił wszelkie zahamowania i wybuchnął śmiechem. Dziecko mu zawtórowało. Markus: Pierwotne, wewnętrzne uśmiechy szukały w jego małym ciele właściwego, szczęśliwego ujścia. Kolano starało się uśmiechnąć. Łokieć się wyteżał i ukazał się na nim uroczy dołeczek.

Neigel:

– Ach... akurat na łokciu?

Wasserman, natychmiast:

– Był pan gdzie indziej, Herr Neigel?

Neigel:

– Czemu nie? ...to trochę niemądre, naprawdę... Nie szkodzi, jeśli to będzie prawe kolano? Tuż nad kolanem? Liselotte ma też dokładnie tam. Tak tylko myślałem...

– Ależ oczywiście, Herr Neigel. Proszę popatrzeć: już tam jest!

– Dziękuję, Herr Wasserman.

Wasserman przymknął oczy z bólem i przyjemnością. Po raz pierwszy od wielu lat jakiś Niemiec zwrócił się do niego „Herr”.

Całe ciało niemowlęcia drżało w wysiłku umiejscowienia uśmiechu.

Buzia poczerwieniała i napięła się. Jasne włoski zwilgotniały. Fried: Zacząłem myśleć, że może dręczą go gazy, więc go podniosłem i delikatnie poklepałem w plecki. Markus: Uśmiech od razu wpadł na właściwe miejsce. Malec otworzył buzię z ogromną przyjemnością. Kiedy tak się śmiał i gulgotał, Fried ujrzał przelotnie w różowych dziąsłach sześć śnieżnobiałych ząbków.

Neigel:

– Sześć? Mówiłeś, że cztery.

Śmierć temu dziecku. Śmierć wszystkim. Nie ma już sił. Pozostała tylko odrobina, na ostatni spazm sprzeciwu wobec Wassermana. Tylko w trakcie aktu pisania można doświadczyć trochę „życia”. W czubkach palców. Wszystko inne jest pozbawione czucia. Zapisane kartki przypominają świeży liść, wystrzelający z uschłego konara. Niech będzie chociaż to: ukryty, złośliwy plan Wassermana wyszedł na jaw. Poczył wszelkie przygotowania do zlikwidowania go. Sytuacja nadal jest pod kontrolą piszącego. Można ją przedstawić następująco: Wasserman kieruje na niego swe wysiłki: próbuje go „sprowokować” – zadziwiająco tanimi środkami – aby obudził się znów do „życia”. Z Wassermanem trzeba walczyć. Wassermanowi należy wydać zacieklą wojnę!

Tej nocy, na wąskim łóżku, w wynajętym pokoju, w obcym mieście, ma sen. Śni mu się Neigel, jako on sam. We śnie pojawiają się też dzieci Neigla i okazuje się, że nie budzą jego sprzeciwu ani nienawiści. Są nawet „kochane”. Neigel (który jest tym kimś) opiekuje się nimi z czułością i oddaniem. Śniący przebudził się i przysłała mu do głowy myśl: oto przyśniło mu się, że jest nazistą, i nic się nie stało. Ogarnęło go lekkie przygnębienie, które natychmiast uleciało, jakby nie miało się czego uchwycić, aby odcisnąć swój znak. Dziwne, pomyślał, przecież ludzie zawsze mówią o „małym naziście w tobie” (dalej znanym jako: „MN”), mając na myśli złe rzeczy, które tak łatwo opisać i określić. Na przykład zwierzęce okrucieństwo. Rasizm we wszystkich jego przejawach. Ksenofobię. Mordercze uczucia. To przecież tylko zewnętrzne objawy choroby. Na krzesło przy biurku, w wynajętym pokoju, ktoś ciężko usiadł. Czyjaś ręka ujęła pióro, wsunęła je między zęby. Wynajęty pokój znajdował się na poddaszu i można

było z niego dojrzyć skrawek morza. Ach, morze. Zawsze mówią „MN”, lecz bardzo się mylą. Pozwalają, aby ich podejrzliwość się stępiła. Torują drogę przyszłemu nieszczęściu. Tak: takie myśli przebiegały z zadziwiającą ostrością. Można było zaobserwować całkowitą żywotność, trzeźwe zrozumienie sytuacji, a przy tym – niemożność zmienienia tego, co zostało postanowione i przesądzone. W drzwiach otwartej szafy było lustro, pęknięte na całej długości. Widział w nim swoje odbicie. Ptasia twarz. Zaczerwienione, błyszczące oczy. Brzydkie skaleczenie po goleniu, ukryte pod krótką szczecina. Przecież prawdziwy problem, choroba, jest o wiele głębszy. Może nawet nieuleczalny. Może jesteśmy po prostu roznoszającymi ją zarazkami. Niczym więcej.

Kiedy mówi się czasem „MN” i ostrzega się przed nim, czy nie jest to tchórzliwe, sprytnie przekupstwo, którego celem jest osiągnięcie ogólnego konsensusu na temat czegoś, co do czego dobrze i przyjemnie się zgodzić? To znaczy: walczyć z czymś, z czym w ogóle można walczyć? Na czym polega odpowiednia, niezbędna terapia? Wyrwać wszystko, znowu zacząć od początku? Czy mamy na to siłę?

Tej nocy rozważał wiele rzeczy: czy pewne dziecko (nazywane dalej „Jariw”) – w wiadomej sytuacji – mogłoby zostać uśmiercone przez pewnego człowieka, występującego także jako jego ojciec? Co z jego prawowitą żoną i matką dziecka?

O godzinie czwartej czterdzieści pięć nad ranem włożył długie spodnie i szary sweter. Otworzył drzwi na dach i zaczął go przemierzać szybkimi krokami. Poczuł, że się budzi i powraca do zdrowia. Wśród anten i kominów błyskały błękitne skrawki wielkiej tafli wody. W tej właśnie chwili (czwarta czterdzieści dziewięć) poczuł pewność, że nie są to odpowiednie pytania. Można zaryzykować stwierdzenie, że z reguły zadaje się niewłaściwe pytania. W tej samej chwili przypomniały mu się pytania, które nauczył go zadawać pewien człowiek, B. Schulz, i stwierdził z wielkim smutkiem, że po prostu bał się je zadawać. Przez cały czas. Znów sobie uprzytomnił, że należy zadawać inne pytania: nie „Czy pewien człowiek zabiłby X, Y lub Z”, lecz „Czy ożywiłby ich? Czy zawsze ożywiłby ich na nowo?”. Czy – to decydujące pytanie – czy sam zostałby

ożywiony – z tą samą żarliwością, pragnieniem i miłością – przez samego siebie, w każdej chwili?

Ponieważ także i na to pytanie nie miał odpowiedzi, pojawiło się jeszcze jedno, ostatecznie, uporczywe: czego naprawdę się boi i przed czym się cofa? Śmierci czy życia? Prawdziwego życia, bez ograniczeń, w znaczeniu, w jakim pojmuje je, założymy... itd. Nagle coś go zmroziło. Rzucił się do biurka, aby pisać. Ale pióro nie pisało. Atrament nie chciał płynąć. Poczł wstrząs. W jednej chwili oblał go zimny pot. Zaczł stukać piórem o blat, jakby chciał obudzić kogoś siedzącego pod spodem, po drugiej stronie. W końcu atrament się pojawił.

Wasserman wciąż tam jest. Zawsze tam jest, siedzi naprzeciw Neigla. Opowiada, jak stropiony doktor nie miał odwagi opisać dziecka w notesie (którego od lat używał do odnotowywania stanu zdrowia zarówno zwierząt w ogrodzie, jak i pracowników), bo dziecko jeszcze nie miało imienia. Fried: Nadawanie imion pacjentom to nie moja rola.

Fried zapytuje: „Nieznane dziecko. Przyniesione przez Ottona Briga czwartego maja czterdziestego trzeciego roku, o dwudziestej zero pięć. Owinięte w wełniany kocyk. Nic nie wskazuje na to, kim są rodzice. Płeć męska. Długość ciała – trudno zmierzyć dokładnie. Mniej więcej 51 cm. Obwód głowy: jak wyżej, około 34 cm. Waga jak wyżej, około 3 kg. O godzinie dwudziestej dwadzieścia Otto Brig zobaczył dwa zęby w dolnej szczęce. O godzinie dwudziestej pierwszej dziesięć ja (A.F.) zauważyłem kolejne dwa zęby w górnej szczęce. Po mniej więcej dwóch minutach jeszcze dwa w dolnej szczęce. W sumie: sześć zębów”.

Ponieważ dziecko nie utrudniało już naukowej dokumentacji, Fried postanowił odwdzięczyć się szczerze, pisząc: „Dwudziesta pierwsza dwadzieścia. Niemowlę jest bardzo ruchliwe, a nawet się śmieje”. Fried: Stoje sobie, piszę i nie zwracam uwagi, a ono chyba rusza się na dywanie, upadł albo coś takiego, patrzę i widzę – ach! Leży sobie na brzuszku! Biedak. Od razu odwróciłem go na plecki i obserwowałem dalej. Nie uwierzycie – dziecko znowu przekreśliło się na brzuch!



Fried nie cierpiał oszustwa i fałszu, ale zawsze ktoś starał się go oszukać i wyprowadzić w pole. Biedny Fried! Żył w głębokim przekonaniu, że ktoś wykorzystuje jego chwilową nieuwagę, żeby całkowicie zmienić dekoracje świata. W zaciekłym proteście przeciwko oszustwu i zepsuciu w świecie i we wszystkich ludziach Fried upierał się przy uczciwości, trzymając się jej zębami i pazurami. Markus: Im bardziej oszukiwał go świat, odkrywając przed nim karty iluzji i diabelskich sztuczek... Harotian: Podwójne dna, ukryte zapadnie i fałszywe kieszenie... tym mocniej doktor wierzył w absolutną logikę świata, w jeden porządek, jasny i prosty...

Neigel unosi rękę.

– Tu się mylisz – mówi do Anszela Wassermana. – Wszystko ma racjonalne wyjaśnienie.

Wasserman robi minę, jakby się nie zgadzał. Neigel dodaje:

– Nawet gdy coś z początku wydaje się nienaturalne, okazuje się w końcu, że ma bardzo proste wytłumaczenie.

Wasserman:

– Herr Neigel, racjonalne myślenie ma rolę i misję w naszym świecie. Musi rozdzielać rozmaite rzeczy i istoty, i łączyć je ze sobą. Każdy ptak należy do swego gatunku. Ale same te rzeczy – mówi ze smutkiem – są tak całkiem pozbawione logiki! Ludzie też, naprawdę tak jest. Wymieszane ciasto pełne pragnień i lęków, aj, piękny ten nasz świat, a czym jest logika? Rozdziela i łączy wszystko ze sobą. Naprawdę. Logika, na przykład, to wasz wspaniały plan transportów kolejowych, które jada tutaj ze wszystkich zakątków Europy. Na pożarcie. Logika to żelazne tory, opasujące wielki świat, wagony, które podobno ani przez chwilę nie stoją bezczynnie. Logika, Herr Neigel, to niewidzialna nić biegnąca od ręki wiernego urzędnika, podpisującego zgodę na dostawę paliwa, do ręki maszynisty, który prowadzi pociąg po torach. Za pańskim pozwoleniem, logika łączy te dwie osoby z przekupnym robotnikiem kolejowym, dobrym człowiekiem, który w zamian za portfel pełen pieniędzy, wysunięty ukradkiem przez okno wagonu, przyniósł kubek wody dla mojej córeczki, która zasłała i zemdląła. On także działał zgodnie z zasadniczą logiką całej sytuacji, z tym, że

ta logika wiąże ze sobą rzeczy logiki pozbawione. Wybuchy okrucieństwa i łaski. Wszystkich ludzi. Decyduje o życiu mojej córki i jej śmierci...

Neigel, który po raz pierwszy słyszy o śmierci córki Wassermana, woli to puścić mimo uszu. Może nie ma dość sił psychicznych, aby się zmierzyć z tą informacją. Spuszcza tylko wzrok i wydaje swoje okropne „humpf”. W ten sposób chyba daje znak Wassermanowi, aby kontynuował. Wasserman patrzy na niego przez chwilę z goryczą i bólem, a potem na jego twarzy pojawia się wyraz, najbardziej ze wszystkiego, co widziałem do tej pory, przypominający nienawiść. Potem kiwa głową i mówi dalej.

Markus: Nasz Fried tak mocno splótł swoją szczerość i niechętną nadzieję, że zamieniły się w stwardniały skurcz mięśni w gardle i brzuchu. Paula zawsze twierdziła, że może właśnie przez tę dziwną udramę Fried sprowadza na siebie nieszczęście, nie mniejsze niż to, które może przynieść kłamstwo czy oszustwo. Paula: Nie rozumiem, jak to się dzieje, że wszyscy ciągle chcą oszukać mojego Friedczika, który jest przecież okropnie mądry, wystrzega się wszystkich i podejrzewa ich. A mnie głupia, która uwierzyłaby nawet kotu, wszyscy zostawiają w spokoju. Harotian: Trzeba przyznać, że kiedy nadeszła chwila wyboru między logiką a litościwym kłamstwem, nasz doktor wybrał kłamstwo. Bardzo to szanuję. Fried: Ty! Ojciec kamuflażu! Markus: Istotnie. Z miłości pozbawionej wszelkiej logiki, z oczywistej miłości do oszustwa, pozwoliłeś sobie uwierzyć w dziecko, które chciała urodzić Paula. Fried: I cierpiałem. Nikt z was nie wie i nigdy się nie dowie, jak bardzo cierpiałem. Już nigdy nie pozwolę sobie na takie cierpienie. Otto: Nie, Fried? Nie pozwolisz? Munin: Hej, wy! Może już dość tych kłótni? Dziecko znowu się obróciło! Fried: Psiakrew!

Pochylił się i ze złością, szorstko, przełożył dziecko na plecy, *krzycząc*: Tak ma leżeć dziecko w twoim wieku, tak! I odszedł na bok, nachmurzony, ze zmarszczonymi brwiami, ale niemowlę, nasze niemowlę...

– Znowu się przekreśliło? – zapytał Neigel.

Wasserman:

– Właśnie! Biedny Fried...

Neigel:

– Krzyknął ze strachu, podbiegł i znowu odwrócił je na plecy! A dziecko się znowu przewróciło! I jeszcze raz! I jeszcze!

Z nagłym podejrzeniem doktor – orzeł porwał dziecko z dywanu i podniósł w milczeniu pod światło lampy. Dziecko, Herr Neigel, uśmiechnęło się radośnie, a w jego buzi zabłysło, aj...

Neigel:

– Poczekaj! Cztery, sześć, osiem ząbków?

Wasserman:

– Właśnie!

Neigel:

– Posłuchaj! Nie jestem pewien, czy mi się to podoba, ale zaczynam wyczuwać prawdziwe opowiadanie! – Zapisuje kilka słów w notesie.

Fried kartkuje niemiecką encyklopedię medyczną, którą kupił przed pięćdziesięciu laty podczas studiów w Berlinie. Z kartek unosi się kurz i Fried zanosi się kaszlem. Dziwna wysypka, która pojawiła się rano, swędzi, ale on nie zwraca na to uwagi. U jego nóg czołga się znajda, badając z zaciekawieniem dywan w kwiaty. Ruchy dziecka są początkowo nieskoordynowane, ale po chwili stają się bardziej celowe. Fried: W wieku czterech miesięcy pojawiają się pierwsze zęby... W wieku ośmiu miesięcy niemowlę może mieć osiem zębów... W wieku trzech miesięcy żwawe niemowlę może spróbować przewrócić się na plecy... Nu, a ja patrzę w dół i widzę, że on stara się już usiąść, wierzcie lub nie, a przecież miał dopiero kilka godzin, niewiele ponad dwie godziny, myślę. W encyklopedii napisane jest tak: „W wieku czterech miesięcy niemowlę ma na tyle mocne mięśnie szyi, że potrafi utrzymać główkę w pozycji wyprostowanej. Półroczne dziecko może próbować usiąść...”. Przestraszony Fried klnie i przeciera zaparowane okulary. Niemowlę siada i z wielkim zaciekawieniem ogląda sobie pulchne paluszki u stóp. Doktor znajduje słabą pociechę w tym, że przynajmniej odrobinę opada mu główka.

Dziecko zgłodniało i znowu płacze. Fried myśli z odrobiną przebiegłości, że skoro gość potrafi siedzieć o własnych siłach, utracił przywilej karmienia z

butelki czy łyżeczki. Dlatego nalewa trochę Harotianowego mleka do plastikowego kubeczka, wkłada go dziecku do ręki i pokazuje, jak pić. Niemowlę w jednej chwili nauczyło się samodzielnie pić.

Dziecko wypilo mleko. Doktor bez zastanowienia pyta: Jeszcze? Dziecko, naśladowując ton i miły dźwięk głosu, powtarza: Jeszcze? Fried, który zamknął wszystkie szczeliny w pancerzu ciała, w ostatniej próbie obrony przed zdumieniem, mówi do siebie, jakby zapisywał w dzienniku: Zaczął mówić. Przynosi z kuchni kromkę chleba, którą dziecko pochłania żarłocznie, próbując dźwignąć się na nóżki.

Nie. Teraz można to powiedzieć. Chodzi o „MN”: nie jest tak niebezpieczny jak choroba, która stanowi podstawę jego natury. Którą rozprzestrzeniamy z każdym naszym ruchem. Naziści nakreślili jedynie jej zarysy, nazwali ją, dali jej język, armię, robotników, świątynie i ofiary. Zrealizowali ją w praktyce, a właściwie – poddali się jej. Osłabieni, gładko w nią wpadli. To przecież jasne, że nie rozpoczyna się nieszczęścia, lecz kontynuuje. Tak mówi Wasserman, który nigdy się nie poddaje. Do walki z naszą naturą potrzebna jest siła. Misja. Nasz cel, ideał, jest taki nędzny. Wcale nie zachęca do walki. Po co? Aby stać się człowiekiem, jak mówi Wasserman? To wszystko? Po to ciągle walczyć? Tyle cierpieć? Dlatego powiem otwarcie i zdecydowanie: Wasserman grubo się myli. Człowieczeństwo broni się samo przed takimi bezpłodnymi, pozbawionymi sensu wysiłkami. Natura jest rozsądna, swoje dzieła stwarza i używa ich roztropnie, przystosowując je do stałych warunków życia. To teoria egzystencjalna Darwina: pozostaną tylko ci, którzy będą umieli rozsądnie się obronić. Tak, droga pani: rozsądnie!

Powiedziawszy następujące słowa, zamilkł. Jego ręka – o dziwo! – wyciągnęła się sama, by zapisać następujące linijki, coś jakby anachroniczny gest jego dawnego wobec zapomnianej przeszłości, cztery czy pięć linijek, które miały stanowić ostateczny koniec „Kronik”, pergaminów, które należy odłożyć do skrytki. Napisał: „Byłem w TYM pogrążony, nieomal od samego urodzenia. Odkąd znużyłem się wysiłkiem i zacząłem traktować każdego człowieka jako coś

oczywistego. Odkąd przestałem próbować wynaleźć specjalny język, i nowe nazwy dla wszystkiego. Odkąd nie mogłem powiedzieć «ja», aby nie rozległ się metaliczny dźwięk, odbijający echem «my». Kiedy zrobiłem coś, aby się obronić przed cierpieniem drugiego człowieka. Przed drugim człowiekiem. Odkąd nie zgodziłem się na okaleczenie: mieć wyrwane powieki, widzieć wszystko”.

Oto linijki, które zapisał, zanim całkiem opuściły go siły. Potrafił recytować sam sobie te piękne słowa, ale nie czuł w nich drgnienia życia. Zakończył wojnę. Wojna została przez niego zakończona. Nie miał dla kogo walczyć. Dla niego samego to strata czasu. I tak już umarł. Był gotowy do życia.

Wstałem i chciałem wyjść z Białego Pokoju. Nie miałem tam czego szukać. Zapomniałem, jakim językiem mówi się w środku. Ale nie zdołałem odnaleźć drzwi. To znaczy macałem ściany, chodziłem w kółko, ale nigdzie nie było drzwi. Ściany były całkiem gładkie. Stał przede mną Anszel Wasserman. Jak kiedyś. Pochylny, zgarbiony, o żółkłej, pomarszczonej skórze. Chce mi pokazać, jak wyjść na zewnątrz. Zna drogę. Przez całe życie błądzi po tym lesie, rozrzucając maleńkie okruszki słów, żeby wskazały mu drogę powrotu. To człowiek z bajek dla dzieci, Anszel Wasserman-Szeherazada.

- Dziadku?
- Pisz o dziecku, Szlojmele. Pisz o jego życiu, pełnym życia.
- Chcę wyjść. Biały Pokój mnie przeraża.
- Cały świat to Biały Pokój. Chodź ze mną.
- Boję się.
- Ja też. Pisz o niemowlęciu, Szlojmele.
- Nie!!!

Krzyknąłem i strząsnąłem z siebie jego delikatną, ciepłą rękę, w której zawsze szemrały strumienie opowiadania. Rzuciłem się na gładkie ściany, na kartki zeszytu, na lustro, na duszę... nie było wyjścia. Wszystko zamknięte.

- Pisz - powtórzył Anszel Wasserman cierpliwie, spokojnie. - Siadaj i pisz. Nie masz innej drogi. Jesteś jak ja, twoje życie jest opowiadaniem, dla ciebie istnieje tylko opowiadanie. Pisz.

Świetnie. Niech i tak będzie. Dziecko. Muszę z nim walczyć. Z nim i z tym, kto je przyniósł. Na to jeszcze zostało mi odrobinę siły. Niedużo, to prawda, ale kto spróbuje mnie zranić, zapłaci życiem. To znaczy – swoim opowiadaniem; uważaj, Anszelu Wassermanie: twoja opowieść znalazła się w niebezpieczeństwie! Nie oszczędzą cię nawet mimo łączącej nas bliskości, bo na wojnie nie ma litości, a ja wydałem wojnę tobie i twojemu opowiadaniu.

Fried obliczył, że w ciągu czterech czy pięciu minut dziecko rozwija się w tempie odpowiadającym trzem miesiącom życia zwykłego dziecka. To oznaczało, że za pół godziny niemowlę będzie miało półtora roku. Fried nagle coś sobie przypomniał: kiedy biały motyl wyfrunął z „komnaty przyjaźni”, niemowlę zaczęło szybciej oddychać. To znaczy, że należy liczyć jego szczególny rozwój od tamtej chwili, od mniej więcej dziewiętej. (Mniej więcej?! –Doktor zbladł, uświadomiwszy sobie, jak wielką wagę ma każda sekunda). Wasserman:

– Lewą ręką energicznie drapał wysypkę, która rano pojawiła się na brzuchu, nad pępkiem. Rozmyślał: to znaczy, że o pierwszej malec będzie miał już trzy lata! Mój Boże! To niemożliwe! Trzeba sprawdzić jeszcze raz!

Sprawdził wszystko ponownie, starając się zachować spokój. Obliczenia się zgadzały. Fried z całej siły przygryzł palec i usiłował coś sobie przypomnieć. Fried: Wersus? Werblus? Jak to się nazywało?.. Zaczął pośpiesznie kartkować swą starą, wierną encyklopedię, przebiegając setki skryzalizowanych skrawków zniszczenia, chorób i kalectw, niedoskonałości duszy i ciała, obyśmy ich nigdy nie zaznali. W końcu zatrzymał się, zdyszany i ziejący niczym pies, przy haśle... Fried: Werner. Zespół Wernera. Proces szybkiego starzenia się... zaczyna się w wieku trzydziestu lat... degeneracja wszystkich układów... przedwczesne zwapnienie... depresja... szybka, bolesna śmierć... patrz „progeria”.

Neigel prostuje się. Ma surową twarz. Jest trochę blady. Kto by pomyślał, że potraktuje to opowiadanie tak osobiście. Może o czymś nie wiemy?

– Proszę, Herr Wasserman, nie – mówi cichym głosem. – Proszę nie krzywdzić tego dziecka.

Ale Wasserman, który przez chwilę słuchał tych słów, jakby słyszał je już

kiedyś, bardzo dawno temu, kontynuuje:

– Z pękającym z bólu sercem, ponieważ sam już podejrzewał, doktor skierował się do wyznaczonego przez księgę hasła. Progeria. Dziecięca odmiana zespołu Wernera. Proces bardzo szybkiego starzenia się, zaczynający się w wieku trzech lat... nieliczne przypadki w historii medycyny... rozwój zostaje zahamowany w wieku trzech lat, obserwuje się poważne oznaki degeneracji, niedorozwoju i depresji...

Neigel:

– *Bitte*, Herr Wasserman, proszę mnie posłuchać!

– Fried: Wielki Boże!

Dziecko stało na nóżkach, uśmiechając się doń uśmiechem pełnym szczęścia. Fried poczuł, jak zalewa go fala litości, która naraz zatopiła żelazną armadę w jego sercu. Wskazał na siebie wyprostowanym palcem i poważnym głosem powiedział: Tata. Dziecko powtórzyło: Tata. Markus: Jakby ukłuła go w pierś szpilka od medalu. Przez chwilę się wahał, a potem – niech będzie przeklęty podły żart, jaki splatało mu życie – powiedział: Jesteś Kazik. – Dziecko powtórzyło imię. Bez końca smakowało swoje nowe imię. Kazik.

Fried ogromnie zapragnął móc je ochronić. Wymachiwać mieczem wokół drobnego, bezbronnego ciała, aby choroba nie odważyła się zbliżyć. Ale już atakowała organizm z całą swą groteskową mocą. Neigel wciąż kręcił głową. Wasserman nie przerwał, aby na niego spojrzeć. Wasserman był pewien, że sprzeciw Neigla wiąże się z tym, że dziecko ma uroczy pieprzyk pod prawym kolankiem. Neigel uderzył pięścią w stół i krzyknął, że wystarczy już tej pokręconej historii, ale Wasserman się nie poddał. Zagotował się z wściekłości. Krzyczał, że nie może mówić dalej, kiedy ciągle ktoś mu przerywa. Po raz pierwszy był tak wyprowadzony z równowagi, że wygrażał Neiglowi ręką. Byłem wstrząśnięty, bo pamiętam dokładnie, kiedy to widziałem: ponad dwadzieścia lat temu, w kuchni domu na osiedlu Bejt Mazmil. Niemiec próbował się wtrącić, a dziadek wymachiwał kurzym udkiem i krzyczał. Wtedy jeszcze chciałem, żeby dziadek zwyciężył.

– Nie waż się tknąć tego dziecka! – ryczy Neigel, czerwony na twarzy.

Wasserman patrzy na niego z ponurą, straszliwą miną, i mówi, smakując każde słowo:

– Są rzeczy, których nie wolno panu przy mnie mówić, Herr Neigel. Także i bez pana moje życie jest pełne goryczy. Dziecko będzie żyło i umrze, zgodnie z wolą opowiadania. Tak będzie.

Wasserman dobrze wie, że w złości jest śmieszny. Sam przyznaje, że „do niektórych ludzi gniew nie pasuje”. Tym razem widać w nim coś, co robi wrażenie na Neiglu, który odwraca wzrok i z piórem w ręku czeka na dalszy ciąg.

...Fried głęboko odetchnął. Oto życie podjęło rękawicę, którą rzucał mu codziennie rano. Nie można tego inaczej wyjaśnić. Wybrało sobie nieoczekiwane pole bitwy. Przez to dziecko zazna nieznanych wcześniej cierpień. Wasserman:

– Oj, Fried, trzeba było się domyślić, że tak będzie już w chwili, kiedy zacząłeś kreślić linie na ziemi. Fried: Nie martw się o mnie. Nawet stary Fried zna jeszcze parę sztuczek.

Neigel, zdziwiony, w oczywistym sprzeciwie wobec Wassermana:

– Hura, Fried! Na wojnie jak na wojnie!

– Markus: Nasz Fried przez chwilę zapalał takim pragnieniem walki, że niemal stanął dęba i zarżał. Ale potem pojął, jak maleńkie ma szansę, i zasmucił się.

Znowu sprawdził obliczenia, aby powstrzymać kolejną falę paniki. Musiał popełnić jakiś błąd. Może to nie jest progeria w najcięższej postaci. A może tylko bardzo szybki rozwój, który niebawem zahamuje się i unormuje. Tak. Fried rachował w pamięci, poruszając ciężko grubymi, bezkrwistymi wargami. Potem zanotował kilka cyfr i popatrzył na nie. Swędzenie na brzuchu wzmożło się; wściekle podrapał głupią wysypkę.

Po raz ostatni gniewnie zaatakował papier. Po chwili zrobiło mu się zimno i gwałtownie poblekł. Rozwiała się słaba nadzieja, że życie mimo wszystko ulituje się nad nim, choćby ze względu na wieloletnią znajomość. Machinalnie powąchał palce. Skąd wziął się świeży zapach rozmarynu? Zacisnął szczęki i wpatrzył się w kartkę. Na samym dole, pod kreską, widniały



dwie cyfry.

Wasserman na chwilę przerywa. Neigel zawisa wzrokiem na jego ustach. Autor wpatruje się w pusty zeszyt. Przez chwilę w jego oczach płonie straszliwy wyraz niepohamowanej miłości, jakby był zwierzęciem, broniącym młodych. I choć nie przypominał wspaniałego zwierzęcia jak lew czy pantera, a raczej rozszoszczonego zająca czy barana, dzika miłość nie była przez to słabsza. W tamtej chwili mogłem na sekundę zajrzeć do pustego zeszytu i zobaczyć wreszcie, jakie słowo tam widnieje, ale się bałem. Wasserman skłonił głowę nad tym jednym słowem, westchnął głęboko, i już chciał mówić dalej.

– Poczekaj chwilę, Herr Wasserman, pozwól, że spróbuję cię przekonać... przecież nie moż...

Fried, obojętnie, okrutnie ignorując błagania Neigla:

– Jeżeli dziecko będzie się dalej rozwijało w tym tempie, z taką szybkością, przejdzie pełen cykl życia normalnego człowieka dokładnie w ciągu dwudziestu czterech godzin. Tak.

Neigel milczy. Cały pęcznieje z goryczy i gniewu. Nawet w tym momencie ktoś w nim zostaje złapany w pułapkę magii krótkiego, biologicznego hasła „dwadzieścia cztery godziny”. Zaczyna coś mówić, ale milknie. Mijają sekundy. Neigel uspokaja się. Wiem już, co muszę zrobić. Nie mam wyjścia. Biedny Wasserman. Ale ja też mam opowiadanie, które mnie pisze, muszę iść za nim tam, dokąd mnie prowadzi. Może to moja droga jest właściwa.

– To twoje opowiadanie – mówi z goryczą Neigel. – Trudno mi już zdecydować, co o nim myślę.

Wasserman, z ogromną ulgą:

– W końcu pan je zaaprobuje, Herr Neigel.

– Och, psujesz dobre opowiadanie tymi wszystkimi dziwacznymi pomysłami. Dwadzieścia cztery godziny, rzeczywiście!

Wasserman:

– To będą cudowne dwadzieścia cztery godziny, przysięgam! (Zwraca się do mnie: „Nu? Złapałem go w pułapkę... Widziałeś?! Szłojmele! Jak się zmieniłeś na twarzy! Ale...”).

Dziecko szło ostrożnie po dywanie, z wyciągniętymi przed siebie rączkami. Oczy błyszczały mu ze szczęścia. Kiedy dotarło do Frieda, zatrzymało się, popatrzyło na niego, i buzia mu się rozpromieniła: Ta-ta – powiedziało do szlochającego doktora. – Ta-ta.

**KOMPLETNA  
ENCYKLOPEDIA  
ŻYCIA KAZIKA**

Wydanie pierwsze

## **DO CZYTELNIKA**

1. Na następnych stronicach czytelnik znajdzie pierwszą próbę stworzenia encyklopedii obejmującej większość ważnych wydarzeń w życiu jednego człowieka. Nie tylko wydarzeń: procesów zachodzących w ciele i duszy, relacji z otoczeniem, pragnień, marzeń itd. To wszystko, co zazwyczaj nie „poddaje się” z łatwością analizie, objawiło nagle inny, nieznany aspekt i bezwarunkowo skapitulowało przed obiektywnymi wymogami badań naukowych, gdy po raz pierwszy – odgórnie – zostało umieszczone w ramach sztywnej i (pozornie!) arbitralnej klasyfikacji. Właśnie ta arbitralność – to jest: alfabetyczna klasyfikacja haseł – sprawiła, że wszystkie te ulotne i wieloznaczne zjawiska zamieniły się w dogodny, pożyteczny materiał. Dzięki temu udało się odsłonić prostotę mechanizmów, wprawiających w ruch przedstawicieli rodzaju ludzkiego.

2. Na tych kartach czytelnik ujrzy najpełniej dzieje życia Kazika, bohatera opowiadania Anszela Wassermana, którego wysłuchał obersturmbannführer Neigel w nazistowskim obozie zagłady na polskiej ziemi, w roku 1943.

3. Nie zawsze dało się całkowicie oderwać losy Kazika od sytuacji, w której je opowiadano. Czytelnik przekona się, że dzieje Neigla, Wassermana i niektóre elementy ich biografii wywarły taki czy inny wpływ na zawartość tych stronic. Czytelnik, rzecz jasna, ma prawo zrezygnować z czytania tych haseł.

4. Dołożono wszelkich starań, aby zachować autentyczność postaci, które wpłynęły na życie obiektu badań (Kazika). W tym celu użyto nawet monologów i fragmentów dialogów tych postaci. Nie ma jednak wątpliwości, że

metoda ta narusza naukowy obiektywizm całego przedsięwzięcia i sprawia, że staje się ono nieco „rozrywkowe”. Chwilowo jednak nie znaleziono innego sposobu. Postaramy się usunąć te usterki w kolejnych edycjach encyklopedii.

5. Aby z góry wykluczyć napięcie literackie, tam gdzie można i trzeba go uniknąć, gdzie mogłoby odwrócić uwagę czytelnika od najważniejszego, uczynimy w tym miejscu wszystko, by nie dopuścić do powstania tego napięcia, niepotrzebnego złudzenia istnienia jakiegoś doniosłego punktu kulminacyjnego, do którego, rzekomo, ma dążyć „życie”. Dlatego informujemy z góry: Kazik umarł o godzinie osiemnastej dwadzieścia siedem, dwadzieścia jeden godzin i dwadzieścia siedem minut po przybyciu do ogrodu jako noworodek. Miał wtedy – według swej szczególnej rachuby czasu – sześćdziesiąt cztery lata i sam odebrał sobie życie. Oczywiście, właśnie fakt, iż Kazik przeżył pełne życie w tak krótkim czasie, jest przyczyną i motywem powstania niniejszej skromnej pracy naukowej. Zrodziła się niezwykle okazja opracowania pełnej encyklopedii ludzkiego życia, od narodzin do śmierci.

6. Czytelnik rzecz jasna może czytać hasła w dowolnej kolejności, przeskakiwać w przód i w tył wedle swej woli. Mimo to bylibyśmy wdzięczni, gdyby zechciał kroczyć królewską drogą stałego porządku hebrajskiego alfabetu.

7. Ze względu na głębokie przywiązanie do faktów, redakcja musiała gdzieś tam umieścić hasła, obrazujące poglądy Anszela Wassermana. W innych miejscach można rozpoznać ślady zacieklej walki między redakcją a Wassermanem do chwili, aż jedna ze stron zwyciężyła i przedstawiła swoje stanowisko na piśmie. Oczywiście, umieszczenie tych haseł nie oznacza bynajmniej, że redakcja zgadza się z ich treścią. Wnikliwy czytelnik sam osądzi i podejmie decyzję.

Na koniec kilka informacji osobistych:

Redakcja przyznaje, że istnieją czytelnicy, których odstręcza sam pomysł

podobnej pracy. Redakcja doskonale zna tych malkontentów, heretyków, którym nie są drogie żadne wartości!

Muszę opowiedzieć wam coś, co doprowadziło mnie do obłędu! Kiedy po raz pierwszy opowiedziałem Ajali o swoim pomysle, jak sądzicie, co zrobiła? Roześmiała się. Słowo daje! Wybuchnęła gromkim śmiechem. Po prostu śmiała mi się w twarz. No cóż, w pierwszej chwili się obraziłem, potem zrozumiałem, o co chodzi. Ajala śmiała się dalej, ale już nie z rozbawieniem, lecz ze skupieniem, a może – trochę ze strachem. Stała i śmiała się w proteście, zadowolona z siebie. Jej śmiech był dziwny. Wręcz przerażający. Wił się, rozgałęział, wybuchał niczym stado kolorowych, radosnych ptaków, jak morskie fale, jak – ach! Natychmiast zrozumiałem, że muszę położyć temu kres, bo iluzje nie mają granic, toteż powiedziałem surowo i chłodno: En-cy-klo-pe-dia! Wtedy to się stało: Ajala zamilkła. Przez chwilę w jej oczach płonęła jeszcze iskierka gniewu, który zaraz przeszedł w zdumienie. Cofnęła się, i zaczęła blednąć. Całkiem się rozplynęła, jakby poraził ją piorun. Krótko mówiąc: stało się z nią to, co z biedną Retycją, ciotką Brunona, obok skrzynki pocztowej na placu Świętej Trójcy. Nic z niej nie zostało. Redakcja odniosła całkowite zwycięstwo.

## אהבה

**Ahawa – miłość**

Patrz: seks

## אוננות

**Onenut – onanizm**

Czynność mająca na celu osiągnięcie samozaspokojenia seksualnego

1. Kazik zaczął korzystać z tej metody samozaspokojenia po przykrych wydarzeniach z Chana Cytryn (patrz: Cytryn). Było to o godzinie szóstej

trzydzieści, gdy Kazik miał już – według specjalnej rachuby – lat dwadzieścia osiem i pół. Także przed incydem z panią Cytryn „dotykał się tam”, zgodnie ze wstydlwym stwierdzeniem Frieda, ale teraz czyn ten nabrał cech otwartego entuzjazmu i obsesji. Onanizował się bez przerwy: towarzysze Dzieci Serca starali się ze wszystkich sił to ignorować, choć było to niemożliwe: z czubka jego niewielkiego penisa tryskały na wielka wysokość cienkie, wilgotne strugi, które, docierając do czarnej kopuły nieba, wybuchały z lekkim hukiem, jak fajerwerki, i łączyły się w kolorowe kształty, tworząc zwierzęta i postaci ludzkie, wszystkie z jakąś skaza, jakby niedokładne, ale na swój spermatozoiczny sposób pełne życia i barw. Płynęły w ciemnościach, machając małymi ogonkami; nieprzerwany strumień ptaków i ryb, dzieci i starców, którzy błyszczeli przez krótką chwilę, i zaraz znikali w ciemnościach, nie pozostawiając śladu poza uczuciem lekkiego smutku, które udzielało się innym. Przez pewien czas towarzysze mieli nadzieję, że wizje Kazika ukażą świat piękniejszy, bardziej kolorowy i żywy niż ten, w którym żyją, ale szybko poczuli, że są one zarażone beznadzieją znanej rzeczywistości, nie mają szansy, nie ma w nich miłości, tylko gorąca żarliwość, która ich stworzyła, choć także i ona słabła z minuty na minutę. Pozostał tylko kompulsywny, znudzony ruch pocierania, uczucie straty i pustki, niejasny smutek, który szybko znika. Także Kazik to czuł, oczywiście. Ale nie mógł przestać. Był upokorzony.

2. Onanistyczne dokonania Jedidji Munina, które stały się jego sztuką; patrz Munin, serce, odrodzenie Dzieci Serca.

## אחריות

### **Achrajut – odpowiedzialność**

Poczucie obowiązku wobec innych

Na zakończenie sporu z Wassermanem, czy morderstwa popełnione w obozie można uznać za „zbrodnię”, Neigel stwierdził, że nie ponosi osobistej

odpowiedzialności za to, co się dzieje, a tylko wypełnia rozkazy „wielkiej maszyny”. Poparł te słowa argumentem, że „przecież zagłada Żydów będzie trwać dalej, nawet jeśli jeden człowiek, na przykład ja, postanowi nie brać w niej udziału, prawda?”.

Wasserman:

– Ale przecież o to w tym wszystkim chodzi! Co to panu przypomina? Tamtą sprawę między mną a nią. Gdyby inny mężczyzna kochał pańską małżonkę, przepraszam, ale przecież, jak by to powiedzieć... znaczy... Rodzaj ludzki trwałby nadal, nie zniknąłby z ziemi... Jakie to ma znaczenie, mówi sobie w duchu matka natura, kto będzie następnym ogniwem? Ważne, aby wielka machina egzystencji funkcjonowała dalej, prawda?

Neigel:

– Humpf. Tak. Oczywiście. Przecież nie mamy wpływu na wielkie rzeczy, czyż nie?

Wasserman:

– Słusznie. Wszystko jest przewidywalne, a swoboda działania, jaką nam dano, jest bardzo ograniczona!

Neigel:

– To po co ciągle gadasz o tej swojej odpowiedzialności, jeśli ona w ogóle nie ma sensu?

Wasserman:

– Może dlatego, że to jest wolność, Herr Neigel. Jedyne protest, na jaki taki tchórz jak ja może się zdobyć.

Neigel:

– Ach! Złudzenie protestu. Wasserman:

– Co innego nam pozostało? Patrz: wybór.



# אמנות

## **Omanut – sztuka**

Metody wyrażania zdolności kreatywnych człowieka, które stały się elementem użytkowym i estetycznym, stosowane zgodnie z pewnymi zasadami, wymagającymi pewnych umiejętności i praktyki

Przez całe życie otaczała Kazika atmosfera twórczości artystycznej (patrz: twórczość artystyczna). Zasadniczo, jedynymi znanymi mu ludźmi byli artyści Ottona Briga (patrz: Brig). Nic więc dziwnego, że gdy szukał odpowiedniego środka wyrazu, aby uśmierzyć swe cierpienia, popędy i lęki, wybrał drogę artystyczną. Początkowo był malarzem (patrz: malarz), ale potem, wbrew woli, stał się karykaturzystą (patrz: karykaturzysta). Zrozumiał, że nawet sztuka nie przyniesie mu pełnego zbawienia. Może najwyżej upiększyć jego ciągoty, zwiększyć bolesność pragnienia, ale nigdy nie uczyni ich osiągalnymi. Okazuje się, że akurat wolność artystystyczna odebrała mu litościwe złudzenia i przybliżyła do poznania granic nadziei. Patrz też: onanizm.

# אמנים

## **Omanim – artyści**

Osoby wyrażające na rozmaite sposoby ludzki impuls twórczy, który staje się elementem estetycznym i użytkowym. Wspecjalizowani w swoich dziedzinach

Jedyni ludzie, których znał Kazik, to artyści, których Otto Brig (patrz: Brig) zgromadził w warszawskim ogrodzie zoologicznym w latach 1939–1943. Przebywali tam (w kolejności alfabetycznej): Brig Paula, siostra Ottona, która protestowała przeciwko ograniczeniu i tyranii natury; Ilja Gincburg (patrz: Gincburg), poszukujący prawdy; Harotian (patrz: Harotian) walczący z władzą skąpego mechanizmu ludzkich zmysłów; Malkiel Zajdman (patrz: Zajdman), mistrz przekraczania granic między ludźmi; Jedidja Munin (patrz: Munin), mistrz orgazmu, zwolennik transcendencji człowieka, poszukujący szczęścia i

bliskości Boga; Aharon Markus (patrz: emocje), który poświęcił życie na eksperymenty, dotyczące poszerzania zakresu ludzkich uczuć; Siergiej (patrz: Siergiej), wynalazca krzyku, złodziej czasu; Albert Fried (patrz: biografia), lekarz: z początku był bardzo zły na Ottona, że zebrał „wszystkich tych brudnych wariatów” w ogrodzie zoologicznym, zamiast zatrudnić efektywne i odpowiedzialne siły robocze. Potem, przez pewien czas, kiedy Paula spodziewała się urojonego dziecka, Fried zamykał oczy i pozwalał sobie na wiarę. Wtedy także i on zasłużył na miano „artysty”.

Otto nazywa swych artystów także „bojownikami” i „partyzantami”.

## נקדח

### **Ekdach – pistolet**

Krótką broń palną, którą można posługiwać się jedną ręką

1. Broń, za pomocą której Neigel odebrał sobie życie po powrocie z urlopu w domu w Monachium.

2. Broń, którą Paula Brig zabiła lwa Cezara w czasie oblężenia Warszawy przez wojska niemieckie w 1939 roku. Stali pracownicy ogrodu zoologicznego służyli wówczas w wojsku, a sam ogród został prawie całkiem zniszczony w ciężkich nalotach. Głodne zwierzęta krały po ścieżkach, i – sądząc z zapisków Frieda (patrz: dziennik) – często pożerały się nawzajem. Pewnego dnia (trzeciego października) w jednym nalocie zginęło siedemdziesięcioro czworo zwierząt. Wśród nich lwica i tygryś, które zaledwie dwa miesiące wcześniej przybyły z Rangun, i dwie kosztowne zebry Granta. Lew Cezar nie chciał jeść padliny. Fried to przewidział: z literatury specjalistycznej wiedział, że lwy jadają tylko padłe małpy. Jednak akurat żadne małpy nie zginęły w nalocie. Dlatego Otto i Fried postanowili zabijać co tydzień jedną, aby utrzymać lwa przy życiu. Paula: Oczywiście, że się nie zgodziłam, co to ma znaczyć? Takie świństwa (patrz: te świństwa) także u nas, w ogrodzie? Jakim prawem, powiedzcie mi obaj, jakim

prawem?” Sądząc z opisu Frieda, Cezar poruszał się z trudem, sterczały mu wszystkie żebra. Fried wyjaśnił Pauli, że jeden lew jest droższy od pięćdziesięciu małp, a Paula, która była tylko kobietą, odparła: Nawet od miliona! Fried: Jest tylko jeden lew i siedemdziesiąt małp, pomyśl choć raz logicznie! Ona: To kwestia życia, Fried. Nie logiki. Każda z tych siedemdziesięciu małp jest jednostką. – W końcu Paula chwyciła parabellum, należące do ogrodu i – Otto: Z miłością, z prawdziwą miłością – byliśmy przy tym obecni i widzieliśmy wszystko – zastrzeliła lwa.

## אקזמה

### **Egzema**

Stan zapalny skóry. Może przybierać najrozmaitsze formy

Egzema, która pojawiła się nad pępkiem Frieda, rozwijała się w dziwny sposób w ciągu dwudziestu czterech godzin życia Kazika. We wczesnych godzinach porannych, kiedy Fried, Kazik i inni artyści podjęli wędrowkę w stronę starego domu Ottona (patrz: lunatyk), zdezorientowany doktor zauważył, że spod koszuli zaczynają mu wystawać zielone, młode gałązki, roztaczające aromat rozmarynu. Jeszcze przez kilka godzin starał się je ukrywać, ale w końcu zrozumiał, że jego ciało pragnie przemówić. Zaprzestał bolesnych prób oderwania gałązek, i pozwolił im rozpościerać się bez przeszkód. Wieczorem doktor był już cały porośnięty gałązkami. Wyglądał jak olbrzymi, chodzący krzak z parą przekrwionych ze zmęczenia oczu.

## בגידה

### **Bgida – zdrada**

Naruszenie lojalności wobec władzy

Termin, którym posługiwał się Neigel na określenie uknutej przez

Wassermana intrygi. Neigel użył go kilkakrotnie w miarę rozwoju opowiadania, a wreszcie wybuchł, stracił nad sobą wszelką kontrolę i brutalnie pobił autora. Według niego, Wasserman go zdradził, ponieważ dopiero na bardzo późnym etapie opowiadania, „i to kiedy mnie tak wplątałeś!”, wyjawiał, że Dzieci Serca walczą z nazistami. Co prawda, to niecodzienna wojna, wojna pozbawionych broni cudaków, ale na swój dziwny, pokręcony sposób jest skierowana przeciwko niemu. Uwaga od redakcji: słysząc to, Wasserman powiedział w duchu: Nawet ja zauważyłem, że ostatnio Ezaw często używa słowa „zdrada”. Pamiętam, jak Zalmanson kiedyś zwrócił mi uwagę, że słowa najczęściej spotykane w moich opowiadaniach to „strach” i „współczucie”. Wyjawiał mi, że lubi szukać ulubionych słów w dziełach prawdziwych pisarzy (nie w moich, niestety). Każdy z nich, powiedział Zalmanson, ma jakieś słowo, do którego, nie zdając sobie z tego sprawy, powraca co kilka stron, jak ktoś, kto co chwilę dotyka skaleczonego miejsca na ciele.

## בדידות

### **Bdidut – samotność**

Brak towarzystwa. Stan osamotnienia

Kiedy Niemcy wkroczyli do Warszawy, Otto i Fried uznali, że będzie lepiej, jeśli Paula – Polka – nie będzie dłużej mieszkać z Żydem Friedem w jego domku. I tak, po czterech latach wspólnego życia, Paula zamieszkała znowu – całkowicie wbrew swojej woli (nie rozumiała do końca, o co chodzi z tymi Żydami i nie-Żydami) – ze swym bratem Ottonem. Tej nocy Fried leżał sam i chociaż zawsze tęsknił za kawalerskimi czasami, a większość jego życia z Paulą upłynęła na małostkowych kłótniach, spowodowanych jej trudnym charakterem, poczuł nagle dojmującą samotność, jakby był ostatnim człowiekiem na ziemi. Wstał ze zbyt szerokiego łóżka i wyszedł na ganek. Wciągnął w płuca powietrze przesycone zapachem spalenizny po nalotach. Nieoczekiwanie spadł na niego głuchy, intensywny tumult ogrodu, szmery,

porykiwania, gulgoty, pomruki, zapachy zwierząt, krążące w nich soki, krew rodzących samic, wysychająca powoli na młodych, przerażający smród padliny, mleko karmiących matek. Świadomie, choć wstydliwie i bardzo ostrożnie, stary Fried dołączył swój głos do tych stłumionych dźwięków, szepcząc: Paula. Potem rozszlochał się nagle, w zakamarkach jego gardła wezbrał pradawny, straszny krzyk, który być może brzmiał „Paula”, a może był imieniem, którym każdy mężczyzna woła kobietę. Fried krzyczał, bo mu ją zabrali, krzyczał z powodu obcości wojny, która rozdzieliła ich niczym pręty żelaznej klatki. Krzyczał tak, że aż – Otto: Pawie zaczęły mu wtórować swoim okropnym skrzekiem, niedawno owdowiały tygrys płakał razem z nim, dołączyły też sowy i lisy. W końcu ten hałas mnie obudził. W pierwszej chwili uznałem, że zwierzęta protestują przeciwko mnie, przeciwko wojnie i wszystkiemu, co dzieje się w ogrodzie. Markus: Ogród zalała gęsta, rozpaczliwa słodycz, która oblepiła wszystko do mdłości. Trzeba było jej znaleźć jakieś ujście, bo inaczej cały ogród mógłby, nie daj Boże, eksplodować! Istotnie, żelazne pręty klatek zaczęły dygotać i wyginać się. Wasserman opowiada, że małe papużki zaczęły rosnać i nadymać się jak dotknięte jakąś dziwną, tropikalną chorobą. Przypominały tęczowe indyki albo wielkie strusie, którym malutkie klateczki zwisały z szyi niczym naszyjniki. Ogród – powiada Wasserman – pulsował niczym ogromne płuco. Wszyscy artyści zgodzili się później, że odnosili dziwne wrażenie, wydawało im się, że jeśli zaraz coś się wydarzy, ogród nie wytrzyma dłużej nieszczęścia, wyrwie korzenie wiążące go z ziemią i uleci do nieba. Na szczęście Otto zorientował się, co się dzieje i obudził Paulę (Otto: Myślicie, że to było łatwe? Jezus Maria! Nasza Paula potrafi spać!), która nasłuchiwała przez chwilę, natychmiast zrozumiała, wyszła i pobiegła alejką wzdłuż klatek, w nocnej koszuli w kwiatki (Fried: Której nie cierpię). Jego ukochana, niezgrabna staruszka śmiała się i płakała, upadała i wstawała, wołając z daleka: Idę, Fried, już idę. Rzuciła się pędem po kilku schodkach i zderzyła z nim z całym rozpędem miłości i niezdarnych ruchów. Leżeli tak na ganku, a Fried zapomniał, że powinien się wstydzić.

# בדיה

## Bedija – fikcja

Nieprawdziwa, wymyślona opowieść

Tylko raz Wasserman przyznał się, że odczuwa „psychiczną potrzebę fantazjowania”. Wcześniej Neigel na jego prośbę, opowiedział, jak po raz pierwszy w życiu zabił człowieka. Był to hinduski żołnierz służący w armii brytyjskiej, którego Neigel zabił w bitwie w pierwszej wojnie światowej. Wassermanowi to nie wystarczyło. Prosił Neigla, aby opowiadał mu o następnych takich wydarzeniach, i co wtedy czuł. Neigel zgodził się niechętnie, ale kiedy Wasserman zaczął przerywać natarczywymi pytaniami („Nie zastanawiał się pan, dlaczego akurat pan zabija tego człowieka? Dobrze pan spał tej nocy, po bitwie?” itd.), zirytował się i oświadczył, że: 1. Zabijając, wykonywał rozkazy; 2. Nigdy nie zabijał dla przyjemności, ale też nie z obrzydzeniem; w ogóle – 3. Nie rozumie, do czego Wassermanowi potrzeba wszystkich tych *Quatsch mit Soße* (bzdur w sosie). Wasserman pobałdł lekko, i powiedział, że musi to robić.

– Jestem zmuszony, Herr Neigel, zmuszony jestem uwierzyć, że nawet pan odczuwa wyrzuty sumienia, że czuje pan ukłucia serca!

Neigel:

– Po co? Żebym wydawał się bardziej interesujący w tym twoim marnym, literackim umyśle?!

Wasserman:

– Nie, Herr Neigel. Nie dla literatury! Dla mnie samego. Dla mojej żony i córki. Sam to widziałem, na własne oczy! Jest to w istocie rodzaj egoizmu. Muszę wierzyć, że nie zabił pan nas tak sobie, zwyczajnie, jakby wrywał pan gwóźdź. Dusza się buntuje, dusza wrze ze złości i upokorzenia! Moje nędzne życie płacze przede mną. Niewiele uzbierałem w ciągu mego marnego żywota: wszystkie lęki, kompleksy i nieszlachetne pragnienia, odrobinę miłości, i nawet, proszę mi wybaczyć, zdolności i talenty, którymi obdarzył mnie Bóg, wszystko, cała ta szpetna karykatura, która zwie się Anszeiem Wassermanem. Może to

wielkie szczęście, że nie ma innej podobnej, aby szpeciła piękny świat Mimo to można powiedzieć, to moja... moja jedyna własność. Mam na myśli duszę. Nie może ona znieść myśli, że tak bezdusznie, z taką obojętnością można ją zniszczyć. Nawet nie chcieliście znać naszych imion. Proszę mi pozwolić na drobną rozrywkę, pozwolić poszukać w panu okruchu żalu, jednego uderzenia serca, proszę mi pozwolić przypisać sobie jedną współczującą myśl. Potrzebuję tej drobnej fantazji. Potem niech pan postąpi według swojej woli.

Neigel:

– Jak chcesz, Wasserman. Ale nie spodziewaj się, że coś takiego wywrze na mnie wrażenie.

## בחירה

### **Bechira – wybór**

Ustalenie jednej możliwości z wielu za pomocą ludzkiej woli

Według Wassermana wybór to akt, który wykorzystuje najbardziej ludzki element człowieka. Stwierdzenie to wygłosił w sporze z Neiglem o przyszłość młodego Kazika, który zaczął osiągać dojrzałość. Było to o trzeciej nad ranem, kiedy osiemnastoletni Kazik obudził się ze snu dojrzewania (patrz: dojrzewanie), znalazł się znowu w nurcie czasu i zażądał odpowiedzi na pytanie, kim jest. To twój wybór – odparł doktor i dodał z wahaniem, że chciałby, aby Kazik postanowił być człowiekiem.

– Może szanowny doktor mnie także nauczy, jak można postanowić być człowiekiem? – zapytał szyderczo Neigel. – Zawsze myślałem, że rodzimy się ludźmi, czyż nie?

Rozgorzała dysputa. Według Wassermana można zostać człowiekiem, postanawiając trzymać się w życiu pewnych wartości i zasad. Neigel natomiast twierdził:

– Przecież ja także wybrałem! Wasserman:

– Pardon? Neigel:

– Postanowiłem trzymać się wartości ruchu i partii, wykonywać rozkaz zabijania. Czy przez to jestem mniej człowiekiem niż ty? Jeśli człowiek może coś zrobić, to już jest ludzkie, nie? Co o tym mówi twoja żydowska etyka?

Wasserman:

– Herr Neigel! Powinno być zrozumiałe samo przez się, że „wybór” oznacza wybór najwyższych ludzkich wartości. Wartości humanitarnych. W ten sposób stwarza pan sobie za każdym razem od nowa, może pan siebie zbawić.

Neigel, z upartym uśmiechem:

– Ja wybrałem inną drogę. Postanowiłem, że zacznę zabijać! Jak możesz mówić, że to nie wybór? Czy wiesz, ile kosztuje podjęcie takiej decyzji?

Wasserman:

– Aj... nie można wybrać zabijania, Herr Neigel. Można je tylko kontynuować... Tak jak nie można zacząć nienawidzić albo torturować... tylko kontynuować. Należy podjąć decyzję i wybrać, że nie będzie się zabijać... ani nienawidzić... moim zdaniem to podstawowa różnica...

Patrz: postanowienie.

## ביוגרפיה

### **Biografia**

Opis ludzkiego życia

Według Neigla, jedną z głównych wad opowiadania Wassermana jest brak opisu losów bohaterów od rozstania w dzieciństwie do chwili, gdy ponownie się spotkali.

– Chociażby Fried – powiedział rozgoryczony Neigel. – Prawie nic o nim nie wiem! Co z twoją odpowiedzialnością (patrz: odpowiedzialność) autora, Szeherezado?

Wasserman po namyśle przeczytał z pustego brulionu:

– Nasz doktor Fried, najstarszy syn lekarza i pianistki amatorki, urodził się w roku... Jaki sens mają te wszystkie nużące biografie?! We wszystkich



panuje taki sam chaos, przybierający rozmaite postacie i formy, na ogół nieprzydające człowiekowi chwały... Powiedzmy to tak: od siedemdziesięciu lat doktor Fried przechodzi między dwoma rzędami żołnierzy z pałkami.

Uwaga redakcji: znaczny wkład w zrozumienie charakteru Frieda wniosła Paula, mówiąc: Wszyscy ludzie przeciągają się rano, po wstaniu z łóżka. Mój Friedczik się kurczy.

## בריג, אוטו

### **Brig Otto**

Polak, chrześcijanin. Przywódca Dzieci Serca w obu wcieleniach. Choruje na padaczkę. Otto – według Wassermana – to człowiek jeden na milion. Potrafi wszystko. Markus: Dla Ottona nie ma nic trudnego! Jeśli zechcecie – poprowadzi ogród zoologiczny. Umie też puszczać *zajaczki* na ścianach, hipnotyzować małe lamparty złotym łańcuszkiem, robić wino z jabłek i konfitury z kukurydzy; potarciem ręki sprawić, że znikają monety; uspokajać bezpańskie psy jednym długim gwizdnięciem; pomóc przy porodzie żyrafy, zdenerwowanej nalotem, tak, aby młode urodziło się żywe; wycinać małe, śliczne figurki z ziemniaków; robić takie latawce, że aż ptaki za nimi latają; grać na harmonijce ustnej... przecież już mówiłem: nie ma takiej rzeczy, której Otto by nie potrafił. Ma cudowny śmiech, łagodny i zaraźliwy, niewiele mówi, ale wszyscy go słuchają, i jest bardzo wielkoduszny. Właśnie: wielkoduszny. Otto nigdy nie studiował, i nie wiem, czy kiedykolwiek przeczytał jakąś książkę w całości, ale jest bardzo mądry i zawsze wie, jak należy postąpić.

Trzeba podkreślić, że to Otto postanowił zwołać drużynę do ostatniego zadania (patrz: serce, Dzieci Serca), i to on zrozumiał od razu, że trzeba znaleźć Kazikowi kobietę (patrz: Cytryn Chana).

912

**Guf – ciało –**

**obiektywizm ciała**

W miarę jak Kazik się starzał, czuł się coraz bardziej obcy w swoim ciele. Wasserman pragnie przedstawić pewne porównanie: jego zdaniem z upływem czasu ciało coraz bardziej przypominało Kazikowi walizkę, którą ktoś wetknął w rękę jego duszy, wchodzącej na pokład statku do naszego świata. Początkowo nieszczęsna dusza miała nadzieję, że w porcie ktoś odbierze od niej walizkę, ale okazało się, że na nabrzeżu nikt na nią nie czeka; że ona i cudza walizka nie mogą się rozstać, i że w każdej z tysięcy przegródek, kieszonek i szufladek kryją się podarunki, których ona, dusza, wcale nie chce, męczące podarunki, których znaczenie będzie powoli rozszyfrowywać przez całe życie, oraz – oczywiście – nieliczne przyjemne drobiazgi. Ponieważ jednak nie ma nad nimi władzy, nawet przyjemne rzeczy ją upokarzają, zniewalają, szydzą z niej na swój sposób. Kazik dowiedział się ze zdumieniem, że jest mu pisane lekko pociągać lewą nogą, uszkodzoną od urodzenia, że jedno oko prawie nie rozróżnia kolorów i kształtów, że w miarę jak się starzeje, na dłoniach wykwitają mu brzydkie brązowe plamy, wypadają włosy i kruszą się zęby. Czuł dziwną, niepokojącą sprzeczność: pozornie śledził wszystkie te zmiany i procesy jak ktoś, kto czyta o obcym człowieku, ale dręczący smutek i ból wypływały z niego samego: smutek przemijania. Ból rozstania. Linie błękitnych żył nagle rozpełzły się na lewym udzie. Pochylił się i przyjrzał im, jak ktoś, kto patrzy na mapę nieznanego terenu. Było mu pisane, że będzie kichać w pobliżu świeżego siana, mieć rozwolnienie po wiśniach, pokrywać się dziwną wysypką, przechodząc po trawniku, a w chwilach wielkiego wzburzenia będzie mu drgać prawa powieka. To wszystko były drobiazgi, które jednak stopniowo uprzykrzały mu życie. Z biegiem lat zrozumiał, że musi poświęcać coraz więcej uwagi swojej walizce i brak mu sił na naprawdę ważne rzeczy. Zaczął myśleć, że może to wielki błąd: może właśnie walizka jest najważniejsza, a dusza drugorzędna. Wtedy jednak (było to mniej więcej o godzinie szesnastej następnego dnia; miał wtedy około

pięćdziesięciu siedmiu lat) był już tak wyczerpany, i tak bardzo cierpiał z powodu licznych dolegliwości, że odpowiedź go nie interesowała.

Przez całe życie, obdarzony bolesnym talentem widzenia jednocześnie procesów rozwoju i rozkładu w każdym żyjącym stworzeniu, czuł, jak bardzo cierpią artyści, jego przyjaciele. Jak dokonują wielkich, zbędnych wysiłków, by ukryć defekty, które nie miały nic wspólnego z ich egzystencją; jak pewne cechy ciała sprowadzają na ludzi nieszczęście, wysysając z nich całą żywotność; zamieniają życie w pełną zasadzek i skomplikowanych taktyk walkę, której celem jest przywyknienie człowieka do prześladujących go dolegliwości, do brzydoty członków. Dowiedział się, że czasem, kiedy człowiek mówi „mój los”, ma na myśli w gruncie rzeczy jeden z kawałów ciała, który dźwiga. To Aharon Markus, aptekarz, podsunął mu wyjaśnienie, iż po tysiącach lat egzystencji na ziemi człowiek pozostał jedynym stworzeniem, które nie dostosowało się w pełni do swego ciała, i że często się go wstydzi. Czasami, podkreślił aptekarz, wydaje się, że człowiek wciąż naiwnie oczekuje kolejnego etapu ewolucji, kiedy to oboje – człowiek i jego ciało – rozłączą się i staną oddzielnymi istotami. Wasserman był przekonany, że cierpienia i defekty ciała (a miał ich wiele) to jedynie końcówka wodzy, na których Bóg trzyma człowieka; ciągle trochę je ściąga, żeby człowiek o tym nie zapominał. Należy podkreślić, że Neigel nie zrozumiał prawie nic z tego, co powiedziano o stosunku człowieka do ciała. Kandydat do SS musiał się cieszyć idealnym zdrowiem: nie mógł mieć nawet jednej plomby w zębie. Ranę spod Verdun uznano za znak męstwa, nie skazę. Neigel oświadczył z niesłabnącą dumą, że jest całkowicie zdrowy i sprawny, i że nigdy „nie myślał o sobie w tak pokrętny sposób”.

## גיהנום

**Gehenom – ha-gerusz min ha –  
gehenna, wygnanie z –**

Wasserman mówi, że nigdy nie wybaczy Niemcom tej zbrodni: – Bóg

wyгнаł nas z raję, ale wy wygnaliście człowieka nawet z piekła.

Neigel:

– Proszę o wyjaśnienie!

Wasserman: („Ezaw wymawia te słowa w szczególny sposób: jego twarz staje się surowa, brwi skaczą na siebie niczym dwa koziołki trykające się rogami, albo żołnierz, trzaskający obcasami w salucie *heil!*”).

– Nu cóż... przecież odebrano nam złudzenie... iluzję piekła... nawet w tym człowiek potrzebuje iluzji, odrobiny niepewności i tajemnicy... bo tylko wtedy istnieje nadzieja, że może wszystko nie wygląda aż tak źle... zawsze malowaliśmy w wyobraźni piekło, wie pan, pełne gorącej lawy i smoły wrzącej w kotłach, a wy pokazaliście nam, jak słabe są nasze wyobrażenia...

## גינצבורג, איליה

### Gincburg Ilja

Oblakany bezdomny z Warszawy. Nigdy nie pracował. Urodził się w zamożnej rodzinie kupców drewnem, którzy całkowicie się go wyparli. Był wychudzony, szyję miał cieniutką jak ołówek, łokcie sterczały mu przez skórę. Z wyglądu odpychający: nigdy się nie mył, a w kącikach oczu i nosie zbierały mu się grudki ropy. Na domiar złego cierpiał na dziwną chorobę skóry, która objawiała się zapalną wysypką na całym ciele. Jedyнным pięknym rysem w jego ciemnej, wykrzywionej twarzy były grube brwi, upodabniające go do surowego, gniewnego proroka. Wasserman pamiętał Gincburga jeszcze z czasów, kiedy: Chodził ulicami, a za nim latały chmary dzieciaków, śpiewających „Ilja, Ilja, żółty księżyc pytał o ciebie, kim je-e-steś / Ilja, Ilja, biały żreback pytał o ciebie, / kim jesteś, kim jesteś..”. Aharon Markus, który go znał, twierdził, że Ilja nie jest szaleńcem, lecz człowiekiem o dobrym sercu „i może nie jest taki głupi, jak wszyscy sądzą” – to jednak wątpliwe w świetle faktu, iż pewnego razu, kiedy Gincburg otrzymał niezłą sumkę po krewnym, zapewne odczuwającym wyrzuty sumienia, odmówił przyjęcia spadku. Aptekarz Markus, który sprawował stałą

opiekę nad nieszczęśnikiem i dlatego uważany był za specjalistę od tajników jego duszy, lubił opisywać Gincburga trochę malowniczo. Według niego Gincburg nie przyjął pieniędzy, gdyż był, na swój sposób, człowiekiem z zasadami i wierzył, że człowiek powinien przeżyć życie bez potrzeby posiadania majątku lub więzi rodzinnych. Pogląd ten spotykał się z reguły z niedowierzaniem, ale Markus nie przestawał widzieć w Gincburgu legendarnego sprawiedliwego czy filozofa w przebraniu. Nawiasem mówiąc to właśnie Markus, uduchowiony aptekarz, z sympatią przezwał Gincburga „Diogenesem”, choć, niestety, przezwisko przyłgnęło szybko do wariata jako drwina. Gincburg co prawda nie posunął się tak daleko jak Diogenes, który – aby umartwić duszę i ciało – w zimowe dni zwykł rozbierać się do naga i obejmować zimny posąg z brązu, jednak podobnie jak grecki filozof szukał poniżenia, prowokował ludzi w swój irytujący sposób – zawsze kręcił się pod nogami, pojawiał się w nieodpowiednich chwilach, a w jego ustach – niczym monotonna przyśpiewka – rozbrzmiewało jedyne, niezmiennie pytanie: Kim jestem? Kim jes-tem? Jeśli ktoś zadał sobie trud udzielenia mu odpowiedzi, ignorował go i powtarzał pytanie z tym samym monotonnym zaśpiewem. Kiedy odpędzano go kopniakami, oddalał się, kulejąc, z pochyloną głową, z rozpostartymi pytająco rękami. Gdyby nie dobrzy ludzie, tacy jak Aharon Markus, którzy co jakiś czas dawali mu kromkę chleba, z pewnością umarłby z głodu. Ale Gincburg bardziej niż pożywienia potrzebował słuchacza, a tych znajdował bardzo rzadko. W końcu jak długo można stać i słuchać pytania „Kim jestem?”. Sam Wasserman opowiadał, że kilka razy z litości zatrzymał się, by wysłuchać Ilji Gincburga, ale bardzo szybko miał go dosyć. Wstyd mu było, że rezygnował z taką łatwością, choć nie z powodu smrodu roztaczanego przez wariata – to akurat nie przeszkadzało pozbawionemu węchu Wassermanowi – lecz ponieważ monotonne pytanie, przepelnione niezmiennie głęboką, pozornie groteskową rozpaczą, budziło w nim nieokreślony niepokój. Aharon Markus był głównym patronem Gincburga i praktycznie utrzymywał go przy życiu przez dwadzieścia lat, dając mu żywność i ubrania. Pozwalał mu też przychodzić do swojej czyściutkiej apteki i godzinami z wyjątkową cierpliwością wysłuchiwał jego pytania. Kiedy byli sami w aptece i

Markus zajmował się sporządzaniem leków (jako pierwszy aptekarz w Warszawie sprzedawał preparaty naturalne, które sam wyrabiał), Gincburg niekiedy milkł, a wtedy mówił Markus. Opowiadał wariatowi o sobie, wspominając z bólem ciężkie życie z żoną (poza Gincburgiem nie miał komu o tym opowiedzieć). W jednej z takich rozmów wspomniał, że starożytny Diogenes mieszkał w beczce. Nie wyobrażał sobie, że obłąkany rozumie, co się do niego mówi, ale nazajutrz Gincburg porzucił ławkę w parku, na której spędzał letnie noce, i przeniósł się do beczki po śledziach, którą dostał od sklepikarza Hirsza Winograda. Teraz jego zapach stał się już zupełnie nie do zniesienia. Giza, małżonka Markusa, kobieta o złym sercu i ostrym języku, rozpowiadała, że jej mąż jest przekonany, iż Gincburg to jeden ze sprawiedliwych, ale według niej śmierdzi *raczej* jak jeden z czterdziestu dziewięciu stopni nieczystości. Istnieje zapewne ktoś, kto strzeże głupców, i tylko tak da się wyjaśnić fakt, że pomimo obłądu i niedorozwoju umysłowego Gincburgowi udało się przetrwać najtrudniejsze chwile w getcie. Nigdy go nie złapano, dwukrotnie cudem przeżył „akcję”. Po pewnym czasie, kiedy ludzie się o tym dowiedzieli, zaczęli twierdzić, że w rzeczywistości Ilja był sprytny, ale maskował to udawanym obłądem. Oto co zrobił: ponieważ kręcił się po ulicach także w nocy, kiedy nikomu nie wolno było wychodzić, widywał ze swej kryjówki członków różnych żydowskich organizacji podziemnych, którzy biegali jak cienie we wszystkie strony. Nie wiadomo, czy faktycznie rozumiał, czym się zajmują, ale coś przeniknęło do jego mózgu. Inaczej trudno wyjaśnić następujący fakt: pewnego mroźnego zimowego dnia, na początku grudnia czterdziestego drugiego roku, Gincburg znalazł się w więzieniu na Pawiaku. Wszedł do środka tylną bramą, niezatrzymany przez wartownika, który wziął go omyłkowo za jednego z robotników przymusowych. Wędrował zatechłymi korytarzami, otwierał drzwi i zaglądał do pomieszczeń. Wydawało się, że szuka czegoś konkretnego. W taki oto sposób, naiwnie i nieostrożnie, ominął wszystkie straże, aż dotarł do pomieszczenia, na którego drzwiach wisiała tabliczka „cela przesłuchań”. W środku siedział śledczy SS Fritz Orf, młody, sympatycznie wyglądający mężczyzna, który z nudów stał się rozgoryczony i zrzędlivy. Przysłano go do Warszawy pół roku wcześniej na

osobistą prośbę von Sammern-Frankeneggia, dowódcy SS i policji na dystrykt Warszawa, uważającego, że profesjonalny śledczy przyda się bardziej niż grupa głupich polskich żołnierzy, patrolujących ulice getta we dnie i w nocy. Ale schwytani Żydzi nie potrafili powiedzieć Orfowi nic ciekawego, a w większości przypadków nie dożywali w ogóle do etapu przesłuchania, lecz ginęli wcześniej od strzałów. Orf poprosił von Sammerna o rozmowę i poskarżył się, że w Warszawie „rdzewieje”, że nikt go tu, jego zdaniem, nie potrzebuje. Dowódcę rozwścieczył tupet podwładnego i kazał mu wykonywać polecenia bez zbędnego mędrkowania. Znudzony Orf przesiadywał w swoim pokoju roboczym, polerował przyrządy i czytał książki. Już od sześciu tygodni nikt nie znalazł się na jego „desce do prasowania”; nie wyrwano ani jednego paznokcia, a na posadzce nie widać było ani śladu krwi. Na kołku za drzwiami wisiał roboczy fartuch z błyszczącej, czarnej gumy. Orf wstydził się patrzeć w tę stronę. Był odpowiedzialnym, poważnym chłopakiem i gdyby nawet nie pracował przez dziesięć lat, z pewnością by nie „zardzewiał”. Był prawdziwym profesjonalistą, i szczylił się tym. W swojej pracy, w żelaznych zasadach rządzących każdym przesłuchaniem, znajdował piękno, i był z tego dumny. Był dumny z ustalonych z góry etapów, chwil napięcia, bólu i apogeum. Innymi słowy: Orf uważał swoją pracę za dzieło sztuki (patrz: dzieło sztuki). Nigdy nie pozwalał sobie na czerpanie przyjemności z cierpienia przesłuchiwanego. Dokładnie wiedział, co myślą o nim i jemu podobnych wojskowi i policjanci. Jadąc pociągiem, czuł spojrzenia żołnierzy, pełne odrazy i lęku. Nawet starsi oficerowie patrzyli z obawą na jego czarny mundur i białe epolety. Ojciec zawsze znajdował wymówkę, aby wymknąć się z miasta, kiedy Orf przyjeżdżał na urlop. Trudno. Jest wystarczająco silny, aby znieść te ukryte próby. Tylko silni mogą podoląć jego pracy, którą ktoś przecież musi wykonywać. Orf wierzył, iż wybrał to szczególne zajęcie wiedziony idealizmem. Kiedy otworzyły się drzwi i do środka wsunęła się ostrożnie głowa Diogenesa, Orf pogrążony był w lekturze *Woli mocy* Nietzschego. Na szkoleniu w SS podziwiany przez niego instruktor polecił książkę *Tako rzecze Zaratustra* i Orf, który uważał się za intelektualistę, zaczął czytać. Dzikie, głębokie rytmy nietzscheańskiej frazy podbił jego serce. Trzeba

zaznaczyć, że *Wola mocy* trochę go rozczarowała, gdyż Nietzsche twierdził, że nie istnieje w ogóle coś takiego jak „prawda obiektywna”, Orf był zaś przekonany, że istnieje jedna prawda obiektywna i że człowiek, któremu przyczepia się do członka i sutków elektrody, mówi w końcu rzeczy, mające niewątpliwe cechy prawdy. To oczywiście wyłącznie jego własna prawda, ale straszliwy ból sprawia, że słowa wszystkich przesłuchiwanym upodabniają się do siebie. Budzi się wręcz podejrzenie, że jakiś jeden głos, straszliwy i udręczony, krzyczy z głębi ich ciała we własnym języku.

O dziwo Ilja Gincburg doszedł do podobnych wniosków co Orf. Inaczej nie zrobiłby tego, co zrobił: jak w swoim czasie Diogenes, nie szczędził wysiłku i narażał się na liczne niebezpieczeństwa, wędrował ze świecą, szukając prawdy, aż dotarł do lochów, w których odbywały się przesłuchania. Orf popatrzył na brudnego Żyda, odstręczającego zapachem i widokiem. Ochryple zapytał, czego tu szuka. Gincburg wsadził rękę pod brudną koszulę i wyjął trzy ulotki, ostrzegające Żydów w getcie przed masowymi wywózkami „na Wschód” w celu „przesiedlenia”. „Nie na Wschód, lecz na śmierć!” – krzyczały ulotki po polsku. Orf skoczył na równe nogi i podbiegł do Gincburga, zakrywając nos chusteczką. „Podejrzewajcie każdego! – uczono go w akademii wojskowej. – Najgroźniejsi są ci, którzy z pozoru wydają się naiwni!”. W tej samej chwili podjął decyzję. Szybko zamknął drzwi i gestem zaprosił Gincburga na środek pokoju. Potem zasunął zasuwę. Miał nieokreślone wrażenie, że Żyd trafił tu przez pomyłkę, ale nie chciał przepuścić okazji. Zamierzał wydobyć z niego prawdę o tym, kto rozpowszechnia ulotki. Po przesłuchaniu będzie mógł przedstawić rezultaty von Sammernowi i trochę poprawi sobie opinię. Zatarł energicznie ręce, jak mucha przed posiłkiem. Potem odwrócił się i włożył czarny gumowy fartuch, wygładzając go z nawyku, który dawał mu poczucie bezpieczeństwa. Zaskakująco delikatnie ujął Gincburga za ramię i posadził na fotelu do przesłuchań. Potem zasiadł naprzeciw za stołem, skrzyżował ręce i zapytał z naciskiem: „Kim jesteś?”.

Ze zdumieniem ujrzał uśmiech szczęścia i ulgi, który wypłynął na twarz Żyda. „Kim jestem! Kim jestem!” – powtórzył radośnie Gincburg. Sztuczka się



udała: ONI także są tym zainteresowani! To właśnie o nich słyszał: potrafią dojść prawdy, nawet jeśli człowiek sam nie wie, w środku, kim jest, po co się narodził, po co trafił na ten świat, i czym jest życie, które prowadzi, kiedy z powodu jakiejś skazy nie jest zdolny do wyjawienia tej głębokiej prawdy nawet samemu sobie. Może i są tacy, którzy to potrafią, na pewno są, ale jemu, Gincburgowi, nigdy się to nie udało. Może dlatego, że naprawdę ma trochę pomieszane w głowie, jak śpiewają dzieci, ale nawet on, w swojej pomieszanej głowie, wpadł na wspianiały pomysł, aby przyjść tutaj. Naprzeciw siedzi sobie sympatyczny, poważny młody chłopak. Widać, że z wielką chęcią mu pomoże, i już na początku zadał właściwe pytanie!

– Kim jesteś? – zapytał ponownie Orf, już bez uśmiechu. Żyd powtórzył pytanie z rozjaśnioną twarzą, jak turysta pokazujący tubylcowi, że jeszcze trochę, a będą mogli się porozumieć. Orf westchnął i otworzył swój dziennik. W skrytości ducha rozczarował się trochę, bo było właściwie jasne, że Gincburg jest wariatem: nikt tu nie przychodzi z własnej woli. A ktoś, kto znajdzie się w środku, przestaje się uśmiechać. Ale Orf chciał przesłuchiwać. Z jakiegoś powodu Żyd obudził w nim świeżą złość, że siedzi tu beczynnienie i gnuśnienie, zamiast działać razem z tymi, którzy naprawdę walczą. Rozzłościł się też na siebie: nie wolno rozpoczynać przesłuchania w gniewie. Śledczy powinien być spokojny i opanowany. Orf zadał Gincburgowi kilka rutynowych pytań, zgodnie z regulaminem przesłuchań. Pytany nawet zrozumiał, że na tym polega procedura, ale nie pofatygował się odpowiedzieć. Orf miał dziwaczne wrażenie, że Żyd próbuje z nim zawrzeć jakiś układ, aby jak najszybciej przejść do sedna. Wstał i podszedł do stołu. W tym miejscu redakcja pozwala sobie ominąć szczegółowy opis tego, co się działo przez następną godzinę i dwadzieścia minut. Powiemy tylko: w tym czasie w celi przesłuchań używano następujących narzędzi: szczypiec, kleszczy, zapalek, gumowej pałki, kolców, płomienia świecy, haka, stalowego gwoźdźca, i jeszcze jednego przyrządu, który na kursie nazywano „obieraczką do jarzyn”, a redakcja nie znalazła odpowiedniego określenia w języku hebrajskim. Przesłuchiwany Gincburg wyglądał całkiem inaczej, niż kiedy wszedł do pokoju. Ale także i przesłuchujący: nie tylko

dlatego, że jego fartuch i ręce spływały krwią, nie tylko z powodu potu, który plamił jego czyściutki mundur i płynął strużkami z czoła, zalewając oczy: miał całkiem inny niż zazwyczaj wyraz twarzy. Nigdy nie zetknął się z takim przypadkiem. Kiedy krzyczał beznamiętnym głosem: „Kim jesteś?”, przesłuchiwany w podnieceni krzyczał razem z nim: „Kim jestem?! Kim?!”. Kiedy zmieniał pytanie i krzyczał: „Kto cię tu przysłał?”, Gincburg wołał razem z nim: „Kto mnie tu przysłał?!”. Kiedy Orf, który o mało nie pękł ze złości, wrzasnął: „Jakie jest twoje zadanie?!”, przesłuchiwany powtórzył pytanie z tęsknotą, która przyprawiła doświadczonego śledczego o ciarki na plecach. Najcięższe tortury, łamiące najdzielniejszych, którzy płakali i błagali, by pozwolono im powiedzieć prawdę, powiedzieć ją ostatni raz, zanim stracą zmysły, jakby nie robiły na Gincburgu żadnego wrażenia. Przeciwnie: Orf był gotów przysiąc, że za każdym razem, kiedy któryś z jego wiernych przyrządów zawiódł, widział na opuchniętej twarzy tego człowieka coś na kształt rozczarowania. Pokój cuchnął potem, krwią i ekskrementami Gincburga. Na gładkiej podłodze leżały rozrzucone zęby. Orf wylał na Gincburga wiadro wody i czekał, aż przesłuchiwany ocknie się z omdlenia. Na chwilę napotkał swój wzrok w dużym lustrze na ścianie i wzdrygnął się na swój widok. Był spięty i odrobinę przestraszony. W jego duszy zrodziło się dziwne uczucie. Zaczął podejrzewać, że jeśli istotnie istnieje prawda obiektywna – ten człowiek strzeże jej w swoim sercu. Niekiedy przychodziło mu do głowy, że Żyd trafił do niego, aby pomóc mu ją odkryć. Wtedy pojawiło się to nowe uczucie, jedyne w swoim rodzaju, wrażenie sympatii i litości (patrz: litość), jakby obaj przechodzili nieznaną, ciężką próbę. Orf przemył twarz zimną wodą i przyczesał włosy. Wykrzywił się chłodno do swego odbicia za te tchórzliwe myśli. Potem okręcił się na obcasach, niczym na musztrze i wrócił do stołu. Żyd ocknął się i mamrotał coś do siebie. Orf podłączył mu elektrody do uszu i sutków, a potem do członka. Na kursie wyjaśniano im, wśród żartów, dlaczego łatwiej jest podłączyć elektrodę do żydowskiego członka. Potem przywiązał Gincburga do stołu grubymi, skórzanymi pasami, i zapytał z napięciem w głosie, kim i czym jest. Gincburg nie miał już siły powtórzyć pytania. Tylko w jego oczach widniało to samo dzikie

pragnienie poznania odpowiedzi. Orf przekreślił włącznik. Gincburga wyrzuciło w powietrze. Krzyknął. Orf zamknął oczy i otworzył je dopiero po dłuższej chwili. Potem pochylił się nad przesłuchiwanym i zapytał go, kim jest. Wargi Gincburga nie poruszyły się. Orf przyłożył ucho do wąskiej piersi. Uderzenia serca dochodziły niczym z wielkiej odległości, słabe i bardzo powolne. Odzywało się w nich echo słów: kim jestem. Orf był wstrząśnięty. Z jego ust dobył się dziwny dźwięk, jakby szloch. Uwolnił Żyda z pasów i wylał na niego kolejne wiadro wody. Potem zapalił papierosa i zauważył, że drżą mu palce. „To wariat – powiedział sobie szybko. – To tylko wariat. Niczego nie wie”. W głębi serca wiedział jednak, że Gincburg może i jest wariatem, ale to nieprawda, że niczego nie wie. Orf nie wiedział, co dalej robić. Nie chciał przekazać Żyda polskiej policji, aby nie zaczęli zadawać zbędnych pytań i żeby nikt nie odkrył jego upokarzającej klęski. Dlatego postanowił, że wyniesie go z budynku tylną bramą. Nadeszła pora kolacji i szansę, że nikogo nie spotka po drodze, były spore. Podniósł Gincburga do pozycji pionowej. Trwało to długo, a dotyk Żyda był dla niego prawie nie do zniesienia. Ból Gincburga był tak namacalny, że przekraczał granice ciała i przelewał się na Orfa. Orf czuł się słaby i roztrzęsiony. Kiedy nogi Gincburga oparły się o ziemię, Orf zaczął prowadzić go w stronę drzwi. Musiał podpierać go także, idąc korytarzem. Modlił się, aby nikt ich tak nie zobaczył. Ale jego modlitwa nie została wysłuchana: korytarzem szedł w ich stronę jakiś człowiek. Niski, przysadzisty mężczyzna. Spotkali się pod żółtą lampą, zasłoniętą siatką. Chwała Bogu, pomyślał Orf, to jakiś Polak. Korytarz był za wąski i mężczyzna ustąpił z drogi, ale w tym czasie zdążył im się dokładnie przyjrzeć. Wystarczyło mu jedno spojrzenie. To znaczy: Orf był przekonany, że niskiemu, niebieskookiemu Polakowi wystarczyło jedno spojrzenie, aby zrozumieć wszystko, co się wydarzyło. Mężczyzna poszedł za nimi, chrząkając uprzejmie. Orf, wspierający z całej siły bezwładnego Gincburga, odwrócił się do niego ze złością. Mężczyzna powiedział pośpiesznie: „Pardon. Nazywam się Otto Brig. Mam pozwolenie na zabranie z więzienia żydowskich robotników”. Orf nie przepuścił okazji: „Bierz go! – niemal wykrzyczał. – Bierz i zabieraj go stąd!”. Ale kiedy popatrzył na Ottona,

podtrzymującego zakrwawiony ludzki strzyp w pasie, kiedy zobaczył, jak odchodzą, pochyleni ku sobie, poczuł nagle z rozpaczą, że być może w ogóle nie zrozumiał, co zaszło w pokoju przesłuchań, że może ten okropny Żyd wyraził tam, na swój dziwny, niezrozumiały sposób, najgłębszą prawdę o człowieku.

## הארותיון

### **Harotian**

Nieprzyjaciel tyranii percepcji zmysłowej; z zawodu magik

Harotian przyszedł na świat w małej armeńskiej wiosce Faradian, w ostatnich latach dziewiętnastego stulecia. Jego talent do czynienia cudów ujawnił się przypadkiem, właściwie z konieczności. Dzieci Serca, które przeniosły się wehikulem czasu do roku 1885, by ocalić armeńską wioskę przed okrutnymi wojskami tureckimi, ukryły się w pobliskiej pieczarze. Otoczył ich oddział brutalnych żołdaków, którzy już mieli się wdrzeć do środka. Tak kończył się siódmy odcinek opowieści. Tydzień później Wasserman przyniósł do redakcji odcinek ósmy z dalszym ciągiem: w ostatniej chwili drużynie udaje się uciec z jaskini tylnym wyjściem i wszyscy są uratowani. Tak zazwyczaj Wasserman wydostawał bohaterów z tarapatów, w które ich wpędził. Nowy odcinek poszedł do druku, Zalmanson i Wasserman gawędzili chwilę, rozstali się w zgodzie i udali do swoich domów. Po kilku godzinach Zalmanson załomotał z całej siły w drzwi mieszkania Wassermana, krzycząc tak, że obudziłby umarłego. Wasserman (w wyprasowanej pasiastej piżamie, w miękkich kapciach, z odrobinę potarganymi rzadkimi włosami, lekko spłoszony) otworzył ostrożnie i przyjął na siebie cały impet gniewu Zalmansona: okazało się, że doszło do przerażającej pomyłki. Redaktor, położywszy się do łóżka, przypomniał sobie, jak w jednym z poprzednich odcinków Wasserman napisał wyraźnie, iż Otto zbadał jaskinię i stwierdził, że nie ma żadnego innego wyjścia! Wasserman zadrżał. Zalmanson stał w progu, w płaszczu narzuconym na czerwoną jedwabną piżamę i wołał swoim odrobinę kobiecym głosem:

„Dokładność, Wasserman! Do-kład-ność!”. Pobiegli do redakcji i wstrzymali druk. Wasserman był wystraszony i zdezorientowany. Przygotowano mu stół w pomieszczeniu drukarskim, a zecerzy, którym przerwano pracę, stali wokół, przyglądając się. Wiedział, że nie zdoła napisać ani słowa. Zawsze potrzebował całego tygodnia, aby „dojrzeć”. Pokój był przesiąknięty dymem i duszącym zapachem farby drukarskiej. Zecerzy wydawali się brudni, szorstcy i nieprzyjaźni. Zalmanson siedział naprzeciwko, bębniąc nerwowo palcami po blacie. Wasserman rozumiał dokładnie, jak czuły się Dzieci Serca, osaczone w jaskini. Od rozpaczliwych westchnień zaparowały mu szkła okularów. Wiedział, że tylko cud (patrz: cud) może go uratować. W taki sposób do opowiadań dołączył Harotian, który narodził się w następującym zdaniu: „Słuchajcie – wyszeptał Otto do wystraszonych towarzyszy. – Czy to nie płacz małego dziecka, czy to może być jakiś chłopiec z wioski?”. Zalmanson twierdził złośliwie, choć z pewną dozą słuszności, że jeśli Otto nie zauważył chłopca podczas rekonesansu w jaskini, może był tam także tunel, prowadzący na zewnątrz. Nie było jednak czasu na kłótnie. Kilka minut później, kiedy u wejścia zabłysły tureckie noże, z jaskini uleciało stado tajemniczych białych orłów, unoszących w górę małego Ormianina o czarodziejskich zdolnościach. Ptaki wzleciały nad zdumionymi żołnierzami, którzy bili pokłony i wołali „Allah! Allah!”. Odcinek ósmy wzbudził tak entuzjastyczne reakcje, że Zalmanson podwyższył Wassermanowi pensję o dwadzieścia pięć procent, chociaż jego mina odebrała autorowi wszelką satysfakcję. Odtąd Harotian nie rozstawał się z Dziećmi Serca i uczestniczył we wszystkich ich przygodach. Dokonywał cudownych czarodziejskich sztuczek, wygrywał na flecie melodie, które „wyciskały łzy z oczu zapiekłych łotrów”. Po rozpadzie grupy (w dwudziestym piątym roku powstało ostatecznie opowiadanie) Harotian wędrował po świecie i dobrze mu się wiodło. Występował w największych cyrkach jako magik i klaun. W cyrku Barnuma pracował całe pięć lat. Pozostał analfabetą, ale był bystry i wiele się nauczył od spotkanych w życiu ludzi. Może dlatego pokazywał publicznie jedynie banalną, płaską stronę magii, oklepane numery, które potrafi wykonać każdy magik. Nauczył się świetnych sztuczek od słynnego klauna Grocka i szalonego węgierskiego czarodzieja

Hornaka. Wasserman zawsze podkreślał: nie było żadnego związku między wrodzonym magicznym talentem Harotiana a jego umiejętnościami cyrkowego magika. Musiał poświęcić wiele wysiłku na naukę i ćwiczenia, lecz nigdy nie osiągnął doskonałości, którą mogły dać mu jego wrodzone talenty. Wolał jednak sztuczki zręcznościowe od tajemniczych czarów. Lubił swoje zajęcie i większość czasu poświęcał na trening. Cieszył go widok sznura barwnych chusteczek, wyciąganych z rękawa; śmiał się zdumiony za każdym razem, kiedy siedem gołębi wylatywało z czarnego cylindra; nigdy nie było mu dość zachwytu dzieci i naiwnych dorosłych. Lubił sprawiać im przyjemność.

W miarę jednak jak uśmiechnięty Ormianin się starzał i nabierał doświadczenia życiowego, gasła jego radość. Był typem samotnika. Nie miał głębszych związków miłosnych (jedynie wiele przelotnych romansów), a wszyscy jego najbliżsi zginęli w masakrze w rodzinnej wiosce. Nie miał przeszłości. Nie miał ojczyzny. Nie miał następcy. Był dość bogaty, aby odejść od Barnuma i zacząć podróżować wedle własnej woli. Kiedy potrzebował pieniędzy, dołączał na krótko do miejscowego cyrku, zadziwiając widzów. Ale takie życie także zaczęło mu ciążyć. Czuł coraz wyraźniej to samo, co odczuwali pozostali członkowie grupy, rozproszeni po świecie: bezsens egzystencji bez fantastycznych, brawurowych przygód. Mdłe, przygnębiające życie bez celu i bez przyczyny. Krótko mówiąc – dojmujący brak pisarza, który wytyczyłby smętny szlak, jakim kuśtykają już ponad sześćdziesiąt lat. Harotian postanowił, że musi zakończyć ten nędzny żywot. Tu wtrącił się obersturmbannführer Neigel, pytając, czemu Harotian nie wykorzystał cudownego daru, aby uczynić się szczęśliwym. Wasserman chyba niecierpliwie czekał na to pytanie. Otóż Harotian nie cierpiał swoich magicznych zdolności. Wydawały mu się niesprawiedliwie uzyskaną przewagą. Im dłużej i lepiej poznawał labirynt, w którym ludzie tkwią z natury swego istnienia, tym bardziej nienawidził swego nadprzyrodzonego talentu i Tego, który go nim obdarzył. Widział w tym rodzaj ukrytego przekupstwa, danego po to, aby uwolnić Stwórcę od wyrzutów sumienia; zbyt hojną jałmużnę, rzuconą jednemu z żebraków: tylko jednemu. Owo przekupstwo deprecjonowało, jego zdaniem, to, co jest w nim ludzkie. To znaczy – część, w

której nie było ani odrobiny cudowności.

Po wybuchu wojny Harotian został uwięziony w warszawskim getcie. Był już wtedy starym, zgorzkniałym człowiekiem. Nie wiemy dokładnie o wszystkim, co mu się przytrafiło do chwili, gdy pewnej nocy znalazł go Otto, idącego tyłem, rozpaczającego w głos, niczym zagubione dziecko. Jedna jego noga poruszała się ciężkimi, długimi krokami po chodniku, druga – dreptała drobnymi, krótkimi kroczkami po jezdni. Wyjaśnił Ottonowi, że jego nogi śpiewają w ten sposób kanon, starą ormiańską pieśń religijną, i poprosił, aby Otto posłuchał. Otto: Prawdę mówiąc, niczego nie usłyszałem. Może dlatego, że w ogóle nie mam słuchu. Od razu jednak zrozumiałem: Harotian znów jest z nami.

– W rzeczywistości – wyjaśnił Wasserman – Harotian znalazł szczególny sposób, aby zamienić się w kogoś cudownego, nie wykorzystując swego wrodzonego talentu. Wzniósł się ponad Tego, który rozdaje upokarzającą jałmużnę. Zaczęło się to pewnego wieczoru w kawiarni Britannia Club, gdzie Harotian zatrudnił się jako magik w zamian za kolację. Tego wieczoru siedział przy bocznym stoliku i pochłaniał jedzenie niczym wygłodniały pies. Był bardzo wychudzony, w oczach lśnił mu dziwny błysk. Większość sztuczek się nie udała i publiczność przepędziła go ze sceny gwizdami. Wielu widziało go po raz dziesiąty i znało na pamięć wszystkie numery. Nie był w stanie wykonywać swojego zawodu jak należy. Nie miał pretensji do tych, którzy go wydrwili. Przeciwnie: oskarżał sam siebie, że odebrał im niewinną rozrywkę – prostą przyjemność podziwiania zręczności magika. Znowu przebiegł go dziwny dreszcz. Od kilku dni drżały mu ręce, a kiedy wchodził na scenę, wszystkie objawy się nasilały. Przestał zapamiętałe przeżuwać i podniósł wzrok: na stoliku stał wazonik, a w nim papierowy kwiatek. Na wszystkich stolikach w kawiarni stały wazoniki, a w każdym z nich tkwił brązowy papierowy kwiatek. Harotian nie widział prawdziwych kwiatów od wielu miesięcy. Pragnął, by kwiat był zielony. Chciał, aby kwiatek stał się zielony tylko dla niego, taki, jak powinien.

Neigel z powątpiewaniem pociągnął nosem. Wasserman zignorował go. Podkreślił jeszcze raz, że Harotian bardzo się starał, by nie zmienić kwiatka swą czarodziejską siłą. Szukał w sobie innych mocy, należących tylko do niego,

podobnie jak do wszystkich zrodzonych z kobiety. Wpatrywał się w kwiat przez długie minuty. Z wysiłku łzy napłynęły mu do oczu, a mięśnie twarzy zaczęły drżeć. Ludzie, rechocząc, wytykali go palcami. Nie zwracał na nich uwagi. Zacisnął szczęki i patrzył przez łzy, aż ujrzał, że krawędzie kwiatka poddają się i zaczynają zielenieć. Zielony kolor rozlewał się pomału po całym liściu. Harotian dobrze czuł punkt nowego wysiłku w ciele: gdzieś w środku głowy, tam, gdzie – według Descartes’a – łączą się dusza i ciało. Stary Ormianin siedział przed papierowym kwiatkiem do chwili zamknięcia kawiarni. Kelner, który zabrał jego talerz, schował do kieszeni pozostawiony kawałek koniny. Właściciel kawiarni nieuprzejmie rzucił mu wytarty płaszcz, mówiąc, że nie ma po co wracać: nie potrzebują tak nędznego magika. Harotian nie słyszał. Wziął zielony kwiatek i wyszedł w noc. Szedł tyłem, bo nagle poczuł, że nie może znieść zwykłego sposobu chodzenia, który, jak sądził, narzucono mu z góry, bez pytania. Pomysł był trochę niemądry, ale bunt – a istotnie był to bunt – musi się zacząć jakimś symbolicznym aktem (patrz: bunt), a Harotian (jak Wasserman) nie obawiał się śmieszności. Miał cel, który stawiał go ponad małostkową pogardą ludzi (takich jak Neigel). Stanął pod latarnią i zamyślił się na dłuższą chwilę. Lampa rzucała żółte światło, mętne i chorobliwe. Harotian zadał sobie gniewnie pytanie, czemu musi je widzieć dokładnie tak jak inni. Także w tym kryła się obraza, która nagle stała się nie do zniesienia. Dotknął pogniecionego papierowego kwiatka w kieszeni i podskoczyła mu grdyka. Utkwił oczy w latarni i patrzył na nią tak długo, aż zakręciło mu się w głowie. Oczy miał załzawione i opuchnięte. Sąsiednią uliczką nadchodził niemiecki patrol, Harotian cofnął się więc do mrocznej bramy i stamtąd patrzył dalej na latarnię. Nie ruszał się z miejsca przez cztery godziny. W którymś momencie nogi odmówiły mu posłuszeństwa, upadł i osunął się na plecy, ale nie oderwał wzroku. O świcie latarnia zaczęła ustępować. Ku Harotianowi leciały tysiące kuleczek pyłku kwiatowego, roztrzaskujące zapach pomarańczy. Wdychał tę woń z rozkoszą. Ulica wypełniła się upajającym aromatem, który pamiętał z dzieciństwa w Armenii. Starego człowieka bolała głowa, w której waliły młoty, ale był zbyt przejęty i poruszony, aby zwracać na to uwagę. Najdziwniejsze było to, powiedział Wasserman, że od



chwili, gdy Harotian przekroczył granicę nieprawdopodobieństwa, wszystko stało się proste i możliwe, a nawet na swój sposób racjonalne: zaczął używać pięciu zmysłów wedle swej woli i wyboru, czując przy tym, że wykorzystuje naturalne prawo, którego poskapiono reszcie ludzkości. Wasserman przyrównał go do więźnia, tworzącego natchnione rzeźby z żelaznych krat swojej celi. Kiedy Harotian czubkami palców dotknął płotu, zrobionego z drewna i stali, jego uszy (a może palce?) usłyszały nieznane dźwięki, zmienne i melodyjne, przeplatające się wdzięcznie. Niebawem mógł słyszeć fakturę najrozmaitszych materiałów, nie dotykając ich, później – czuć nawet ich strukturę. Świat ukazywał mu miriady skarbów jak w kalejdoskopie. Harotian potrafił nadawać smaki zapachom, zatrzymać w powietrzu nuty piosenki przechodzącej ulicą dziewczyny, jednym spojrzeniem malował je na liliowo, obracał przed sobą niby chmurę barwnych światełek, pozwalał zabrzmieć jeszcze raz i roztopić się. Nowe możliwości przesłoniły mu cały świat. Przestał zabiegać o jedzenie, a twarz wyostrzyła mu się jak lisi pysk. Przez dziury w ubraniu prześwitywało ciało. Przechodnie z litością (patrz: litość) kręcili głowami, ale on jej nie potrzebował. Był szczęśliwy.

Pewnej nocy przebudził się z lękiem na jednym z podwórek, na stercie łachmanów, służącej mu za łóżko, i resztką sił powłókł się na ulicę, na której widział latarnię. Straszliwa myśl skuliła mu serce lodem. Zatrzymał się pod murem i popatrzył: mętne światło latarni wciąż rzucało wąski krąg. Harotian nie widział światła: czuł tylko aromat pyłku pomarańczowego, unoszącego się w powietrzu. Stanął mocniej na trzęsących się z osłabienia nogach i wyprostował ramiona, jak zawsze przed trudnym numerem. To była decydująca próba: chciał ujrzeć z powrotem światło latarni. Jego ogromny wysiłek byłby całkiem bez sensu, gdyby nie zdołał przywrócić dawnej, banalnej rzeczywistości. Przez długą chwilę nic się nie działo i Harotian oblał się zimnym potem. Ale wtedy wróciło powoli blade światło latarni niczym reflektor statku ratunkowego, wyłaniającego się z mgły. Wiedział teraz, że wojna zakończyła się jego zwycięstwem: może wybrać świat, w którym będzie żył, jak człowiek kartkujący z przyjemnością wielki katalog pełen najrozmaitszych ofert. Uwolnił się prawie całkiem ze zwykłych pęt pojmowania zmysłowego. Kolor czerwony słusznie mu

się należał. Podobnie jak zapach ziemi, dotyk kory drzewa, dźwięki harmonijki ustnej, które usłyszał w którymś z okien, i smak kropli deszczu. Był, według Aharona Markusa, wskrzesicielem oczywistego. Samoukiem zmysłów.

– Mógłby być szczęśliwy, gdyby wszystko się nie pomieszało.

– Co się pomieszało? – warknął Neigel, który od pewnego momentu słuchał z zainteresowaniem.

– Wojna – wyjaśnił Wasserman. – Wojna przetasowała karty. Proszę posłuchać i samemu osądzić.

Kłopoty Harotiana zaczęły się, gdy dawna rzeczywistość zaczęła się stawać coraz bardziej wykrzywiona i niezrozumiała. Jakby także wdarła się w rejony fantazji. Kiedy chodził ulicami, wydawało mu się, że są bardziej puste niż kiedyś. Dobiały go dziwne rozmowy o ludziach, którzy znikli i zostali wywiezieni do miejsc, z których się nie wraca. Harotian nie wierzył własnym uszom. Sądził, że nowe zdolności go oszukują: głosy wypowiadały rzeczy całkowicie pozbawione logiki, niepasujące do dawnego, znanego świata. Mówiły o zamkniętych celach, w których z sufitu płynie dziwny gaz, uśmiercający wszystkich. Pewien człowiek, który uciekł z takiego miejsca, stał na rogu, na starej beczce po śledziach, i opowiadał przechodniom, co się w kraju TAM działo. Opowiadał o piecach, w których palono jednocześnie setki zwłok. O eksperymentach, przy których lekarze zarażali zdrowych ludzi rakiem. Przysięgał, że widział, jak z żywego człowieka zdjęto skórę, aby zrobić z niej abażur. Mówił, że podobno wynaleziono tam sposób przerabiania ludzi na mydło. Harotian pomyślał, że popsuło mu się coś w mechanizmie odbierania dźwięków. Ze mózg niewłaściwie tłumaczy wypowiedane słowa. Wzrok także zaczął go niepokoić. Kiedy człowiek podniósł rękę, aby przysiąc, że mówi samą prawdę, Harotian zobaczył wyryty na niej numer, jakby na skórze wystąpił zielonkawy wykwit w kształcie cyfr. Harotian uciekł, ale nie mógł przestać patrzeć. Zbyt długo nie dostrzegał, co się wokół dzieje, teraz obrazy go atakowały. Ludzie, którzy zostali w getcie i głodowali jak on, wydawali się przybierać dziwne formy: ich skóra posiniała, paznokcie stwardniały tak, że przypominały szpony. Ciała mieli obrzmiałe, a twarze zeszywniały jak maski.

Harotian patrzył i nie wierzył: na twarzach i ciałach wyrastały kobietom gęste włosy. U niektórych ludzi gładkie włosy rosły także na powiekach. Wydłużone rzęsy przypominały skrzydła ogromnych ciem. To wszystko spowodował głód, ale Harotian tego nie pojmował. Był oderwany od wszystkiego, podejrzliwy i przestraszony: nocą na ciemnych uliczkach getta pojawiały się i znikwały bajkowe zwierzęta: barwne koniki morskie, nieduże i uskrzydłone, maleńkie krasnoludki, lśniące w blasku klejnotów, kopciuszki, czarownice, jednorożce, feniksy i Piotruś Pan przemykali obok niego po chodnikach. Były to, oczywiście, fosforyzujące broszki, które wymyślał i sprzedawał jeden z Żydów w getcie, aby ludzie nie wpadali na siebie nawzajem w ciemnych zaułkach. Harotian tego nie wiedział. Był przerażony. Niejasno czuł, że gdzieś tam, we wszechświecie, pojawił się czarodziej potężniejszy od niego, który także wykorzystuje najprostsze i najbardziej ludzkie elementy, pragnie je jednak krzyżować za pomocą tajemnej, straszliwej formuły, tworząc niewiarygodny koszmar. Harotiana ogarnął wielki strach. Zaczął gorączkowo kartkować swój ogromny katalog, ale nie był już pewien, na której stronie znajduje się dawna, zwyczajna rzeczywistość, którą pamiętał. Wlókł się pustymi ulicami, za każdym razem cudem unikając pobicia przez patrole. Plakaty na murach krzyczały do niego tak przeraźliwie, że wpadł w popłoch. Prawie się udusił od smrodu obelg, rzucanych przez leżącą w błocie łatę z żółtego materiału. Zaczął szlochać i usłyszał, jak rozbrzmiewają w nim tony religijnego hymnu, zapamiętanego z dzieciństwa. W tej samej chwili usłyszał kroki strażników i z instynktem ścignanego zwierzęcia skrył się w podwórzu. Na czele patrolu szedł starszy, niski człowiek. Był to Heinrich Lemberg z Kolonii, z zawodu perfumiarz. Niemcy przywieźli go do getta, by swym czułym węchem zlokalizował podziemne kryjówki, w których chowali się Żydzi. Odkrywał ich dzięki wątlwym zapachom jedzenia, dochodzącym na powierzchnię. Harotian nic o tym nie wiedział. Ujrzał niskiego mężczyznę, idącego żwawym krokiem na czele patrolu, wężącego na wszystkie strony. Mężczyzna zatrzymał się przy jednym z domów, węszył z uwagą, z rozdętymi nozdrzami, po czym wydał krótki, urywany okrzyk. Żołnierze wyważyli drzwi i po kilku chwilach wrócili, ciągnąc za sobą niewielką

rodzinę: rodziców z dwojgiem małych dzieci. Zastrzelili ich na miejscu. Potem patrol ruszył dalej w ślad za wrażliwym nosem perfumiarza. Harotian zrozumiał, że nastąpiła katastrofa: nawet on nie przypuszczał, że można wywąchać ludzi. Zrozumiał, że nigdy już nie odnajdzie dawnego świata. Został pozbawiony wszystkiego. Szłochał ze strachu, idąc tyłem, jedną nogą po chodniku, drugą po jezdni. Łzy w jego oczach fosforyzowały fioletowo, zimne i metaliczne. Wszystkie nici pękły. Harotian znów był przestraszonym chłopcem, chcącym uciec ze straszliwej katastrofy do opuszczonej jaskini na końcu świata. Znów, jak wtedy, uratował go Otto Brig, który późnym wieczorem wracał z daremnej, wyczerpującej wędrówki ulicami getta w poszukiwaniu artystów, „którzy będą do nas pasować”, jak powiadał. Harotian z ulgą rzucił mu się na szyję. Przynajmniej Otto się nie zmienił. Nawet pięćdziesiąt lat, które minęły od rozstania, i wszystkie nieszczęścia świata nie mogły zmienić kogoś takiego jak Otto. Obejmowali się w milczeniu dłuższą chwilę, nie wstydząc się łez. Harotian nieśmiało dotknął językiem łez Ottona i jeszcze mocniej rozszlochał się z radości: Bogu dzięki, były słone. Dokładnie takie, jakie powinny być. Tak Harotian powrócił do Dzieci Serca. Nawiasem mówiąc, od tamtej pory Otto nie przestawał go wspierać, a w naprawdę trudnych dniach, tak jak pozwalał Friedowi korzystać ze swoich błękitnych oczu, aby przyjaciel mógł ujrzeć w nich Paulę i zebrać trochę sił, płakał na prośbę Harotiana. Za każdym razem, kiedy stary Ormianin poczuł, że dawny świat się rozpada, wystarczyło, aby polizał odrobinę słonych łez i od razu się uspokajał. Nie sprawiało to Ottonowi większych problemów, bo należał przecież do osób, które łatwo płaczą.

## הומור

### **Humor**

Pogląd na życie lub cecha osobowości/ podkreślające zabawną stronę różnych zjawisk

1. Według Szymona Zalmansona, redaktora pisma „Małe Światełka”, humor to nie tylko pogląd na świat czy cecha charakteru, lecz jedyna

prawdziwa religia.

– Gdybyś na przykład był Bogiem, *nebuch* – mówił Zalmanson, kiedy wieczorami rozmawiali w redakcji – i chciałbyś ukazać swoim wyznawcom ogromną liczbę możliwości, które stworzyłeś, wszystkie zbiegi okoliczności, wszystkie światy, sprzeczności, bogactwo, logikę, wieloznaczność i oszustwo, które twoja boska moc wyrzuca wciąż na świat, i założmy, że pragnąłbyś, aby cię czcili jak należy, bez zbędnych sentymentów i pochlebnych śpiewów, ale świadomym, rozumnym umysłem, jaki sposób byś wybrał? Ha? – Zalmanson (który, nawiasem mówiąc, był wyrodnym synem wielkiego rabina) przywoływał nawet Bertolta Brechta, który nazywał humor zaprzysięgłym wrogiem emocji. Humor, mówił Zalmanson, to jedyny właściwy sposób, aby móc pojąć Boga i jego Stworzenie, ze wszystkimi sprzecznościami i całą obcością, a przy tym wciąż czcić ich radośnie. Bóg Zalmansona rzucał mu drobne łaski, objawy dobrej boskiej woli. – Pewnie pamiętasz, Anszelu, co się wydarzyło, zanim weszliśmy do najświętszego przybytku, komory gazowej ?

Wasserman dobrze pamięta:

– Niemcy przywieźli z synagogi w Warszawie parochet<sup>7</sup> i zawiesili w korytarzyku nad wejściem do komór. Na zasłonie były wyhaftowane słowa „Oto brama do Boga, przejdą nią sprawiedliwi”.

Tu Zalmanson zaczął się śmiać, umarł ze śmiechu, kiedy zrozumiał, że nawet człowiek „suchy” jak Wasserman trafia czasem na dobrą pointę. Jego zdaniem śmiech był spontanicznym rytuałem religijnym. „Za każdym razem, kiedy się śmieję – zwykł mawiać – mój Bóg, który oczywiście nie istnieje, wie, że się do niego zbliżyłem, że zrozumiałem go na krótką chwilę, do najgłębszych głębi. Przecież, mój Wassermanku, ON stworzył swój świat z nicości. Na świecie był tylko chaos i bezład. Mógł wziąć plan i materiały tylko z tego chaosu... Co powiesz na to, *galicjaner?*”.

Zalmanson widział w żartach prymitywną, rozczulającą formę kultu tego

---

<sup>7</sup> Parochet – zdobiona kotara w synagodze, zasłaniająca aron ha-kodesz (przyp tłum.).

Boga:

– Czym właściwie jest żart? Dziwnym, bękarcim tworem: pomyśl, stoi sobie człowiek na rogu ulicy i opowiada przyjacielowi historyjkę, będącą czystym wymysłem, tylko po to, aby przywołać uśmiech na jego wargi! Nie zaśpiewa arii operowej, broń Boże, ani nie zagra na harmonii, ale opowie dowcip! Czasami zbiera się kilku przyjaciół, całkiem poważnych osób, i przez całą noc wieczór opowiadają sobie kawały!

Zalmanson uważał dowcipy za „fałszywe psalmy bałwochwalców”. Nie lekcewał ich jednak. Przeciwnie: według niego, w opowiadaczach dowcipów tkwiły prawdziwe tęsknoty, opowiadacze domyślali się czegoś, ale „ich narzędzia poznania było nędzne, pożałowania godne!”. A to dlatego, że większość ludzi w ogóle nie posiada zdolności do prawdziwego, fundamentalnego humoru, mogą najwyżej klepać żalosne modlitwy, z drugiej i trzeciej ręki, bez prawdziwego uniesienia... Dzięki uwagom Wassermana redakcja zwróciła uwagę na śmiech Zalmansona: śmiech kobiecy, swiergotliwy, budzący zamyślenie, co potwierdzałoby jego pokrętną teorię: większość ludzi śmieje się całkiem innym głosem niż ten, którym posługują się w rozmowie. Jakby przekazali śmiechowi – podrzuca Wasserman z suchym śmieszkiem – tony głosu, które należą tylko do niego, których nie wolno używać do celów – powiedzmy – świeckich.

## 2. Humor Kazika

Kazik odznaczał się – według Ottona Briga (patrz: Brig) – jedynym w swoim rodzaju poczuciem humoru. Właściwie była to okrutna ironia, spowodowana tym, że mógł dostrzegać jednocześnie procesy rozwoju i rozpadu, zachodzące w każdej żywej istocie. Za każdym razem, kiedy któryś z artystów (patrz: artysta) mówił o swoich pragnieniach w dalszej czy nawet bliskiej przyszłości, kiedy padały słowa takie jak „nadzieja”, „szansa”, „poprawa”, „zwycięstwo”, „modlitwa” (patrz: modlitwa), „ideał”, „wiara” i tym podobne, kiedy artyści doznawali przez chwilę wrażenia bliskości i wspólnoty, kiedy obcość między ludźmi (patrz: obcość) rozmywała się na chwilę i powstawało złudzenie

jedności i pocieszenia – w takich chwilach z ust Kazika wydobywał się urywany, krótki śmiech, nad którym nie panował. Była to reakcja nieomal fizjologiczna, której nie mógł powstrzymać, tak jak rozgrzana patelnia nie może powstrzymać syku, gdy prysnąć na nią zimną wodą. Te urywane wybuchy śmiechu nie sprawiały Kazikowi żadnej radości: w gruncie rzeczy w ogóle nie rozumiał, dlaczego się śmieje. Zauważał tylko ból, urazę i żal na twarzach słyszających je artystów. Redakcja postanowiła opisać tę cechę Kazika pod hasłem „humor” tylko dlatego, że czynił tak Otto Brig w swojej wielkoduszności i szlachetności. Należy podkreślić, że w życiu Kazika były nieliczne chwile, gdy to dziwne zjawisko częściowo znikало. Działo się tak wtedy, gdy sam stawał się artystą (patrz: artysta).

Patrz: malarz

## החלטה

**Hachlata –**

**decyzja**

Proces dochodzenia do jakiegoś wniosku po zastanowieniu i namyśle

W dalszym ciągu sporu na temat odpowiedzialności (patrz: odpowiedzialność) i wyboru (patrz: wybór) Wasserman oznajmił, że Neigel nie powinien się ograniczać do pierwotnej decyzji, jaką podjął przed dziesięciu laty, wstępując do SS. Aby móc przeprowadzać pewne działania w obecnym czasie, działania, których Wasserman taktownie nie nazwał po imieniu, postanowił swoje sumienie „zawiesić, wysłać na tymczasowy urlop”. Nie, to niemożliwe. Według Wassermana, obowiązkiem każdego człowieka jest ciągła odnowa moralnej wartości jego decyzji, tak długo, jak długo kieruje się nią w swoim postępowaniu.

– Żadna decyzja, Herr Neigel, nie jest aktualna zawsze. Jeśli jest pan człowiekiem honoru, jak świadczą o tym pańskie słowa, powinien pan codziennie podejmować tę decyzję od nowa, za każdym razem, kiedy zabija pan

kolejną osobę w obozie, za każdym razem powinien pan sformułować tę decyzję na nowo, świeżymi słowami, aby się przysłuchać i sprawdzić, czy naprawdę w tych nowych słowach brzmi pańska pierwotna wola, głos, istota.

Nawiasem mówiąc, Neigel odpowiedział tak:

– Zdziwisz się, Wasserman. Nie boję się tego. Przeciwnie: to mi się nawet podoba. To mnie umocni. Zamierzam skorzystać z twojej rady.

Wasserman:

– Codziennie, Herr Neigel. Za każdym razem, kiedy zastrzeli pan kolejną osobę. Dwadzieścia pięć razy, kiedy przyjdzie pan zabić dwudziestu pięciu więźniów. Decyzja, decyzja, decyzja. Wytrzyma pan to? Będzie pan mógł to sobie obiecać?

Niemiec:

– Nie rozumiem, czemu robisz z tego taką wielką kwestię. Przecież powiedziałem – nie ma problemu. To tylko umocni moją wiarę w Rzeszę i w moje zadanie. Dzięki temu będę wykonywał je – jak mówi nasz Führer – *Einsatzfreudigkeit* – z przyjemnością.

Patrz: bunt

## היטלר, אדולף

### **Hitler Adolf**

(1889-1945). Niemiecki przywódca. Bezpośrednio odpowiedzialny za drugą wojnę światową, a pośrednio – za miłość Pauli i Frieda

Przez wszystkie lata, pracując jako naczelny weterynarz w warszawskim zoo, Fried kochał się skrycie, bez najmniejszej nadziei – jak przez dziesiątki lat, które upłynęły od pełnych blasku czasów Dzieci Serca – w Pauli Brig. Paula, która zajmowała się sprawami urzędowymi w ogrodzie, opiekowała się także bratem Ottonem i w swojej dobroci nie zaniedbywała biednego, samotnego doktora. W trzydziestym pierwszym roku Fried sprzedał eleganckie, zadbane mieszkanie w jednej z zamożnych warszawskich dzielnic i przeprowadził się na



teren ogrodu, do małego domku, zbudowanego na planie sześciokąta, obok pawilonu gadów. Codziennie wieczorem szedł ze swojego domku do domu Ottona i Pauli przy bramie głównej i tam we trójkę jedli kolację, grali w szachy, palili i przygotowywali się do następnego dnia. Ich życie mogłoby trwać w ten sposób, pozbawione wyjątkowych wydarzeń, gdyby nie...

Otto:

– Hitler, który tak rozwścieczył naszą Paulę swoimi rasistowskimi ustawami. Przecież Paula nigdy nie interesowała się polityką, i tylko przypadkiem tego dnia miała włączone radio, w którym usłyszała odrażającą listę ustaw norymberskich. To było w południe. Byliśmy sami w domu. Skoczyła na równe nogi jak ukąszona i powiedziała, że musi natychmiast wyjść do miasta. „Myślę o Friedzie, tylko o nim myślę, jak pięknie mu serce z upokorzenia”. Wyciągnęła ze skarbonki pieniądze, które uciulaliśmy przez wszystkie te lata, grosz do grosza, nie przestając powtarzać pod nosem „co za świństwo”. Powiedziała także: „Co oni sobie myślą, ci przekłeci Niemcy, przecież obrażają ludzi, przecież to może kogoś okropnie zranić!”. Wyszła bez pożegnania, zła i zaaferowana, i pojechała tramwajem do najelegantszych sklepów, gdzie przez dwie godziny – tik-tak! – wydawała pieniądze na prawo i lewo, po raz pierwszy w życiu!

Paula:

– Kupiłam sobie prześliczną sukienkę, z cudownego materiału, u mnie na wsi nazywano to „koronką”, i mały, śliczny kapelusik z brokatu, bardzo jasny, z małymi kokardkami. Ach, te paryskie modystki mają świetne pomysły! Kokardy zachodzące na czoło i uszy, wyobraźcie sobie, i coś, co nazywa się „etolą”, co narzuca się na ramiona, aksamitne. Coś w rodzaju *entrée*, jak powiedziała sprzedawczyni. Kupiłam też bieliznę, pardon, z prawdziwego angielskiego batystu! Kupiłam francuskie mydło i wodę kolońską z Paryża, żeby ładnie pachnieć. Ile to wszystko kosztowało, mamó droga! Wieczorem wróciłam do domu, zmyłam z siebie smród ogrodu zoologicznego, którym przez wszystkie te lata przesiąkałam, włożyłam nową sukienkę, narzutkę, pomalowałam paznokcie, uróżowałam policzki i czesałam się chyba z godzinę, zanim

rozplatałam wszystkie kołtuny. Miałam włosy do pasa, proszę pana! Strzygłam się tylko raz w życiu, proszę pana, w czasie epidemii tyfusu w dwudziestym drugim! Po tym wszystkim poszłam nad wybieg flamingów, bo w całym ogrodzie zoologicznym nie było ani jednego lustra, i tam, na odbiciu w wodzie, zobaczyłam, jak ładnie wyglądam. Byłam może trochę śmiesznie wystrojona, ale z pewnością bardzo kobieca. Chociaż ciocia nie odwiedza mnie już od ponad dwudziestu lat. Wróciłam pożegnać się z Ottonem, któremu nie musiałam niczego tłumaczyć, w lot wszystko zrozumiał.

Otto:

– Przeszła niczym w ślubnym orszaku aleją Wiecznej Młodości. Zwierzęta patrzyły na nią tak, że modliłem się w duchu, aby tylko nie zaczęły się śmiać, ale im akurat można zaufać bardziej niż komu innemu, nie powiem komu. Widać było, że rozumieją doskonale, co się dzieje.

Fried:

– Nu, i tylko ja, głupiec, nic nie rozumiałem. Otworzyłem drzwi, całkiem otumaniony tym karnawałowym przebraniem i całą tą perfumerią – Wasserman rzucił w tym momencie przekonującą uwagę, że doktorowi było nawet trochę żal wystrojonej kobiety, ponieważ nawet ze wszystkimi tymi kobiecymi ozdóbkami nie była naprawdę ładna. Widać było po niej upływ lat, nogi i ręce pozostały zgrubiałe i podrapane, tylko oczy promieniały błękitnym blaskiem. – Fried uśmiechnął się krzywym, zawstydzonym uśmiechem, ponieważ nie rozumiał, a może nie miał odwagi mieć nadziei, że jego wielka miłość w końcu została odwzajemniona i jego samotność dobiega końca.

Wasserman:

– Czasami trudno pożegnać się z rozczarowaniami i wieloletnimi niepowodzeniami, do których się przyzwyczailiśmy, jak pies przyzwyczaja się do pcheł.

Paula, nie czekając, aż Fried oprzytomnieje, stanęła na palcach i gorąco pocałowała go w usta. Ale jego przestraszone wargi, przywykłe do długiej posuchy, umknęły w bok, i doktor poczuł jej wąskie, ciepłe, uśmiechnięte wargi na szyi niczym kroplę wody na wyschniętej ziemi. Natychmiast, bez zbędnych

słów, rzucili się na siebie z pożądaniem, które zwlekało zbyt długo.

Wasserman:

– Stary doktor odkrył z radością – musi pan wiedzieć, Herr Neigel, że tylko w stosunku do podobnych wydarzeń pozwalamy sobie użyć słowa „radość” – że całe mnóstwo uczuć i emocji, a nawet, za przeproszeniem, chuci, czekało na niego przez wszystkie te samotne lata, z dala od niszycielskiej ręki czasu. Potem, sam pan rozumie, leżeli przytuleni, jego lewa ręka spoczywała pod jej głową, prawą ręką ją obejmował, półżywi przez szaleństwo, które o mało nie przewróciło nogami do góry ich życia.

Paula:

– Ja, głupia, zawsze muszę coś chlapnąć, i oczywiście opowiedziałam mu o tych świństwach, o których mówiono w radiu. Fried z początku nie rozumiał, czemu akurat w takim momencie o tym mówię i jaki to ma związek. Przecież nigdy nie myślał o sobie jako o Żydzie, a o mnie jako o Polce. Zawsze mówił: „Jestem Polakiem wyznania friedowego” (miał takie powiedzenie). Kiedy w końcu zrozumiał, czemu o tym mówię, ooo!! Jezus Maria! Zbielał jak prześcieradło. Z początku pomyślałam, głupia, że się tak złości z powodu tych świństw. W końcu jednak zrozumiałam, że się obraził, bo przyszedłam do niego nie z miłości (patrz: miłość), ale ze względów politycznych, jak to się mówi. Tak, mój Friedczik zawsze się złościł z niewłaściwych powodów. Ja się oczywiście okropnie obraziłam, bo uważam, że tak się nie postępuje z kobietą. Chciałam wstać i pójść stamtąd na zawsze, ale wtedy...

Fried:

– Wtedy zobaczyłem plamę krwi na prześcieradle. Reszta jest chyba jasna, jak sądzę.

Uwaga redakcji: oczywiście Neigel zażądał, aby Wasserman usunął z opowiadania wszystkie fragmenty, dotyczące Führera i ustaw norymberskich. Wasserman stanowczo odmówił. Wywiązała się gwałtowna kłótnia. Patrz: pułapka

# התאבדות

**Hitabdut –**

**samobójstwo**

Przemoc, którą wyrządza człowiek swojemu ciału, chcąc zadać sobie śmierć

1. Pewnego wieczoru, gdy Wasserman skończył opowiadać Neiglowi o przygodach Dzieci Serca, poprosił, jak zawsze, o „swoje lekarstwo”. Było to w dniu, kiedy powstała między nimi – w wyniku snucia opowieści – pewna bliskość. Wstrząśnięty Neigel oznajmił, że w żadnym wypadku nie strzeli do Wassermana. Nawiasem mówiąc, w ogóle zachowanie Niemca tego wieczoru odbiegało od normy: słuchał z wielkim zainteresowaniem, śmiał się, a nawet głośno – czasami zbyt głośno – bił brawo w odpowiednich miejscach, podobały mu się pełne emocji opisy, hojnie szafował szczegółami ze swego życia, krótko mówiąc – był idealnym słuchaczem. Być może w jego rozluźnieniu odegrała rolę nowa butelka spirytusu, stojąca na biurku, pełna tylko w jednej trzeciej. Być może pomógł kolejny list w błękitnej kopercie, który przyszedł z Monachium, a może powód był jeszcze inny, jak coraz liczniejsze wieści z Berlina, potwierdzające, że patriotyczna prośba Neigla o kolejną komorę gazową zostanie spełniona. Dlatego już w przyszłym tygodniu zaczną napływać do obozu dziesiątki tysięcy Żydów ponad ustaloną liczbę i pociągi będą przyjeżdżać także w nocy. A wszystko to dlatego, że w Berlinie są przekonani, iż ktoś taki jak Neigel udźwignie każde obciążenie, i przygotowują już dla niego „niewielki podarunek”, w uznaniu jego służby dla Rzeszy i Führera. Być może dzięki temu wszystkiemu Neigel był w wyjątkowo radosnym nastroju i nie chciał go psuć, strzelając Wassermanowi w głowę. Żyd obstawał przy swoim i wywiązał się krótki spór, w wyniku którego dobry nastrój Neigla szybko minął. Twarz mu poszarzała i tylko czubek nosa mocno poczerwieniał, jakby Niemiec był pijany. Istotnie, w trakcie kłótni wlał w siebie trzy kieliszki spirytusu, ostatni – odrobinę drżącą ręką. Jego spojrzenie utraciło władczość i dumną arogancję, pojawiło się w nim coś, co można by zaryzykować i nazwać: strach. Zerwał się nagle, wyciągnął pistolet i bez słowa podał go Wassermanowi, lufą do siebie.

– Masz! – krzyknął ochryple. – Zrób z tym, co uważasz. – Usiadł z powrotem, a potem, jakby podjął decyzję, odwrócił krzesło i oznajmił dziwnym tonem: – Nawet nie będę patrzył. Wyceluj i naciśnij spust. Tylko szybko, proszę.

Wasserman, Żyd, który nigdy nie trzymał w ręku broni, nie wykorzystał niepowtarzalnej okazji. Nie strzelił Niemcowi w kark, chociaż jego dziwna, lekko przygarbiona poza wręcz zapraszała do takiego strzału. Nie wziął go także za zakładnika, aby sprowadzić do obozu reichsführera Himmlera, i zabić również i jego. Nie wypadł na zewnątrz, nie zastrzelił wart i nie wszczął powszechnego buntu. Wszystkie te proste, oczywiste rozwiązania w ogóle nie przyszły mu do głowy. Na chwilę przyłożył sobie lufę do czoła, ale nogi tak mu się trzęsły, że o mało nie upadł. Nie strzelił. Położył pistolet na stole i grzecznie odchrząknął. Po dłuższej chwili Neigel obrócił krzesło: twarz miał bez wyrazu. Teraz można było zauważyć, że przez cały ten czas trzymał w ręku błękitną kopertę. Była pognieciona i wilgotna od dotyku dłoni. Powiedział tylko:

– Jesteś tchórzem. Szkoda. Szkoda.

Wasserman, w duchu: „Mądry zrozumie, że nie chciałem go zastrzelić raz i koniec! Przeznaczyłem mu inny los, a ponadto nie jestem człowiekiem, który psuje w połowie dobre opowiadanie. Prawda, Szlojmele?”.

2. Samobójstwo Kazika, patrz: Kazik, śmierć Kazika

## התבגרות, תרדמת ה

**Hitbagrut –**

**dorastanie**

tardemat ha hitbagrut – sen dorastania

Całe dzieciństwo Kazika stało pod znakiem jego żywego, zdecydowanego i odrobinę nieopanowanego usposobienia (patrz: dzieciństwo), co męczyło Frieda, który bez wytchnienia biegał za dzieckiem po całym domu. Kilka chwil ciszy, choć nie spokoju, zyskał doktor o godzinie drugiej czterdzieści pięć nad

ranem, kiedy Kazik osiągnął wiek mniej więcej szesnastu i pół roku. Nagle, gdy chłopiec biegł szybko korytarzem, wydając wyjątkowo głośne okrzyki, które Fried nazywał w duchu „całkiem barbarzyńskimi”, nagle zwolnił, jego ruchy stały się ociężałe i – Fried:

– Byłem już pewien, że to koniec. *Kaput*. – Lekarzowi wydawało się, że w mdłym świetle lampy widzi srebrne błyski na całym ciele chłopca. Włożywszy okulary, zobaczył, że są to cieniutkie, na wpół przezroczyste niteczki. Aharon Markus przypuszczał, że to jedyne w swoim rodzaju fizyczne oznaki kompleksów związanych z dorastaniem. Jednak Fried był innego zdania:

– Nie, nie. On się zaczyna rozpadać. – Ku swemu wielkiemu zdumieniu w tej samej chwili zauważył, że chłopiec po prostu się przepoczwarza jak wielki motyl w ogromnym kokonie. Na oczach Frieda podlega intensywnemu działaniu ukrytych gruczołów dorastania i niebawem wynurzy się z kokonu jako całkiem dorosły człowiek. Lekarz żałował tego, gdyż zawsze uważał dzieciństwo za szczególnie, pełen inspiracji okres – takie było jego dzieciństwo – natomiast dojrzewanie wydawało mu się ciężkim wyrokiem, na mocy którego wszyscy ludzie stawali się aż wstydliwie podobni do siebie. Nawet zewnętrzne oznaki dojrzałości – szorstka skóra, owłosienie, twardnienie kości, wzmożony pociąg seksualny – wydawały mu się kratami więzienia, w którym dorosły uwięził dziecko. Kiedy patrzył na śpiącego chłopca, tknęła go poruszająca myśl o tym, że być może po raz pierwszy w ogóle odczuwa respekt przed potężnym nurtem życia, przepływającym przez ten pokój, tak blisko niego. Był to najwyraźniej pierwszy raz, kiedy Fried zanurzył się w czasie na sposób, który, jak uważa Wasserman, jest jedynym sposobem zanurzenia się w nurcie Dziadka Czasu. To ludzka rzeka, w której zajmujesz konkretne miejsce, „między swymi rodzicami a swym potomstwem”. Fried rozmyślał zdumiony, że jego przekonanie – iż ojciec daje życie synowi – jest z założenia błędne. Ojciec potrzebuje dziecka, gdyż tylko dziecko może uwolnić dorosłego z więzienia, przypomnieć mu to, co zapomniane. Fried:

– To wszystko piękne słowa, ale najważniejsze, że w tym śnie mój Kazik znalazł się poza czasem. Przez jakiś kwadrans w ogóle nie rósł. Był to także

jedyny czas, odkąd się pojawił, kiedy mogłem się zastanowić, co się stało i co jeszcze się wydarzy. Wtedy jednak się już obudził, tak szybko...

Kazik się ocknął. Niezgrabnie rozerwał dziwne nici, które natychmiast się rozpuściły. Niezwykły sen dojrzewania trwał trzynaście minut i Kazik znowu znalazł się w „nurcie czasu”. Był oszołomiony i trochę zły. Trzeba podkreślić, że wciąż, mimo procesu dojrzewania fizycznego, który właśnie dobiegł końca, Kazik nie sięgał głową nawet siedzenia krzesła. Do ostatniej sekundy życia żywił się mlekiem, nosił pieluchę, miał wystającą pupę i brzuch, ale twarz była już stwardniała, nosiła ślady lęku i wstydu. Przepelniało go szalone, niezrozumiałe pragnienie. Kazik:

– Ja-kim jestem-ja-kim-jestem...

Patrz: wybór; Gincburg Ilja

## זיידמן, מלכיהל

### **Zajdman Malkiel**

Biograf. Jeden z artystów (patrz: artysta), których odszukał Otto, poczynając od grudnia 1939 roku, w warszawskim getcie (patrz: serce, odrodzenie Dzieci Serca)

Uczony, który zyskał pewną sławę dzięki publikacji dwóch pierwszych tomów szczegółowej biografii Aleksandra Wielkiego. Drobnny staruszek, człapiący w starych butach, podarowanych przez Ottona, noszący ze sobą wszędzie starą, rozpruta, skórzaną teczkę, *roztaczającą*, intensywny zapach zgniłych owoców. Trzymał w niej swoją ostatnią pracę, *Kluczowe procesy i wydarzenia, które doprowadziły do samobójstwa zegarmistrza Lejzera Malińskiego z ulicy Karmelickiej*. Dzieło, które zdaniem Wassermana, „niszczyło go przez osiem lat, jego jedyne zainteresowanie, jego katastrofa”. Wasserman opowiada o idiotycznym spotkaniu Frieda i Pauli z Zajdmanem. Pewnej nocy, o trzeciej nad ranem, biograf zapukał do drzwi domku, pragnąc zaprotestować, z dziecinnym, delikatnym oburzeniem, przeciwko czemuś, co powiedział rano lekarz do

Otona, gdy stali obaj obok klatek dla papug. Malkie! Zajdman pracował w pobliżu i dobrze słyszał, jak doktor krzyczał, że tak dłużej nie można prowadzić ogrodu, ponieważ Otto spędza wszystkie dni w getcie i zamiast robotników sprowadza stamtąd najgorsze ludzkie śmiecie: wariatów, cudaków, ludzi barbarzyńskich i prymitywnych, którzy nie ruszą nawet palcem, aby pomóc Friedowi w pracy.

Fried:

– Jak to zwykle bywa z wariatami, są skupieni tylko na sobie, egoiści i egocentrycy, prawie w ogóle nie dostrzegają się nawzajem! Każdy zajęty ideą, która tkwi w jego głowie. Otto nazywał to „sztuką”! Ha! Oczywiście, nie robili nic za jedzenie, które Otto dawał im za darmo, chociaż trzeba przyznać, że nie jedli znowu aż tak dużo, w gruncie rzeczy prawie wcale. Chana Cytryn jadła tylko owoce, bo nie mogła patrzeć na mięso. Markus z kolei i tak zapominał o jedzeniu. Nieszczęsny Gincburg przecież nie miał zębów po przesłuchaniu na gestapo. Tylko ten maniak Munin, ten barbarzyńca, żarł za wszystkich! Potrzebował dużo siły, jak zawsze powtarzał, zboczeniec. Mały, lękliwy Zajdman, cóż, jadał tylko to, co zwierzęta, przy których tego dnia pracował. Nawet ziarno i tym podobne. Nie, może i nie zabierali dużo jedzenia, ale też w ogóle nie pomagali. A ich zachowanie, mój Boże! Jak zwierzęta! Naprawdę, jak zwierzęta! Właściwie zwierzęta są od nich lepsze!

Malutki biograf przyszedł w związku z tym zaprotestować z powodu określenia „prymitywni i barbarzyńscy”. Obudził parę ze snu i przez dłuższy czas zadreślał Frieda (gotującego się ze złości) i Paulę (osłupiałą) opisem swych losów.

Jak sam powiedział, przed laty doszedł do wniosku, że jego obowiązkiem jako biografą i człowieka jest napisanie szczegółowej, wiernej biografii zwykłej osoby. Kogoś, kto nie zasłynął w życiu publicznym, w żadnej dziedzinie, i nigdy nie stał się znany. Odkąd ten pomysł utkwiał mu w głowie, nie mógł się od niego uwolnić: był przekonany, że taka biografia będzie miała wielką wartość, co najmniej taką samą, jak biografia Aleksandra Wielkiego, która przyniosła mu pewne uznanie wśród historyków i specjalistów.



Zajdman:

– Ach, dwa wielkie tomy napisałem o Aleksandrze Wielkim, pani Fried, i z początku uważałem go za bardzo interesującą postać! Wielce fascynującą! Ale na końcu byłem już znudzony! Okropnie! Ten Aleksander, który wyrwał z posad góry i przemieszczał narody, posyłał armie przez pół świata, zaczął mi się wydawać czymś w rodzaju siły przyrody, jak burza czy trzęsienie ziemi, sprzykrzył mi się! Tak, czasami myślałem sobie, pisząc o jego dokonaniach, co stałoby się ze mną i mnie podobnymi, gdybyśmy znaleźli się na jego drodze? Rozumiecie? Nie wolno snuć podobnych myśli... Byłem naukowcem, wykladałem na uniwersytecie, ale nie mogłem zamykać oczu na to, co się działo na ziemi, poza moją wieżą z kości słoniowej! Aleksander Wielki zaczął mnie przerażać! Nie byłem w stanie napisać trzeciego, ostatniego tomu! Powiedziałem sobie, że ktoś taki jak ja nie wyciągnie morału z życia Aleksandra Macedońskiego... Może jeden człowiek w całym pokoleniu... Na przykład Hitler! On na pewno! Tfu! Pardon. Chciałem pisać dla zwyczajnych, maluczkich ludzi, jak ja i wy, dla takich tchórzy jak my. Rozumie pan, pani Fried (uwaga redakcji: Zajdman, jak niektórzy artyści w ogrodzie, uważał Frieda za Polaka, chrześcijanina), potrzeba ogromnych, desperackich wysiłków, aby napisać rzetelną biografię drugiego człowieka. Prawdę mówiąc, to właściwie prawie niemożliwe, bo przecież nie znamy się nawzajem. Jesteśmy sobie całkiem obcy (patrz: obcość). Każdy z nas jest osobnym królestwem, warowną twierdzą z własnym bogiem i diabłem, tysiącami ukrytych tajemnic, które nawet przed nim samym odkrywają się stopniowo. Jesteśmy endemiczni, jeśli wolno mi zapożyczyć termin naukowy z dziedziny szanownego pana. Jakby każdy z nas należał do odrębnego gatunku, a podobieństwo między nami jest jedynie pozorne, złudne, zrodzone ze zmęczenia i samotności... Aleksander Macedoński jest z pewnością ciekawy, ale zegarmistrz Lej zer Maliński także jest niezwykle! Uwierzcie mi! (Fried prze kartkował ze zdumieniem podarte i zakurzone strony dzieła Zajdmana, zapisane brzydkim, nieczytelnym pismem, odczytując tytuły głównych rozdziałów: „Walka z bratem Cwi Hirszem o zegar, spadek po błogosławionej pamięci ojcu”, „Tęsknota Lej zera za obrazkiem z sypialni

błogosławionej pamięci matki”, „Czułość Sary Bejli”, „Sekretne zabiegi Abrahama Pesacha [z Lublina], który starał się przywrócić spokój, a przyniósł kłopoty”, „Nadzieja Lej zera na wejście w spółkę handlową z jednym z przyjaciół, Majersonem, i choroba Sary Bejli, która pochłonęła wszystkie oszczędności”). Ach, wszyscy jesteśmy samotni – ciągnął Malkiel Zajdman, zwracając się do Pauli, której oczy zrobiły się wielkie i okrągłe. Uśmiechała się do niego, jakby był kartką papieru, która wyfrunęła z jej snów. – Zrozumiałem, że nie ma większej różnicy między trudem, z jakim staram się wejść w skórę Macedończyka czy w skórę warszawiaka... Najważniejsze to pokonać granice, nie tylko ich, ale także moją własną, uciec od siebie, aby zakraść się do nich! Pyszne te cebulowe ciasteczka, pozwolicie państwo, że wezmę jeszcze jedno... Przepyszne! Chciałbym móc i ja sprawić wam taką przyjemność... Co to ja mówiłem?! Miliony ludzi żyją wokół nas. Doszedłem do wniosku, że trzeba poznać choć jednego z naszych braci! Naprawdę poznać! Dogłębnie! Poczuc przez krótką chwilę puls jego istnienia! Czasami wydaje nam się, że kogoś znamy, zawsze mi się wydawało, że dobrze znam moją żonę, a potem dowiedziałem się rozmaitych rzeczy... Widzicie? Ja mówię, a wam się już oczy kleją z senności, kiedy ogarnia mnie nastrój do rozmowy! Musicie zrozumieć, że milczę od dawna, całe trzy lata! Mój Lejzer odebrał sobie życie, pozostawiając mnie w pustce. W połowie pieśni swego nieszczęsnego żywota popełnił samobójstwo, jego siły się wyczerpały, i moje, oczywiście, także! Stało się to przed trzema laty, kiedy świat zaczęła ogarniać panika... Zapomniałem powiedzieć, że wtedy tak udoskonaliłem moje umiejętności, że nie wiedziałem już, czy ja władam nimi, czy one mną... Rozumiecie: potężne, subtelne siły, moce wspólnoty losu, bycia z kimś, wytworzyłem w sobie przez te lata, kiedy dzień po dniu, godzina po godzinie, śledziłem mojego Lejzera. A on, wyjątkowo dobra dusza, nie protestował, nie spuścił mnie ze schodów, nie przepędził! Dobrze rozumiał, doskonale widział, że jest mi potrzebny... Rozumiecie? W tamtych czasach utraciłem już nieco ze swej wielkości, z uniwersytetu wyrzucono mnie jako niepożądany element w trzydziestym piątym, żona uciekła z pewnym łajdakiem, niech będzie przeklęty, a dzieci, krew z mojej krwi, zaczęły

się mnie wstydzic, bo nie przywiązywałem wagi do higieny osobistej! Tak mówiły! Moje dzieci, które, jak sobie wyobrażałem, dobrze znam! Co ja mówiłem? Lejzer był mądry, oczywiście mądrzejszy ode mnie, a ja pragnąłem go poznać. On także zajrzał w głąb mojej duszy i zobaczył wszystko, być może dlatego pozwolił mi się śledzić przez cały czas i opowiadał chętnie o wszystkim, co mu się przydarzyło, nawet o sprawach rodzinnych. Bez jego dobrego serca i biednej Sary Bejli moja praca nie postępowałaby tak dobrze... Ludzie śmiali się z Lejzera, że chodzi za nim cień, nazywali nas Muppin i Chuppin, Hilek i Bilek... On rozumiał i pozwalał mi na to, bo czego ja pragnąłem?! – ryknął nagle wzburzony człowieczek, wymachując dramatycznie małymi, gładkimi rączkami. – Czy ja chciałem komuś zaszkodzić?! Kogoś rozgniewać?! Wszystko robiłem z miłości. Z pragnienia poznania człowieka, który żyje poza mną. Który sobie tam chodzi, poza moją skórą! Poznać! Rozedrzeć cienką kopertę skóry, w której spoczywają złożone nasze listy, która nas rozdziela, mocniejsza od stali! Od stali! Męcę się w niej przez całe życie, to znaczy, męczyłem się, bo przecież ją pokonałem! Całkowicie! Nie pytajcie, jak! Nie! Nie pytajcie! Sam nie wiem: coś we mnie pękło, coś się oderwało, jak guzik od koszuli. Pyk! Koniec! Nagle się okazało, że umiem robić to, czego pragnę! Wiecie, kiedy? – Fried i Paula potrząsnęli przecząco głowami, rozdziawiając usta. – Opowiem wam, abyście także się ucieszyli! Pewnej nocy Lejzer opowiedział mi o szafie z książkami, która stała w domu jego ojca! Tak, tak! Politurowana biblioteczka z dwiema szybkami, w której przechowywano srebrne naczynia i ulubione tomy jego błogosławionej pamięci rodziciela. „Serwantka” – tak mówiło się u nas na taką szafę, proszę pani, można ją było ozdobić papierem z taką kolorową wstążeczką, okropnie słodką, przytwierdzoną maleńkimi pinezkami, wie pani? W takiej szafie trzymaliśmy srebra, a w dolnej szufladzie były rozmaite specjalne stroje, jak szale, które matka zrobiła dla ojca, kiedy byli zaręczeni, wie pani, chusta z gęsto tkanego lnu, haftowana zielonym jedwabiem, z girlandami róż i liści. Całkiem jak żywe! – Fried spogląda na Zajdmana ze zdumieniem, prawie nie słuchając, i próbuje sobie uświadomić, co przypominają mu ruchy człowieczka w ciągu ostatnich kilku minut, kragłe, pełne wdzięku gesty, delikatne,

przepraszające uśmiechy. Co się tu dzieje? – Tak, co? Co mówiłem? Pardon! Na chwilę się zapomniałem! Kiedy opowiedział mi o szafce, poczułem nagle, że jestem Lejzerem! Ze jest całkowity i pełny, że znam jego sumienie i wszystkie odruchy serca, to, jak za chwilę podniesie rękę, aby otrzeć spoconą twarz, wszystko! Przez kilka miesięcy pozostawałem w jego mocy i ciągle przy nim byłem, aż nie mogłem tego przerwać, wyobraźcie sobie – to nie była już kwestia woli! Wydawało mi się, że jestem Lejzerem! Mężem Sary Bejli... Ten dobry człowiek nie czynił mi wyrzutów, pozwalał, abym wszędzie za nim chodził, abym przesiadywał przez cały dzień w małym kantorku zegarmistrza, odpowiadał za niego na pytania. Dokładnie wiedziałem, co chce powiedzieć, zanim otworzył usta! Nie opuszczałem go dniem ani nocą! Dlatego także przygotowałem sobie sznur... Ciężko mu się żyło, rozumiecie, a było jeszcze gorzej po śmierci Sary Bejli, mojej małżonki, pardon! Jego małżonki... Sara Bejla, niech spoczywa w pokoju. Oni ją zabili, rozumiecie, była chora, leżała w łóżku, a oni weszli do domu i zabili ją na jego oczach... Opłakiwaliśmy ją przez tydzień. Na naszych oczach! O północy mówi do mnie Lejzer, że nadeszła ta chwila! Ty, powiada, jesteś najsprawiedliwszym wśród sprawiedliwych, nie ma już na świecie ludzi, którzy jak ty kochają ludzkość, ale nie mogą dłużej wytrzymać, powiada, nie mogę dłużej wytrzymać twojej dobroci... twoja dobroć wpędza mnie w smutek i chorobę... zamierzam dokonać pewnego czynu i proszę, żebyś zostawił mnie teraz samego... dał mi trochę czasu... Tak do mnie przemawiał. Bał się, że pójde w jego ślady. Wyszedłem z pokoju, wiedząc, co zamierza, poszedłem do kuchni i przygotowałem sobie pętlę... bo jaki sens ma moje życie bez niego? To znaczy, beze mnie? Co zostało po dawnym, zapomnianym Malkielu Zajdmanie? Nic! Pył i proch! Ach, on umarł, a mnie, *nebuch*, uratowano. Odcięto mnie ze stryczka. Potem zabrano mnie do domu wariatów, i tam, nu, zastrzyki, kaftany i kąpiele, niech zaraza weźmie wszystkich lekarzy! Tfu! Pardon. Kiedy stamtąd wyszedłem, to znaczy, kiedy przyszli przekłęci Niemcy i wyrzucili szpital i naszych doktorów na ulicę, czułem zupełną pustkę. Śmierć. Moje wnętrze ogień strawił na popiół. Nie wiem, może śmierć Lej zera tkwiła we mnie, sprawiając, że stałem się pusty w środku, nic mnie nie ogranicza. Jeśli chcecie – stanę się

rabinem, jeśli chcecie – mamką. Nie narzekam, na co mam się skarżyć? Takie życie jest chyba bardziej interesujące, a poza tym i tak nie mam wyjścia, bo przepływam jak woda przez wszystkich, kradnąc ich wnętrza, a z zewnątrz nic nie poznacie. Nawet teraz, w tej chwili, biada mi! Nie! Nie teraz! – Wściekle uderzył się lewą ręką w prawą. – Powstrzymaj się przynajmniej tutaj, nieszczęsny! Na czym to stanęliśmy? A, tak, ta słabość całkiem mną owładnęła... atakuje mnie przy wszystkich... pory w skórze otwierają się niczym kwiaty do słońca, kości jakby rozciągają się w stawach i wszystko staje się roztopione i płynne do tego stopnia, że inny człowiek, jego esencja, nie może mi się oprzeć... zostaje wessany, wypełnia pustą przestrzeń, która się we mnie otworzyła... w całości przepływa przeze mnie nieświadomie, niczego nie czując... jest czymś w rodzaju tajemnego plagiatu (patrz: plagiat) cudza treść napływa spokojnie do mnie, do mego wnętrza, wszystkie pragnienia, sekretne obawy, żądze, troski, kłamstwa, które po cichu opowiada sam sobie. Ach, mój Friedcziku, pewnie byś zwariował, nie uwierzyłbyś, w jakiej gehennie żyją ludzie, obys nie znał takich zmartwień, jakie to diabły ma w sobie, mamó droga, wszyscy mają, nie jedz już więcej tych ciastek, Friedczik, bo znowu dostaniesz zgagi i nie będziesz mógł... Fried krzyknął:

– Dość! – i zerwał się na równe nogi. Paula, ze zdumieniem:

– On mówi jak ja, Friedczik, prawda?

Pusty w środku biograf przeprosił i wyjaśnił, skąd się to wzięło. Czasami atakuje go to z większą mocą niż zwykle, bo w jego wnętrzu jest pustka i zgliszcza, opuszczony dom, po którym harczą duchy, nawiedzony zegar, którego wskazówki wciąż biegają przed siebie, choć zegarmistrz nie żyje, a kółka zębate wprawiają mechanizm w ruch... Na przykład ten przekupień sprzedający kapustę u wejścia do ogrodu zoologicznego, kapustę gotowaną z grochem.

– Jeśli przystanę obok niego na kilka chwil, natychmiast cały znajduje się we mnie, jego cała egzystencja, krew grająca w żyłach, bicie serca, tajemnica śmiertelnej choroby, którą skrywa nawet przed żoną i dziećmi... Jeśli będę pracował przez dłuższy czas nieopodal klatki z papugami, od razu czuję się, jakbym sam miał pióra, był kolorowy i gadatliwy. – Fried zanotował w pamięci,

aby nigdy nie przydzielać cudaczego człowieczka do pracy w pobliżu drapieżników. – Najdziwniejsze, panie doktorze, że źli ludzie nie mają nade mną władzy. To znaczy: nad moją sztuką... Zwyczajnie źli – tak. Ci o zatrutych sercach – nie. Przenigdy! Znajduje się między nami jakby bariera. Mogę mijać setki razy ich strażę, wiecie, o kim mówię, i nic się nie dzieje! Zdradzę wam w tajemnicy, że lubię obok nich przechodzić, bo wtedy czuję się wolny od mej tyrańskiej sztuki, od mego nieszczęścia, i przez jedną ulotną chwilę mogę poczuć, że jestem sobą, nieszczęsnym Malkielem Zajdmanem... Mówię więc: ci skończenie źli – nie. Mordercy – z pewnością nie. Nie wiem, czemu. To zagadka, i pozostanie zagadką! Cała reszta – wręcz przeciwnie! Ludzie dobrzy sieją we mnie spustoszenie... przepływam do nich, a oni do mnie, niepowstrzymanie! Nawet tutaj, w ogrodzie... nie mogę się zatrzymać! Na prośbę Ottona. Powiedział, że choć nie jesteśmy silni fizycznie, musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy, i wykonuję jego polecenie, bo jemu się przecież nie odmawia. Dlatego tak się wysilam i trudzę, tracę własną duszę, przekraczam bariery! Zaprawdę! Jeśli chcecie – nazwijcie mnie buntownikiem, wygrażającym pięścią Niebu! Uciekającym co chwilę z najpilniej strzeżonego więzienia i wdzierającym się do najpilniej strzeżonego więzienia na świecie! Choć trochę pokonuję przeszkody, postawione między ludźmi... Zwiększam choć trochę miłość i współczucie, bo wszyscy są samotni, zamknięci w swoich skorupach, ślepi, głusi i niemi... Mogę przynajmniej wędrować swobodnie, wedle woli... ogarniać wszystkich... przynosić pozdrowienie bez słów... jestem czymś w rodzaju schroniska, niemym tłumaczem tysięcy obcych języków, bo wszyscy potrafią powiedzieć „nieszczęśliwy”, „cierpienie”, „nadzieja”, „tęsknota”, ale tylko ja wiem, co mają na myśli. Co pan, na przykład, panie doktorze, ma na myśli, mówiąc „ból”, i co ma na myśli pani Paula. To całkiem różne rzeczy, podobnie jak oboje powiedzieliście „mamo” do dwóch różnych, obcych sobie kobiet. We mnie te ślepe, głuche bóle mogą się zetknąć ze sobą... mogą się dokładnie poznać... Stałem się słownikiem, tłumaczącym ludzi... Nikt go nie odczyta, bo sam nie mogę... jestem tylko kartkami. Doktor powiedział „prymitywni”, z pewnością tylko żartem. Teraz, kiedy w końcu opowiedziałem wam o tym, mogę

odejść w swoją stronę. Już od kilku chwil chcę tak uczynić, ale... Coś mnie powstrzymuje, jakby kąsanie w głębi żołądka, nie, nie przez pani wspaniałe ciasteczka cebulowe, ale przez smutek. Boże wielki, co to takiego, pomóżcie mi, pani Paulo, ten ból, czy pani także go czuje, proszę go zabrać, on jest pani, wasz, nie mój... Proszę...

Na zdumionych oczach Pauli i Frieda biograf skulił się i upadł na ziemię.

Wasserman:

– Sapiąc i dysząc niczym rodząca kobieta! Walcząc z niewidzialnymi sznurami, które zdawały się opasywać go z zewnątrz i od wewnątrz, i ciągnąć w stronę Pauli, do czegoś poza nią, do czegoś, czego ona sama jeszcze wówczas nie czuła. W końcu – zawisł w powietrzu, zwinięty i skurczony niczym płód – i uciekł na dwór drzwiami, którymi wszedł, z dziwnym, skrzekliwym jękiem. Fried i Paula popatrzyli na siebie, i Paula po raz pierwszy poczuła ukąszenie w swoim łonie.

## זמן

**Zman** – czas

Jedno z podstawowych pojęć inteligentnych stworzeń, które wymyka się jednak jednoznacznej definicji z powodu swej pierwotnej, nieokreślonej natury. Opisuje rytm i długość trwania rozmaitych zjawisk

### 1. Czas Kazika

Fried liczył czas Kazika, poczynając od godziny dwudziestej pierwszej w dniu, kiedy Kazik się u niego znalazł, kiedy biały motyl zatrzepotał skrzydełkami nad buzią dziecka. Zakładając, że średnia długość życia mężczyzny wynosi siedemdziesiąt dwa lata, doktor obliczył, że jedna minuta czasu Kazika równa się osiemnastu dniom zwykłego człowieka. Jedna sekunda Kazika odpowiadała ośmiu godzinom Frieda. Jedna minuta i czterdzieści sekund równały się miesiącowi. W dziesięć minut Kazik miał przeżyć sześć miesięcy. W godzinę – całe trzy lata. Fried był przerażony. Warto może

zaznaczyć, że tej nocy Fried podjął dwie desperackie próby spowolnienia pędzącego czasu Kazika: najpierw zgasił wszystkie światła, mając nadzieję, że – Markus: „Z rozpaczy, nie z głupoty, broń Boże” – w ciemności władza czasu nad chłopcem nieco osłabnie. – Potem, na krótko przed świtem, kiedy Kazik miał około dwudziestu jeden lat, zanurzył go doktor w wannie z zimną wodą, znów powodowany tą samą próżną nadzieją, że w wodzie wszystko będzie się toczyć wolniej. Nie trzeba mówić, że żadna z prób nie wpłynęła na czas w najmniejszym stopniu. Zaostrzyło się tylko wrażenie lekarza, że jego własny czas upływa z tą samą przerażającą szybkością; że kiedy czas przestanie znęcać się nad Kazikiem, cały świat zatraci się w tym samym szalonym tempie. Doktor – trzeba to podkreślić – czuł chwilami, że walczy nie tylko o Kazika.

## 2. Wrażenie czasu

Zdumiony Fried poznał namacalne wrażenie czasu przez niefortunny wypadek: kiedy resztką sił gonił za małym Kazikiem (patrz: dzieciństwo, obcość), chłopiec pociągnął za skraj serwety, leżącej na biblioteczce, i duża porcelanowa misa z czterema błękitnymi jeleniami, której lubiła przyglądać się z rozmarzeniem Parna, upadła na podłogę i roztrzaskała się na kawałki. Nie rozumiejąc do końca swej reakcji, doktor wyciągnął rękę i wymierzył policzek drobnej dziecięcej buzi. Rozległ się krótki, przeraźliwy szloch i zapadła cisza. „Mój Boże! Co ja zrobiłem?!”. Kazik, nawiasem mówiąc, od razu zapomniał o uderzeniu i bólu i zainteresował się porcelanowymi skorupami. Zdumiało go, że przyczyną zniszczenia może być uderzenie, a nie powolny rozpad. Fried zamknął oczy, czując bolesny żal, że w taki sposób znęca się nad bezbronnym dzieckiem, którego koniec jest przesądzony. Nawet na to nie miał dość czasu, bo Kazik bosą stopą nastąpił na ostry odłamek i krzyknął. Bardziej ze zdumienia niż z bólu, i natychmiast przytulił się do Frieda, który przed chwilą go uderzył. Fried krzyknął razem z nim, bo ujrzał w oczach chłopca, jak odpływa z niego życie, i wiedział, że Kazik poznał ból, którego nie potrafi usunąć ani przyjąć na siebie; układ z bólem nie jest możliwy. Kiedy Fried się pochylił i objął chłopca, zobaczył, że z głębokiego rozcięcia na stopie nie leci krew, lecz jakieś przezroczyste strzępki, nie powietrza i nie wody, coś w rodzaju leciutkiego



pyłku, wypływające z ciała w rytm pulsu, roztopiające się od razu. Fried zrozumiał bez cienia wątpliwości, że jest to sam czas.

### 3. Nie-czas. Patrz: Prometeusz

## זרות

### **Zarut – obcość**

Cecha obcego. Wyobcowanie. Oddalenie i inność

Fried odczuwał dojmującą obcość, przebywając sam z małym Kazikiem (patrz: dzieciństwo) w swoim małym domku. Kazik był dzieckiem żywym i rozbrykanym, musiał dotknąć wszystkiego. Niszczył wszystko, co wpadło mu w ręce, bezwstydnie brudził i nieprzerwanie wyczyniał najdziksze psoty. Szybko rósł, to znaczy: nigdy nie przekroczył pięćdziesięciu jeden centymetrów i trzech kilogramów, które Fried odnotował podczas pierwszego, niedokładnego pomiaru, ale widać było, jak staje się silniejszy i bardziej umięśniony. Stapał rozkołysanym krokiem niczym, mały chuligan w pieluchach. Jego białe włosy albinosa urosły i zgęstniały tak, że Fried był zmuszony związać je, żeby nie wpadały mu do oczu. Doktor – o lasce – krążył za nim po całym domu, odrywając go delikatnie od klamek, wyciągając z umywalk i ubikacji, przez które Kazik chciał czmychnąć. Przez cały czas czynił sobie wyrzuty: „Ze nie zadbałem lepiej o jego wychowanie (patrz: wychowanie) w pierwszych, najważniejszych latach, że byłem zbyt zajęty myślami o sobie, o czasach, kiedy sam byłem takim chłopczykiem, a teraz prawie go nie znam, widzę tylko agresję, zapał do biegania, upadania i wstawania, tyrańską pasję chwytania w rękę całego świata, stawiania na wszystkim stopy zwycięzcy, i to mnie przeraża”. Na ten temat powiemy nieco więcej: przerażało go, że dziecko jest tak silne i obce, że nie wie nic o myślach, przebiegających mu przez głowę, czy Kazik w ogóle kocha Frieda, czy widzi w nim tylko niestrudzonego, nieustępliwego sługę, czy dorośnie i stanie się podobny do Frieda, czy może do Pauli. Wolał, aby był podobny do Pauli, ale nie miał na to wpływu. Zastanawiał się, czy powinien

walczyć z chłopcem, używając swego uporu i doświadczenia życiowego, aby przygotować go do życia, czy lepiej kłamać, bo przecież tak czy owak będzie żył tak krótko. Popatrzył na Kazika myszkującego w głębi wielkiej szafy na ubrania, myśląc, że nigdy nie będą sobie wystarczająco bliscy. To trochę jak przyglądać się swemu odbiciu w lustrze. Nawet jeśli tysiąc i jeden raz powiemy „ja”, nie poczujemy znaczenia tego słowa. Jesteśmy zbyt blisko i zbyt daleko. Po raz pierwszy doktor pozazdrościł dziwnego talentu biografą Zajdmana (patrz: Zajdman), który potrafił przeniknąć do innego człowieka i poznać go od środka.

Stary doktor zamknął oczy, wstrząśnięty gorzką świadomością, że chłopiec jest mu obcy: że to się nie zmieni. Zawsze będzie kochał go bardziej, niż Kazik będzie zdolny pokochać jego. Nawet jeśli jakimś cudem spełnią się jego pragnienia i Kazik faktycznie będzie szczęśliwy i spełniony (patrz: modlitwa), we Friedzie pozostanie niedosyt i głęboki żal, że nie może po prostu być Kazikiem, i tak pokonać poczucie obcości, oderwanie i separację części samego siebie, która samotnie przemierza świat. Zastanawiał się, czy nie lepiej byłoby wszystko przemyśleć i uchronić siebie przed gorzką, niespełnioną miłością, wiedział jednak, że już go pochwyciła. Wiedział też, że każde dziecko powinno uśmiercić coś w rodzicach – nawet najlepszych, najbardziej wrażliwych rodzicach – by utorować sobie drogę na powietrze i światło, jak w zmaganiach starych i młodych drzew. Doktor zrozumiał, że on i chłopiec będą przebywać razem niezwykle krótko, mając do dyspozycji niezwykle ubogie narzędzia wzajemnego zrozumienia, pokochania i współczucia. Kiedy tak spoglądał w przestrzeń, zadumany, Kazik wyszedł z szafy i minął biblioteczkę, pociągając serwetę i *zrzucając* na podłogę porcelanową misę, po której biegły cztery błękitne jelenie. Misa upadła i roztrzaskała się na kawałki.

Patrz: czas.

# חדש, האדם ה-

**Chadasz, ha-adam ha -**

**nowy, nowy człowiek**

Postać, którą pragnęli stworzyć teoretycy ideologii nazistowskiej

Mówiąc o „nowej przyszłości”, obiecywanej przez Rzeszę i Führera, obersturmbannführer Neigel opisał nowego człowieka jako całkowite przeciwieństwo Wassermana. Aby zapewnić czytelnikowi pełniejszy obraz, powiemy w tym miejscu coś więcej na temat nowego człowieka: w *Mein Kampf* Hitler twierdził, że rasa nordycka jest jedynym nośnikiem ludzkiej kultury, dlatego walka z obcym, z Żydem, Słowianinem, krótko mówiąc – niższymi rasami, jest walką świętą. Hans Günther, oficjalny ideolog partii narodowosocjalistycznej, przeprowadził badania na przykładzie dziesięciu milionów Niemców, a następnie stworzył szkic nowego człowieka: powinien być wysokim blondynem o wydłużonej czaszce, pociągłej twarzy, wydatnym, lecz wąskim podbródkiem, jasnych, prostych włosach, głęboko osadzonych, jasnych oczach i białoróżowej cerze (Neigel, jak większość Bawarczyków, miał ciemne włosy i oczy). Ponieważ w Niemczech ludzi pasujących do idealnego wzorca nie było wystarczająco wielu, by zapewnić ich tysiącletnią przewagę, niemieccy przywódcy zaczęli szukać sposobu powiększenia ludzkich zasobów. Z początku powstał pomysł sprowadzenia do Bawarii Norwegów i – przez celowe mieszanie ras oraz odpowiednie odżywianie – przekształcenia mieszkańców w ciągu kilku pokoleń w czystych nordyków. Pomysł ten był zaledwie początkiem szeroko zakrojonego powszechnego planu. Doktor Willibald Hentschel pisał w gazecie „Die Hammer”, oficjalnym organie propagandowym narodowych socjalistów w Berlinie: „Weźcie tysiąc dziewcząt, zamknijcie je w specjalnym obozie, zmuszcie do kopulacji z setkami tysięcy młodych, zdrowych Niemców. Dzięki stu takim obozom otrzymacie niebawem pokolenie stu tysięcy niemieckich dzieci czystej krwi”. Dziewiętnastego lutego trzydziestego dziewiątego roku gubernator Bawarii, gauleiter Paul Giesler, wygłosił przemówienie do studentów uniwersytetu w Monachium. Gubernator przypomniał publicznie o poglądach

narodowych socjalistów na seks (patrz: seks), który ma służyć wyłącznie prokreacji. Podkreślił, że obowiązkiem każdej Niemki jest dać Führerowi dzieci. Przynaglił obecne na sali kobiety, aby jak najprędzej dołączyły do wysiłku budowania narodu niemieckiego, dodając: „Jeśli nie macie z kim płodzić dzieci, mogę wam wypożyczyć mego adiutanta. Nie pożałujecie!”. Należy podkreślić wielkie zaangażowanie reichsführera Himmlera w sprawę tworzenia narodu niemieckiego i doskonalenia nowego człowieka: to Himmler zobowiązał się zaludnić Niemcy – do tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku – stu dwudziestoma milionami nordyckich Niemców. Sam był ojcem chrzestnym każdego niemieckiego dziecka, urodzonego siódmego października – w dniu swych urodzin. Wszystkie dzieci otrzymywały na urodziny świecznik, podarunek od Himmlera, a potem, na każde kolejne urodziny, po jednej marce i świecy za każdy rok życia. Dziesiątki tysięcy pierwszych świeczników wykonali więźniowie Dachau. Himmler zwykł powtarzać: „Gdyby Anna Magdalena Bach przestała rodzić po piątym, dziewiątym, a nawet dziesiątym dziecku, Bach nigdy nie znalazłby się na tym świecie!”. Interesował się także bardzo obyczajami ludowymi, które miały zapewnić narodziny męskiego potomka. Wyniki swych „badań” rozpowszechniał w oficjalnych biuletynach SS. Nieraz lamentował, że posagowe nordyckie dziewoje nie pociągają esesmanów, wołających, nie wiedzieć czemu, krótkonogie, zażywnie kobietki o okrągłych, pulchnych ciałach. Opisuując starania ulepszenia rasy, warto wspomnieć szczególne instytucje „Lebensborn”, założone przez SS z inspiracji Himmlera. Termin ten, ukuty w trzeciej Rzeszy, oznacza dosłownie „źródło życia”. Tak nazywano domy dla ciężarnych kobiet, zakładane przez Himmlera w całym kraju, które pełniły zarazem rolę burdeli i sierocińców. Podręczniki historii nie poświęcają wiele miejsca tym domom, które nazywano także „ludzkimi farmami”. Redakcja pragnie więc podziękować Markowi Hillelowi za pouczającą książkę *Dzieci SS*, która ukazała się nakładem wydawnictwa Miskal w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym roku, w tłumaczeniu Awital Inbar. „Lebensborn” początkowo służyły utworzeniu nowej nordyckiej „nadrasy”, dzięki mężczyznom i kobietom, starannie wyselekcjonowanym zgodnie z rasistowskimi kryteriami. W tym celu Niemcy

porywali setki tysięcy dzieci, określanych jako „wartościowe z punktu widzenia rasy”, aby wychować je na stuprocentowych Niemców, a następnie krzyżować między sobą oraz z czystej krwi Niemcami. Głównym dyrektorem tych ośrodków był Max Sollman (legitymacja członkowska nr 14528 w partii nazistowskiej), który wstąpił do SS w trzydziestym siódmym roku. Inge Viermetz odpowiadała za przydzielanie porwanych dzieci bezdzietnym esesmanom. Na „ludzkie farmy” trafiały dzieci schwyte w północnej i wschodniej Europie. Porywaczom nakazano wybieranie najładniejszych. Metoda była prosta: wypatrywano na ulicy dziecko, które na pierwszy rzut oka odpowiadało rasistowskim kryteriom i przekupywano je słodyczami, aby zdradziło nazwisko i adres. Dane tego samego dnia przekazywano oddziałowi porywaczy. Była to skuteczna metoda, bo w ten sposób można było zdobyć kilkoro odpowiednich dzieci z tej samej rodziny. Nieodpowiednie uśmiercano. Najczęściej zabijano także rodziców, aby – *zabrać* dzieci bez zbędnych komplikacji. Porwane dzieci od pierwszej chwili poddawano ogromnej presji psychicznej, aby zapomniały o swoim pochodzeniu i znienawidziły dawne rodziny. Każde słyszało setki razy, że jego rodzice byli patologicznymi kryminalistami. Ojcowie byli zawsze pijakami i mordercami, a matki określano jako „nieodpowiedzialne rozpustnice, które zabiła gruźlica i alkohol”. Dzieciom zabraniano rozmawiać w ojczystym języku. Torturowano je, kiedy ośmielały się wspomnieć o swym pochodzeniu. Autor książki *Dzieci SS* spotkał w Niemczech kobietę, której naziści pokazali – gdy była pięcioletnią dziewczynką – kamienny sarkofag biskupa w kościele, mówiąc, że tam spoczywa jej matka. Po wojnie matka się odnalazła (wróciła z obozu koncentracyjnego), ale dziewczynka nie chciała z nią zamieszkać, twierdząc: „Widziałam moją matkę zmarłą raz, nie chciałam widzieć jej martwej po raz drugi”. Organizacja „Lebensborn” zajmowała się także Norweżkami, Holenderkami i Francuzkami, które zaszły w ciążę z niemieckimi żołnierzami. Himmler nie chciał, aby doborowe nasienie przypadło w udziale innym nacjom. Takie kobiety przenoszono – czasem wbrew ich woli – do zakładów w Niemczech i opiekowano się nimi należycie do porodu. Noworodki, które z punktu widzenia kryteriów rasistowskich miały jakieś skazy – likwidowano. Wykradano także i przewożono

do placówek „Lebensborn” odpowiednie dzieci z sierocińców we wszystkich okupowanych krajach. W samej tylko ukraińskiej części Węgier porwano ponad pięćdziesiąt tysięcy dzieci. W Polsce – około dwustu tysięcy. Porwani od razu przechodzili badania rasowe. Mierzono im czaszki, obwód klatki piersiowej, długość członka (chłopcy) i obwód miednicy (dziewczynki). Oficjalnie głoszono, że kiedy tylko dzieci osiągną dojrzałość płciową, należy rozpocząć ich rozmnażanie. Dziewczynki otrzymywały zastrzyki hormonalne, przyspieszające dojrzewanie. W wieku piętnastu lat wszystkie miały zostać zapłodnione przez esesmanów. Tym samym „Lebensborn” stały się półoficjalnymi burdelami dla oficerów SS, którzy powszechnie z nich korzystali. Wszystkie porwane dzieci napiętnowano na szyi i na rękę. Himmler nadzorował placówki, zajmując się osobiście nawet najdrobniejszymi detalami: na przykład wysłał telegram z gratulacjami – który zachował się w archiwach – Frau Annie O. (brak pełnego nazwiska), mamce, której piersi w ciągu jednego tygodnia, od pierwszego do siódmego stycznia tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku, wyprodukowały dwadzieścia siedem tysięcy osiemset siedemdziesiąt gramów mleka przeznaczonego dla niemowląt w „Lebensbornie”! Himmler zachęcał do rodzenia niezamężne kobiety, obiecując im wsparcie finansowe. Zwrócił się do wszystkich niemieckich dziewcząt, aby „w czasach wojny nie trzymały się kurczowo zasad skromności i czystości”, i zażądał, aby „życzliwie traktowały żądania młodych mężczyzn, walczących na froncie dla Führera”. Dzisiaj, dziesiątki lat po wojnie, porwane dzieci i ich rodzice wciąż szukają się po całej Europie. W procesie norymberskim w październiku tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego roku wszyscy odpowiedzialni za zakłady „Lebensborn” zostali oskarżeni wyłącznie o przynależność do SS. Nie oskarżono ich z żadnego innego paragrafu.

# חופשה

**Chufsza –**

**urlop**

Wakacje. Chwilowe zwolnienie z pracy lub innych obowiązków

Urlop Neigla był bez wątpienia punktem zwrotnym w historii Wassermana: przed wyjazdem Neigel zażądał, aby Żyd opowiedział mu dalszy ciąg losów Kazika, który miał wówczas około czterdziestu lat. Wasserman z jakiegoś powodu odmówił, twierdząc, że musi akurat w tej chwili podać wszystkie szczegóły, których zabrakło w opowiadaniu, na przykład: po co zebrały się Dzieci Serca na swoją ostatnią przygodę i z kim walczą (patrz: serce, odrodzenie Dzieci Serca). Twierdził, że bez tych informacji całe opowiadanie „nie jest właściwie przygotowane”. Neigel zagotował się z wściekłości. Oskarżył Wassermana o zdradę (patrz: zdrada), ale autor nie chciał ustąpić. Neigel stracił panowanie nad sobą i brutalnie pobił Wassermana. Potem, kiedy załamał się, prosząc Żyda o wybaczenie, wyszedł na jaw jego brzydki sekret (patrz: plagiat).

I tak, nie poznawszy dalszego ciągu historii Kazika, Neigel pojechał na urlop. Po urlopie, gdy wrócił do obozu dręczony wyrzutami sumienia i przerażeniem na myśl o tym, co zaszło w domu, Wasserman, Fried, Otto i inni stali się jego rodziną. Jego bliskimi. Całym światem. Neigel – jeśli można tak to określić – całkiem stopił się z wyobraźnią; z wyobraźnią Anszela Wassermana.

# (ה) חזירות האלה

**(Ha)-chazirujot ha-ele – te świątwa**

Tak nazywała Paula ustawy norymberskie.

Patrz: Hitler

# חיים, משמעות ה-

**Chaim, maszmaut ha – życie, znaczenie życia**

# חיים, שמחת ה-

**Chaim, simchat ha-chaim – życie, radość życia**

Chwilowe bądź stałe poczucie całkowitego utożsamienia z egzystencją

Kazik poczuł radość życia z całą mocą dokładnie o godzinie czwartej dwadzieścia pięć przed świtem. Miał wtedy około dwudziestu dwóch lat. Wyruszyli z Friedem do Ottona, aby go obudzić i poinformować, o czym jeszcze nie wiedział, że życie Kazika jest jednodniowe. Szli powoli, a ze wszystkich zakątków ogrodu wychodzili i dołączali do nich inni artyści (patrz: artyści), żywi i umarli, ci, którzy nigdy nie zamykają oczu. Ogród był pogrążony w mroku, jasno świecił księżyc. Kazik widział cienie, skrywające się w zakamarkach, zwijające się delikatnie, kiedy się do nich zbliżał. Widział tajemnicze ścieżki, wiodące w ciemność, ku przyszłości; lśniąca od rosy, pachnąca świeżo trawę, przepastne nocne niebo, usiane tysiącami powoli oddychających gwiazd, które muskały jego twarz miękkim welonem... Choć przez cały czas z oddali dobiegały metaliczne, zgrzytliwe dźwięki megafonów i serie z karabinów maszynowych, a na horyzoncie widać było czerwoną łunę, gdyż Niemcy likwidowali właśnie getto, Kazik nie rozumiał tego i nie chciał rozumieć. Tak jak nie chciał rozumieć wyrazu smutku i rozpacz na twarzach towarzyszących mu ludzi, bo nagle poczuł, jak serce rozpięra mu pierś i prawie wyskakuje na zewnątrz, całe ciało staje się lekkie, wypełnia je siła i maleńkie musujące banieczki, szmery i eksplozje szczęścia. Zaczął: 1. Tarzać się i turlać po wilgotnej trawie; 2. Skakać na jednej nodze, wymachując rękami; 3. Wykrzykiwać cienkim głosem, pijanym ze szczęścia, że: A. Do diabła, jest tutaj! B. Jest żywy, do jakiego stopnia można w ogóle być żywym! C. Będzie tu od tej chwili do końca świata! Jest wiecznym cesarzem tej chwili! Boskim pieśniarzem bicia swego serca! Artystą, malarzem



trawy i nocnego nieba! Tak! Jest żywy! Żyje! Nie ma na to głębszego ani prostszego wytłumaczenia! Do diabła ze wszystkimi smutnymi odgłosami tam, za nim! Do diabła ze wszystkim, co wiemy o tym gównianym życiu, o bliskim i nieuchronnym końcu Kazika (patrz: Kazik, śmierć Kazika)!!! Fried, widząc nieopanowaną radość Kazika, pochwycił go na chwilę, pełen mrocznego lęku, myśląc o tym, jak wieczny jest wielki czas, w którym on, Fried, jest jedynie przecinkiem, krótką pauzą, chwilowym zastygnięciem płynącego strumienia. Siedemdziesiąt lat wcześniej Frieda nie było w czasie, niebawem go w nim nie będzie, już nigdy nie będzie jego ani całego jego świata i wszystkich rzeczy, które kochał i które były dla niego ważne, zostaną wymazane, jakby nigdy nie istniały. Popatrzył na idących obok artystów i pomyślał, że czeka to każdego. Są jak ślad stopy na bagnistej ziemi, która natychmiast go pochłania. Nie było to nic nowego, a jednak wstrząsnęło nim, bo przez chwilę czuł, że wszyscy zostają wymazani, znikają, obcy, zagubieni i pozbawieni nadziei. Wtedy, bez żadnego racjonalnego powodu, także starego, rozsądnego Frieda ogarnęła pełna obaw, gorączkowa radość. Uniósł do góry wielkie ręce i zdusił krótki, szczęśliwy jęk. Poczł w tej chwili, jak na jego ciele rozkwitają tysiące maleńkich, pachnących kwiatków rozmarynu, wypełniając się słodkim nektarem.

## חינוך

### **Chinuch – wychowanie**

Działanie mające na celu wpłynięcie na osobowość człowieka, zmianę jego zachowania lub ukształtowanie go w konkretny sposób

Niemal od chwili, w której zrozumiał, jak krótki jest czas Kazika, Fried postanowił poświęcić się całkowicie wychowaniu chłopca. Powiedział sobie w duchu, że nie wolno mu zmarnować ani chwili, zwłaszcza w dzieciństwie, kiedy chłonny umysł przyswaja wszystko. Ujął rękę Kazika – maleńki cud architektury! – szedł obok niego pochylony i wskazywał rozmaite przedmioty w pokoju, wymieniając ich nazwy: Dywan. Lampa. Stół. Krzesło. Jeszcze jedno

krzesło. I jeszcze jedno krzesło... Chłopiec powtarzał wszystko, nie zapominając ani słowa. Fried opowiedział mu pośpiesznie, gorączkowo, o domu, który składa się z pokojów, o pokojach, zrobionych z cegieł, o ogrodzie zoologicznym z wieloma klatkami, o ludziach, którzy przychodzą przyglądać się zwierzętom i którzy także składali się z różnych części, ale od razu poczuł, że opis w jakiś sposób rozmija się z prawdą, nie jeśli chodzi o znane, proste fakty, ale stojącą za nimi żywą prawdę. Przerwał, zły na siebie: Nu, naprawdę! Co za bzdury! Przecież trzeba zacząć od ważnych rzeczy! Pochylił się, przytrzymał Kazika przed sobą i płynnie, serdecznie, zaczął mu opowiadać o żyjących na świecie ludziach, o podziałach na rozmaite kraje, religie i partie... Przerwał i dodał z wahaniem: „i ideologie polityczne”, ale w ustach poczuł suchy smak tego podziału. Mówiąc Kazikowi: Polska, Niemcy, chrześcijaństwo, komunizm, Wielka Brytania, judaizm i tak dalej, poczuł to samo, co pięćdziesiąt lat wcześniej, kiedy zdawał egzaminy końcowe na wydziale medycyny w Berlinie i musiał wyrecytować przed pełną aulą szereg nieuleczalnych chorób, bezlitośnie dziesiątkujących ludzkość. Natychmiast skarcił sam siebie: Nu, naprawdę, co za bzdury wygadujesz. Przecież powinno się go najpierw nauczyć, kim powinien być, to znaczy... Mimo szlachetnych intencji nie mógł się powstrzymać, aby nie wygłosić jeszcze kilku chaotycznych zaleceń: strzeż się nieznanomych, bądź podejrzliwy wobec obcych, nie mów nigdy, co naprawdę myślisz, nie wierz nikomu, mów prawdę, tylko jeśli nie ma innego wyjścia, ktoś na pewno wykorzysta ją przeciwko tobie, nie kochaj nikogo za bardzo, nawet siebie. Słowa te wylewały się z duszy Frieda niczym nieopanowane fale torsji. Mówił gorączkowo, tonem i stylem swego surowego ojca. A przecież przez całe życie odpychał te gorzkie rady. Im bardziej był przekonany o ich słuszności, tym mocniej czuł, że ich nienawidzi, i miał nadzieję, że okażą się fałszywe. Chciał ofiarować synowi ciche pocieszenie, jak robiła to jego ukochana matka. Grywali razem na fortepianie, melodia otulała ich niby mgłą, wysnuwająca się spod jej palców. Ojciec drwił, że Fried gotów wyrosnąć na „artystę i cygana”. Fried nigdy nie zapomniał nuty lekceważenia w jego głosie. Słyszał, jak dobywa się z jego własnych ust z okrutną precyzją – bolesna także dla niego – kiedy powtórzył te

słowa Ottonowi, gdy ten zaczął sprowadzać do ogrodu wszystkich szaleńców (patrz: serce, odrodzenie Dzieci Serca). Tak, w dzieciństwie Fried marzył, że zostanie pianistą, ale wtedy matka zachorowała. Pewnego dnia ojciec wszedł do jego pokoju i powiedział sztywno, że matka wyjechała daleko. Tak po prostu, bez pożegnania? Nie zadawał pytań, starał się tylko ją zapomnieć, szybko i z nienawiścią, za to, co mu wyrządziła. Zaczął się oddalać od rówieśników i błądzić po okolicznych polach. Spotykał tam rozmaite małe zwierzęta i przekonał się, że przed nim nie uciekają. Było to zagadkowe zjawisko: nawet dzikie króliki spokojnie czekały, aż podejdzie i delikatnie je pogłaszcze. Mniej więcej w tym czasie poznał Ottona Briga (patrz: Brig) i jego siostrę Paulę. Tak rozpoczął się najszcześniejszy okres w jego życiu, z Dziećmi Serca. Ale także i te czasy przeminęły. Fried dorósł i został lekarzem, jak ojciec i dziadek. To była rodzinna tradycja, starszy syn zajmował się handlem, młodszy – medycyną. Wybuchła pierwsza wojna światowa, Fried został lekarzem wojskowym, brał nawet udział w kilku bitwach i był świadkiem czynów, o których nie miał pojęcia, że mogą dopuścić się ich ludzie. Wydarzyły się jeszcze inne rzeczy, ale nie ma sensu opowiadać o nich ze szczegółami. Życie kopało Frieda z każdej strony (patrz: biografia), a on, z zemsty, żył tak, jakby znęcał się nad majątkiem zrabowanym wrogowi. Teraz jednak, kiedy siedział i rozmawiał z Kazikiem, ze smutkiem zdał sobie sprawę, że wszystko, co przepowiadali ojciec i dziadek, bezpośrednio lub tylko krzywiąc z niechęcią usta, spełniło się co do joty. Zastanawiał się, czy jego życie wyglądałoby inaczej, gdyby odważył się walczyć o mglistą pociechę, oferowaną przez piękną, subtelną matkę, która za każdym poruszeniem roztaczała tak piękny zapach. Dopiero wtedy przestał mówić o głupstwach i zaczął opowiadać Kazikowi o tym, co najważniejsze: o Pauli. Uwięziony w jego ramionach chłopiec kręcił się trochę, ale Fried nie zauważał tego, tak był zaabsorbowany swoją historią. Nigdy przecież nie ośmielił się wypowiedzieć tego na głos ani nawet o tym myśleć. Nawet Pauli nie potrafił powiedzieć ani jednego słowa miłości, niczego miłego. Otto: Ale ona wiedziała, Fried, wiem, że wiedziała. Fried patrzył przed siebie, oślepiiony łzami, i opowiadał Kazikowi o straszliwej tęsknocie za zapachem jej pachy,

zmarszczkami wokół oczu, kiedy się uśmiechała, pieprzykiem, który był jego wyłączną własnością – tylko on na całym świecie wiedział o jego istnieniu. Nawet Paula nie mogła go tam dojrzeć. Fried pojął na nowo całą głębię swej straty, bo kochał Paulę bardziej niż cokolwiek na świecie. Miała cudowny talent do życia, do swego życia, i wszystko robiła we właściwy sposób, nawet kiedy siadała na krześle czy opatrywała skaleczenia. Czasami w jej obecności Fried czuł, że on także żyje, że jest w nim coś, co być może jednak zasługuje na dobre życie. Tak rozmawiał z Kazikiem przez długie minuty, z zamkniętymi oczami, z płonącymi policzkami, czując głęboką wdzięczność, bo tylko dzięki dziecku, które urodziło mu się na starość, zaczął porządkować chaos swojego *życia*, mógł znaleźć miejsce w swoim własnym czasie, wyschnięte od dawna ziarenko uniósł nagle wiatr, rzucił na płodną ziemię, gdzie zaczęło kiełkować. Fried mówił – a właściwie nie mówił, lecz jęczał, rzucał słowa i westchnienia Kazikowi w twarz, bo czuł, jak krótki jest czas (patrz: czas). Kazik o mało nie udusił się pod tą lawiną, która na niego spadła, która zniszczyła jego szybko uciekające życie, obciążając go doświadczeniem, którego nigdy nie będzie mógł wykorzystać, bo chciał przeżyć własne życie, popełniać własne błędy. Fried nagle otworzył oczy, popatrzył na chłopca z litością (patrz: litość), widząc, jaki jest mały, słaby i biedny, i umilkł, zasmucony. Tak siedzieli, objęci, przez dłuższą chwilę. Doktor wiedział, że teraz, dopiero teraz, robi dla swojego syna to, co najważniejsze.

## חמלה

### **Chemla – współczucie**

Patrz: litość

# חשד

## Chaszad – podejrzenie

Przecucie. Założenie, że istnieje jakieś zjawisko negatywne

Kiedy Neigel wyjechał na urlop (patrz: urlop) do Monachium, jego podwładny, sturmbannführer Stauke (patrz: Stauke), osaczył Wassermana, gdy ten kopał w ogródku. Wypytywał chytrze: To prawda, co opowiadają o tobie, że nie potrafisz umrzeć? (Wasserman zaprzeczył), pytał także o jego stosunki z Neiglem. Wasserman: „Ten Stauke, oby żył jak najdłużej z dala ode mnie, amen! Ma takie spojrzenie, niech Bóg się nad nami zlituje! Jakby po kolei wyrwano mu wszystkie rzęsy! Wydaje mi się, że chciał mnie wykorzystać do wybadania atmosfery, chciał się dowiedzieć, czy jesteśmy z Neiglem przyjaciółmi od serca, kochającymi się niczym Dawid i Jonatan! Ale ja też nie wyklulem się wczoraj, udawałem zupełnego niedojdę, odpowiadałem z opuszczonymi skromnie oczami, że taki nędzny żydek jak ja nie może plotkować z czcigodnym niemieckim oficerem! Natychmiast twarz mu pociemniała jak przypalony garnek i odszedł. Wieczorem przyszedł znowu, krocząc niczym gąsior, i znowu zaczął wypytywać, co się dzieje między mną a Neiglem (to znaczy, że zaczynają już coś zauważać!). Zdjął nawet, czapkę, błyskając ogoloną czaszką. Myślał, że mnie przerazi. Pozostałem jednak lojalny w stosunku do Neigla. Na koniec Stauke uśmiechnął się tak, że aż spociłem się po czubek głowy, odwrócił się i poszedł w swoją stronę. Podejrzewał mnie, co nie jest zbyt istotne, ale jasne jak słońce w południe, że Herr Neigel też nie jest wolny od podejrzeń Staukego!

# חתונה

## Chatuna – wesele

Uroczystość ślubna

Na mój ślub z Ruti przyjechała ciotka Itka z ręką w gipsie. W ten sposób zakryła numer na rękę, bo nie chciała rzucać cienia smutku na radosną

uroczystość. Serce ścisnęło mi się z żalu i współczucia, kiedy myślałem, co przeszła, decydując się na to. Przez cały wieczór nie mogłem oderwać oczu od jej ręki. Czulem, jakby tam, pod małym, czystym gipsem, rozwierała się przepastna otchłań, wciągająca nas wszystkich, udekorowaną odświętnie salę, gości, radość, mnie. Musiałem to tutaj opowiedzieć. Wybaczcie.

## טבח, כצאן ל—

### **Tewach – rzeź, jak owce na rzeź**

Tylko jeden raz rozmyślał Wasserman o uległości więźniów i ich gotowości do znoszenia bez sprzeciwu cierpień z rąk oprawców. Było to, kiedy Neigel kolejny raz wybierał robotników z nowego transportu, który właśnie wjechał do obozu. Wasserman znowu patrzył na „niebieskich”, którzy witali nowych więźniów na rampie. Widzieli, że Neigel nadchodzi, rozumieli, co to oznacza. Mimo to dalej wykonywali swoje zadania, jak ich poprzednicy, za każdym razem, kiedy Neigel przychodził wybrać nową grupę robotników. Wasserman: Boże wielki, przecież nawet kiedy nas zabierano tam, znaczy się do gazu, pod nadzorem jednego Ukraińca, nie przyszło nam do głowy powstać przeciwko niemu, zbuntować się! To był wyrok Niebios! Nie sposób powiedzieć, że nie wiedzieliśmy, co nas czeka, przebywaliśmy w obozie trzy miesiące i nie byliśmy ślepi, czuliśmy w nozdrzach swąd dymu. No – powiedzmy – nie jakiś prawdziwy bunt, lecz jeden jedyny policzek wymierzony strażnikowi, oby trawa wyrosła mu na twarzy, niewielkie splunięcie, strużka śliny, jedna, jedyna kropla śliny w całej Sodomie? Nie? Aj, jestem przekonany, że wstyd już wtedy płynął nam w żyłach jak znieczulający narkotyk. Wstyd, że kiedy coś podobnego wyrządza się istotom stworzonym na podobieństwo Boże, nie pozostało nic na świecie, dla czego warto się buntować. Czy to słuszna odpowiedź, Panie? Czy ludzie aż tak zdradzili samych siebie, że w ramach jedynej należnej im kary nigdy już nie mam ruszyć palcem dla wątpliwego przywileju ponownego nazwania się „człowiekiem”? Et, piękne myśli przy kopaniu i pieleniu. Nie

miałem podobnych, kiedy pędzono nas ciemnym korytarzem do gazu. Jestem pewien, że rozbrzmiewała w nas ta sama melodia, kołysanka oswojona przez rozpacz i desperację. Wielki metronom śmierci odmierzał obojętny, pradawny rytm, odgłos ogromnych szczęk, gotowych na nasze przyjęcie, wciągających i miażdżących nas w środku, tik-tak, tik-tak, staliśmy się częścią maszyny śmierci, aj, nie udzie idą na śmierć, ale to, co pozostało po człowieku, kiedy go długo lżono i upokarzano, metalowy szkielet ludzkiego charakteru, kółka zębate bez duszy, jakie mają wszyscy... Tylko je mogliśmy wtedy pokazać, ironiczne, nędzne wyzwanie wobec naszych katów. Oto okrutne odbicie ich wizerunku, jakby nie Żydzi szli na śmierć, lecz ożywione zwierciadła, ukazujące w niekończącym się, ponurym pochodzie obraz otaczającego świata... Wydając na niego wyrok swoją śmiercią, masową, niewytłumaczalną śmiercią, która już zawsze będzie się odzwierciedlać w nagiej pustyni waszego życia...

Słowa Wassermana przytoczyliśmy w całości, bez zmian i bez skrótów. Mimo wszystko, dla zachowania równowagi, powiemy tylko: Żadnego przekleństwa? Naprawdę? Choć jednego policzka wymierzonego Ukraińcowi? Tak po prostu? Jak owce na rzeź?

## יומן

### **Joman – dziennik**

Zeszyt, w którym człowiek codziennie lub w regularnych odstępach czasu opisuje wydarzenia, działania, myśli itp.

Dziennik warszawskiego ogrodu zoologicznego, prowadzony przez doktora Frieda, to jedyne świadectwo ogromnych zmian, które nastąpiły tam od lat trzydziestych. Początkowo Fried zapisywał co wieczór suche, zawodowe fakty, stan zdrowia zwierząt, zakup i sprzedaż okazów (na przykład fragment z 31.08.37. „Prześwietlenie młodego lamparta Maksa. Zbadano kości miednicy i tylnych łap. Nic nie wskazuje na uszkodzenie kręgosłupa. 2. Kości udowe i stawu skokowego w dobrym stanie. Widać linie wskazujące na niewystarczające

zwapnienie kości udowej. Pawianica Amadea oddaje mocz z krwią. To oznacza początek rui... Wysłano prośbę o sprowadzenie dwóch par kondorów. Otrzymano propozycję z Anglii, Szwecji i Francji i towarzystwa Wild Life w Reading Center, White Hampstead w Anglii”). Ale odkąd ogród zmienił „krąg zainteresowań” i „włączył się” mimowolnie do wojny Ottona, dziennik zaczęły wypełniać raporty i opisy stanu artystów (patrz: artyści), przybyłych do zoo. Na przykład: „2.11.42. Do ogrodu przybył Ilja Gincburg (patrz: Gincburg). Stan: bardzo ciężki. Jego życiu zagraża niebezpieczeństwo. Szok fizyczny i psychiczny w następstwie elektrowstrząsów. Wyrwane wszystkie dziesięć paznokci u nóg i rąk... Wyrwane szesnaście zębów... ślady oparzeń w rejonie członka i sutków... 5.02.43: Malkiel Zajdman (patrz: Zajdman). Pod obiema pachami ropiejące wrzody. Jak dwie ziejące rany, niereagujące na leczenie. Zaleca się: przenieść go do innego zajęcia, z dala od młodych flamingów, którym wyrastają skrzydła... 6.09.43: Richter (patrz: Richter). Całkowita utrata wzroku. Katarakty pokrywa biały, fosforyzujący pyłek, niewiadomego pochodzenia. Po oczyszczeniu pojawia się ponownie...”.

I tak dalej, i tak dalej.

## ילדות

### **Jaldut – dzieciństwo**

Okres życia człowieka od narodzin do końca dojrzewania

Dzieciństwo Kazika trwało około sześciu godzin. Od godziny dwudziestej pierwszej, kiedy biały motyl zatrzepotał nad nim skrzydełkami, do mniej więcej trzeciej w nocy, kiedy chłopiec przebudził się ze snu dojrzewania (patrz: sen dojrzewania). Był żywym, energicznym dzieckiem, psotnym i ciekawskim. Wciąż wspinał się na meble, bez lęku skakał z dużej wysokości na podłogę. Co pewien czas doktor prosił delikatnie, aby się uspokoił. Fried: Sam przecież czułem, że nie powinienem ograniczać dziecka, które ma tak niewiele czasu (patrz: czas), i wierzcie lub nie, trochę podobał mi się jego upór, to, że za każdym razem



natychmiast się podnosił i rzucał naprzód ze wszystkich sił, śmiało, bez wahania. Jeśli wolno mi się trochę pochwalić, powiem, że tę odwagę i pewność siebie uważam za owoce mojego wychowania (patrz: wychowanie). Tak. Fried zauważył także, że co kilka minut Kazik zamyka na chwilę oczy i jakby przenosi się w inny wymiar. Miał nadzieję, że nie jest to jeszcze jeden z dziwnych symptomów choroby, ale potem zdał sobie sprawę, że to po prostu krótkie przerwy na sen. Przecież jedna sekunda Kazika równała się ośmiu godzinom życia zwykłego człowieka, więc owe chwile snu były dla chłopca nocami, po których wracał do zabawy pełen sił i energii. Popychał krzesła po całym pokoju, rzucał grubymi tomami książek, rozdzierał zakurzone kartki, myszkował bezwstydnie po szufladach (Fried: On dotyka moich najbardziej osobistych rzeczy! Skąd wziął się tutaj taki dzieciak?!) i wydawał na całe gardło nic nieznaczące okrzyki, wyłącznie dla przyjemności, z czystej radości wydawania głosu. Fried: Ani na chwilę nie przestawał zadawać pytań, dlaczego, dlaczego i dlaczego, jak i co, wielkie pytania i małe pytania, w ogóle nie czekał na odpowiedzi! Istotnie, można stwierdzić, że kusił go sam fakt wypowiedzania słów ze specjalną pytającą intonacją, jakby w jego brzuchu tkwiła zwinięta sprężyna w kształcie znaku zapytania, która co chwilę wyskakiwała, przynosząc mu chwilową ulgę. Takim ruchem łososie przeskakują rzeczne progi. Otto: Biedny Fried! Z początku próbował odpowiadać serio na każde pytanie, a czasami biegł do swych wielkich książek, żeby sprawdzić, czy się nie myli i nie wprowadza chłopca w błąd. Paula: Zawsze obawiałam się zapytać Frieda o cokolwiek, nawet o drobiazg, bo natychmiast zaczynał perorować... Doktor złościł się w duchu, że chłopiec jest tak powierzchowny, ale pytania Kazika przypominały mu podrygi stworzeń, które na studiach obserwował pod mikroskopem, stworzeń, które w każdym skřęcie kończą jeden impuls życia i rzucają się w następny. Markus: Przyznaj, drogi Friedzie, że te pytania były interesujące, pełne wyobraźni i nadziei, o wiele bogatsze od odpowiedzi, które mogłeś mu zaoferować... Wkrótce potem stary doktor popadł w przygnębiecie, bo poczuł, jak bardzo dziecko jest mu obce, beznadziejnie obce (patrz: obcość). Fried: Tylko na krótko. Naprawdę. Szybko zdołałem się z tego otrząsnąć i nie myśleć o sobie, ale starać się okazać

mu serce, na co zasługuje każde zwykłe dziecko.

Patrz: dzieciństwo, przyjemności dzieciństwa

## ילדות, מחלות ה-

**Jaldut, machalot ha-jaldut – dzieciństwo, choroby wieku dziecięcego**

Przez całą noc Kazik – poza innymi zjawiskami fizjologicznymi – miał dreszcze, oblewały go fale zimna i gorąca. Pojękiwał wtedy urywanie, jak mały piesek, a Friedowi pękało serce. Doktor domyślał się, że chłopiec, na swój przyspieszony sposób, przechodzi wszystkie choroby wieku dziecięcego po kolei, początek spadających na niego ciosów (patrz: biografia). Na oczach Frieda na drobnym ciele dziecka pojawiały się i znikwały esy-floresy malowane przez pęcherzyki ospy wietrznej, truskawkowe plamki odry, a potem nieregularne księżycy świnki i wszystkie inne choroby, co do jednej. Fried z troską całował wilgotne czołko dziecka, poił Kazika łyżeczką i spędzał przy łóżku chorego długie noce, które co prawda trwały tylko chwilę, ale lęk ma własną rachubę czasu. Przez cierpienia chłopca – bardziej niż jego radości i uśmiechy – odczuwał Fried, jak jest do niego przywiązany i jak bardzo go kocha.

## ילדות, מנעמי הילדות

**Jaldut, mena'amej ha-jaldut – dzieciństwo, uroki dzieciństwa**

Nawet kiedy Kazik był prawie nie do zniesienia (patrz: dzieciństwo), stary doktor usiłował uprzyjemnić mu życie. Z całej siły próbował przypomnieć sobie, co sprawiało mu radość, kiedy był małym chłopcem. Starał się odtworzyć w pamięci zwłaszcza rzeczy związane z ojcem, który w pierwszych latach życia Frieda nie był jeszcze tak surowy i nie próbował bez ustanku przygotowywać go

do życia. O dwudziestej drugiej trzynaście, kiedy Kazik miał około trzech lat i kilku miesięcy, Fried rozsmarował na twarzy odrobinę kremu do golenia i pośpiesznie się ogolił, tylko po to, aby Kazik mógł powąchać jego przyjemnie, a zarazem przerażająco gładkie policzki. Doktorowi to jednak nie wystarczyło. Zgasił światła we wszystkich pokojach i rozrzucił na podłodze kilka srebrnych monet. Fried: To faktycznie było trochę niemądre, aż wstyd opowiadać, ale miałem swój powód, bo zawsze, kiedy mój ojciec wracał wieczorem z pracy, zdejmował spodnie i z kieszeni wypadały mu monety. Co wieczór czekałem na ten dźwięk. Markus: Nasz godny podziwu Fried, nie oszczędzając starego ciała, delikatnie i serdecznie mocował się na dywanie ze swym małym, kłusującym pieskiem, zaginając mu z wielką ostrożnością małą rączkę za plecami, zmuszając do wygłoszenia rodzinnej formuły kapitulacji. Fried: Oświadczam, że całkowicie i bezwarunkowo poddaję się panu ojcu, lekarzowi rodzinnemu arcyksięcia... Na koniec doktor postawił chłopca na swoich ogromnych stopach i chodził z nim po pokoju, śpiewając: – Spij maleńki już, siwe oczka zmruż... – Kiedy Kazik roześmiał się perliście i gardłowo, Fried poczuł, że być może po raz pierwszy w życiu stał się prawdziwym lekarzem.

## יצירה

### **Jecira – tworzenie, dzieło artystyczne**

1. Akt stworzenia świata. Kreacja czegoś całkiem nowego
2. Praca artysty

W wielkim sporze z Wassermanem (patrz: pułapka), kiedy Neigel zażądał, aby pisarz zmienił opowiadanie i usunął „antyniemieckie fragmenty”, autor wyznał redakcji, że na ogół sam nie rozumie większości aluzji, które rozsiewa dla siebie w tekście. Przysięgał, że przez dłuższy czas nie miał pojęcia, w jakim celu zebrały się ponownie Dzieci Serca i z czym zamierzają walczyć. Podobno wiedział tylko, iż jego zadaniem jest „rzucić na szalę własne życie” (dramatyczny Wasserman!), by „zapamiętać opowiadanie, które z natury rzeczy zawsze

odchodzi w niepamięć”. Wasserman: Aj, wciąż nie wiem, jak się skończy ta opowieść, ale teraz mam iskrę, impuls, który wie, zanim ja wiem... Iskra przeskakuje z litery na literę, ze słowa na słowo, zapalając całe opowiadanie, jak światełka w lampie chanukowej... Wcześniej nie znałem wartości prawdziwej sztuki pisarskiej: nie miałem tej iskry... nawet moja pasja była ukryta... a teraz – patrzcie! Drogocenne światło. Wiesz, że nawet w takim nieudaczniku jak ja, który nigdy niczego nie osiągnął, który nigdy nie zadziwił świata swymi dokonaniem, nie był księciem, ministrem ani generałem, nie zdobywał kobiet ani nie podróżował po świecie – w zwykłym Żydzie, takim jak ja, jest dość ciasta, aby upiec rogal, którym zadławi się Neigel. Strzeż się, Neigel! Powtarzam w duchu, strzeż się! Jestem pisarzem!

Jakiś czas po tym, kiedy Neigel mu zarzucił: – Niszczysz opowiadanie! Nie rozumiem, czemu nie możesz pisać jak człowiek? Czemu nie myślisz o czytelnikach? – autor odparł ze słabym rumieńcem dumy:

– Opowiadam tę historię tylko sobie... To ważna lekcja, którą tu pojąłem, Herr Neigel, a której nie nauczyłem się przez całe życie. Dopiero teraz wiem, że nie ma innego sposobu, jeśli naprawdę chce się stworzyć dzieło sztuki. Prawdziwe dzieło sztuki. Na tym to polega: tylko dla siebie!

## כוח

**Koach – siła**

Patrz: sprawiedliwość

## לב, תחית ילדי ה-

**Lew, tchijat jaldej ha – lew**

Serce, odrodzenie Dzieci Serca

Nie ma wątpliwości, że jedynie dzięki Ottonowi Brigowi (patrz: Brig)

działalność Dzieci Serca odżyła ponownie po blisko pięćdziesięciu latach. Ciąg wydarzeń, które do tego doprowadziły, jest czasem niejasny ze względu na całkowity brak dokumentacji (patrz: dokumentacja). Winę za to ponosi przykry, a niekiedy wręcz zbrodniczy brak świadomości Ottona Briga na temat wagi dokumentacji historycznej i zapisu wydarzeń. Mimo wszystko można odtworzyć (hipotetycznie!) dni, poprzedzające ponowne powołanie grupy: czasy, gdy świat „stanął na głowie” (Wasserman). Otto całymi dniami kręcił się po żydowskim getcie w Warszawie, szukając robotników na miejsce stałych pracowników ogrodu zoologicznego, którzy poszli do wojska i nie wrócili do pracy po zakończeniu walk. Sprawdziwszy zezwolenia, polscy żandarmi odesłali Ottona do długiego szeregu robotników przymusowych na ulicy Grzybowskiej, czekających na przydział do grup roboczych – murarze, szewcy, profesorowie, nauczyciele gry na skrzypcach itd. – głównie przy sprzątaniu warszawskich ulic i latryn. Otto jednak chciał zatrudnić ochotników. Nie zamierzał nikogo do niczego zmuszać. Na Karmelickiej, obok ostatniej lipy, która pozostała na terenie getta (do której Żydzi ciągnęli niczym pszczoły do miodu, z bezbrzeżną tęsknotą podziwiając złociste, pełne życia kwiaty), jakiś starszy pan wytłumaczył mu, że Żydzi mają wrodzoną niechęć do zajmowania się zwierzętami, i „trochę już za późno na zmianę”. Inni umykali bez wyjaśnień. Pewien człowiek, który niegdyś sprzedawał Ottonowi okrawki mięsa dla ogrodu (zajmował się zaopatrywaniem hoteli), poradził, aby poszedł na Pawiak, przekupił strażnika i poprosił, aby więźniowie przyszli na jeden dzień do ogrodu. Słowo „więźniowie” z jakiegoś powodu poruszyło Ottona, który pośpiesznie tam się udał. Czuł emanujące z przechodniów narastające przecucie nieuchronnej katastrofy. Otto: Było naprawdę strasznie. Moje serce płakało. Wszyscy mieli spojrzenia osaczonych zwierząt, które nie mają siły uciekać dalej. Tak. Wtedy zrozumiałem, że muszę coś zrobić. Pomóc. Tak, właśnie: walczyć. Na początku, kiedy szukałem robotników w getcie, myślałem sobie: Otto, musisz pomóc tym biedakom, musisz ich dobrze karmić i dobrze traktować, jak należy się wszystkim. Potem pojąłem, że to nie wystarczy, że trzeba zrobić o wiele więcej. W witrynach sklepów na Krakowskim Przedmieściu

i w Alejach Jerozolimskich Niemcy wywieszali ogromne plakaty, przedstawiające biednych Żydów jakby byli straszliwymi zbrodniarzami. Pod spodem pisali „żydowsko-bolszewicka zaraza”, jakbyśmy byli głupcami, wierzącymi w podobne rzeczy. Na każdym skrzyżowaniu zainstalowali szczekaczki, tak na nie mówiono, które przez okrągły dzień wyszczekiwały informacje propagandowe, ogłaszały zwycięstwa i informowały o żydowskiej zdradzie, przez którą dziesiątki tysięcy polskich oficerów trafiły do niewoli w Katyniu pod Smoleńskiem. Wszystko to było tak ohydny kłamstwem, że powiedziałem sobie w duchu: Ottonie Brig, pięćdziesiąt lat temu byłeś o wiele odważniejszy, nie wiedzieć czemu wtedy się nie bałeś, docierałeś do najodleglejszych zakątków, by pomóc potrzebującym. Do Armenii, gdzie Turcy mordowali Ormian, nad Ganges w Indiach, gdzie szalały powodzie, a nawet na Księżyc razem z Indianami, a co z głuchym staruszkiem Beethovenem i Galileuszem w tarapatkach? Wszędzie leciałeś jak na skrzydłach wraz ze swoją drużyną. Kiedy pomyślałem o mojej drużynie, ach, Boże święty! Krew zaczęła szybciej krążyć mi w żyłach, poczułem się jak Jesse Owens na olimpiadzie! Tak! Powiedziałem sobie po cichu, musimy coś zrobić, my, drużyna, bo kto poza nami potrafi ratować świat przed samym sobą, kiedy zaczyna się obłęd, kto ma większe doświadczenie? Jeśli nie zrobimy nic w chwili, kiedy jesteśmy tak bardzo potrzebni, to nie będziemy więcej warci niż papier, na którym nas zapisano; zwykle, żalosne postaci literackie, kukiełki, idące tam, dokąd je wysyłają. Nie, Ottonie Brig! (Tak powiedziałem do siebie). Nie! Musimy działać! Powstańcie wszyscy, weźmy udział w najważniejszej, najbardziej sprawiedliwej wojnie! Chociaż nie wiedziałem jeszcze dokładnie, co to będzie za wojna, w sercu zacząłem nucić nasze hasło: Serce gotowe? Odpowiedziałem sam sobie: Serce gotowe! Na każdą próbę? Na każdą próbę! To było nasze zawołanie przed pięćdziesięciu laty. Kiedy chciałem zwołać drużynę przed nowym zadaniem, rysowałem kredą serca na drzewach i płotach. W ten sposób dowiadywali się, że mamy się zebrać. Wiedziałem, że nadszedł czas, aby znowu rysować serca. Rozmyślając o tym wszystkim, doszedłem na Pawiak w chwili, kiedy otwierano główną bramę. Na kopniakach wyleciał stamtąd stary Żyd, który potoczył mi się aż pod nogi, z całkowitym spokojem uśmiechnął się

prawie całkiem bezzębnymi ustami i zapytał, czy mam papierosa. (Na temat pierwszego spotkania Ottona Briga i Jedidji Munina patrz: Munin). Fried: Skoro mowa o pierwszych dniach drużyny, trzeba powiedzieć prawdę, że Otto strasznie się wtedy zmienił. Żał było na niego patrzeć. Wyglądał jak chory z wysoką gorączką. Twarz mu pałała. Ciagle był zaaferowany, mówił sam do siebie i wечно dokądś biegł. Kierowanie ogrodem zostawił mnie i całymi dniami wędrował po getcie, wchodził i wychodził dzięki specjalnym przepustkom, szukał na ulicach, po więzieniach, w domach wariatów, w zakładzie dla młodych kryminalistów... Otto: Pewnie myśleliście, że też mam nie po kolei w głowie? Fried: Powinieneś być sam się zobaczyć! Pewnego dnia wstaliśmy rano i ujrzelśmy – Paula: Ogromne serce narysowane kredą na drzewie pod domem. Fried: Na wszystkich ławkach w alei Wiecznej Młodości i na pomarszczonej skórze młodego słońca. Paula: Mój Fried był w rozpacz. Ja też, oczywiście. To naprawdę był żalony widok. Nasz Otto taki odmieniony i dziwny. Najgorsze, że nie chciał zdradzić, co mu leży na sercu. Przez cały czas powtarzał, że zamierza walczyć, a ja, mam droga, jak ja się bałam! Otto: Pewnie sobie myślałaś – z bronią w rękę? Paula: A co innego? Pewnie, że tak! Skąd miałam wiedzieć? Potem ogród zaczął się wypełniać rozmaitymi cudakami, strach było wyjść z domu. Na przykład ta biedaczka, która co noc chodziła nago wśród klatek z drapieżnikami (patrz: Cytryn Chana), albo mały biograf ze śmierdzącą teczką, który był nawet miły, ale wciąż przenikał do mojego wnętrza i naśladował mnie (patrz: Zajdman Malkiel), a nawet, proszę mi wybaczyć, pan, panie Markus (patrz: uczucia), bo po całych dniach wypytywał pan, co czujemy w danej chwili, nie mówiąc o nieszczęśniku, który tak dziwnie pachniał (patrz: Munin), że w ogóle nie można było przy nim przystanąć! Fried: Coś obrzydliwego! Pewnego razu uznałem, że wystarczy, poszedłem i zapytałem, oczywiście jako lekarz, co to za zapach i dlaczego tak dziwnie chodzi, a ten lajdak na środku ogrodu bez żenady zsunął spodnie i pokazał mi w środku coś w rodzaju ogromnej kieszeni, z paskami, klamerkami i diabli wiedzą czym jeszcze. Munin: Mam jądra jak strusie jaja, panie doktorze, a to wszystko z powodu mojej twórczości, o której pan Otto z pewnością opowiadał. To boli. Ma

nie boleć? Boli! Dla sztuki trzeba pocierpieć! Musimy znosić najgorsze dolegliwości dla „odkupienia boskiego”, u nas Żydów tak zawsze, nie ma nic na skróty, nawet nasi prorocy nie robili nic na skróty. Prorok Ozeasz, który musiał spędzić całe życie – za przeproszeniem – z kurwą, ladaczną, spłodzić troje dzieci tylko po to, aby wypełnić boskie przeznaczenie, swoją sztukę. Ja także, bez wytchnienia, całymi dniami zabawiam się moim małym rogiem, pocieram go, ale nigdy nie zadmę! Broń Boże! Wtedy wszystko byłoby na nic! Cała praca i cały mój trud! Jeśli ktoś powie: popiół w twoich ustach, robaku, jak śmiesz stawiać się na równi z prorokiem Ozeaszem, odpowiem, że Baal Szem Tow<sup>8</sup> pozostawił nam naukę, że błogosławiony Pan pragnie, aby służyć mu na rozmaite sposoby, czasami tak, czasami inaczej. W kabale jest powiedziane, że także obżarstwo to boża iskra w nas, która pragnie zjednoczyć się z boską iskrawą w pokarmie, podobnie jest w kopulacji, to znaczy, że także stamtąd, czyli z członka, za przeproszeniem fiuta, wychodzi to samo pragnienie, i nawet u najmniejszego z ludzi, jak ja, iskra ta wznieci następną iskrawę i połączy się z wyższymi iskrami, ach, oby tak było... Fried, który nic nie zrozumiał i za niejasnymi słowami cuchnącego starca wyczuwał tylko jakąś obcą, nieprzyjemną myśl, zostawił go w połowie przemowy, pobiegł wściekły do gabinetu Ottona i oświadczył, że nie wyjdzie bez wyjaśnienia. Znajdowała się tam także Paula, która zgodziła się z Friedem. Otto wyczuł ich gniew i obawę i po namyśle postanowił uchylić rąbka tajemnicy. Oświadczył, że zamierza walczyć z nazistami. Fried zdusił okrzyk desperacji i powiedział przez zaciśnięte wargi, że jeśli Otto istotnie pragnie walczyć, niech sprowadzi broń i prawdziwych bojowników, a wtedy sam się do niego przyłączy. Otto wytłumaczył łagodnie, że na to nie mają dość siły. Bądźmy realistami, powiedział, a Fried gapił się na niego, kręcąc głową ze zdumieniem i bezsilną wściekłością. Zapytał Ottona, skąd sprowadził ostatniego „bojownika”, który dołączył do pozostałych darmożjadów, Zajdmana. Otto wyjaśnił, że Niemcy zamknęli przytułek dla

---

<sup>8</sup> Baal Szem Tow, Izrael ben Eliezer, mistyk i cudotwórca, legendarny przywódca chasydyzmu (przyp. tłum.).



psychicznie chorych na ulicy Krochmalnej i wszyscy pacjenci stali nadzy na ulicy, zziębnięci i zdezorientowani. Fried: Nu, i wybrałeś sobie najbardziej udanego! Otto wesoło: Właśnie! Ach... żartowałeś. Posłuchaj, może jeden taki na nic się nie przyda. Ale trzech albo dziesięciu mogłoby coś *zdziałać*. Coś zmienić. Fried zapytał, co Zajdman potrafi, a Otto z bezgranicznym zdumieniem odparł, że Zajdman jest biografem, który potrafi przekraczać granice ciał i rozumieć ludzi od wewnątrz. Fried, z odrazą: Może dysponuje też jakąś bronią przeciwko Niemcom? Otto: Przecież właśnie to jest przeciwko Niemcom! Jak możecie nie rozumieć? Fried pomyślał w duchu z drwiną i bólem „bądźmy realistami”. Nawiasem mówiąc, w tym momencie Neigel zażądał, aby Wasserman przerwał „antyniemiecką propagandę” i wrócił do głównego tematu. Tego wieczoru Neigel wyjeżdżał na dwudniowy urlop (patrz: urlop) do rodziny w Monachium i bez przerwy nagabywał Wassermana o dalszy ciąg losów Kazika. Wasserman zaś upierał się, że musi mu opowiedzieć o początkach Dzieci Serca. Nie było w tym żadnej racji poza chęcią rozdrażnienia słuchacza. Kiedy Neigel poprosił, aby skończył z prowokacjami i wrócił do opowiadania, Wasserman odparł:

– Proszę wytrzymać, Herr Neigel – i obiecał, że jeśli Neigel pozwoli mu snuć tę nić fabuły, niedługo wróci do Kazika. Zirytowany Neigel zerknął na zegarek i wyraził zgodę gniewnym skinieniem.

Wasserman podziękował. Opowiedział, że cała trójka przez dłuższy czas milczała. Fried i Paula po raz pierwszy zrozumieli, jak głęboko wojna przesączyła się do ich życia, zamrażając swym dotknięciem delikatne nici intymności, które zrodziły się między nimi, sprawiając, że staną się sobie obcy i chłodni.

– Doświadczyłem tego osobiście, Herr Neigel, kiedy moja ukochana Sara przyszyła żółtą łatę do urodzinowej sukienki naszej Tircele... Aj, jak nasza dziewczynka gorzko płakała! Spuchła od łez jak bania! Rozumie pan, Herr Neigel: łata szpeciła jej śliczną sukienkę...

Neigel:

– Wasserman! Moja cierpliwość dobiega końca! Szofer będzie tu za pół godziny. Wydaje mi się, że chcesz się wymigać od historii Kazika! (patrz:

pułapka). Wasserman, który wciąż nie rozumiał, czemu Niemiec tak bardzo chce się dowiedzieć, co się stało z Kazikiem, i czemu tak gwałtownie się tego domaga, aż spocił się ze strachu. Ale doskonale rozumiał, że zaangażowanie Neigla jest dobrym znakiem i że pod żadnym pozorem nie powinien się poddawać. Dlatego w tej chwili Otto powiedział szeptem „arka Noego”. To znaczy nie szeptem. Z głęboką niechęcią, jakby musiał zrezygnować z niewielkiego skrawka tajemnicy, aby pozwolili mu zachować ważniejszą część. Neigel gapił się na Wassermana. Fried i Paula gapili się na Ottona. Otto wyjaśnił całej trójce: Tak jak w Starym Testamencie, tylko na odwrót. Tutaj zwierzęta ocala ludzi. Rozumiecie? To bardzo proste, prawda?

Neigel:

– Co jest proste? Otto:

– Zgromadzimy na nowo naszą dawną drużynę, dołączymy też nowych towarzyszy. Przecież potrzeba nam wielu bojowników. Nie będzie łatwo. To jasne. Ale kiedy pokonamy potop, będzie można wrócić do zwykłego życia, prawda? Fried i Paula patrzyli na niego z pękającym sercem. Oczy Ottona promieniały nieskończenie błękitnym blaskiem. Fried wstał, blady i wyczerpany, stanął przy oknie i wyrżał na zewnątrz, w odpowiedniej chwili, aby ujrzeć, jak jakieś mityczne stworzenie, na wpół baran, na wpół człowiek (patrz: Munin), przechodzi ścieżką z ohydny beczeniem i postękiwaniem. *Z rozpaczą*, czując, że cały świat oszalał i zwałił się akurat na jego barki, Fried popędził za zaczarowanym stworem. Dopiero w biegu zrozumiał pomysł Ottona i poczuł jeszcze większe przygnębienie. Stary doktor nie miał wątpliwości, że czasy baśni minęły bezpowrotnie.

## לידה

### **Leda – narodziny**

Proces wydania na świat żywej istoty

Narodziny urojonego dziecka Pauli. Otto myślał o tym w swoim domu,

kiedy szli do niego Kazik, Fried i inni artyści (patrz: wyprawa szaleńców). Obudził się ze snu i leżąc w łóżku, rozmyślał o dziecku, które kilka godzin wcześniej zaniósł do Frieda. Przypomniawszy sobie noc, kiedy razem z Friedem zawieźli Paulę na oddział położniczy doktora Wertzlera w szpitalu, który służył też jako szpital wojskowy. Otto: Leżały tam rodzące kobiety i polscy cywile oraz niemieccy żołnierze, ranni w potyczkach z Żydami w getcie. Żołnierze i rodzące krzyczeli dokładnie tak samo, co minutę ktoś przychodził na świat albo umierał, jak w jakiejś zwariowanej sztafecie. Oczywiście, Fried pojechał z nami, chociaż miał zezwolenie na poruszanie się tylko po terenie ogrodu. Z łatwością mogli go zastrzelić, ale on gwizdał na wszystko i przyjechał. Staliśmy razem, widząc, jak nasza piękna Paulinka leży na łóżku, całkiem biała, z uśmiechniętą, spoconą twarzą.

Potem lekarze wyprosili ich. Po trzygodzinnym oczekiwaniu doktor Wertzler wezwał ich do środka, wskazał Paulę i odszedł z gniewną miną – uważał, że obaj są odpowiedzialni za jej śmierć. Fried zrobił wtedy coś, w co Otto nigdy by nie uwierzył: wsunął ostrożnie rękę pod białe prześcieradło, delikatnie, mężnie odebrał urojone dziecko Pauli i złożył je na jej milczącej piersi. Wrażliwy Otto, który wybuchnął płaczem, ujrzał przez łzy narodziny krzyku protestu przeciwko temu, co życie wyrządza marzycielom. Otto: Naraz czoło Frieda przecięła głęboka bruzda, jakby rozpacz wymierzyła mu od środka straszliwy cios. Nazajutrz rano, gdy pochowali Paulę na terenie ogrodu, niedaleko ptaszarni, Otto po raz pierwszy ujrzał linię, którą lekarz narysował na ziemi czubkiem buta. Była to ta sama bruzda. Otto zrozumiał, że ktoś chciał Frieda naznaczyć, by później móc go zidentyfikować, gdy będzie trzeba. Widział los Frieda wyryty na jego twarzy i dlatego zawsze tak bardzo się starał obudzić go do życia, aby – gdy nadejdzie chwila – mógł stanąć do walki. Sam Fried nie miał pojęcia o świeżej bliznie na czole: w ogrodzie nie było luster poza systemem zwierciadeł, zwanym Prometeusz (patrz: Prometeusz), którym nie można było się posłużyć, nie narażając się na śmiertelne niebezpieczeństwo.

# מונין, ידידיה

## Munin Jedidja

Cytując Wassermana: Człowiek o ogromnych pragnieniach, których chyba nie odczuwa nikt inny... Człowiek o kwitnących marzeniach, uskrzydłonych niczym anioły...Rycerz nierozlanego nasienia. Artysta powstrzymywanej ejakulacji, arcykopulator, który od lat nie dotknął kobiety, casanova pustych fantazji, Don Juan iluzji...

Wnioskując z jego opowieści (niepotwierdzonych) – Munin urodził się w rodzinie przemyskich chasydów („Jestem octem, który narodził się z wina” – tak powiedział podczas pierwszego spotkania z Ottonem przy Pawiaku), który od dzieciństwa nie mógł zapanować nad swymi silnymi popędami („diabeł tańczył na mojej patelni”) i który po nieudanym małżeństwie uciekł do Warszawy, miał się bez powodzenia tysięcy nieokreślonych zajęć i cały wolny czas, i całą siłę poświęcał zajęciu, które jedynie Otto w swojej szlachetności określał wzniosie „sztuką” (patrz: sztuka). Kiedy się spotkali, Otto ujrzał starego, chudego mężczyznę, wysokiego i zgarbionego, owiniętego w brudny płaszcz z długimi połami, z ciemnymi okularami na zwykłych szklach. Obie pary okularów były związane żółtawą gumką. Nieduży, nieco łobuzerski wąsik był także brudny i pożółkły. Staruszek wydierał intensywną woń, przypominającą zapach owoców chlebowca świętojańskiego. Wyleciawszy na kopniakach z dziedzińca więzienia, podniósł się i ze stoickim spokojem poprosił o papierosa. Otto nie miał przy sobie papierosów, ale zaproponował, że pójdą razem je kupić. Wtedy po raz pierwszy zaobserwował dziwny chód Munina: przy każdym kroku wyginał uda do wewnątrz, jakby – Markus: Pocierał nimi o jądra. Otto: Coś w tym rodzaju. Przez cały czas szeptał do siebie, śmiał się pod nosem i obmacywał. Nie wiedziałem, jak zacząć rozmowę, uznałem, że to jakiś biedny wariat, i od razu się domyśliłem, że zostaniemy przyjaciółmi. W końcu odważyłem się zapytać, czy tam pracuje, na Pawiaku. Markus: Ta jego niesamowita uprzejmość. Jedidja Munin zatrzymał się ze zdumieniem, wybuchnął nieprzyjemnym śmiechem, pryskając śliną na wszystkie strony, potem dźgnął Ottona w pierś chudym

palcem i powiedział: – Jestem Jedidja Munin, rozmnożę twoje nasienie niczym piasek nad brzegiem morza, wykroczenie przeciwko przyzwoitości, wielmożny panie. – I podciągnął dumnie spodnie po samą pierś, oświadczając tajemniczo: – Tysiąc sto dwadzieścia sześć do wczorajszego wieczoru, kiedy mnie zamknęli. Zawsze zamykają mnie na noc i zwalniają rano. – Otto: Nie zrozumiałem, o co mu chodzi, ale odniosłem wrażenie, że lepiej nie pytać. Na ulicy Nowolipki kupili od handlarza dwa machorkowe papierosy, znaleźli wolną ławkę i usiedli zapalić. Otto: Wokół było pełno ludzi. Tłumy. Ale panowała zupełna cisza. Gdybyś chciał zawołać przyjaciela na końcu ulicy, wystarczyłoby wyszeptać jego imię. Pan, który siedział obok, palił chciwie, a kiedy zostało mu pół papierosa, zgasił go w palcach i pozostawił niedopałek przyklejony do górnej wargi. Dopiero wtedy pozwoliłem sobie rozpocząć rozmowę. Jak się cieszyłem, że od razu mi zaufał i czuł się bezpiecznie! Wasserman:

– Prawdę mówiąc, Herr Neigel, pan Munin był bardzo ostrożny i podejrzliwy, bo w tych dniach namnożyło się wśród nas donosiciele i informatorów. Kiedy jednak Otto zaczął z nim rozmawiać, natychmiast wyzbył się obaw, porzucił zawikłane, prostackie wykręty i sam potem przyznał: Dopóki go nie spotkałem, nigdy nie rozmawiałem z nikim o... mojej sztuce. Cóż, kto poza Ottonem w ogóle wiedział, że to jest sztuka? Prawdę mówiąc, zaczął się ze mnie wylewać potop słów, tam, na ławce na Nowolipkach, i to mnie trochę przestraszyło, jakby, nie daj Boże, ten malutki Polak miał czarodziejską moc, tfu, tfu, tfu! Otto: A ja zapalałem do ciebie sympatią od razu! Jakież miałem szczęście, że spotkałem cię tam rano! Markus: Prosić Ottona, aby kogoś opisał, jest całkowicie bezcelowe. Jeśli zapytać latarnię, co widzi, odpowie: wszystko jest jasno oświetlone. Przy tej okazji Munin pokazał Ottonowi mapę, którą trzymał w kieszeni, w zbrązowiałej, podartej kopercie. Koperta ta była najdroższym skarbem Munina, który pokazał ją Ottonowi z nabożnym lękiem. Była to mapa żydowskiego getta. Widniały na niej dziwne znaki, wiele malutkich gwiazd Dawida, rozsianych pozornie chaotycznie po ulicach. Otto uznał, że to sekretna mapa żydowskich kryjówek z bronią. Munin nie przestawał mówić, a Otto jak zaczarowany przyglądał się niedopałkowi, żyjącemu własnym życiem

na górnej wardze mówiącego. Nagle Żyd zamilkł, rozejrzał się podejrzliwie i wyszeptał mu na ucho: Oni wszyscy umierają. Potem odsunął się na koniec ławki, zamknął zdecydowanie usta i zamilkł. Należy podkreślić, iż Otto natychmiast zrozumiał, że Munin nie ma na myśli tylko uwiezionych w getcie Żydów. Po kilku minutach Munin ponownie ostrożnie, konspiracyjnie, przysunął się do Ottona i wyszeptał, że on stąd wyjdzie. Zobacysz, panie. Synowie światła wzlecą wysoko. Uleczę. Cały świat o tym usłyszy. Nawet bracia Wright nie marzyli o takim wynalazku. Ani bracia Montgolfier, którzy wynaleźli latający balon, ani nawet Dedal i Ikar z mitologii Greków. Sam pan już widzi, że jestem niezwykle biegły we wszystkich tych sprawach! Nie pomiąłem ani jednej książki! Pod wpływem impulsu Otto zaproponował mu – oczarowany kombinacją wulgarności i wzniosłości – pracę w ogrodzie zoologicznym. Munin spojrzał zdziwiony, uśmiechnął się bezzębnymi ustami i odparł: Całe życie, proszę pana, marzyłem, żeby sprzątać lwie gówna. Uścisnęli sobie ręce, ale dopiero kiedy mieli się już rozejść, subtelny Otto odważył się spytać o znaczenie liczby, którą Munin wymienił wcześniej. Żyd przyjrzał mu się ze zdumieniem, a nawet z lekkim rozczarowaniem, bo był przekonany, że Otto wszystko od razu zrozumiał. Potem zaczął się uśmiechać – Otto: Tak szeroko, że o mało nie pękł – i wyjaśnił z prostotą: To tysiąc dwadzieścia sześć spazmów, zwanych w obcym języku orgazmami, a co pan myślał? Otto zaczerwienił się aż po korzonki włosów, wbił wzrok w buty, następnie w niebo, a potem zebrał odwagę i zapytał szeptem, czy Munin spał z tyloma kobietami. Munin znowu wybuchnął paskudnym, szyderczym śmiechem: Stosunek? Cóż w nim takiego niezwykłego? Przecież powiedział już rebe... nu, zapomniałem imienia... A, tak! Reb Dow Ber<sup>9</sup> mawiał, że popędy należy uświęcać i sublimować. Z niegodnej miłości serce przejdzie do miłości boskiej, aby nie pożądało płomieni obcego ognia, tylko boskiego, oczywiście. Przecież sypiać z kobietami może każdy uczeń! Ja się, szanowny panie, powstrzymuję!

---

<sup>9</sup> Dow Ber z Międzyrzecza, kaznodzieja, nauczyciel, przywódca chasydzki (przyp. tłum.).

Drugie spotkanie z Muninem należy do doktora Frieda. Kiedy wyczerpany stanął przy oknie w domu Ottona (patrz: serce, odrodzenie Dzieci Serca), ujrzał nagle na dróżce przedziwnego minotaura – w połowie kosmatą owcę, w połowie człowieka. Wściekły Fried pobiegł pośpiesznie za stworem, wspierając się na lasce. Okrążył basen z krokodylami, przebiegł wąską, ukrytą ścieżkę i wpadł prosto na straszną bestię. Munin pierwszy doszedł do siebie. Wstał z trawy, zapinając spodnie na konstrukcji z materiału, pasków i klamerek, wszytej w środku. Wielka owca odbiegła ze smutnym beczaniem (Munin: Była rozczarowana). Fried, plując ogniem i siarką, podniósł się ociężale, uniósł rękę niczym gniewny prorok i zażądał wyjaśnień. Munin bronił się: Co tu wyjaśniać? Trzeba się śpieszyć! Czasu niewiele, tyle pozostało do zrobienia, panie doktorze, a tutaj nie ma kobiet poza panią Chana (patrz: Cytryn), która, jak wiadomo, należy tylko do Boga, i panią doktorową Paulą, która należy do szanownego pana. Fried: Jak śmiesz, łobuzie, wymawiać imię pani?! Munin: Przepraszam, ale zawsze mówię prawdę. To już tysiąc sto trzydzieści osiem. Wszystko zapisane! Może pan doktor chciałby zobaczyć rachunki? Bo u mnie wszystko jest zapisane po kolei, mam także mapę. Tak, pan doktor może być spokojny, Jedidja Munin rzetelnie uprawia swoją sztukę! Fried, który mgliście pamiętał inną, mniejszą liczbę, którą Otto wymienił przed tygodniem, pomyślał, wzdrygając się, co wyczyniał stary satyr w jego ogrodzie, i o mało nie udławił się ze złości. Fried: Proszę, wyjaśnij mi, po co? Munin: Po co? Zęby się powstrzymywać. Co, pan Otto nic panu nie mówił? Nie! A! A ja myślałem, że pan wie wszystko! Ze pan jest tutaj, aby nas pilnować, żebyśmy rzetelnie uprawiali naszą sztukę! To dlatego pan się złości! Pan po prostu nie wie, o co chodzi! Powiem panu coś całkiem otwarcie, jak mówimy my, Żydzi. To znaczy: wszystko opowiem. Nie ma w tym żadnego wstydu. Wszystko dla Niebios. To bardzo proste. Ja, szanowny panie, ważę dzisiaj około sześćdziesięciu kilogramów, teraz trochę mniej, bo nie ma tu wiele do jedzenia, proszę mi wybaczyć, że pozwalam sobie na taką uwagę, ale... – Co ma wspólnego twoja waga z tym, co wyprawiałaś z owcą?! – A, tak... owca... przemile stworzenie... Proszę posłuchać: za każdym razem, kiedy... nu... przecież pan jest lekarzem i

pewnie słyszał wiele razy o takich rzeczach, nie? Prawda? Fried: Do jasnej cholery, chcesz mnie doprowadzić do szału? O czym miałem słyszeć? Nie, nie, nie. Nieładnie tak, panie doktorze. Im więcej złości, tym więcej nieszczęścia... Ha!... Ha! Ha! Żarcik... A nasienie, panie doktorze? Na pewno wie pan, że nasienie, kropla spermy to coś więcej niż tylko kropla spermy... Nie? Broń Boże, Boże broń! Przecież także ona zawiera iskrę bożą! Członek, ptaszek, okazuje się, tym bardziej. W kompilacji rabina Nachmana<sup>10</sup> znajdujemy, że cały świat został stworzony dla ludu Izraela, nawet dla najmarniejszych wśród nich, jak ja, a nawet dla każdego członka ciała w każdym, najmarniejszym człowieku, a wszystko po to, aby lud Izraela osiągnął odkupienie i zbudował rydwan. Szanowny pan słyszał może kiedyś o kabalistach, którzy żyli w Safedzie, w Izraelu? Napisali w księdze *Zohar*, iż każdy czyn człowieka w niższych sferach wywiera wpływ na wyższe sfery! Choćby taki szewc, który każdym ruchem podczas żelowania butów łączy sfery wyższe z niższymi. Ja tym bardziej! Fried: Proszę, błagam, przestać się obmacywać, kiedy ze mną rozmawiasz. I mów po ludzku! Co robisz tutaj, w moim ogrodzie!! Munin: Przecież wytłumaczyłem! Ona, to znaczy sperma, wylatuje z ciała z ogromną siłą! Fiuu! Nie mówię tak sobie! Nie! Ja, panie, znam najbardziej naukowe dzieła! Przeczytałem, że siła lotu nasienia równa się sile tłoków, utrzymujących w powietrzu aeroplan! Oczywiście, patrząc na wszystko relatywnie. Fried: Oczywiście... a co – przestań się macać!! Munin: Odkryłem coś podobnego, ale jestem prostym człowiekiem. Najmarniejszym wśród Izraela. Kwas powstały z wina. Kot Baby-Jagi. Nie uczyłem się wiele w życiu. U ojca – nu, oczywiście, psalmy na pamięć, a potem to i owo, kompilacje *Moharan*, fragment *Zoharu*, pewien człowiek pozwolił mi zerknąć do *Anioła Raziela* i do *Księgi wcieleń*, unikałem świeckich nauk, które u nas określa się jako trefne. W Warszawie, w stolicy, oczy otworzyły mi się na wszystkie cuda świata i jałem czytać pisma naukowe, znajdując tam czary i dziwy! Siedziałem po bibliotekach i czytałem o najnowszych odkryciach naukowych! Szanowny pan słyszał o Ciołkowskim? Nie słyszał? Nu, tak. Ja

---

<sup>10</sup> Nachman z Braclawia – cadyk, wnuk Baal Szem Towa (przyp. tłum.).



słyszałem. To najznamienitszy z rosyjskich uczonych i fizyków. Najskromniejszy z ludzi! Wymyślił metodę lotu w przestrzeni powietrznej za pomocą rakiety! Nu, niech pan sam powie: nie geniusz? Rakietę! Czytałem też oczywiście wszystkie dzieła Amerykanina Goddarda i Niemca Obertha, i u nich wszystkich znalazłem wskazówki Fried: Może mógłbyś w końcu i mnie wyjaśnić tak, abym zrozumiał? Munin: Ależ już wytłumaczyłem! Czemu szanowny pan nie posłucha przez chwilę, zamiast patrzeć ciągle tam, na dół! Powiedziałem przecież, że wyrzucając spermę z ciała, korzystam z ogromnej siły, ale może, jeśli zaoszczędzę tę siłę... Rozumie pan? Nie tylko jeden raz! Jeden raz! Jeden raz na nic się nie zda, prawda? Fried, słabym głosem: Nie? Munin: Pan doktor żartuje, oczywiście. Ha, ha! Jeden raz nie. Ale setki razy. Tysiące razy! Jeśli wiemy, że każdy człowiek, nawet tak marny jak ja, ma w ciele dziesiątki tysięcy plemników, jak gwiazd na niebie. Jeśli to wszystko zaoszczędzę, zatrzymam w środku i jeden raz, jeden, jedyny raz pozwolę, aby wystrzeliło, wyśle swój lud, a to lud liczny i potężny! Ogromny naród! Samą tylko siłą reakcji. Nawet ktoś taki jak ja, ważący sześćdziesiąt kilo, a teraz może jeszcze trochę mniej, przez tutejsze jedzenie. Krótko mówiąc: uda mi się odejść, prawda? Fried: Odejść? Dokąd? Munin: Nu, dokąd mnie uniesie... ptaki wleczą wysoko... obliczyłem według zasad gematrii, że wartość mojego imienia, Munin, równa się wartości słowa „lot”... Zaraz to objaśnię... Fried: Dokąd? Dokąd odleciysz? Do Boga? Munin: Kto wie? Jeśli mnie do niego uniesie – pójdę. Polecę tam, dokąd mnie zaprowadzi. Może i do Boga, najważniejsze, abym uniósł się w górę. Ponad to wszystko, co jest tutaj. Ponad tych, co zwań się ludźmi. To pomyłka. Wiem, że jest inne miejsce, przeznaczone dla mnie. Nie tutaj. Tutaj nie. Fried: Chcesz powiedzieć... tak po prostu uniesiesz się w górę? Do Boga? Munin: Nu, widział ktoś takiego uparciucha? Przecież mówiłem tysiąc i jeden raz: On, niech będzie błogosławiony, jest w każdym nasieniu. Jest duszą każdego żyjącego stworzenia. Naprawdę w to wierzysz? Wierzysz, że tam dotrzesz? Wierzysz, że zdołasz się unieść nawet o centymetr? Wierzę całkowicie, łaskawco. Jestem jak gołąb pocztowy, wracający zawsze do swoich opiekunów. – Ale Bóg... jest święty! Uniesienia duszy i tak dalej, a u ciebie, fe! Ohyda! Munin: Tylko na pozór, łaskawco! Z pozoru to

istotnie ohyda, ale przecież w księdze *Zohar* jest napisane, że nie ma miejsca nieprzepełnionego Boską chwałą, to znaczy – nie ma miejsca bez Boga. Jest obecny także w tym, co ludzie uważają za grzech, a iskry, które upadły, zostały uwięzione w każdym brudzie, także w tej nieczystej kropli. My, dzieci Izraela, mamy nakazane pobożnie czcić Najświętszego, aby przywrócić te iskry na swoje miejsce, nawet najokropniejsi grzesznicy Mu służą, bo przecież któż, jak nie On nakłonił serce króla Dawida, aby policzył lud? W Księdze Samuela napisane jest „Bóg”, a w Księdze Kronik – „szatan”! Rozumie pan? Posiadam przecież duszę bydłęcia, już w dzieciństwie nazywano mnie „wołkiem”, ale nawet bydłęca dusza marnej istoty bierze początek w łupinie blasku i potrafi odmienić się ze zła na dobro. Na tej oto mapie zapisuję na ulicach Warszawy słowo „blask”. Sam opracowałem ten system! We własnej głowie! A oni mówią – wól. Nu, co mam się złościć, niebawem już nie będzie mnie wśród nich, jest mi przeznaczony inny świat, świat uskrzydłych stworzeń! Aniołów! Widzi pan? Proszę podejść! Żaden wstyd! Proszę podejść i przyjrzeć się mojej mapie! W każdym miejscu, w którym się powstrzymałem od wytrysku, narysowałem malutką gwiazdę Dawida. Mam już tutaj, na ulicy Gęsiej i Lubeckiego, większą część litery „b”, a z Zamenhofa i Niskiej prawie wyszła cała litera „l”, brakuje tylko jednej kreseczki, ale to niedługo uzupełnię na ulicy Wołyńskiej... Litera „a” wciąż jest niepełna, ale niebawem ją dokończę, jak Bóg da, i brakuje mi jeszcze „s” i „k”. Wielki cud, prawda? Teraz pan rozumie? Fried: Mój Boże! To robisz z moimi owcami?! Zabawiasz się z nimi, żeby się powstrzymywać od wytrysku? Myślisz, że przez to Bóg przyjmie cię do siebie? Munin: Właśnie tak, wielmożny panie. Nareszcie pojał pan sedno. U nas, u Żydów, przecież... Fried: Przestań opowiadać mi bajki! Ja też jestem Żydem! Munin: Pan szanowny jest jednym z nas? Nie wiedziałem! Witam! A nie wygląda pan... Pani Paula mieszka z panem w jednym pokoju... Kto by się domyślił?! Jeden z nas! Nu, teraz mogę wyjaśnić spokojnie. Jeden z nas! Patrzcie tylko! Skoro tak, to pewnie pan wie, że także złe myśli, jeśli używamy ich właściwie, mogą posłużyć za coś w rodzaju dźwigni dziadka Archimedesza, skrzydeł orła, przebudzenia duszy. Przeczytałem kiedyś coś mądrego, co warto, aby pan usłyszał, niezwykle mądra rzecz! Porównano złe

myśli do Tamar, żony Judy, która udawała, proszę wybaczyć, prostytutkę. Rozumiemy się? Tak? Pan jest trochę zmęczony. Usiądźmy tu, na kamieniu... (może to i Żyd, ale ma umysł goja, słowa Tory go trochę znużyły). Teraz pan rozumie, co zamierzam osiągnąć. Od dzieciństwa byłem ofiarą złych popędów, wiele się namęczyłem i wycierpiałem. Z wyglądu byłem chudzielcem, nikczemnego wzrostu. Istna kurza szyjka. Członek mam króciutki, niczym kropka nad „i” w modlitewniku! Ale popęd, ha! Niczym ogień w kościach... nieczyste myśli przeszkadzały mi w modlitwie i wypełnianiu przykazań. Choć moi błogosławionej pamięci rodzice dołożyli starań, aby mnie ożenić, te myśli mnie nie opuściły... Moja biedna żona wielce mnie żałowała, ale była za słaba i nie dała rady zaspokoić nawet w połowie mego pożądanego... W końcu uciekłem. Opuściłem ją... Jak połowiczną wdowę, z sześciorgiem piskląt, matkę synów, bo głos jakiś mówił mi „wstań i pójdz”, uciekaj, bądź wygnańcem i wędrowcem na ziemi. Tak, tak, nie będę pana dłużej męczył, doktorze (od razu można poznać, że to ignorant, głowa, co nigdy nie poznała tefilin!). Mam tylko nadzieję, że Najwyższy łaskawie wejrzy na moje uczynki, bo nawet święty Ari z Safedu<sup>11</sup> powiedział, że Tora ma nie tylko siedemdziesiąt aspektów, które objawiają się w swoim czasie, w swojej epoce, lecz sześćdziesiąt razy więcej aspektów. Każdy z synów Izraela ma własny, tajemny sposób odczytywania Tory, niczym połączenie żywego ciała z boskim, sposób skryty na samym dnie duszy jednostki, w najwyższych sferach, znany tylko jemu. Każdy czci Boga na swój sposób, ja na swój. To moja modlitwa, innej nie znam. Może o mnie mówi fragment, w którym jest napisane, że modlitwa to tylko strzała, którą człowiek kieruje do nieba. Okazuje się, że nie jest to nikczemny, nieczysty popęd, który żywiłem w młodości, lecz święty anioł. Jak powiedział rabbi Nachman, ten, kto był zdolny poznać Boga, ma w sobie zły popęd i musi nad nim zapanować i załagodzić go, aby stał się dobry. Tak jak światło świecy, w której spała się knot, dostarczając blasku, tak światło Boskiej Obecności oświetla duszę,

---

<sup>11</sup> Icchakben Szlomo Luna, zwany ha-Ari, uczony i mistyk żydowski, twórca koncepcji kabalistycznych (przyp. tłum.).

niszcząc duszę bydłą, zmienia ją z mrocznej w jasną, gorycz w słodycz. Niech pan, proszę, nie myśli (Żyd! Kto by uwierzył!), że to łatwe! Nie! Nadmierne powstrzymywanie się może doprowadzić do obłądu! Są też inne niebezpieczeństwa... Fried: Niebezpieczeństwa? Munin: Śmiertelne niebezpieczeństwa! A co pan myśli? Czyż nie czyha na mnie Lilit? Ma nadzieję, że z kropli rozlanego nasienia zrodzą się jej dzieci – demony! Za każdym razem, kiedy wyciągam rękę do mojego małego rogu, nadlatuje z piekła ze świstem! Ale, jak pan wie, ja się powstrzymuję. Zagryzam policzki! Jeszcze sekunda i... mimo wszystko się hamuję! Nie muszę odprawiać pokuty, jak nieszczęśnicy, którzy nie wytrzymali próby i rozlali nasienie! Fried: Dość już! Zamilcz! Pęka mi głowa od tego gadania! Jak długo... to znaczy – ile lat już... Munin: Powstrzymuję się? Ponad siedem lat. Odkąd zaczęło się źle dziać.

## מין

### **Min – seks**

1. Patrz: miłość

2. Szczególna rozmowa na ten temat wywiązała się pewnego wieczoru między Wassermanem a Neiglem. Wtedy to doktor Fried pograżył się w tęsknocie za zmarłą Paulą (patrz: wychowanie) i Markus zwrócił uwagę doktora na „ogromną i banalną sprzeczność w naszej naturze”, czyli: Wszystkie moce miłosne, wszystkie potężne porywy pożądania na czym koncentrujemy? Na drugim człowieku. Uśmiech, pieprzyk, wiązka nawyków i przekonań. Worek ciała pełen humorów. Co w tym cudownego: człowiek kocha człowieka. Nie więcej i nie mniej. W tym miejscu Wasserman odłożył brulion i pograżył się w myślach. Potem zaczął opowiadać coś w ogóle bez związku. Cytował Zalmansona, swego cudzołożnego przyjaciela, który pewnego razu wyznał, że chodząc po warszawskich ulicach, szczególnie na wiosnę, kiedy kobiety wdziewają piękne suknie i spacerują w pantofelkach na obcasach, odczuwa nieopanowane pożądanie. Zalmanson: Chcę rozgnieść pod sobą cały świat!

Zmiażdżyć! Przycisnąć do ziemi! Chodzę po ulicach, pojękując, zwyczajnie idę i jęczę na głos, bezwstydnie, a kobiety... Patrzą na mnie z uśmiechem, sukni! Przciskani się między nimi, ocieram się niczym satyr i w takich właśnie chwilach – to bardzo dziwne – właśnie wtedy czuję do nich niechęć, niewytłumaczalną wrogość... – Wasserman, który słuchał z bardzo mieszanymi uczuciami („Ten nikczemnik prawie zgwałcił moją żonę! A teraz siedzę przed nim w mrocznym pokoju w redakcji i uśmiecham się... Uśmiecham się zgodnie, fe!”) zapytał Zalmansona, co dokładnie ma na myśli, mówiąc „wrogość”, a redaktor, którego chwilowo opuściły zwykła uszczypliwość i złośliwość, odparł, że kobiety budzą w nim wrogość nie przez coś, co mu zrobiły, broń Boże, zawsze dobrze go traktowały, wszystkie. Jest zaprzysięgłym miłośnikiem kobiet (redakcja może zaświadczyć, że Anszel Wasserman uśmiechnął się w tej chwili potakująco). Czuje wrogość przez to, do czego go zmuszają swoją naturą. Jego naturą. Oczywiście, gdyby go poproszono, byłby gotów kochać wszystko. Zalmanson: Kochać cały świat i wszystkich z taką samą pożądlivością. Poznać nowe, subtelne niuanse miłości do kwitnącego krzaku bzu, szaleńczego lotu motyli, dźwięków akordeonu. Słowa Zalmansona nie są zbyt jasne. Zakładamy, że upokarzał go sam fakt tak wielkiego pożądania kobiecego ciała. Czuł upokorzenie – ponieważ z natury był buntownikiem i jego pokrętny umysł odbierał pęd do miłości jako więzy. Był upokorzony tak jak Aharon Markus (patrz: uczucia), kiedy zrozumiał, że jesteśmy uwięzieni w ograniczonym systemie emocji. Markus: Jesteśmy przybici za uszy, jak niewolnicy, do drzwi bladego, ubogiego świata, przemawiającego do nas jednym, źle artykułowanym językiem! Zalmanson, wzdychając: Przecież ja szaleję za kobietami, sam wiesz, uwielbiam je, ich ruchy, ich zapach, ich kuszące ciała, ale mimo wszystko są jedynie ograniczonym, niepełnym i bezbarwnym uosobieniem nadludzkiej żądzy, która wzbiera we mnie, w nas wszystkich... Są więzieniem, wąskim, skąpym korytem rzeki, ubogim językiem, na który muszę przełożyć nadmiar, który jest we mnie... Wasserman, z niespotykaną mocą: Zakładam, że kobiety także czują to wobec ciebie, to znaczy: nas. Zalmanson: Oczywiście! Jestem tego pewien. My i one – jesteśmy niczym dwaj skazani na siebie rozbitkowie na

jałowym, nudnym wygnaniu na bezludnej wyspie. Opowiedziawszy to Neiglowi, Wasserman umilkł na chwilę i przez twarz przebiegły mu grymasy, sygnalizujące trudny proces podejmowania decyzji. Nagle, wiedziony niezrozumiałym impulsem, opowiedział niezwykle intymną rzecz, której nawet redakcja trochę wstydziła się wysłuchać, a co dopiero Neigel. Opowiedział o swoim zespoleniu z żoną. Być może przyzwyczał się mówić do Neigla jak do siebie. A może był inny powód, całkiem niezrozumiały. W każdym razie rzekł:

– Jak to jest możliwe, niech mi pan powie, Herr Neigel, jest pan przecież mądrym człowiekiem, jak to możliwe, że istnieje tak wielka miłość między mężczyzną i kobietą, takie pożądanie, karmiące serce i ciało, a w rezultacie wtyka się małego ptaszka w kobiecą dziurkę i już! Tylko tyle? Ciało kobiety powinno się rozstać i rozedrzeć niczym Morze Czerwone pod laską Mojżesza! Powinna przepłynąć nim wrząca rzeka, oboje powinniście umrzeć w niej po siedmiokroć, potem wyjść z topieli słabi i poszarzali jak płótno, z zamglonymi oczami, przez cały rok niezdolni wypowiedzieć choćby jednego słowa, jakbyście dotarli do samej krainy miłości! Jakbyście ujrzeli oblicze sam nie wiem kogo i cudem ocaleli!

Neigel milcząco skinął głową, potwierdzając jego słowa. Przez chwilę było wyraźnie widać, że zazdrości Żydowi umiejętności wypowiedzenia tych słów na głos, tak wielkiego zaufania wobec drugiego człowieka. Markus powiedział: Słyszysz pan, reb Anszel? Ja mówię, że człowiek może kochać wszystko. Może zapłonąć uczuciem do każdej *rzeczy* na świecie, ale prawdziwą miłością, tak, prawdziwą miłością, można pokochać tylko człowieka. Wasserman: Ale przecież pan sam, jeśli się nie mylę, bardzo kocha muzykę. Niekiedy nawet doprowadza ona pana do łez? Tak, to moja wielka miłość, rzeczywiście. Ale zbyt abstrakcyjna. Fried: Ja odwrócę pańską formułę, Markus, i powiem, że człowiek może wszystko znienawidzić, każdą rzecz na świecie, ale niczego nie znienawidzi mocniej niż drugiego człowieka.

# מלכודת

## **Malkodet – pułapka**

Dwa razy w ciągu spotkań z Wassermanem Neigel uznał, że autor „zastawił na niego pułapkę”. Po raz pierwszy – kiedy wplótł Hitlera i ustawy norymberskie do opowieści o losach Frieda i Pauli (patrz: Hitler oraz: te świństwa). Neigel zażądał wówczas stanowczo, by autor usunął prowokacyjne antyniemieckie uwagi. Należy podkreślić, że komendant był bardzo zły: chodził po pokoju wielkimi, agresywnymi krokami, walnął wściekle w otwarte drzwi metalowej szafy i na moment bardzo mocno wparł się w blat biurka wszystkimi dziesięcioma palcami. Wasserman nie patrzył na niego. W duchu buntował się przeciwko tej cenzurze, uśmiechając się z goryczą w stronę pustego krzesła, skubiąc ze złością, nerwowo, włoski na brodzie, i powtarzając: „Opowiadanie nas poprowadzi”. Neigel obstawał przy swoim: obrócony plecami do Wassermana, twarzą do zasłoniętego okna, powiedział napastliwie, że nie może ignorować aluzji, ukrytych między wierszami. Oburzył się, że Wasserman niby to przypadkowo wybrał temat wojny.

– Zawsze pisałeś o całkiem innych rzeczach! O Indianach w Ameryce, powodziach w Indiach, o Beethovenie i Galileuszu – całkiem inne opowiadania! Inne miejsca! Nigdy nie opisywałeś aktualnych wydarzeń! Dobrze znam nasze beznadziejne życie! Chcę o nim na chwilę zapomnieć! Po co w ogóle istnieją opowiadania, według ciebie?!

Wasserman, który słuchał wzburzony, lecz z wielkim zainteresowaniem, odpowiedział natychmiast do wnętrza dłoni, którymi zakrywał usta:

– To zawsze ta sama wojna. Jedna, jedyna wojna. Moje opowieści to jej kronika. Właśnie tak.

Neigel zapienił się ze złości, tupnął wściekle, jakby chciał zmiażdżyć podłogę, i zażądał z goryczą: – Usuń te prowokacje na temat Norymbergii – kilkakrotnie rzucił wściekle słowo „pułapka” w szparę między deskami w ścianie, na wysokości twarzy. Oczywiście, Wasserman kompletnie nie rozumiał, jaką pułapkę Niemiec ma na myśli, ale kiedy obaj tak nadymali się i sapali,

kierując gniew, jak w jakiejś szyderczej pantomimie, na rozmaite sprzęty w pokoju, ani razu zaś przeciwko sobie nawzajem, żydowski pisarz poczuł, że Neigel nie ma na myśli pułapki, którą on chciał na niego zastawie, pułapki człowieczeństwa. Nie: Neigel nie został jeszcze wystarczająco „zarażony człowieczeństwem”. Obawiał się czegoś znacznie bardziej realnego i bliskiego. Wasserman nie miał pojęcia, co to takiego. Ogarnęło go zdenerwowanie, bo Niemiec zaczął nagle traktować opowiadanie z wielką powagą. Przecież zaledwie kilka dni wcześniej powiedział, że Wasserman łudzi się, wierząc w moc swoich słów!

Drugi raz Neigel zawołał „pułapka” w nocy przed swoim wyjazdem na urlop (patrz: urlop). Pociąg, którym miał pojechać do Berlina, odchodził z Warszawy o szóstą rano. Szofer poczynił wszelkie konieczne przygotowania przy samochodzie. Ale Neigel nie chciał wyruszyć, póki nie usłyszy dalszego ciągu losów Kazika. Wasserman upierał się przebiegle, aby właśnie w tej chwili opowiedzieć historię ponownego zebrania się Dzieci Serca (patrz: serce, Dzieci Serca), i przeciągał to przez całą noc, niczym prawdziwa Szeherezada. Kiedy wreszcie skończył, Neigel zażądał, aby autor dotrzymał obietnicy i zdradził „Choćby w kilku zdaniach, Szeherezado, to bardzo ważne!” – co się działo z Kazikiem pod koniec życia. Wasserman odmówił. Poblądł ze strachu, ale wiedział, że musi odmówić. Neigel poczuł, że został zdradzony.

– Zdrada! – krzyknął wściekle, walnął pięścią w stół i ponownie zażądał dalszego ciągu. W tej chwili Wasserman zrozumiał, czemu Neigel musi poznać zakończenie (patrz: plagiat) i odmówił jeszcze bardziej stanowczo. Powiedział z uśmiechem, że jeśli Neigel chce, może sam dopowiedzieć dalszy ciąg historii. Zaniepokojony Neigel zerknął na zegarek, a potem rzucił się na Wassermana z pięściami. Był to pierwszy i ostatni raz, kiedy go uderzył. Wasserman: Chwycił mnie za moją biedną szyję, okładał z całej siły pięściami, a ja, bez jednego dźwięku, starałem się skurczyć jak najbardziej, modląc się o nadejście końca, bo w ten sposób, przez kontakt fizyczny, nikt jeszcze nie próbował mnie zabić, zawsze tylko z daleka, nie dotykając. Neigel nagle upadł, leżał przez chwilę obok Wassermana, ciężko dysząc i sapiąc, potem wstał ociężale, obmył twarz, podał



Żydowi ręcznik i kazał mu się wytrzeć. Wasserman: Moje szaty *Scheissemeistera* były całe umazane krwią. Chwiały mi się zęby. Dotknąłem ich czubkiem języka – trzy wypadły na podłogę. Co robić? Mniej przyjdzie zapłacić doktorowi Blombergowi.

## מצפון

### **Macpun – sumienie**

1. Patrz: etyka

2. Kiedy – w rozmowie – Neigel oświadczył, że „sumienie to żydowski wynalazek, nawet Führer powiedział tak w swoim przemówieniu”, Żyd odparł natychmiast:

– To prawda, to wielka odpowiedzialność (patrz: odpowiedzialność) i nieznośny ciężar. Nigdy o tym nie zapominamy... Były chwile, gdy pozostawaliśmy ostatnimi ludźmi na ziemi, pamiętającymi, co to takiego, czasami byliśmy tylko my i sumienie, czasem byliśmy tak osamotnieni, że zapominało się, kto kogo wynalazł... (Uwaga redakcji: Do tego twierdzenia należy odnieść się z wiadomym dystansem. To oczywiste, że nie można wymagać od Żyda takiego jak Wasserman, przez całe życie „skazanego” na funkcjonowanie według ustalonych wartości moralnych, przede wszystkim dlatego, że nie miał innej broni, by pojął całą skomplikowaną, różnorodną naturę sumienia. Należy pamiętać, że ktoś słaby, bezbronny i bezsilny postępuje tylko w jeden sposób: reaguje na sytuacje stworzone przez innych. Nigdy nie pozna okrutnej, a jakże częstej konieczności wyboru między dwoma słusznymi rozwiązaniami. Silni mają władzę, a kiedy władza pragnie się urzeczywistnić, tworzy złożone sytuacje, w których, czasami, trzeba wybrać między dwoma względny, ułomnymi rodzajami sprawiedliwości, co w konieczności prowadzi do względnej niesprawiedliwości. Dobry, naiwny Wasserman!).

# מרד

## **Mered – bunt**

Powstanie przeciwko władzy

Pod komendą Neigla tylko raz doszło w obozie do buntu: pewnego ranka, kiedy Wasserman był zajęty pracą w ogródku. Wcześniej przyjechał kolejny transport z Warszawy i nagich ludzi już przepędzono „drogą do nieba”. Był to ostatnio częsty widok: cztery razy dziennie i dwukrotnie w nocy. Tym razem wydarzyło się coś nieoczekiwanego: młody, wychudzony mężczyzna rzucił się na jednego z ukraińskich strażników i wyrwał mu broń. Zaczął strzelać i krzyć straszliwym głosem, biegnąc na oślep przed siebie, przez przypadek w stronę Wassermana. Dopiero po kilku sekundach Ukraińcy otrząsnęli się ze zdumienia i także zaczęli strzelać. Powstało okropne zamieszanie. Przerażeni Żydzi rozbiegli się na wszystkie strony, padając od kul. Słyszając zgiełk, Neigel wyszedł ze swego baraku ze znanym Wassermanowi pistoletem w rękę. (Uwaga redakcji: warto podkreślić, że poprzedniego wieczoru odbyła się dyskusja o odpowiedzialności (patrz: odpowiedzialność) i Neigel obiecał Wassermanowi, że za każdym razem przed zabiciem człowieka na nowo podejmie zasadniczą decyzję. Według Neigla, mogło to jedynie „wzmocnić jego wiarę w Führera i jego dzieło”). A oto jaki był przebieg wydarzeń: wychodząc z baraku Neigel o mały włos nie zderzył się z młodym Żydem, uzbrojonym w karabin. Uderzył go, wytrącając mu broń z rąk. W tej samej chwili z baraku służącego za lazaret wyszedł Stauke (patrz: Stauke), który własnoręcznie zabijał tam starców, kaleki i dzieci, przywiezionych ostatnim transportem. Na „drodze do nieba” zapanowała śmiertelna cisza. Wszędzie leżały dziesiątki zabitych i rannych. Młody Żyd klęczał z głową na ziemi, dysząc jak zwierzę. Jego wystające żebra unosiły się i opadały spazmatycznie. Z tyłu ciekła strużka ekskrementów, znak śmiertelnego przerażenia. Neigel wymierzył do niego. Powoli, chcąc, aby wszyscy zdążyli się przyjrzeć i wyciągnąć nauczkę. Obrzucił spojrzeniem zebranych. Przez krótką chwilę jego oczy napotkały wzrok stojącego nieopodal Wassermana. W oczach

pisarza płonęły iskry. Wołały do niego. Przypominały, żądały. Wasserman: Przez jedną sekundę Neigel się zawahał. Powiecie, cóż to takiego sekunda? Lasy piór i rzeki atramentu nie wystarczyłyby do opisanie tej jednej sekundy. Dlatego powiem krótko: Neigel strzelił raz, dwa, dziesięć razy. Władował w tego niewinnego chłopaka cały magazynek. I dalej naciskał spust, choć nie miało to już sensu. Był wściekły nie na więźnia, lecz na siebie, a być może na mnie. Wbrew woli dotrzymał obietnicy. Być może gdyby mnie tam nie było, nie przypomniał- by sobie, ale mój wzrok coś mu nakazał, i usłuchał. Na mgnienie oka zawahał się lekko, wszyscy to zobaczyli. Wszyscy. Stauke i Ukraińcy, wszyscy. Skończywszy strzelać, Neigel obrócił się na pięcie i wszedł do baraku, z całej siły trzaskając drzwiami. Można sobie wyobrazić, jaki lęk go ogarnął: był jak człowiek, który miał jakiś naturalny talent i nagle go utracił; jak pływak, który pośrodku morza zorientował się, że nie pamięta właściwych ruchów. Ukraińcy zaczęli zabijać pozostałych przy życiu Żydów. Wassermana także trafiły dwie kule, które jednak nie wyrządziły mu krzywdy. Po jakichś dziesięciu minutach wszystko się uspokoiło. „Niebieskim” polecono uprzątnąć trupy. Tego dnia Neigel nie wezwał Wassermana.

## מרכוס, אהרון

**Markus Aharon**

Patrz: uczucia

## נחות, האדם ה-

**Nachut, ha-adam ha-nachut -**

**podludzie**

Naziści określali tak ogólnie wszystkie rasy poza „rasą wyższą”

Aby zdobyć zezwolenie na małżeństwo (patrz: małżeństwo, zezwolenie na

małżeństwo), każdy członek SS musiał się upewnić, czy wybranka nie zalicza się do tak zwanych podludzi. Neigel pokazał Wassermanowi specjalną ulotkę. W piśmie, rozpowszechnianym we wszystkich jednostkach SS, cytowano fragmenty z broszury *Podczłowiek* (wydawnictwo Nordland, Niemcy). Można tam między innymi przeczytać: „Podczłowiek budową fizyczną przypomina prawdziwego człowieka. Ma ręce i nogi, oczy i usta, coś w rodzaju mózgu. Mimo zadziwiającego podobieństwa do człowieka, jest wstrętą, obcą istotą, odległą od reszty rodzaju ludzkiego. Biada temu, kto zapomina, że ktoś podobny do człowieka niekoniecznie nim jest”.

## נישואין, אישור ה-

### **Nisuin, iszur ha – małżeństwo, zezwolenie na małżeństwo**

Dokument, bez którego żaden członek SS nie mógł się ożenić ze swą wybranką. Przepis wszedł w życie w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim, wraz z ogłoszeniem „prawa o zawieraniu małżeństw przez członków SS”. Zezwolenie mógł wydać jedynie reichsführer Himmler. Opowiadając Wassermanowi o swoim małżeństwie, Neigel podkreślił, że „na szczęście pobraliśmy się przed trzydziestym drugim”. „Na szczęście”, ponieważ przedłużająca się bezpłodność Christiny w pierwszych latach małżeństwa mogłaby zaszkodzić jego karierze. Wasserman nie zrozumiał, co Neigel ma na myśli. Niemiec opowiedział więc, że zezwolenie na małżeństwo wydawano po konsultacji z lekarzem, który badał kandydatki. Badanie polegało przede wszystkim na ocenie zdolności rozrodczych. Występujący o zezwolenie musieli załączyć fotografię kandydatki „nago lub w kostiumie kąpielowym”, jak zapisano w „prawie o małżeństwie”, którą to fotografię niemieccy specjaliści od ras oglądali pod lupą. Wasserman pokręcił głową ze współczuciem i z niedowierzaniem. Neigel wyjaśnił, że eksperci troszczyli się przede wszystkim o to, by wyeliminować krzyżowanie z tak zwanymi podludźmi (patrz: podludzie). Żyd rozmyślał w duchu: Niewykluczone, że ktoś, kto nie uważa bliźnich za

ludzi, sam jest kaleki, nie jest już człowiekiem. Neigel w przyływie szczerości, powiedział:

– W trzydziestym ósmym nasza sytuacja stała się jeszcze bardziej, hm... skomplikowana. To znaczy – delikatna. W tym roku wprowadzono w Niemczech „prawo o rozwodach”, zezwalające mężczyźniom na rozwód, jeśli żona nie chce rodzić dzieci albo była bezpłodna. Co więcej: jeśli kobieta ma ponad czterdzieści lat i w młodości chętnie rodziła mężowi synów i córki, mężowi wolno się rozwieść i pojąć za żonę młodszą kobietę.

Wasserman był poruszony:

– Rzesza potrzebuje dzieci, tak?

Neigel:

– Właśnie! Każda kobieta ma obowiązek dać dzieci Führerowi i Rzeszy. To prywatna obsesja Himmlera. On sam, nawiasem mówiąc, opuścił żonę. Znałem ją. Zamieszkał z kochanką, a Margarete wysłała mu list z gratulacjami. Wyobraź sobie. Napisała tak: „Życzę wam, by Hedwiga urodziła ci wiele dzieci!”. Co powiesz na taką wielkoduszność, Wasserman? U was byłoby możliwe coś takiego?

Wasserman ignoruje pytanie:

– Co zrobiliście, znaczy pan i pańska małżonka, kiedy wprowadzono tę ustawę o rozwodach?

Neigel, jakby starając się umniejszyć wagę swych słów:

– Christina oczywiście od razu zaproponowała, abyśmy się rozwiedli. Nie chciała zaszkodzić mojej karierze. – Po chwili ciszy: – Najdziwniejsze, Wasserman, że zaledwie kilka miesięcy później moja Tina była już w ciąży. Wszystko się ułożyło. Wszystko. Karl urodził się cztery miesiące po wybuchu wojny, w lutym czterdziestego roku, a Liselotte rok temu.

Wasserman:

– To z pewnością dlatego, że żona pana wzruszyła.

Neigel chce odrzucić ten cikliwy pomysł, rzucając zwykle „*Quatsch mit Sauße*” (bzdury!), ale przerywa. Bawi się tym pomysłem i chyba sprawia mu on przyjemność. Zapada cisza. Potem Wasserman mówi na głos:

– Herr Neigel. Pewnego razu, wiele lat temu, moja żona poszła na przyjęcie do domu Zalmansona, o którym chyba już pan słyszał. Zalmanson popchnął ją na wieszak z płaszcami i pocałował w usta.

Neigel patrzył na Wassermana, początkowo nie rozumiejąc, potem, stopniowo, dotarło do niego znaczenie tej wypowiedzi. Nie same słowa były ważne, ale fakt, że Wasserman je powiedział. Zrozumiał. (Wasserman: „Ki diabeł mnie opętał, że mu to powiedziałem? Bóg jeden wie. Może dlatego że jestem synem sklepikarza i dobrze nauczył mnie błogosławionej pamięci ojciec, że każdy musi zapłacić za towar. Tak, byłem zmuszony zapłacić mu moją najdroższą tajemnicą za tajemnicę, którą mi zdradził, o żonie i ich miłości. Fe! Anszel! Na starość zrobiłeś się wylewny!”).

## נכות

### **Nachut – kalectwo**

Bycie kaleką, człowiekiem ułomnym

Według Wassermana to sytuacja wszystkich „stworzonych na obraz i podobieństwo”. Wyraził to przekonanie, kiedy Kazik zaczął pytać Frieda o dzieje stosunku ludzi do życia, czy je kochają (patrz: młodość). Neigel, zmęczony i przytłoczony, słabo zaprotestował przeciwko „temu twojemu okrucieństwu, Wasserman”, mówiąc:

– Dopóki cię nie poznałem, życie sprawiało mi przyjemność. Lubiłem żyć. Rozumiesz? Lubiłem wstawać rano i wykonywać swoją pracę! Lubiłem oddychać powietrzem, jeździć konno, przebywać z żoną i dziećmi, lubiłem to!

Wasserman z gorzkim uśmiechem:

– Wszyscy jesteśmy ułomni, kalecy na ciele i duszy. Wszyscy mamy amputowane członki. Jeśli zastanowi się pan głębiej, dostrzeże pan, że wszyscy, nawet ci, którzy twierdzą, iż są szczęśliwi, czują w skrytości ducha ten sam gryzący smutek. Gorzkiego robaka rozpaczy. Zdajemy sobie doskonale sprawę, że szczęście jest przezroczyste jak bańka mydlana i tak samo ulotne. Umyka

nam, by zniknąć na zawsze. Zasługiwaliśmy na nie przez sam fakt istnienia, zabrali nam je jednak nieznani rabusie. Dlatego, jak mówię, staliśmy się kalekami. Amputowano nam radość. Odcięto szczęście. Odjęto sens, Herr Neigel. Ale, jak w przypadku amputowanej ręki, ciało tęskni i wyobraża sobie, że czuje tętniącą krew, ciepło. Żal i tęsknota za utraconymi częściami miażdżą nam serce jak w mózdzierzu. Nieprawdaż, Herr Neigel?



### **Nes – cud**

Zjawisko wyróżniające się na tle zwyczajnych wydarzeń swą przyczyną, znaczeniem i celem

1. Wassermana ocalił cud. Było to wtedy, gdy zgubił wątek opowiadania i nie potrafił odpowiedzieć na logiczne pytanie Neigla, zadane po raz trzeci, uparcie i z rozdrażnieniem, jak to możliwe, że Polka Paula żyła w czasie wojny z Żydem, nie zważając na zakazy. Wasserman nie znalazł odpowiedniego wyjaśnienia. Przychodziły mu do głowy różne inteligentne odpowiedzi, odrzucał je jednak po kolei. Wydawało się, że znowu nie może „przypomnieć sobie wiecznie zapominanego opowiadania”. Akurat wtedy Neigel musiał wyznać, że kiedyś żona zaproponowała mu rozstanie, żeby jej bezpłodność nie przeszkodziła mu w dalszej karierze w SS (patrz: małżeństwo, zezwolenie na małżeństwo) i opowiedzieć o nowej bliskości w ich relacjach, która pojawiła się wraz z zagrożeniem z zewnątrz: Wiedziałem już, jaką historyjkę upichcić! Szybciutko opowiedziałem, jak Paula usłyszała o tych wstrętnych rozporządzeniach (patrz: te świństwa), przyszła do Frieda i uprawiała z nim miłość... może to cud, może przez moją głupotę nie wpadłem wcześniej na ten pomysł, a może jedno i drugie. Wiadomo, cuda potrzebują łutu szczęścia, aby ktoś dał im wiarę. U nas śpiewano tak: „Rabin czyni cuda, sam widziałem, wchodzi na drabinę i spada martwy. Rabin czyni cuda, sam widziałem, wchodzi do wody, i wychodzi mokry...”.

2. Dwa dni po buncie (patrz: bunt) na „drodze do nieba”, opowiedziawszy kolejny odcinek, Wasserman upomniał się o swój strzał. Neigel wzdrygnął się, zerwał na równe nogi i ryknął:

– Pod żadnym pozorem!

– Przecież przyrzekł pan! – wykrzyknął Wasserman.

Neigel:

– Dzisiaj o tym zapomnij.

– Czy słowo niemieckiego oficera już się nie liczy? – zapytał Wasserman.

Neigel zaczerwienił się, zaczął sobie wyłamywać palce i nagle wpadł w złość.

– Słuchaj, sam powiedziałeś, że muszę podjąć decyzję przed każdym strzałem. Ty mi to wkładałeś do głowy! Decyduję: nie strzelę do ciebie! Teraz ani nigdy! Nie i jeszcze raz nie! Zrozumiano?!

Wasserman, udając większy gniew, niż faktycznie odczuwał:

– Obiecał mi pan! Przekleństwo na pana, Neigel! Neigel, z twarzą wykrzywioną przerażeniem:

– Nie! Ach! Dla ciebie to nic! Widocznie nic nie czujesz, kiedy do ciebie strzelam! Żadnego bólu! Ze mną jest inaczej! Już trochę cię znam! Nie jesteś zwyczajnym Żydem, jak tamci! (wskazał ręką na to, co się działo za zaciągniętymi zasłonami). Nie, Wasserman. Zapomnij o tym. Nie jestem już do tego zdolny. – Zamilkł przerażony słowami, które uleciały mu z ust.

Wasserman, dręcząc go do granicy wytrzymałości:

– Pan jest niemieckim oficerem, Herr Neigel, najdoskonalszym wytworem trzeciej Rzeszy, a ja ludzkim śmieciem, *Untermensch* (patrz: podludzie)! Niech pan do mnie strzeli, bo jak nie, przestanę opowiadać!

Neigel wrzasnął:

– Musisz! Musisz opowiadać!

– Tak? A po co, pana zdaniem, męcę się tak co wieczór? Dla pana pięknych oczu?

Neigel, prawie nieprzytomny:

– Bo lubisz opowiadać! Sprawia ci to przyjemność!



– Nie! Bo chcę umrzeć, Neigel! Szajlok żąda swojego funta ciała! Strzelaj, Herr Neigel! Ognia!

Wrzaski Wassermana jakby przywróciły Neiglowi rozsądek. Może trafiły do tej części osobowości, która nakazuje mu natychmiastowe posłuszeństwo wobec autorytetu? Wstał, biały jak ściana, wyciągnął broń. Przystawił Wassermanowi lufę do skroni. Metal zatańczył na skórze (Wasserman: „Jak weselny błazen przed panną młodą”). Wasserman poprosił twardo, aby Neigel opanował drzenie i wziął się w garść. Niemiec przyznał, że nie potrafi. Coś podobnego nigdy mu się nie przytrafiło. Zapytał z lękiem:

– A jeśli tym razem umrzesz?

Wasserman uśmiechnął się do siebie i rozkazał niemal wojskowym tonem:

– Strzelaj, Neigel! Wsadź mi kulkę w głowę! Przecież jestem tylko Żydem, jak inni!

Zawstydzające drzenie rąk ustąpiło dopiero po kilku chwilach. Neigel odchrząknął i zaproponował słabo:

– Humpf, może... to jest – może odwrócisz się twarzą w tamtą stronę? Na przykład do drzwi.

Wasserman:

– A co tam jest? Mekka morderców?

Neigel:

– Nie, tylko że... krótko mówiąc: szkoda za każdym razem zbić okno, prawda?

Wasserman zaczął się śmiać. Po chwili Neigel także zrozumiał komizm swojej propozycji i zaczął się śmiać razem z nim. Warto podkreślić: śmiali się razem. Przez chwilę poczuli, jak dobrze się rozumieją. Człowiek, powiedział pewnego razu Wasserman, jest zrobiony z elastycznego materiału. Miał rację: najwyraźniej przyzwyczajają się nawet do zabijania, a także do nieumierania. Zaczyna dobijać drobnych targów z cudem. Kiedy śmiech ustał i obaj się uspokoili, Wasserman powiedział łagodnie i przyjaźnie:

– Proszę, strzel do mnie teraz.

Neigel zamknął oczy i strzelił. Wasserman: Przez czaszkę przeleciało mi znajome brzęczenie i dowiedziałem się, co zapisuje Neigel, słuchając mojej historii. Aj! Neigel upuścił broń i znowu zaczął się śmiać: ulżyło mu, że pozostałem przy życiu, ale także wydarzyło się coś niesamowitego: kula trafiła we framugę, odbiła się rykoszetem i uderzyła w szybę, rozbijając ją na kawałeczki. Cud odrzucił umowę.

3. Kiedy nadchodził koniec Kazika (patrz: Kazik, śmierć – ), kiedy się okazało, że pokładane w nim nadzieje zawiodły, że Dzieci Serca nie wykonały ostatniego zadania, Neigel i Wasserman rozmawiali cichymi głosami, w których pobrzmiwała nuta porażki. Starali się zrozumieć, gdzie leżą powody klęski. Wasserman zakładał, że odpowiedź tkwi w samej naturze cudu. Neigel zdumiał się („Cuda? Czemu nagle przypomniałeś sobie cuda?”). Wasserman:

– Ach, nu, zarówno pan, Herr Neigel, jak i moje Dzieci Serca, chcieliście dokonać cudu... wyolbrzymić ludzką naturę... Pan na swój sposób, Dzieci Serca na swój. Obaj chcieliśmy stworzyć nowego człowieka... i nie wyszło dobrze. Wszystko przepadło... pan swoimi czynkami sprawił... nu, sam pan wie co. A ja swoimi czynkami, nu, et, jak zawsze: chciałem chociaż raz opowiedzieć dobrą historię. Poprawną, jak należy. Chciałem przekazać w niej morał i naukę, zostać filozofem. A fe! Stary, a głupi! Do tego trzeba talentu, zalet serca i rozumu! Co ja tu zrobiłem w ostatnich tygodniach? To żalony żart. Nędzny dowcip. Taki Munin albo Zajdman czy Chana Cytryn... pańska żona miała słuszość: jestem kuriozum! Pańska małżonka przejrzała mnie na wylot! Zamierzałem dokonać cudów! Człowiek, który chce ulecieć do nieba, i kobieta, pragnąca skusić Boga! Chciałem zostać nowym Mojżeszem z Warszawy! Aj, nie, Herr Neigel. Cuda nie dają nadziei. Ani złe, ani dobre. Z ludzkiego ciasta nie wypieczemy cudu! Trzeba, *nebuch*, iść naprzód pomalutku i poprzestać na małym, kochać i nienawidzić to, co istnieje, kochać i nienawidzić bliźniego jak siebie samego, oto cała mądrość. Trzeba czuć litość. Chwała nie nadejdzie dzięki cudom, Herr Neigel...

# נעורים

## Neurim – młodość

Okres pomiędzy dzieciństwem a pełną dojrzałością

O godzinie trzeciej trzydzieści rano Kazik miał około siedemnastu lat. Właśnie przebudził się ze snu (patrz: dojrzewanie) i na powrót znalazł się w czasie. Rozpoczął się trudny okres. Miotła nim jakaś wszechwładna siła. Zmienne, wyczerpujące, przytłaczające nastroje. Nie mógł nad nimi zapanować, a to go upokarzało. Nawet jego radość była pełna napięcia. Nagie ciało, owinięte jedynie pieluchą, *zaczęły* porastać włosy, i to także go zawstydzalo. Głos stał się niski i odrobinę ochrypliwy. Zgrubiały mu rysy twarzy. Fried, który nie odstępował go ani na chwilę, usłyszał nagle serię drobnych eksplozji i w świetle lampy zobaczył, jak na twarzy Kazika pojawiają się drobne, brzydkie, ropne wypryski, które natychmiast pękają. Siły życia kłębiły się pod skórą. Policzki pokrył jak mgła biały puch. Kazik traktował podejrzliwie wszystko i wszystkich, w tym Frieda. Jeśli doktor mu czegoś odmawiał, tupał nogami z wyrazem takiej wściekłości i wrogości, że Fried pośpiesznie spełniał jego życzenia. Fried: Jest taki biedny. Nie wie dokładnie, czego chce. Trzeba mu pomóc przez to przejść. Czasami Fried czuł, jakby znalazł się w pracowni obłąkanego malarza, który maluje jednocześnie obiema rękami, krzywi się i gniecie papier, aby natychmiast rzucić się na następny arkusz. Fried nie miał już nawet złudzeń, że chłopiec należy do niego. W jego sercu było sto pragnień, lecz nie wiedział, jak nad nimi zapanować. Na jego twarzy odbijały się kolejne niemiłe myśli i emocje, rozpaczliwie szukające odpowiedniego ujścia. Mimo to Fried ani na chwilę nie przestał kochać Kazika i bez przerwy wynajdował argumenty, dowodzące, że chłopiec zasługuje na miłość i wybaczenie, przypisywał mu cechy, zamiary i uczucia, którymi sam pragnął się odznaczać, chcąc utrzymać bliskość z obcym człowiekiem. W dodatku Kazik miał pewien ponury wrodzony talent: jego skomplikowane relacje z czasem (patrz: czas) sprawiły, że mógł obserwować procesy wzrostu i rozkładu jednocześnie we wszystkich rzeczach i istotach żywych. Każda istota, każda roślina wydawała mu się okrutnym polem bitwy w

nieustającej wojnie. Przygnębiało go to i zwiększało jego agresję, która wybuchała bez żadnych hamulców.

A jednak, jak to się zdarza, chwilami z tego kłęбка emocji wylaniał się chłopak, który swą siłą i uporem zdumiewał nawet doktora. Zdumiewał go optymizmem, który promieniował z niego niczym wytwarzane przez organizm panaceum na rany procesu dorastania. Przed trzecią trzydziści nad ranem szaleństwo Kazika trochę się uspokoiło. Pojawiła się pewna harmonia w ruchach. W oczach zalśniło nowe spojrzenie, pełne ciekawości i pewności siebie. Bardzo jasne. Serce doktora urosło ze szczęścia. Kazik podszedł, usiadł u jego nóg, ujął go za starą rękę i zapytał, czy rzeczy, które słyszał od niego kiedyś, wiele lat temu, w dzieciństwie, są prawdziwe. Kazik pamiętał mgliście to, co Fried opowiadał mu o świecie poza czterema ścianami. O innych ludziach (patrz: wychowanie). Serce doktora zadrżało. Straci także i to dziecko. Ile rozstań może znieść człowiek? Cichym głosem przyznał, że istnieje świat poza domem. Ze są tam ludzie. Przez moment nienawidził uśmiechu, który pojawił się na wargach chłopca. Kazik zapytał, jak wygląda tamto życie, a doktor powiedział: Jak życie. Potem Kazik zapytał, czy ludzie na świecie lubią swoje życie. Fried chciał skłamać, ale nie potrafił. W chłopcu było coś, co sprawiało, że kłamstwo wydawało się wstrętne. Wydawało się niejako stratą czasu i *życia*. Kazik wysłuchał odpowiedzi (patrz: kalectwo) i zamyślił się, zdziwiony. Zapytał, ilu ich jest, ludzi na zewnątrz, i doktor wymienił liczbę, która wydawała mu się najbliższa prawdy. Chłopiec rozdziawił usta. Nie zrozumiał takiej liczby. Uśmiechnął się znowu bolesnym uśmiechem, mówiąc, że to nieważne, ilu ich jest, ale z pewnością przynajmniej jeden z nich kocha życie, i że on, Kazik, chce być tym kimś. Poruszony doktor zapytał, czym jest jego zdaniem miłość życia. Czym jest, według niego, szczęście. To pytanie było jednak zbyt skomplikowane dla Kazika, którego zdolność rozumowania i wyrażania się były dramatycznie ograniczone. Mógł tylko powiedzieć: To coś dobrego. Coś, czego chcę. Coś, co musi tam być. Chodźmy to dostać. Tak więc, bez zbędnych przygotowań, ruszyli w drogę.

Patrz: szaleńcy, wyprawa szaleńców; życie, radość życia

# סבל

## **Sewel – cierpienie**

1. Ciężar, brzemień/ obciążenie. 2. Przez analogię: brzemień zmartwień lub nieszczęść, bólu.

Fizyczna lub duchowa tortura

Według Wassermana: kompas, latarnia morska, kryterium każdej decyzji. Wasserman uważa wrażliwość na cierpienie i jego świadomość za najwyższy cel człowieka na ziemi. Więcej: to ludzki protest. Najwyższy wyraz wolności. Miara człowieczeństwa człowieka, według Wassermana, wypływa z ilości cierpienia, które zdołał zmniejszyć bądź mu zapobiec. Uwaga redakcji: zbędne wydaje się podkreślenie, że Wasserman nie stanął nigdy wobec dylematu, kiedy, na przykład, musiałby sprawić cierpienie dla uratowania życia. Redakcja zakłada, że tak głęboko było w nim zakorzenione bierne, szlachetne podejście, iż być może wolałby zginąć niż spowodować cierpienie. Każda dyskusja na ten temat z Wassermanem przypomina rozmowę ze ślepym o kolorach.

# סהרורים, מסע ה-

## **Saharurim, masa ha – szaleńcy, wyprawa szaleńców**

Wyprawa Frieda, Kazika i innych artystów (patrz: artyści) z domku Frieda do domku Ottona

Wyprawa rozpoczęła się o czwartej dwadzieścia siedem nad ranem, kiedy Kazik miał około dwudziestu dwóch lat. Szli wzdłuż ptaszarni, minęli grób Pauli i skręcili w aleję Wiecznej Młodości. Gromadka znużonych ludzi, prawie u kresu sił, którzy widzieli w Kaziku swą ostatnią nadzieję. Wskazywali mu miejsca, w których mieszkali, spali i tworzyli swoje dzieła, wyjaśniając, kim są i na czym polegają ich wyjątkowe dary. Nie rozmawiali wiele. Wystarczyło kilka słów albo skinienie (Munin: Tak jak mnie). Markus: Są wśród nas tacy, którzy ani na chwilę nie przestają mówić do siebie i innych, gdy jednak zadaje im się jedno ważne pytanie, nagle milkną, zmieszani. Jacy byliśmy? Wszyscy ludzie serca

Otona Briga? Nieszczęsnymi partyzantami, żyjącymi w dzikich lasach, poza nawiasem ludzkości. Jak zdołamy zwyciężyć? Bez wątpienia cień rozpaczy i zmęczenia artystów przeniknął do duszy Kazika. Z otwartymi ustami słuchał dziejów ich niezwykłych zmagañ. Czuł straszliwy wysiłek, jaki w nie włożyli. Po raz pierwszy w życiu jego delikatne zmysły domyśliły się istnienia granic ludzkich możliwości i zdumiał się, jak blisko te granice się znajdują. Wędrówka odbywała się niezwykle powoli (trwała trzydzieści cztery minuty), ponieważ wszyscy co chwila się zatrzymywali, aby wyjaśnić coś Kazikowi i odpowiedzieć na liczne pytania. Kazik mijał po kolei Krzyk (patrz: skradziony czas), Prometeusza (patrz: Prometeusz), kurhan, w którym spoczywała Paula, powykrzywianą od tortur twarz Gincburga i inne punkty orientacyjne. Spędził prawie dwa lata w drodze i były to zapewne decydujące lata jego życia, jeśli chodzi o kształtowanie się charakteru. Podróż ta, podczas której Kazik poznawał świat, przyniosła kilka chwil najwyższego szczęścia (patrz: życie, radość życia), ale przede wszystkim bolesne przebudzenie w kwestii życia i tego, co ze sobą niesie (patrz: cierpienie). Wasserman:

– Kiedy szliśmy za nim, Herr Neigel, przygarbieni, zmęczeni, martwi i szaleni, czuliśmy, jak bardzo jest nam potrzebny... Ze nasz los i nasza wojna splatają się z jego losem i wolą... To okrutne żądać czegoś takiego od tak młodego chłopca, ale na wojnie, jak to na wojnie. Jaki mieliśmy wybór?

Była ciepła noc w pierwszych dniach kwietnia tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku. Niebo na horyzoncie gorzało czerwoną łuną pożarów. Z oddali dobiegał swąd palonych ciał. O godzinie piątej zero jedna grupa dotarła do domku Otona, który czekał na nich na progu.

## סיגריה

### **Sigaria – papieros**

Papierowa tutka, wypełniona tytoniem, przeznaczona do palenia

Po powrocie ze swego ostatniego urlopu (patrz: urlop) w Monachium

Neigel zaczął palić bez ustanku. Pewnego razu wielkodusznie poczęstował papierosem Wassermana. Literat, który nigdy w życiu nie palił, przyjął go przez wzgląd na Zalmansona, który w obozie nie przestawał tęsknić za swymi małymi cygaretkami. Zaciągnął się i o mało nie zemdleł. Wasserman: „W głowie kręciło mi się jak na karuzeli! Kto by pomyślał, że papierosy są takie mocne? Niech spłonie!”. Jeszcze raz odważnie się zaciągnął i odrzucił papierosa: „Niech go spotka czarna godzina, tego Zalmansona! Mam się dla niego udusić?”.

## סרגיי, סמיון יפּימוביץ

### **Siergiej Siemion Jefimowicz**

Rosyjski fizyk. W dzieciństwie należał do grupy znanej jako Dzieci Serca. Po rozstaniu z towarzyszami zyskał światową sławę dzięki badaniom nad teorią światła. Zamknięty w sobie mizantrop. Zawsze wolał przebywać wśród mechanizmów i wykresów w laboratorium niż żywych istot. Był taki sam w dzieciństwie: złote ręce, zamknięte serce. Wasserman żywił doń mieszane uczucia, co widać najlepiej po tym, że w siedmiu z szesnastu opowiadań o przygodach Dzieci Serca „zapomniał” umieścić Siergieja. Przyznał nawet otwarcie: „Jest w naszym dobrym Siergieju coś takiego... on rozumie maszyny i kółka zębate od wewnątrz, jakby sam był jednym z nich... Nie udało mi się włożyć w jego usta ani jednej zabawnej czy sympatycznej wypowiedzi...”. Wasserman zawsze podejrzewał, że Siergiej nie interesuje się humanitarnymi wyczynami drużyny, lecz jedynie machinami, które konstruuje na ich użytek. Ponieważ sam Siergiej nie mówił zbyt wiele, a Anszel Wasserman nie poświęcał mu dużo miejsca, nie wiemy, w jaki sposób ponownie spotkał się z towarzyszami. Wiadomo tylko, że po wybuchu wojny został wcielony do Armii Czerwonej, która chciała wykorzystać jego badania nad teorią światła. Przebywał z jedną z dywizji Budionnego na froncie południowo-zachodnim, pomagając w usprawnieniu systemu celowniczego dział dalekiego zasięgu. Dostał się do niewoli, został przewieziony do Berlina, potem osadzony w obozie

jenieckim, a w końcu znalazł się w Warszawie jako zwykły robotnik w fabryce, produkującej soczewki dla wojska. Przez cały ten czas Niemcom nie przyszło do głowy sprawdzić, kim właściwie jest Siergiej i jak wielką wiedzę posiada. Od tego momentu nic nie jest jasne. Pod koniec czterdziestego drugiego roku w wojskowej fabryce na przedmieściach Warszawy zjawił się Otto. Ujrzał Siergieja w jenieckim drelichu i od razu go poznał. Siergiej nie rozpoznał go. Znajdował się już „poza swoim życiem” (Markus). Otto przekupił strażnika (Fried: Połową miesięcznego budżetu!) i przywiózł Siergieja do ogrodu zoologicznego. Umyty, nakarmiony i ciepło odziany Siergiej zaczął wracać do siebie. Ale nigdy całkowicie nie odzyskał sił. Miał chorowity wygląd, dziwny chód (Nosił głowę tak ostrożnie, jakby była ze szkła!) i wydawało się, że jest skonstruowany z jakiegoś kruchego, delikatnego materiału. Miał niezwykle wyczułone zmysły i na widok ludzi natychmiast czmychał w zarośla. Tylko z Ottonem zamieniał czasami parę słów. Czerwienił się wtedy i jedno oko natychmiast zaczynało mu łzawić. Kilka tygodni po przybyciu do ogrodu rozpoczął rozmaite bezcelowe eksperymenty. Kiedy jednak Otto opowiedział mu ostrożnie, czym zajmują się inni artyści, oczy nagle mu zapłonęły. W dzieciństwie Otto w taki sposób podsuwał mu nowe pomysły. Otto: Tym razem, co tu dużo mówić, ten ogień trochę mnie przestraszył. Nie wiem czemu. Pomyślałem, że może popełniłem błąd, wprowadzając takiego człowieka na powrót do drużyny. Przecież nikt nie może przysiąc, że ktoś, kto kiedyś do nas należał, nie zmienił się, prawda? Z doświadczeń, przeprowadzonych przez Siergieja w ogrodzie, warto wspomnieć dwa: Krzyk (patrz: Krzyk) i system równoległych zwierciadeł, służący do pozyskiwania czasu (patrz: Prometeusz). Doświadczenia te były trochę niezdarne i wymagały wymyślnych narzędzi technicznych, które nie zawsze udawało się zdobyć. Pozostali artyści (patrz: artyści) nie zaakceptowali Siergieja nie tylko z powodu jego natury skrajnego odludka, ale też dlatego, że jako jedyny wśród nich korzystał z narzędzi, jego ciało ani dusza nie służyły mu za broń w wojnie. To się zmieniło, rzecz jasna, w ostatnim, słynnym eksperymencie, kiedy Siergiej zniknął w niejasnych okolicznościach (patrz: Prometeusz).



# עינויים

## Inuim – męki

Zadawanie człowiekowi dotkliwego cierpienia fizycznego bądź psychicznego

Męka Kazika. Kiedy Kazik zbliżał się do końca i patrzył wstecz na swoje życie, odkrył, że większość lat przeżył w cierpieniu, które zasadniczo było bez znaczenia. Chęci, pragnienia, nadzieje, obawy – krótko mówiąc, większość emocji – przeżywał w takich ilościach i tak intensywnie, jakby były przeznaczone dla sił przyrody, burz i oceanów, a nie zwykłych ludzi, takich jak Kazik, na którym dokonywały zemsty. Autodestrukcja Kazika pod koniec życia była tak gwałtowna, że jej siła mogłaby przepołowić kulę ziemską. Mogła się jednak zwrócić tylko przeciw Kazikowi i otaczającym go artystom (patrz: artyści). Być może trzeba by było wielu lat, aby rozcieńczyć wszystkie te siły i impulsy osadzone w jednym ciele, ale pozbawiony wody czasu od początku był skazany na niepowodzenie. Psychiczne katusze i pragnienia dręczyły go i upokarzały, zgniatały każdy przebłysk łaski. Ani jedno żądanie umęczonej duszy, ani jedno z gwałtownych pragnień nie rozkwitło, nie dojrzało i nie zwiędło w odpowiedniej porze, aby Kazik mógł stać się prawdziwym dziełem boskiego Stworzenia (patrz: stworzenie, dzieło artystyczne) – tym, co nazywa się tęsknie koroną Stworzenia. Wasserman:

– Był zgubiony, Herr Neigel, zgubiony od samego początku... Lepiej, żeby się nigdy nie narodził... Czym są te krótkie chwile, nazywane przez nas „życiem”? Czego człowiek może w tym czasie dokonać? Jak dalece zdoła poznać siebie i swój świat? Et! Myśli pan, że Matuzalem wiedział pod koniec życia więcej niż Kazik o szóstej dwadzieścia?

Zadał to pytanie znużonym, pokonanym głosem. Był to ostatni wieczór ich opowieści. Kazik zbliżał się już do śmierci. Podobnie, jak obersturmbannführer Neigel, który wrócił z urlopu w Monachium złamany i przygnieciony nieszczęściem (patrz: katastrofa). Słyszając opis męczarni Kazika, Neigel wymamrotał:

– Trochę litości, Herr Wasserman. – Głowę oparł na przedramieniu,

drugą rękę wyciągnął w poprzek biurka. Wasserman opowiedział mu, jak Kazik zaatakował swoje ostatnie chwile z otwartą furją: zażądał, aby artyści opowiedzieli mu w końcu, kim jest, jakie jest jego przeznaczenie i po co został stworzony. Nie mieli jednak odpowiedzi. Co chwila dawał się porwać zawstydzającym w swej gwałtowności potrzebom. Wszystko w nim było niestabilne, nieprzewidywalne. Jego krótkie życie przypominało artystom ciąg histerycznych wybuchów, sprzecznych kaprysów.

Wasserman:

– Chwile uniesienia i depresji, ach, obrzydliwe ciasto!

Dopiero kilka miesięcy przed śmiercią (patrz: Kazik, śmierć Kazika), około wpół do czwartej po południu, Kazik zaczął się uspokajać. Być może był już słaby fizycznie, a może zmogły go poczucie bezsensu i rozpacz. Dopiero wtedy obejrzał się za siebie i odkrył zdziwiony, że to, co minęło, a co wydawało mu się zwyczajnym życiem, przygnębiającym, lecz stabilnym, nie było niczym więcej niż serią błazeńskich podskoków, niepewnych i żalonych. Markus: Jego nastroje zmieniały się z sekundy na sekundę. Równie szybko wkładał i zrzucał maski wiary, ważne decyzje, odwieczne przekonania...

Z przygnębieniem zrozumiał, że nie zgromadził w życiu wystarczającego doświadczenia. Być może całe życie przygotowało go do życia, ale właśnie teraz, kiedy zaczął to rozumieć, musi odejść. Markus: O to chodzi, Kochany Kaziku. Za doświadczenie płaci się życiem. Własnym życiem... To trochę jak człowiek, który sprzedaje własne włosy, aby na koniec kupić sobie grzebień.

W ostatnich chwilach był nie do zniesienia. Jego ciało rozkładało się jeszcze za życia. Chwilami przepelniały go żal i miłość, które pulsowały falami żarłocznego, bolesnego ognia, podobnie jak w atakach nienawiści. W jednej chwili ścisnął czule Frieda, okrywając gorącymi pocałunkami jego twarz, w następnej zapalała się w nim iskra złości, pochylał się i sypał doktorowi piaskiem w oczy.

Wasserman: – Fried, stary, złamany demiurg, nie protestował i bez ruchu przypatrywał się drobnej, nieszczęśliwej istocie, którą życie tak okrutnie potraktowało, rozrywając na strzępy jej ciało i duszę. Najokropniejsza ze

wszystkiego była świadomość porażki. Artystów i samego Kazika: wyraźna, dojmująca świadomość, że szansa była bardzo blisko, ale nie potrafili jej znaleźć. Ze szczęście być może towarzyszyło im przez chwilę, ale znużyło się nimi i odeszło. Mieli wrażenie, że coś zdradzili. Ale nie wiedzieli, co to takiego.

## פלגיאט

### Plagiat

Kradzież literacka

Zbrodnia obersturmbannführera Neigla wydała się wieczorem, przed jego wyjazdem na urlop (patrz: urlop) do rodziny w Monachium. Oto przebieg wydarzeń: Neigel od początku żądał, aby Wasserman opowiedział mu dalszy ciąg losów Kazika, od momentu rozstania z Chana Cytryn (patrz: Cytryn), gdy Kazik miał około trzydziestu lat. Wasserman – o dziwo – zakomunikował, że odmawia, i uzależnił opowiadanie dalszego ciągu od wysłuchania przez Neigla pewnego fragmentu, który do tej pory pomijał, ponieważ nie był on dopracowany. Neigel chciał się dowiedzieć, co to za fragment. Wasserman odparł, że ma na myśli odcinek, opowiadający o odrodzeniu Dzieci Serca. Neigel popatrzył na zegarek: pociąg do Berlina odjeżdżał o szóstej rano. O czwartej szofer miał go odwieźć na dworzec w Warszawie. Miał przed sobą pełne trzy godziny i postanowił wielkodusznie pozwolić Wassermanowi opowiedzieć najpierw nieistotny fragment. Autor podziękował i zaczął mówić (patrz: serce, Dzieci Serca). Neigel słuchał z irytacją, bez słowa, „antyniemieckich prowokacji”, jak je określił po zakończeniu. Nawiasem mówiąc: tego samego wieczoru Wasserman mówił niezwykle rozwlekle, jakby chciał zyskać na czasie, wykorzystując wszystkie dostępne środki literackie. Skończył o drugiej nad ranem. Neigel zapytał ostro, czy Żyd się wystarczająco dobrze zabawił i czy łaskawie raczy opowiedzieć dalszy ciąg historii Kazika. Autor schował się pod swoim garbem i stamtąd oświadczył z pełną przerażenia odwagą, że odmawia. Nie będzie opowiadał tej historii. Neigel nie wierzył własnym uszom. Wstał,

wykrzyknął „pułapka!” (patrz: pułapka), a potem rzucił się z wściekłością na Wassermana, okładając go brutalnie pięściami. Wydaje się jednak, że fizyczny kontakt (pierwszy) z Wassermanem natychmiast go ostudził. Podeszedł do małej umywalki w kącie, obmył twarz i przyniósł Anszelowi mokrą szmatkę, żeby ten się wytarł. Potem usiadł obok niego na podłodze i nieszczęśliwym tonem poprosił, żeby przestał się nad nim znęcać. Pobity autor podkreślił w duchu, że ton był łagodny, nierozkazujący, niczym prośba o przysługę. Odparł:

– Nie, Herr Neigel. Przykro mi, ale musi pan wymyślić dla niej inne opowiadanie.

Z początku Neigel uznał, że się przesłyszał, bo opuchnięte wargi i wybite zęby utrudniały pisarzowi mówienie. Potem popatrzył mu w oczy i zrozumiał. Spuściwszy głowę bawił się sprzączką czarnego oficerskiego buta. Pokonanym głosem zapytał:

– Skąd wiesz? Jak to odkryłeś?

Wasserman, powoli:

– Zwyczajnie. Zastanawiałem się i odgadłem.

Neigel:

– Tak. Teraz już wiesz.

Wasserman, który wciąż nie wiedział wszystkiego, choć starał się sprawiać takie wrażenie, spróbował szczęścia:

– Wysłał jej pan całe moje opowiadanie, prawda? W listach do niej przepisał pan całe moje opowiadanie, czy tak?

Neigel:

– Tak. Całe.

Wasserman, z nerwowym śmiechem:

– Nu, tak. A... proszę powiedzieć... wciąż myśli, że... znaczy się, jestem kur... żartem?

Neigel:

– Nie. Nie. Wiesz, ona mówi, że to najlepsze opowiadanie, jakie kiedykolwiek napisałeś. To znaczy...

– To znaczy co? Co? Mów szybko!

– To znaczy... humpf, rozumiesz oczywiście, że...

– Co? Co mam zrozumieć?

– Że ona, znaczy się, Christina, nie wie o tobie. To znaczy – o nas.

Humpf.

– Herr Neigel, proszę, proszę mi powiedzieć, przecież sam pan wyznał, że opowiedział jej pan o mnie na pierwszej przepustce, nie pamięta pan? Musi pan pamiętać, kiedy pojechał pan do kopalni, do Borysławia? Nu? I co?

– Tak, tak, opowiadałem. Ale musisz zrozumieć, Wasserman – śmieje się z ogromnym zażenowaniem, spuszcza oczy, zapina i rozpiną sprzączkę, próbuje coś wyjaśnić: – Wspomniałem jej, oczywiście. Powiedziałem, że do nas trafiłeś. Ona dokładnie wie, co to znaczy. Była tu kiedyś, sam rozumiesz.

– Ona? Tutaj?! – Rozczarowanie w głosie Wassermana! Z jakiegoś powodu pragnął utrzymać tę kobietę, tak kruchą, tak brzydką, z dala od tego miejsca. Ze względu na nią. Na siebie. Neigel kiwa głową. Wasserman:

– Nu, i co? Jest przekonana, że ja, znaczy się, umarłem?

– Tak. Tak właśnie jest. Przykro mi, Herr Wasserman. Ale wszystko tak się skomplikowało. Zacząłem to jako żart. Właściwie nie żart, ale powiedzmy – zabawę. Trudno mi to wytłumaczyć. Nie rozumiesz. Nagle to się tak rozwinęło, że nie mogłem już powiedzieć jej prawdy, prawda?

– Co? (Wasserman: „Nu, nagle zrozumiałem wszystko. Bez strzału i bez brzęczenia. Takiemu głupkowi trzeba wszystko palcem pokazywać! Ach! Ten wielki bydlak! Obersturmbannführer Neigel! Z całą prostotą przepisał moje opowiadanie w listach do ukochanej żony, jakby sam je wymyślił! Oj, co za podły postępek, jakiego ziemia nie widziała! Oj, ależ byłem wściekły!”).

– Słuchaj, Neigel! – krzyknął Wasserman. – Przecież to plagiat! Najgorsza zbrodnia, która mogła się tu przydarzyć! Aj! – Uderzył się w pierś i padł na ziemię w nagłym spazmie bólu, krzycząc wyschniętym gardłem: – Gorsza od śmierci, Neigel! Ukradłeś mi opowiadanie, Neigel, ukradłeś mi życie!

Niemiec, stojący przy metalowej szafce, otworzył nową butelkę spirytusu, łyknął pośpiesznie, nie szukając kieliszka, otarł usta i zwrócił się do pleców Wassermana:

– Powiedziałem przecież, że żałuję! Ile razy mam to powtórzyć? Przepraszam! Przepraszam! Mam przed tobą klęknąć? Musisz mi uwierzyć, nie miałem wyjścia! Słuchaj... – Zwraca się do Żyda, który zwinięty w kłębek leży na ziemi, uśmiecha się do niego sztucznie, pochlebczo: – Możesz być zadowolony, Szeherezado, bo dzięki twojemu opowiadaniu zobaczę Tinę. Rozumiesz? Od razu napisała, żebym wziął urlop i przyjechał. Dlatego dziś wyjeżdżam. To znaczy – za chwilę. Napisała, że wszystko się zmieniło. Tak, od dawna nie słyszałem od niej czegoś takiego. Wszystko dzięki tobie, Szeherezado. Jesteś teraz zadowolony?

(Wasserman: „Boże wielki! Anszel Wasserman, dobroczyńca nazistowskich rodzin! Nareszcie wszystko zrozumiałem. To skrobanie w notesie, kiedy do niego mówiłem, aluzje do swoich problemów i osobisty incydent, o którym napomknął, et! Podtrzymałem jego upadające małżeństwo?!”).

Neigel chwycił Wassermana za ręce, podniósł go delikatnie i położył na połowym łóżku. Wasserman odwrócił twarz ze złością. Neigel odkręcił do siebie jego głowę. Szukał w jego opuchniętych, podbitych oczach błysku wybaczenia (Wasserman: „Pochylał się nade mną niby prorok Eliasz nad synem wdowy z Sarepty!), i nie przestawał mówić. W jego oddechu czuć było kwaśny, odstręczający odór alkoholu. Opowiadał szczegółowo o swoim życiu z żoną po wybuchu wojny (patrz: katastrofa). Według niego Christina nie wiedziała prawie nic o jego pracy.

– Może i nie chciała wiedzieć. – Przypomniał Wassermanowi, że od ślubu do połowy trzydziestego dziewiątego roku Christina miała problemy z zajściem w ciążę i z kuracją. – Nie muszę chyba mówić, z czym jeszcze. Chyba wystarczało jej, że jestem szczęśliwy w SS, że po wszystkich latach pracy w najrozmaitszych miejscach, gdzie zajmowałem się okropną, czarną robotą, nagle miałem stałe zatrudnienie i niezłą pensję. Co wieczór wracałem do domu. Nawet nie wstąpiła do partii. Ona jest trochę jak ta twoja Paula. To naprawdę dziwne, bo nagle przypomniało mi się, że kiedy byłem młody, zawsze szukałem dziewczyn przypominających wyglądem Paulę z opowiadań, taką... pewnie rozumiesz. Tina też kompletnie nie zna się na polityce, w ogóle nie zna się na tych wszystkich

sprawach, które teraz się dzieją... Wyobraź sobie, Wasserman, że powstrzymałem ją w ostatniej chwili, kiedy szła wysłać list do jednego pisarza, o którym może słyszałeś – Tomasza Manna. Widziałem jego nazwisko na naszej czarnej liście. Wyobraź sobie: w czterdziestym chciała do niego napisać, a on sobie mieszka w Ameryce, zdrajca! Albo wychodziła na ulicę w czerwonej wełnianej czapce i szaliku! To było pod koniec czterdziestego pierwszego, kiedy nasza armia wykrwawiała się pod Leningradem. Na szczęście dzięki mnie nikt jej nie podejrzewa. Nie jest towarzyska. Poza mną nie ma przyjaciół, zawsze byliśmy tylko we dwoje. Potem była sprawa z palcami Karla...

– Jaka, Herr Neigel?

– Złamał dwa palce u prawej ręki i założyła mu gips, jest pielęgniarką, wiesz, ale ułożyła je tak, że tworzyły literę „v”. Przez cały miesiąc, kiedy byłem na froncie, kręcił mi się po domu mały Churchill. Rozumiesz, co ona robi? Albo petunie.

– Co z petuniami, Herr Neigel?

– Mamy na parapecie rośliny w doniczkach. Tina lubi kwiaty. Czasami patrzy sobie na jeden kwiat przez... – wymienili spojrzenia i uśmiechnęli się wbrew sobie. – Tak. Dokładnie jak ona. Po przyjeździe tutaj zaczęła robić jeszcze dziwniejsze rzeczy: wyrwała brązowe petunie i zasadziła żółte, różowe i czerwone. We wszystkich oknach mojego domu w Monachium kwitną teraz żółte, różowe i czerwone łaty. Ona mówi, że tak jest po prostu ładniej, ale ja wiem, że ma przypominać mi to Żydów, homoseksualistów i komunistów, którzy tu trafiają. W ten sposób się na mnie mści, rozumiesz? Pytałem ją dlaczego. Dlaczego musiała wyjść na ulicę w czerwonej czapce i szaliku, czemu robi mi takie rzeczy? Odpowiada, bez wstydu i bez wyrzutów sumienia, że w tej czapce i szaliku poszła na pierwsze spotkanie ze mną, obejrzelśmy wtedy film z Charlie Chaplinem, bo Tina lubi zabawne filmy, a ja lubię słuchać jej śmiechu. Ze względu na tamten wieczór włożyła to bolszewickie przebranie w czterdziestym pierwszym! Za nic nie chciała przyrzec, że już nigdy tego nie zrobi, i powiedziała, że trochę trudno jej śledzić wszystkie te trendy w modzie – nie miała na myśli ubrań, Wasserman – raz wolno nosić czerwony, raz nie, czasem

wolno lubić pisarza takiego jak Mann, zaraz potem nie wolno. Tak, teraz wiesz wszystko. Mieszka sama z dziećmi w Monachium, w maleńkim wynajętym mieszkaniu, nie chce ze mną rozmawiać. Najwyżej pozwala mi odwiedzić dzieci na kilka godzin, kiedy jestem na urlopie. Od niej samej – ani słowa. Przecież wystarczyłoby, żebym szepnął komuś słówko i byłaby zgubiona!

Wasserman, szyderczo:

– Dlaczegoż pan tego nie zrobi?

Neigel w milczeniu pochyła głowę. Wasserman przygląda mu się bez słowa.

– Ona twierdzi – odzywa się w końcu Neigel – że mnie nie porzuciła, ale że ma na myśli kogoś innego. Kogoś, kim byłem kiedyś. To dla niego wkłada tę czapkę i szalik, dla niego powiesiła fotografię Chaplina w sypialni, wyobraź sobie – Chaplina, po jego potwornym filmie o Führerze! Nie zmieniła nawet fryzury. A kobiety czeszą się już całkiem inaczej. Przy jej łóżku zawsze widzę stosy książek zakazanych autorów, nie mam pojęcia, jak je zdobywa. Nie wolno mi nawet wymawiać ich nazwisk. Kiedy patrzę na nią, jestem wstrząśnięty, Wasserman, bo jej życie po prostu zastygło. Ma nawet inny wyraz twarzy niż wszyscy. Taki powolny, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi. Żyje i wygląda dokładnie tak, jak w tysiąc dziewięćset trzydziestym, kiedy wstąpiłem do organizacji. Zdradza mnie – ze mną samym. Potrafisz pojąć coś podobnego?

Wasserman słucha, nie odpowiadając. Rozmyśla o tym, że czasem pod grubą warstwą zamrożonego śniegu kwitną kwiaty. Neigel mówi dalej. Nie może przestać. (Wasserman: „Jak niedoświadczony pijak, który po raz pierwszy posmakował upojnej mocy słów i zakreśliło mu się w głowie!”). Mówi:

– Nie jest bynajmniej komunistką ani kimś w tym rodzaju. Nic podobnego. Jest kobietą, rozumiesz, w ogóle nie ma przekonań politycznych. Nie cierpi czytać gazet. Niczego z nich nie rozumie. Przeraza ją tylko widok tłumów. Przeraza ją przemoc. Jest bardzo wrażliwa. – Zaśmiał się z zażenowaniem i przez chwilę wydawał się tak głupi i bezradny, że Wasserman aż odwrócił wzrok, mrugając boleśnie. Potem zapytał:

– I taką kobietę pan tu sprowadził?



Neigel:

– Nie. To była pomyłka. Głupota. Zrobili nam niespodziankę i przywieźli wszystkie żony oficerów w odwiedziny przed Bożym Narodzeniem. Rok temu, w zimie. Nawet o tym nie wiedzieliśmy. Przyjechały dokładnie w momencie, kiedy nowy transport Żydów biegł „drogą do nieba”. Padał śnieg i wszyscy byli sini z zimna. Tina od razu zemdląła. Na szczęście nie zdążyła nic powiedzieć. Poza nią zemdlały jeszcze dwie kobiety. Możesz sobie wyobrazić, że po tym musiałem okazywać jeszcze większą nieugiętość, żeby nie zaczęto nas obgadywać za plecami. – Zamilkł. Rozłożył ręce gestem pełnym słabości, porażki: – Proszę zrozumieć, Herr Wasserman, nigdy, nawet w listach, nie opowiadałem jej dokładnie, na czym polega moja rola. Nie chciałem, żeby wpadła w to... w to wszystko. Niektórzy nie są zbyt wytrzymali. Wielu naszych obywateli o niczym nie wie. Tak jest lepiej. Tina wiedziała tylko, że jestem ważnym komendantem. Ale nie wiedziała, czym dowodzę. W listach pisałem tylko takie tam... wyrazy miłości... piszę ładne listy, Herr Wasserman. Bardzo romantyczne, naprawdę. Czasami, uśmiejesz się, prawie wychodziły mi wiersze. Prawdę mówiąc, to Tina niechcący poddała mi pomysł, żebym napisał opowiadanie. Kiedy kilka tygodni temu opowiedziałem jej, że do nas trafiłeś, rozplakała się. Ona łatwo płacze... Jak twój Otto... Powiedziała, że jest jej ciebie żal. Jesteś jedynym znanym jej Żydem, który przyjechał na śmierć w moim obozie. To nią chyba wstrząsnęło. Powiedziała bez ogródek, co myśli o twojej twórczości. Taka już jest. Od razu mówi dokładnie to, co myśli. Taka już jest, nic nie może na to poradzić. Kiedy starałem się ciebie bronić, Herr Wasserman, powiedziała, że nawet listy, które kiedyś do niej pisałem, zanim stałem się mordercą – tak mówi – były ładniejsze od twoich opowiadań. Wtedy przyszedł mi do głowy dziwny pomysł. Pomyślałem, że może, jeśli napiszę dla niej takie opowiadanie, coś, co będzie mogła czytać Karłowi przed snem, ale więcej niż powiastkę dla dzieci, bo Karl i tak jest za mały, żeby wiele pojąć, może zacznie rozumieć... prawda?

– Co zrozumie? Na litość boską, Neigel, przestań kluczyć!

– Zrozumie, że... to znaczy, że mogę, nie... nie tak: że można być lojalnym członkiem naszej organizacji i wypełniać rozkazy, a mimo to pozostać

sobą, to znaczy człowiekiem. – Nagle wpada w podniecenie, wali pięścią o pięść: – Tak! To właśnie powinna zrozumieć! Właśnie to! – Oddycha ciężko, prostuje się, wygładza pognieciony, przepocony mundur. Nagle wydaje się znów silny, pełen bojowego ducha. – Dokładnie tak, muszę powiedzieć to tymi słowami! – Zerka znowu na zegarek. Jeszcze tylko kilka minut do wyjazdu.

– Słuchaj, Herr Wasserman – mówi pośpiesznie, w napięciu. – W ogóle nie masz pojęcia, w jakim piekle żyję. Ona nie pozwala mi się dotknąć. Mówi, że ją przerażam. Ze mam śmierć na rękach i tym podobne babskie głupstwa... Mówi, że tylko jeśli rzucę to wszystko, zastanowi się, czy do mnie wrócić! ONA się zastanowi! Ona! W ogóle nie zdaje sobie sprawy, co mówi! Prosi jak dziecko o gwiazdkę z nieba! Żebym wszystko rzucił? Teraz? W środku wojny? Co mi zostanie? Ale ona: „Pamiętasz, ile wycierpieliśmy, zanim Karl przyszedł na świat? Jedno dziecko, a ile starań i cierpienia (patrz: cierpienie), nadziei i rozpacz, tylko jedno dziecko, a ty, tam, dziesiątki ludzi codziennie”... Nie jest w stanie pojąć, ile ja ludzi naprawdę... codziennie...

(Wasserman: „Wielki nazista, brudne bydlę, podchodzi i siada obok mnie na podłodze, pusty niczym worek, mówi do siebie, do niej, spiera się z nią, błaga ją, taki słaby i głupi, taki ludzki, ajajaj, muszę przyznać, że właśnie w takich chwilach wzrusza moje stwardniałe serce”).

Neigel:

– Nie obwiniaj mnie, Herr Wasserman. Nie oskarżaj i nie pogardzaj mną. Ona i dzieci to dla mnie najważniejsza rzecz w życiu. Nie mam przyjaciół, nie mam już krewnych. (Wasserman: „Zaraz doda: Ulitujcie się, Żydzi, nie mam ojca ani matki!”). I nie jestem typem człowieka, który łatwo zbliża się do innych. Najlepiej mi jest z nią i z dziećmi. Na pewno nie uwierzysz, ale to, co wydarzyło się tutaj z tobą, nasze rozmowy i to wszystko, o czym ci opowiadałem, nasze wspólne opowiadanie, to dla mnie coś prawie całkiem nowego. Czasami w wojsku, w noc przed ciężką bitwą, ktoś zaczyna mówić, opowiadasz mu coś... nic ponadto, bo przecież dzisiaj nie można nikomu zaufać, to się zdarza czasami w długich podróżach pociągiem... ale to ludzie, którzy od razu cię opuszczają i nigdy już ich nie zobaczysz... Oczywiście, nawet im nie mogłem opowiedzieć o

Tinie, bo od razu zaczęto by o tym rozpowiadać i odebrano by mi ją. Ale z tobą, Herr Wasserman, z tobą było inaczej. Tak. Wasserman:

– Wysyłał jej pan moje opowiadanie i przez cały ten czas nie zdradził pan prawdy? (Wydaje się, że do Wassermana w końcu dociera pełne znaczenie tego wszystkiego. Możliwe, że najbardziej złości go fakt, że Neigel odebrał mu podziw Christiny i „oczyszczenie” w jej oczach. Wasserman: „Boże wielki, jeśli istnieje sposób uśmiercenia mnie, Neigel z pewnością go znalazł. Ukradł mi opowiadanie, złodziej!”). Neigel ponownie przyznaje się do winy. Wyjaśnia: po powrocie z urlopu napisał do żony list. Jeszcze siedząc w pociągu, napisał, że zamierza posyłać jej w listach opowiadanie, które wymyśli. Ostatnie opowiadanie, którego Szeherezada nie zdążył napisać. Dług honorowy wobec zmarłego pisarza – napisał przebiegle, z ohydny cynizmem, ale, jak twierdzi:

– To z dobrych chęci. To chyba przecież wielki komplement dla pisarza, że jego utwory w taki sposób wpływają na rzeczywistość, prawda?

Wasserman zamysła się na chwile. Pomysł podoba mu się, ale stara się zachować gniewny wyraz twarzy. Neigel obiecał żonie najpiękniejszą, najbardziej brawurową przygodę Dzieci Serca i w tym samym liście zaczął opisywać, jak dzieci się zestarzały, ich życie w kopalni „lepku”.

Wasserman:

– A ja wszystko przewróciłem do góry nogami!

– Tak. Potem zmieniłeś jeszcze raz, jeśli mogę ci przypomnieć. To mnie doprowadzało do rozpacz, bo byłem od ciebie całkiem zależny. Tina od razu odpisała, że opowiadanie jej się podoba. Ze mój list trzyma przy łóżku, na stosie ulubionych książek, wiesz, jakich. Tak, Herr Wasserman, to pierwszy list od roku, który zawierał coś więcej niż kilka linijek o Karlu i Lisie. W następnym liście napisała coś o mojej wyobraźni, w której pragnie widzieć źródło nadziei dla nas. Znam to zdanie na pamięć. Pewnie miała na myśli to, że ciągle zmieniam miejsce akcji.

– Ach? Co? Możliwe. Hmm. Możliwe.

– Od tamtej pory napisałem mnóstwo listów. Nie uwierzyłbyś, co? Kiedy szedłeś spać, siedziałem tu jeszcze godzinami i pisałem do niej. Trochę o sobie,

trochę o niej i dużo o Dzieciach Serca. Nie było mi łatwo, uwierz. Przede wszystkim nie mam żadnego doświadczenia w pisaniu, chociaż w Brunszwiku mieliśmy trzymiesięczny kurs korespondencji wojskowej. Beznadziejnie mi szło. Napisać opowiadanie – ach, to coś całkiem innego. Poza tym – nigdy nie czytałem książek. Tylko w dzieciństwie, opowieści biblijne, historie o przygodach misjonarzy, które przynosił nam ojciec, powieści Karola Maya i twoje opowiadania, oczywiście. A tu nagle przyszło mi samemu napisać opowiadanie. Nie, Herr Wasserman, to nie było łatwe! O wiele lepiej wypełniam zwykłe obowiązki! Ale nie zrezygnowałem. To była moja decyzja (patrz: decyzja)! Co wieczór siedziałem i biedziłem się. Przez ciebie było mi jeszcze trudniej, bo moim zdaniem twój główny problem (sic!!!) polega na tym, że myślisz w sposób nieuporządkowany. Co chwila przeskakujesz z tematu na temat. Poza tym trudno jest pisać opowiadanie, kiedy nie zna się zakończenia, prawda?

– Ach... tak, Herr Neigel, to prawda, mogę sobie to wyobrazić.

– Nie potrafisz. Znasz świetnie zakończenie. Ale mnie było trudno. To było prawie nie do zniesienia: nagle poza wszystkimi innymi problemami w obozie musiałem się zajmować czymś, co było kompletnie szalone. Pozwoliłem wyobraźni rozbujać się niebezpiecznie. Pewnie się uśmiejesz, ale czasem nie mogłem zasnąć, próbując sobie wyobrazić, co będzie dalej. Chyba czułem się wtedy trochę jak, no, jak pisarz.

– Wierzę panu.

– Nie zapominaj, że było mi jeszcze trudniej niż tobie, bo musiałem pisać tak, aby cenzura się nie domyśliła, o co chodzi. Przecież czytają wszystkie nasze listy. Znalazłem genialny sposób, Herr Wasserman. Będziesz ze mnie dumny. (Wasserman, z goryczą: „Nu, nareszcie coś przyjemnego”). Napisałem wszystko w formie opowiadania dla dzieci. Rozumiesz? Zwykłego opowiadania dla dzieci, jak *Tomcio Paluch* czy *Królewna Śnieżka*. Fakty, oczywiście, były te same poza twoimi prowokacjami, ale napisałem wszystko w stylu dawnych opowiadań, które czytałem w dzieciństwie. Myślę, Herr Wasserman, że wykonałem niezłą robotę. Ktoś, kto to przypadkiem przeczyta, nie zrozumie zbyt wiele, pomyśli, że komendant obozu zabawia się pisaniem bajek dla synka. Ale ktoś, kto wie, że

trzeba czytać między wierszami, jak Tina, doskonale zrozumie.

– Bardzo ładnie, Herr Neigel. Nawet pan Lofting rozpoczął karierę literacką od listów do syna z frontu.

– Lofting? Kto to?

– Autor *Doktora Dolinie*.

– Nie słyszałem o nim. Pozostałem wierny tobie, Herr Wasserman. (Wasserman: „Dobrze na tym wyszedłem!”).

Neigel przeciąga się, wygładza mundur. Jeszcze jeden łyk. Odzyskuje pewność siebie. Odczuwa ogromną ulgę. Twarz mu się wygładza. Zrzucił z barków ciężar i jest gotowy iść naprzód, jakby nic się nie stało. Pyta, czy Wasserman rozumie teraz, dlaczego opowiadanie w ogóle nie powinno dotyczyć wojny z Niemcami. Wasserman udaje Greka i zaprzecza. Neigel znowu się denerwuje. W jednej chwili pryska jego spokój ducha. To, co napisał Wasserman, tłumaczy, to bezpośrednie podżeganie do buntu. Jeśli ktoś przejmie jego listy, natychmiast skaza go na śmierć. Wasserman proponuje, aby Niemiec napisał opowiadanie po swoim „teraz, kiedy stał się pan prawdziwym pisarzem”. W tym momencie Neigel krzyczy po raz drugi „zdrada!” (patrz: zdrada). Wasserman, który nie jest w stanie powstrzymać uśmiechu, pyta wzburzonego oficera:

– Naprawdę szczerze wierzy pan, że jeśli opowiem teraz dzieje Kazika, zwróci to panu serce pańskiej małżonki? Nie żyjemy w świecie baśni, jak pan wie...

Niemiec wyjaśnia, że to nie tak. Nie sama bajka jest ważna, ale fakt, że on potrafi opowiedzieć historię. To zachęci Christine, aby ponownie w niego uwierzyła. Patrzy na zegarek i oczy rozszerzają mu się ze zdumienia. Zostało pięć minut. Błaga o jakąś wskazówkę:

– Tylko kilka . słów, proszę, proszę, ogólny kierunek rozwoju fabuły, żebym tylko mógł opowiedzieć jej cokolwiek, kiedy się spotkamy. Musisz mi pomóc, Herr Wasserman. To dla mnie niezwykle ważne, proszę!

Autor, z upartą miną:

– Dostał pan ode mnie wszystko, co niezbędne do odzyskania jej serca.

– Nie! Nie! – Neigel potrząsa groźnie byczą głową. Oczy nabiegają mu krwią. – Nie mogę jej opowiedzieć takich rzeczy! Nie o wojnie z Niemcami, o tym nie!

– Dlaczego? Przecież nie zobaczy tego cenzura?

– Nie. Słuchaj, przecież nie mogę powiedzieć na głos tego wszystkiego, co napisałeś. To złamanie oficcerskiej przysięgi, to by było... ach!

– Co z pana przysięga jako człowieka? – dopytuje się Wasserman blednącymi wargami, z nastroszoną brodą.

– Jaka przysięga, Wasserman? Kto przysięgał? Żyd cedzi chłodno i z naciskiem:

– Odpowiedzialność! (patrz: odpowiedzialność). Wybór! (patrz: wybór). Decyzja! (patrz: decyzja).

Neigel:

– Pomóż mi, Herr Wasserman, pomóż mi. Moje życie spoczywa w twoich rękach. Ty też masz gdzieś tam żonę i córkę. Powinieneś mnie rozumieć.

Wasserman kamienieje. Szofer puka do drzwi, a Neigel odwrzaskuje, żeby zaczekał w aucie. Pisarz mówi:

– Proszę posłuchać. Dwa i pół miesiąca temu, sześćdziesiąt siedem dni, dokładnie rzecz biorąc, przyjechałem tu porannym transportem, wbrew woli. Z żoną i córką. Kiedy wysiedliśmy, córka pobiegła jak strzała do fałszywego bufetu oficera Hopplera. Marzyła o czekoladzie. Chociaż doktor Blomberg twierdził, że czekolada osłabia jej zęby, i zalecał, żeby starała się jej nie jeść.

Neigel:

– Przejdź do rzeczy, Wasserman. Kierowca czeka.

– To jest właśnie sedno rzeczy, Herr Neigel. Nie ma nic więcej. Stał tam pan, z tym samym pistoletem w ręku. Córka podbiegła do półki z czekoladkami i wyciągnęła rękę. I stało się, rozumie pan... właśnie tak: zastrzelił ją pan. To wszystko, Herr Neigel.

Neigel zbladł. Twarz rozblęła mu nagle nienaturalnym światłem, jakby w mózgu eksplodował flesz. Ugięły się pod nim nogi. Oparł się o metalową szafę (Wasserman: „Dopiero teraz zaczął się mnie bać. Dopiero teraz zrozumiał, co

mu szykuje”). Neigel jęknął:

– Przez cały czas milczałeś?

– Co mogłem powiedzieć ?

Niemiec ścisnął sobie rękami skronie. Wykrzywił z bólu wargi. Potem podniósł głowę. Oczy miał zaczerwienione, przestraszone.

– Uwierz mi, Wasserman – powiedział. – Ja lubię dzieci. Na dworze rozległ się dźwięk uruchamianego silnika. (Uwaga redakcji: do tej chwili redakcja nie może się zdecydować [patrz: decyzja], jaki samochód pasuje do Neigla. Redakcja waha się między czarnym, otwartym samochodem marki Hork a masywnym bmw, chlubą fabryki Bayerische Motorenwerke w Monachium. Prawdę mówiąc, redakcja skłania się ku bmw, które jest uosobieniem siły. Co prawda redakcja nie miała okazji prowadzić bmw, ale informacje, które producenci rozpowszechniają w eleganckim katalogu, upajają nawet tak ostrożnego kierowcę. Opis pozwala wręcz namacalnie poczuć, jak pedał gazu poddaje się pod naciskiem stopy, jak samochód rzuca się naprzód z piskiem opon i mknie niczym szlachetny rumak, zapewniając zarazem bezpieczeństwo i odpowiedzialność [patrz: odpowiedzialności ze strony wytwórcy! Tak! Dlatego redakcja wybiera bmw!]).

Neigel i Wasserman stali naprzeciw siebie. Żyd miał nastroszoną brodę i błyszczące oczy. Powiedział:

– Proszę teraz jechać do domu, Herr Neigel, i powtórzyć żonie moje opowiadanie. Proszę jej opowiedzieć historię Ottona, Munina, Zajdmana i Gincburga, Chany Cytryn, Pauli, Frieda i Kazika. Niech pan jej opowie o wszystkich. O sercach narysowanych zwykłą kredą na pniach drzew. O pewnej wojnie. Jestem pewien, że zrozumie. Proszę jej opowiedzieć wszystko bez lęku, to historia dla dorosłych. Dla bardzo starych ludzi. Starszych od wszelkich partii, kościołów, organizacji czy państw. Proszę opowiedzieć pięknie, Herr Neigel, bo to moje opowiadanie i żądam, aby troszczył się pan o nie i opiekował się nim, jakby było malutkim dzieckiem, powierzonym pańskiej pieczy. Czekają pana długie godziny podróży, zanim zobaczy pan małżonkę, i w tym czasie, w aucie i w pociągu, będzie pan mógł opowiadać sobie tę historię wciąż od

początku, aby móc przekonać żonę, że to pańskie własne dzieło, że powstało z głębi serca i że mówi prawdę, choć pozornie w całości jest zmyślane.

Neigel stał przy drzwiach z neseserem w ręku. Obrócił ciężko głowę w stronę Wassermana i przez chwilę przypominał wielkie, samotne zwierzę, spoglądające w lufę strzelby myśliwego.

– Proszę pamiętać, Herr Neigel, istnieje tylko jeden sposób właściwego opowiadania historii.

– Jaki? – zapytał głucho Neigel.

– Uwierzyć w nią – odparł prawie niedosłyszalnie Anszel Wasserman.

## פרוטה, פילוסופיה ה-

**Pruta, filozofia ha-pruta –**

**grosz, groszowa filozofia**

Tak określił Wasserman nieco chaotyczne przemyślenia Neigla w ostatnich dniach przed wyjazdem na urlop (patrz: urlop), których słuchał ze zdumieniem i zażenowaniem. Neigel, prosty, niewykształcony człowiek – nagle zaczyna się zagłębiać w abstrakcyjnych, jałowych rozmyślaniach. Wasserman widział w tym dodatkowy znak bliskiego sukcesu. Neigel mówił wiele o nadejściu „nowego wieku” po „wieku krwi i wojny”, w którym obecnie pogrąża się świat. Dokonał nawet niezgrabnego porównania swego synka do świata (!), mówiąc:

– W przypadku Karla choroba stanowi impuls do jego rozwoju. Po każdej chorobie następuje dosłownie skok naprzód. Jestem pewien, Wasserman, że niebawem także naród niemiecki dokona takiego skoku.

Wasserman:

– To znaczy, że teraz jesteście chorzy?

– Być może. Być może. Ale to nieunikniona dolegliwość. Jak choroby wieku dziecięcego. Niemiecka natura przechodzi ciężkie próby. Wezwano nas do walki z zarazkami atakującymi organizm.



– No, no!

W końcu Neigel zaplątał się w skomplikowanym wykładzie na temat tajemnych ścieżek natury. Powiedział, że niewykluczone, iż masowa zagłada pewnego gatunku ludzkiego jest wypełnieniem woli natury.

– To jest jak proces trawienny albo coś w tym rodzaju. Po prostu natura oczyszcza się z was. – Pomysł ten poparł nieracjonalnym argumentem: – Zauważ, że cały świat się z tym zgadza. Tak wielu ludzi nie może się mylić, prawda? Pamiętam, chwilami sam przeżywałem wątpliwości. Pięć lat temu, w listopadzie trzydziestego ósmego, kiedy brałem udział w podpalaniu waszych synagog i sklepów. Wszystko spłonęło. Wszystko obróciło się w ruinę. Szaleliśmy po ulicach, mordując ludzi bez powodu, bez sądu, całkiem jawnie. Doskonale pamiętam, że przez następne tygodnie na coś czekałem. Nie wiem na co. Myślałem, że może mimo wszystko z nieba wychyli się ręka, która wymierzy nam policzek. Ale świetnie wiesz, co się stało: żaden kościół, katolicki ani protestancki, nie powiedział ani słówka. Żaden biskup w całych Niemczech nie zaczął nosić żółtej łąty, aby okazać wam sympatię. Jesteśmy prostymi ludźmi, Wasserman. Co mieliśmy myśleć? Dlatego mówię: to wola Boga i natury. Świat przygotowuje się na nadejście nowej ery. (Wasserman: „Ezaw próbuje coś wyssać z palca. Już jest pęknięty wewnątrz. Cała ta gadanina przypomina kwilenie wystraszonego dziecka. Poczekaj, Neigel, już jesteś zgubiony”). Autor opowiada Neiglowi o losach Dawida, „naszego króla, któremu Bóg nie pozwolił zbudować Świątyni, bo miał ręce skalane krwią”. Neigel: – Ach! Ten wasz żydowski Bóg!

## פרומתיאוס

### **Prometeusz**

1. Postać z mitologii greckiej. Jeden z Tytanów. Kiedy Zeus ukarał ludzkość, odbierając jej ogień, Prometeusz wykradł go i zwrócił ludziom.

2. Tak Aharona Markusa (patrz: Markus) nazwał system zwierciadeł,

zainstalowany w ogrodzie przez rosyjskiego fizyka, Siemiona Jefimowicza Siergieja (patrz: Siergiej). Nigdy nie dowiedziano się dokładnie, do czego miał służyć. Sam wynalazca niewiele o tym mówił, a nawet gdyby coś mówił, nikt w ogrodzie nie byłby w stanie go zrozumieć. Otto usłyszał kilka niejasnych słów, które następnie rozważał z Friedem i Markusem. Tak narodziły się dziwne domysły. Wszyscy trzej mieli niejasne wrażenie, że urządzenie ma służyć do „kradzieży” czasu (patrz: czas) z czasu. Opierało się na niewyjaśnionym naukowo zjawisku, występującym w pewnej przestrzeni, stworzonej przez Siergieja. Przestrzeń wyglądała następująco: był to zamknięty krąg utworzony przez trzysta sześćdziesiąt wąskich i wysokich zwierciadeł (około pół metra), ustawionych na trawniku, naprzeciwko siebie. Każde z nich odbijało lustro stojące naprzeciw i stojące za nim. W taki sposób w kręgu powstawał ciągły „ruch” promieni światła, przecinających się nawzajem w nieskończoność. Co spowodowało, że system ten nabrał specyficznych, niezwykłych właściwości – nikt nie potrafił wyjaśnić. Przypuszczalnie sam konstruktor nie zdołał rozszyfrować natury zjawiska. W każdym razie wiadomo, że w kręgu powstał nieznanymi wymiar, nazywany przez wynalazcę „nie-czasem”. „Nie-czas” wywierał przedziwny wpływ na obiekty, które znalazły się w środku. Kazik był tego świadkiem podczas wyprawy szaleńców (patrz: szaleńcy, wyprawa szaleńców), kiedy grupa wędrowców zbliżyła się do dziwnych luster, połyskujących w świetle księżyca niby wysokie, zlodowaciałe macewy. Aharon Markus próbował wytłumaczyć chłopcu, do czego służą, ale Kazik go nie rozumiał. Mały aptekarz postanowił więc przeprowadzić skromny eksperyment, powtarzając pokaz samego wynalazcy sprzed dwóch lat. Siergiej (Wasserman: „Urzędnik tajemnicy, sekretarz magii!”) zerwał z krzaka różę. Była to świeżo rozwinięta, czerwona róża, na której nocna rosa kropliła się niczym pot na kobiecej wardze. Także Markus zerwał różę. Ostrożnie przybliżył ją do jednego z luster, poczekał, aż jej obraz odbił się w tafli, i przysunął ją do siebie. Róża odbijała się i błyskała we wszystkich lustrach po kolei: przeskakiwała między nimi z ogromną szybkością, najpierw jako pierwsze odbicie, potem – drugie, potem – duch odbicia, odbicie ducha... Bez końca: czerwone świetliste róże przecinały się nawzajem, migotały

przez sekundę czerwonym płomieniem, bladły i umierały. Krąg zaroił się purpurowymi, żywymi różami, i wszyscy zaczęli obserwować, jak „istota róży”, to jest nie płatki, łodyżka, barwa czy zapach konkretnego kwiatu, lecz sama róża, zanim przybrała formę, barwę i zapach, zapala się i gaśnie na przemian na wszystkich taflach, płonie jak ogień, zniewalając je swą cesarską, czerwoną, naga, wilgotną różowatością – trwało to zaledwie jedną długą sekundę, nie więcej. Następnie róża znów odbiła się w pierwszym lustrze, od którego rozpoczęła wyprawę do wnętrza swej natury, zatrzepotała krótko zdyszana, z zarumienionymi płatkami, po czym rozplynęła się. Wszyscy odzyskali oddech. Aharon Markus pokazał Kazikowi kwiat, który trzymał w ręku: był zwiędły i kruchy. Pod lekkim muśnięciem suche płatki po kolei oderwały się i opadły na ziemię. Łodyga także rozsypała się w pył. Artyści (patrz: artyści) przyglądali się temu z respektem. Kazik zaś powiedział: Ale-ona-od początku-nie-żyła.

Znowu próbowali mu wytłumaczyć. Mówili, że Siergiej w ten sposób chciał ukraść kilka sekund z czasu i zamknąć je w szklanej klatce. Domyślali się, że Siergiej wierzy, iż wewnątrz lustrzanego kręgu gromadzi się inny, przeciwny czas, wchłaniający „materię” czasu zwykłego. Pewnego razu, podekscytowany, powiedział Ottonowi, że bardzo chciałby odebrać ludziom zarówno szczęście, jak i cierpienie. Zęby się tak nie męczyli, powiedział. Zęby byli jak meble. Jak przedmioty. Najwyraźniej w tym właśnie celu chciał zmienić metafizyczny status ludzi: uczynić z nich jedyne żywe istoty, istniejące wyłącznie w wymiarze przestrzeni, nie czasu. Tylko jednowymiarowym istotom można niezauważenie coś odebrać. Krzesło bez żalu rozstaje się z innym krzesłem. Burzony dom nie cierpi. Rozdarta kartka papieru nie płacze. Siergiej zapewne liczył na to, że tajemnicza materia, nagromadzona w kręgu – nie-czas sprawiający, że odbijające się w zwierciadłach rzeczy rozpadają się, wędna, schną w mgnieniu oka – wciągnie to wszystko, co przeszkadza żywym istotom stać się jednowymiarowymi: pamięć, świadomość przeszłości i przyszłości, nadzieje, tęsknoty, ideały, doświadczenia, ból i szczęście, krótko mówiąc – planował niecodzienną rewolucję – chciał obalić rządy czasu, uwalniając ludzi od tego wszystkiego, co kiedyś określił jako „efekty uboczne czasu”. Wierzył, że

aby mu się powiodło, musi „skupić” i „ulepszyć” nie-czas powstały w systemie. Dlatego miesiącami przesiadywał przed Prometeuszem, powtarzając doświadczenia z różami, jabłkami, myszami, skrawkami własnej skóry, wyciętymi z gazet zdjęciami, fotografiami ze starych albumów, ulotkami i obwieszczzeniami, które Otto z narażeniem życia zrywał z murów getta. Były tam listy Żydów, wywiezionych na śmierć do Treblinki i wiersze miłosne Jurka Wilnera (A za dzień – już się nie spotkamy/ a za tydzień – już nie pozdrowimy się / a za miesiąc – już się zapomnimy / a za rok – już się nie poznamy / a dziś krzykiem noc nad czarną rzeką / podważyłem jakby trumny wieko / słuchaj – ratuj mnie / słuchaj – kocham cię / słyszysz – już za daleko). Siergiej przynosił także przedmioty i strzępki informacji o wartości osobistej, intymnej, znanej jedynie ich właścicielom. Wasserman:

– Nazywałem to „nieznanym majątkiem”. Na przykład wielki, zasuszony żółty liść, który przywieźliśmy z Sarą z Paryża, niewidoczny pieprzyk Pauli, o którego istnieniu wiedział tylko doktor, tajemnica, którą nosiłem w sercu, że w chwili naszego zespolenia Sarze drgała prawa powieka... Nu, Herr Neigel, jaki podarunek ofiarowałby pan naszemu Siergiej owi?

Neigel zaskoczony krępującym pytaniem, chrząka, duma, przesuwa ręką po policzku. Jeszcze dwa, trzy tygodnie wcześniej odrzuciłby ze wzdargą to pytanie „dla mięczaków”. Ale czasy się zmieniły, więc po chwili odpowiada, że kiedy był mały, jego ojciec wyrzeźbił wielki drzeworyt, przedstawiający górę Zugspitze. Przez wiele miesięcy pracował nad nim wieczorami i spod jego ręki wyszło prawdziwe dzieło sztuki. Pewnej nocy małemu Neiglowi wypadł pierwszy ząb i ojciec umocował go na jednym z drewnianych zboczy, mówiąc chłopcu, że w ten sposób zawarł wieczne przymierze ze szczytem. Cztery lata później, kiedy po raz pierwszy obaj wspinali się w górach, Neigel poślizgnął się i o mało nie spadł w przepaść. Uratował się, cudem zahaczywszy spodniami o skałę. Popatrzyli sobie z ojcem w oczy bez słów, wiedząc, czemu chłopiec zawdzięcza życie. Tę chwilę wysoko w górach, jedno, głębokie spojrzenie, które zamienili z ojcem pośrodku pustkowia, Neigel ofiarowałby Siergiej owi. Artyści opisywali podobne przeżycia na karteczkach, a cudaczny fizyk powoli przesuwał je przed

lustrzaną taflą, czekając, aż słowa ulecą i rozplyną się w nicość, martwe.

Kazik jednak nie zrozumiał także i tych wyjaśnień: „Czas – czas. Co to za czas, o którym ciągle mówicie?” – zapytał ze złością. Dopiero wtedy zrozumieli, że nie jest w stanie pojąć, co to czas, tak jak oni nie mogą pojąć do końca, jak płynie krew w ich żyłach czy jak oddychają. Kazik popatrzył na artystów, którzy otaczali go kręgiem, i zapytał, który z nich to Siergiej. Zapadło wstydlive milczenie. Aharon Markus odparł ostrożnie, że pewnej nocy naukowiec poszedł samotnie do kręgu luster i stanął przed jednym z nich. Nikt nie wie, co się z nim stało, ale można sobie wyobrazić, jak z jego ciała i duszy coś wyssało fluidy czasu. O świcie Otto znalazł na trawniku ubranie i buty. Kilka luster pękło. Artyści byli pewni, że uczoney nie żyje, ale ostatnio do ogrodu zaczęły docierać dziwne pogłoski: widziano Siergieja, albo kogoś do niego podobnego, dowodzącego jednostką Waffen SS na ulicy Niskiej, w północno-wschodnim rejonie getta; widziano go – lub jego brata bliźniaka – w mundurze polskiego policjanta, nadzorującego likwidację Żydów, ukrywających się w zakładach „Transavia”; widywano go – lub jego sobowtóra – na zdjęciach w gazetach, jak asystuje przy masowych egzekucjach; zaczęto go rozpoznawać nawet na zdjęciach sprzed kilku lat, kiedy wciąż przebywał w Rosji, z tym, że pojawiał się w rozmaitych miejscach i zawsze zajmował się zabijaniem. Wydawało się, że opanował sztukę przemieszczania się w czasie naprzód i wstecz, ale może pełnić tylko jedną funkcję. Nie mamy zadowalającego wyjaśnienia tego zjawiska.

Patrz: Kazik, śmierć Kazika; Krzyk.

**קדו**

**Cedek – sprawiedliwość**

Patrz: siła

# ציטרין, חנה

## Cytryn Chana

Najpiękniejsza kobieta na świecie. Artystka miłości

Kiedy wyprawa szaleńców (patrz: szaleńcy, wyprawa szaleńców) zbliżała się do domu Ottona, Fried, Markus, Zajdman i Munin spierali się zapalczywie, jak najlepiej wychować Kazika i nauczyć go, co jest „najważniejsze w życiu”, jak pragnął tego Fried. Proponowali mu czytanie Starego i Nowego Testamentu, relacjonowanie głównych idei teorii wielkich filozofów lub odtwarzanie najwybitniejszych utworów muzycznych (Aharon Markus natychmiast zaproponował *Fidelia* Beethovena). Nagle Otto powiedział z całkowitym spokojem: Potrzeba mu kobiety. I natychmiast zaproponował, aby udali się razem do Chany Cytryn. W tym czasie (o godzinie piątej dwadzieścia pięć) Chana Cytryn znajdowała się tam, gdzie zawsze każdej nocy, na długiej alejce przed klatkami drapieżników. Pani Cytryn... Chana Cytryn:

– W nalotach na Warszawę straciłam starszego syna Dołka. –  
Wasserman: – To naprawdę najpiękniejsza kobieta na świecie. Pod zmarszczkami i grubą warstwą błękitnej kredki, którą barwi oczy i rozsmarowuje po całej twarzy, pod sprośnymi rysunkami, które namalowała na ciele węglem i różnokolorową kredą, pod strzałami, które narysowała na nogach i rękach. Niektóre zabarwiła jodyną, podkradaną z apteczki Frieda, inne wydrapała ostrym nożem, aż powstały białe blizny. Strzały, które nawet ślepcowi wskażą drogę do niej, za przeproszeniem. Za tymi siedmioma zasłonami nasza Chana była bardzo ładna.

Chana:

– Moją młodszą, Rochkę, zabrali tak po prostu z ulicy, w kwietniu czterdziestego pierwszego.

Wasserman:

– Wciąż pamiętam, jak pracowała w kawiarni Sommera, dokąd niekiedy wstępowaliśmy z Sarą z okazji radosnych wydarzeń, świąt, urodzin. Chana zawsze posyłała człowiekowi taki uśmiech, że aż serce rosło. Była serdeczna dla

wszystkich, prawdziwa gospodyni z tacą zawsze pełną filiżanek, szczęśliwe oko, które ją widziało! Poruszała się jak tancerka! W tajemnicy szeptała ci do ucha, że strudel, *nebuch*, nie jest najświeższy, ale jeśli trochę poczekaś, skąpy Sommer skończy smażyć *blinczes*, które przygotowuje na szabat, na bar micwę syna. Trochę z pewnością sprzeda, na pewno nie odda całej krwawicy za darmo wygłodniałym gościom...

Chana:

– Mojego męża, Jehudę Efraima, zabrali w wielkiej akcji w sierpniu czterdziestego drugiego. Zostałam sama. Bez rodziców, bez męża i dzieci. Moje rodzinne miasteczko Dynów zostało zniszczone na samym początku wojny. Nic mi nie zostało. Nic. Po miesiącu postanowiłam, że nie chcę być żywym trupem. Wyszłam za Izraela Lwa Berkowa. Był piekarzem u Sommera. Umiał grać na akordeonie i śpiewał rosyjskie pieśni. Pewnego razu, dwa lata temu, gdy stracił jednocześnie żonę i dwóch synów, Nechamię i Bencijona, powiedział, że wciąż, mimo tego wszystkiego, co się stało, wojny i Niemców, tak bardzo kocha życie, że nie przejmuje się śmiercią, jeśli tylko wie, że życie toczy się dalej, na złe i na dobre. I że ludzie tacy jak on wciąż będą czuć w sercu tę radość. Pragnienie życia. Tak mi powiedział, a ja uznałam, że go chcę. Została mu córka. Abigail. Miała osiem lat. Razem spłodziliśmy dziecko. Nazwaliśmy je... nieważne.

Wasserman:

– To niemowlę także umarło. W ramionach siostry... Wracala z nim pewnego wieczoru do domu z kawiarni, kiedy polski wartownik strzelił do nich ot, tak sobie, dla zabawy... Kilka minut przed początkiem godziny policyjnej, cóż... przez całą noc leżały te niewinne dzieci na chodniku. Chana i Izrael Lew Berków nie mieli jak po nie pójść... Tej nocy przelał się kielich naszej Chany...

Chana:

– Byliśmy z Berkowem jak wygłodniałe bestie. Spłodziliśmy mojego syna Dołka. I moją Rochkę. A potem Nechamię. I Bencijona. Abigail. I nasze ostatnie dziecko. Berków wciąż kochał się ze mną. Bez opamiętania. Drapaliśmy się i gryźliśmy aż do krwi. Pot lał się z nas strumieniami. Piliśmy wiadra wody, aby starczyło nam płynów. Moje łono było jak ogromny lej. Jak stodoła pełna

plonów. Morze, góry, ziemia i lasy. Ze mnie i z Berkowa wylewał się strumień dzieci, które zapełniały ulice, getto i całą Warszawę. Nasza żądza była nienasycona. Nasze dzieci leżały zamordowane na dworze. Robiliśmy nowe dzieci. Od razu słyszeliśmy następne strzały. Robiliśmy nowe dzieci. Nad ranem pojęliśmy, że nie możemy przestać. Poczuliśmy też, że wszystko porusza się razem z nami. Łóżko, pokój, dom i ulica. Wszystko unosiło się i opadało, skręcało, pociło, jęczało i stękało. Z nadejściem świtu dołączył do nas cały świat. Cały świat tańczył nasz taniec. Ludzie, drzewa, koty i kamienie. Taniec. Nawet śpiący robili to przez sen. Sen. Było już całkiem jasne, że Bóg się poddał. Ze jego potworna tajemnica została odkryta. Ze potrafi stworzyć tylko jedno dzieło. Ze skazał nas na pożądanie. Na miłość do życia. Miłość za każdą cenę. Miłość bez sensu. Wiare. Tęsknotę. Nędzny artysta. Nędzny. Wrył w nas swoje jedyne dzieło niby tatuaż. W głębi duszy. Umieścił je wszędzie. W drzewach i górach. W morzu i w wietrze. Wypluł je z siebie jak przekleństwo. Cały ten świat stworzył po to, żeby pozbyć się kłopotu. Swojej winy. Choroby. Izrael Lew oderwał się ode mnie nadludzkim wysiłkiem. Doczołgał się do okna i rzucił w dół. Wtedy wiedziałam już, co zrobić. Nie zeszłam na ulicę. Nie na ulicę. Siedziałam w domu. Przed lustrem. Umalowałam się. Jaskrawo. Na całym ciele. Przychodzili ludzie i rozmawiali ze mną. Słowa. Myśleli, że jestem chora. Wariatka. Niczego nie rozumieli. Tylko Otto. Otto zrozumiał od razu. Postanowiłam być piękna. Taka piękna. Żeby moja uroda przyciągnęła Jego oczy. Naszego Boga. Jego głodne oczy. Jego wiecznie poszukujące oczy. Żeby ujrzał mnie, jak widzi szerokie stopy. Dżungle. Oceany. Himalaje. Niech mnie zobaczy.

Otto:

– Przeprowadziłem ją z przytułku dla kobiet, gdzie także szukałem wojowników. Nie pomyliłem się. Kierowniczką opowiedziała mi w sekrecie, że Chana, zanim do nich trafiła, przez kilka miesięcy włóczyła się samotnie po ulicach, gwałcona przez Żydów, Polaków, wszystkich. Nie broniła się, tylko się śmiała, jakby niczego nie czuła. Całe szczęście, że przez anemię i ogólne wyniszczenie nie zaszła w ciążę. U nas, w ogrodzie, oczywiście nikomu się nie



śniło skrzywdzić ją w taki sposób. Tylko pan Munin *zakradał* się, żeby obserwować ją zza krzaków i po cichu oddawać się swojemu zajęciu. Ona w ogóle nie domyślała się jego obecności, chodziła naga po całych nocach, w mróz i w skwar, po alejce obok drapieźników, kusiła Go, pogrążona w walce z Bogiem. Uwierzcie, to niełatwa walka.

Wasserman:

– Aj, czasami w upalne noce wszyscy czujemy, jak ON zмага się tam w górze ze sobą samym... Zasłony niebios wydają się rozsuwać odrobinę i zerka spoza nich, zawstydzony i drżący ze wzruszenia. Et! Cały świat wypełnia się wtedy potem i drżeniem. Krew w naszych żyłach płonie i słyszymy, jak za siedmioma sklepieniami nieba, spowity szatami z obłoków, On bije siwą głową o ściany i ryczy z bólu.

Markus:

– W takie noce pani Chana Cytryn zasypuje go swoimi wdziękami. Przechadza się po ogrodzie posuwistym, tanecznym krokiem. Potrząsa lokami blond peruki. Bezwstydnie kręci tyłkiem. Tak, Bóg w swoim Niebie ryczy jak ogromny byk. Wygina się w pałąk niczym wielki kocur. Księżyc czerwienieje, nabrzmiewają na nim grube postronki ściągien. Cichnie wiatr. Nie: powietrze wypełnia nieruchomy, żółtawy, wonny pyłek, przyćmiewający myśli. Zwierzęta w ogrodzie parzą się, przepełnione nieznośną chucią. Nagle rzucają się na siebie nawet stare osobniki, z których pozostała już tylko skóra i kości. Na uschniętych konarach drzew, połamanych w nalotach cztery lata wcześniej, rozkwitają pąki fioletowych i czerwonych kwiatów. Zwilgotniała ziemia kołysze się i ugina pod stopami. Nasza Chana, najpiękniejsza z kobiet, rusza w taniec. Płasa z zamkniętymi oczami, z czarującym, lekkim uśmiechem, jej ciało spływa miodem, który zostawia tajemnicze ślady na ziemi... liściki miłosne. Gdzie stąpnie, wyrastają gęste krzewy jaśminów i bzów. ON odczytuje jej sygnały i traci głowę. Nie tylko on, obawiam się...

Munin:

– Ha! Ha! Sprawiedliwy, który służy Bogu przez swoje złe popędy, znajduje się na wyższym poziomie niż ten, który służy Bogu bez złych popędów,

jak można przeczytać w *Dziejach Jakuba Józefa*. Sam Magid potwierdza ten pogląd: stworzyłem złe popędy i Torę, jako ich przyprawę, a najważniejsze jest mięso, nie przyprawy! Och! Jedna noc z panią Cytryn jest dla mnie warta co najmniej siedem zwykłych nocy!

Markus:

– Rano wszystko dobiega końca. ON się nie poddaje; zмага się ze swym popędem i poskramia go. Budzimy się wyczerpani we wszystkich zakątkach ogrodu, na trawnikach, w rowach, na wybiegach dla zwierząt. Obejmujemy baśniowe stwory, uciekające w panice z nadejściem brzasku, wokół widać ślady straszliwego zniszczenia, pozostałości po boskim zgrzytaniu zębów: wyrwane z korzeniami drzewa, rozszczerzone pnie, suche, kruszące się gałęzie zaczarowanych wonnych krzewów, krzewów rycynowych, popękane kamienie, których żyły rozerwała jakaś potężna siła... A nasza Chana? Nu, tak. Pani Cytryn sobie śpi. Zwinięta w kłębek, śpi jak dziecko na kopce siana albo pod drzewem, w ogóle nie czując, że Otto miłosiernie nakrywa ją płaszczem. Sni o kolejnej walce...

Aharon Markus na prośbę Ottona (jemu się nie odmawia!) wziął za rękę Kazika, który miał już ponad dwadzieścia pięć lat, i poprowadził go alejkami w stronę klatek drapieżników. Pozostali artyści (patrz: artyści) stąpali za nimi w milczeniu. Zbliżał się świt. Chana kończyła swój taniec i na jej twarzy zakwitł na chwilę wyraz wyczekiwania i tęsknoty, trzepoczący nad zamkniętymi powiekami. Jeszcze przez moment nasłuchiwała: może dzisiaj nadejdzie? Aharon Markus podszedł, zawstydzony trochę jej krzykliwą, jaskrawą nagością. Dotknął delikatnie jej ramienia, a ona drgnęła i zamarła. Malutki aptekarz szepnął, że może już przestać tańczyć. „Nadszedł, pani Cytryn przyszedł do nas wszystkich”. W pewnym sensie była to prawda. Chana nie otworzyła oczu. Odwróciła w stronę Kazika – niczym wielki słonecznik – czerwoną twarz otoczoną żółtą peruką. Kazik miał na sobie jedynie pieluchę. Malutki mężczyzna, mierzący w przybliżeniu pięćdziesiąt jeden centymetrów. Wciąż nie otwierała oczu. Poruszyła tylko wargami w bezgłośnym pytaniu: „On?”. Markus pokiwał głową, a ona jakby usłyszała lekkie tchnienie wiatru i uśmiechnęła się.

Munin wyszeptał z daleka: „Nu, *a – schockel*, chłopcze! Biegnij i trzymaj!”. Markus spytał: „Czuje go pani?”. Uśmiechnęła się ponownie, jakby przez sen. Zapach Kazika docierał daleko. Świeża, ostra woń silnego, nieokiełznanego pożądania. Pożądania, któremu nie można odmówić. Nawet Wasserman, całkiem pozbawiony zmysłu powonienia, wyczuł coś niezwykle lekkiego.

– Nie wiem, Herr Neigel, jak pani Cytryn przez wszystkie te lata odmalowywała sobie Boga, gdyby wreszcie się zjawiał, ale Kazik miał odpowiedni zapach. „Chodź” – szepnęła Chana Cytryn.

Chcąc opisać, co się wydarzyło między nimi, napotykaemy pewną trudność. Czytelnik może się zapoznać z hasłem „miłość”, a także „seks”. Istnieje, oczywiście, pokusa, aby zaryzykować opis „poetycki”, na przykład: „Zrodziło się między nimi coś, co stopiło pamięć, rozum i wyobraźnię w jedną mocarną falę”. Co za brednie! Można jednak z całkowitą pewnością uznać, że –

1. Przez chwilę wydawało się, że znają się nawzajem przez całe życie.
2. Przez chwilę wydawali się sobie całkiem obcy i własna bliskość ich odpychała. To chyba nie wystarczy, trzeba opowiedzieć bardziej szczegółowo: Kazikowi wpadło do oka ziarenko piasku. Pochylił się, zamrugał, a kiedy znowu otworzył oczy, spojrzał przez pomyłkę w innym kierunku. Chana wciąż miała zamknięte powieki. Zaczęli się szukać. Na chwilę księżyc zakryła chmura i ciemności się pogłębiły. Przeszli bardzo blisko siebie, rozmijając się. Według obliczeń Frieda stracili w ten sposób cztery miesiące miłości. Potem księżyc wyszedł zza chmur i odnaleźli się. Nie mieli wyjścia, musieli wylądować na sobie gniew i poczucie bezsensu, spowodowane rozstaniem, budząc tym samym złudzenie, że ponowne spotkanie było cudem. Ze nie jest tak przypadkowe i banalne jak rozstanie. Nieunikniona kłótnia, głośna i zaciekła, trwała całe dziewięć minut, czyli, według obliczeń Frieda, aż pół roku. Kazik rozgniewał się nagle, że członkowie drużyny stoją wokół, pozerając oczami naga Chanę. Wcześniej nie miał pojęcia, że powinna się tego wstydzic. Pobiegł w ich stronę, machając rękami, chcąc ich przegnać. Chana roześmiała się nagle dziwnym, zmysłowym śmiechem. To go jeszcze bardziej rozgniewało i upokorzyło. Sześć minut. Wrócił do niej przygarbiony. Czas, który upłynął, stłumił nieco jego pożądanie. Zaczął ją

widzieć taką, jaka była naprawdę. Brzydka, niemłoda kobieta. Winił ją, że wyniszczyła swoje ciało, bo nie miał nikogo innego, kogo mógłby za to winić. Także jego ciało nie było już tak jędrne i umięśnione jak w młodości, i żal zamienił się we wrogość do niej, bo nie miał przecież nikogo innego. Pragnął jej, czując jednak, że nie będzie to miłość, którą sobie wyobrażał: zrozumiał, że nie będzie mógł jej powiedzieć naprawdę ważnych rzeczy. Im bardziej będzie ją kochał, tym bardziej ona pozostanie poza nim. Obca. Jestem sam – pomyślał. Sam. Gdyby w tej chwili podeszła i wzięła go w ramiona, mógłby znowu uwierzyć w miłość (patrz: miłość), lecz Chanę również ogarnęło gorzkie przygnębienie i oplakiwała w duchu swoją samotność (patrz: samotność). Utracili moment, gdy mogli pomóc sobie nawzajem, okazać współczucie i sympatię. Kazik wpatrywał się w nią nieprzyjaźnie. Chana zauważyła złośliwy błysk w jego oczach i przygarbiła się. Opuściła ręce wzdłuż ciała. Jej piersi zwisły, puste i bezwładne. Wtedy coś w nim drgnęło, podszedł i objął ją za kolana. Zaczęła szlochać. Trzęsła się cała. Łzy płynęły jej z oczu, zmywając nieprzyzwoite obrazki na ciele, strzały i barwny makijaż. Płacz obnażył ją i wzruszył jego. Czuł niejasno, że oplakuje także miłość, którą mu odbierze, zanim została dana. Chana Cytryn usiadła na wilgotnej ziemi, a Kazik usadowił się między jej nogami i przytulił do niej. Wtedy poczuł jej zapach. Zauważyła to natychmiast. Przestała płakać. Na niebie ukazało się pierwsze jasne pasmo. Jakby ktoś otworzył pudło i zajrzał do środka. Wasserman:

– Prawdę mówiąc, Herr Neigel, trudno mi opisać wszystko, co się wydarzyło... o takich sprawach najpiękniej milczeć... Wciąż nie wyzbyłem się wstydu... Jednak opowiem, bo tylko ja pozostałem, aby opowiedzieć.

Opowiedział, jak Chana Cytryn wzięła Kazika w ramiona, tak jak przytula się dziecko. Powąchała go niczym zwierzę i przymknęła oczy z rozkoszą, która była zarazem dzika i lubieżna, lecz także niewinna. Zdjęła mu mokrą pieluchę i odrzuciła ją daleko. Zaczęła przesuwac małego mężczyznę powoli po swym ciele.

Wasserman:

– Jakby zaznajamiała go z każdym włoskiem, każdą częścią ciała i z

każdym mięśniem. Widzieliśmy wyraźnie, że stało się to, co miało się stać, to znaczy... sam pan rozumie... innymi słowy, jego ptaszek wyprostował się niczym gałązka palmowa i Kazik zaczął dyszeć, łapać powietrze, pocić się i czerwienieć, a ona, pani Cytryn, znaczy się, ucałowała go w oczy i w usta, potem ucałowała całe jego ciało, nawet TAM, bez wstydu, ani na chwilę nie otwierając oczu, tak głęboko zatoneła w miłości, w swoim śnie, że stanęła wyprostowana na twardej ziemi i postawiła go na kopce siana, na swoim brzuchu, wzdętym trochę z głodu, a Kazik, choć nie uczył się o tym w chederze, dobrze wiedział, co robić... Jak oboje pokryli się kropelkami potu, jak świecili się i błyszczeli w świetle księżyca i w dwóch parach szkieł Munina, który ani na jedną krótką chwilę nie przestawał się onanizować, szepcząc sprośnie. Kobieta rozłożyła nogi. Aj, Herr Neigel, rozłożyła szeroko i z całej siły wcisnęła go TAM, do środka. Munin:

– Och!!!

Wasserman:

– Proszę mi wierzyć, prawie zniknął nam z oczu! Wystawały tylko czubki dużych palców u stóp, spazmatycznie napięte, ale w tej chwili zaczęła rodzić go znowu, z męką i rozkoszą. Widziałem jej twarz, pełną uniesienia, tęsknoty, najsubtelniejszego piękna. Tam, w dole, miotał się gwałtownie mały Kazik, wyrzucany i wciągany z powrotem, tłukący się o mury jej mocnych ud. W końcu wydał straszliwy jęk, krótki i urywany. Po raz pierwszy, Herr Neigel, poznałem, jak wielki żal kryje się w tym krzyku, który wszyscy, kobiety i mężczyźni, wydajemy w intymnych momentach, chwilach upojenia... zmiażdżony jęk rozpacz, pełen cierpienia i ukrytego rozumienia, który wyrzucamy z siebie w jednym spazmie i natychmiast zapominamy... Fried: Wtedy to się stało! Zbrodnia! Barbarzyństwo! Zbrodniarka! Markus: Pani Cytryn nagle wyciągnęła – nie wiadomo skąd, może ze swojej żółtej peruki – mały, bardzo ostry przedmiot, i zaczęła dźgać Kazika w plecy z całej siły, z nienawiścią, z żądzą mordy, raz za razem...

Chana Cytryn:

– To za miłość. I za nadzieję. Za radość życia. Za odrodzenie. Za zdolność

twórczą. Za moc zapomnienia. Za wiarę. Za złudzenia. Za przekłęty optymizm, który nam dałeś. I za...

Harotian:

– Zrozumiałem pierwszy i skoczyłem, żeby wyrwać jej nóż z dłoni. Dźgnęła mnie, tu i tu. Patrzcie. Nic takiego. Najważniejsze, że małemu nic się nie stało. Otto: Nieszczęsna kobieto, coś ty zrobiła? Malkiel Zajdman: Ja! Ja! Znowu czuję, kim jestem! Co się stało?! Fried: Kazik, mój Kazik! Kazik okropnie płakał. Z ran tryskały cienkie strużki czasu. Jego plecy przypominały fontannę. Otto prosił Frieda, by czym prędzej opatrzył skaleczenia – żeby ranny nie stracił zbyt wiele czasu. Zanim Fried zdarł z porośniętego gałązkami ciała (patrz: egzema) koszulę, strużki wyschły i rany się zablizniły. Otto trzymał w ręku nożyk, który Chana od miesiący ukrywała w swojej ogromnej żółtej peruce. Dopiero teraz artyści zdali sobie sprawę, jak śmiały i niebezpieczny plan ukuła ta silna, milcząca kobieta. Otto zważył nożyk w dłoni. Zamyślił się. Potem powiedział: Weź, Chano. To przecież należy do ciebie. Fried: Otto! Oszalałeś?! Otto: Nie będziemy się mieszać do dzieła prawdziwego artysty. Prawda, Albercie? Fried, jękając się i krztusząc: Ale... cholera! Ona jest niebezpieczna! Sam widziałeś! Otto: Ona jest niebezpieczna tylko dla niego. On nie jest jednym z nas. Podał jej nożyk i Chana z podejrzliwym, zwierzęcym spojrzeniem, chwyciła go pośpiesznie i wetknęła z powrotem w perukę. Wstrząśnięci i zasmuceni artyści zaczęli się rozchodzić. Kazik szlochał jeszcze przez chwilę, ale zapomniał już o bólu. O dziwo, nie zapomniał o swym pożądaniu. Ciągle oglądał się za siebie, chciał do niej wrócić. Bezustannie obmacywał sobie członek. Zaczął się onanizować (patrz: onanizm). Wciąż nie rozumiał rozmiarów swojej straty.

# צייר

## Cajar – malarz

Artysta, którego dziedziną jest obraz

Zajęcie Kazika w czasach po romansie z Chana Cytryn (patrz: Cytryn). Ten rozdział jego życia jest w całości dziełem wyobraźni obersturmbannführera Neigla. Nie ma wątpliwości, że to, co wydarzyło się podczas jego krótkiego urlopu (patrz: urlop) w Monachium (patrz: katastrofa), wywarło decydujący wpływ na treść opowieści. Wasserman przypuszcza, że kiedy większa część życia Neigla tak nagle runęła, gdy jednocześnie utracił niezłomną wiarę w swoje zadanie i „posłannictwo”, oraz miłość żony i nadzieję, że do niego powróci, skierował wszystkie siły psychiczne w jedyny wąski kanał, jaki mu pozostał – opowiadanie. Wasserman przyznaje, że chwilami przerażała go dziwna moc, jaka ogarnęła Neigla.

– Kto by przewidział, że moja nędzna historyjka stanie się kamieniem węgielnym wiary tego nieszczęsnego goja? Oj, Anszehu Wassermanie, własnymi rękami napisałeś Ezawowi Trzeci Testament!

Należy wyjaśnić, że siedzieli, jak zawsze, w pokoju Neigla, z tym że tym razem to Neigel dźwigał większość ciężaru opowiadania: mówił bez przerwy, palił bez przerwy, pił. Ma bardzo czerwone oczy, twarz błyszcząca od potu. Jego ruchy nie są już opanowane ani odmierzone: nawet mruga w sposób nerwowy i urywany. Zastanawiają się wspólnie, jaka dziedzina sztuki (patrz: sztuka) pasowałaby do Kazika. Coś, co zaspokoiłoby choć trochę straszliwy głód, który czuł po tym, jak odkrył miłość (patrz: miłość) i jak na skutek niej poznał – podczas wyprawy szaleńców – głębię uczuć (patrz: uczucia) szczęścia i smutku, ogarniających ludzi. Coś, co mu pomoże – tłumaczy Neigel – uleczyć prędko rany zadane przez miłość i rozczarowanie. Przekuje cierpienie (patrz: cierpienie) w dzieło artystyczne – mówi z naciskiem Wasserman. Opowiada, że Kazik obecnie jest mężczyzną w kwiecie wieku; głośno deklaruje ogromną miłość do życia, mimo jego goryczy. Życie wciąż wydaje mu się długie, bezpieczne, pełne szczęścia i przyjemności, jest gotów co jakiś czas zapłacić

cenę bólu, który ze sobą niesie. Należy podkreślić, że jest już wpół do jedenastej rano, Kazik ma około czterdziestki. Jest piękny, błękitny, pogodny dzień. Głos Kazika rozbrzmiewa donośnie. Wiele mówi: o swej „odwiecznej ukochanej”, dotychczasowym życiu i nadziejach na przyszłość. Jest coś wymuszonego i mechanicznego w tym, jak Kazik przekonuje samego siebie, że życie naprawdę jest dobre, że warto żyć. Także jego nowa gadatliwość jest nieco krępująca, ale może to sposób na uleczenie ran. W każdym razie Neigel nie zauważa tych drobnych sprzeczności. Słucha chciwie, zależy mu, aby uwierzyć. Dlatego Wasserman dodaje, że nawet starsi artyści, z trzeźwym poglądem na życie, byli skłonni uwierzyć Kazikowi. Jego wybuch nieokiełznanej radości przyniósł następną falę wonnych gałązek na ciele Frieda. Neigel przytakuje. Nalewa jeszcze jeden kieliszek z prawie całkiem opróżnionej butelki. Wasserman czeka, aż Niemiec skończy pić, a potem wyznaje, że nie wie, jaką dziedzinę sztuki wybrać dla Kazika, aby mógł wyrazić swe szczęście. Neigel zaczął podsuwać kolejne pomysły. Wasserman: „Ezaw aż skrzył się od pomysłów. Nie ze wszystkich dałoby się uszyć kapelusz, ale było widać, że to całkiem inny człowiek”.

– Malarz! – woła Neigel niepewnie, myśląc na głos: – Malarz postaci? Artysta, który będzie malował na pustyniach? Na powierzchni morza? – Rozgorączkowany, rozpina większość guzików u koszuli. – Będzie malarzem wyobraźni, panie Wasserman.

Wasserman:

– Proszę o wyjaśnienie.

Neigel odstawia kieliszek, odchyła się do tyłu, kładzie nogi na stole i spleta ręce na karku. Uśmiechnął się. Wasserman nigdy nie widział u niego takiego uśmiechu: to uśmiech kogoś, kto pogodził się ze złą wiadomością. Uśmiech, który pojawia się, kiedy już wszystko skończone. Niemiec wyjaśnia żydowskiemu autorowi, że Kazik będzie malarzem bez farby i ołówka. Będzie mógł także tworzyć bez papieru.

– Proszę spojrzeć, Herr Wasserman – uśmiecha się, wskazując ręką. – Proszę spojrzeć na wschód. Między wybiegami niedźwiedzi i tygrysów. (A? Co?



Czy on stracił rozum?).

– Widzi pan kobietę, leżącą na ścieżce? Zna ją pan? Wasserman mruży podejrzliwie krótkowzroczne oczy, patrzy w kierunku wschodnim. Wykrzywia z obrzydzeniem wargi, czując zapach Neigla. Nagle, jak błyskawica, pojmuje intencję Niemca i ze zdumienia szeroko otwiera oczy. („Aj! Stało się! Odniosłem sukces, słuchasz mnie, Szlojmele? Szlojmele!”). Na głos odpowiada:

– Ależ oczywiście, Herr Neigel! Przecież to nasza Chana Cytryn, nieprawdaż? Najpiękniejsza kobieta na świecie!

Neigel zaczyna wówczas opisywać półgłosem, jak nad rozciągniętą na ziemi Chana otwierają się niebiosa, jak ogromny obłok rozdziera ostry płomień błyskawicy, i jak siłą wyobraźni Kazik odmalowuje nogę Boga, zstępującego w dół, potem drugą, jak Bóg kroczy po naszej ziemi, aby lec obok najpiękniejszej kobiety na świecie, a ona, Chana, jest tak pijana miłością i pożądaniem, że całkiem zapomina o ukrytym nożu. Jest wyczulona tylko na katusze jego żądz i miłości do niej. Potem Neigel zaprowadził oniemiałego, zdumionego Wassermana do grobu w pobliżu ptaszarni, do Pauli rodzącej z wysiłkiem i uniesieniem swoje dziecko, płód krzyku, i oboje przeżyli, a oczy Frieda były pełne miłości do kobiety i dziecka. Kiedy Neigel wypowiadał słowa „kobieta” i „miłość” (patrz: miłość), jego słowa tchnęły błaganiem i rozpaczą. Mówił gorączkowo, jakby w obawie, że nie starczy mu czasu na powiedzenie tego wszystkiego, co nosił w sobie przez lata, wszystkiego, co „zawiesił na kołku” i „odesłał na urlop”.

– Proszę popatrzeć na północ, drogi Herr Wasserman, i zobaczyć pana Munina z przepiękną kobietą...

Kiedy Wasserman spojrział w kierunku, wskazywanym przez przekrwione oczy Neigla, zauważył, że drzwi do baraku są otwarte, a w progu stoi – kto wie, jak długo – sturmbannführer Stauke (patrz: Stauke), z ogoloną głową, z czarną czapką w rękę, z wąską nitką uśmiechu na wargach.

– Ależ proszę mówić dalej – odzywa się miękko i kocim krokiem wchodzi do pokoju. – Przez ostatnie minuty wysłuchałem za drzwiami prawdziwych baśni tysiąca i jednej nocy, Herr Neigel.

Ponieważ zwraca się do Neigla, nie używając stopnia wojskowego, Wasserman spuszcza głowę, i bez radości, całkowicie bez radości, gratuluje sobie zwycięstwa.

Należy dodać, że między Staukiem a Neiglem odbyła się bardzo krótka wymiana zdań, złośliwa ze strony Staukego, zdumiewająco obojętna ze strony Neigla. Na koniec Stauke wyrwał Neiglowi rewolwer z kabury, zostawił w nim dwa naboje, jeden dla komendanta, drugi dla Wassermana, i na odchodnym wyraził nadzieję, że Neigel spełni przynajmniej honorowy obowiązek. Kiedy zamknęły się za nim drzwi, Neigel rzucił gorączkowo:

– Kontynuujmy. Mamy jeszcze czas. Nasz Kazik został malarzem wyobraźni, prawda? Kontynuujmy.

Patrz: karykaturzysta

## צעקה

### **Ce'aka – krzyk**

Wrzask, głośne wołanie wywołane bólem, rozpaczą, wołanie o pomoc itp.

„Krzyk” to nazwa skomplikowanego systemu zespawanych blaszanych rur, stojącego w pustym chlewiku. Jeden z eksperymentów Siergieja (patrz: Siergieja). W sierpniu czterdziestego drugiego w blaszanych rurach uwięziony został krzyk. Z początku doprowadzał do obłędu większość – i bez tego nie całkiem zdrowych na umyśle – mieszkańców ogrodu. Markus:

– Nie mogliśmy dokończyć ani jednej myśli! Potworny głos mieszał nam w głowach, rujnował nasze idee! Ale Otto... ach, Otto nie zgodził się uwolnić go z labiryntu. Otto zazdrośnie strzegł praw swoich twórców. Otto: Przywykniecie. Istotnie, przywykli. W końcu stopniowo przestali go słyszeć. Należy dokładnie wyjaśnić: w jednej, ostatniej chwili, ponownie zarejestrowali jego istnienie. Było to wtedy, gdy stary Fried przysiągł sobie, że sprawi, aby życie Kazika nabrało znaczenia (patrz: modlitwa). Zdarzyło się to w nocy, kiedy Kazik był jeszcze bardzo młody. Tak, młody. Na jedną chwilę, kiedy wzruszony Fried bohatersko

podjął decyzję, że nie podda się rozpacz i będzie walczył ze wszystkich sił, Krzyk nasilił się i na mgnienie oka przeszedł w straszliwy skowyt, wysoki i pełen protestu. Otto, śpiący snem sprawiedliwego w swoim domku, uśmiechnął się przez sen, mówiąc: Słyszałeś, Fried? To chyba twój krzyk. Właśnie się narodziłeś.

Kazik przechodził obok Krzyku podczas wędrówki szaleńców (patrz: szaleńcy, wędrówka szaleńców). Nie rozumiał, czym jest sterta blachy rzucona na kupę w pustej klatce, ale wszyscy zauważyli, że stał się dziwnie nerwowy. Twarz zaczęła mu drgać i jakby szarpnął nim silny, niewidoczny podmuch wiatru. Ponownie spróbował podejść do klatki – i znowu coś go odepchnęło. Uciekł. Zatrzymał się. Wrócił niepewnie, podejrzliwie. Widać było, że coś sprawia mu ukryty ból. Pociągnął Frieda za rękaw, pytając, co to za miejsce. Aharon Markus wytłumaczył łagodnie, jak zawsze, do czego służy system. Opowiedział, że Siergiej wykorzystał chlew (świnie zginęły podczas nalotów), aby skonstruować blaszany labirynt, o wiele bardziej skomplikowany, niż wydawało się z zewnątrz: składał się z rozmaitych ramion i odgałęzień, biegnących pod kątem prostym, falistych, spiralnych, poziomych, pionowych i ukośnych. Otto: Połowę budżetu wydałem na kupno złomu na wysypiskach śmieci nad Wisłą. Siergiej mówił, że do jego celu najlepiej przydaje się aluminium, bo jest doskonale do tworzenia echa, a nie było tanie. Ale na wojnie nie oszczędza się na takich rzeczach. – Siergiej zaprojektował labirynt tak, aby uwięzione echo nie utraciło ani odrobiny swej mocy. Przeciwnie: jeśli krzykniecie do rur – krzyk nie słabnie i nie zblednie po kilku sekundach, ale się nasili: szybko zwielokrotni swoją moc, potroi się i w kilka chwil wypełni cały system krzykami i urywkami krzyków, echem krzyków, gęstą i intensywną energią, która będzie się bez końca mnożyła, aż zamieni się w skupioną siłę dźwięku o wysokim napięciu, o drganiach, które znajdują się – przynajmniej według twórcy – na fizycznej ziemi niczyjej, pomiędzy dźwiękiem a masą. Fried: Biedny wariat. Takich jak on u nas nazywano: *Pickholz*. Głupek. Markus: Z jakim entuzjazmem rozprawiał sam ze sobą o tym wynalazku! Chodził po ścieżkach, perorując, a na widok człowieka nurkował w bok i znikał! Był i nagle nie ma! Otto: Jedno oko miał słabsze i

kiedy patrzyło się na niego wprost, to oko od razu zaczynało łzawić. Cały czerwieniał i słowa więzły mu w gardle. Biedak. Paula: Gdybyśmy chociaż wiedzieli cokolwiek o tym, co przeszedł, odkąd się rozstaliśmy pięćdziesiąt lat temu, może, kto wie? Może moglibyśmy mu pomóc? Ale on – nic. Milczy. Zachowuje się jak obcy. Jak kompletny *fonie*. Ruski. Może to, nie daj Boże, wróg? Otto: Ze mną czasami rozmawiał. Nie wiem, dlaczego akurat ze mną. Objaśniał mi okropnie naukowymi terminami wszystkie skomplikowane etapy swoich projektów. Fried: Napięcie wokalne Krzyku, tak zawsze mówił biednemu Ottonowi, a Otto przychodził do mnie i pytał, co to takiego, chociaż oczywiście też nie miałem pojęcia. Markus: Dopiero potem, wiele miesięcy po eksperymencie z lustrami (patrz: Prometeusz), kiedy zniknął, zaczęliśmy rozumieć. Tak. Marzył o ogromnym napięciu, które powstanie między narastającymi falami uderzeniowymi zwielokrotnionego setki, tysiące razy echa. Co wy na to? Siergiej chodził po ogrodzie, rysując w powietrzu fale, załamujące się z rosnącą inercją, nieskończone rozgałęzienia, zderzenia i przecięcia, bijące o ściany z blachy i aluminium, odbijające się z powrotem i roztrzaskujące w miliony ech. Fried: Napięcie! Nie zapominaj o napięciu wokalnym! Ach! Skończony pajac! Otto: A co było z wodorem, zapomniałeś? Chciał do swego systemu wpuścić wodór, bo uznał, że echa łatwiej powstaną w wodorze... To trochę ryzykowne, ale pozwoliłem mu... Munin: A odczepienie? Przecież tyle mówił o „odczepieniu”, aż myślałem, że z tego wysiłku odzepi sobie jaja! Markus: No, potem i to się wyjaśniło. Biedak mówił o „rozszczeniu”, nie o „odczepieniu”. Rozszczeniu krzyku na energię dźwiękową i ludzkie cierpienie...

Istotnie, z obłąkanych opisów wynalazcy, znalezionych po jego zniknięciu, wynikało, że Siergiej wierzył, iż ludzki krzyk składa się z dwóch powyższych elementów. Uznał, że nie ma sensu zwiększać ludzkiego nieszczęścia jeszcze bardziej, i skupił się na nieskończonym zwielokrotnieniu energii dźwiękowej. Chciał doprowadzić do tego, aby ogromna energia uniosła na sobie ludzkie nieszczęście niczym potężny silnik. Przepowiadał, że dojdzie do eksplozji, która zniszczy rury, klatkę i cały ogród. Paula: Jezus Maria! Nawet

całą Warszawę! Powiedział: ten krzyk dojdzie bardzo daleko! Kazik: Ale po co? Markus: Może po to, by za tysiąc lub dwa tysiące lat usłyszał go ktoś w jednym z odległych światów, w jednej z najodleglejszych galaktyk. Usłyszy i zainteresuje się w końcu tym, co tu się dzieje, bo może o nas zapomnieli... może trochę nas zaniedbali...

Należy natychmiast zaznaczyć, że sam pomysł, choć wydaje się wyjątkowo nierealistyczny, przypomina odrobinę inne idee w dziejach ludzkości. Chociażby ogromne piramidy Inków w Ameryce Południowej, zbudowane – według niektórych – w celu zwrócenia uwagi mieszkańców odległych światów. Sam Siergiej święcie wierzył w wyniki swoich działań. Pewnego razu zdumiona Paula wystraszyła się, kiedy wyskoczył na nią z krzaków, trzymając w ręce kartkę papieru pokrytą gęsto drobnymi równaniami, i z góry poprosił o wybaczenie szkód, jakie jego eksperyment spowoduje w ogrodzie. Paula: Po tym wszystkim, kiedy nadszedł moment samej próby, możesz sobie, chłopcze, wyobrazić, czuliśmy się jak w jakiejś bajce. Kazik: Co się stało?

Znamienne, że Kazik przysłuchiwał się z szeroko otwartymi oczami. Choć nie rozumiał większości wyjaśnień, poczuł ciche westchnienie, wzbierające w piersiach artystów (patrz: artyści). Można było zauważyć, jak zmętniał kryształowy blask młodości (patrz: młodość) w jego oczach. Kazik: I co się stało – co się stało? Markus: Stało się coś okropnego. Najokropniejszego. Nadszedł dzień, w którym profesor Siergiej zakończył budowę swego labiryntu i wszyscy zgromadziliśmy się w oczekiwaniu wokół klatki. Byliśmy w podniosłym nastroju. To, kochany Kaziku, mógłbyś nazwać entuzjazmem! W końcu nie codziennie człowiek jest świadkiem spełniania marzeń! Profesor wyłonił się z jednej z kryjówek, biedak, ubrany w pożyczoną ode mnie odświętną marynarkę, co prawda nieco podartą, z czerwoną różą w klapie. Przez chwilę stał, przyglądając nam się podejrzliwym, spłoszonym wzrokiem. Może przyszło mu do głowy, że zasługuje na lepszą publiczność, bo przecież wyglądaliśmy wtedy, Boże zmiłuj się, jak gromada żalonych włóczęgów... Siergiej stał z wzrokiem wbitym w przestrzeń, z odrobinę nastawionymi uszami, być może w nadziei, że usłyszy fanfary. Po chwili otrząsnął się niecierpliwie, z rezygnacją machnął ręką

i wyciągnął z rury metalową zatyczkę, po czym z lekkim ukłonem zaprosił Aharona Markusa do wydania okrzyku.

Wybrano właśnie jego, ponieważ w ostatnich latach malutki uczony aptekarz poświęcił wszystkie siły pewnemu szczególnemu doświadczeniu (patrz: uczucia): znalezieniu, sklasyfikowaniu i zlokalizowaniu najsubtelniejszych niuansów ludzkich emocji; zapragnął oznaczyć białe plamy na mapie uczuciowej człowieka. Trzy miesiące przed generalną publiczną próbą Krzyku Siergiej płochniwie zaczął Markusa z prośbą o pomoc. Rzecz jasna, nie zdradził nic na temat przeznaczenia potwornej blaszanej konstrukcji, którą umieścił w klatce po dzikach, nie zgodził się także ujawnić fizycznych i mechanicznych tajników pomysłu. Chciał tylko jednego: wykorzystać jego niezwykle, monumentalny talent do emocji. Markus: Nie trzeba się nad tym rozwodzić. Najważniejsze, że na prośbę wynalazcy, po niemałym wysiłku, odnalazłem w sobie subtelny ton, najczystsza oktawę ludzkiego nieszczęścia, najstraszniejszej rozpacz, nagi szloch ludzkiej duszy, do którego dodałem, znów na prośbę naszego dobrego Siergiej a, delikatny motyw sprzeciwu, lekki ton protestu. Długie tygodnie chodziłem z tym tonem wibrującym we mnie, powtarzałem go, ucząc się go na pamięć. Była to emocja cienka i ostra jak brzytwa: esencja krzyku...

Aby osiągnąć pożądany efekt, artysta wykonał pracę, przypominającą tworzenie posągu: zdejmowanie kolejnych warstw kamienia, pokrywających postać we wnętrzu. Siłą swego talentu wysnuł najcieńszą nić, napiętą między otaczającymi go artystami.

Wasserman:

– Oto cięciwa, której używa każdy człowiek na świecie do wystrzelenia swej jedynej strzały.

Potem Markus przez cztery tygodnie przebywał w odosobnieniu, doskonaląc „grę”. Markus: Kiedy w końcu nadeszła ta chwila i profesor Siergiej wyciągnął korek – co za emocje, Kaziku! Jak wszyscy zadrżeliśmy! Przyłożyłem usta do wylotu rury – nie! Przyłożyłem tam moje serce! No i krzyknąłem. Co się stało – co się stało? – pyta Kazik, wraz z nim Neigel, a artyści odpowiadają jeden

przez drugiego: Fried: Co się stało? To było okropne! Włosy stanęły mi dęba!  
Paula: Jedna brzoza na końcu ogrodu runęła – trach! Jak rażona piorunem!  
Rano odkryliśmy, że była wypalona od wewnątrz. Otto: Królice wciągnęły z powrotem do łona młode! Munin: A jak węże wyskoczyły ze skóry? Fiu! (Uwaga redakcji: nikt nie wspominał o rozpaczach i przygnębieniu, które ich ogarnęły, gdy rozległ się krzyk). Profesor Siergiej, w którym dźwięk najwyraźniej roztopił resztki zdrowych zmysłów, na uginających się nogach pośpieszył do rury, zatykając ją metalową zatyczką. Drżącym głosem wezwał wszystkich, aby jak najszybciej się rozeszli, znaleźli kryjówki, choć nigdzie nie jest bezpiecznie, i uciekali, uciekali! Markus: Krzyk zaczął biec blaszanymi korytarzami. Biec, powiedziałem? Cwałować! Powiedziałem, cwałować? Lecieć! Otto: Pobiegłem się schować za moim domkiem i stamtąd słyszałem, jak kraży w rurach. Markus: Wali z całej siły, zderza się z własnym odbiciem, wrzeszczy, eksploduje. Paula: Alem się wystraszyła! Serce uciekło mi w majtki, pardon. Munin: Świszczę niczym demon, jak Lilit, co wyrwała się z piekła! Anioł Rechatiel smaga biczem galopujące konie! Otto: Wszystko zaczęło dygotać, klatka, ogród, ziemia.

Wasserman, cicho:

– Świat. Zwierzęta zaczęły hałasować. Dygot ziemi wpędził je w panikę, odrzuciły głowy w tył i także zawyły. Wszyscy pobiegli się ukryć. Tylko wynalazca, Siergiej, pozostał przy konstrukcji z rur, która wrzeszczała, trzęsła się i wyła. Uniósł ręce i poruszał nimi zamasyście, jakby dyrygował niewidzialną orkiestrą, ze straszliwym, gorzkim uśmiechem na ustach. Jeszcze! Jeszcze! – wołał. – Mocniej!

Wasserman milknie i spuszcza wzrok.

Neigel przebiegle pyta głosem Kazika, co wydarzyło się potem. Wasserman i artyści milczą. Kazik: Dlaczego nie mówicie, co się stało? Fried: Nie złość się na nas. Nie jest nam łatwo o tym mówić. Markus: To prawda. Co się stało, pytasz, mój miły Kaziku? Stało się... Paula: Ze nic się nie stało. Tylko kręcił się tam i krzyczał bez przerwy. Żadnego wybuchu, żadnej katastrofy. Nic. Markus: Nie umiemy nawet krzyczeć jak należy. Fried: Tak, chłopcze. To właśnie ten krzyk, który teraz słyszysz. Kazik: Ale ja nic nie słyszę. Paula: Co w

tym dziwnego? On się przecież w tym urodził.

## – קאזיק, מותו של –

**Kazik, moto szel –**

**Kazik, śmierć Kazika**

Nastąpiła o godzinie osiemnastej dwadzieścia siedem, kiedy Kazik miał sześćdziesiąt cztery lata i cztery miesiące/ według obliczeń doktora Frieda. Przez samobójstwo. Pociągnęła za sobą śmierć obersturmbannführera Neigla

Ostatnie lata życia Kazika był to okres pełen przedłużającego się cierpienia, dla niego i dla jego sędziwych przyjaciół. Neigel słuchał, udręczony, w poczuciu nieznośnego dyskomfortu. Wasserman nie dbał o logikę czy ciągłość wydarzeń, nie zachowywał uświęconej zasady jedności miejsca i czasu. Bohaterowie przenosili się nieprzerwanie z warszawskiego zoo do obozu zagłady i z powrotem. Był to bolesny, nieszczęsny przykład wypuszczenia z rąk wodzy opowieści, Neiglowi jednak to nie przeszkadzało, i nie zgłaszał pretensji. Na stole leżał pistolet, a w nim dwie kule, pozostawione przez jego zastępcę, sturmbannführera Staukego (patrz: Stauke). Neigel jakby nie dostrzegał broni. Całe jego zainteresowanie skupiało się aktualnie na Kaziku, niegdyś kochającym życie młodzieńcu, który deklarował przed kilkoma laty (patrz: malarz), że woli życie choćby pełne cierpienia od braku życia, a obecnie jest starym, zgorzkniałym człowiekiem (patrz: cierpienie). Swoje życie postrzega jako straszliwą sieć niezasłużonych krzywd. Z nienawiścią i znużeniem szuka sposobu pozbycia się choć odrobiny udręki i lęku przed zbliżającym się końcem. Kazik: Złe mi – złe mi – niech wam też będzie źle. Otto, łagodnie: Co chciałbyś, żeby się z nami stało, chłopcze? Kazik: Nie wiem – nie chcę, żebyście byli – chcę, żebyście byli zamknięci jak one. Fried: Ale to są zwierzęta! Malutki, gniewny, odpychający staruszek: Chcę – chcę. Otto patrzył na niego z żalem. Fried – wstrząśnięty. Artyści (patrz: artyści) czekali na wyrok Ottona. Nikt nie miał siły



podjąć decyzji. Pragnęli tylko, aby Otto skinął palcem i aby zły sen pękł jak bańka mydlana. Wiedzieli jednak dobrze, że nie mają niczego poza tym snem. Otto, ze spokojem: Pomóż mu, Harotianie (patrz: Harotian). Fried zaczął krzyczeć: Ależ Ottonie! Dyrektor ogrodu zoologicznego: Sprowadziliśmy chłopca tutaj i nauczyliśmy go czegoś. Spoczywa na nas odpowiedzialność (patrz: odpowiedzialność) za jego sztukę (patrz: sztuka). Niech robi wszystko to, co najwyraźniej musi. Tak było zawsze, Fried. Przecież sam wiesz. Doktor: Boję się, Ottonie. Otto: Ja też. Harotianie, proszę, pomóż mu. Harotian chciał odmówić, ale w błękitnych oczach Ottona malował się wyraz, któremu się nie odmawia. Harotian więc zrobił to, czego najbardziej nienawidził, i dzięki swej magicznej mocy, nadanej mu przez Wassermana pięćdziesiąt lat wcześniej w pieczarze nieopodal ormiańskiej wioski, zbudował wokół artystów wielką, okrągłą klatkę. Neigel jęknął. Chciał Wassermana o coś poprosić, może o litość (patrz: litość), ale autora nie dało się powstrzymać: opowiadanie wręcz tryskało mu z ust. (Wasserman: „Nie przeczę, że ta historia, ze swoim smutnym zakończeniem, wytryskiwała ze mnie niczym woda z fontanny. Kiedyś, chcąc napisać udane zakończenie, musiałem nieomal pluć krwią! Przeżywałem tysiączne męki, nie chcąc stworzyć «brzmiącej miedzi i dźwięczących cymbałów, wymyślając całą furę fantazji. A teraz jak woda! Złe, przerażające słowa tańczą mi na języku niczym siedemdziesiąt siedem czarownic, kuszą i mamią: bądź niegodziwy, opowiadaj dalej, utwórz serce jak głaz, przecież opowiadasz samą prawdę. Aj, tak naprawdę jest. Tysiąc i jeden raz musiałem narodzić się i umrzeć, zanim się dowiedziałem, że koszmar to jedynie karykatura tego, do czego jesteśmy przyzwyczajeni. Wyolbrzymienie... albo wielkie nagromadzenie tego, co znane i znajome... Fe!”).

Kazik kilkakrotnie obszedł klatkę, przyglądając się więźniom. Potem zniknął w głębi ogrodu. Wasserman przytacza następnie nieco dziecinny, nużący opis wyczynów Kazika – jak otwierał klatki, uwalniając drapieżne zwierzęta, i jakie okrutne rzeczy zaczęły dziać się w następstwie. Chwiejąc się na nogach jak pijane, nadbiegło słońiatko Tuzinka, jej małe kły ociekały krwią, a z pyska wystawała jej pogruchotana jelenia noga... Krótko mówiąc:

Wasserman dał się ponieść. Wykorzystał sytuację do przesady. Z tego potoku słów należy podkreślić jeden fragment, opisujący ogród godzinę po tym wszystkim, kiedy drapieżniki już się nasyciły i zapanowała pewna równowaga: podekscytowane mały biegły wokół klatki z artystami, szczebiocząc do siebie. Kilka wspięło się po siatce, zaglądając ciekawie do środka. Nosorożce zaczęły pożerać róże, które Paula hodowała przez całe życie. Dwa stare słonie, rodzice Tuzinki, kroczyły powoli, niepewnie badając ziemię trąbami. Ogród z opustoszałymi klatkami, ze zwierzętami, z zamkniętymi wspólnie artystami, ze starym niemowlęciem, biegającym gdzieś w oddali, w wieczornej mgle, w blasku pierwszych gwiazd, przypominał tymczasowe obozowisko jakiejś starożytnej karawany, wędrującej bez celu tu i tam, pokazującej światu fantazje Stwórcy: ludzi, sny, zwierzęta, niebo, wstępne prototypy bardziej udanych dzieł. A może plagiat (patrz: plagiat), który stworzono z wielkiej, dławiącej tęsknoty, choć – bez wątpienia – bez talentu, ze smutnym niedbalstwem. Wielki wysiłek doprowadził do nieuchronnej porażki, przypominającej ogromne złomowisko, gigantyczny lunapark nieudanych pomysłów i niespełnionych, zardzewiałych nadziei, które wciąż maluje się na nowo i przywraca do użytku dla następnych pokoleń dzieci. Z mgły ponownie wyłonił się Kazik. Przygarbiony staruszek, rozsiewający kępki białych włosów, niepohamowanie puszczający gazy, ruina człowieka. Wasserman spojrzał na Frieda, który obserwował Kazika. Tak krótko przebywał w towarzystwie dziecka – wciąż go tak nazywa – i nawet w tym czasie zdołał w nim zasiać ziarna zniszczenia. Fried: Może nie przez to, co mówiłem i robiłem, przecież tak bardzo się starałem, ale... Markus: Najgorsze dziedzictwo przekazujemy im bez słów, kochany Albercie. Ono jest ponadczasowe... wystarczy jedna chwila... Munin: Boże wszechmogący! Spójrzcie na jego twarz! Cała we krwi! Fried: Jest ranny. Wasserman: Polował. Markus, cicho, ze smutkiem: Pożarły go dzikie zwierzęta. Kazik: Jesteście tu – nie bądźcie tu. Otto, łagodnie: Dokąd mamy pójść, Kaziku? Kazik: Nie bądźcie – może jesteście do jedzenia. Otto: Nie. Obawiam się, że nie. Stary Kazik: Zjadłem takie coś, małe – długie uszy niedobre – co będzie. Usiadł na ziemi pod klatką i zawodził w głos. Żle mi – źle mi – dlaczego tak?

Wasserman:

– Co mieliśmy mu powiedzieć, Herr Neigel? W jego małym ciele siły życia i śmierci mocowały się gwałtownie i okrutnie. Kazik oparł głowę o ogrodzenie i zaniósł się płaczem. Potem chodził ociężale tu i tam, wymachując rękami, wrzeszczał, puszczał gazy, oddawał mocz i kał, błagał, aj, nie znalazł spokoju. Kazik się zatrzymał. Oczy miał zaczerwienione i opuchnięte, ziajał jak pies: Chcę-być-z wami – powiedział. Wszyscy spojrzeli na Ottona. Otto skinał głową i Harotian otworzył furtkę w ogrodzeniu. Małą furtkę, która zniknęła, kiedy Kazik wszedł do środka. Stary chłopiec wszedł z trudem i stanął wśród nich. Otoczyli go w milczeniu, jak ogromne demony, kamienne posągi, trawione smutkiem, pozbawione złudzeń. Patrzyli w milczeniu na małą istotę, którą wymyślili, którą stworzyli z rozpacz.

W tym miejscu Wasserman przerwał na chwilę, a Neigel zapytał, jak to się stało.

– Jak to jest, że ponieśliśmy taką klęskę? – zapytał, a Wasserman odpowiedział z powagą (patrz: cud 3.).

– Kazik upadł nagle, jakby w jednej sekundzie opuściły go siły. Słabym, niedosłyszalnym głosem potworzył, że jest mu źle, że chce, aby także oni cierpieli. Ta ostatnia myśl tkwiła w jego głowie, z której prędko uchodziło wszystko inne. (Munin zaśmiał się gorzko: Rozdaje nam wszystko, co ma. Może to komunista?). Kazik, kurczący się w oczach, nie przestawał mówić: Jak-wam źle-jak źle. Otto czuł, że powinien kontynuować ohydne doświadczenie do końca, jakby musiał przełknąć do ostatniej kropli gorzkie lekarstwo na swą dolegliwość, chorobę wiary w człowieka. Nie ukrywał nic nawet teraz: Źle nam jest z wielu powodów, Kaziku. Bardzo wielu. Na przykład, kiedy jesteśmy starzy i chorzy. Zajdman, cicho: Kiedy nas biją i głodzą. Markus: Kiedy nas upokarzają. Chana Cytryn: Kiedy odbierają nam nadzieję. Tak. I kiedy nam ją dają. Harotian: Kiedy odbierają nam złudzenia. Fried: Kiedy jesteśmy samotni i kiedy jesteśmy razem. Paula: Kiedy nas zabijają. Wasserman: I kiedy pozostawiają nas przy życiu. Markus: Złe nam, kiedy czynimy zło. Zajdman: Jesteśmy tacy delikatni. Munin: Prawda, do diaska, prawda. Kiedy boli nas

jeden mały ząb – życie przestaje być życiem. Fried: Kiedy umiera ktoś, kogo kochaliśmy, już nigdy nie odzyskamy prawdziwej radości. Markus: Nasze szczęście zależy od wielkiej perfekcji...

– *Bitte*, Herr Wasserman – poprosił nagle Neigel, chwytając pisarza za rękę (Wasserman: „W jego ręce nie czuło się śmierci. Zwykła ludzka ręka. Pięć ciepłych palców, odrobinę wilgotnych, być może ze strachu. Palce, które dotykały jego łez, łez dziecka, którym kiedyś był, ust niemowlęcia, nosa, miejsca między udami kobiety i wszystkiego, co dobywa wilgoć z jałowej solnej pustyni”).

– Nie trzeba cudów – szepnął wówczas Wasserman, przysuwając twarz do jego twarzy – trzeba dotknąć ciała żywego człowieka, popatrzeć w błękitne oczy, posmakować słonych łez.

Neigel, ze skurczoną z wysiłku twarzą, na której drgał każdy mięsień, prosił, aby Dzieci Serca nie umarły. Aby Kazikowi nie udało się ich zabić. Wasserman, ze znużonym uśmiechem:

– Nie umrą. Przecież trochę ich już pan zna, prawda? Są zrobieni z takiej gliny, która nie umiera ani się nie niszczy. Są artystami, Herr Neigel, partyzantami...

Neigel powoli pokiwał głową. Oczy miał nieobecne, zaszkłone.

– Opowiedz mi o nim. O jego śmierci, Szeherezado. Szybko.

Wasserman opowiedział, jak Kazik przewrócił się na ziemię. Jak nie mógł już dłużej znieść życia. Na koniec poprosił Ottona, aby pomógł mu zobaczyć świat, w którym żyje. Życie za ogrodzeniem, którego w ogóle nie zdążył posmakować. Na skinienie Ottona Harotian uczynił okienko w siatce klatki. Nie ukazał się za nim ogród, ale obóz Neigela. (Uwaga redakcji: nie było w tym nic magicznego. Obóz zawsze tam czekał). Kazik zobaczył wysokie, ponure wieżyczki wartowników, druty pod wysokim napięciem, rampę i tory kolejowe, prowadzące donikąd, w śmierć. Poczul swąd palonego ludzkiego ciała, spalanego przez innych ludzi, usłyszał krzyki i rżenie powieszzonego za nogi więźnia, zduszone jęki pewnego człowieka, obersturmbannführera Neigla, uwięzionego razem z nim. Wasserman opowiedział – bezbarwnym tonem – jak w pierwszych dniach w obozie, gdy pracował przy spalaniu zwłok, przełożeni

dawali mu naftę do polewania stosów trupów. Potem praca stała się bardziej wydajna; przełożeni odkryli, że kobiety, zwłaszcza tęgie, lepiej się palą. Nakazali więc grabarzom układać grube kobiety na dole. Zaoszczędzono wiele nafty, podkreślił Wasserman. Oczy Kazika rozszerzyły się. Zwilżyła je jedna łza, którą wycisnął tak intensywnie, że pojawiła się krew. Wymamrotał coś i Fried pochylił się, aby posłuchać. Potem doktor wyprostował się, z przerażeniem w oczach: On chce umrzeć, Ottonie. Teraz. Nie ma już siły. Fried spojrział na zegarek: według jego obliczeń Kazikowi pozostały jeszcze dwie godziny i trzydzieści trzy minuty do zakończenia cyklu życia. Wydawało się jednak, że nawet ta odrobina jest zbyt trudna do zniesienia. Fried powiedział błagalnie: Zaczekaj trochę, Kaziku. Jest tak mało czasu. Zaczekaj. Może będziesz silniejszy. Może dasz radę. To tylko taki zły okres. Proszę. Wyczuł bezsens i fałsz w swoich słowach, więc zamilkł. Otto pokręcił głową: Jeśli on tego chce, Albercie – powiedział powoli – pomożemy mu. Fried zakrył twarz rękami i wydał dziwny dźwięk. Artyści odwrócili wzrok. Potem Fried jęknął i dźwignął Kazika w ramionach. Z małego ciała unosił się mdlący smród rozkładu. Żółte, wykrzywione zęby wypadały z ust przy każdym poruszeniu. Fried, porośnięty roślinkami, roztaczającymi świeżą woń rozmarynu, zaniósł Kazika na duży trawnik. Dwoje zaczerwienionych od płaczu oczu zabłysło na chwilę wśród gęstych liści. Stary doktor pochylił się i delikatnie położył Kazika w kręgu luster (patrz: Prometeusz), skonstruowanym przez rosyjskiego fizyka Siergieja (patrz: Siergiej). Wydawało się, że lekarz zamierza tam za nim wejść, ale Otto zorientował się i odciągnął go. Fried odwrócił się do niego, mówiąc gniewnie: Pozwól mi! To przecież nasza wina! Ale Otto trzymał go mocno, aż doktor się uspokoił. Kazik pozostał sam między lustrami. Wtedy zerwała się niewielka nawałnica. Kazik rósł i kurczył się, czas połykał go i wypluwał: znać było, że z wielką trudnością jest trawiony przez znikającą egzystencję. Jego sylwetka pojawiała się i znikła na kolejnych taflach. Podobnie jak niezliczone wersje jego losu. Otto gotów był przysiąc, że kilka bocznych luster ukazało – ukradkiem – mgnienia nieopisanego piękna. Ale w głównych odbiciach zapisał się tylko rozpad i ruina. Kilka luster pękło i rozprysło się w tym niezwykłym wysiłku. Być może także one nie mogą bez

ograniczeń przyjmować mrocznej ludzkiej materii. Artyści przypatrywali się bez ruchu. W niemal wszystkich bliskość śmierci budziła to samo uczucie: śmierć jest słuszna. Życie jest jedynie lekkomyślnym zwycięstwem, ale na koniec powracamy mimo woli do strefy działania jakiejś niewidzialnej siły, surowej i nieuchronnej, odpłacającej nam tak, jak na to zasłużyliśmy, bez litości (patrz: litość) czy sympatii. Ich własne życie wydało się im nagle bezcelowe, bezsensowne i pozbawione jakiegokolwiek znaczenia (patrz: życie, znaczenie życia). Także w tych, którzy nie byli religijni, zrodził się lęk przed Bogiem i niecodzienne myśli o grzechach, które popełnili, o spodziewanej karze. Tylko Aharon Markus dumiał ze smutkiem, że być może także śmierć jest oklepana, przypadkowa i pozbawiona sensu, jak życie. Kiedy stare dziecko znikło po raz ostatni, trzysta sześćdziesiąt lustrzanych tafli zaczęło padać z wyczerpania, jedną na drugą, jak płatki wędnącego kwiatu na silnym wietrze. Wasserman: „Tak, Szlojmele, opowiadałem to do późna tej fatalnej nocy. Kiedy skończyłem, zaczęło już świtać. Kilka minut później opuścił mnie Neigel. Kiedy kula trafiła go w głowę, wyszedłem, bo każdy ma prawo umrzeć w samotności. Usłyszałem też, jak natychmiast po strzale drzwi baraku otwierają się cicho i wchodzi Stauke, chrząkając uprzejmie”.

## קטסטרופה

### **Katastrofa**

Nagłe nieszczęście. Nieprzewidziana zgrzyzota

Tak określił Neigel to, co wydarzyło się podczas jego ostatniego pobytu w Monachium u rodziny. Wyjechał na czterdziestoosmiodziną przepustkę, ale wrócił po zaledwie jednym dniu. Wasserman: W tym czasie pracowałem w moim ślicznym, kwitnącym ogródku, ciesząc się z pierwszych pędów. Nie przypuszczałem, że mam taki talent do ogrodnictwa. Nagle zjawił się Neigel z nieszczęściem wypisanym na twarzy. Jakby wyśnił własną śmierć. Serce stanęło mi w piersi i skamieniało. Przez mózg przebiegła mi niemądra myśl:

żonie, pomyślałem w duchu, nie spodobało się opowiadanie i wyrzuciła go z domu! Aj, przypominałem wtedy pisarza, któremu wydawca odesłał rękopis... Boże wielki, wyszeptałem, prawda to, że kiedy grzebią nieudacznika, nawet łopata się łamie! Aj, narastał we mnie jęk, wszystko, wielki Boże, tylko nie to, cóż poza tym opowiadaniem mam na świecie?

Szczegóły nieszczęsnego urlopu Wasserman poznał dopiero dwa dni później. Przez ten czas Neigel unikał go. W dzień nie wychodził z baraku, pod wieczór, kiedy Wasserman wszedł do środka, Neigel krążył po obozie, wyładowując wściekłość na strażnikach. Nie spotkali się także nazajutrz. Wasserman słyszał tylko pełne złości wrzaski, dobiegające o każdej porze z baraku, widział, jak podkomendni wchodzą i wychodzą po kolei, z furją na twarzy! Drugiego dnia, o jedenastej w nocy, kiedy Wasserman leżał już na swoim worku na stryszku, a na dole komendant skończył się znęcać nad młodym oficerem, pragnącym otrzymać specjalną przepustkę, usłyszał nagle, jak Neigel woła go po imieniu. Wasserman: Ogarnęło mnie straszliwe przerażenie! Kolana zaczęły mi stukać jedno o drugie! Przestraszony Wasserman zszedł pośpiesznie po drabinie (Jestem pewien, że młody Samuel nie biegł tak szybko do kapłana Elego!) i stanął przed Neiglem. Twarz oficera była szara jak worek i według Wassermana wyglądała jak „żywy pomnik na własnym grobie”. Neigel kazał mu usiąść, odkaszlnął i powiedział ciężko:

– Nie ma już opowiadania, *Scheissemeister!* Nie dla Christiny! – Kiedy Wasserman nie reagował, wyjaśnił tym samym tonem: – Zostawiła mnie. Na zawsze.

Żyd szeroko otworzył oczy ze zdumienia. Błysnęło w nich pytanie, którego nie ośmielał się zadać. Neigel odpowiedział na nie:

– Nie. Nie dla innego mężczyzny. Przeze mnie. Przecież już mówiłem. Przez to, czym się stałem. – Nagle pękła maska twardości, twarz Niemca wykrzywił ból, niedowierzanie i z głębi zbolącej piersi dobył się krzyk: – Ach, Wasserman, wszystko *kaput!*

Wasserman, z niepozbowioną napięciem łagodnością:

– Odkryła pańskie oszustwo?

Neigel:

– Można tak to ująć. Tak.

Wasserman, czując się jak dramaturg, którego sztukę położyły błędy beznadziejnego aktora, wybuchnął gniewem:

– Trzeba było się trochę postarać, Herr Neigel! Przecież wyraźnie prosiłem, aby pan pokochał moje opowiadanie, troszczył się o nie jak o własne dziecko! Aj, Neigel, zabił mnie pan... – Wyłamuje w desperacji palce; wywraca oczami i szarpie brodę. Prawie traci głowę z wielkiego żalu. W jednej chwili jakby zerwała się nić wiążąca go z życiem. Staje się niewyraźny, wymyślony, jak swoi bohaterowie. W duchu obwinia samego siebie o niewielki talent, lecz także i Neigla: podejrzewa, że pozwolił, by „niemiecki sentymentalizm” splamił każdą literę. – Nie wolno! – ryczy nagle, niczym ranny tur. – Takie opowiadanie nie powinno być cikliwe, Herr Neigel! Powinien się pan był tego wystrzeżać! To dzieje nieszczęsnych, groteskowych bohaterów, ich wysiłków, żalonych, lekceważonych starań... Dlaczego musiał pan przesadzić?

Niemiec przypatruje mu się przez chwilę, porusza ręką w słabym proteście.

– Nie, nie zrozumiałeś. Opowiedziałem twoje opowiadanie tak, jak trzeba. Dokładnie tak, jak trzeba.

– Tak? To gdzie popełnił pan błąd?

– Właśnie w tym – odpowiada Neigel i na jego wargi wypływa słaby cień gorzkiego uśmiechu. – Wyobraź mnie sobie, Wasserman, jak jadę porannym pociągiem z Warszawy do Berlina. W przedziale pierwszej klasy oprócz mnie siedzi trzech wyższych stopniem oficerów SS i dwaj wysocy urzędnicy Generalnej Guberni. Siedzimy razem przez kilka godzin, palimy, rozmawiamy o pracy, o Führerze, o wojnie. Jestem z nimi, przez cały czas z nimi rozmawiam, a w duchu mówię do siebie. Przypominam sobie, co mi opowiedziałeś: Fried, Paula, mały Kazik, serca wyrzeźbione na drzewach i piękno, które należy do Boga. Dokładnie tak, jak mi powiedziałeś (patrz: plagiat). Wymyśliłem nawet dodatkowego wariata do twojego opowiadania, to mój własny wynalazek (patrz: Richter). Posłuchaj, ty łajdaku, ty sprytna, zdradziecka szumowino: odeszła ode



mnie. Stało się coś okropnego. Popełniłem błąd. Nie miałem wyjścia. To się po prostu stało. Nie można było temu zapobiec. Co z nas za ludzie, Wasserman?

Wasserman, który ma dość tych płaczliwych jęków, przerywa z okrutną niecierpliwością:

– Mam rozumieć, Herr Neigel, że moje opowiadanie nie jest już panu potrzebne?

Milczenie. Neigel podnosi pokonany wzrok i mówi:

– Ty... skurwysynu. Przecież świetnie wiesz, że jest mi potrzebne. Co mi poza nim pozostało?

(Wasserman: „Aj! Policzki zapłonęły mi wtedy ogniem. Zarumieniłem się tak z powodu komplementu, ponieważ Niemiec po raz pierwszy przeklinał mnie jak człowieka. Nie «szumowina» albo «żydowski śmieć», niemieckim, pełnym obrzydzenia głosem, ale «skurwysyn», po ludzku! Jakby przypiął mi medal! Nie byłem tak dumny nawet wtedy, kiedy po raz pierwszy nazwał mnie «Herr Wassermanem!»”).

Potem Neigel opowiedział, jak dojechał do Berlina, gdzie musiał wziąć udział w nudnej naradzie, a stamtąd – prosto do Monachium. Przyjechał o piątej po południu, Christina czekała już na niego na dworcu. Wyszła mu na spotkanie po raz pierwszy, odkąd nastąpił między nimi rozłam, i nawet pozwoliła się pocałować. (Neigel: „Kobiece usta, Wasserman. Wiesz, że skręcałem się z głodu przez rok. Przez rok nie dotykałem kobiety. Ani Polki, ani więźniarki, ani żadnej z naszych. Uwierz mi, miałem wiele okazji, ale pozostałem wierny – krzyczy z męką, waląc się w pierś pięścią, która mogłaby ogłuszyć wołu. – Oto człowiek uwięziony w klatce wiernego męża! Wiernego!”). Christina zaproponowała, aby poszli do domu spacerem, koło fontann Wittelsbacha, i Neigel się zgodził. Szli zniszczonymi w nalotach ulicami, mijali ogromne plakaty, nawołujące do służby wojskowej, i młodych inwalidów o zgaszonych spojrzeniach. Rozmawiali o prawie nowej sukience, którą Tina kupiła na wyprzedaży w upadłej fabryce, o pewnym śnie, który jej się przyśnił, o Marlenie Dietrich i o... Neigel:

– Dziwne, w ogóle nie mówiliśmy o wojnie. Ani słowa. Wszystkie te ruiny,

ci nieszczęśni inwalidzi, wszystko sprawiało wrażenie jakiejś dziwacznej pomyłki, iluzji. Wszystko było fałszywe, tylko my dwoje byliśmy jak należy. Żywi. Słuchałem jej. To ona zawsze chętniej mówiła, ja wolałem słuchać. Teraz to było jeszcze przyjemniejsze, bo dzięki tym drobiazgom zapomniałem o wszystkim, o czym nie chciałem pamiętać.

Wasserman:

– O mnie, Herr Neigel?

Neigel znów uśmiecha się krzywo:

– Nie uwierzysz, ale o tobie akurat nie zapomniałem. Kiedy Tina mówiła, myślałem sobie chwilami – to mu opowiem. Niech zobaczy, jaka ona jest. Tak. Stałeś się jakby moim nawykiem, Wasserman, do wszystkich diabłów.

Wasserman:

– *Ojch mir a chaber!* – Potem szli obok Hoffgarten (Neigel: „W tym parku my,, no, po raz pierwszy. Tak dawno temu”). Zmęczeni, wsiedli do autobusu numer pięćdziesiąt pięć i pojechali do domu. Neigel:

– Dzieci czekają u jednej z sąsiadek, oboje wspinają się na mnie, Liselotte mówi już wyraźnie „papi”, „Karl”, „mutti”. Karl opowiada o przedszkolu, pyta, co tata przywiózł, a Tina mówi, żeby zamknęli oczy, i wpycha mi do rąk prezenty, które dla nich przygotowała. Okazuje się, że daję Karłowi drewniany samochód, a Lizie lalkę z zamykanymi oczami. Wtedy Tina mówi: chodźcie do domu. Zerka przy tym na mnie jakoś tak z ukosa i rumieni się, wciąż się rumieni. Idziemy do naszego mieszkania, do domu, bardzo, bardzo wzruszeni.

Nie trzeba opisywać całego spotkania. Większość i tak wiemy: kolacja była prosta, lecz odświętna. Neigel przywiózł prawdziwą kaszanke, którą szofer kupił dla niego na czarnym rynku w Warszawie, a Tina wstawiła się odrobinę, wypiwszy ćwierć kieliszka wina rocznik dwudziesty ósmy, z butelki, którą otworzyli na swoim ślubie i pili tylko w wyjątkowych okolicznościach. Potem położyli dzieci spać. Tina poszła pozmywać, a Neigel – wykąpać się. Umyty, rozebrał się i wszedł do łóżka, aby na nią poczekać. (Wasserman: „Przyznam: czułem się skrępowany! Zabrał mnie aż do łóżka! Byłem niczym Malkiel Zajdman [patrz: Zajdman], wtykający nos do cudzego łóża małżeńskiego!”).

Neigel patrzy na Wassermana i mówi z niepewnym, przeprasającym uśmiechem:

– Nie myśl, Wasserman, że jestem wielkim donżuanem, bo nie jestem. Prawdę mówiąc, Christina to moja pierwsza kobieta. Wiesz teraz coś, czego nawet ona nie wie. Zawsze lubiłem sprawiać wrażenie, jakbym miał przed nią wiele... – Wasserman zbiera siły i odpowiada jedynie nieszczęśliwym uśmiechem. (Wasserman: „No cóż, et! Także moja Sara, ukochana... Ona także nie wiedziała, a ja co jakiś czas rzucałem chełpliwe, bezczelne aluzje... nie wdając się w szczegóły... aj, ilu na świecie jest takich głupców...”). Potem Tina usiadła na brzegu łóżka, wytarła ręce i posmarowała je przyjemnie pachnącym kremem, a Neigel pożerał oczami jej zwyczajne, praktyczne gesty. – Jeśli ci to nie przeszkadza, najpierw porozmawiamy – powiedziała. – Bo chyba mamy sobie wiele do powiedzenia. Neigel, choć jak wyznał: „Gotowałem się, po prostu się gotowałem z... no, wiesz sam”, odparł: Wszystko, wszystko, czego pragniesz. Bo, jak sam mówił, rozumiał, że kobiety czasem mają zahamowania i gwałtowne wybuchy tego, no, pożądania, trochę je przerażają.

– Moja Tina, choć urodziła się w Bawarii, w tych sprawach ma charakter prawdziwej mieszkanki Nadrenii, wszystko musi być delikatnie, łagodnie i powoli.

Neigel bez słowa wysłuchał wszystkiego, co jej leżało na sercu od dawna. Wędrowała szczyptą palcem po prześcieradle, blisko jego ciała, wyrzucając z siebie najcięższe słowa. Opowiadała o wstrząsie, jaki przeżyła tego grudniowego dnia, kiedy przyjechała odwiedzić go w obozie, i jak zaczęła się go bać.

– Naprawdę bać i nienawidzić, Wasserman. Nawet naszego Karla, który jest do mnie taki podobny, było jej czasem, w pewnych chwilach, trudno kochać jak dawniej. Powiedziała, że na pewno robię to tylko dlatego, że wierzę, iż lo mój obowiązek. Ze z pewnością tego nienawidzę. W głębi serca jesteś inny, tak powiedziała. Bardzo chciałem opowiedzieć jej wtedy o drużynie Ottona i w ten sposób trochę zmienić temat, bo nie było mi znowu tak lekko słuchać, jak o tym wszystkim mówi. Ale Tina położyła mi palec na ustach i rzekła: Pozwól mi mówić, bo długo na to czekałam. Powiedziała mu, że dwa miesiące wcześniej

uznała, że powinna się z nim rozwieść, i po długich namysłach pojechała poinformować o tym swoich rodziców w Augsburgu. A oni...

– Wyobraź sobie, Wasserman, wyrzucili ją, kazali jej natychmiast opuścić dom. Jej ojciec jest dyrektorem pralni na usługach wojska, a matka należy do Ligi Kobiet. Zobaczyła, jak zaczynają się bać. Tak. To nic innego, tylko strach. Jakby była zakaźnie chora. Po prostu wyrzucili ją z domu, żeby ich nie zaraziła, mówiąc, że krzywdzi także mnie, bohatera wojennego, a tym samym szkodzi całemu narodowi... To pewnie najlepsze argumenty, jakie udało im się wymyślić w ciągu kilku minut. Matka wybiegła za nią na ulicę w szlafroku i z wystraszoną miną szepnęła jej na ucho, że nie jest już ich córką i że nie chcą widzieć jej ani dzieci, wyobraź sobie, samotna kobieta z dwojgiem małych dzieci, taka opuszczona. Bez pomocy znikąd. Zawsze robiłem wszystko w domu, nie wstydzę się tego. Lubilem zajmować się domem. Teraz wszystko spadło na nią. Musisz zrozumieć, że nie jest jakąś cholerną komunistką, nie zna się na polityce – wyjaśnił Neigel pośpiesznie, wykręcając palce. – Nie miała się na czym oprzeć; ani wiary, ani partii, ani żadnego hasła. Nie miała nawet przyjaciółki, żeby jej się zwierzyć. Po cichu, całkiem sama, odcięła się od powszechnego entuzjazmu. Ona jest o wiele silniejsza od nas wszystkich, Wasserman. Daję słowo.

Wtedy Christina zaczęła mówić o jego listach. Nowych listach z obozu. Opowiadała, jak w łóżku, ułożywszy do snu dzieci, czytała i śmiała się pod kołdrą.

– Rozumiesz, co to dla mnie znaczy, Wasserman? Nigdy nie umiałem jej rozśmieszyć, mogłem ją najwyżej zabrać na film z Charlie Chaplinem, żeby usłyszeć jej śmiech. A teraz mówi: Czytałam, wzruszałam się, płakałam i śmiałam się, rozumiejąc, że nie jesteś mordercą. Pogładziła mnie po twarzy (Wasserman: „Wielki Boże, jej delikatna, krucha ręka na jego twarzy”) ze słowami współczucia (patrz: współczucie) i miłości (patrz: miłość). Ukochany, powiedziała, wiem, jaką wewnętrzną walkę toczyłeś, ty, który zawsze byłeś taki łagodny, tylko ja wiem, jak bardzo jesteś łagodny, jaki potrafisz być czuły i kochający. Potem zaczęła cicho płakać, wielkimi, przejrzystymi łzami. Taki

człowiek jak ty, powiedziała, który zstąpił do gehenny (patrz: gehenna) i wyszedł zwycięsko. Nie podniosła dłoni, aby otrzeć łzy, ale patrzyła na niego, a on miał uczucie, jakby ochrzciła go po raz drugi swymi łzami.

Neigel:

– Szczerze mówiąc, nie wszystko było prawdą, bo przecież ona o mnie nic nie wie, o tym wszystkim, co działo się podczas pierwszej wojny, potem w organizacji, a także tutaj. Przecież nie wyszedłem z piekła, nie, tkwię w nim po same uszy, z całym tym smrodem dymu, z gazem i Staukem, który od kilku dni dobiera mi się do tyłka, z głupimi Ukraińcami, z wiecznie kursującymi pociągami, teraz także w nocy. Nie można zamknąć oczu, aby się uwolnić od tego zgiełku. Sam już nie wiem, czy kieruję tym obozem, czy jestem jego więźniem. Ale kiedy ona mówi do mnie przez łzy, zapominam o wszystkim, zapominam o pracy i Rzeszy i wyciszam się, czuję spokój, chcę wierzyć, że dawno zakończyłem wojnę, że naprawdę można wszystko zmazać i zacząć jak trzeba.

Wasserman: Podczas gdy ona mówi coś przez łzy, Neigel zapomina o swej wygłodniałej chuci i obejmuje ją ze współczuciem, jak maleńkie pisklę. Jakże ona się do niego przytula, jak wygładza się jej skurczona twarz, kiedy zaczyna jej opowiadać, w jedyny sposób, jaki jest mu dany, jedyną opowieść, którą potrafi opowiedzieć. O sobie nie może już powiedzieć ani słowa, żeby nie czuć się kłamcą, nie może wymówić nawet słowa „ja”, żeby w środku nie *krzyczał* ktoś inny, protestując i uciszając go. Dlatego opowiada o losach Ottona, o jego niebieskich oczach i słonych łzach, o tym, że są tacy ludzie, którzy pragną się w nie wpatrywać i je smakować. Opowiada o doktorze Friedzie i jego szczególnej roślinnej wysypce, o nieszczęsnym Ilji Gincburgu, który zapragnął poznać prawdę... Snuje swoją opowieść cichym, zwyczajnym głosem, całkiem „cywilnym”, a jego Tina słucha uważnie z zamglonymi oczami. Wiadomo, w jaki sposób patrzy kobieta, kiedy jest gotowa.

Neigel:

– Zapragnąłem jej straszliwie, nie mogłem się opanować, ale ona wsunęła dłoń w moje ręce, mówiąc, jeszcze chwilę, proszę. Daj mi na siebie

popatrzeć, żebym mogła cię takim zapamiętać. Tak. Taki byłeś kiedyś. Chyba wróciłeś, Kurt. Witaj. Nagle uśmiechnęła się i pochyliła nade mną, a ja poczułem jej zapach i prawie krzyknąłem z wielkiego, no... Przyłożyła mi usta do ucha i zaczęła powoli, cichutko nucić, ze szczególnym uśmiechem: „Gdybyśmy wiedzieli / co robi Adolf / władając Bramą Brandenburską”. Dopiero po chwili zrozumiałem, że to nie wyznanie miłości, że śpiewa żartobliwą piosenkę wszystkich tych prowokatorów, bolszewików, imperialistów, komunistów i Żydów z dawnych czasów, kiedy jeszcze nie znali naszej siły. Własna żona śpiewa mi to w łóżku! Na ucho! Skamieniałem. Nie mogłem się poruszyć. Wyczuła to. Zawsze wszystkiego się domyślała. Przestała śpiewać i także znieruchomiała z twarzą wtuloną w moją szyję. Przez chwilę oboje wstrzymywaliśmy oddech, bo wiedzieliśmy, co się stanie, kiedy się poruszymy. Zachowaliśmy tę chwilę dla siebie. Potem wyprostowała się i z przestachem spojrzała mi w twarz. Zakryła dłonią usta i zrozpaczonym, cichym głosem małej dziewczynki zapytała: Chcesz z tym skończyć, prawda, Kurt? Dla nas wszystko się skończyło, prawda? Wróciłeś, Kurt? Poczułem, jak nagle w środku cały eksploduję, wybucha cała ta wojna i moja praca, cały zamęt, który zaczął się ostatnio, a przede wszystkim – strach. Tak, przeklęty strach przed tym, czego Tina ode mnie żąda, czego ośmiela się żądać. Co ona sobie myśli, co ona w ogóle rozumie, co ja mam w życiu poza pracą i organizacją, co będę wart, jeśli porzucę moją pozycję... Przecież to wyrok śmierci! Dezercja! Zdrada i kolaboracja, o to mnie prosi! Tina natychmiast domyśliła się moich myśli i wstała, zalekniona. Och, Wasserman, miała na twarzy strach, który widuję codziennie wokół. Rzygam tym żydowskim, przerażonym wyrazem twarzy. Z taką gębą pojawiłeś się tu po raz pierwszy. I to mnie spotyka od mojej żony! Nie wiem, co się ze mną stało, nagle oszalałem, jej strach wydał mi się prowokacją, obelgą, jej rozczarowanie i coraz wyraźniej widoczna pogarda. Pamiętaj, jak bardzo byłem spragniony kobiety. Oczy zaszyły mi krwawą mgłą, wszystko stało się purpurowe, nie wiem, co się wydarzyło, ale nagle byłem na niej, zdzierając z niej szlafrok i wszystko. Słuchaj – nigdy nie czułem takiego pożądania i nienawiści do kobiety. Pieprzyłem ją brutalnie, bez litości, co za katastrofa,

podnosiłem się i spadałem jak młot, krzycząc, cały czas krzychałem jej w twarz, zdrajczynie, Judasz, bolszewicka dziewczka, nóż wbity w plecy Rzeszy. Nie mam pojęcia, skąd wziąłem takie słowa. Przez cały czas miałem krew w ustach, krew z jej warg, widziałem jej zmartwiałą twarz. W ogóle nie stawiała oporu, leżała jak mała dziewczynka z szeroko rozwartymi oczami, patrząc na mnie bez wyrazu. Skończyłem, wyszedłem z niej i natychmiast się ubrałem, czując w sercu noże, bo przecież nie tego chciałem; wszystko zniszczone, a chciałem wszystko naprawić, żeby mi wybaczyła, kto mi pozostał poza nią i dziećmi, do wszystkich diabłów z tą wojną, jak to jest, że udało jej się przeniknąć do naszego życia i naszych łóżek, wiedziałem, że to koniec. Tego, co się wydarzyło, nie można cofnąć. Są rzeczy, których nie można cofnąć, wiesz. Wziąłem walizkę i wyszedłem. Nie miałem nawet odwagi zajrzeć do Karla i Lizy, czułem, że nie wolno mi na nich patrzeć, że jedno moje spojrzenie może ich skalać. Wyszedłem bez słowa, przemaszerowałem na piechotę przez całe miasto na Hauptbanhoff i tam przesiedziałem całą noc na ławce. Kiedy zasalutował mi jakiś żołnierz, o mało nie zwymiotowałem. Opowiadaj dalej, Wasserman.

– Pardon? – wzdrygnął się Wasserman. Przejście było zbyt gwałtowne. Ale Neigel nie miał już cierpliwości – a może czasu – na gładkie zmiany tematu i kulturalną rozmowę.

– Opowiedz jeszcze, Wasserman – szeptał żarliwie, z płonącymi oczami: – O Kaziku i o kobiecie, którą znalazł mu Otto (patrz: Cytryn), o dobrym życiu, które go czeka. Bądź ostrożny, Wasserman, zwracaj uwagę na każdą rzecz, którą robi czy mówi, spraw, by był człowiekiem, żeby nie był głupi, żeby nie popełniał głupstw. Tak. Uczyń z niego najlepszego artystę Ottona. Niech nie przestaje mówić, bo tu panuje okropny hałas i straszliwy smród, mój oddech cuchnie dymem, kiedy pociąg, gwizdząc, wjeżdża na stację, mam ochotę uciec, niech mnie zastrzelą wartownicy przy bramie. W ciągu dnia, kiedy otaczali mnie ludzie, krzychałem na nich, żeby nie słyszeć tego gwizdu, ale teraz jestem sam, nie zostawiaj mnie samego, opowiadaj, zostałeś mi tylko ty i opowiadanie, co za katastrofa.

# קריקטוריסט

## Karikaturist – karykaturzysta

Twórca karykatur

Kariera, którą Wasserman wymyślił dla Kazika po tym, jak Stauke „zapropozował” Neigelowi honorową śmierć. Stauke wyszedł, aby czekać na strzał, ale Neigel się nie śpieszył: nie miał zamiaru się zabijać, póki nie ukończy pracy nad opowieścią. Wasserman nie wierzył własnym uszom, lecz Neigel, głosem, w którym mieszały się błaganie i lęk, przypomina mu, gdzie przerwali:

– Kazik został malarzem. Pomagał innym artystom realizować marzenia. Znajdował w każdym to, co najlepsze. Był szczęśliwy.

– Nieszczęśliwy – poprawia Wasserman z powagą – Bardzo nieszczęśliwy. Neigel patrzy na niego z niepokojem, z obłędem w oczach.

– On musi być szczęśliwy, Herr Wasserman!

– Musi?

– Musi! Musi! – szepcze Neigel z bladym, zmęczonym uśmiechem, wskazując skinieniem drzwi, którymi wyszedł Stauke. – Ostatnia łaska, Herr Wasserman. Kazik był szczęśliwy. Jego życie, choć tak krótkie, miało jakiś sens, nieprawda? *Bitte*, Herr Wasserman.

(Wasserman: Popatrzyłem na tę ruinę człowieka. Nie będę ukrywał. Nie nienawidziłem go. W chwili, kiedy zastrzelił Tircele na moich oczach, nienawiść we mnie umarła. Moja odraza, przerażenie, wściekłość, a nawet miłość stępiły się. Pozostały tylko słowa, puste, popękane słowa. Wśród tych zgłiszcz uwiałem gniazdo, jak ostatni ptak, który umknął przed wielką katastrofą. Holokaustem. Trzy miesiące pozornego życia. Pusta skorupa. Wrywałem złote zęby trupom, liczyłem czas w latrynach. Żywy trup...).

– Proszę mnie posłuchać, Herr Neigel. Nie chcę pana zasmucać, ale trzeba powiedzieć prawdę: Kazik był nieszczęśliwy. Smutny, wściekły, niepokieszony. Żaden z obrazów, które odmalował siłą swej magicznej wyobraźni na niebie i ziemi, nie przyniósł mu ulgi. Co gorsza, także inni artyści nie poczuli się lżej na duszy. Kiedy ujrzeli, jak stają się marzeniem swojej



sztuki, jak poskramiają swój męczeński los, kielkował już w nich inny wyrok, okropniejszy od poprzedniego, jak szeroko ziejąca rana, grożąca pochłonięciem każdego. Kazik odsłaniał naszą nagość, to było w jego oczach, nie mógł się powstrzymać. Widział w nas nieszczęsne potwory, którym pragnienia i marzenia wyrastają z czoła niby grube rogi... Spojrzenie starego dziecka bez litości myszkowało po mrocznych zakamarkach naszych dusz! Z pogardą wydobywało na jaw ideały, szlachetne słowa i mądrość nędzarzy, którą z takim trudem zgromadziliśmy... Statki, niosące nas hen, za widnokrąg, kiedy wpatrywaliśmy się w nowe, zakazane horyzonty. Kazik stał się okrutnym, nieszczęśliwym karykaturzystą... Rysował artystów z gniewem, bez uczucia. Oni zaś, biedacy, widzieli siebie w jego oczach jak brzydkie, niepotrzebne narzędzia. Ze wszystkich oczu popłynęły łzy rozpaczy i żalu...

Oto jednak kiedy tak płakali, wydarzyło się coś w rodzaju cudu (patrz: cud) i ich wyszydzone szpetota zmaląła. Pamiętam, Herr Neigel, że to chyba mały aptekarz Aharon Markus, chcąc nas pocieszyć, opowiedział o brzydkiej księżniczce Marii z powieści *Wojna i pokój* wielkiego Tołstoja. Piękniała, tylko płacząc, niczym japoński lampion, brzydki i toporny, gdy świeczka jest zgaszona, który odzyskuje wspaniałość, gdy się ją zapali. Biedny Kazik nie mógł pojąć tych pięknych, miłosiernych słów. Brzydota była dla niego... nie umiał wybaczać, nie potrafił czuć żalu... Odizolował się od życia, jak nieszczęsny mityczny Midas: wszystko, na co spojrzał i czego dotknął, lśniło stalowym błyskiem złośliwości. Tak, Herr Neigel, Kazik był nieszczęśliwy: nieszczęśliwy, nieszczęśliwy, nieszczęśliwy.

## רגשות

### **Regaszot – uczucia**

Subiektywne przeżycia wewnętrzne

By zgłębić naturę tych doznań, warszawski aptekarz Aharon Markus przeprowadzał najrozmaitsze eksperymenty. Rzecz jasna, ich wyniki także są

subiektywne i nie należy wyciągać z nich obiektywnych, ogólnych wniosków.

Aharon Markus był intelektualistą samoukiem, który władał sześcioma językami (między innymi – arabskim i hiszpańskim), kochał muzykę klasyczną i w ramach hobby przepisywał partytury dla opery warszawskiej. Parał się także – w ograniczonym zakresie – alchemią. Ze wszystkich ludzi, sprowadzonych przez Ottona do ogrodu od początku czterdziestego roku, Markus był bez wątpienia najlepiej wykształcony, a także najsympatyczniejszy. Był wdowcem, ojcem syna jedynaka (Chaskiela, męża Beli), przez czterdzieści pięć lat żonatym ze zgorzkniałą jędzą, która na skutek wiecznego narzekania skurczyła się do nienaturalnych rozmiarów. Bardzo ją cenił i prawie nigdy nie wyrażał się o niej negatywnie, choć żona wciąż szydziła z jego niezaradności w sprawach finansowych i niepotrzebnego wykształcenia, prześladowała także jego przyrządy do alchemii, które zgromadził w aptecznym laboratorium. Pan Markus, pochodzący z małego galicyjskiego miasteczka, jako pierwszy warszawski aptekarz sporządzał i sprzedawał naturalne preparaty (był wegetarianinem, tak mu nakazywało sumienie). Był człowiekiem niezwykle subtelnym, schludnym i wytwornym. Przed wojną zawsze nosił goździk w butonierce (od wewnątrz tkwił mały metalowy naparstek z kilkoma kropelkami wody dla kwiatka). Po śmierci żony w tysiąc dziewięćset trzydziestym roku sprzedał aptekę i przeprowadził się do małego mieszkanka na Żoliborzu. Instrumenty alchemiczne (plany, tajemnicze tablice z formułami, kolby do wytwarzania rtęci, „piec Marii” do wyrobu wody siarkowej, nazywanej przez alchemików „boską wodą”) oddał polskiemu przyjacielowi, który był różokrzyżowcem. W tym okresie aptekarz – nie znany jego osobistych motywów – rozpoczął wyczerpujące eksperymenty w dziedzinie ludzkich uczuć. Na początku naszkicował mapę, na którą naniósł wszystkie znane ludzkie uczucia, poklasyfikował je na kategorie, odrzucił synonimy, opisujące te same emocje, podzielił je na uczucia „rozumu” i „serca”, „pierwotne” i „wtórne”, a potem zaczął pedantycznie obserwować siebie i kilku przyjaciół, aby opisać uczucia najbardziej „aktywne” w życiu człowieka. Wasserman:

– Nie domyśliłby się pan, Herr Neigel, że my, ludzie, korona boskiego

stworzenia, w całym swoim długim życiu używamy tylko dwudziestu lub trzydziestu uczuć. Regularnie i intensywnie – zaledwie dziesięciu czy piętnastu.

Neigel:

– Mnie to wystarcza. Chciałbym mieć jeszcze mniej. W akademii wojskowej mieli rację: uczucia to luksus dla cywilów. Dla mięczaków. Mnie wystarczyłyby z całą pewnością dwa, trzy uczucia.

Wasserman:

– Panu może tak. Ale Aharon Markus buntował się przeciwko nędzy, na którą jesteśmy skazani... Pragnął się wdrzeć do nieznanych krain, zaczarowanych miejsc, których istnienie wszyscy przeczuwamy, ale nie śmiemy do nich sięgnąć. Aj, Herr Neigel, nie domyśla się pan, jak świat zadrżałby w posiadach, gdyby Markus opublikował swoje odkrycia na temat dodatkowych ludzkich emocji. Nowych emocji. Czy wyobraża pan sobie, ile bezimiennych, bezkształtnych mocy ujawniłoby się w nas, napełniając nowe naczynie, do którego zostały przelane, stając się częścią ciała? Istna rewolucja! Nie mówię tu o jednym uczuciu czy dwóch, trzech.

– Hitler to wynalazł – odpowiada Neigel. – Hitler dał nam coś nowego. Radość. Realną radość płynącą z poczucia siły. Kiedyś sam ją odczuwałem. Do niedawna. Zanim zacząłeś mnie zatruwać. Prawdziwą radość, Wasserman, bez fałszywych wyrzutów sumienia (patrz: sumienie), bez żałowania siły i jeśli można radować się nienawiścią, z pewnością także radość z nienawiści do kogoś, kogo należy nienawidzić. Przedtem nikt nie ośmielił się wyrazić tego na głos.

Wasserman:

– Hmm, Herr Neigel, to prawda, w pewnym sensie. Popełnia pan jednak pomyłkę: proszę nie mówić „wynalazł”, lecz „odsłonił”, „wydobył na powierzchnię”. Proszę zobaczyć, do czego to doprowadziło. Potężna energia zyskała nagle nazwę i ideologię, broń, armie, prawa, ba, historię, napisaną od nowa, ze względu na nienawiść! Podejrzewam jednak, że nawet gdyby nasz mały aptekarz odsłonił takie emocje, takie instynkty, zachowałby je w sercu. Na swój skromny sposób także wiele osiągnął.

Aharon Markus, człowiek skromny i pokojowo nastawiony (Wasserman: Może to jego serce było kamieniem filozoficznym, zamieniającym żelazo w czyste złoto, którego przez całe życie poszukiwał) stał się walecznym, nieugiętym wojownikiem, wydającym wojnę ograniczonemu sposobowi odczuwania. Od początku zdawał sobie sprawę, że winę ponosi język: ludzie zostali nauczeni czuć tylko to, co potrafią nazwać. Kiedy poczują świeżą, nową, intensywną emocję, nie wiedzą, co z nią począć, i odrzucają ją lub łączą z innym uczuciem, posiadającym nazwę, znanym. W ten sposób – z niedbalstwa, lenistwa, a może także ze strachu – odbierają mu jego pierwotne znaczenie. (Markus: Jego zew. Wymagania. Przyjemne i groźne niuanse). Będąc poligłotą, wiedział, że ludzie, którzy posługują się tylko jednym językiem, nie znają pewnych subtelnych odcieni uczuć, dobrze znanych ludziom mówiącym innym językiem. (Uwaga redakcji: dla wyjaśnienia można przytoczyć stosunkowo nowe w naszym języku słowo „frustracja”. Słowo to pojawiło się w języku hebrajskim dopiero w połowie lat siedemdziesiątych i dopóki nie weszło do codziennego użytku, mówiący po hebrajsku nie byli „sfrustrowani”. Byli, oczywiście, „poirytowani”, „zawiedzeni”, w pewnych sytuacjach czuli dojmujące, gorzkie rozczarowanie, lecz uczucie czystej frustracji poznali w całej rozciągłości dopiero, gdy zapożyczono z angielskiego słowo *frustration*. Ludzie mówiący po angielsku byli „sfrustrowani” o wiele wcześniej niż hebrajskojęzyczni. W tym kontekście ciekawa wydaje się uwaga Milana Kundery na temat czeskiego słowa *litost*: według niego nie sposób go przełożyć na żaden inny język; wyraża ono „uczucie niezamknięte, niczym otwarty akordeon” i stanowi mieszankę wielu emocji: zarazem żalu, współczucia, skruchy i tęsknoty. Kundera pisze w *Księdze śmiechu i zapomnienia*: „Na próżno szukam odpowiednika w innych językach, choć nie jest dla mnie jasne, jak bez niego można zrozumieć duszę człowieka”). Uczony warszawski aptekarz twierdził także, że z powodu ograniczeń mechanizmu językowego ludzie są zmuszeni „poprzestać” na jednym uczuciu naraz, co najwyżej – dwóch, które razem tworzą jedno. Uważał, że to trochę jak rozmowa w języku, w którym wszystkie słowa mają tylko jedną sylabę. Cienkie, marne, zdradzieckie słowa, tępi strażnicy wielkiego, żywego, rojącego się skarbu,

dziesiątków, a może setek bezimiennych uczuć, na wespół anonimowych przeżyć, pierwotnych impulsów, żalów, szalonych rozkoszy.

Neigel, z jękiem: – Niech tak zostanie. Tak jest lepiej.

Markus: – Nie, nie, drogi Herr Neigel. Przecież spoczywa na nas odpowiedzialność (patrz: odpowiedzialność)!

Faktyczne eksperymenty aptekarza w dziedzinie uczuć rozpoczęły się w tysiąc dziewięćset trzydziestym trzecim roku. Wasserman uzupełnia:

– Trzydziestego stycznia roku trzydziestego trzeciego. Zaczął badać smutek. Według Wassermana, zapiski

Markusa z tych czasów świadczą o sporej dozie poświęcenia eksperymentatora: z początku wierzył, że będzie mógł się zajmować badaniami tylko w pewnych, ustalonych godzinach. Wciąż traktował je jako ciekawe hobby. Szybko jednak zrozumiał, że istnieje tylko jedna, właściwa metoda: żyć nimi.

Wasserman:

– Gdyby pan zobaczył, jak ten pełen optymizmu człowiek stopniowo tonie w coraz większym smutku. Ajajaj. Jego miła, łagodna twarz przypominała pisk tonącego w bagnie konia. Zasmucał się na śmierć, jeśli można tak powiedzieć, by zbadać jak najdokładniej mroczną jaskinię, oczyścić ją z chwastów, udroźnić nieużywane kanały i nadać im nowe nazwy.

Markus zaczął opracowywać „sentimo”, nowy język uczuć, według Wassermana „pełen dobrych chęci, choć może trochę prymitywny”. Mieszanka liter, cyfr i tajemniczych terminów, których nie rozumiał nikt poza aptekarzem.

Wasserman:

– Aj, Herr Neigel! Pamiętam ciężkie czasy, które nadeszły po wyprawie do smutku! Trzyletni pobyt w otchłani strachu, między rokiem trzydziestym piątym a trzydziestym ósmym, i jedenaście miesięcy, kiedy to doznawał wszystkich odmian upokorzenia, od stycznia trzydziestego ósmego do września trzydziestego dziewiątego. W tym czasie przeprowadzał także dodatkowe eksperymenty, jak pisarz, który pracując nad wielką powieścią, szkicuje jednocześnie rozmaite opowiadania, bękarty, wióry pryskające podczas pracy artysty, podczas przerażającego lotu w otchłań bezradności. W tym samym

czasie ryzykował życie, rzucając się w przepaść odrazy i znajdując tam – kto by uwierzył? – siedemnaście rozmaitych odcieni tego uczucia, od mdłości po wstręt.

Chyba w tym okresie badania aptekarza zaczęły zmieniać kierunek. W lutym czterdziestego roku Otto Brig (patrz: Brig) ujrzał go po raz pierwszy w getcie, gdy lizał buty esesmanom. Otto: Uśmiechał się się szeroko, uszczęśliwiony, jakby udało mu się ukraść brzoskwinie z królewskiego sadu! Natychmiast zrozumiałem, że to jeden z nas! Za sporą sumkę Otto wykupił Markusa od znęcających się nad nim esesmanów i przywiózł do ogrodu. Po drodze aptekarz wyjaśnił mi istotę swych eksperymentów i znaczenie błędnego uśmiechu, który nie schodził mu z twarzy. Nie mam czasu – powiedział podekscytowanemu Ottonowi. – Muszę zaznać także trochę przyjemności w miesiącach, które mi pozostały, dlatego nadeszła kolej na szczęście. Wasserman przypuszcza, że aptekarz wędrował ulicami pogrążonego w czarnej rozpacz getta i samą siłą woli udawało mu się „zrównoważyć szale cierpienia i szczęścia, ponieważ jeśli nie pozostają w równowadze, jesteśmy zgubieni,..”. Należy podkreślić, że groziły mu niezliczone niebezpieczeństwa. Wasserman:

– Choćby pośpieszna, pełna drżenia wyprawa w głąb litości i nieodpowiedzialne zagubienie się w niej, Markus, przyjacielu! Wędrowka do nadziei. W takich czasach zapragnął badać nadzieję... Jakich mąk wtedy zaznał! Nie cofał się przed niczym i krok za krokiem torował sobie drogę we wrogiej, gęstej dżungli życia emocjonalnego. Uzbrojony w umiejętność instrospekcji, wrażliwą jak czułki motyla i ostrą jak brzytwa, oczyszczał szlak, rozdzielając splątana roślinność na pnie, gałęzie, gałązki i listki. Nazywał je niczym pierwszy człowiek w raj. Słowo daję, Herr Neigel, nie rozumiem, jakim cudem nie stracił zmysłów! Jego twarz, zawsze łagodna i miła, jak buzia zadowolonego dziecka, bardzo się postarzała! Z początku poczerniała niby brzegi kotła, lecz później pojaśniała na powrót. Okazało się, że jego eksperyment, psychiczne oddanie się jednej czynności, odcisnął na nim ślad, wyrzył znak, pozostawił bliznę. Aj, taki już jest los samotnego twórcy, który nie ma z kim dzielić niebezpieczeństw. Rozumie pan, musiał na własnej skórze

wyróbować każdy niuans nowych uczuć. Dopiero wtedy dochodził do wniosku, że może je opisać i nadać mu nazwę. Markus: – Niezwykle poruszony, zapisałem następujące słowa: wiedzcie, że pomiędzy „strachem” a „przerażeniem” znalazłem i nazwałem siedem dodatkowych odcieni, mniej lub bardziej intensywnych. Wszystkie, bez wątpienia, są „pierwotne”. Doświadczenia Markusa nie zakończyły się na tym: jego odwaga doprowadziła go do etapu, z którego nie było odwrotu, mógł tylko iść naprzód. Nie miał drogi ucieczki, a nawet o niej nie myślał. Wasserman:

– Zrozumiał, że musi przeprowadzić głębsze, okrutniej – sze eksperymenty. Nawet teraz, gdy o nich myślę, ogarnia mnie przerażenie, Herr Neigel, siedem odcieni przerażenia, ponieważ Markus zaczął poświęcać swój nieoceniony czas na krzyżowanie... łączenie uczuć, które do tej pory uważano za całkiem osobne, a nawet sprzeczne. Człowiek, który ze skromną dumą przedstawiał się jako „astronom uczuć”, próbował na przykład skrzyżować lęk z nadzieją. Albo melancholię z pragnieniem. Najwyraźniej zapragnął dodać do każdego przykrego, szkodliwego i trującego uczucia ziarenko, umożliwiające wzniesienie się ponad nie. Uwolnienie od niego.

Według Wassermana najbardziej poruszającą krzyżówkę stworzył aptekarz podczas pobytu w ogrodzie zoologicznym. Próbował połączyć podłość z cierpieniem (patrz: cierpienie). Wasserman:

– Czynił to z dziwnym pośpiechem, jakby czas uciekał... Pragnął odmienić podłość, stępić ją, zarazić mądrymi, smutnymi bakteriami cierpienia. Któż pojmie artystę?...

– Humpf.

– Aj, trzeba go było wtedy widzieć, Herr Neigel. Baliśmy się, że pęknie, że rozleci się na kawałki, niczym zwierzę, zwane kameleonem, położone na wielobarwnym dywanie... Przypominał śpiewaka, pragnącego śpiewać naraz dwoma głosami... Zawsze jednak w ostatniej chwili uchodził cało, waleczny jak lew, aby zapisać tajemnicze wnioski w notesie. Może pan sobie wyobrazić nasz ogród bez Markusa? Kto, jeśli nie on, mógł wydać krzyk (patrz: Krzyk)?

# רחמים

## **Rachamim – miłosierdzie**

Patrz: współczucie

# ריכטר

## **Richter**

Prawie nieznanym młody żydowski chłopak. Wyjątkowa postać wśród artystów (patrz: artyści), wkład obersturmbannführera Neigla w opowiadanie. Wasserman wysłuchał historii Richtera tej szalonej nocy, kiedy Neigel odebrał sobie życie (patrz: Kazik, śmierć Kazika). Widać, że, niestety, nie została odpowiednio dopracowana. Oto okoliczności jej powstania: zdesperowany Neigel oświadcza, że ma dla Wassermana „coś”: coś, o czym myślał w pociągu do Berlina, w drodze na urlop. Żydowski pisarz nadstawia uszu.

– W pociągu – mówi Neigel. – W pociągu go wymyśliłem. Kogoś nowego. Dla Ottona, dla ogrodu. Co o tym sądzisz?

– Posłuchajmy i zobaczymy – odpowiada Wasserman.

Na zewnątrz rozbrzmiewa ciche, melodyjne pogwizdywanie Staukego (patrz: Stauke), który kręci się pod barakiem, czekając na strzał. Jego cierpliwość jest na wyczerpaniu, lecz nie ma odwagi wejść, dopóki Neigel nie odbierze sobie życia.

– Co o tym sądzisz? – powtarza Neigel błagalnie. – To młody chłopak. Mniej więcej dwudziestoletni. I on – słuchasz? – zgasi słońce. Tak! Słońce! Proszę nadać mu nazwisko, Herr Wasserman, dobre żydowskie nazwisko. Mów głośniej, nic nie słychać. Jak? Richter? Pięknie. Niech będzie Richter. Zapisz. Chcę, żeby to zostało zapisane. On musi się znaleźć w opowiadaniu. Pamiętaj, że jest mój. Jeśli kiedyś będziesz to komuś opowiadał, powiedz, że to ja go wymyśliłem. Co? Prawie nie słyszę. Znowu ten gwizd. Przyjechał nocny pociąg. Co on potrafi? Ohoho!! – śmieje się Neigel donośnie, przesadnie. – Oho!! Czego



on nie potrafi! Zapisz, Szeherzado, zapisuj każde słowo: mieszkał w jednym z waszych gett, na przykład w Łodzi, i widział tam przeróżne rzeczy. Odbywała się tam akcja. Wiesz w ogóle, co to akcja, Herr Wasserman? To... nieważne. Zapomnij. Nie musisz wiedzieć. Lepiej, żebyś żył w swoim świecie baśni, bo akcja to nic przyjemnego, nic łatwego, to... – Wydaje długie gwizdnięcie przez zęby, może po to, aby wyrazić, jak nieprzyjemna była akcja, a może, by zagłuszyć świst ukraińskich gwizdków na rampie. – Widział najrozmaitsze rzeczy i od tamtej pory zaczął wpatrywać się w słońce! Prosto w słońce, które wszystko widziało i nic nie zrobiło. Nie zgasło ani nie spaliło całego świata. Patrzył tak prosto w światło. Wymyśliłem to w pociągu do Berlina. Po wyjeździe stąd wpadłem na pewien pomysł. Z początku to była okrutna próba, jak u wszystkich twoich artystów. Mężczyźni na prawo, kobiety na lewo! Dzieci i starcy do lazaretu, tam doktor Stauke da wam mały zastrzyk, szczepienie przeciw tyfusowi, którego epidemia panuje na wschodzie. Patrzył prosto w słońce, spalił sobie oczy i przez cały czas płakał, powieki mu spuchły i skleiły się, ale przecież przyrzekł sobie: rozbierać się! Wszyscy mają się rozebrać! Nie wstydić się! Wszyscy macie to samo! Po kilku dniach słońce zaczęło się poddawać. Może nie zauważono tego w obserwatorium astronomicznym w Berlinie, ale to nieistotne. Słońce zaczęło się poddawać. Teraz na zewnątrz! *Schnell!* Do dezynfekcji! Były to najtrudniejsze dni dla Richtera, bo nagle zaczął się bać. Biegiem, żydki, biegiem! Bał się nieszczęścia, które sprowadza na cały świat, odbierając ludziom słońce, był jednak prawdziwym artystą i dlatego nie przestał wpatrywać się prosto w tarczę Słońca, które w końcu całkiem zgasło, pięćdziesięciu pierwszych wejść do środka, do komory! Milczeć! To tylko dezynfekcja! Zapadła całkowita ciemność – mamrocze Neigel, łypiąc przekrwionymi, oszalałymi oczami. Gestykulując z entuzjazmem, pyta Wassermana, co sądzi o jego darze.

– Wspaniały – odpowiada Żyd.

– Teraz mów dalej – prosi Neigel, a Wasserman przewraca pustą kartkę i zamierza podjąć lekturę. Nagle słyszy, jak doktor Fried mówi Ottonowi na ucho, że ów „dar”, Richter, nie pasuje zbyt do pierwotnego założenia Dzieci Serca.

Brakuje mu głębi i jest w sumie dość papierowy. Otto odpowiada doktorowi po cichu, zdecydowanie, że przyjmuje młodego Richtera do swego ogrodu głównie ze względów miłosierdzia (patrz: miłosierdzie). Otto: Nawet jeśli szukamy najczystszych i największych idei, Albercie, nie wolno nam ani na chwilę przestać żałować pojedynczego, przeciętnego człowieka. Inaczej nie bylibyśmy lepsi od nich, niech będą przekłeci.

## שטאוקה

### **Stauke**

Sturmbannführer Siegfried Stauke. Urodzony w Düsseldorfie. Zastępca Neigla. Z diagnozy medycznej, wystawionej po wojnie, na krótko przed jego samobójstwem, wynika, że miał cechy osobowości patologicznie sadystycznej. Lekarze twierdzili, że Stauke był człowiekiem wybitnie inteligentnym, całkowicie pozbawionym sumienia (patrz: sumienie). Nikt nie potrafił wytłumaczyć tego, co nazywali „niezwykłym pędem suicydalnym”. Nie istnieje żadne naukowe wyjaśnienie, dlaczego ten okrutnik, który w obozie mordował z zimną krwią, niewiele później zmienił się w przerażony strzęp człowieka. Oto w jaki sposób Stauke doszedł do funkcji komendanta obozu zagłady: przez dziesięć miesięcy był zastępcą Neigla i od samego początku dokładał starań, aby podkopać autorytet tego „bawarskiego ciolka”, jak go nazywał. Wydawało się jednak, że na próżno: Neigel wzorowo spełniał obowiązki i wiadomo było, że sam Himmler patrzy na niego łaskawie. Tak działo się do września czterdziestego trzeciego roku, kiedy Neigel umieścił w swoim baraku Wassermana w charakterze „domowego Żyda”. Staukemu nie podobało się to i nawet powiedział Neiglowi, że „Żydzi domowi” nie mieszkają w domach swoich panów. Neigel zaprzeczył ze złością. Potem widać było coraz więcej oznak. Osłupiały Stauke (uważano go za człowieka niezwykle wykształconego, zapewne dlatego, że miał tytuł doktora) słuchał zaskakujących, niecodziennych pytań dowódcy. Zaczęło się od dziwnego przesłuchania na temat rozmaitych chorób. Neigel wspomniał coś

o starej, schorowanej ciotce, ale Stauke natychmiast zauważył, że komendant kłamie. (Tacy jak on nie potrafią kłamać. Od razu nabrzmiewają im żyły na czole. Potrafią tylko mówić prawdę. Dlatego są tacy nudni, – Stauke w rozmowie z dziennikarzem, rok 1946). Potem szofer Neigla opowiedział o tajemniczej wyprawie w okolice Borysławia, o której Neigel nie wspomniał ani słowem. Stauke zadzwonił w kilka miejsc, odszukał oficera, który towarzyszył Neiglowi w Borysławiu i usłyszał kilka pożytecznych informacji o swoim przełożonym. Dowiedział się, że Neigel stał się miłośnikiem archaicznego produktu o nazwie „lepek” i, o dziwo, napomykał o możliwości wydobyciu ropy w rejonie obozu, w ramach dodatkowego, dochodowego przemysłu z wykorzystaniem pracy więźniów. Stauke uniósł brwi, pogwizdując melodię z *Barona cygańskiego*. Tego samego dnia Neigel wezwał go i pozornie od niechcienia zaczął wypytywać o wędrówki lisów i sen zimowy królików. Z nienaturalnym, przesadnym śmiechem wyjaśnił:

– To dla mojego synka Karla. Nagle to go zaczęło interesować.

W końcu żenujący incydent z żydkiem, który wyrwał strażnikowi broń i zaczął strzelać do żołnierzy na „drodze do nieba”. Wszyscy byli świadkami niepewnej, pełnej wahania postawy Neigla (patrz: bunt). Stauke zaczął z jeszcze większą uwagą słuchać dziwnych opowieści ukraińskich wartowników o niezwykłych spotkaniach Neigla z jego żydkiem po godzinach pracy. Dagosa, Ukrainiec pełniący stałą służbę przed barakiem komendanta, wspominał – pod wpływem zaledwie jednej butelki sznapsa – o śmiechu i innych odgłosach. „Jakby ktoś opowiadał bajkę małemu chłopcu, jeśli pan rozumie, komendancie”, które dobiegały ze środka. Wszyscy zauważyli już zdecydowane pogorszenie stanu Neigla. Wyglądał niechlujnie, nosił się niedbale, miały nim gwałtowne nastroje, wyżywał się w histerycznych atakach wściekłości na swoich podwładnych, surowo karał niemieckich żołnierzy za nieistotne przewinienia. Krótko mówiąc: Stauke czuwał. W dniu, w którym Neigel wyjechał na urlop (patrz: urlop) do Monachium, do obozu przybył specjalny wysłannik, który poprosił o „bardzo dyskretną” rozmowę ze Staukiem. Niemłody standartenführer z cenzury rozłożył na biurku fotografie siedmiu listów, wysłanych z obozu,

napisanych bez wątpienia ręką komendanta. Stauke czytał, powstrzymując wybuchy śmiechu: kto by uwierzył, że w tym wielkim cielsku skrywa się mały poeta? Czytał o grupie obłąkanych staruszków, sercach rysowanych na drzewach, człowieku, który pragnął przekraczać granice innych ludzi i tłumaczyć ich miłość, o innym, który chciał hodować nowe uczucia (patrz: uczucia). Wszystko to było tak żalosne, głupie i idiotyczne, że Stauke mógł uspokoić cenzora, iż nie chodzi o tajemniczy szpiegowski szyfr, ale o dziecinną pisaninę oficera, któremu „zbytne napięcie nadwreżyło nerwy”. Stauke poprosił, aby cenzura nie wszczyła żadnych kroków, co mogłoby osłabić morale żołnierzy w obozie, które i tak spadło, odkąd zaczęły się „ataki nieszczęsnego komendanta”. Cenzor odjechał, a Stauke pośpieszył do baraku Neigla i jak się spodziewał, zastał żydka pracującego w ogródku. (Stauke: Pracującego? To był praktycznie sabotaż, co on wyprawiał z litościwą polską ziemią!). Zamierzał go przebiegle wysondować na temat natury kontaktów z Neiglem, lecz Żyd był nie mniej przebiegły i na wszystkie pytania udzielał wymijających odpowiedzi. Przekonało to Staukego, że między tymi dwoma zawiązało się jakieś „niezbyt święte przymierze”. (Patrz: podejrzenia). Nagroda Staukego nadeszła, gdy nocą wdarł się do baraku Neigla, pogrążonego w opisie litościwych dzieł wyobraźni Kazika (patrz: malarz). Stauke odebrał Neiglowi pistolet (bez najmniejszego sprzeciwu ze strony tamtego) i opróżnił magazynek, zostawiając dwa naboje: jeden dla niego, drugi dla Żyda. Potem wyszedł na zewnątrz. Czekał długo, zbyt długo jak na swój gust: minęła prawie godzina, zanim rozległ się strzał. Tylko jeden. To było dziwne. Dobył broń i wkroczył do środka. Na ziemi leżało ciało Neigla. Stauke zaczął gorączkowo szukać Żyda. Obawiał się, że Wasserman strzelił do Neigla i uzbrojony ukrył się gdzieś w pokoju. Wasserman wszedł do pokoju od strony kuchni i popatrzył na leżącego Neigla. Stauke podszedł i strzelił mu z bliska w głowę. (Wasserman: „Nu, miałem nadzieję, że wreszcie się uda. Bo po co miałbym żyć? Stauke, którego naga czaszkę pokrywała grzybiczna wysypka, chwycił pistolet wykładany masą perłową. Ten nasz Stauke to wytworniś. Nie zamknął oczu, strzelając. Inaczej niż biedny Neigel. Patrzył prosto na mnie. Poczulem brzęczenie przelatujące

przez głowę i nagle przypomniałem sobie, że Stauke bardzo lubi muzykę. Ma w pokoju gramofon i potrafi gwizdać z pamięci całe opery. Fe! Nie wiem, czemu mi to przyszło do głowy. Zachowałem tę informację dla siebie”). Na wojskowej mapie za głową Wassermana pojawiła się wielka, brzydka dziura. Stauke spojrział ze zdumieniem na nią, potem na Wassermana, silnymi palcami obracając mu głowę na wszystkie strony. Szukał rany. W końcu powiedział:

– To prawda, co o tobie opowiadają? Hoppler coś wspominał, że nie możesz umrzeć, wszyscy z niego drwili. Więc to prawda.

Wasserman:

– Niestety.

Stauke roześmiał się, skrępowany.

– Pięknie, pięknie – powiedział wreszcie. – A jak zwie się to niezwykle zjawisko?

Autor chce odpowiedzieć, ale nagle przypomina sobie coś jeszcze, co wyszeptał mu przelatujący przez głowę szum. Na chwilę jego oczy rozwierają się ze zdumieniem, z niechęcią, ale rozkaz jest silniejszy. Odpowiada jak ktoś, kogo nawiedził duch:

– Anszel Wasserman, komendancie, ale kiedyś miałem pseudonim Szeherezada.

Stauke ściąga brwi. Na policzki wypływa mu dziwny rumieniec:

– Szehereza...? Skąd, do diaska, znam twoje nazwisko? Wassermanem miotają tajemnicze wstrząsy. Wygląda tak, jakby w jego wnętrzu trwała zaciekle walka. Autor spiera się z kimś. Protestuje. Krzyczy:

– Dostyc! Nie mam już siły! Nie znowu! Jaka muzyka? Co ja mam wspólnie... i jak opowiem nowe opowiadanie? Znowu nowe opowiadanie? – Ale wydaje się, że jego niewidoczny oponent jest o wiele silniejszy. Stary Żyd, owinięty wielobarwną szatą, spuszcza głowę i odpowiada niechętnie: – Rimski-Korsakow, proszę pana, on skomponował piękny utwór o Szeherezadzie, ale, jeśli mogę się pochwalić, powiem, że pisałem dla berlińskiego radia zagadki muzyczne dla dzieci i młodzieży... Może pan pamięta? W każdy czwartek po południu? To ja. – Milknie, wystraszony słowami, które wyszły z jego ust, i daje redakcji wyraźne

znaki, że nie wie, co się z nim dzieje, dlaczego to powiedział. Ale przedstawiciel redakcji nie patrzy na niego. Przedstawiciel redakcji patrzy na Staukego, sturmbannführera Staukego, który nagle się rumieni i w jego oczach pojawia się przelotnie jakaś iskra, a pierś unosi się w głębszym niż zazwyczaj oddechu. Krótko mówiąc: Stauke jest poruszony. Ale bardzo szybko udaje mu się opanować. Przybiera szydery, złośliwy wyraz twarzy. – Autor zagadek dla dzieci, co? Może kiedyś, jak będzie mi się nudziło, przyjdiesz mnie pomęczyć tymi bzdurami. Też przecież trochę się znam na muzyce. Teraz słuchaj: zamieszkas u mnie. Będiesz moim „domowym Żydem”. Może ogrodnikiem? Petunie jakoś ostatnio zmarniały.

Wasserman, nieskończenie znużony, pokonany:

– Nawet rzodkiewki panu wyhoduję, panie komendancie.

## תיעוד

### **Ti'ud – dokumentacja**

System umożliwiający przechowywanie i archiwizację rozmaitych informacji

– Nie – powiedziała Ajala. – To ci się na nic nie przyda. Nie uda ci się. Cała ta encyklopedia jest nic niewarta. Niczego nie wyjaśnia. Popatrz na nią: wiesz, co mi przypomina? Masowy grób. Właśnie tak. Dół pełen różnych ciał, wystających pod różnym kątem. Z oderwanymi członkami. Coś więcej, Szłomik. To także dokumentacja twoich zbrodni przeciw ludzkości. Teraz, kiedy doszedłeś aż tutaj, mam nadzieję, że widzisz, że poniosłeś porażkę, że nawet w encyklopedii nie sposób ogarnąć jednego dnia, jednej chwili ludzkiego życia. A teraz, jeśli chcesz, abym ci kiedyś wybaczyła, jeśli chcesz spróbować ocalić siebie, żeby chociaż część tego koszmaru została zapomniana i wymazana, napisz nowe opowiadanie. Dobrze. Pięknie. Tak, tak, wiem. Znam twoje ograniczenia: nie oczekuję szczęśliwego opowiadania. Obiecuj mi przynajmniej, że napiszesz je z miłosierdziem (patrz: miłosierdzie)! Z miłością (patrz: miłość)! Nie, nie z taką miłością! Nie patrz pod miłość, Szłomik! Kochaj!

# תפילה

## Tfila – modlitwa

Uniwersalne zjawisko religijne, milczące lub głośne zwrócenie się do bóstwa

Fried się modlił. Było to o godzinie dwudziestej drugiej zero pięć wieczorem, godzinę po tym, jak Otto przyniósł do niego Kazika. Chłopiec, który miał wtedy trzy lata, zasnął na mgnienie oka. Najwyraźniej wyczerpała go gorączkowa aktywność. Fried usiadł przy nim na dywanie, także wykończony. Fried: Mój Boże, on ma już trzy lata. Tyle czasu zmarnowałem, zanim pojąłem, co się dzieje. W jego sercu skryzalizowało się postanowienie (patrz: postanowienie), że będzie walczył. Po raz pierwszy w dorosłym, świadomym życiu, postanowił walczyć. Z pozoru może się to wydawać dziwne, bo przecież zawsze wydawał się szukać zwady, ale tak nie było. Wasserman zaświadcza, że przez całe życie doktor czekał na decydującą bitwę, aby móc rzucić do niej bez wahania wszystkie siły. Bitwę, która nada znaczenie jego bezcelowemu życiu. Dlatego, nawiasem mówiąc, doktor był łatwą, bierną ofiarą w każdej walce czy konflikcie, na które natykał się na swej drodze. Nie istniała dla niego sprawa, o którą warto walczyć. Nie było sprawy, która wydawałaby mu się zdecydowanie zła czy dobra. Wszystkie ludzkie działania jawiły mu się – w ostatecznym rozrachunku – marne i nieistotne. Jeśli nawet były skierowane przeciwko niemu, nie znajdował w sobie dość gniewu na protest. Dlatego uchodził za wyniosłego mizantropa. Wiedział, że naprawdę jest inny, ale zbyt późno zrozumiał, że nigdy nie nadejdzie szansa pomszczenia pustych lat. Stało się to, kiedy zaczął żyć z Paulą. Odkrył z przestraszeniem, że jego życiorys w ogóle nie jest jego; jest efektem przeciągającej się pomyłki, długotrwałego zaniedbania. Ze zdumieniem zrozumiał, że w życiu zdarzają się także drobne, nędzne błędy, niczym pomyłki nieudolnego, leniwego sklepikarza. Dlatego kiedy przyniesiono mu dziecko, Kazika, doktor zdał sobie sprawę, że musi walczyć. Ze to jego ostatnia szansa. Poprzysiął sobie, że da śpiącemu obok dziecku najlepsze możliwe życie; że będzie dla niego najlepszym ojcem, najlepszym przyjacielem. Da mu to, co odebrano jemu samemu. Otto, leżący w tym czasie we własnym

łóżku, uśmiechnął się: Przecież wiedziałem, że będziesz walczył, Albercie. Markus: To bardzo ważna chwila, kochany Friedzie, chwila, w której musisz wybrać między obserwacją a czynem. Między rutyną a twórczością. Fried: Będę walczył. Dam mu życie, które ma jakieś znaczenie (patrz: życie). Być może niewielu uzyskuje to, żyjąc dłużej niż on! – Kiedy przebrzmiały te słowa, artyści w ogrodzie (patrz: artyści) usłyszeli, jak Krzyk (patrz: Krzyk), uwięziony w blaszanym labiryncie, wzmagą się i przechodzi w krótki, przeszywający skowyt. Wasserman: Może to szok lub współczucie, może jego groteskowy śmiech, zemsta, kto wie? Otto szepnął do siebie: Słyszałeś, Albercie? To twój krzyk. Teraz się narodziłeś. Fried: Mały Kazik leżał na wznak, jego jasne włosy leciutko sterczały, takie jasne i miękkie, a jego twarz, ach, było w niej tyle ciekawości i odwagi. Modliłem się, abym miał siły przeżyć tę noc i następny dzień. – Popatrzył na chłopca z litością, która już była zmieszana z miłością. Ostrza bólu i przyjemności jednocześnie cięły suche bryły w jego starym sercu. Znowu, jak zawsze wbrew woli, wbrew postanowieniom i wszystkiemu, co wiedział o świecie, o żyjących na nim ludziach i o życiu, niebędącym życiem, obudziły się w nim młodziutkie pędy nadziei. Modlił się. Markus: Na twarzy śpiącego dziecka malowało się intensywne pragnienie życia, cudowna pewność siebie, gdy tak leżał, otwarty na wszystko. Fried modlił się, by tak pozostało. Fried: Abym nie zatruł go moją nienawiścią. Markus: I wiedzą. Otto: Aby pozostał mężny i odważny, gotów uwierzyć. Fried: Zęby nie był do mnie podobny, proszę. Niech będzie podobny do niej. Do Pauli.

Wasserman podniósł wzrok na Neigla, mówiąc: – Wszyscy modliliśmy się o jedno: niech zakończy życie, nie wiedząc o wojnie. Rozumie pan, Herr Neigel? O tak niewiele prosiliśmy: niech na świecie będzie jeden człowiek, który przeżyje życie od początku do końca, nie wiedząc nic o wojnie.

lipiec 83 – grudzień 84